

**Pilcher Rosamunde**

**Powrót do domu**

**t.2**

## **Część druga**

Dom Bidy Somerville, przycupnięty na stoku wzgórza wznoszącego się nad miasteczkiem Bovey Tracey, nosił nazwę Upper Bickley. Data 1820, wycięta na belce nad frontowymi drzwiami, świadczyła o tym, jak był stary. Niemniej jednak cechował się solidną konstrukcją z ciosów kamiennych, z zewnątrz otynkowanych na biało. Dach miał lupkowy, kominy wysokie, za to pokoje wewnątrz były niskie, podłogi tu i ówdzie wypaczone, a drzwi nie zawsze dawały się domknąć. Na parterze znajdowała się kuchnia, jadalnia, salon i hall. Obszerny kredens przerobiono na i umywalnię i przebieralnię dla myśliwych. Trzymano tam zarówno płaszcz przeciwdeszczowe i gumowe buty, jak też strzelby, wędziska, torby myśliwskie i ościenie. Na piętrze mieściły się trzy sypialnie i łazienka, a nad nimi - już tylko strych, gdzie wałały się stare kufry marynarskie, zdjęcia, pogryzione przez mole części umundurowania i zabawki Neda. Wszystkie te graty leżały tam od dawna zapuszczone, lecz Bidy nie mogła się zdobyć na to, by je powyrzucać. Droga do tego domu wiodła krętą doliną rzeki Devon, w zimie prawie nieprzejezdną. Bramę wjazdową stanowiły zwykłe wiejskie wrota, zawsze stojące otworem. Od tej oramy do głównego wejścia, znajdującego się z tyłu domu, prowadził żwirowany podjazd. Po przeciwnej stronie rozciągał się ogród, niezbyt wielki, w sam raz, aby pomieścić kilka skromnych grządek kwiatowych, mały warzywnik, niezbędne zabudowania gospodarcze i kawałek trawnika, nad którym rozwieszano upraną bieliznę. Dalej teren za-

czynął już się wznosić, a na jednej z pochyłości ostał się po poprzednim właścicielu ogrodzony wybieg dla kuców.

Szczyt pagórka wieńczyła kępa sosen, a za kamiennym murem granicznym rozciągały się już torfowiska, wrzosowiska i bagna Dartmoor. Zimą przychodziły stamtąd zgłodniałe dzikie kuce, które Biddy dokarmiała sianem. Hulały tam wtedy wiatry i deszcze. Natomiast latem, przy słonecznej pogodzie, rozciągał się piękny widok w kierunku południowo-zachodnim - na dachy miasteczka, zielone pola grodzone żywopłotami, port w Torbay i wody kanału La Manche.

Somerville'owie ryzykowali, nabywając Upper Bickley właściwie w ruinie. Dom ten bowiem już od czterech lat stał pusty, gdyż spadkobiercy jego długoletniej właścicielki mimo nie kończących się procesów sądowych nie mogli dojść do porozumienia, komu ma przypaść w udziale. W końcu mądry prawnik doradził im, aby zaprzestali bezowocnych sporów i zdecydowali się wystawić posiadłość na sprzedaż.

Somerville'owie przybyli z Plymouth, aby rozpatrzyć się na miejscu, po czym doszli do wniosku, że cena wywoławcza jest śmiesznie niska, i czym prędzej sfinalizowali transakcję.

Czekał ich teraz generalny remont nowej siedziby. Na teren posesji wtargnęli budowniczowie, elektrycy, malarze, cieśle i instalatorzy. Bez ceremonii zdeptywali stare parkiety, wybijali szyby swoim sprzętem i przebijali gwoździemi ściany na wylot. Biddy na zmianę to ich rugała, to częstowała herbatą, aż w końcu Bob triumfalnie ogłosił, że dom już nadaje się do zamieszkania. Ekipy remontowe wreszcie się wyniosły i Biddy mogła się wprowadzić.

Był to jej pierwszy własny dom, a więc coś zupełnie innego niż dotychczasowe wynajęte apartamenty. Musiała więc przyzwyczaić się do nowej sytuacji, co przyszło jej z tym większym trudem, że nigdy nie była szczególnie dobrą gospodynią. W Keyham miała do pomocy panią Cleesc i Hobbsa, których teraz zabrakło. Kucharka nie

podążyła za swoją chlebodawczynią, gdyż wolała zostać w mieście. Życie na wsi nie pociągało jej, zwłaszcza że bała się krów. Hobbs natomiast zmarł wkrótce potem, jak zmuszono go do przejścia na zasłużoną emeryturę. Biddy była na pogrzebie i dałaby głowę, że słyszała skrzypienie jego buciorów, kiedy meldował się już na wieczną wartę u świętego Piotra.

Biddy musiała więc rozejrzeć się za innymi pomocami domowymi. Nie chciała jednak angażować nikogo na stałe, gdyż w Upper Bickley nie było zbyt dużo miejsca, a ponadto nie lubiła, żeby ktoś obcy pętał się po domu. Zatrudniła więc na przychodne dwie miejscowe kobiety -jedną do gotowania, a drugą do sprzątania. Niewiasty te -kucharka, pani Lapford, i sprzątaczką, pani Dagg - pracowały codziennie od ósmej do dwunastej. Dodatkowo w soboty, a w lecie także popołudniami, przychodził Bill, mąż pani Dagg, zatrudniony jako robotnik rolny na pobliskiej farmie. Pomagał on Biddy w ogrodzie, bo choć wprawdzie nie znał się zbyt na uprawie kwiatów i warzyw - potrafił wydajnie i zręcznie kopać oraz rozrzucać koński gnój. Dzięki temu przynajmniej róże dobrze się udawały.

Po uregulowaniu problemów z gospodarstwem domowym Biddy mogła rzucić się w wir życia towarzyskiego. Nie była bowiem typem kobiety, której wystarczyłoby do szczęścia układanie bukietów, smażenie konfitur, robótki na drutach i - co najwyżej - wycieczki organizowane przez miejscowe kółko pań. Na szczęście w okolicy nie brakowało innych rozrywek.

W pobliżu miała wielu znajomych, a z miejscowymi, zasiedziałyymi rodzinami ziemiańskimi też bez trudu nawiązała przyjazne stosunki. Nie każdego przybysza dopuszczano tu łatwo do poufałości, ale tradycyjnie już życzliwie przyjmowano rodziny oficerów Marynarki Królewskiej. Wkrótce zaczęto zapraszać Biddy na damskie herbatki z partyjkami brydża lub madżonga, a Boba na po-

lowania. Razem bywali na uroczystych kolacjach, wyścigach lub rodzinnych turniejach tenisa. A że sami byli ludźmi towarzyskimi i obdarzonymi poczuciem humoru, jak też nie ociągali się z rewanzami za gościnę - zostali zaakceptowani przez lokalną społeczność.

Piętnastego sierpnia 1939 roku Bidy miała więc powody do zadowolenia. Jediną chmurę na jej pogodnym niebie stanowiła wciąż narastająca groźba wojny.

W tę niedzielę o wpół do dziesiątej wieczorem Bidy siedziała przy otwartym oknie salonu, patrząc w obłoki i czekając na Judytę. Bob, po weekendzie spędzonym w domu, zaraz po podwieczorku ruszył w drogę powrotną do Devonport, bo w tych niepewnych czasach wolał nie przebywać zbyt długo poza swoim biurem. Spodziewał się bowiem, że lada chwila może otrzymać pilny komunikat wzywający go w jakichś niecierpiących zwłoki sprawach.

Bidy była więc sama... to znaczy nie całkiem, bo u jej stóp leżał pies. Była to suka rasy owczarek szkocki, w nieregularne czarno-białe łaty i z pyskiem zagadkowo umaszczonym z jednej strony biało, a z drugiej czarno. Sierść miała gęstą i puszystą, ogon jak pióropusz, a nazywała się Morąg. Ned znalazł ją w Scapa Flow, kiedy tułała się, wychudzona i zanedbana, po dokach portowych, wygrzebując resztki ze śmietników. Wstrząśnięty tym, co zobaczył, zawiązał jej na szyi kawałek sznurka i zaprowadził na posterunek policji. Okazało się jednak, że nikt nie zgłaszał zaginięcia psa, a Ned nie miał serca zostawiać jej na posterunku. Zabrał więc sukę ze sobą na tej zaimprovizowanej smyczy, choć nie miał dużo czasu - w ciągu godziny musiał zameldować się na służbie. Zatrzymał więc taksówkę i kazał się zawieźć do najbliższej lecznicy dla zwierząt. Weterynarz okazał dużo serca, gdyż zgodził się przetrzymać psa do następnego dnia, wykąpać go i nakarmić. Dzięki temu Ned zdążył tą samą taksówką wrócić

na okręt i w ostatniej chwili zameldować się oficerowi ilyżurnemu. Nazajutrz rano po dojrzałym namyśle Ned zdecydował się poprosić przełożonych o wolny weekend i ku swemu zdziwieniu - otrzymał go. Zadzwoił wtedy do lecznicy, prosząc uprzejmego weterynarza o zaopiekowanie się psem przez dalsze dwa dni. W piątek, gdy tylko dostał wolne, natychmiast odebrał sukę i wsiadł z nią na prom kursujący po zatoce Pentland Firth. Na drugim brzegu, w Thurso, przesiadł się do nocnego pociągu zdążającego na południe. W domu rodziców zjawił się niespodziewanie następnego dnia około jedenastej, nie ogolony i z psem u boku.

Biddy smażyła akurat jajka na bekonie z kielbasą, grzybami i pomidorami, gdy oświadczył jej bez żadnych wstępów:

- Myślę, że mogłabyś ją zatrzymać. Nazywa się Morąg. To szkocki pies, więc ma szkockie imię.
- Ależ ja nigdy jeszcze nie miałam psa! - nieśmiało protestowała Biddy.
- No więc najwyższy czas, żebyś miała. Przyda ci się towarzystwo, kiedy ojca nie będzie w domu. A propos, gdzie on jest?
- Na polowaniu.
- A kiedy wróci?
- Około piątej.
- To się jeszcze zobaczymy, bo mam czas do jutra rana.

Biddy przyjrzała się psu, który miał teraz do niej należeć. Kiedy zawołała sukę jej imieniem - ta usiadła, zamerdała ogonem i zrobiła przyjazną minę. Każde jej oko miało inny kolor, co nadawało jej pyskowi oryginalny wyraz - wyglądało to, jakby mrugała porozumiewawczo.

- Jesteś fajna, wiesz? - zagadała do niej Biddy.
- Ona już cię pokochała - zapewnił matkę Ned. Kiedy Bob wrócił z polowania, tak się ucieszył z niespodziewanych odwiedzin syna, że ledwo zauważył psa.

Z czasem zaś zaczęło mu się wydawać, że Morąg była w domu od zawsze. Ned dodatkowo załagodził ojca tym, że oczyścił jego strzelbę, toteż Bob nie miał powodów do niezadowolenia. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie żywił żadnych zastrzeżeń.

- Mam nadzieję, że ona nie będzie brudzić w domu?

- Skąd, tato, zawsze załatwia się na dworze.

- A gdzie będzie spała?

- Myślę, że w kuchni, tylko muszę kupić jej koszyk i kocyk. I jeszcze obrożę, smycz, miskę na jedzenie, trochę karmy...

W tym momencie Bob zdał sobie sprawę, że Ned poświęcił cały swój wolny weekend, aby przywieźć do domu psa, który dotrzymywałby towarzystwa matce. Nie mówiąc już, ile wydał na weterynarza i taksówkę... Z pewnością było to zbyt duże obciążenie dla skromnej gaży podporucznika marynarki i ojciec nie mógł tego tak zostawić.

- Nic nie kupuj, ja się tym zajmę - oświadczył spoglądając na zegarek. -

Akurat mamy jeszcze trochę czasu do zamknięcia sklepów, bo dziś sobota. Wybierzesz, czego psu potrzeba, a ja pokryję koszty.

To wszystko działo się przed dwoma miesiącami, a teraz Bidy nie mogła już wyobrazić sobie życia bez Morąg. To miłe stworzenie nie miało zbyt wielkich wymagań. Owszem, lubiła długie spacery, ale gdy nie było komu z nią wyjść, zadowalała się bieganiem po ogrodzie. Tego dnia zaś, mimo ładnej pogody, również nie było chętnych do spaceru z psem, gdyż Bob zabrał się do generalnych porządków w domu. Wyrzucał z biurka niepotrzebne papiery, z szaf nadmiernie zużyte lub nie używane części garderoby. Gdy się z tym wszystkim uporał - zaczął porządkować garaż. Potem rozpałił ognisko i wrzucił w nie, co tylko nadawało się do spalania. Niepalne rupiecie, takie jak ostrza kos, blaszanki po nafcie, połamany rowerek dziecięcy i zardzewiała kosiarka do trawników, zwałił na



kupe obok tylnych drzwi domu, skąd miał zabrać je śmieciarz.

Biddy z ciężkim sercem przyglądała się temu z okna kuchni, gdyż wiedziała, dlaczego mąż to robi. Znała go przecież dobrze i wiedziała, że w ten sposób rozładowuje napięcie nerwowe wywołane zagrażającą wojną. Przypominało to szorowanie pokładu okrętu przed przystąpieniem do walki.

W końcu jednak Bob uprzątnął wszystko, co było do uprzątnięcia, i zaszedł do kuchni na herbatę. Popijali ją przy kuchennym stole, gdy w hallu zadzwonił telefon. Biddy poszła go odebrać.

- Kto dzwonił? - spytał Bob, kiedy wróciła.

- Judyta - odpowiedziała sięgając po swoją herbatę, która tymczasem wystygła.

- Czego chciała?

- Chce do nas przyjechać, i to jeszcze dziś. W tej chwili wyjeżdża z Kornwalii swoim samochodem i spodziewa się dotrzeć tu około dziesiątej.

- Co tam mogło się stać? - Bob aż uniósł swe krzaczaste brwi ze zdziwienia.

- Nie mam pojęcia.

- A po jej głosie nic nie dało się poznać?

- Nie, brzmiał normalnie. - Po pewnym namyśle jednak poprawiła się: - No, może była trochę przesadnie ożywiona...

- Czy powiedziała ci, dlaczego chce tak nagle przyjechać?

- Obiecała, że wszystko wyjaśni na miejscu.

- Dzwoniła od Carey-Lewisów?

- Tak.

- A więc coś musiało tam zajść.

- Może pokłóciła się z Loveday albo w jakiś sposób skompromitowała się w ich oczach?

- To mi nie wygląda na Judytę.

- Rzeczywiście, to do niej niepodobne. Mniejsza o to,

dobrze, że przyjeżdża. Pomoże mi szyć zasłony zaciemniające. Kupiłam już całą belę tego okropnego czarnego materiału, ale wciąż nie mogę się zabrać do ich krojenia, a Judyta świetnie szyje na maszynie.

Wylała do zlewu resztki zimnej herbaty i naląła do filiżanki świeżej esencji z czajniczka. Morąg sądziła najwidoczniej, że jej pani wstała po to, aby przynieść jej coś do jedzenia, więc wpatrywała się w nią proszącym wzrokiem.

- Jeszcze nie pora na kolację, łakomczuchu! - skarciła ją Bidy. - Wiesz, kto do nas przyjedzie? Judyta jeszcze cię nie widziała, nawet nie wie, że mamy takiego ślicznego pieska. Bądź dla niej miła, to może od czasu do czasu zabierze cię na spacer...

Nachyliła się nad zlewem i dalszy ciąg przemowy adresowała już do Boba.

- Na szczęście nie muszę szykować dla niej łóżka, bo pani Dagg jeszcze w piątek posprzątała w gościnnym pokoju. W końcu Judyta i tak miała tu przyjechać, przecież wybierałyśmy się razem do Londynu, żeby się obsprawiła na ten Singapur. Po prostu wszystko się teraz przesunie w czasie, więc nie ma co się martwić na zapas. Wszystko się wyjaśni.

- Jeśli to coś poważnego, to Judyta może nie zechce mówić o tym z tobą.

- Myślę, że mi zaufa, jeśli zapytam ją wprost. Jesteśmy w tak zażyłych stosunkach, że nie chciałabym, aby między nami powstały jakieś niedomówienia.

- Tylko rozegraj to jakoś taktownie, kochanie.

- Oczywiście. Przecież wiesz, jak ją lubię.

Po jedenastej Bidy zaczęła na serio się niepokoić. Wyobraźnia podsuwała jej wizje kraks na szosie bądź braku benzyny. Akurat w tym momencie zobaczyła z okna przednie światła wozu podjeżdżającego pod górę i usłyszała warkot silnika. Wstała więc, szybko przeszła przez hall i zapaliła latarnię na dworze. A kiedy wraz z towa-

rzyszającym jej psem stanęła w drzwiach - na podwórzu zajechał już mały morris. Jego światła zgasły, drzwiczki się otworzyły i z samochodu wysiadła Judyta.

- No, nareszcie, kochanie, omal nie umarłam ze strachu! - Biddy serdecznie uścisnęła siostrzenicę. - Miałaś ciężką podróż?

- Nie, tylko to kawał drogi. Ale uprzedzałam cię, że przyjadę mniej więcej o tej porze.

- Tak, oczywiście. Wiesz, że ja zawsze panikuję.

- Pod koniec jazdy dał taki wiatr, że o mało nie zmyliłam drogi. A to co? - dodała Judyta spoglądając w dół.

- Nasz pies, Morąg.

- Przecież nigdy dotąd nie miałaś psa!

- Za to teraz mam. Zresztą właściwie to pies Neda.

- Cześć, Morąg! Ależ ona jest urocza! Od dawna ją macie?

- Od dwóch miesięcy. Chodź do środka, to pogadamy. Gdzie są twoje rzeczy? - Biddy zajrzała na tylne siedzenie morrisa i wyciągnęła stamtąd walizkę Judyty. - To wszystko?

- Tak, to, co najpotrzebniejsze.

- Myślałam, że zostaniesz tu na dłużej.

- Kto wie, może i zostanę... - Judyta powiedziała to całkiem poważnie.

Kiedy weszły do domu, Biddy zamknęła od wewnątrz drzwi frontowe i postawiła walizkę Judyty na najniższym stopniu schodów. Przez chwilę obie mierzyły się wzrokiem. Biddy doszła jednak do wniosku, że z Judytą chyba wszystko w porządku. Może była teraz szczuplejsza niż w czasie swojej poprzedniej wizyty, lecz nie rabiła wrażenia, jakby źle się czuła lub zbierało jej się na płacz. Chyba że może starała się za wszelką cenę być dzielna...

- Czy wujek jest w domu?

- Nie, zaraz po podwieczorku odjechał z powrotem do Devonport. Pewnie znów przyjedzie dopiero na weekend.

Może teraz coś zjesz albo się czegoś napijesz? Mam świetną zupę.

- Nie, dziękuję. - Judyta potrząsnęła głową. - Jestem tak zmęczona, że marzę tylko o spaniu.

- Dać ci do łóżka butelkę z gorącą wodą?

- Nie trzeba. Wystarczy mi kołdra i poduszka pod głowę.

- Idź więc do tego pokoju co zawsze. A rano nie musisz za wcześnie się zrywać. O dziewiątej przyniosę ci do łóżka herbatę.

- Przepraszam... - zaczęła Judyta.

- Za co, na miłość boską?

- Za to, że zwałam się wam na kark.

- Nie wygłupiaj się, przecież wiesz, że zawsze chętnie cię gościmy. - O tej porze za późno już było na zbyt wylewność. Lepiej, aby wszelkie zwierzenia poczekały do jutra. - No, idź już do łóżka i wyśpij się dobrze.

- Już idę. - Judyta podniosła walizkę i poszła z nią na górę.

Odprowadzając ją wzrokiem, Bidy żałowała, że nie ma teraz przy niej Boba. Jego obecność zawsze podtrzymywała ją na duchu. Tymczasem naląła sobie drinka do poduszki, odesłała Morąg na jej legowisko, pozamykała wszystkie drzwi i okna, aż w końcu sama udała się na górę. Z podestu schodów dojrzała, że drzwi sypialni Judyty są już zamknięte. Gdzieś na dworze pohukiwała sowa - ogólnie jednak w całym domu panowała cisza.

Następnego dnia obudziło Judytę drapanie w drzwi jej pokoju. Potem do drapania dołączyły się piski, wskutek czego Judyta, na wpół śpiąc, zwlekła się z łóżka i wpuściła psa do środka. Zaraz potem znów zasnęła, więc gdy Bidy, jak obiecała, przyniosła siostrzenicy herbatę - zastała Morąg zwiniętą w kłębek w nogach jej łóżka.

- Coś podobnego! A już zachodziłam w głowę, gdzie ona się podziała! - nie mogła się nadziwić Bidy, stawiając parującą filiżankę na nocnej szafce. - Znikła, kiedy wy-

puściłam ją na siusiu. Myślałam, że pobiegła polować na króliki, a ona musiała dyskretnie wśliznąć się do domu.

Nie nakrzyczała jednak na Morąg ani nie zgoniła jej z łóżka. Przeciwnie, zaczęła jej tłumaczyć, jakim jest mądrym pieskiem. Kiedy odsłoniła okno, Judyta uświadomiła sobie, że to pierwszy dzień, który upłynął od rozstania z Edwardem. Wolałaby, żeby to nie nastąpiło tak szybko!

- Na razie jeszcze jest mgła - mówiła dalej Biddy - ale myślę, że zrobi się ładnie. Dobrze spałaś?

- Jak zabita! - odpowiedziała Judyta, podkładając sobie poduszki wyżej pod plecy. W duchu powtarzała sobie, że tylko stopniowo, krok po kroku, będzie w stanie zapełnić pustkę powstałą teraz w jej sercu. - Byłam zupełnie wypompowana.

- Nic dziwnego, prowadziłaś sama taki kawał drogi! - Biddy przysiadła na łóżku, aż sprężyny mocniej zatrzeszczały. Miała na sobie płócienne spodnie i kraciastą bluzkę koszulową, co wyglądało, jakby właśnie wybierała się grabić siano. Nie była już taka szczupła jak kiedyś, a w jej ciemnych lokach pojawiły się srebrne nitki. Nadal jednak miała wesołą twarz z mnóstwem zmarszczek-śmieszek, żywe spojrzenie i szminkę na ustach.

- Obejrzałam sobie twój samochodzik - dodała. - Jest uroczy! Na pewno bardzo go lubisz.

- Rzeczywiście - potwierdziła Judyta, biorąc do ręki filiżankę herbaty, gorącej i mocnej.

- Może byśmy porozmawiały? - zaproponowała po chwili Biddy.

Judyta poczuła ucisk w gardle, spróbowała więc grać na zwłokę.

- O czym? - zapytała z głupia fant.

- O tym, co zaszło w Nancherrow, bo coś się musiało stać. Pokłóciłaś się z Loveday czy też to coś poważniejszego?

Judyta, porażona przenikliwością ciotki, nadal udawała Greka.

- Czemu tak sądzisz?

- Przecież nie jestem głupia, kochanie! - zniecierpliwiła się Biddy. - A szczególnie nie lubię, kiedy atmosfera jest naładowana elektrycznością i wszyscy chodzą nabzdyczeni...

- Wcale nie chodzę nabzdyczona!

- Wiem, że podejmowanie pochopnych decyzji nie jest w twoim stylu - kontynuowała Biddy, puszczając mimo uszu protest Judyty. - Musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego, że wyjechałaś od Carey-Lewisów w takim pośpiechu. Opowiedz mi o tym, na pewno cię zrozumiem, cokolwiek by to było. Ja też nie byłam święta, a zawsze lepiej wyrzucić z siebie, co się ma na wątrobie.

Judyta nie od razu udzieliła jej odpowiedzi. Najpierw, popijając herbatę, starała się uporządkować myśli, podczas gdy Biddy cierpliwie czekała.

Niebo za oknem było jeszcze zamglone, ale robiło się już ciepło.

Sypialnia, którą teraz zajmowała, ani się umywała do różowego pokoiku w Nancherrow - była ciasna i zagracona, ale na swój sposób przytulna.

Ilekcio Judyta bywała w Upper Bickley, zawsze tu nocowała, i od jednej jej wizyty do drugiej nic się nie zmieniało w wystroju wnętrza.

Kretonowe firanki nie pasowały do wzoru na dywanie, a żółte szedelkowe kapy na podwójnym łóżku gryzły się z tapetą w białe i niebieskie paski... Cóż, urządzenie mieszkania nie było mocną stroną Biddy. Za to na toaletce stał we flakoniku bukiet margerytek, a nad staroświeckim kominkiem wisiał widoczek portu ze statkami rybackimi na błękitnej tafli morskiej. Przyjemnie było patrzeć na to przed zaśnięciem.

Tu wyrwało się jej westchnienie i przy tym napotkała wzrok ciotki.

Wtedy uświadomiła sobie, że przecież Biddy jest jej prawdziwą, nie przyszywaną krewną. Przebywanie w jej towarzystwie przynosiło

podobną ulgę, jak wsunięcie stóp w stare, wygodne kapcie po całym dniu prze-

chodzonym w ciasnych pantofelkach na szpilkach. Odstawiła więc filiżankę i w końcu wydusiła:

- Chodzi o to, że strasznie się wygłupiłam...

- W jaki sposób?

Judyta opowiedziała jej całą - powiedzmy, prawie całą - historię, zaczynając od dnia, w którym Edward przyjechał po nią do szkoły. Zakończyła na wydarzeniach dnia wczorajszego, kiedy to się okazało, że Edward nie kocha jej tak jak ona jego, przez co musiała znieść gorycz odrzucenia.

Nie wyznała jednak Biddy wszystkiego. Pominęła zupełnie wątek Billy'ego Fawcetta, co miało być wyrazem lojalności wobec nieodżałowanej ciotki Luizy. Nie zwierzyła się też z tego, że straciła cnotę z Edwardem. Wprawdzie ciotkę Biddy trudno było czymkolwiek zaskoczyć, ale ze starszymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Judyta w żadnym wypadku nie chciała, aby upojne chwile spędzone z Edwardem kojarzyły się jej ze wstydem bądź poczuciem winy.

- ...ale najgorsze ze wszystkiego było to - kończyła - że przez Nancherrow ciągle przewijały się tłumy gości. Nie wiem, jak potrafiłabym na oczach wszystkich udawać, że nic się nie stało. Na szczęście Mary Millyway podsunęła mi myśl, żeby dyskretnie się stamtąd ulotnić i schronić się u ciebie. Tym bardziej że i tak miałam tu przyjechać... Wydało mi się to jedynym słusznym rozwiązaniem.

- A co na to powiedziała pani Carey-Lewis?

- Diana akurat przeżywała załamanie nerwowe i musiała położyć się do łóżka. Ale nawet gdyby dobrze się czuła, nie nadawałaby się na powiernicę w takich sprawach. Tym bardziej że chodzi tu o jej jedyne go syna, za którym szaleje.

- A czy powiedziałaś jej, że wybierasz się do mnie?

- Tak.

- Podałaś jakiś powód, dla którego wyjeżdżasz tak nagle?

- Wmówiłam jej, że złapałaś ciężką grypę i nie ma komu się tobą zająć.
  - O rany! - jęknęła Bidy słabym głosem.
  - I chyba dała się na to nabrać. Łaska boska, że nie musiałam żegnać się z całą resztą, w tym i z Edwardem, bo wszyscy wybrali się akurat na plażę.
  - Może to i lepiej.
  - Chyba tak.
  - I jak długo chciałabyś u nas zostać?
  - Tylko na trochę, tak żebym mogła pozbierać się po tym wszystkim.
  - Mam nadzieję, że to potrwa jak najdłużej, bo bardzo miło nam cię gościć. A wiesz, co ja myślę o tym wszystkim?
- To, co powiedziała, Judyta słyszała już setki razy. Może były to oklepane frazesy, ale po wielokroć sprawdzone i wypróbowane w praktyce. A więc: pierwsze koty za płoty... tego kwiatu jest pół świata... w wieku osiemnastu lat życie się nie kończy, lecz dopiero zaczyna... czas leczy rany... i w końcu - rany serca są bolesne, ale kiedyś się zagoją.
- Te ostatnie słowa wywołały cień uśmiechu na twarzy Judyty.
- Co w tym wesołego? - nieomal oburzyła się Bidy.
  - Bo to brzmi jak złote myśli wyszywane na makatkach.
  - Coś w rodzaju: „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, jak mąż lubi”?
  - To nie to.
  - Więc może: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje”? Makatka z takim przysłowiem wisiała w ubikacji u moich rodziców. Niczego więcej nie można było przeczytać w tym miejscu, oprócz nadruku na opakowaniu podpasek.
  - To raczej motto niż przysłowie. Takie jak: „Między ustami a brzegiem pucharu”.
  - Miałam na myśli coś jeszcze lepszego: „Wiatr gasi małą świeczkę, a pochodnię jeszcze bardziej rozpała”.



Choć to właściwie nic nie znaczy, ale bardzo podnosi na duchu.

Naraz obie zaczęły się śmiać i padły sobie w objęcia.

- Biddy, jesteś niezrównana! - zaśmiewała się Judyta, wisząc na szyi ciotki. - Aż mi głupio, że to tak wyszło!

- Na miłość nie ma lekarstwa, ale nie musisz na siłę udawać dobrego humoru, jeśli go nie masz. Twoja smutna mina nie przerazi mnie, jeśli będę wiedziała, co jest jej powodem. Teraz trzeba czymś się zająć, żeby o tym ciągle nie myśleć. Mam już materiał na zasłony zaciemniające i listę zapasów, które trzeba zgromadzić na wypadek wojny. Będziemy więc miały masę roboty z zakupami i szyciem zasłon. A na razie umyj się i ubierz, bo pani Lapford już smaży dla ciebie bekon na śniadanie. Jeśli go nie zjesz, obrazi się śmiertelnie.

Biddy słusznie twierdziła, że najlepszym lekarstwem na rozterki duchowe jest jakieś stałe zajęcie, szczególnie takie, które nie wymaga myślenia.

Grunt, że najgorsze już minęło. Słowa zostały wypowiedziane i nie było potrzeby do nich wracać. Biddy rozumiała, co dzieje się w duszy Judyty. Wzięła więc kąpiel, wyszperała w walizce jakieś czyste rzeczy na zmianę i zeszła na dół. Pani Lapford i pani Dagg wylewnie ją powitały, nie szczędziły zachwytów nad jej urodą i ucieszyły się, że będą miały nowe towarzystwo. Po śniadaniu Judyta i Biddy usiadły przy kuchennym stole i zrobiły listę zakupów. Potrzebne były: parafina, świece, żarówki, olej napędowy do kosiarki, zupy w puszkach, igły i nici do maszyny oraz haczyki do mocowania karniszy. Do tego dochodziły produkty niezbędne na co dzień, jak karma dla Morąg, masło, makaron, kurczak, ziemniaki, herbatniki i chleb. Jeszcze dwie butelki ginu, tyle samo whisky, syfon wody sodowej, tonik, trzy cytryny...

- Czyżbyś spodziewała się gości? - zdziwiła się Judyta.

- Ależ skąd, to tylko podstawowe zakupy. Najwyżej

w czasie weekendu, kiedy Bob będzie w domu, zaprosimy kilka osób.

Aha, dopisz jeszcze chipsy i ciasteczka czekoladowe...

Kiedy skończyły, okazało się, że lista zakupów jest bardzo długa. Biddy zabrała ze sobą portmonetkę i koszyk, po czym samochodem Judyty zjechały do miasteczka.

Po lunchu, na który złożyły się kotlety baranie i pudding ryżowy, Biddy i Judyta wyprowadziły Morąg na spacer, a po powrocie przystąpiły do szycia zasłon. Judyta ustawiła na stole starą maszynę, założyła nowe igły i szpulki z niemi - Biddy tymczasem wymierzyła okna, rozłożyła materiał na podłodze i przykroiła odpowiednie odcinki. Czarna tkanina bawełniana miała ścisły splot i wydzielala zapach zbliżony do tuszu kreślarskiego.

- W życiu jeszcze nie robiłam czegoś tak nudnego! - narzekala Biddy. - Dobrze, że nie mamy zbyt dużo okien.

Na okno w jadalni potrzebne były dwie długości materiału. Należało je zeszyć odwracany ściegiem francuskim, żeby szew mocniej trzymał.

Przy górnym brzegu konieczny był tunel do wciągania drutu, a przy dolnym - gruby zakład obciążający zasłony, by lepiej się układały. Kiedy tylko Judyta skończyła szyć pierwszą zasłonę - razem z Biddy przewlokły drut przez tunel, a w ramę okna wkręciły haczyki, mające utrzymać materiał blisko szyby.

Rozwieszona już zasłona sprawiała wyjątkowo przygnębiające wrażenie, a była zbyt duża, by dało się ją ignorować. Obie kobiety z wątpliwą satysfakcją taksowały efekt swojej pracy.

- W życiu nie robiłam niczego tak paskudnego! - westchnęła Biddy. - Mam nadzieję, że przynajmniej efekt będzie właściwy.

- Sprawdzimy, kiedy się ściemni. Zaciagniemy tę płachtę, potem normalne zasłony, a wtedy wyjdę do ogrodu i zobaczę, czy widać światło.

- Pewnie, bo jeśli będzie w nich choćby szparka, to

pójdziemy siedzieć albo zapłacimy dużą karę. I popatrz, już czas na podwieczorek, a zrobiłyśmy dopiero jedną. Wieki potrwa, zanim uszyjemy zasłony na wszystkie okna.

- Ciesz się, że nie mieszkasz w Nancherrow. Tam mają razem sto czterdzieści trzy okna.

- I kto uszyje na to wszystko zasłony?

- Prawdopodobnie Mary Millyway.

- No, to można jej tylko współczuć. - Biddy zapaliła papierosa. - Dobra, dajmy sobie spokój na dzisiaj. Idę nastawić wodę na herbatę.

Odłożyły więc tę żmudną robotę na jutro. Czarny materiał wraz z maszyną do szycia zostały na stole w jadalni. Po podwieczorku Judyta wyprowadziła Morąg na spacer i oplewiła trochę grządek w ogrodzie. Przyniosła stamtąd misę truskawek na kolację, a gdy wróciła do domu, akurat dzwonił wuj Bob. Biddy pogadała z nim, po czym oddała słuchawkę Judycie, aby i ona zamieniła z wujkiem parę słów.

- Do zobaczenia w sobotę! - zakończył rozmowę. - Powiedz Biddy, że kiedyś tam przyjadę.

- Wujek mówi, że będzie w domu w sobotę - przekazała Judyta nie całkiem wiernie.

Biddy siedziała przy otwartym oknie, usiłując bez większego przekonania zająć się haftem.

- Już całe miesiące się z tym męczę, a właściwie nie wiem po co - wyznała Judycie. - Na siedzeniu krzesła to będzie wyglądać okropnie. Może raczej powinnam zacząć robić na drutach. A czy ty nie czekasz przypadkiem na telefon od Edwarda?

- Nie - zapewniła ją Judyta.

- To dobrze, bo nie ma gorszej męki jak oczekiwanie na telefon. Ale gdybyś sama chciała do niego zadzwonić, to się nie krępuj.

- Jesteś kochana, ale na razie nie mam po co do niego dzwonić. Po prostu nie mam mu nic do powiedzenia.

W końcu Biddy miała dość haftowania, więc wbiła igłę

w nie dokończoną robotę i odłożyła ją na bok. Spojrzała na zegarek i z zadowoleniem oświadczyła, że nadeszła pora na wieczornego drinka. Nalała sobie whisky z wodą sodową i zabrała szklankę do łazienki, gdzie wzięła kąpiel. Judyta czytała tymczasem gazetę, a kiedy Bidy, przebrana już w szafirowy aksamitny szlafrok, zeszła na dół -razem postanowili wypróbować nową zasłonę.

- Nie ma sensu robić następnych - stwierdziła Judyta -dopóki się nie przekonamy, czy ta jest dobra.

Biddy zaciągnęła więc najpierw czarną zasłonę, a potem swoje zwykłe, ciężkie story i zapaliła światło, podczas gdy Judyta wyszła do ogrodu.

- Widzisz coś?! - wołała Bidy z domu, podnosząc głos, aby dał się słyszeć przez grube zasłony.

- Ani promyczka! - odkrzyknęła jej Judyta. - Świetnie nam to wyszło.

Kiedy wróciła, pogratulowały sobie udanej pracy. Potem Bidy nalała dla siebie jeszcze jednego drinka, a Judyta podgrzała makaron z serem, który pani Lapford zostawiła im na kolację. Do tego przyprawiła sałatę, a zjadły to wszystko w kuchni, bo w jadalni stół był założony czarnym materiałem i przyborami do szycia.

Przy kolacji, popijając białe wino, plotkowały o Molly, Jess i zbliżającym się wyjeździe Judyty do Singapuru.

- Odpływasz już w październiku? No, to nie mamy za dużo czasu. Nie możemy już w nieskończoność odkładać naszej wyprawy do Londynu. Zatrzymamy się wtedy w moim klubie i przy okazji wyskoczmy do teatru albo gdzie indziej. Myślę, że musimy ustalić termin na przyszły tydzień albo najdalej za dwa tygodnie. U Liberty'ego zawsze, nawet w środku zimy, można dostać ładne letnie rzeczy. Nie da się ukryć, że ci cholernie zazdroszczę. Przynajmniej wyrwiesz się z tej przygnębiającej atmosfery. Gdybym mogła, to choćby łódką przepłynęłabym sama jedna Kanał Sueski i Ocean Indyjski! Obiecuj, że przyślesz mi oryginalny fez z Adenu.

Po kolacji i zmyciu naczyń obie panie przeszły do salonu. Zbliżała się już dziewiąta - pora głównego wydania wiadomości radiowych. Informowały one o budowie schronów przeciwlotniczych w Londynie i gromadzeniu ogromnej liczby worków z piaskiem, o nieprzerwanych manewrach armii niemieckiej, kolejnej misji Anthony'ego Edena, nieuniknionej mobilizacji rezerwistów... Bidy nie mogła już znieść minorowego tonu tych wiadomości i zmieniła stację na Radio Luksemburg. Od razu całą przestrzeń wypełnił głos Richarda Taubera:

*Gdy dziewczę cię pokocha, Całuska chętnie da...*

Judyta ta piosenka przypomniała dzień, kiedy Edward wrócił ze Szwajcarii. Wtedy, obładowani przedświątecznymi zakupami, schronili się przed deszczem w salonie hotelu „Pod Mitrą” i pili tam szampana. Wspomnienie było tak żywe, że prawie słyszała pisk mew zmagających się ze sztormowym wiatrem, widziała światła wystaw sklepowych odbijających się w mokrych chodnikach i czuła zapach mandarynek i jedliny, nieodłącznie kojarzący się ze świętami Bożego Narodzenia. Wiedziała już, że tak będzie zawsze - czegokolwiek się dotknie, wszystko będzie przywoływać jej na myśl Edwarda. Tymczasem przeżyła już jeden dzień bez niego - jakby zrobiła pierwszy krok na tysiącmilowej szosie. Zanim w następną sobotę Bob Somerville znów zawitał do Upper Bickley, miały miejsce różne nie powiązane ze sobą wydarzenia, mniej lub bardziej niepokojące.

Morąg znów zawieruszyła się gdzieś na wrzosowisku, pewnie polując na jakąś zwierzynę. Kiedy wróciła, w jej gęstym futrze tkwiło aż czternaście kleszczy! Usuwanie ich było bolesne, ale Judyta podjęła się tego niebezpiecznego zadania, gdyż widziała, jak pułkownik Carey-Lewis uwalniał Tigera od tych krwiopijców. Po usunięciu

kleszczy należało wykopać psa w roztworze płynu odkażającego, czego Morąg bardzo nie lubiła. W efekcie nie tylko ona była mokra, lecz także Judyta i Biddy.

Tymczasem w Obersalzbergu w Austrii Hitler ogłosił, że zniszczenie Polski będzie tylko kwestią dni.

Biddy została zaproszona do znajomych na brydża. Karta dobrze jej szła, więc wygrała pięć szylingów i sześć pensów.

Świat obiegła wiadomość, że Niemcy i Rosja podpisały pakt o nieagresji. Wynikało stąd, że nic już nie będzie w stanie odwrócić groźby wojny.

Biddy i Judyta, tak samo jak Daggowie, Lapfordowie i inni mieszkańcy Bovey Tracey, zostały któregoś dnia wezwane do szkoły, gdzie rozdano im maski gazowe. Zabrały je do domu z wyraźnym niesmakiem i tak ostrożnie, jakby to były bomby zegarowe, złożyły pod stołem w hallu i modliły się, aby nigdy nie musiały ich nakładać.

W któryś ciepły, duszny wieczór Bill Dagg przyszedł popracować trochę w ogrodzie. Zastał Biddy w warzywniku przy zrywaniu sałaty na kolację. Wsparty na szpadlu, wdał się z nią w rozmowę. Dowodził w niej, że najniższą część działki powinno się przekopać, nawieźć i zasadzić na niej ziemniaki. Biddy próbowała go przekonać, że przekopywanie tego skrawka ziemi zajmie masę czasu, poza tym nie przepada za kartoflami i wolałaby zasiać w tym miejscu trawę. Bill jednak się uparł i drapiąc się w łysinę, wygłosił całą przemowę.

- ...jeśli dalej temu Hitlerowi będzie się tak udawało, to wszystkim nam grozi głód. A kto ma kartofle, ten nie głoduje. I wstyd, żeby taka dobra ziemia leżała odłogiem!

Biddy, pogryziona przez komary, dla świętego spokoju dała się przekonać.

Bill triumfował. Znalazł kłębek sznurka i wziął się do wytyczania zagonka pod kartofle.

Judyta w końcu uporała się z szyciem zasłon zaciemniających. Ostatnia para była przeznaczona do pokoju

Neda, poszła więc je tam zawiesić. Był to najmniejszy pokój w całym domu. Jako miejsce do spania służył marynarski hamak rozpięty nad mahoniową komodą. Granatowe zasłony odcinały się od białych ścian, obwieszonych grupowymi zdjęciami uczniów szkoły przygotowawczej, a potem Szkoły Kadetów Marynarki w Dartmouth. Kontrastował z nimi krzykliwy plakat z wizerunkiem dorodnej, skąpo odzianej dziewczyny. Poza tym w pokoju znajdowało się tylko biurko z lampą i krzesło, bo na więcej mebli nie starczyło miejsca.

Judyta musiała wejść na krzesło, aby wkręcić w ramę okienną haczyki do rozciągnięcia drutu od zasłon. Kiedy już je zawiesiła i schodziła z krzesła - jej wzrok zatrzymał się na starym pluszowym misiu Neda, siedzącym na poduszce hamaka. Miał tylko jedno oko i większość futra zjedzoną przez mole, ale w przeciwieństwie do biuściastej blondyny z plakatu prowokował raczej do wzruszeń. Judycie widok ten przypomniał o Nedzie Somerville'u, wskutek czego przez chwilę przestała myśleć o Edwardzie Carey-Lewisie. Wspominała miłe chwile spędzone w towarzystwie kuzyna i liczyła na to, że niedługo znów go spotka. W końcu był on jej najbliższym krewnym, prawie rodzonym bratem...

- Judyto! - zawołała Bidy z dołu.

- Jestem tu!

- Czy nie widziałaś gdzie przypadkiem moich sekatorów?

- Nie, ale mogę ich poszukać.

Zeszła z krzesła, wsunęła je na miejsce przy biurku i wyszła z pokoju Neda, zamykając za sobą drzwi.

W sobotę dwudziestego szóstego sierpnia Bob Somerville dotarł z Devonport do Upper Bickley około południa. Bidy czyściła właśnie kalafiory, gdyż pani Lapford nie przychodziła w weekendy. Słyszając warkot silnika samochodu pnącego się pod górę, rzuciła tę robotę i wybiegła

mu naprzeciw. Wygramolił się z samochodu zmęczony i rozczochrany, ale w mundurze. Czapkę z motywami złotych liści dębu miał nasuniętą nisko na oczy. Jego potężną postać ciasno opinała stara kurtka mundurowa z plecionymi złotymi naramiennikami, których nitka wytarła się już i pociemniała. Z tylnego siedzenia wozu wyciągnął wytarty skórzany neseser i teczkę. Z tym ciężarem nachylił się, by ucałować żonę.

- Bałam się, że nie dasz rady przyjechać... - zwierzyła się.

- Jakoś przyjechałem.

- Dzieją się takie straszne rzeczy, że obawiałam się wybuchu paniki.

- To stale nam zagraża, ale mimo wszystko chciałem się z wami zobaczyć.

Trzymając się za ręce, weszli do domu.

- Napijesz się czegoś? - zapytała Biddy u stóp schodów.

- Później, kochanie. - Potrząsnął przecząco głową. - Najpierw niech zrzucę te śmierdzące łachy, żebym mógł poczuć się znowu sobą... Ej, co tak ładnie pachnie? Co masz na lunch?

- Potrawkę z baraniny.

- Pycha!

Po całym tygodniu jadań w kuchni można było wreszcie zasiąść do stołu w jadalni, gdyż zasłony zaciemniające były już gotowe i Judyta uprzątnęła stamtąd maszynę do szycia. Akurat nakrywała do stołu, gdy wuj Bob zszedł po schodach na dół, już przebrany w swoje ulubione sztruksowe spodnie i spraną, lecz czystą koszulę. Dopiero wtedy mogli się uścisnąć na przywitanie. Biddy zrzuciła fartuszek i przyłączyła się do nich. Razem wyszli do ogrodu, gdzie w słońcu popijali drinki - Bob piwo, Judyta jabłecznik, a Biddy swój tradycyjny gin z tonikiem. Kiedy wuj spytał o najnowsze ploteczki - panie poinformowały go o sadzeniu kartofli i kłopotach Morąg z kleszczami. Nie poruszyły natomiast wcale tematu masek gazowych



ani paktu Ribbentrop-Mołotow. Bob przyciągnął do siebie Morag, głaskał ją po łbie i żartobliwie przemawiał, że jest głupim i brudnym psiskiem. Suka jednak rozumiała jego prawdziwe intencje, bo przytulała się do jego nogi i rozdziawiała pysk w uśmiechu od ucha do ucha.

Wuj Bob nastawił twarz pod promienie słońca i śledził wzrokiem samolot, który powoli sunął po niebie, z tej odległości przypominając srebrzystą zabawkę.

- Mam nadzieję, że nie mamy dzisiaj żadnych gości ani nie idziemy w gości? - wolał się upewnić.

- Nie, tylko wieczorem wpadnie kilka osób na drinka. Sami starzy znajomi.

- Kto to ma być?

- Barkingowie i Thorntonowie. To nie będzie żadne uroczyste przyjęcie. - Po pewnym namyśle dodała: - Ale jeśli chcesz, mogę wszystko odwołać. Oni to rozumieją. Po prostu myślałam, że powinniśmy trochę się rozerwać.

- Nie, nie odwołuj niczego. Chętnie się z nimi spotkam. To już wszystko na dzisiaj?

Tymczasem samolot znikł z pola widzenia, pozostawiając za sobą długą smugę dymu.

- Tak, to wszystko.

- O której mają przyjść?

- O wpół do siódmej.

Wujek zamyślił się na chwilę, po czym spytał:

- A dlaczego nie zaprosiłaś panny Lang?

Tym razem Judyta była zaskoczona. Barkingów i Thorntonów znała od czasu swoich poprzednich wizyt u wujostwa. James Barking był oficerem marynarki przeniesionym do rezerwy. Wraz z małżonką mieszkał w domku nad samym brzegiem morza, wyposażonym w pochylnię do wodowania żaglówki. Teraz, gdy sytuacja międzynarodowa się zaostrzyła, ponownie został powołany do służby czynnej. To między innymi było powodem, dla którego Bidy zaprosiła Barkingów na drinka. Thorntonowie zaś, Robert i Emilia, byli małżeństwem zamieszkałym w Exe-

ter. Robert był prawnikiem, a równocześnie kapitanem rezerwy batalionu Obrony Terytorialnej. Emilia zaś często grywała z Bidy w brydża lub tenisa. Natomiast ta jakaś panna Lang...

- Kto to jest panna Lang? - spytała głośno.

- To stara panna, była urzędniczka państwowa, obecnie na emeryturze. Przeniosła się właśnie w nasze strony i ma śliczny domek na końcu miasta, z fantastycznym ogrodem. Bob jest w niej zakochany.

- Gdzie tam zakochany! - zaprotestował wuj. - Po prostu uważam ją za niezwykle inteligentną osobę.

- Ile ona może mieć lat? - zainteresowała się Judyta.

- Chyba ze sześćdziesiąt pięć, ale świetnie się trzyma. Poznaliśmy się na przyjęciu u Morrisonów jakieś trzy miesiące temu. - Przerwała na chwilę, zastanawiając się nad propozycją Boba. Potem dodała: - Masz rację, powinnam była ją zaprosić. Mogłabym spróbować jeszcze teraz do niej zadzwonić, ale to chyba niegrzecznie zapraszać kogoś w ostatniej chwili.

- Ona nie jest taka obrażalska.

- A czy nie będzie jej przykro, że oprócz niej będą tu sami nasi znajomi?

- Myślę, że jesteś na tyle dobrą panią domu, aby nie dać jej tego odczuć. Zresztą panna Lang nie jest osobą, która łatwo się peszy. Nie po to przez całe życie pracowała w dyplomacji i organizowała konferencje międzynarodowe, aby teraz zapomnieć języka w gębie na widok paru wieśniaków z Devon.

- Któregoś dnia widziałam się z nią i właściwie mogłam ją wtedy zaprosić, ale spotkałyśmy się w szkole, gdzie rozdawano nam maski gazowe. Stałyśmy w dwóch różnych kolejkach, a zresztą nie był to odpowiedni moment do rozmów towarzyskich.

- Więc spróbuj jeszcze teraz do niej zadzwonić. Bidy posłusznie udała się do telefonu i po chwili pojawiła się z wiadomością, że panna Lang chętnie przyjęła

zaproszenie. Nie raził jej wcale krótki termin i obiecała, że stawi się punktualnie o wpół do siódmej.

- Dobra robota! - wyraził swe uznanie Bob i pocałował żonę w rękę. Potem zaraz oświadczył, że jest głodny, więc Biddy wróciła do kuchni, nałożyła fartuszek i zaczęła szykować potrawkę do podania na stół. Panna Lang spóźniła się trochę na wieczorek. Thorn-tonowie i Barkingowie zdążyli już wygodnie się rozsiaść, zapalili papierosy i sącząc drinki pograżyli się w swobodnej rozmowie z gospodarzami, których znali od dawna. Po niedługim czasie Judyta wymknęła się do kuchni, aby sprawdzić, co się dzieje z pasztecikami, które podgrzewały się w piecu, a o których Biddy zdawała się całkiem zapomnieć. Na szczęście zdążyły się tylko lekko przyrumienić. Właśnie układała je na biało-niebieskim półmisku, gdy przez okno kuchni zauważyła zielony samochodzik podjeżdżający pod same drzwi frontowe.

Zostawiła więc paszteciki i wybiegła powitać gościa. Na progu już stała szczupła siwowłosa dama, elegancko ubrana w popielatą flanelową spódniczkę i kaszmirowy sweter koloru czerwonego wina.

- Panna Lang?

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nic się nie stało.

- Już wychodziłam, kiedy zadzwonił telefon. Takie rzeczy zawsze się zdarzają w najmniej odpowiednich momentach.

Teraz Judyta zauważyła, że nowo przybyła ma szare oczy o żywym, inteligentnym spojrzeniu. Pomyślała, że za jakieś dwadzieścia lat tak będzie wyglądać panna Catto.

- Z kim mam przyjemność? - indagowała nieznajoma dama.

- Jestem Judyta Dunbar, siostrzenica Biddy.

- Rzeczywiście, Biddy opowiadała mi o tobie. Miło mi cię poznać. Przyjechałaś tu na dłużej?

- Tak, zatrzymam się tu przez pewien czas. Pani pozwoli... - W hallu przystanąła, gdyż przez otwarte drzwi salonu słychać było, że zabawa rozkręciła się już na całego. - Przepraszam na chwilę, ale muszę zająć się pasztecikami. Chyba trochę za bardzo się spiekły...

- Nic nie mów, na pewno będą pyszne. - Panna Lang uśmiechnęła się dobroduszenie. - I nie troszcz się o mnie, już ja dam sobie radę.

Kiedy weszła do salonu, Judyta usłyszała stamtąd głos Biddy:

- Witam panią, panno Lang!

Dopiero wtedy wróciła spokojnie do kuchni i z ulgą stwierdziła, że z pasztecikami wszystko jest w porządku. Mogła przecież wywęszyć je Morąg, wkraść się do kuchni i dokonać spustoszenia... Ponieważ jednak nic takiego się nie stało, Judyta zgrabnie ułożyła paszteciki na półmisku i zaniósła do salonu.

Nie było tam zbyt wiele miejsca, toteż osiem osób już sprawiało wrażenie tłoku. Po wejściu panny Lang wszyscy wstali, aby gospodyni mogła dokonać prezentacji. Potem znów porzysiadali się wygodnie i kontynuował rozpoczętą rozmowę. Judyta obniosła w koło półmisek z pasztecikami. Przyjęcie rozkręcało się w najlepsze.

Nieco później, gdy Judyta, siedząc przy oknie z Biddy i Emilią Thornton, przysłuchiwała się z uśmiechem najnowszych sensacjom towarzyskim z klubu tenisowego - przyłączyła się do nich panna Lang. Oświadczyła, że nie miała pojęcia, iż Biddy hoduje tak piękne róże, co stwierdziła, wyglądając oknem.

Biddy natychmiast sprowadziła swój pierwszy w życiu sukces ogrodniczy do właściwych wymiarów.

- Zawdzięczają to dużym dawkom końskiego nawozu - złożyła bardzo prozaiczne wyjaśnienie. - Mogę go dostać, ile zechcę.

- Czy byłoby to z mojej strony bardzo niegrzeczne, jeślibym wyszła do ogrodu przyjrzeć się im dokładnie?

- Ależ skąd. Judyta panią oprowadzi, dobrze, kochanie?
- Chętnie, tylko nie znam nazw wszystkich odmian.
- Przecież nie spodziewam się, że mnie im przedstawiś! - zaśmiała się panna Lang, odstawiając szklaneczkę sherry.

Judyta poszła pierwsza, wskazując drogę, podczas gdy Bidy i Emilia Thornton z upodobaniem wałkowały kolejną pikantną sensację z klubu tenisowego. Pilotowała pannę Lang przez oszklone drzwi do ogrodu przed domem, gdzie stały jeszcze składane krzesła ustawione tam w porze lunchu, a po trawie skakała wesoło pliszka.

- Co za uroczy wieczór! - zauważyła panna Lang. - Pani Somerville ma tu piękny widok. Mnie tego brakuje, bo mieszkam przy głównej ulicy. Sama wybrałam taką lokalizację, gdy przeszłam na emeryturę; chodziło mi o to, żeby mieć wszędzie blisko: do sklepów, sąsiadów, i tak dalej. Wtedy, nawet jeśli będę za stara, żeby prowadzić samochód, zdołam zachować niezależność.

Nie spiesząc się, przeszły na przełaj przez trawnik.

- Teraz opowiedz mi o sobie. To ty wybierasz się do Singapuru...? Ta róża jest naprawdę urocza i akurat wiem, że ta odmiana nazywa się Ena Harkness. I jaka duża! - Pochyliła się, chcąc powąchać aksamitne płatki kwiatu. - A co za zapach! Kiedy wsiadasz na statek?
- Planuję wyjazd w październiku.
- A od jak dawna nie widziałaś swoich rodziców?
- Od czterech lat.
- To stanowczo za długa rozłąka. Powiedziałabym nawet, że to okrucieństwo. Ile masz lat?
- Osiemnaście.
- Oczywiście skończyłaś szkołę?
- Tak, tego lata.
- A maturę zdawałaś?
- Tak, tylko jeszcze nie mam wyników.
- Oczekiwanie zawsze jest najgorsze, prawda? Wiem coś o tym. Jak długo masz zamiar zostać w Singapurze?

- Około roku. Jeśli okaże się, że zdałam maturę, czeka na mnie miejsce w Oksfordzie.

- Ależ to cudowne! Lata spędzone na uniwersytecie były najlepsze w moim życiu. - Teraz już nie tylko wyglądała jak panna Catto, ale i mówiła tak jak ona. - I staraj się opanować jak najwięcej języków. Na pewno uczyłaś się francuskiego. A jak z niemieckim?

- Tego się nie uczyłam.

- A łacina?

- Nie za bardzo.

- To źle. Łacina znacznie ułatwia opanowanie włoskiego i hiszpańskiego... Nie wiem, jak nazywa się ta róża.

- Ja też nie.

- Trzeba będzie zapytać pani Somerville.

- Podejrzewam, że ona też nie wie, bo nigdy nie interesowała się ogrodnictwem.

- Będę więc musiała gdzieś to sprawdzić. A jak sobie radziłaś, będąc przez cztery lata z dala od rodziców? Gdzie spędzałaś wakacje? Wykazywała żywe zainteresowanie tematem, nie przejawiając przy tym zbyt dużego wścibstwa. Skutkiem tego Judyta bez zahamowań mogła opowiedzieć jej o Carey-Lewisach i Nancherrow - spokojnie, beznamiętnie, jak o pewnym okresie w życiu, który już bezpowrotnie przeminął. Sama się sobie dziwiła, gdyż nawet z Bidy i Bobem nie była w stanie rozmawiać o Edwardzie. Wspomniała też o ciotce Luizie, Loveday i sercu okazanym jej przez Dianę i Edgara Carey-Lewisów. Panna Lang słuchała uważnie jej wywodów.

- Czasem ludzie potrafią być dobrzy - zauważyła w końcu. - Często o tym zapominamy. Nie powiem ci, że miałaś szczęście, bo to zabrzmiałoby tak, jakbyś wygrała los na loterii, a w tym nie ma niczyjej zasługi. Cieszę się tylko ze względu na ciebie, bo to zmieniło w znacznym stopniu twoje życie.

- Zawsze jeszcze była pod ręką Bidy, więc w razie czego mogłam pojechać do niej.

- Ale tamci twoi przyjaciele traktowali cię jak członka rodziny.

Tymczasem doszły już do końca grzędy róż. Z samego brzegu rosła odmiana Spek's Yellow. Pani Lang przyjrzała się jej i znowu zwróciła się do Judyty.

- Miło mi się z tobą rozmawiało. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Też bym chciała z panią się spotkać.

- Nie rozmawiałam o tym dotąd z panią Somerville -zaczęła panna Lang po pewnym wahaniu. - Ale chciałabym, żebyście obie nazywały mnie Hester, bo tak brzmi moje imię. Dostyc długo byłam dla wszystkich „panną Lang” i czas najwyższy zmienić styl.

Przypomniało to Judycie dzień sprzed czterech lat, kiedy Diana Carey-Lewis zaproponowała jej coś podobnego. I jak potem wszystkie trzy w samochodzie wykrzykiwały chóralnie imię „Diana”.

Odpowiedziała więc:

- Chętnie będę cię tak nazywać.

- A więc sprawa załatwiona. Wracajmy już, bo komary zaczynają gryźć.

Ze szczytu Haytor rozciągał się najbardziej malowniczy widok na równinę Dartmoor. Wioski wyglądały stamtąd jak zabawki rozsypane po dywanie, który tworzyły widziane z góry doliny, rzeki i pola. Na odcinku od Teignmouth do Start Point widoczna była srebrzysta tafla morza. Wuj Bob z Judytą i Morąg, depczącą im po piętach, dotarli tam po pięciomilowej wspinaczce. Kiedy wreszcie osiągnęli szczyt - dla odpoczynku przysiedli w trawiastym zagłębieniu ocienionym zgrabną skałą. Bidy nie poszła z nimi, bo raptem coś ją napadło, aby wybrać się do kościoła. Z góry zapowiedziała, że nie muszą się spieszyć, bo pora lunchu może być dowolnie przesuwana jak ruchome święto.

Było jeszcze wcześniej i wokół panowała cisza, przerywana co najwyżej beczaniem owiec, szczekaniem psów czy warkotem silnika samochodu wjeżdżającego pod górę. Jeszcze w drodze na szczyt słyszeli dzwony wiejskiego kościółka, ale teraz i one umilkły, tylko wietrzyk poruszał paprociami.

Judyta urwała źdźbło trawy i w zakłopotaniu rozrywała je między paznokciami, nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu się zdecydowała.

- Wujku, czy moglibyśmy porozmawiać?

- Oczywiście, przecież wiesz, że ze mną możesz rozmawiać na każdy temat - odpowiedział wuj Bob, zabierając się do nabijania fajki.

- Ale to poważna sprawa...

- Czy chodzi o młodego Carey-Lewisa?

Kiedy odwróciła głowę w jego kierunku, zapalał właśnie fajkę. Płomień zapalki już zgasł, wokoło rozszedł się słodki zapach tytoniu, a w górę uniół się delikatny siwy dymek.

- Biddy powiedziała o tym wujkowi?

- Naturalnie, przecież wiesz, że ona zawsze mówi mi o wszystkim - odparł, wkładając zapalki do kieszeni znoszonej tweedowej marynarki. - Bardzo mi przykro. Wiem, że nieszczęśliwa miłość to ciężkie przeżycie.

- Nie chodzi mi o Edwarda, tylko o Singapur.

- A co tu Singapur ma do rzeczy?

- Widzi wujek, wydaje mi się, że nie powinnam teraz tam jechać. Już od dłuższego czasu myślałam o tym, ale nie mogłam się zdobyć, żeby z kimkolwiek porozmawiać na ten temat. Czuję się rozdarta wewnątrz, bo z jednej strony strasznie chciałabym już zobaczyć mamusię, tatusia i Jess. W końcu czekałam na ten moment przez cztery lata, liczyłam miesiące, a potem dni... I wiem, że mama robiła to samo, bo w każdym liście mnie pocieszała: „jeszcze tylko rok”, potem „jeszcze tylko sześć miesięcy”, jeszcze później „tylko trzy”, i tak dalej... Wiem, że czeka



na mnie urządzone pokój, wiele rozrywek, specjalne przyjęcie na moje powitanie i wakacje w Penang. Mam już miejsce zarezerwowane na statku, nic tylko wsiadać i płynąć. Ale z drugiej strony...

Urwała, lecz Bob nie odzywał się, tylko czekał na dalsze jej słowa.

- Kiedy wybuchnie wojna, wtedy wszyscy moi znajomi, wszyscy, których kocham, znajdą się w samym jej ogniu. Wujek i Ned, Jeremy Wells, Joe Warren, a może i Heather... Athena Carey-Lewis i Rupert Rycroft... On służy w Pułku Dragonów Gwardii i mają zamiar się pobrać... I kolega Edwarda, Gus Callender, i Edward... Gdybym teraz zostawiła ich wszystkich i pojechała do Singapuru, poczułabym się jak szczur, który ucieka z tonącego okrętu. Kiedy myśmy z Bidy pobierały maski gazowe, gromadziły zapasy parafiny i świec, szyły zasłony zaciemniające - moja mama w Singapurze tylko wydawała polecenia służbie, grała w tenisa i przebierała się z jednego przyjęcia na drugie. Gdybym robiła to razem z nią, dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia, że uciekam, ukrywam się, a bliskich mi ludzi zostawiam na pastwę losu, żeby odwalali całą tę brudną robotę...

Umilkła, gdyż widocznie zabrakło jej słów dla wyrażenia swoich uczuć. Bob też początkowo nie zabierał głosu, dopiero po chwili wypowiedział swoje zdanie:

- Rozumiem twój punkt widzenia, ale współczuję też twoim rodzicom, a szczególnie matce.
- To jest właśnie najgorsze w całej sprawie. Gdyby nie chodziło o nią, w ogóle nie myślałabym o wyjeździe do Singapuru.
- Ile masz lat?
- Osiemnaście.
- Mogłabyś więc pojechać tam tylko na rok, a potem tu wrócić.

- Nie chcę ryzykować. A nuż potem nie kursowałyby statki i utknęłabym tam na całe lata?

- A co z twoimi studiami w Oksfordzie? Zdaje mi się, że miałaś takie plany.

- Na razie nie mam jeszcze nawet wyników matury. A takie studia to sprawa na więcej niż rok. W tej chwili ważne jest to, żeby być w Anglii. Móc robić coś pożytecznego i przeżywać te wszystkie ciężkie dni, które nastaną w naszym kraju.

- No więc czego oczekujesz ode mnie? - podsumował wujek Bob, opierając się plecami o skałę i pykając fajkę.

- Mam nadzieję, że wujek pomoże mi podjąć decyzję.

- Niestety, tę decyzję musisz podjąć sama. Nie mogę tego zrobić za ciebie.

- Ale to takie trudne!

- Powiem ci tylko dwie rzeczy. Pierwsza - to, że jeśli pojedziesz do rodziców, nikt z pewnością nie będzie miał ci tego za złe. Każdy zrozumie, że po tylu latach rozłąki z rodziną należy ci się jakaś rekompensata. Natomiast w drugim przypadku musisz zdawać sobie sprawę, że może być ciężko. Ale oczywiście to twoje życie i ty jedna ponosisz odpowiedzialność za skutki swoich decyzji.

- Czy gdybym została w Anglii, wujek uważałby mnie za egoistkę i wyrodną córkę?

- Odwrotnie, podziwiałbym wtedy twój patriotyzm i samozaparcie. Mało tego, byłbym z ciebie dumny!

Na ogół nie mówi się dużo o patriotyzmie, a przecież jest to uczucie dużo głębsze niż lojalność czy sympatia wobec przyjaciół. Przypomniała sobie słowa pieśni śpiewanej przez uczennice Szkoły Świętej Urszuli na akademiach z okazji Dnia Imperium bądź urodzin króla. Słowa te były trawestacją utworu Szekspira:

*Ojczyzno królów, siedzibo tronów, Bastionie sławy, który wzniósł Bóg*

*-Tyś naszą siłą, tyś nam obroną, Twierdzy serc naszych nie skruszy wróg!*

Tego właśnie potrzebowała - aby ktoś, tak jak wujek, powiedział, że jest z niej dumny. Teraz już zdecydowała:

- W takim razie zostanę tutaj. Zadzwońię do towarzystwa okrętowego, żeby odwołać rezerwację, i napiszę do mamy. Na pewno będzie zrozpaczona, ale w końcu musi mnie zrozumieć.

- Radziłbym ci najpierw wysłać do niej telegram z dopiskiem: „List w drodze”. Dopiero kiedy już spalisz za sobą wszystkie mosty, napiszesz jej spokojny, wyważony list, w którym zawrzesz to wszystko, co mi powiedziałaś. W marynarce nazywamy to „uzasadnieniem na piśmie”.

- Tak, wujek ma zupełną rację. Rzeczywiście to właśnie zrobię i wreszcie przestanę się zadreczać. Wujek jest wspaniały!

- Obyś tylko nie żałowała swojej decyzji.

- Teraz już wiem na pewno, że nie będę. Od razu zrobiło mi się lżej. Ale gdyby wynikła z tego jakaś awantura, wujek weźmie mnie w obronę, prawda?

- Oczywiście, że w razie czego stanę po twojej stronie, ale to jeszcze nie wszystko. Pomyślałaś już zawczasu, co masz zamiar zrobić?

- Tak, pragnęłabym wstąpić do jakiejś służby pomocniczej. Tylko że do tego przydałoby się mieć konkretne kwalifikacje, inaczej skierują mnie najwyżej do czyszczenia broni, zakotwiczenia balonów zaporowych czy pracy w kuchni. Moja przyjaciółka Heather Warren z Porthkerris wybiera się na kursy stenografii i maszynopisania, więc myślę, że mogłabym zrobić to samo. Zawsze to już jakaś przydatna umiejętność. Najlepiej będzie, jeśli wynajmę pokój w Porthkerris, choćby u pani Warren, która zawsze chętnie mnie gościła. Jeśli Joe pójdzie do wojska, jego pokój będzie wolny.

- Dlaczego właśnie w Porthkerris, a nie w Nancherrow?

- Nie chodzi mi wcale o Edwarda. Raz, że długo już mieszkałam u Carey-Lewisów i czas najwyższy zacząć żyć na własną rękę. A po drugie, z Nancherrow jest wszędzie daleko. Dojeżdżać stamtąd na kursy byłoby strasznie niewygodnie.

- Naprawdę chciałabyś już wracać do Kornwalii?

- Naprawdę to wcale nie. Wolałabym znaleźć się gdzieś dalej, bo jeszcze nie całkiem pozbierałam się po tym wszystkim.

- Dlaczego więc nie zostaniesz z Biddy?

- Nie mogę tu mieszkać w nieskończoność.

- Nikt nie mówi o nieskończoności, ale przynajmniej na razie. Chciałbym, żebyś została u nas, i proszę cię o to.

Judyta z pewnym zaskoczeniem taksowała wzrokiem jego z grubą ciosany profil, krzaczaste brwi i sterczącą z kącika ust fajkę. Zauważyła przy tym także jego siwiejące włosy i bruzdy biegnące od nosa do podbródka. Mogła sobie wyobrazić, jak wujek będzie wyglądał, kiedy się zestarzeje.

- A do czego wujkowi jestem tu potrzebna? - spytała oględnie.

- Aby dotrzymywać towarzystwa Biddy.

- Przecież ona ma masę przyjaciół!

- Mimo to wciąż tęskni za Nedom, a i ze mną nie wiadomo co się może stać. Przy tobie czuje się dobrze i możecie się nawzajem wspierać.

- Ale przecież muszę nauczyć się czegoś pożytecznego!

- Możesz stąd dojeżdżać do Exeter lub Plymouth.

- Ciekawe czym? Sam wujek mówił, że w razie wybuchu wojny zaczniesz się od racjonowania paliwa. A musiałabym używać samochodu, bo z Bovey Tracey autobusy kursują tylko raz dziennie.

- Ale jesteś dokładna, jak prawdziwy podoficer rachuby! - Wuj Bob zaśmiał się, wystukując fajkę o podeszwę buta. - Powoli, nie wszystko naraz. Przyrzekam ci, że

załatwie, abyś mogła się uczyć, czego zechcesz. Pobądź tylko trochę z Bidy.

- Dobrze - zgodziła się i ucałowała wujka w wysmagany wiatrem policzek. On za to serdecznie ją uściśnął, aż Morąg, odpoczywająca nieopodal w kępie paproci, wstała, otrząsnęła się i podeszła zobaczyć, co się dzieje. Wuj Bob poklepał ją po boku pokrytym gęstym futrem.

- Chodź, leniuchu. Idziemy do domu.

Dochodziło już wpół do trzeciej, kiedy głodni, spragnieni i po dobrej zaprawie fizycznej wrócili do domu. Tym razem dotarli do Upper Bickley od strony wrzosowiska, przełaząc przez kamienny murek wybiegu dla kuców. Morąg przesadziła go jak rutynowany skoczek przeszkodowy i pędem pobiegła w stronę tylnych drzwi domu, gdzie stała jej miska z wodą.

Wujowi i Judycie zajęło to trochę więcej czasu. Po sforsowaniu ogrodzenia wybiegu zatrzymali się przy działce wytyczonej przez Billa Daggę pod kartofle. Zagonki były już oznaczone sznurkiem, po części skopane i odchwaszczone. Wskutek tych zabiegów ukazała się świeża, wilgotna i czarna ziemia. Judyta nabrała jej w garść, rozkoszując się słodkim zapachem wilgotnych grud i przeciskając je przez palce.

- Tu chyba urosną najlepsze kartofle świata! - zachwycała się głośno.

- Tak, kiedy Bill w końcu to skopie. Nie przepadam za tą robotą, już lepiej, żeby... - tu urwał i zaczął nasłuchiwać. Judyta również usłyszała sapanie silnika samochodu, wolno podjeżdżającego pod górę. - A któż to znów, u licha?

Nadal nasłuchując, stali ze wzrokiem wlepionym w bramę wjazdową.

Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu, z piskiem opon na żwirze, w bramie pojawił się służbowy samochód Marynarki

Wojennej, prowadzony przez oficera.

- O cholera! - wydyszał Bob.

- Kto to jest?

- Mój oficer łącznikowy.

Samochód zatrzymał się gwałtownie i wyskoczył z niego młody mężczyzna w mundurze z dystynkcjami porucznika. Bob pospiesznie wyszedł mu naprzeciw, wyprzedzając Judytę i schylając swą wysoką postać pod linką do wieszania bielizny. Judyta z pewnym wahaniem wytarła o siedzenie spodni ubrudzoną ziemią dłoń i z ociąganiem podążyła za nim.

Młody oficer wystąpił naprzód, zasalutował i zaraportował:

- Panie komandorze, melduje się porucznik Whitaker.

- Dobra, spocznij. O co chodzi, Whitaker?

- Jest telefonogram do pana komandora. Przyszedł jakąś godzinę temu, ale wydawało mi się, że lepiej dostarczyć go osobiście, więc wyruszyłem natychmiast.

- Samochodem sztabowym?

- Uważałem, że pan komandor może potrzebować transportu.

Porucznik przekazał komunikat, który Bob Somerville czytał stojąc, w zakurzonych butach i starej marynarce, z włosami w nieładzie. Judyta w napięciu śledziła jego reakcję, ale nie zmienił wyrazu twarzy. W końcu podniósł oczy na porucznika.

- Dziękuję, Whitaker. Dobrze się spisałeś. Rzeczywiście takie komunikaty lepiej jest przekazywać osobiście. -Spojrzał na zegarek i dodał: - Potrzebuję tylko około piętnastu minut, żeby coś zjeść, spakować się i pożegnać z żoną.

- Tak jest, panie komandorze.

Bob zwrócił się już w kierunku domu, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o Judycie, która opuszczona przez wszystkich stała z boku.

- Whitaker, to moja siostrzenica, Judyta Dunbar. Mo-

zesz tymczasem opowiedzieć jej, co się dzieje, a jeśli będziesz dla niej miły, może poczęstuje cię herbatą.

- Dziękuję, panie komandorze, ale myślę, że to zbyt wiele.

- No, to do zobaczenia za piętnaście minut!

- Będę czekał, panie komandorze.

Wuj Bob wszedł do domu i zamknął drzwi za sobą, dając tym samym do zrozumienia, że w tej chwili chce zostać sam z Bidy. Judyta z lękiem wyobrażała już sobie, czego mógł dotyczyć komunikat - inwazji nieprzyjaciela, wypadku na morzu czy niepomyślnych wiadomości od Neda?

- Co się stało? - odważyła się spytać.

- To nominacja dla pana komandora - wyjaśnił porucznik. - Dowódca floty powołuje komandora Somerville'a do swego sztabu. I to jak najszybciej. Dlatego przyjechałem służbowym samochodem.

Judyta poczuła pewną ulgę, gdyż nie zdarzyło się żadne z nieszczęść, które przewidywała.

- Gdzie mieści się dowództwo floty?

- W Scapa Flow.

- Chyba nie macie zamiaru jechać tam samochodem? Porucznik Whitaker roześmiał się, co z miejsca nadało mu bardziej ludzki wyraz.

- Ależ skąd! Myślę, że pan komandor skorzysta z usług jednostki lotnictwa współdziałającej z flotą.

- Nasz Ned także stacjonuje w Scapa Flow.

- Wiem o tym.

- Wszystko to stało się tak nagle... - Dojrzała cień współczucia w jego oczach i próbowała się uśmiechnąć. - Pewnie już się zaczyna...

Porucznik Whitaker zarzucił całkowicie oficjalny styl i uprzejmie zaproponował:

- Może byśmy usiedli gdzieś i zapalili?

- Ja nie palę.

- No więc wypalę tylko jednego.

Usiedli na kamiennych schodkach prowadzących w górę zielonego zbocza. Siedzieli tak w ciepłe promieni słonecznych w towarzystwie Morąg. Porucznik palił papierosa, a Judyta opowiadała mu o spacerze z wujkiem na Haytor i o tym, że teraz będzie musiała przez pewien czas zostać w Upper Bickley, żeby Bidy nie była sama. W tym momencie uświadomiła sobie, że wuj Bob już jej nie pomoże w realizacji planów. Będzie musiała sama się o to zatroszczyć.

Bob wrócił punktualnie po piętnastu minutach, w towarzystwie Bidy. Porucznik Whitaker natychmiast wyrzucił papierosa, zerwał się na nogi i podszedł uścisnąć dłoń Bidy. Ta wyglądała na nieco zszokowaną, ale zbyt długo była żoną oficera marynarki, aby nie przyzwyczać się do nieoczekiwanych rozstań. Natomiast wuj Bob przeobraził się już w swoje drugie, służbowe wcielenie. W mundurze był przystojniejszy niż zwykle, ale powrót do spraw zawodowych stworzył już pewien dystans między nim a rodziną.

Porucznik Whitaker odebrał od niego walizkę i położył ją na tylne siedzenie. Wtedy wuj Bob objął żonę i pożegnał ją słowami:

- Do widzenia, kochanie!

Pocałował ją, a ona jeszcze przekazywała mu ostatnie polecenia:

- Spróbuj skontaktować się z Nedom i pozdrów go ode mnie.

- Oczywiście, kochanie. Do widzenia! - To było do Judyty.

- Do widzenia, wujku!

- Uważaj na siebie.

- Postaram się - zapewniła go, po czym uściśnęli się na pożegnanie.

Porucznik Whitaker przytrzymał otwarte drzwiczki samochodu i zatrzasnął je za Bobem, kiedy ten już zajął miejsce obok kierowcy. Sam obszedł samochód od przodu



i usiadł za kierownicą. Rozbrzmiały ostatnie słowa pożegnania i samochód wytoczył się z bramy wjazdowej. Biddy i Judyta machały za nim rękami, dopóki nie ucichł warkot silnika.

- Dobrze się czujesz? - spytała Judyta.

- Ależ skąd! Jestem kompletnie zdruzgotana! - wycodziła ironicznie Biddy z kwaśnym uśmiechem. - Czasem bokiem mi wychodzi ta jego służba w marynarce. Nic, tylko lata jak z piórkiem w tę i nazad, nawet nie ma kiedy porządnie zjeść. No, ale oczywiście mój koteczek jest zachwycony. Powołanie do sztabu floty, taki zaszczyt! Żeby choć to wszystko nie działo się tak szybko, a Scapa Flow nie leżało na drugim końcu kraju! Pytałam, czy nie mogłabym tam z nim pojechać, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. Cóż, będę musiała tu tkwić i czekać. - Obejrzała się na Judytę. - Bob mówił, że zostaniesz tu trochę.

- Myślisz, że powinnam?

- Słuchaj, może to zabrzmie głupio, ale naprawdę nie zniósłabym, gdybyście oboje mnie opuścili! Chwała Bogu, że chociaż ty będziesz przy mnie... - Potrząsnęła głową, nie chcąc dać upustu emocjom. - Kochanie, wiem, że to idiotyczne, ale chce mi się płakać!

- Chodźmy! - Judyta ujęła ją pod ramię. - Nastawimy wodę i zaparzemy sobie naprawdę mocnej herbaty.

Dużo później, kiedy Judyta sięgała wstecz pamięcią -właśnie to sierpniowe niedzielne popołudnie wyznaczało dla niej moment rzeczywistego rozpoczęcia wojny. Wszystko, co nastąpiło później - mobilizacja rezerwistów, postawienie marynarki wojennej w stan gotowości, atak Niemców na Polskę i przemówienie Chamberlaina, w którym proklamował przystąpienie Anglii do wojny - z perspektywy czasu wydawało się tylko formalnym przypieczętowaniem zaistniałego stanu rzeczy. A prawjja. była taka, że oto rozpoczęły się zmagania na śmierć i życie, które miały trwać przez prawie sześć lat.

*Upper Bickley, hrabstwo Devon 13 września 1939*

*Kochana Diano!*

*Przepraszam, że dopiero teraz piszę do Ciebie, ale ostatnimi czasy tyle się działo! Było mi bardzo przykro opuszczać Was tak nagle, ale wiem, że rozumiałaś moje intencje.*

*W tym miejscu Judyta musiała skłamać, aby konsekwentnie trzymać się swojej wersji wydarzeń.*

*Ciocia Bidy naprawdę była poważnie chora i mój przyjazd bardzo jej pomógł. Teraz już grypa przeszła i czuje się dużo lepiej.*

*Od tego momentu Judyta znowu mogła pisać prawdę.*

*To, że ta wojna w końcu wybuchła, przyniosło nam pewną ulgę po tych koszmarach dwóch tygodniach oczekiwania, ale nie o tym chciałam Ci pisać. Najważniejsze jest to, że zrezygnowałam z wyjazdu do Singapuru. Złożyło się na to wiele powodów, ale przede wszystkim ten, że nie miałam sumienia wybrać luksusowego życia na Dalekim Wschodzie, podczas gdy bliskie mi osoby szykują się do obrony kraju. Wiem, że moja nieobecność nie miałaby na nic wpływu, ale czułabym się wtedy paskudnie.*

*Najgorszą przeprawę miałam z rodzicami. Zaczęłam od tego, że odwołałam rezerwację miejsca na statku, a potem wysłałam do nich telegram. Prawie natychmiast dostałam odpowiedź - ciekawe, jak zdążyli się tak szybko uwinąć? Błagali mnie, żebym zmieniła zdanie, ale nie dałam się przekonać, bo wiedziałam, że wujek Bob stoi po mojej stronie. W długim liście starałam się wyjaśnić rodzicom motywy mego postępowania i mam nadzieję, że uświadomi im to, co dziś czują wszyscy Anglicy - że trzeba zacisnąć zęby i przygotować się na najgorsze. Liczę na to, że choć Ty nie uznasz mnie za egoistkę. Mama pewnie tak myśli.*

*ale rozumiem jej rozczarowanie, bo przecież tyle lat czekała na spotkanie ze mną, a ja zawiodłam jej nadzieje! Wszystko jedno, słowo się rzekło, zostaje!*

*Z innych nowin - wujek Bob wyjechał do Scapa Flow, bo dostał przydział do sztabu floty na stanowisko oficera do spraw technicznych. Wprawdzie to wielki zaszczyt, bo nieprzypadkowo wybrano właśnie jego, niemniej jednak okropnie za nim tęsknimy. Ciocia Biddy nie mogła pojechać razem z nim, więc została w domu, a ja dotrzymuję jej towarzystwa.*

*Sądziłam, że wkrótce ciocia zajmie się działalnością w Czerwonym Krzyżu lub innej formacji ochotniczej. Na razie jednak ma dość roboty z prowadzeniem domu, bo pani Lapford, nasza kucharka, zdecydowała się podjąć pracę w stołówce fabryki amunicji. Twierdzi, że też chce coś zrobić dla kraju. Dobrze, że choć sprzątaczką, pani Dagg, na razie zostaje. Jej mąż jest robotnikiem rolnym, więc uznała, że jej głównym patriotycznym obowiązkiem jest dobrze go karmić.*

*Ja zaś jeszcze przed wyjazdem wujka Boba postanowiłam, że muszę nauczyć się pisać na maszynie i stenografować. Nie wyobrażałam sobie, gdzie będę mogła się tego uczyć, bo od nas jest wszędzie daleko, ale już coś załatwiłam. Ciocia Biddy ma znajomą, emerytowaną urzędniczkę państwową, która niedawno sprowadziła się do nas. Kiedyś przyszła na brydża i akurat zgadało się o moich problemach, a ona obiecała, że będzie dawać mi lekcje stenografii i maszynopisania! Jest chyba biegła w tej sztuce, więc to tak, jakbym miała korepetytora. Kiedy już osiągnę odpowiednią szybkość, będę mogła wstąpić do jakiejś służby pomocniczej. Na przykład do Kobiecej Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej, bo mają tam twarzowe mundury.*

*Mam nadzieję, że wszystko u Was w porządku, ale bardzo mi Was brakuje. Ciekawam, czy Mary dała radę sama poszyć wszystkie zasłony zaciemniające. U cioci Biddy za-*

*jęło mi to tydzień, a przecież jej dom jest malutki w porównaniu z Nancherrow. Tak mi przykro, że musiałam Was nagle opuścić, ale proszę, pozdrów ode mnie pana pułkownika, Mary, Nettlebedów, Loveday, ciocię Lawinię i innych.*

*Aha, jeszcze jedno! Kiedy nadejdą wyniki mojej matury, pewnie szkoła prześle je do Nancherrow albo panna Catto powie Ci to przez telefon. Czy byłabyś taka miła i przesłała je do mnie albo niechby Loveday przetelefonowała mi same wyniki? Po prostu chciałabym je znać, choć teraz to nie ma znaczenia. Wątpię, abym kiedykolwiek jeszcze wstąpiła na uniwersytet.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami -*

*Judyta*

Odpowiedź nadeszła dopiero po dwóch tygodniach. Wśród innej korespondencji przeleciała przez szparę w drzwiach i klapnęła na wycieraczkę duża, gruba koperta zaadresowana dziecinnym charakterem pisma Loveday, z jej koszmarną ortografią, nad którą zawsze załamywała ręce panna Catto. Zaskoczyło to Judytę, gdyż nigdy dotąd nie otrzymała od Loveday żadnego listu. Loveday znana była ze swego piórowstrętu, co najwyżej zdobywała się na zdawkową kartkę z podziękowaniami. Judyta poszła więc z tą przesyłką do salonu, umościła się wygodnie w rogu kanapy i dopiero wtedy rozcięła grubą kopertę.

W środku znajdowały się oficjalne informacje o wynikach egzaminu dojrzałości oraz kilka arkuszy ozdobnego papieru listowego z Nancherrow, złożonych w solidną kostkę. Judyta najpierw ostrożnie, jakby rozbierała bombę zegarową, rozłożyła urzędowe formularze wyników matury. Zaczęła je czytać wpierw z niedowierzaniem, a potem z ogromną ulgą i satysfakcją. Gdyby miała przy sobie którąś ze swoich koleżanek - pewnie skakałaby i tańczyła z radości, ale przed kim miała ją okazywać, skoro Bidy pojechała akurat do fryzjera w Bovey Tracey?

Przeczytała

więc tylko jeszcze raz te wyniki od początku od końca, a potem odłożyła je na bok i zabrała się do lektury epistoły od Loveday.

*Nancherrow*

*22 września 1939*

*Kochana Judyto!*

*Bardzo nas ucieszył Twój Ust. Mamusia trzyma go w biurku. Wiesz, jak ja nie cierpię pisać listów, ale mamusia prosiła mnie o to. Na szczęście na dworze pada, więc i tak nie mam nic lepszego do roboty.*

*Przede wszystkim przesyłam Ci Twoje wyniki maturalne. Oczywiście nie mogłam się powstrzymać, aby do nich nie zajrzeć, i przy śniadaniu odczytałam je wszystkim na głos. Mamusia, tatuś i Mary podziwiali, jaka jesteś zdolna -wszystkie przedmioty zaliczone pozytywnie, a dwa nawet z wyróżnieniem! Panna Catto będzie skakać pod sufit! Choćbyś nawet nie zdecydowała się zdawać na studia, świadectwo dojrzałości zawsze Ci się przyda - na przykład oprawisz je w ramki i zawieszisz w wychodku!*

*Masz rację, że nie jedziesz do Singapuru. Nie wiem, czy wykazałabym tyle silnej woli, aby zrezygnować z tych wszystkich przyjemności, które by tam na mnie czekały. Miejmy nadzieję, że Twoja mamusia Ci wybaczy, bo to okropne, kiedy ktoś się na nas gniewa. A z Twoim wujkiem to zupełna sensacja! Musi być cholernie zdolny, jeśli powierzono mu takie stanowisko. Sprawdziłam na mapie, gdzie leży Scapa Flow - to właściwie już. Arktyka! Chyba zabrał ze sobą dosyć ciepłych rzeczy?*

*U nas też ciągle dzieje się coś nowego. Palmer zaciągnął się do dywizji piechoty dowodzonej przez księcia Kornwalii. Janet i Nesta jeszcze się nie zdecydowały, do jakiej służby wstąpią, ale Janet chciałaby zostać sanitariuszką, a Nesta twierdzi, że woli pracować przy wyrobie amunicji niż wynosić baseny. Na szczęście Nettlebedowie*

*są za starzy, żeby wstąpić do jakiegokolwiek formacji, a Hetty znów jest za młoda - ma dopiero siedemnaście lat. Strasznie chciałaby zapisać się do Pomocniczej Służby Terytorialnej i paradować w mundurze khaki, ale pani Nettlebed straszy ją, że wtedy wpadłaby w ręce jurnego żołdactwa. Myślę jednak, że tak naprawdę chodzi jej o to, aby nie musieć samej szorować garów.*

*Mary nie mogła uporać się z szyciem zasłon zaciemniających, aż mamusia musiała przyjąć do pomocy pannę Penberthy, która codziennie dojeżdża tu z St. Buryan na rowerze. Jeszcze nie wszystkie pokoje mamy zaciemnione, tak że po zmroku nie możemy otwierać do nich drzwi, ale mam nadzieję, że panna Penberthy szybko się z tym uwinie.*

*Mama urządza w salonie zebrania koła Czerwonego Krzyża, a tatuś ustawia we wszystkich widocznych miejscach wiadra z wodą na wypadek pożaru. Robi się coraz chłodniej, a tymczasem w zimie będziemy musieli pozakładać pokrowce na meble w salonie i gnieździć się w tym małym saloniku. Tatuś straszy, że trzeba będzie oszczędzać paliwo i sadzić dużo warzyw.*

*To tyle o nas, a teraz o wszystkich innych. Nie chciałabym nikogo pominąć.*

*Ciocia Lawinia czuje się coraz lepiej. Może już wstawać z łóżka i siadać przy kominku. Przeraza ją wizja kolejnej wojny — przecież, przeżyła już ich tyle! Burska, pierwsza światowa, a teraz ta — chyba za dużo wojen jak na jedno życie.*

*Kiedy wyjechałaś, najpierw brakowało nam tylko Ciebie, ale wkrótce zaczęli ubywać następni. Pierwszy był Jeremy, a zaraz za nim Rupert, który musiał się zameldować w Edynburgu, w koszarach Redford. Ich konie także wywieziono z Northampton, chyba pociągiem, bo piechotą tak daleko biedactwa by nie zaszły. Potem sprzedam Ci jeszcze więcej sensacji o Rupercie!*

*Następni pod sztandary zaciągnęli się Edward i Gus.*

*Edward jest w jakimś ośrodku szkoleniowym, którego adres jest Ściśle Tajny. Mama dostała tylko numer poczty polowej i nie może przeżyć, że nie wie, gdzie on jest. Ale ja myślę, że on teraz ma swoje pięć minut - pewnie polata trochę, a przez resztę czasu popija piwo w kantynie. Gusa zaniosło aż. do Aberdeen, ponieważ tam jest Kwatera Główna Pułku Strzelców Szkockich. Pożegnanie z nim było czymś okropnym. Za nikim innym nie płakałam, ale za nim tak. Jakie to potworne - najpierw spotkać mężczyznę swojego życia, a potem stracić go przez tego drania Hitlera! Beczałam w poduszkę, dopóki nie dostałam od niego listu. Oczywiście zaraz mu odpisałam. Mam jego zdjęcie, które kiedyś sama mu zrobiłam, a teraz, dałam je powiększyć, oprawić w ramki i powiesiłam nad łóżkiem. Jest trochę nieostre, ale przynajmniej mogę co rano mówić mu „dzień dobry”, a przed zaśnięciem „dobranoc”. Na pewno wygląda szalowo w spódniczce swego pułku - próbuję go namówić, żeby przysłał mi swoje zdjęcie w niej.*

*A teraz dalszy ciąg plotek o Rupercie!*

*Trzy dni po jego wyjeździe Athena ogłosiła wszem wobec, że też. jedzie do Edynburga. I rzeczywiście, wsiadła w pociąg i pojechała! Chyba jej całkiem odbiło. Zatrzymała się w hotelu „Caledonian” i pisze stamtąd, że jest tam piekielnie zimno, ale to nic, bo za to codziennie spotyka się z Rupertem. Jeśli zimno jej nie przeszkadza, to chyba rzeczywiście go kocha.*

*Ja natomiast twardo nie ruszam się z miejsca. Mamusia ma zamiar sprowadzić masę kur, którymi będę się opiekować w ramach zastępczej służby rolnej. Walter Mudge nauczy mnie jeździć traktorem, żebym mogła pomagać także na farmie. Wolałabym nawet palić pod kotłem czy myć klozety, byleby tylko nie dostać skierowania do jakiejś koszarnej pracy z dala od domu.*

*Nettlebed przyniósł właśnie miłą wiadomość, że niebawem rozpocznie się racjonowanie paliwa i apeluje się do uczciwości obywateli, aby nie robili zapasów. Ciekawe,*

*gdzie będziemy się zaopatrywać w żywność, bo do Pen-zance rowerem jest kawał drogi. Chyba zaczniemy wy-rz.ynać owce Waltera...*

*Wracaj do nas jak najszybciej, bo wszyscy tu bardzo za Tobą tęsknimy. Mary pyta, czy ma Ci przesłać ciepłe rzeczy na zimę.*

*Tysiące całusów od -*

*Loveday*

*PS - zdechł pies! Wiadomość z ostatniej chwili! Tatuś właśnie odebrał telefon z Edynburga. Dowiedział się, że Athena i Rupert wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego! Świadkami byli taksówkarz i ordynans Ruperta. Czyli stało się tak, jak Athena chciała. Mamusia i tatuś sami nie wiedzą, czy mają się cieszyć, czy złościć, że uroczystość odbyła się bez nich. Ale naprawdę to oboje bardzo lubią Ruperta. Nie wiem, kiedy Athena wróci do nas, ale czy na to się jest mężatką, żeby mieszkać samej w hotelu?*

Judyta złożyła list w kostkę i wsadziła go z powrotem do koperty, gdzie spoczywały już wyniki egzaminu maturalnego. Przyjemnie jej było siedzieć tak wygodnie w rogu kanapy, więc pozostała w tej pozycji, patrząc w okno i myśląc o Nancherrow. Czuła się prawie tak, jakby tam była. Widziała w wyobraźni szybki cywilny ślub Atheny i Ruperta, pannę Penberthy szyjącą kilometry czarnych zasłon, Gusa w szkockiej spódniczce, pułkownika rozstawiającego wszędzie wiadra z wodą i Loveday karmiącą kury. Tymczasem Edward przebywa gdzieś w Anglii w ośrodku szkoleniowym. Ciekawe, po co mu jeszcze jakieś szkolenie - przecież ma już licencję pilota! Co za głupie gadanie - wiadomo, że szkoli się w sztuce wojennej! Musi umieć wykonywać loty nurkowe, strzelać z broni pokładowej i strącać bombowce nieprzyjaciela. A Loveday myśli, że on teraz „ma swoje pięć minut -polata trochę, a przez resztę czasu popija piwo w kantynie”.



Od tamtej niedzieli w Nancherrow nie miała od niego żadnego znaku życia, więc pierwszą informacją o nim była ta, którą otrzymała od Loveday. Sama nie pisała ani nie dzwoniła do Edwarda, gdyż nie przychodziło jej na myśl nic, co nie było już przedtem powiedziane. Zbyt świeże było jeszcze wspomnienie jej własnej naiwności i bolesnego ciosu, jakim było odrzucenie przez Edwarda. On również nie pisał ani nie dzwonił do niej, ale właściwie nie spodziewała się tego. Z jego punktu widzenia i tak zbyt długo okazywał jej cierpliwość i wyrozumiałość, a jej ucieczka z Nancherrow bez pożegnania dopełniła już czary goryczy. Niby dlaczego miałby ją ścigać, skoro zawsze kręciło się przy nim mnóstwo pięknych kobiet, które same pchały mu się w ramiona?

Mimo wszystko Judyta nie była w stanie myśleć o nim bez silnych wzruszeń. Jego uroda, dźwięk głosu, uśmiech i niesforny kosmyk włosów raz po raz spadający mu na czoło nie mogły nie wzbudzać w niej ciepłych uczuć.

Odkąd przeniosła się do Devon, prześladowały ją marzenia na jawie. Wydawało się jej, że słyszy warkot silnika samochodu wjeżdżającego na wzgórze Upper Bickley i że to Edward przyjechał tu za nią, bo nie mógł dłużej bez niej żyć... Ale takie cuda zdarzały się tylko w dziecięcych bajkach, które musiały zawsze dobrze się kończyć, a ona przecież już dawno nie była dzieckiem. Nie mogła natomiast oprzeć się marzeniom sennym, w których widziała jakieś miejsce, gdzie czekała na Edwarda i czuła, że on się zbliża. Świadomość ta wprowadzała ją w stan euforii, która zniknęła dopiero z bladym światłem poranka.

Wprawdzie wszystko się skończyło, ale teraz już nie chciało jej się płakać na wspomnienie o nim. Oznaczało to pewien postęp. Mogło przecież być znacznie gorzej -w końcu zdała maturę! Takie fakty znacznie umacniały jej wizerunek własny, a - jak mawiała panna Catto -grunt to wiara w siebie. W tym momencie usłyszała trzaśnięcie drzwi i głos ciotki Bidy. Wróciła już od fryzjera,

z nową trwałą ondulacją. Judyta wstała więc z kanapy i pobięła podzielić się z ciotką otrzymanymi nowinami.

Lekcje maszynopisania i stenografii ruszyły z kopyta dopiero pod koniec września, gdyż Hester Lang musiała uprzednio poczynić niezbędne przygotowania. Miała wprawdzie własną maszynę, i to dużą, biurową, nie walizkową, jak u wuja Boba - ale oddała ją do warsztatu celem oczyszczenia, wymiany taśmy i założenia osłony na klawiaturę.

Zaopatrzyła się także w dwa podręczniki, gdyż wiedza teoretyczna dawno wywietrzała jej z głowy. Kiedy już była gotowa, zadzwoniła do Judyty i oświadczyła, że mogą zaczynać.

Następnego dnia Judyta zeszła więc z pagórka, na którym stało Upper Bickley, i zameldowała się u frontowych drzwi domku Hester.

Czuła się trochę tak, jakby wracała do szkoły po wakacjach. W powietrzu czuć było jesień; liście na drzewach żółkły, dnia ubywało, a codzienny rytuał zaciemniania odbywał się coraz wcześniej. Tylko patrzeć, kiedy podwieczorek będzie się jadło już przy szczelnie zaciągniętych zasłonach! Judycie żal było długich zmierzchów - siedzenie przy sztucznym świetle przyprawiało ją o klaustrofobię.

Na razie jednak była dopiero dziewiąta rano, piękna pogoda, a w powietrzu unosił się dym z ognisk, w których ogrodnicy spalali śmieci i chwasty. W czasie weekendu Judyta i Bidy nazbierały całe kilogramy jeżyn, których krzewy ogradzały pole jednego z miejscowych farmerów. Ten sam farmer pozwolił im wykorzystać szczątki powalonego przez burzę wiązu. Porąbane drwa Bill Dagg przywiózł traktorem z dwukółką i ustawił z nich zgrabny sąg pod ścianą garażu. Dzięki temu mogły zaoszczędzić węgla, gdyż w tych niepewnych czasach trudno było się spodziewać jego rytmicznych dostaw.

Domek był jednopiętrowy, zbudowany z szarego kamienia i ustawiony szeregowo, tak że Hester miała sąsiadów po każdej stronie. Tyle że ich domy sprawiały dość ponure wrażenie, co potęgowała jeszcze łuszcząca się farba na czarno lub brązowo pomalowanych drzwiach frontowych i koronkowe firanki obramowujące okna, w których stały aspidistry w zielonych doniczkach. Natomiast drzwi domku Hester były pomalowane na kremowo, a okna przesłonięte cieniutką śnieżnobiałą siateczką. Posadzony przy drzwiach powojnik rozrastał się powoli po frontowej ścianie domu, nadając bardziej światowy wygląd całej tarasowej zabudowie.

Kiedy Judyta nacisnęła dzwonek, otworzyła jej Hester, od rana elegancko i schludnie ubrana.

- O, już jesteś?! Brakuje ci właściwie tylko tornistra. Piękny dzień dzisiaj mamy, prawda? Właśnie szykuję kawę.

Rzeczywiście, czuć było jej ożywczy aromat.

- Ależ jestem dopiero po śniadaniu... - próbowała się wymówić Judyta.

- To nic, kawy zawsze możesz się napić, choćby dla towarzystwa. Nie musimy przecież tak od razu z marszu zaczynać nauki, tym bardziej że jeszcze u mnie nie byłaś. Tam jest salon, wejdź i rozgość się, a ja zaraz przyjdę.

Drzwi do tego pomieszczenia były otwarte, a sam salon zajmował połowę domu, od jego frontowej do tylnej ściany. Powstał bowiem w wyniku rozebrania ścianki działowej między dwoma małymi pokojami. Dzięki temu był jasny i przestronny, urządzony w sposób tyleż prosty co nowoczesny. Judyta nie widziała w życiu takiego salonu - wyglądał raczej jak pracownia artysty. Z białą ścian harmonizował beżowy dywan i zasłony z surowego płótna o barwie sznurka. Oczywiście nie mogło się obejść bez obowiązkowej rolety zaciemniającej, ale na razie była zwinęta i nie rzucała się w oczy. Przez luźno tkany materiał zasłon jaskrawe światło poranka przeświecało równie łatwo jak przez koronkę. Za oparciem kanapy wisiał kilim,

a przed nią stał niski stolik, a właściwie szklana płyta wsparta na dwóch porcelanowych lwach w starochińskim stylu. Na szklanym blacie piętrzyły się stosy książek, pośrodku pokoju zaś stała nowoczesna rzeźba. Jeszcze bardziej zaskoczył Judytę obraz wiszący nad kominkiem - abstrakcyjne malowidło na nie oprawionym blejtramie, o powierzchni błyszczącej i gruboziarnistej, jakby farbę nakładano szpachlą. Po obu stronach kominka znajdowały się wnęki, a w nich szklane półki zastawione kompletami ozdobnych kieliszków z zielonego i szafirowego kryształu. Na innych półkach stały rzędy książek, niektórych oprawnych w skórę, a innych w nowych, błyszczących obwolutach. Były wśród nich powieści i biografie - aż chciałoby się je przeczytać! Za oknem zaś rozciągał się ogród, a właściwie pas trawnika otoczonego obwódkami astrów i dalii we wszystkich kolorach tęczy.

Kiedy Hester przysła do salonu, zastała Judytę w trakcie przeglądania albumu z barwnymi reprodukcjami obrazów van Gogha.

- Właściwie nie jestem pewna, czy podoba mi się van Gogh, czy nie - zauważyła Judyta, odkładając album na miejsce.

- Rzeczywiście, jego twórczość to jedna wielka niewiadoma - zgodziła się Hester, stawiając tacę z kawą na stoliku z czerwonej laki. - Najbardziej podobają mi się jego chmury, złote łany zbóż i pastelowe błękity nieba.

- Ten salon wygląda zupełnie inaczej, niż oczekiwałam.

- A czego się spodziewałaś? - Hester parsknęła śmiechem, rozsiadając się wygodnie w fotelu. - Mebli w pokrowcach i wiktoriańskiej porcelany?

- Może nie akurat takich rzeczy, ale na pewno nie tego. Sama projektowałaś ten dom?

- Nie, kiedy go kupiłam, był taki jak inne. Kazałam tylko zburzyć tę ściankę działową i zainstalować łazienkę.

- Musiałaś to zrobić bardzo szybko, bo przecież mieszkasz tu od niedawna.

- Tak, ale ten dom należy do mnie już od pięciu lat. Kiedy jeszcze pracowałam w Londynie, przyjeżdżałam tu na weekendy. Nie miałam wtedy czasu spotykać się z nikim, bo wiecznie użerałam się z budowniczymi, malarzami i innymi fachowcami. Dopiero po przejściu na emeryturę wprowadziłam się tu na stałe i zaczęłam nawiązywać znajomości. Pijesz kawę z mlekiem i z cukrem?
- Dziękuję, tylko z mlekiem. - Judyta odebrała z rąk Hester filiżankę ze spodkiem i usiadła na brzegu kanapy. - Masz tyle pięknych rzeczy! I tyle książek, i w ogóle wszystko...
- Zawsze miałam w sobie duszę kolekcjonera. Te chińskie lwy odziedziczyłam po wujku, obraz kupiłam w Paryżu, a szkło kompletowałam przez lata. Rzeźba jest dłuta Barbary Hepworth. Oryginalna, prawda? Przypomina jakiś dziwny instrument strunowy.
- I tak dużo masz książek...
- Aż za dużo. Jeśli chcesz, mogę ci którąś pożyczyć. Oczywiście pod warunkiem, że zwrócisz.
- Chętnie jakąś wezmę i na pewno zwrócę.
- Widzę, że jesteś zapaloną czytelniczką. To dobrze, lubię takie dziewczęta. A czym się jeszcze pasjonujesz oprócz malarstwa i książek?
- Muzyką. Wujek Bob mnie tym zainteresował i zaraz po wizycie u niego kupiłam sobie gramofon. Teraz mam już dużą kolekcję płyt. Lubię słuchać muzyki, bo może wprowadzić mnie w taki nastrój, na jaki mam ochotę.
- A czy chodzisz czasem na koncerty?
- W West Penwith rzadko odbywają się koncerty, a do Londynu nie mam kiedy jeździć.
- Tego właśnie brakuje mi najbardziej, odkąd tu mieszkam. Koncertów i teatru. Bo poza tym jestem zadowolona.
- To bardzo uprzejme z twojej strony, że podjęłaś się uczyć mnie stenografii...
- Żadna uprzejmość, tylko sposób na to, żeby utrzymy-

wać się w formie. Krzyżówki już mi się znudziły. Naszykowałam wszystko w jadalni, bo do pisania na maszynie musisz mieć mocny i równy stół. Myślę, że trzy godziny dziennie nam wystarczą, dajmy na to - od dziewiątej do dwunastej, dobrze? Oczywiście z wyjątkiem weekendów.

- Jak sobie życzysz.

Hester skończyła swoją kawę, odstawiła filiżankę i wstała.

- A więc zaczynamy! - oznajmiła.

Do połowy października, czyli przez pierwsze sześć tygodni wojny, niby nic wielkiego się nie działo - nie nastąpił atak na Anglię, nie było żadnych nalotów bombowych ani walk we Francji. Tylko wiadomości napływające z Polski trzymały wszystkich w napięciu przy radioodbiornikami. Wobec takiego ogromu cierpień drobne niewygody i ograniczenia w życiu codziennym, jakie musieli teraz znosić mieszkańcy Anglii, nabierały właściwego sensu. Były to jeszcze najmniejsze wyrzeczenia, jakie mogłoby ponieść.

W Upper Bickley jedną z takich niewygód było odejście pani Lapford, która rzuciła posadę, aby karmić pracowników fabryki. Tymczasem Bidy w całym swoim życiu nie ugotowała nawet jajka. Dobrze, że chociaż Judyta miała więcej do czynienia z kuchnią, gdyż jeszcze w Riverview podglądała Phyllis podczas przyrządzania puddingów lub pieczenia ciasteczek. W Porthkerris pomagała pani Warren tłuc kartofle na puree i wydawać obfite posiłki wieczorne, a i w Nancherrow pani Nettlebed była rada, że ktoś chciał jej pomóc ucierać żółtka z cukrem do biskoptu. Na tym jednak kończyły się umiejętności Judyty, ale cóż - potrzeba jest matką wynalazków! Wyszperała jakąś starą książkę kucharską, przypasała fartuch i zabrała się do gotowania. Na początku nie obyło się bez przypalonych kotletów i na wpół surowych kurczaków, ale z czasem nabrała wprawy i odważyła się nawet

upiec ciasto. Wprawdzie rodzyunki i inne bakalie opadły na sam spód, ale mimo to było całkiem smaczne.

Następnym utrudnieniem życia codziennego stało się to, że właściciele sklepów w Bovey Tracey odmówili dostarczania towarów do domów.

Usprawiedliwiali się ograniczonymi przydziałami paliwa, co ich klienci przyjmowali do wiadomości bez szemrania. Pokupowali sobie duże koszyki lub sznurkowe torby i sami dźwigali swoje zakupy, objuczeni jak wielbłądy. Niby nic strasznego, lecz zajmowało dużo czasu, a jeśli się mieszkało w Upper Bickley - było co najmniej męczące.

Mało tego - robiło się coraz chłodniej. Mieszkając w Nancherrow, gdzie centralne ogrzewanie pracowało pełną parą aż do wiosny, Judyta zapomniała, co to znaczy zimno. Normalne było to, że się marzło na dworze, ale nie w mieszkaniu! Natomiast Upper Bickley nie miało centralnego ogrzewania. Kiedy dwa lata temu Judyta spędzała tam święta Bożego Narodzenia - we wszystkich sypialniach włączano piecyki, a w bojlerze przez całą dobę grzała się woda. Natomiast teraz, kiedy odgórne rozporządzenia nakazywały oszczędzanie opału - ogrzewano jedynie salon, i to tylko do obiadu. Biddy zdawała się nie odczuwać zimna, gdyż mieszkając przedtem w Keyham Terrace, które było dla Judyty najzimniejszym miejscem na świecie - zdążyła się do tego przyzwyczaić. Wszystko wskazywało zaś na to, że gdy nadejdzie zima, Upper Bickley stanie się taką samą lodownią. Dom zlokalizowany na wzgórzu przyjmował na siebie największy impet wschodniego wiatru, a stare okna i drzwi, źle dopasowane, nie chroniły przed przeciągami. Judyta bez specjalnego entuzjazmu myślała więc o nadchodzącej zimie i ucieszyła się, gdy Mary Millyway przysłała jej z Nancherrow wielką pakę najcieplejszych rzeczy.

W sobotę czternastego października Judyta obudziła się rano, czując na twarzy powiew lodowatego powietrza wpa-

dającego przez otwarte okno. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała szare niebo, a na jego tle wierzchołek buka, pokrytego żółknącymi już liśćmi. Wkrótce zaczną opadać, a wtedy dojdzie mnóstwo roboty z ich grabieniem i paleniem, dopóki drzewo nie zostanie całkiem ogołoczone.

Leżąc jeszcze w łóżku, rozmyślała, że gdyby sprawy potoczyły się właściwym torem i nie byłoby wojny, a ona nie musiałaby podjąć tak trudnej decyzji - płynęłaby teraz przez Zatokę Biskajską. Pewnie dręczyłaby ją choroba morska, ale byłaby już w drodze do Singapuru.

Przez chwilę czuła przemożną tęsknotę za rodziną. Wyglądało na to, że jej przeznaczeniem było życie w cudzych domach, wprawdzie gościnnych, ale na dłuższą metę ta sytuacja stawała się poniżająca.

Judyta marzyła, że oto wypłynie już wkrótce przez Cieśninę Gibraltarską na błękitne Morze Śródziemne, gdzie zawsze świeci słońce. Potem pokona Kanał Sueski, a następnie Ocean Indyjski. Wtedy co wieczór na szafirowym niebie będzie się ukazywał Krzyż Południa. Wspominała, że zawsze, gdy zbliżała się do Kolombo, jeszcze długo zanim na horyzoncie zamajaczyły kontury Cejlonu, już zawczasu czuć było charakterystyczny zapach owoców, przypraw i drewna cedrowego. To ciepły wiatr niósł go tak daleko w morze.

Wiedziała jednak, że te marzenia są niemądre - przecież wcale nie żałowała swojej decyzji! Wstała i szybko zamknęła okno, modląc się, aby nie padało. Ubrała się i zeszła na dół.

W kuchni zastała już Bidy w szlafroku, zaparzającą kawę. Już to samo było czymś nietypowym, gdyż zwykle Judyta schodziła pierwsza.

- Czemu dziś tak wczesnie wstałaś? - spytała.

- Morąg strasznie piszczała i skomlała. Dziwne, że tego nie słyszałaś.

Wypuściłam ją na dwór, ale tylko się wysikała i zaraz wróciła z powrotem. Jak myślisz, może jest chora?



Judyta otaksowała wzrokiem Morąg, skuloną w swoim koszyku, z wyrazem smutku w niejednakowych oczach.

- Rzeczywiście, nie jest tak wesoła jak zawsze. Może ma robaki?

- Nawet nie mów!

- Niewykluczone, że trzeba będzie pójść z nią do weterynarza. Co zjesz na śniadanie?

- Chyba nie mamy już bekonu.

- No więc ugotuję jajka.

Przy śniadaniu snuły dość chaotyczne plany na sobotę. Judyta oświadczyła, że i tak schodzi do Bovey Tracey, aby odnieść Hester pożyczoną książkę, więc może przy okazji zrobić zakupy. Bidy chętnie na to przystała, gdyż miała zamiar zająć się pisaniem listów. Zapaliła więc papierosa, sięgnęła po notes i ołówek i zaczęła sporządzać listę zakupów. Znalazły się na niej: bekon, karma dla Morąg, baranina na niedzielną pieczeń, papier toaletowy, mydło „Lux” i...

- ...czy byłabyś tak dobra i kupiła mi funt impregnowanej włóczki?

- Na cóż ci to potrzebne? - zdziwiła się Judyta.

- Nie mogę już patrzeć na ten głupi haft. Jak mówiłam, chcę znów zacząć robić na drutach. Zrobię nieprzemakalne skarpetki dla Neda.

- Nie wiedziałam, że potrafisz robić skarpetki.

- Nigdy dotąd tego nie robiłam, ale znalazłam w jednym piśmie bardzo prosty wzór. To się nazywa „spiralne skarpety”. Robi się je przez cały czas na okrągło, bez wyrabiania pięty. Gdyby, dajmy na to, Ned wydarł dziurę na pięcie, wystarczyłoby przewinać je na drugą stronę.

- Na pewno będzie nimi zachwycony.

- Tu jest jeszcze wzór na ciepłą czapkę, taką, żeby mu uszy nie marzły. Może mogłabyś coś takiego zrobić?

- Na razie wystarczy, że robię łapki do garnków. Dopisz włóczkę do listy, to się za nią rozejrzę. Przydałby ci się leż karnet igieł...

Sobotni poranek w Bovey Tracey przypominał dzień targowy w Penzance. Przybywały tu gospodynie z całej okolicy, nawet z oddalonych farm, aby zrobić zakupy na cały tydzień. Tłoczyły się na wąskich chodnikach ze swymi koszykami i wózkami na zakupy, plotkowały na rogach ulic, ustawiały się w kolejki w sklepie spożywczym i u rzeźnika... Wymieniały w tym czasie najświeższe sensacje towarzyskie, ścisząc głos tylko wtedy, kiedy dzieliły się przypuszczeniami, że czyjaś ciocia jest chora i pewnie umrze.

Wskutek tego zakupy trwały teraz dużo dłużej niż normalnie, toteż dochodziła już jedenasta, zanim Judyta, objuczona wypchanym koszykiem, zadzwoniła do drzwi domu Hester Lang.

- Ach, to ty, Judyto!

- Wiem, że dziś sobota, ale nie przyszłam na lekcję, tylko oddać ci książkę. Skończyłam ją wczoraj wieczorem.

- Jakie to miłe, że przyszłaś! Wejdz, napijemy się kawy.

Nie musiała tego dwa razy powtarzać, gdyż przyrządzała wyborną, aromatyczną kawę. Delektując się jej zapachem, Judyta postawiła w korytarzu koszyk i z pojemnej kieszeni kurtki wyciągnęła książkę.

- Wolałam od razu ją odnieść, żeby się nie zabrudziła ani Morąg jej nie pogryzła.

- No wiesz! Jak można posądzać biedną psinę o takie rzeczy? Odłóż tę książkę na miejsce i weź sobie inną, jeśli chcesz. Zaraz przyniosę kawę. Pierwszą pożyczoną przez Judytę książką, którą właśnie zwracała, były „Wielkie nadzieje”, należące do oprawnego w skórę kompletu dzieł zebranych Dickensa. Weszła więc do jasnego salonu, nawet w pochmurny dzień jakby rozświetlonego słońcem, i wstawiła tom na tę samą półkę, z której go wzięła. Akurat wodziła wzrokiem po tytułach, zastanawiając się, co tym razem wybrać, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała go Hester i przez uchylone drzwi słychać było, jak mówi:

- Tu numer osiemset dwadzieścia sześć. Hester Lang przy telefonie. Tymczasem Judyta zdecydowała, że zamiast Dickensa weźmie dla odmiany coś współczesnego. Wybrała więc „Niszczącą burzę” Phyllis Bottome i pobieżnie przeczytała jej streszczenie zamieszczone na skrzydełku obwoluty.

Podczas gdy kartkowała książkę, Hester kontynuowała rozmowę telefoniczną. Więcej jednak słuchała, niż mówiła, a odpowiadając swemu rozmówcy, zniżała głos do szeptu. Judyta była w stanie usłyszeć urywane słowa: „Tak”, „Tak, oczywiście...”, a między nimi długie przerwy. Czekając więc na Hester sama w jej salonie, aż zwątpiła, czy starsza dama w ogóle jeszcze się pojawi.

W którymś jednak momencie rozmowa gwałtownie się urwała i Judyta usłyszała szczęknięcie odkładanej słuchawki. Zamknęła więc książkę i spojrzała w stronę drzwi. Hester nie przyszła od razu, lecz po chwili - jakby musiała zatrzymać się na zapleczu, aby wszystko sobie poukładać. Nie odezwała się ani słowem, ale wystarczyło, aby Judyta napotkała jej spojrzenie.

- Coś się stało? - spytała od razu.

- Dzwonił... - Głos Hester załamał się, więc przerwała, spróbowała się opanować i zaczęła od początku, już swoim zwykłym tonem. - Dzwonił komandor Somerville.

- Wujek Bob? - Judyta nie dowierzała własnym uszom. - Po co miałby dzwonić do ciebie? Nie mógł się dodzwonić na Upper Bickley? Wczoraj jeszcze telefon działał normalnie.

- Telefon nie ma tu nic do rzeczy. Twój wujek celowo zwrócił się z tym do mnie. - Hester zamknęła drzwi za sobą i usiadła na złoconym krzeselku od pianina. - Stało się coś strasznego.

W salonie było ciepło, lecz Judytę i tak przejął dreszcz, a w żołądku narastał ucisk.

- Co się stało? - wykrztusiła.

- Tej nocy niemiecka łódź podwodna przerwała linię obrony w Scapa Flow... Większość jednostek była na morzu, ale okręt „Royal Oak” stał na kotwicy... Wystarczyły trzy torpedy, żeby przewrócił się do góry kilem i prawie natychmiast poszedł na dno... Ci, którzy znajdowali się pod pokładem, nie mieli szansy ratunku...

Przecież „Royal Oak” to okręt Neda! Ale niemożliwe, żeby Nedowi coś się stało. Na pewno się uratował!

- ...prawdopodobnie około czterystu członków załogi ocalało, ale jeszcze nie wiadomo dokładnie - mówiła dalej Hester. - Bob prosił, żebym zawiadomiła Bidy, zanim dowie się o tym z radia. Będę musiała pójść do niej i powiedzieć jej to, bo nie zniósłby, gdyby miał sam przekazywać taką wiadomość przez telefon... Muszę iść do niej...

Ponownie głos Hester zadrżał, a jej wypielegnowana dłoń podniosła się do oczu, aby otrzeć łzy, zanim spłyną po policzkach.

- Z jednej strony dobrze, że komandor pomyślał właśnie o mnie - rozważała głośno - ale z drugiej strony wolałabym, żeby powierzył to zadanie komu innemu.

Mówiąc to nie płakała ani nie miała nawet zamiaru płakać, ale Judyta wyczuła już, co się święci. Przełknęła ślinę i wydusiła z siebie pytanie, które nie chciało jej przejść przez gardło.

- A co z Nedom?

- Och, kochanie, tak strasznie mi przykro... Dopiero teraz do świadomości Judyty dotarło to, co

Hester chciała jej powiedzieć - Ned Somerville zginął!

*Upper Bickley*

*25 października 1939*

*Drogi Panie Pułkowniku!*

*Dziękuję Panu za tak serdeczny list kondolencyjny z powodu śmierci Neda. Ciocia Bidy bardzo ciężko to prze-*

*żyła. Jest wdzięczna za pamięć i czyta wszystkie listy, ale nie czuje się na siłach własnoręcznie na nie odpowiedzieć.*

*Wujek Bob nie mógł przyjechać do nas natychmiast po zatopieniu „Royal Oak”, bo najpierw musieli w Scapa Flow dokonać szczegółowego rachunku strat. Dopiero w zeszłym tygodniu był w stanie wyrwać się stamtąd na dwa dni. Serce bolało, kiedy patrzyłam, jak starał się pocieszyć Biddy, a sam był jeszcze bardziej od niej oszołomiony i roztrzęsiony. Potem musiał wracać do Scapa Flow i znów zostałyśmy same.*

*Zostanę tu przynajmniej do końca zimy, a na wiosnę się zobaczy. Wiem tylko, że nie mogę zostawić Biddy samej, dopóki nie dojdzie do siebie. Został jej tylko pies, którego dostała od Neda, ale nie jestem pewna, czy to dla niej pociecha, czy raczej smutna pamiątka. Dodatkowo żałuję, że nikt z Was nie zdążył poznać Neda - to był taki inteligentny i miły chłopak! Przesyłam pozdrowienia dla wszystkich i jeszcze raz dziękuję za pamięć.*

*Z szacunkiem -*

*Judyta*

*Nancherrow*

*1 listopada 1939*

*Kochana Judyto!*

*Strasznie zasmuciła nas wiadomość o śmierci Twego kuzyna Neda.*

*Myślami jestem z Tobą i żałuję, że nie możemy być razem. Mama proponuje, żebyś przywiozła tu ciocię Biddy na kilka dni - może zmiana otoczenia dobrze by jej zrobiła? Chyba że odwrotnie, może właśnie lepiej się czuje na starych śmieciach?*

*Tato twierdzi, że wdarcie się niemieckiej łodzi podwodnej na teren Scapa Flow było majstersztykiem sztuki wojennej. Może i było, ale jak można teraz mówić cokolwiek*

*dobrego o Niemcach? Stanowczo tato jest zbyt wielkoduszny.*

*Mam teraz, dla Ciebie trochę najnowszych plotek, ale nie myśl, że uważam je za ważniejsze od tego, co się stało z Nedem!*

*Pierwsza sensacja - Athena jest już z powrotem w domu i spodziewa się dziecka! Ruperta wysłali gdzieś za morze razem z jego pułkiem i ich końmi, więc pewnie hotel „Caledonian” bez niego stracił swój urok. Zdaje się, że znów przerwucili go do Palestyny.*

*Dzidzius ma się urodzić w lipcu!*

*Gus ze swoją 51. Dywizją Strzelców Szkockich, wchodzącą w skład Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, stacjonuje we Francji. Często do niego piszę, a przynajmniej raz w tygodniu dostaję też Ust od niego. Przesłał mi swoje zdjęcie w szkockiej spódniczce, w której wygląda absolutnie fantastycznie!*

*Któregoś dnia w Penzance spotkałam Heather. Uczy się stenografii i maszynopisania, żeby móc podjąć pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych albo innym urzędzie państwowym. Kazała ci powtórzyć, że napisze do Ciebie, kiedy znajdzie wolną chwilę, że Charlie Lanyon zaciągnął się do dywizji piechoty księcia Kornwalii i że też wysłali go do Francji. Nie wiem, kto to jest Charlie Lanyon, ale ona mówiła, że Ty wiesz. Joe Warren też wstąpił do piechoty, a Paddy wciąż pływa z wujkiem na połów ryb.*

*Edward nie pisze do nas, lecz za to często dzwoni. Za każdym razem musimy się streszczać, bo wolno mu rozmawiać tylko przez trzy minuty, a potem przerywają połączenie. Chyba dobrze mu się wiedzie, tym bardziej że lata samolotem nowego typu, który nazywa się „Spitfire”. Świetnie byłoby, gdyby mógł przyjechać do domu na Boże Narodzenie, ale wątpię, czy go puszczą.*

*Przywieźli już kury i ogrodziliśmy dla nich łączkę na tyłach domu. Oczywiście zdążyły ją dokładnie zapaskudzić.*

*Mają małe drewniane domki, a w nich gniazda do składania jaj. Na noc trzeba je zamykać, żeby lis się do nich nie dobrał. Jeszcze nie zaczęły się nieść, ale kiedy zaczną, pewnie będziemy się żywić samymi jajkami. Robi się już piekielnie zimno, a tato pilnuje oszczędzania opału. W salonie wszystkie meble są przykryte pokrowcami, a żyrandol obwiązany workiem, żeby się nie kurzył. Wygląda to smutno, ale ten mały salonik jest dużo przytulniejszy.*

*Nettlebed jest kierownikiem Obrony Przeciwlotniczej, co oznacza, że gdyby zapomniał o zaciemnieniu albo z któregoś okna widać by było światło - musiałby sam się ukarać albo doprowadzić przed sąd. Dobrze, co?*

*Takim samym strażnikiem, tyle że w Londynie, został Tommy Mortimer. Nie przyjęli go do wojska, bo był za stary i na dodatek okazało się, że ma płaskostopie! Zapisał się więc do Obrony Cywilnej i opowiadał nam, że w czasie nalotu musiałby stać na dachu swojej kamienicy z wiadrem wody i sikawką. Jak myślisz, czy gdyby zbombardowali jego sklep, to po ulicach walałyby się diamentowe pierścionki?*

*Mama czuje się dobrze i cieszy się, że Athena jest już w domu.*

*Przeglądają razem „Vogue” i próbują robić na drutach ubranka dla dzidziusia.*

*Jeśli możesz, przyjeźdź do nas! Ucałowania -*

*Loveday*

*Upper Bickley 30 grudnia 1939*

*Kochani Rodzice!*

*Całe szczęście, że ten rok się już kończy! Dziękuję Wam bardzo za śliczne prezenty gwiazdkowe. Nie odpakowy-wałam ich aż do samych świąt, chociaż, nadeszły jeszcze na początku grudnia. Torebka jest właśnie taka, jakiej potrzebowałam, a z jedwabiu dam sobie uszyć wieczorową spódnicę, gdy tylko znajdę dobrą krawcową. Jestem*

*zachwycona tym wspaniałym kolorem. Specjalne podziękowania dla Jess za kalendarz, który sama mi narysowała - szczególnie udały się jej małpki i słonie!*

*Strasznie się ochłodziło i Dartmoor jest całe pod śniegiem, nieprzejezdne szosy i grube czapy śniegu na dachach domów. Codziennie wynosimy siano dla dzikich kuców, które chronią się przed wiatrem za naszym murem granicznym. Nawet zwykły spacer z Morąg jest czymś w rodzaju wyprawy na biegun południowy. W domu też jest niewiele cieplej - może nie tak zimno jak w Keyham, ale prawie. Ten list piszę w kuchni, bo tu jest najprzytulniej, a i tak mam na sobie dwa swetry.*

*Wujek Bob dostał czterodniową przepustkę na święta, ale już mu się skończyła. Byłyby to smutne święta bez Neda, na szczęście Hester Lang zaprosiła nas do siebie na lunch. Nie ubieraliśmy nawet choinki, tylko zachowywaliśmy się, jakby to był zwyczajny dzień. Zatrzymało się teraz u niej miłe małżeństwo z Londynu, starsi państwo, ale bardzo interesujący i kulturalni. Dzięki temu przy stole nie rozmawialiśmy o wojnie, tylko o galeriach sztuki i podróżach na Bliski Wschód. Ten pan chyba jest archeologiem.*

W tym miejscu Judyta przerwała, odłożyła pióro i zaczęła chuchać w zgrabiące palce. Zastanawiała się, czy nie zaparzyć sobie gorącej herbaty. Dochodziła czwarta, a Biddy z Morąg nie wróciły jeszcze ze spaceru. Z kuchennego okna widać było zaśnieżony ogród pnący się po zboczu wzgórza. Jedynym zielonym akcentem w otoczeniu były gałęzie sosen targanych wschodnim wiatrem od morza. Tylko gil wydziobujący orzeszki z siatki, którą Judyta zawiesiła przy karmniku, stanowił jakiś znak życia.

Widok ptaka uświadomił jej, jak szare i smutne były tegoroczne święta, które dzięki Bogu i z pomocą Hester jakoś przeżyły. Potem pozwoliła sobie na ten luksus, że przywołała w myślach zeszłoroczne święta spędzone



w Nancherrow. Pełno tam było gości, jasny i wesoły dom w odświeżonej szacie, pachnąca choinka, a pod nią sterta prezentów...

W jej pamięci utrwaliły się także dźwięki kojarzące się z Nancherrow.

Kolędy śpiewane w kościele w Rosemullion, brzęk talerzy w kuchni pani Nettlebed, walce Straussa puszczone z płyt...

Przypomniała sobie, jak w swej różowej sypialni przebierała się do kolacji, po raz pierwszy się malowała i mierzyła pierwszą dorosłą suknię wieczorową. A kiedy weszła w niej do salonu, Edward wziął ją za rękę i zaanonsował: „Pijemy właśnie szampana...”

I to wszystko miało miejsce tylko rok temu! A teraz nastały całkiem inne czasy i świat też stał się zupełnie inny...

Judyta z westchnieniem wzięła pióro i wróciła do przerwanej listy.

*Biddy czuje się już dobrze, ale wciąż nie potrafi wziąć się w garść. Na przykład kiedy spędzam całe przedpołudnia na lekcjach z Hester Lang, nieraz po powrocie zastaję ją jeszcze w łóżku. Niby nie jest sama, bo przecież przychodzi pani Dagg, ale wygląda to, jakby przestało ją cokolwiek interesować. Mimo że przyjaciółki wydzwanają do niej - nie chce się umawiać z nimi na brydża i wcale nie jest zadowolona, kiedy przychodzą.*

*Jedna Hester Lang nie dała się odstraszyć i myślę, że ułatwi Biddy ponowne nawiązanie kontaktów ze znajomymi. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobiły - jest taka dobra i mądra! Przychodzi do nas prawie codziennie pod byle pretekstem i stara się rozruszać Biddy - na przykład na przyszły tydzień planuje u siebie partię brydża. Myślę, że już najwyższy czas, aby Biddy znów zaczęła bywać wśród ludzi. W tej chwili jest na spacerze z Morąg, a kiedy wróci, napijemy się herbaty. Na razie Biddy nie rozmawia na temat Neda - sądzę,*

*że nie dojrzała jeszcze do tego. Dobrze by jej zrobiło, gdyby zajęła się pracą w Czerwonym Krzyżu lub czymś' podobnym. Taka energiczna osoba nie może przecież siedzieć beczynnie.*

*Brzmi to wszystko dosyć przygnębiająco, ale po co mam Wam wmawiać, że wszystko jest w porządku, skoro tak nie jest? Uważam jednak, że wkrótce Biddy dojdzie do siebie. Na razie zostaję z nią i jest nam razem dobrze, więc nie musicie się o nas martwić.*

*Pojutrze będzie już dzień Nowego Roku 1940! Tęskno mi i nieraz chciałabym być razem z Wami, ale to, co się stało, utwierdziło mnie w przekonaniu, że podjęłam słuszną decyzję. Gdyby Biddy była teraz sama, dopiero mielibyśmy zmartwienie!*

*Muszę kończyć, bo za bardzo już zmarzłam. Podrzucę teraz drewna do kominka w salonie i zapuszczę zasłony zaciemniające, bo z okna widzę, że Biddy i Morąg wracają już ze spaceru. Oczyszczyliśmy ze śniegu ścieżkę aż do bramy i posypujemy ją popiołem, żeby listonosz nie pośliznął się i nie złamał nogi.*

*Ucałowania dla wszystkich i do usłyszenia w Nowym Roku!*

*Judyta*

## 1940

Po zimie tak ostrej, jakiej nie pamiętali najstarsi ludzie, pod koniec marca większość śniegu i lodu już zginęła. Najwyżej resztki pozostawały w zacienionych rowach lub pod murkami granicznymi. Dnia przybywało, ciepły wiatr zachodni podnosił temperaturę powietrza, na drzewach ukazywały się pąki, a ptaki wracały do gniazd. Pod płotami pojawiły się pierwsze dzikie pierwiosniki, a w ogrodzie Upper Bickley zakwitły żonkile.

Majątek Nancherrow wypełniał się już gośćmi przybyłymi z Londynu, aby spędzić tam Wielkanoc. Tommy Mortimer wziął tydzień urlopu z Obrony Cywilnej, a Jane Pearson z dwojgiem dzieci wprowadziła się na cały miesiąc. Jej dobroduszny mąż Alistair przebywał obecnie na froncie francuskim, a niania, młodsza niż się wydawało, zdecydowała się wrócić do dawnego zawodu pielęgniarki i objęła stanowisko siostry oddziałowej w szpitalu wojskowym. Jane zaryzykowała więc sama podróż pociągiem z dziećmi, zabawiając je i utrzymując posłuch w drodze. Natychmiast jednak po przybyciu na miejsce oddała je pod opiekę Mary Millyway, a sama rozsiadła się wygodnie na kanapie, sączyła gin z sokiem pomarańczowym i plotkowała z Atheną. W Londynie mieszkała nadal w tym samym domku na Lincoln Street, ale pod nieobecność męża tak mile spędzała czas, że wcale nie chciała na dłużej opuszczać miasta. Nigdy w życiu tak dobrze się nie bawiła, chodząc na obiady do Ritza lub Berkeleya w towarzystwie przystojnych młodych oficerów.

- A co wtedy robisz z Roddym i Camillą? - spytała Athena takim tonem, jakby chodziło o psy, które można zamknąć w psiarni.

- Zostaje z nimi dochodząca gosposia albo odprowadzam je do mamy - rzuciła lekko Jane, po czym wróciła do ciekawszego tematu jakiejś fascynującej randki: - Ale słuchaj, jaka sensacja...

Goście przywieźli ze sobą swoje kartki żywnościowe z „żelaznymi” przydziałami masła, cukru, bekonu, smalcu i mięsa. Do tego Tommy skombinował, z przedwojennych jeszcze zapasów Fortnuma i Masona, takie delikatesy, jak bażant w galarecie, orzeszki w czekoladzie, aromatyzowana herbata i kawior białugi. Podobno jednak pani Net-tlebed nie była tymi darami zachwycona i wyraziła się, że pan Mortimer mógłby raczej zorganizować porządną świńską nogę!

Wojna uszczupliła też znacznie obsadę służby w Nan-cherrow. Nesta i Janet przywdziały mundury służby pomocniczej i zostały odkomenderowane do produkcji amunicji. Zarówno Palmer, jak i jego pomocnik otrzymali powołanie do wojska, a jedynym zastępcą, jakiego udało się znaleźć, był rencista Matty Pomeroy z Rosemullion. Staruszek co rano przyjeżdżał na swoim skrzypiącym rowerze, ale pracował w iście żółwim tempie.

Hetty była jeszcze za młoda, aby brać czynny udział w obronie kraju. Tłukła więc dalej talerze przy zmywaniu, co doprowadzało panią Nettlebed do szału. Teraz jednak nastały takie czasy, że goście musieli sami sobie radzić z zaciemnianiem swoich pokojów i słaniem łóżek, ustanawiając dyżury przy zmywaniu naczyń i przynoszeniu drew na opał. Wciąż celebrowano spożywanie posiłków w jadalni o określonych porach, ale salon był wyłączony z użytkowania, a srebra rodzinne wyczyszczone, poowi-jane w irchę i odłożone na lepsze czasy. W związku z tym Nettlebedowi ubył jego stały obowiązek polerowania sre-

ber. Zaoszczędzony tym sposobem czas przeznaczal na dogladanie ogrodu.

Zaczelo sie od tego, ze Nettlebed co jakis czas wyskakiwal z kuchni, aby sprawdzic, czy stary Matty Pomeroy nie leniuchuje, skryty za mnozarka do roslin ze swa smrodliwa fajka. Potem sam zaczal proponowac swojej zonie, ze nakopie dla niej kartofli lub zetnie kapuste. Po niedlugim czasie przejal pelna kontrole nad ogrodem warzywnym, z wlasciwa sobie dokladnoscia nadzorujac prace Pomeroya. Kupil w Penzance gumowe buty i sam wzial sie do wytyczania grzedy pod fasole. Przy tej robocie opalil sie i schudl, a Athena zaklinała sie, ze Nettlebed dopiero teraz odnalazl swe wlasciwe powolanie. Diana nie miala nic przeciwko temu, aby jej kamerdyner nabral nieco zdrowszej cery, pod warunkiem ze przed podawaniem do stolu usunie najpierw ziemie z za paznokci.

W nocy osmego kwietnia, w same swieta wielkanocne, Lawinia Boscawen umarla we snie, we wlasnym lozku w Dower House.

Wlasciwie nigdy nie doszla calkiem do siebie po przebytym zapaleniu pluc, ktore tak zaalarmowalo wszystkich krewnych i znajomych. Zime jednak jakoś przekwelała, wstajac juz z lozka, siedzac przy kominku i zawziecie robiac na drutach skarpety dla zolnierzy. Nic jej nie bolalo ani nie odczuwala zadnych dolegliwosci. Po prostu ktorego wieczoru, jak zwykle, polozyła sie spac i nie obudzila sie wiecej.

Znalazla ja stara wierna Isobel, kiedy jak co rano przyniosla pani do lozka goraca wode z cytryna. Najpierw zastukala do drzwi, a potem weszla do sypialni, postawila lace na nocnym stoliku i podeszla do okna, aby je odslonic i podniec rolete zaciemniajaca.

- Piekna pogoda dzisiaj! - wylosila tradycyjna formule, ale nie uslyszala odpowiedzi. Jeszcze raz powtorzyła lo samo, ale juz wiedziala, ze tej odpowiedzi nigdy sie nie doczeka. Lawinia Boscawen lezala cicho, z glowa

opartą na puchowej poduszce tak samo, jak gdy układała się do snu. Oczy miała zamknięte, wyglądała na dziwnie uspokojoną i jakby odmłodniałą. Isobel, która wiele razy w swoim długim życiu zetknęła się ze śmiercią, wzięła z toaletki lusterko i przyłożyła do warg swojej pani. Na srebrzystej tafli nie pojawiła się nawet najlżejsza mgiełka. Isobel odłożyła więc lusterko i przykryła twarz nieboszczki haftowaną serwetką. Potem zapuściła z powrotem roletę i zeszła na dół. Podeszła do telefonu w hallu, choć z pewnymi oporami, bo żywiła głęboką awersję do tego urządzenia. Podniosła słuchawkę i poprosiła telefonistkę o połączenie z Nancherrow. Nettlebed usłyszał dzwonek, kiedy w jadalni nakrywał do śniadania. Spojrzał na zegarek, stwierdził, że jest za dwadzieścia ósma, położył widelec dokładnie na właściwym miejscu i dopiero wtedy poszedł odebrać telefon.

- Tu Nancherrow, słucham.

- Czy to pan Nettlebed?

- Przy telefonie.

- Tu mówi Isobel, z Dower House. Niech pan słucha, pani Boscawen umarła! Tej nocy, we śnie! Znalazłam ją przed chwilą. Jest tam gdzieś może pan pułkownik?

- Nie, Isobel, nie zszedł jeszcze na dół. Ale czy jesteś pewna, że jest tak, jak mówisz?

- O tak, najzupełniej pewna! Leży cichutko jak dzieciątko i ani tchnie. Biedna, kochana pani...!

- Czy jesteś sama?

- A któż by tu jeszcze mógł być?

- A dobrze się czujesz?

- Muszę pomówić z panem pułkownikiem.

- Zaraz po niego pójdę.

- Poczekam przy aparacie.

- Nie czekaj, odłóż słuchawkę. Pan pułkownik sam do ciebie zadzwoni, więc tylko bądź w pobliżu, żebyś usłyszała dzwonek.

- Jeszcze na razie dobrze słyszę.

- Czy jesteś pewna, że wszystko u ciebie w porządku? Zamiast odpowiedzi Isobel odburknęła tylko: „Niech pan powie panu pułkownikowi, żeby do mnie zaraz zadzwonił” - i odłożyła słuchawkę. Wobec czego Nettlebed też odwiesił swoją i przez chwilę stał, przetrawiając wiadomość, którą usłyszał. Potem powiedział do siebie na głos: „O cholera!” - i wolnym krokiem ruszył na górę. Pułkownika zastał przy goleniu, w tureckim szlafroku, piżamie w paski i z ręcznikiem przewieszonym przez kark. Wygolił już jeden policzek, a na drugim jeszcze miał pianę. Stał na macie łazienkowej z brzytwą w ręku i słuchał wiadomości z przenośnego radia, które ustawił na półce. Kiedy Nettlebed zapukał w futrynę drzwi i chrząknął - dał mu ręką znak nakazujący ciszę. Wysłuchali więc razem wyjątkowo hiobowych wieści. Oto we wczesnych godzinach rannych wojska niemieckie wkroczyły do Danii i Norwegii. Do portu w Kopenhadze wpłynęły trzy transportowce wojskowe, nieprzyjaciel obsadził wszystkie porty i wyspy, kontrolował ważne strategicznie cieśniny Kattegat i Skagerrak. Niemiecka flota opanowała także wszystkie porty Norwegii, nawet tak wysunięte na północ jak Narvik. Zatopiony został angielski niszczyciel... Pułkownik wyłączył radio i kończył golenie. W lustrze napotkał wzrokiem spojrzenie Nettlebeda, więc skomentował zasłyszane informacje:

- No, to zaczyna się na całego.
  - Na to wygląda, panie pułkowniku.
  - I zawsze muszą nas zaskoczyć! Czy armia brytyjska powinna dać się zaskoczyć?
  - Nie mam pojęcia, jaśnie panie. - Nettlebed niechętnie zabierał głos w takim ważnym momencie dziejowym, ale coś musiał powiedzieć. - Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mam dla pana jeszcze smutniejsze wiadomości.
- Akurat pułkownik przejechał brzytwą po namydlonym policzku, zostawiając za ostrzem pasek gładkiej skóry.

- Dzwoniła właśnie Isobel z Dower House. Pani Boscawen tej nocy umarła we śnie. Isobel znalazła ją rano i natychmiast do nas zadzwoniła. Czeka przy telefonie, bo powiedziałem jej, że pan pułkownik zaraz oddzwoni.

Kiedy pułkownik odwrócił się do niego, Nettlebed zobaczył na jego twarzy wyraz takiej duchowej udręki, że sam poczuł się prawie mordercą. Przez chwilę panowała cisza, gdyż Nettlebed nie mógł dobrać odpowiednich słów. W końcu pułkownik potrząsnął głową i wykrztusił:

- Och, Nettlebed, jak trudno to wszystko pojąć!
- Bardzo mi przykro, proszę jaśnie pana.
- Kiedy Isobel dzwoniła?
- Była za dwadzieścia ósma.
- Zejdę za pięć minut.
- Dobrze, proszę jaśnie pana.
- I wiesz co, Nettlebed? Znajdź mi jakiś czarny krawat.

W Upper Bickley zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła Judyta.

- Słucham?
- Cześć, tu mówi Athena.
- O rany, jaka niespodzianka!
- Mamusia prosiła, żebym zadzwoniła do ciebie. Niestety, mam smutną wiadomość, przynajmniej dla nas. Ciocia Lawinia nie żyje.

Judytę tak zatkało, że zapomniała języka w gębie. Opadła więc na najbliższy stojący fotel.

- Kiedy to się stało? - wykrztusiła w końcu.
- W nocy z niedzieli na poniedziałek. Ani nie chorowała, ani się źle nie czuła, zwyczajnie położyła się spać i więcej nie wstała. Staramy się w takiej chwili nie myśleć o sobie, ale to dla nas przede wszystkim zakończyła się jakaś epoka.

Mówiła spokojnie, w sposób bardzo opanowany i wyważony. Judytę to zdziwiło, gdyż pamiętała, jak histerycznie Athena zareagowała na wieść o chorobie ciotki La-



winii, że aż Rupert musiał eskortować ją ze Szkocji do Kornwalii! Może małżeństwo i ciąża spowodowały taką zmianę w jej zachowaniu? W każdym razie Judyta cieszyła się z tego, gdyż ciężko by jej było usłyszeć taką wiadomość od osoby tonącej we łzach.

- Tak mi przykro! - powiedziała tylko. - Ciocia była uroczą osobą. Musi wam być strasznie smutno.

- Oczywiście, że jest.

- Czy wasza mama czuje się dobrze?

- Teraz już tak, Loveday też zdążyła trochę dojść do siebie. Tato wygłosił nam wszystkim krótki wykład, w którym tłumaczył, że nie powinniśmy teraz myśleć o sobie, tylko o cioci Lawinii. A jej jest lepiej niż nam, bo ma nareszcie spokój i nie musi denerwować się tą koszmarną wojną.

Rzeczywiście, czy to nie straszne? I jeszcze nie musi czytać gazet, gdzie są mapy z tymi okropnymi strzałkami.

- To bardzo miłe, że mnie zawiadomiłaś.

- Musieliśmy cię zawiadomić, bo przecież ciocia też uważała cię za jedną z nas. Mama prosiła, żeby zapytać, czy przyjedziesz na pogrzeb? Dla nas to bardzo ważne.

- Kiedy ma się odbyć? - zapytała Judyta z pewnym ociąganiem, aby zyskać na czasie.

- Szesnastego, czyli w przyszły wtorek.

- Będziecie tam wszyscy?

- Pewnie, cała nasza paczka. No, powiedzmy, nie cała, bo Edward nie może się wyrwać z tej swojej bazy lotniczej. Pewnie czeka, aż nadlecą niemieckie bombowce, żeby móc je zestrzelić. Starał się o urlop okolicznościowy, ale odmówiono mu z uwagi na sytuację. Natomiast są u nas wszyscy ci co zawsze, nawet Jane Pearson z dziećmi. Tommy Mortimer chyba też się do nas wybiera. Głupio wyszło, bo dopiero co był tu kilka dni, potem wrócił do Londynu, a teraz znów z powrotem. Ale on naprawdę przepadał za ciocią Lawinią, mimo że zawsze częstowała go sherry, a nie jego ulubionym ginem. Musisz

przyjechać, czeka na ciebie twój pokój. Nikogo tam nie zakwaterowaliśmy.

- Musiałabym najpierw porozumieć się z Biddy...

- Och, ona na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. Zresztą najwyższy czas, żebyśmy cię znowu zobaczyli. Przyjedź w niedzielę, tylko czym? Samochodem?

- Powinnam raczej oszczędzać benzynę.

- No to wsiadaj w pociąg. Wyjadę po ciebie do Pen-zance. My nie mamy aż takich trudności z paliwem, bo tato i Nettlebed dostają dodatkowe przydziały za służbę w Obronie Cywilnej. Przyjedź „Riwiera”.

- Tak, ale...

- Och, zgódź się, proszę! Wszyscy tu tęsknimy za tobą i muszę ci się pochwalić, jaki mam już duży brzuch. Wszyscy cię pozdrawiamy, a Loveday nazwała twoim imieniem swoją ulubioną kure! No, muszę już lecieć. Do zobaczenia w niedzielę!

Judyta odszukała Biddy i opowiedziała jej, co się stało.

- Strasznie mnie proszą, żebym przyjechała do Nancherrow na pogrzeb.

- Ta miła starsza pani umarła? Jakie to smutne! Oczywiście, że musisz pojechać... - W tym momencie Biddy kątem oka dostrzegła, że Judyta przygryza wargę, więc zaraz dodała: - Ale czy chcesz tam jechać?

- Myślę, że tak.

- Mówisz to bez większego przekonania. Czy Edward też tam będzie?

- No wiesz!

- Ale będzie tam czy nie?

- Nie, bo nie dali mu urlopu.

- A gdyby miał tam być, czy chciałabyś pojechać?

- Nie wiem, pewnie znalazłabym jakąś wymówkę.

- Ależ, kochanie, przecież już od pół roku żyjesz tu ze mną jak pustelnica!

Nie możesz wечно rozpaczać

za Edwardem, a zresztą jego i tak tam nie będzie. Musisz się trochę przewietrzyć i spotkać z przyjaciółmi.

- Tak, ale nie mam sumienia zostawiać cię samej. Kto ci będzie gotował? Przecież musisz coś jeść!

- Och, mogę kupić sobie pasztecików u piekarza i jeść dużo owoców. Nauczyłaś mnie gotować jajka, a pani Dagg nagotuje mi zupy. Zresztą nawet lubię chleb z margaryną.

Judyta jednakże nadal miała wątpliwości. Pozornie Bidy wróciła już do formy. Za namową Hester zaczęła brać udział w pracach Czerwonego Krzyża i dwa razy w tygodniu przychodziła do niej pomagać w przygotowywaniu paczek dla żołnierzy walczących we Francji. Znow grywała w brydża i spotykała się z przyjaciółkami, ale Judyta, przebywając z nią na co dzień pod jednym dachem, widziała, że nie była to już ta sama Bidy co przedtem. Coś w niej umarło wraz ze śmiercią Neda, z którą nigdy nie pogodziła się do końca. Wprawdzie czasem, zwłaszcza przy słonecznej pogodzie, odzyskiwała dawny humor i sypała jak z rękawa swoimi zabawnymi powiedzonkami, ale też bywały dni, kiedy popadała w zupełną depresję. Wtedy w ogóle nie chciało jej się wstawać z łóżka, wypalała jednego papierosa po drugim i nerwowo spoglądała na zegarek, czy nadeszła już pora jej wieczornego drinka. Czasem nawet i tego nie mogła się doczekać i nieraz wracając ze spaceru, Judyta zastawała Bidy siedzącą w swoim ulubionym fotelu i ściskającą szklankę w dłoniach z takim pietyzmem, jakby od tego zależało jej życie. Dlatego powtórzyła:

- Nie chciałabym zostawiać cię samej.

- Przecież mówiłam, że będzie ze mną pani Dagg. W zasięgu ręki mam Hester i te miłe panie z Czerwonego Krzyża. No i Morąg dotrzymuje mi towarzystwa. Zresztą nie możesz tkwić tu w nieskończoność, zwłaszcza że już skończyłaś lekcje z Hester. Pewnie, że chciałabym mieć cię przy sobie, ale nie wolno ci rezygnować z życia towarzyskiego tylko ze względu na mnie. Zresztą muszę

się wreszcie usamodzielnić, a te kilka dni bez ciebie będzie dla mnie dobrym treningiem.

Judyta w końcu dała się przekonać. Powiedziała „no dobrze” i uśmiechnęła się, bo tym samym opanowała wreszcie swoje rozchybotane emocje. Od razu uczuła przyjemne podniecenie, jakby się wybierała na wakacje. Cieszyła się, że znów zobaczy Nancherrow, ale miała świadomość, że dwie osoby nie będą tam obecne: ciotka Lawinia - ponieważ umarła, i Edward - z powodu rygorów wojennych... Nieprawda, wcale nie dlatego! Straciła Edwarda z powodu własnej naiwności i braku doświadczenia; o to, że zniknął z jej życia, mogła mieć pretensję tylko do siebie.

Poza tym jednak Nancherrow się nie zmieniło i nadal było dla niej oazą ciepła, wygody i luksusu. Nie musiała tam być za nic odpowiedzialna i choć przez kilka dni mogła się poczuć beztrosko jak dziecko. Pewnie nastrój będzie smutny, ale przynajmniej znajdzie się znów w swojej różowej sypialni, wśród ulubionych przedmiotów, jak biurko, gramofon czy chińska szkatułka. Wyobrażała już sobie, jak pootwiera okna na oścież i wychyli się daleko, aż zobaczy błyszczącą tafłę morza i białe gołębie pawiki gruchające wokół gołębnika. Będzie chichotać z Loveday lub tylko przebywać w towarzystwie Atheny, Mary Millyway, Diany i pułkownika. Wiedziała już, że jest to drugie miejsce na ziemi, zaraz po własnym domu, dokąd chciałaby wrócić. Ciekawe, czy ciotka Lawinia, gdziekolwiek by się teraz znajdowała, zdawała sobie sprawę z wartości tego, co zostawiła na ziemi.

Droga do Kornwalii upłynęła w atmosferze nostalgii i wspomnień.

Dobrze już znana Judycie stacja kolejowa w Plymouth była tego dnia zatłoczona młodymi marynarzami ze świeżego zaciągu. Akurat rozzłoszczony podoficer próbował ustawić ich w szeregu na przeciwległym peronie. Kiedy pociąg „Riwiera” wjechał na stację, pa-

rowóz zasłonił ich przed oczami Judyty. Dopiero gdy ekspres ruszył, w ułamku sekundy mignęły jej złane w jedną plamę nowe granatowe mundury i chłopięce twarze o rumianych policzkach.

Po chwili pociąg ze szczękiem toczył się już po przęsłach mostu w Saltash, a zaraz potem ukazał się port pełen okrętów wojennych, pomalowanych już nie na szaro, lecz w barwy ochronne. Za nim zaczynała się już Kornwalia, ze swoimi różowo tynkowanymi domkami, głębokimi dolinami i wiaduktami. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Par, jej zawiadowca wygłosił tradycyjną formułę: „Par, Par, Par - przesiadka do Newquay”. Przejeżdżając przez Truro, małe miasteczko skupione wokół wysokiej wieży katedry, Judyta przypomniała sobie, jak z panem Baine-sem kupowali tam gramofon, a potem jedli lunch „Pod Czerwonym Lwem”. Miejscowość ta kojarzyła się jej także z Jeremym, ponieważ kiedy go poznała - właśnie na tej stacji zebrał swoje manatki, pożegnał się i wysiadł. Wtedy wydawało się jej, że już więcej w życiu go nie zobaczy, a tym samym nie dowie się, jak się nazywał...

Dojechała nareszcie do Hayle, skąd po drugiej stronie ujścia rzecznego widać było Penmarron, a za okrytymi młodą zielenią drzewami - także frontową ścianę Riverview.

Na stacji węzłowej Judyta zdjęła z półki walizkę i wyszła na korytarz, aby nie przepuścić widoku na morze i Mount's Bay. Tyle że plaże otoczone były teraz zasiekami z drutu kolczastego, najeżone bunkrami i zasadzkami przeciwczołgowymi na wypadek prób desantu nieprzyjacielskiego od strony morza. Mimo to jednak morze lśniło w słońcu jak zawsze, słychać było pisk mew, a czuć zapach wodorostów.

Athena czekała na peronie. Można ją było poznać z daleka po rozpuszczonych blond włosach powiewających na wietrze. Nie próbowała nawet ukryć widocznej ciąży,

miała na sobie workowate sztruksowe spodnie i wyrzuconą na wierzch męską koszulę z zawiniętymi rękawami.

- Judyto! - zawołała do niej. Wpadły na siebie na samym środku peronu. Judyta postawiła walizkę na ziemi, aby uścisnąć się na powitanie. Przy czym zauważyła, że mimo niedbałego stroju Athena jak zawsze pachnie drogimi perfumami. - Cudownie, że przyjechałaś. Widzę, że schudłaś, a ja robię się coraz grubsza. Popatrz, jak rośnie... - poklepała się po brzuchu.

- Kiedy dzidzius ma się urodzić?

- W lipcu, ale nie mogę się już doczekać. To cały twój bagaż?

- A spodziewałaś się, że będę wlokła za sobą kufry-szafy i pudła na kapelusze?

- Dobra, chodźmy już. Samochód czeka.

Ten samochód nie był jedną z majestatycznych limuzyn typowych dla Nancherrow. Okazał się wysłużoną furgonetką z drukowanym na burcie napisem: „H. Williams. Handel rybami”.

- Przerzuciliście się na handel rybami? - spytała ze śmiechem Judyta.

- Powiedz, czy to nie świetny kawał? Tato kupił ten wóz, używany, żeby zaoszczędzić paliwa. Nie masz pojęcia, ile osób się w nim mieści. Mamy go dopiero od tygodnia, więc nie zdążyliśmy zamalować tej reklamy.

Wydaje mi się zresztą, że nie musimy tego robić, bo to strasznie zabawne. Mama też tak uważa.

Judyta wrzuciła więc swoją walizkę do przesiąkniętego zapachem ryb pudła wozu. Silnik zaskoczył za drugim podejściem, po czym Athena ruszyła z miejsca tak gwałtownie, że o mało nie otarła się o krawędź nabrzeża.

- Jak to miło, że przyjechałaś! Baliśmy się, żebyś się w ostatniej chwili nie rozmyśliła. Jak tam twoja ciocia, doszła już trochę do siebie? Tak nam było żal biednego Neda!

- Myślę, że już trochę odżyła. Tylko ta zima była taka długa...
- Wyobrażam to sobie! A tyś co robiła w tym czasie?
- Brałam lekcje stenografii i pisania na maszynie. Teraz, kiedy osiągam już odpowiednią szybkość, będę mogła wstąpić do służby pomocniczej albo poszukać sobie jakiejś pracy.
- Kiedy masz zamiar zabrać się do tego?
- Jeszcze nie wiem. Któregoś dnia... - urwała i zmieniła temat. - Masz może jakieś wiadomości od Jeremy'ego?
- A czemu pytasz właśnie o niego?
- Ponieważ przejeżdżając przez Truro przypominałam sobie, w jakich okolicznościach go poznałam.
- W tych dniach rozmawialiśmy przez telefon z jego ojcem, bo Camilla Pearson spadła z huśtawki, rozcięła sobie głowę i Mary bała się, że trzeba będzie założyć szew. Na szczęście obeszło się bez tego, ale przy okazji się dowiedzieliśmy, że Jeremy pływa w tę i z powrotem przez Atlantyk na niszczycielu konwojującym statki handlowe. Chyba nie przesadzał mówiąc, że wygląda to dosyć groźnie. Gus za to jest we Francji ze swoją dywizją, ale lam chyba na razie nic się nie dzieje.
- A co z Rupertem? - spytała szybko Judyta, zanim Athena zdążyłaby wspomnieć o Edwardzie.
- Z nim na razie wszystko w porządku. Przynajmniej pisze masę zabawnych listów.
- Gdzie stacjonuje?
- W Palestynie. Ta miejscowość nazywa się Gedera, ale nie wolno o tym mówić głośno, bo wróg czuwa. Wciąż jeszcze się nie zmechanizowali. A wydawałoby się, że po tym, co się stało z polską kawalerią, powinni szybko przerzucić się na czołgi, prawda? No, ale miejmy nadzieję, że Ministerstwo Wojny wie, co robi. Rupert strasznie się przejmuje tym, że zostanie ojcem. Wymyśla same okropne imiona dla dziecka, na przykład Cecil, Ernest czy Herbert. Podobno to rodowe imiona Rycroftów.

- A jeśli to będzie dziewczynka?
- Wtedy ochrzczimy ją Klementyna.
- Przecież klementynki to odmiana mandarynek!
- Nie szkodzi, najwyżej będzie mandarynkowym dzieckiem. Tak czy siak, na pewno będzie wspaniała. Odkąd przebywają u nas Roddy i Camilla, zaczęłam lubić dzieci! Po tym, jak się dały w tamte święta, wydawały mi się strasznie rozpuszczone, ale Mary Millyway już im przy-tarła rogów. Są naprawdę kochane, a jakie mają zaskakujące powiedzonka!
- A co porabia Tommy Mortimer?
- Przyjeżdża jutro. Chciał wystąpić we fraku, ale tato mu wytłumaczył, że to już lekka przesada.
- Bez cioci Lawinii chyba wszyscy czujecie się trochę dziwnie.
- Tak, coś jakby jeden pokój w domu stał pusty, bez żadnych kwiatów i z pozamykanymi oknami. Śmierć to prawdziwy koniec wszystkiego.
- Rzeczywiście, to kończy wszystko.

Po pogrzebie ciotki Lawinii wszyscy doszli do wniosku, że nawet sama nieboszczka lepiej by tego nie zorganizowała. Pogoda - jak na zamówienie - była piękna i wiosenna, a kościół, w którym najbliżsi krewni i znajomi mieli pożegnać zmarłą - umajony świeżymi kwiatami. W ciasnych, niewygodnych ławkach tłoczyli się żałobnicy z różnych stron kraju i klas społecznych - od gubernatora hrabstwa do byłego marynarza, który zawsze dostarczał ciotce świeże ryby, jak też młodego posługacza z miejscowej szkoły.

Jasne, że wśród gości pogrzebowych nie mogło zabraknąć Isobel ani ogrodnika z Dower House, który na tę okazję nałożył odświętny zielony garnitur z różą w klapie. Przybyli także z urzędu mecenas Baines, dyrektor banku pan Eustick i właściciel hotelu „Pod Mitrą”. Z Truro przyjechał doktor Wells z małżonką, a dostojna lady



Tregurra miała za sobą podróż taksówką aż z Launceston. Nie wpłynęło to w niczym na jej formę fizyczną. Natomiast inni wiekowi uczestnicy uroczystości żałobnych nie byli już w takiej kondycji, toteż przejście od bramy cmentarza do kościoła nastęczało im niejake trudności, zwłaszcza że przeważnie posługiwali się już laskami i nosili aparaty słuchowe. Przyjechał nawet staruszek poruszający się w fotelu na kółkach, popychanym przez niewiele młodszego służącego. Podczas gdy kościół wypełniał się ludźmi, na charczących organach wykonywano utwór będący wymęczoną imitacją „Nimroda” Elgara.

Towarzystwo z Nancherrow zajęło dwie frontowe ławy. W pierwszej usiedli: Edgar Carey-Lewis, Diana, Athena, Loveday i Mary, a za nimi Judyta, Tommy Mortimer, Jane Pearson i oboje Nettlebedowie. Camilla i Roddy zostali w domu pod opieką Hetty. Co prawda Mary i pani Nettlebed nie miały zbyt wielkiego zaufania do tej opieki, gdyż Hetty nie była za bardzo inteligentna ani odpowiedzialna. Pani Nettlebed zagroziła jej jednak na odjezdnym, że źle z nią będzie, jeśli nie przypilnuje dzieci jak należy.

Wszyscy uczestnicy ceremonii zdołali skompletować żałobną garderobę, tylko Athena w kremowej sukni ciężowej wyglądała jak anioł. Kiedy w końcu goście się rozsiedli -dychawiczne organy urwały w pół taktu i ucichły dzwony. Przez otwarte drzwi od strony zakrystii dobiegł świergot Haków.

Stary pastor wstał już, lecz poczuł nagłą potrzebę oczyszczenia nosa. Wierni spokojnie siedzieli więc i czekali, aż znajdzie chusteczkę, rozłoży ją, głośno wydmucha nos i schowa chusteczkę na miejsce. Gdy się już z tym uporał, odchrząknął i zaczął od ogłoszenia komunikatu. Trzęsącym się głosem powiadomił obecnych, że pani Carey-Lewis zaprasza ich po zakończonej ceremonii na poczęstunek do Nancherrow. Po przekazaniu tej wiadomości otworzył swój mszał. Ci z obecnych, którzy mogli - wstali i rozpoczęło się nabożeństwo żałobne.

„...i rzekł Pan: ja jestem życiem i zmartwychwstaniem! Kto wierzy we mnie, choćby umarł, żyć będzie...”

Po odśpiewaniu jednego czy dwóch psalmów pułkownik Carey-Lewis odczytał odpowiedni ustęp z Pisma Świętego. Potem odmówiono jeszcze modlitwę i na tym skończyły się ceremonie religijne. Sześciu mężczyzn, którzy mieli nieść trumnę, wystąpiło naprzód - byli to: przedsiębiorca pogrzebowy, jego krzepki pomocnik, pułkownik, Tommy Mortimer, kościelny i stary ogrodnik w zielonym garniturze. Athena trafnie zauważyła, że wyglądał jak dobroduszny krasnoludek, który przez pomyłkę znalazł się w niewłaściwym towarzystwie. Wszyscy ci panowie podnieśli na wysokość ramion trumnę, która wydała się dziwnie mała, i wyszli z nią na cmentarz. Za nimi z różną szybkością podążyli żałobnicy. Judyta przyglądała się obrzędowi pogrzebowemu, taktownie trzymając się nieco z dala od najbliższej rodziny. Słowa: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” jakoś nie pasowały jej do ciotki Lawinii. Rozejrzała się i zauważyła tuż obok wysoką sylwetkę pana Bainesa. Przypomniało to jej pogrzeb ciotki Luizy w Penmarron przy okropnej, wietrznej pogodzie. Adwokat okazał jej wtedy tyle serca! Nie mogła się też oprzeć, aby nie wspomnieć Edwarda - powinien być znaleźć się tu dziś, aby osobiście odprowadzić ciotkę Lawinię na miejsce wiecznego spoczynku. Stypę urządzono w jadalni, gdyż salon od początku wojny nie był użytkowany. Jadalni jednak też nadano uroczysty wystrój - na gzymsie kominka Diana ustawiła pracowicie skomponowany bukiet z młodych liści buka i pierwszych wiosennych kwiatków. Na kominku płonęły grube polana, chociaż to kwietniowe popołudnie było na tyle ciepłe, aby swobodnie zostawić otwarte okna i wpuścić do środka słone morskie powietrze.

Na długim stole przykrytym białym obrusem czekała

już zawczasu przygotowana uczta dla oka i podniebienia. Oprócz licznych wypieków, jak biszkopty, pierniki, gorące bułeczki, lukrowane ciasteczka i tarta cytrynowa, nad którymi pani Nettlebed napracowała się przez dwa dni -podano także małe kanapeczki z ogórkiem i pikle z warzyw.

Nettlebed natomiast miał pieczę nad wszelkimi napojami. Na kredensie stały dwa srebrne czajniki z herbatą, jeden z indyjską, a drugi z chińską, srebrne dzbanuszki na wodę i mleko, tudzież filiżanki i spodeczki z najcieńszej porcelany. Towarzyszyła im dyskretnie ustawiona karafka z whisky, syfon wody sodowej i komplet szklanek z rżniętego szkła.

Wszystkie krzesła zepchnięto pod ścianę. Usiedli na nich tylko ci, którzy najslabiej trzymali się na nogach. Większość towarzystwa bowiem, stojąc lub przechadzając się, toczyła luźne rozmowy. Wkrótce ta w końcu smutna impreza przypominała nastrojem elegancki koktajl.

Judyta na prośbę Diany pomagała serwować przekąski i dolewała herbaty, jeśli czyjaś filiżanka była pusta. Od czasu do czasu zatrzymywała się, aby zamienić z kimś parę słów, lecz potrwało trochę, zanim spotkała się twarzą w twarz z panem Bainesem. Doszło do tego, gdy akurat stała przy kredensie, trzymając w obu rękach filiżanki i spodki, a adwokat właśnie znalazł się naprzeciw niej.

- Judyto... - odezwał się.

- O, pan mecenas! Jak to ładnie z pana strony, że pan przyjechał.

- To chyba jasne, że musiałem przyjechać. Jesteś teraz bardzo zajęta?

- Tak, bo wszyscy chcą jeszcze herbaty. Nic dziwnego, te filiżanki są takie małe...

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- To brzmi poważnie!

- Nie bój się, to nic groźnego. Może moglibyśmy ulot-

nić się stąd na kilka minut? Widzę, że jest tu więcej osób do pomocy, więc chyba ktoś cię zastąpi.

- No... właściwie tak. Najpierw jednak muszę się zająć tymi paniami, bo czekają na coś do picia.

- Rozmawiałem już z panem pułkownikiem i pozwolił mi skorzystać ze swego gabinetu.

- W takim razie za chwilę tam przyjdę.

- Świetnie. Myślę, że nie potrwa to dłużej niż dziesięć minut. - Akurat przeszła koło niego Loveday z tacą gorących bułeczek, więc w przelocie porwał jedną z nich. -Zajmę się tym, dopóki nie przyjdiesz.

Judyta nalala herbaty do przyniesionych przez siebie filiżanek i zaniosała je pani Jennings, kierownicze poczty w Rosemullion, z którą siedziała jej przyjaciółka, pani Carter, zajmująca się na co dzień czyszczeniem klamek w kościele.

- Jesteś naprawdę bardzo miła! - usłyszała w podzięce. - Tyleśmy się naśpiewały psalmów, że zaschło nam w gardłach. Nie ma tu gdzie więcej tego piernika? Pani Nettlebed zawsze przyrządza takie pyszności...

- Ciekawe, jak ona sobie radzi, kiedy wszystko jest na kartki? - zastanawiała się jej przyjaciółka.

- Och, na pewno narobiła zapasów...

Judyta przyniosła im piernik i zostawiła obie panie same; z dystynkcją żuły ciasto, strząsając z warg okruszki pretensjonalnie odstawionymi małymi palcami. Potem z ulgą wymknęła się z jadalni, gdyż miała już dość wysłuchiwanie babskiego jazgotu. Wyszła na korytarz, a stamtąd do gabinetu pułkownika, gdzie drzwi były otwarte. Pan Baines czekał tam za biurkiem, dogryzając resztki porwanej bułeczki. Potem wyjął jedwabną chusteczkę do nosa i strzepał okruszki z palców.

- Ależ to feta na całego! - zauważył.

- A ja nie zdążyłam nic zjeść, bo przez cały czas karmię innych - poskarżyła się Judyta, opadając na zakłęśnięty, obity skórą fotel.

Z przyjemnością odciążyla troche nogi, zsuwajac niewygodne czarne czolienka na szpilkach. Wprawdzie mecenas zapewnil ja, ze to nie zadna powazna sprawa, ale lez nie mial zbyt wesołej miny. Liczyła jednak na to, ze mowil prawde.

- O czym pan mecenas chcial ze mna rozmawiac? -przypomniała.
  - O całej masie rzeczy, ale przede wszystkim o tobie. Co tam u ciebie?
  - Wszystko w porzadku.
  - Pułkownik wspominal mi o śmierci twojego kuzyna. To straszne.
  - Rzeczywiście, zwłaszcza ze mial dopiero dwadzieścia lat. To chyba za wczesnie, zeby umierac, i to na samym poczatku wojny, jeszcze zanim pogodzilysmy sie z mysla, ze ona juz trwa... To stalo sie tak nagle!
  - Dowiedzialem sie tez, ze zrezygnowalas z wyjazdu do swojej rodziny i postanowilas zostac w kraju.
  - Widze, ze pan mecenas jest na biezaco. - Judyta usmiechnęła sie kwaśno.
  - Spotykamy sie czasem z pułkownikiem w naszym klubie w Penzance. Zreszta lubie wiedziec jak najwiecej o moich klientach. Mysle, ze otrzymujesz z Singapuru same dobre wiadomosci?
- Opowiedziala mu wiec o najnowszych doniesieniach od matki, a potem rozwineła temat i przeszla do lekcji stenografii i maszynopisania, udzielanych jej przez Hester Lang. Pomoglo jej to zapełnic monotonię długiej i ostrej zimy w Upper Bickley.
- Teraz, kiedy osiagam nalezyta szybkość, bede mogła wyprowadzic sie od Bidy i podjac jakas prace. Jednak wciaz mam opory przed zostawieniem jej samej.
  - Na wszystko przyjdzie czas, i to szybciej, niz ci sie wydaje. W kazdym razie dobrze, ze jakoś sobie radzisz. Teraz mam ci do powiedzenia cos o pułkowniku Fawcelcie.

Judyta zmartwiała. Czym jeszcze mecenas ma zamiar ją zaszokować? Nie przyszło jej nawet na myśl, że nie musi to być nic szokującego, bo wystarczył sam dźwięk nazwiska Billy'ego Fawcetta, aby wzbudzić w niej niepokój.

- Co on ma tu do rzeczy?

- Nie bądź taka przerażona. Właśnie chciałem ci powiedzieć, że on już nie żyje.

- Nie żyje?

- Tak, od zeszłego tygodnia. Stało się to w banku w Porthkerris, gdzie chciał zrealizować czek. Dyrektor wyjrzał wtedy ze swego gabinetu i delikatnie dał mu do zrozumienia, że przekroczył już stan swego konta. Na co staruszek wpadł we wściekłość, zsiniał na twarzy, zacharczał i padł na wznak. Oczywiście wybuchła ogólna panika i wezwano pogotowie. Okazało się, że dostał wylewu krwi do mózgu, i zmarł w drodze do szpitala.

Judycie nie przyszło na myśl nic, co mogłaby w tej chwili powiedzieć. Przyłapała się natomiast na tym, że w miarę jak mecenas mówił - jej początkowe przerażenie ustępowało miejsca pragnieniu niepohamowanego, histerycznego śmiechu. Wyobraziła sobie bowiem, jak to musiało wyglądać, i w tych okolicznościach wydarzenie to miało w sobie więcej śmieszności niż tragizmu. Przypominało raczej incydent „Pod Kołowrotkiem”, kiedy Edward Carey-Lewis wrzucił Billy'ego do rynsztoka.

Przykryła usta dłonią, ledwo powstrzymując nerwowy chichot. Pan Baines spoglądał na nią z sympatią i tylko się uśmiechał, bo nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

- Wiem, że powinniśmy zachować powagę - znalazł w końcu odpowiednie słowa. - Ale ja też tak samo zareagowałem na wiadomość o tym. Po prostu ten człowiek, odkąd przestał być groźny, stał się komiczną figurą.

- To prawda, że nie powinnam się śmiać - przyznała mu rację Judyta.

- A co innego można zrobić?

- Tylu ludzi teraz umiera...

- Wiem i bardzo mi przykro.

- Czy w końcu zdążył stanąć przed sądem?

- Oczywiście. Jego sprawa stanęła na wokandzie podczas kwartalnego posiedzenia Sądu Rejonowego w Bod-inin. Było to na świętego Michała. Przyznał się nawet do winy, ale jego adwokat natychmiast przytoczył masę okoliczności łagodzących: że to niby zasłużony weteran wojsk kolonialnych, wielokrotnie ranny na froncie afgańskim... Skończyło się na wysokiej grzywnie i wyroku z zawieszeniem. Udało mu się, że nie poszedł siedzieć, ale i tak resztę życia miał zmarnowaną. W Penmarron otaczał go powszechny bojkot, wykluczono go nawet z klubu golfowego.

- Czym się więc zajmował?

- Trudno powiedzieć. Pewnie pił. W każdym razie na pewno przestał chodzić do kina.

- Cóż za żałosny koniec!

- Nie ma go co żałować. Zresztą i tak jest na to za późno.

- Dziwię się tylko, że pan Warren ani Heather nie powiadomili mnie o jego śmierci.

- Przecież ci mówię, że to się stało dopiero co. Dwa dni temu ukazała się malutka wzmianka w „Western Morning News”. W końcu Billy Fawcett nie był człowiekiem powszechnie znanym ani poważanym.

- To tym smutniejsze.

- Przynajmniej ty już nie masz powodów do smutku. Najwyższy czas, aby raz na zawsze wymazać ten nieprzyjemny epizod z twego życia. Przez cały czas pan Baines pozostawał w tej samej pozycji, oparty swą kanciastą figurą o krawędź biurka. Teraz natomiast wstał i rozejrzał się za teczką, którą przedtem położył na siedzeniu krzesła. Przeniósł ją na dywan i usiadł znowu, zakładając nogę na nogę. Judyta, znając lego przyzwyczajenia, mogła przewidzieć, że teraz adwo-

kat zdejmie okulary i przetrze je jedwabną chusteczką. Rzeczywiście to zrobił, a Judyta wiedziała, że w tym momencie porządkuje on swoje myśli.

- No więc przystąpmy do właściwej sprawy - zapowiedział. Nałożył okulary, schował chusteczkę na miejsce i skrzyżował ręce na piersi. - Może trochę za wcześnie z tym występuję, ale chciałbym rozmówić się z tobą, zanim wrócisz do Devon. Chodzi o dom pani Boscawen.

- Dower House?

- Otóż to właśnie. Ciekawym, co powiesz, jeśli ci doradzę, żebyś go kupiła. Nie jest to najodpowiedniejszy moment do podejmowania tego typu decyzji, ale przemyślałem tę sprawę i doszedłem do wniosku, że nie ma czasu do stracenia.

Przerwał i wytrzymał na sobie wzrok Judyty, która wpatrywała się w niego, jakby nagle postradał zmysły. Widać było jednak, że wyraźnie czeka na jakąś konkretną odpowiedź. Odparła więc:

- Ależ ja mam dopiero osiemnaście lat, po co mi teraz cały dom? Tym bardziej że jest wojna i pewnie wstąpię do służby pomocniczej. Wyślą mnie gdzieś, a kto się wtedy zajmie tym domem?

- Pozwól mi wytłumaczyć... Nie dała mu skończyć.

- Zresztą Dower House chyba nie jest na sprzedaż? Przecież należy do majątku Nancherrow!

- Kiedyś należał, ale teraz już nie. Pan Boscawen wykupił tę posesję, kiedy tylko mógł.

- Czy pułkownik Carey-Lewis nie chciałby teraz jej odkupić?

- Rozmawiałem z nim o tym i wiem, że nie ma takiego zamiaru.

- Ach, więc pan omawiał już ten temat z pułkownikiem?

- Oczywiście. Nie występowałbym z taką propozycją



wobec ciebie, jeśli uprzednio nie znałbym jego punktu widzenia na tę sprawę.

- A dlaczego uważa pan, że to taka ważna sprawa?

- Ponieważ jako zarządzający twoim majątkiem uważam, że to jedna z najlepszych inwestycji, jaką możesz uczynić. Działki budowlane nigdy nie tracą na wartości, a jeśli są należycie uzbrojone - jeszcze zyskują. Teraz jest akurat dobry moment, aby dokonać zakupu, gdyż w czasie wojny ceny domów są najniższe. Wiem, ile masz lat, a w tej chwili przyszłość jest niepewna, ale trzeba myśleć z wyprzedzeniem. Zawsze przyda ci się jakaś baza wypadowa, miejsce, gdzie będziesz mogła zapuścić korzenie. Pomyśl także o swojej rodzinie. Dzięki hojności świętej pamięci pani Forrester masz teraz pieniądze. Jeśli nabędziesz Dower House, zapewnisz tym sposobem dom swoim rodzicom i Jess, kiedy będą wreszcie mogli wrócić z Singapuru. Przynajmniej dopóki nie znajdą sobie czegoś lepszego.

- Na to trzeba będzie jeszcze długo czekać.

- Z pewnością, ale kiedyś ten moment nadejdzie. Judyta zamyśliła się, bo i owszem, było o czym myśleć.

Dower House mógł od zaraz stać się jej własnym domem! Mogła tam zapuścić korzenie, o czym zawsze marzyła. Odchyliła się na oparcie fotela i wbiła wzrok w wygasły kominek, ale oczami duszy widziała już co innego: staroświecki dom z tykającym zegarem i skrzypiącymi schodami... Ciepły i jasny salon z wyblakłymi od starości zasłonami i dywanami, ale zawsze pełen zapachu kwiatów... Kuty w kamieniu korytarz prowadzący do staromodnej kuchni, gdzie czas jakby zatrzymał się w miejscu... Widziana z okna linia horyzontu przebiegająca ponad wierzchołkami najwyższych sosen... Tarasowate opadający ogród i sad z „chatką” Atheny i Edwarda... Co można powiedzieć o miejscu, w którym z każdego kąta wylazi lyle wspomnień? Chwilowo nie знаła jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

- Nie mogę tak w jednej chwili podjąć decyzji - odpowiedziała w końcu.
- Oczywiście, ale staraj się to przemyśleć.
- Tak, ale niech pan także postara się mnie zrozumieć. Zawsze marzyłam o własnym domu, ale cóż mi po nim, skoro nie mogłabym na razie tam mieszkać? Jeśli będzie stał pusty, popadnie w ruinę.
- Nie musi wcale stać pusty - zaczął przemawiać jej do rozsądku pan Baines. - Oczywiście Isobel odejdzie. Planuje zamieszkać u swego brata, a pani Boscawen przed śmiercią zapisała jej dożywotnią rentę, więc ma zapewnione godne warunki życia do końca swoich dni. Dom natomiast będzie można wynająć. Na pewno nie zabraknie chętnych, bo wiele rodzin chciałoby teraz ewakuować się z Londynu na prowincję. Ewentualnie można osadzić tu jakieś starsze małżeństwo, które zajmowałoby się tym domem, albo osobę, która potrzebuje dachu nad głową i za niewielkie wynagrodzenie zgodziłaby się utrzymywać go w porządku...

W tym momencie Judyta przestała już słuchać jego perswazji. Pomyślała bowiem o osobie, która na gwałt potrzebowała dachu nad głową. O kimś, kto pielęgnowałby dom i ogród jak swoją własność. O kobiecie, dla której ta staromodna kuchnia byłaby szczytem nowoczesności i luksusu, a popłakałaby się ze szczęścia na widok małej łazienki i ubikacji z łańcuszkiem do spuszczenia wody...

Pozornie bez związku z tematem wypowiedziała na głos imię „Phyllis”. Przerwała tym panu Bainesowi w pół słowa, więc zdziwiony zapytał:

- Słucham?
- Phyllis mogłaby zająć się tym domem. - Judycie nagle tak spodobał się ten pomysł, że zaczęła go rozwijać. - Przecież pan na pewno pamięta Phyllis. Pracowała u nas w Riverview. Potem wyszła za swojego chłopaka, Cyryła, i ma teraz dziecko. Tego lata, kiedy byłam w Porthkerris,

wpadłam do niej w odwiedzin. Po czterech latach niewidzenia...

- Zaraz, jeżeli ona jest już mężatką...

- No to co? Cyryl jest wprawdzie górnikiem, ale zawsze marzył o pływaniu po morzu, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, wstąpił do marynarki. Phyllis napisała mi o tym zaraz potem, kiedy zginął Ned. Przysłała mi taki miły list...

W tym miejscu Judyta opisała mecenasowi, w jakiej sytuacji znalazła się teraz Phyllis. Opowiedziała mu o górniczym osiedlu w szczerym polu za Pendeen i o tym, że nawet to ubogie mieszkanie Phyllis musiała teraz opuścić i wrócić do matki.

- ...i nie ma pan pojęcia, jak tam u nich jest ciasno. A jej tak mało potrzeba do szczęścia, tylko własnego kąta z ogrodem i łazienką. W Dower House mogłaby zamieszkać z dzieckiem i opiekować się domem pod moją nieobecność. Czy to nie idealny układ?

Najwyraźniej oczekiwała, że pan Baines pochwali jej lok rozumowania. Mecenas jednak był na to zbyt ostrożny.

- Ależ, Judyto, to ma być twoja inwestycja, a nie dom dla Phyllis!

- Przecież to pan chciał, żebym go kupiła! I pan sam podsunął pomysł, żeby znaleźć kogoś, kto zająłby się tym domem! A ja znalazłam cudowne rozwiązanie!

- Rzeczywiście. - Zgodził się. - Tylko czy Phyllis zechce się tu wprowadzić? Nie będzie tęsknić do swojej rodziny i znajomych?

- Nie przypuszczam. Pendeen było tak ponurym miejscem, że nawet bratki się tam nie udawały. I wszędzie jest stamtąd daleko, a tu wystarczy zejść na dół, aby znaleźć się w Rosemullion. Kiedy Ania podrośnie, będzie mogła chodzić do tutejszej szkoły. Phyllis jest taka miła, /c zaraz z każdym się zaprzyjaźni.

Nie wydaje ci się, że będzie się tu czuć samotna? I tak czuje się osamotniona, odkąd Cyryl poszedł na

front. Niech więc choć będzie samotna w przyjemniejszym miejscu. Pan Baines, całkowicie oszołomiony tak nagłą zmianą frontu, zdjął okulary, przetarł oczy i ponownie nałożył szkła.

- Chyba wpadamy z jednej skrajności w drugą - zaczął powoli. - Musimy znaleźć jakiś złoty środek. Powoli i z rozwagą, bo decyzja, którą podejmiemy, wiąże się z dużymi kosztami. Dlatego musisz mieć pewność...

- A ile to ma kosztować?

- Wydaje mi się, że około dwóch tysięcy funtów. Konieczne będzie również dokonanie pewnych napraw, ale większość z nich może poczekać do końca wojny. Będziemy też musieli zlecić wykonanie pomiarów...

- Dwa tysiące funtów to kupa forsy.

Pan Baines pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

- Ale z twoim majątkiem możesz sobie na to pozwolić.

- Naprawdę ten majątek jest aż tak wielki? - Nie mogła uwierzyć. - Jeśli tak, to nie ma nad czym dyskutować, tylko zabieramy się do roboty!

- Jeszcze pięć minut temu przekonywałaś mnie, że wcale nie chcesz tego domu.

- Bo spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba!

- Zawsze miałem wrażenie, że to szczęśliwy dom.

- Rzeczywiście - przytaknęła, przywołując w tym momencie wspomnienie „chatki”, letniego popołudnia, zapachu kreozytu i trzmiela buczącego pod sufitem. Jednak nawet to wspomnienie nie było w stanie odwieść jej od kroku, na który się zdecydowała. Nagle Phyllis stała się dla niej ważniejsza nawet niż Edward. Uśmiechnęła się więc do pana Bainesa. - Chińczycy mają sposób na szczęście. Sprowadzają dobrych ludzi do swoich domów, a oni napędzają je pogodą ducha. Proszę, niech pan to załatwi!

- Jesteś tego pewna?

- Całkiem pewna.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, wysuwając różne

za i przeciw. Z uwagi na to, że Bob Somerville był chwilowo nieosiągalny - opiekunowie jej majątku nie mogli się na razie spotkać. Pan Baines obiecał tylko, że nawiąże /, nim kontakt, jak również zaangażuje geodetę. Na razie prosił Judytę, aby nikomu o tym nie mówiła, a szczególnie Phyllis, co podkreślał ze specjalnym naciskiem.

- A rodzicom mogę o tym wspomnieć? - upewniała się Judyta.
- Myślę, że powinnaś im zasygnalizować swoje zamiary.
- I tak nie dostaną tego listu wcześniej niż za trzy tygodnie.
- W tym czasie coś zaczniesz już krystalizować. Kiedy wracasz do Devon?
- Jutro lub pojutrze.
- Mam twój numer telefonu, więc zadzwonię do ciebie, kiedy będę wiedział coś konkretnego.
- I co wtedy zrobimy?
- Będziesz musiała znów tu przyjechać, aby załatwić formalności. I dopiero kiedy będziesz miała wszystko czarno na białym, możesz zawiadomić Phyllis.
- Już nie mogę się doczekać tego dnia.
- Trochę cierpliwości!
- Pan jest dla mnie taki miły... Adwokat spojrzał na zegarek.
- Zatrzymałem cię trochę za długo. Przyjęcie pewnie już się skończyło.
- To nie żadne przyjęcie, tylko stypa.
- Ten nastrój nie przypominał stypy.
- A czy grzechem jest odczuwać takie radosne podniecenie w dzień pogrzebu cioci Lawinii?
- Myślę, że powód tego podniecenia mógłby jej sprawić tylko przyjemność.

Minął jednak miesiąc, zanim pan Baines zadzwonił do Upper Bickley. Był akurat czwartek i Bidy przebywała

u Hester na spotkaniu koła Czerwonego Krzyża. Judyta w ogródku od frontu zrywała pierwsze konwalie. Miała już w ręku spory bukiet słodko pachnących kwiatów na cienkich łądźkach, otoczonych ostro zakończonymi liśćmi.

W tym momencie usłyszała dochodzący z domu dzwonek telefonu. Odczekała chwilę, licząc na to, że może odbierze go pani Dagg. Kiedy jednak tak się nie stało, pobiegła na skróty przez trawnik prosto do hallu.

- Tu Upper Bickley, słucham?

- Judyta? Tu mówi Roger Baines.

- Och, pan mecenas! - Judyta delikatnie złożyła bukiet konwalii na stoliku pod telefonem. - Czekałam, kiedy pan się odezwie...

- Przepraszam, że to potrwało dłużej, niż myślałem. Teraz jednak wszystko już przygotowane. Geodeta...

Judyta nie była ciekawa, co tu miał do rzeczy geodeta. Wpadła adwokatowi w słowo:

- To znaczy, że możemy już kupić Dower House?

- Tak, wszystko już załatwione. Potrzebna będzie jeszcze tylko twoja obecność i kilka podpisów.

- Chwała Bogu, bo już myślałam, że pojawiły się jakieś przeszkody. Na przykład mogło się okazać, że są jeszcze jacyś krewni uprawnieni do dziedziczenia...

- Nic podobnego. Tyle że ma to kosztować trzy, a nie dwa tysiące funtów i raport geodety nie był aż tak optymistyczny, jak się wydawało.

- Mniejsza z tym!

- Nie tak bardzo, bo przecież masz być właścicielką tego obiektu - przestrzegł pan Baines z nutą rozbawienia w głosie. - Nie można kupować kota w worku!

- Kiedyś usuniemy wszystkie usterki. Najważniejsze, że już go mamy! - Teraz będzie mogła podzielić się radosną nowiną z Phyllis. Nie mogła się już doczekać, żeby pojechać do St. Just i zobaczyć minę Phyllis, kiedy jej to zakomunikuje. - Więc co jeszcze mam zrobić?

- Jak najszybciej przyjechać do Kornwalii, abyśmy załatwili ostatnie formalności.
- Jaki dzień mamy dzisiaj?
- Czwartek.
- Czy w poniedziałek nie będzie za późno? Potrzebuję trochę czasu, żeby poustawić wszystko przed swoim wyjazdem. Wie pan, zapasy jedzenia na weekend i tak dalej. Zaoszczędziłyśmy z Bidy tyle kartek na paliwo, że będę mogła przyjechać samochodem.
- I gdzie byś się zatrzymała?
- Chyba w Nancherrow.
- Gdybyś chciała, mogłabyś także zajechać do mnie.
- Dziękuję ślicznie, pan jest taki miły! Myślę jednak, że w Nancherrow będzie mi najlepiej. Zadzwoń jeszcze, kiedy będę już pewna co do terminu. Prawdopodobnie przyjadę w poniedziałek w porze obiadowej.
- Przyjdź wtedy od razu do mojego biura.
- Dobrze, przyjdę.
- A więc do widzenia.
- Do widzenia i raz jeszcze dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę uśmiechała się głupkowato sama do siebie. Potem zebrała konwale z blatu stołu i przeszła z nimi przez hall prosto do kuchni.

Pani Dagg siedziała przy stole, gdyż właśnie zrobiła sobie przerwę w pracy na drugie śniadanie. Na ten skromny posiłek składała się przeważnie filiżanka mocnej herbaty, a do niej to, co udało się akurat znaleźć na półce w spiżarni. Mógł to być zarówno kawałek sera, jak i kanapka z zimną baraniną. Dziś jednak pani Dagg musiała zadowolić się połówką brzoskwini w syropie, pozostałej /, wczorajszego deseru. Przy tej skromnej przekąsce delectowała się zwykle pikantnymi skandalikami z gazet, ule dziś była pochłonięta poważniejszą lekturą.

Pani Dagg była kościstą starszą damą z siwymi włosami, mocno skręconymi trwałą ondulacją. Miała na sobie roboczy fartuch o kroju kimona z materiału drukowanego

w jaskrawy motyw peonii. Najprawdopodobniej uszyły go członkinie miejscowego kółka pań z resztki kretonu pozostałej po szyciu zasłon. Pani Dagg kupiła ten fartuch podczas zeszłorocznego przykościelnego kiermaszu na cele dobroczynne, zafrapowana krzykliwymi kolorami. Cechowało ją zazwyczaj pogodne usposobienie, lecz tego dnia najwyraźniej była w złym humorze.

- Naprawdę nie wiem... - zaczęła.

- Czegóż to pani nie wie?

- Do czego jeszcze posuną się ci Niemcy? Niech panienka patrzy, co zrobili z Rotterdamem. Teraz Holandia już się poddała, więc idą na Francję. Wszyscy mówili, że nie ośmielą się przełamać Linii Maginota. Miałam nadzieję, że już nie będzie takich okopów jak za tamtej wojny. Mój chłop nasiedział się wtedy w tych okopach i opowiadał, że w życiu jeszcze nie widział takiego błota!

Judyta przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw pani Dagg. Gospościa popchnęła ku niej gazetę przez stół i kończyła napoczętą połówkę brzoskwini.

Kiedy dziewczyna spojrzała na stronę opatrzoną czarnym nagłówkiem, pojęła, o co chodziło pani Dagg. Złowrogie czarne strzałki na mapie wskazywały, że Niemcy przekroczyli Mozę. Ciekawe, gdzie wtedy był Brytyjski Korpus Ekspedycyjny? Ten sam, w którym służyli Gus, Charlie Lanyon, Alistair Pearson, Joe Warren i tysiące innych młodych żołnierzy!

- No nie, chyba nie zajmą Francji! - wyraziła nadzieję, a na zdjęcie zbombardowanego Rotterdamu wołała nie patrzeć. - To tylko pierwsze uderzenie. Zobaczysz pani, że niedługo te strzałki będą skierowane w odwrotną stronę.

- Oj, ja bym nie była taka pewna! Przecież pan Churchill zapowiedział, że czekają nas wysiłek, krew, pot i łzy. Dobrze przynajmniej, że szczerze nam to powiedział. Wiadomo, że ta wojna to nie będzie zabawa. Myślę, że nie organizowaliby tej Ochotniczej Służby Samoobrony, gdyby się nie obawiali, że Niemcy tu wejdą. Mój stary chce



zgłosić się na ochotnika. Mówi, że przezorny zawsze ubezpieczony, ale nie wiem, co z niego byłby za pożytek. Nie trafiłby nawet do królika, a co dopiero do Niemca.

Stanowczo pani Dagg nie była dziś nastawiona optymistycznie. Judyta odsunęła gazetę i zmieniła temat.

- Właściwie to chciałabym z panią porozmawiać. W poniedziałek będę musiała wyjechać, aby zobaczyć się z moim adwokatem. Czy mogłaby pani w tym czasie zaopiekować się panią Somerville, jak ostatnio?

Liczyła na to, że pani Dagg chętnie się zgodzi, zaręczy, że jak za poprzednim razem, tak i teraz świetnie dadzą sobie radę. Nie spodziewała się jednak, że reakcja będzie zupełnie inna. Pani Dagg początkowo nie udzieliła żadnej odpowiedzi, tylko siedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię, dłubiąc w resztkach brzoskwini. Judyta dostrzegła tylko, że starsza pani przygryzła wargi, a na jej szyję i policzki wpełzał rumieniec.

- Co się stało, pani Dagg? - zaczęła naciskać.

Pani Dagg odłożyła łyżeczkę i po chwili podniosła oczy, aż napotkała spojrzenie Judyty.

- Nie widzi mi się... - wycedziła powoli - żeby to był dobry pomysł.

- Ależ dlaczego?

- Po prawdzie, proszę panienki, to ja się boję sama jedna zostać z panią Somerville.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Bo kiedy panienki nie ma w domu... - wyznała pani Dagg z przerażeniem w oczach - to nasza pani pije!

Judycie przeszedł od razu cały entuzjizm dla wyjazdu. Jego miejsce zajął strach.

- Przecież pani wie, że Biddy lubi sobie od czasu do czasu wypić! -

usiłowała argumentować. - Wszyscy wiedzą, że do obiadu zawsze wypija szklaneczkę ginu z tonikiem, a wieczorem podwójną whisky. Wujek Bob też o tym wie.

- Nie o takie picie chodzi, proszę pani. To coś poważniejszego.

Jej spokojna, lecz mocna intonacja głosu utwierdziła Judytę w przekonaniu, że pani Dagg nie kłamie ani nawet nie przesadza.

- Czy pani jest tego pewna? - indagowała jeszcze. - I po czym pani to w ogóle poznała?

- Po pustych butelkach. Zawsze odstawialiśmy je do skrzyni, która stoi w garażu, a kiedy była pełna, zabierał ją śmieciarz. Któregoś dnia, kiedy pani nie było, przyszedłam rano, a pani jeszcze nie wstała. Poszłam na górę sprawdzić, czy jej co nie dolega, i co zastałam? W całej sypialni śmierdziało wódką, a pani spała jak zabita. A ja wiem, że tak śpią tylko ludzie pijani! Nie rozumiałam, jak to mogło się stać, bo w skrzyni nie było więcej pustych butelek niż zawsze, ale gdy zajrzałam do kosza na śmieci, to pod papierami znalazłam dwie butelki po whisky i jedną po ginie. Rozumie pani, ona ukrywała je przede mną! A tak robią pijacy, wiem, bo mój wujek też chlał na umór i puste butelki walały się u niego po całym domu, nawet w szufladach i za wygodką!

Urwała, widząc przerażenie w oczach Judyty.

- Przepraszam bardzo pani. Naprawdę nie chciałam tego mówić, ale czułam, że muszę. Wszystkiemu winna samotność, bo kiedy pani jest w domu, nie ma żadnych problemów. Ja mogę z nią być tylko do obiadu, a potem biedaczka nie ma do kogo gęby otworzyć, chyba że do tego psa... A jeszcze pan komandor jest daleko, a młody pan Ned nie żyje... - Tu pani Dagg najzwyczajniej się rozplakała.

Judyta nie mogła tego znieść. Położyła swoją rękę na spracowanej dłoni pani Dagg i próbowała załagodzić sytuację.

- Niech się pani nie martwi, to bardzo dobrze, że mi pani o tym powiedziała. Na pewno nie zostawię jej więcej samej tylko z panią.

- Ależ... - Pani Dagg wyciągnęła chusteczkę, otarła oczy i wysiękała nos. Czerwone plamy na jej twarzy zaczynały już blednąć. Najwidoczniej dobrze jej zrobiło, że wyrzuciła z siebie to, co miała na języku, i pozbyła się ciężaru odpowiedzialności. - Pani sama powiedziała, że musi się zobaczyć ze swoim adwokatem. To na pewno ważna sprawa i nie można jej odkładać.

- Nie mam takiego zamiaru.

- A może... - podsunęła nieśmiało pani Dagg - ...panna Lang mogłaby zostać tu z naszą panią? Jej trzeba po prostu kogoś do towarzystwa.

- No nie, nie mogę wymagać tak wiele od Hester Lang! Poza tym Bidy mogłaby wtedy zacząć coś podejrzewać. Zrobię inaczej. Zabiorę ją ze sobą do Kornwalii, niby na takie małe wakacje. Pogoda coraz bardziej się poprawia, więc mam dobry pretekst.

- A gdzie zamierzacie się zatrzymać?

- Wybierałam się do moich przyjaciół w Nancherrow... -zaczęła, ale po chwili przemyślała sprawę bardziej dogłębnie. Oczywiście mogła zabrać Bidy do Nancherrow, znając gościnność Diany. Na pewno powiedziałyby: „Ależ koniecznie przywieź ją do nas. Jeszcze jej nigdy nie widziałam, a tak chciałabym ją poznać. Na pewno będzie wesoło. Kiedy przyjeżdżacie?” Jednakże w chwili obecnej nie mogła być pewna, jak Bidy się zachowa, a perspektywa krytycznego wzroku Nettlebeda taksującego jej wstawioną krewną była nie do przyjęcia. - Albo nie, zatrzymamy się raczej w hotelu „Pod Mitrą”. Zaraz tam zadzwonię i zarezerwuję pokoje. Wtedy będę mogła wozić ją wszędzie ze sobą i pokazywać jej miejsca, w których mieszkałam. Taka rozrywka dobrze jej zrobi po tej długiej, smutnej zimie.

- A co z psem? - zadała dodatkowe pytanie pani Dagg. -Przecież panienka nie zabierze psa do hotelu!

- Dlaczego nie?

- Bo mógłby napaskudzić na dywan.

- Jestem pewna, że ona tego nie zrobi.
- Może panienka zostawi ją u mnie? - zaproponowała starsza pani, ale bez specjalnego entuzjazmu.
- To bardzo ładnie z pani strony, ale na pewno świetnie sobie z nią poradzimy. Będziemy mogły zabierać ją na spacer po plaży...
- Może to i lepiej. Widzi panienka, mój stary nie przepada za psami. Uważa, że powinno się je trzymać na dworze, a nie na pokojach. W tym momencie Judycie coś się przypomniało.
- A czy pani mówiła swojemu mężowi o tych... pustych butelkach pani Somerville?
- Nikomu poza panienką nie pisnęłam ani słówka. Widzi panienka, mój chłop lubi się czasem napić piwa, ale nie znosi pijaków. Nie chciałabym, aby kazał mi rzucić tę robotę u pani Somerville. Wie panienka, jacy są mężczyźni.
- Chyba tak - przytaknęła jej Judyta, choć nie miała o tym bladego pojęcia.
- Zawsze mówię, że to cnota nad cnotami trzymać język za zębami.
- Pani jest bardzo dobra.
- E tam, głupstwa panienka plecie! - pani Dagg była znowu sobą. Wypiła trochę herbaty ze swojej filiżanki, lecz zaraz się skrzywiła. - Pfe, jakie to paskudztwo! Całkiem wystygła.

Poderwała się z krzesła i wychlusnęła zawartość filiżanki do zlewu.

- Niech pani zaparzy świeżej, to napijemy się razem.
- W tym tempie nie wyrobie się z pracą.
- A niech szlag trafi pracę!

W Kornwalii nastąpiła wreszcie długo oczekiwana ciepła pogoda. Żar słońca łagodził chłodny morski wiaterek, a przyroda przybrała bardziej nasycone barwy typowe dla maja: świeżą zielenią trawy i młodych liści, kremową kwiałów kasztanowca, różową - różanecznika, białą - głogu, i pastelowo-liliową - bzu, którego czubki przezierały znad ogrodowych murów. Pod bezchmurnym niebem spokojna lafla morza mieniła się odcieniami hiacyntu i akwamaryny, a wczesnym rankiem nad linią horyzontu unosiła się mgiełka, którą potem rozpraszało ciepło słońca. Na ruchliwych ulicach Penzance też światło przeplatało się z pasami cienia. Judyta wyszła z hotelu „Pod Mitrą” i ruszyła piechotą przez

Chapel Street w stronę Zielonego Rynku. Zegar na gmachu banku wybił już wpół do pierwszej. W samo południe upał był taki, że miała na sobie tylko bawełnianą sukienkę i sandały na boso nogi. We wszystkich sklepach drzwi były pootwierane, markizy zapuszczone, a na chodnikach stały wystawione na zewnątrz skrzynki owoców i wczesnych warzyw. Na marmurowej ladzie w sklepie rybnym leżały obłożone tłuczonym lodem całe dorsze, sardynki i makrele, wybałuszając na klientów martwe oczy. W witrynie kiosku z prasą czerniały ponure nagłówki: „Niemcy dotarli do wybrzeży Belgii”. Nie przeszkadzało to jednak kioskarzowi handlować także dziecięcymi wiaderkami i łopatkami, kapeluszami plażowymi, siatkami do połowu krewetek i gumowymi kołami do nauki pływania. Tu i ówdzie widać było nawet przyjezdnych z Londynu, Reading czy Swindon - przeważnie młode matki z małymi dziećmi lub babcie, którym nogi puchły od upału.

Z Zielonego Rynku Judyta przeszła na Alverton, gdzie mieściła się utrzymana w stylu georgiańskim siedziba zespołu adwokackiego „Tregarthen, Opie i Baines”. Światło słoneczne wpadało do hallu przez wachlarzowate okienko nad drzwiami i duże okno przy schodach. Sekretariat zespołu łączyło ze światem zewnętrznym tylko małe okienko jak w kasie biletowej. Był przy nim dzwonek, który Judyta nacisnęła. Na jego dźwięk sekretarka oderwała się od swojej maszyny i podeszła do okienka. Miała schludnie zaondulowane srebrne włosy i okulary w metalowej oprawce.

- Dzień dobry, czym mogę pani służyć?
- Jestem Judyta Dunbar. Umówiłam się na dziś z mecenasem Bainesem.
- Pan mecenasz czeka na panią w swoim biurze. Trafi pani? Na piętrze, pierwsze drzwi na prawo.

Judyta wstąpiła na schody przykryte tureckim dywanem. Na podeście ujrzała portrety wąsatych i obwieszonych dewizkami byłych udziałowców zespołu. Pierwsze drzwi z prawej strony były opatrzone mosiężną tabliczką: „Mec. Roger Baines”. Kiedy zapukała, z wnętrza dobiegł ją głos:

- Proszę!

Adwokat wstał i wyszedł zza biurka.

- O, Judyta!

- Jestem.

- To dopiero punktualna panienska! Usiądź, proszę. Wyglądasz jak pełnia lata.

- Bo dziś taki letni dzień!

- Kiedy przyjechałaś?

- Mniej więcej godzinę temu. Wyjechałyśmy z Upper Bickley wczesnym rankiem, żeby uniknąć zbyt dużego ruchu na szosie.

- Czy pani Somerville przyjechała z tobą?

- Tak, razem z psem. Zatrzymałyśmy się „Pod Mitrą” i Biddy od razu zabrała Morąg na długi spacer. Powiedziałam jej, że na obiad będę z powrotem.

- Dobrze zrobiłaś, żeś ją tu przywiozła.

- Bałam się, że nie będzie chciała jechać, ale od razu spodobał się jej ten pomysł. Prawdę mówiąc, potrzebowała pewnej odmiany. Zresztą jest zafrapowana kupnem Dower House nie mniej ode mnie i nie może się doczekać, kiedy ją po nim oprowadzę.

- Jak długo będziecie mogły tu zostać?

- Dokąd zechcemy, bo zamknęłyśmy dom Biddy i zostawiłyśmy go pod opieką Daggów.

- A więc wszystko dobrze idzie, nawet pogoda dopisała. Nie traćmy więc czasu i przystąpmy do dzieła.

Formalności zajęły ledwie parę minut. Judyta musiała podpisać kilka dokumentów - przy czym na świadka wezwano sekretarkę, pannę Curtis - oraz wypisać czek. Nigdy w życiu nawet sobie nie wyobrażała, że będzie wypisywać czek na tak zawrotną sumę - trzy tysiące funtów! Podpisała go w końcu i podsunęła panu Bainesowi, a ten przypiął go spinaczem do pliku pozostałych dokumentów.

- To już wszystko? - spytała.

- W zasadzie tak, zostało tylko jeszcze parę drobnych, ale ważnych spraw do wyjaśnienia. - Powtórnie opadł na swój fotel. - Dower House jest już właściwie gotowy do zasiedlenia. Isobel wyprowadza się dziś po południu. O piątej ma przyjechać samochodem jej brat, aby ją zabrać ze sobą.

- Czy bardzo nad tym boleje?

- Wręcz przeciwnie. Fakt, że w wieku lat siedemdziesięciu ośmiu zaczyna nowe życie, raczej ją frapuje. Przez ostatnie dwa tygodnie nie robiła nic innego, tylko pucowała wszystko na wysoki połysk, żebyście nie znalazły nigdzie ani plamki, ani źdźbła kurzu. Nie wiem, skąd ona bierze tyle energii. - Uśmiechnął się. - No, ale miała inną kobietę do pomocy, więc może nie skończy na atak serca.

- Chciałabym zobaczyć się z nią, zanim wyjedzie.

- Pojedziemy do Rosemullion zaraz po lunchu. Wtedy przekaże ci wszystkie klucze i udzieli ostatnich instrukcji.

- A co z meblami?

- O tym także chciałem z tobą porozmawiać. Pani Bo-scawen zapisała wszystkie meble pułkownikowi Carey-Lewisowi i jego rodzinie. Sama jednak wiesz, że dwór w Nancherrow jest dostatecznie dobrze umeblowany, a żadne z ich dzieci, jak dotąd, nie założyło własnego domu. Rodzina Carey-Lewisów wybrała więc tylko niektóre, szczególnie dla nich cenne przedmioty, bo każdy chciał mieć jakąś pamiątkę po cici Lawinii. Reszta zostaje w Dower House i Carey-Lewisowie chcą, żebyś je zatrzymała.

- Ależ...

Pan Baines zignorował jej protest i ciągnął dalej:

- Nie ma tam nic wartościowego ani w szczególnie dobrym stanie. Na razie te rzeczy nadają się jeszcze do użytku, więc będą mogły ci służyć, dopóki nie sprawisz sobie czegoś lepszego.

- Jak ludzie mogą być tacy dobrzy?

- Myślę, że oni z ulgą pozbywają się tych starych gratów. Pani Carey-Lewis sama wspominała, że gdyby wystawili je na sprzedaż, nie zarobiliby złamanego grosza. Z tym wiążą się pewne dodatkowe kłopoty. Pani Carey-Lewis i Isobel rozdzieliły między siebie garderobę pani Boscawen i przedmioty osobistego użytku. Pułkownik zabrał z jej biurka wszystkie papiery, które przedstawiały dla niego jakąkolwiek wartość. Niemniej jednak pozostały szuflady pełne starych listów i albumów ze zdjęciami. Wszystko to trzeba będzie posegregować i pewnie ten obowiązek spadnie na ciebie, ale to nic pilnego. Jeśli dogrzebiesz się jeszcze czegoś, co będziesz uważała za ważne dla Carey-Lewisów, możesz odłożyć to na bok, aby kiedyś im przekazać. Myślę jednak, że większość z tych rzeczy będzie można spalić w ognisku.

Judyta skojarzyła sobie od razu słowo „ognisko” ze starym mężczyzną w zielonym garniturze. Spytała więc:

- A co będzie z ogrodnikiem? Czy on także przechodzi na emeryturę?

- Przeprowadziłem z nim rozmowę. Powiedział mi, że nie daje sobie już rady z utrzymaniem w porządku całego ogrodu, ale mieszka blisko i jakieś dwa razy w tygodniu będzie mógł dojeżdżać, żeby przycinać trawę i plewić. Oczywiście, jeśli zechcesz nadal go zatrudniać.

- Nie zniosłabym, gdyby ten ogród został zapuszczony.

- Tak, to byłby wstyd. Na razie jego usługi nam wystarczą, ale myślę, że w niedługim czasie trzeba będzie postarać się o kogoś młodszego i zatrudnić go na stałe.



Może nawet opłaci się wybudować dla niego domek, bo to powiększy wartość całego majątku.

Mecenas rozgadał się na całego, proponując różne usprawnienia, jakie można by z czasem wprowadzić. Judyta, słuchając go, doszła do wniosku, że do poprawienia nastroju wystarczy sam dźwięk jego zaangażowanego głosu i sposób, w jaki mówi o przyszłości, tak dziś odległej i niepewnej. Tymczasem Niemcy dotarli już do wybrzeży Belgii, zagrożony był kanał La Manche i Brytyjski Korpus Ekspedycyjny we Francji. Starsi panowie i małoletni chłopcy masowo zgłaszali się do służb samoobrony i wyglądało na to, że inwazja jest tylko kwestią czasu. A tu, jakby nigdy nic, świeciło słońce, dzieci pluskały się w basenie, a kioskarsz sprzedawał siatki na krewetki i piłki plażowe. Ona zaś siedziała w staroświeckiej kancelarii adwokackiej, która nie zmieniła wyglądu chyba od stu lat, a pan Baines, w tradycyjnym tweedowym garniturze, beznamiętnym tonem omawiał z nią możliwość instalacji w Dower House dodatkowej łazienki, wymiany rur kanalizacyjnych i przebudowy niefunkcjonalnej kuchni. Czuła się wtedy jakby rozdarta wewnątrz między dwoma światami: bezpieczną przeszłością i przerażającą przyszłością. Wprawiało ją to w zakłopotanie, gdyż nie mogła się zdecydować, który z tych światów istniał naprawdę. Nagle zorientowała się, że mecenas przerwał swój monolog akurat w tym momencie, w którym przestała go słuchać. Nastąpiła chwila ciszy, po czym pan Baines dokończył:

- ...ale to wszystko melodia przyszłości.

- Jest pan pewien, że mamy przed sobą jakąś przyszłość? - nie wytrzymała Judyta. Ponieważ uniósł brwi ze zdziwienia, szybko dodała: - Mam na myśli to, że sytuacja tak niepomyślnie się rozwija. Możemy przegrać tę wojnę.

- Ale, Judyto! - W jego głosie zabrzmiało tyleż zdziwienia co oburzenia.
  - Przyzna pan, że nie wygląda to zbyt różowo.
  - Anglia może przegrać bitwę, ale nie przegra wojny. Pewne porażki są nieuniknione, bo mamy do czynienia ze świetnie wyszkolonym i wyposażonym przeciwnikiem. Ostatecznie jednak wyjdziemy z tego zwycięsko. Może to trochę potrwać, ale nie widzę innej możliwości.
  - Mówi to pan z taką pewnością! - zauważyła Judyta.
  - Bo jestem tego pewien.
  - Na jakiej podstawie?
  - Ponieważ jestem o tym głęboko przekonany. „Czuję to w kościach”, jak mawiają starzy ludzie. Dla mnie ta wojna jest czymś w rodzaju krucjaty.
  - Odwiecznej walki dobra ze złem?
  - Albo świętego Jerzego ze smokiem. W każdym razie nie wolno ci upadać na duchu.
- W jego mowie nie słychać było napuszonego patosu ani pobrzękiwania szabelką. Miał przecież żonę i troje małych dzieci na utrzymaniu, a mimo to zachowywał zadziwiający spokój i rozsądek. Znacznie podniosło to Judytę na duchu. Życie przecież musi jakoś toczyć się dalej. Może przeżyjemy jeszcze niejedną chwilę grozy, ale de-fetyzm nie ma najmniejszego sensu. Jeśli tak doświadczony człowiek jak pan Baines może zachować zimną krew, to chyba ona tym bardziej.
- Nie będę, a przynajmniej spróbuję tego nie robić - obiecała z uśmiechem. Poczula się od razu jakby innym człowiekiem, uwolnionym od trosk i nie zważającym na nic. - Dziękuję panu bardzo. Po prostu musiałam z kimś o tym porozmawiać.
  - Dobrze się stało, że wybrałaś właśnie mnie.
  - A czy zamierza pan wstąpić do formacji samoobrony?
  - Już to zrobiłem. Nie dostałem jeszcze broni ani munduru, tylko opaskę na ramię, ale już dziś wieczorem mam

się stawić na pierwszym szkoleniu. Pewnie będziemy ćwiczyć musztrę z kijami od szczotek zamiast karabinów.

Ta wizja, odmalowana tak suchym i beznamiętnym głosem, rozśmieszyła Judytę. I pewnie o to adwokatowi chodziło, bo gdy stwierdził, że atmosfera wróciła do normy, wstał ze swego miejsca.

- Jest już piętnaście po pierwszej. Przejdziemy teraz „Pod Mitrę” na uroczysty lunch razem z panią Somerville, a potem wszyscy pojedziemy do Rosemullion, gdzie oficjalnie obejmiesz swój dom w posiadanie.

Judyta obawiała się, że na początku będzie się czuła w Dower House jak intruz, gdyż z pewnością straszy tam jeszcze duch ciotki Lawinii, której niewidzialną obecność da się odczuć na każdym kroku. Tymczasem absolutnie nie przeżywała tego rodzaju sensacji, gdyż dom został tak starannie wysprzątany i wyszorowany przez Isobel, jakby chciała ona tym sposobem usunąć wszystkie ślady po poprzedniej właścicielce. Nigdzie nie stały żadne kwiaty, poduszki były tak pękate, jakby nikt nigdy na nich nie siedział, zewsząd uprzątnięto też książki, czasopisma, okulary i rozpoczęte robótki ręczne. Po przedmiotach prawnie odzyskanych przez Carey-Lewisów pozostały puste miejsca, jakby szczyrby po brakujących zębach. Zniknął więc narożny kredens wypełniony porcelaną z Rockingham i weneckie lustro wiszące ongiś nad kominkiem w salonie. Do Nancherrow wywędrowała także chińska waza porcelanowa do przechowywania płatków zasuszonych kwiatów, portret ciotki Lawinii w wieku dziecięcym, stoliczek do robótek z czasów królowej Anny, który służył ciotce jako szafka nocna, oraz wiele sepiowych zdjęć oprawnych w srebrne ramki. Pozostały po nich puste blaty słów lub ciemne plamy na tapecie.

Wszystko to jednak było niczym wobec faktu, że dom K'n należał teraz już nie do ciotki Lawinii, tylko do Judyty.

Lunch „Pod Mitrą”, na który podano pieczeń baranią w sosie kaparowym, przeobraził się w wesołą imprezę towarzyską. Szczególnie Biddy była zachwycona, że mogła poznać tak sympatycznego mężczyznę. Po lunchu wszyscy wsiedli do samochodu pana Bainesa i skierowali się do Rosemullion, zabierając ze sobą także Morąg, ponieważ nie było jej z kim zostawić. Biddy usiadła obok mecenasa na przednim siedzeniu, a Judyta z Morąg na tylnym. Otworzyła okno, aby suka mogła wystawić przez nie swój dwukolorowy pysk i przypląszyczyć uszy przed podmuchami wiatru.

- Co z nią zrobimy, kiedy już będziemy na miejscu? -zastanawiała się głośno. - Isobel nie będzie zachwycona, jeśli zobaczy ślady łap na parkiecie i wylazącą sierść.

- Zamkniemy Morąg w samochodzie, tylko trzeba będzie zaparkować go w cieniu i zostawić uchylone okna. Wypuścimy ją, kiedy Isobel już wyjedzie.

Stara służąca oczekiwała już na ich przyjazd, wystrojona w swój odświętny czarny kostium i słomkowy kapelusz przybrany sztucznymi czereśniami, który przez wiele lat wkładała tylko w niedziele. Pod schodami stały jej dwie walizeczki i duża podręczna torba. Isobel była już gotowa do wyjazdu, ale znalazła jeszcze czas, aby oprowadzić gości po całym domu od kuchni po strych i napawać się ich pochwałami.

Rzeczywiście, włożyła dużo wysiłku, aby wyprać firanki, wyfroterować podłogi, nakrochmalić kapy na łóżka, wyczyścić klamki i umyć okna. W biegu udzielała jeszcze ostatnich instrukcji nowej właścicielce.

- Wszystkie klucze wiszą na haczykach w bocznej ścianie kredensu. Ten jest od drzwi frontowych, a dalej od tylnych, garażu, drewnutni, bramy ogrodu i „chatki”. Piec trzeba przeczyszczać rano i wieczorem. Najlepsze srebra wróciły do Nancherrow, ale te, które są w tej szufladzie, też są całkiem niezłe... Tu jest bieliźniarka, a w każdy wtorek przyjeżdża samochód z pralni po brud-

na bieliznę... Proszę uważać na kurek od gorącej wody, bo czasem wypada i można się poparzyć...

Przechodzili tak z pokoju do pokoju, aż obeszli cały dom. Na piętrze Isobel pokazała im łazienkę, sypialnię ciotki Lawinii i pokój gościnny.

Jeszcze wyżej, na poddaszu, znajdowała się sypialnia Isobel z jej żelaznym łóżkiem, a naprzeciw - składzik, w którym piętrzyły się najrozmaitsze skrzynie i kufry, manekiny krawieckie, pliki czasopism powiązane sznurkiem, popsute maszyny do szycia, zrolowane resztki wykładzin dywanowych i linoleum oraz cztery puste ramy do obrazów.

- Wysprzątałabym i to - usprawiedliwiała się Isobel - ale nie wiedziałam, co zrobić z tymi rupieciami, w końcu to nie moje. Pani Carey-Lewis prosiła, żeby je na razie zostawić, bo w tym kufrze jest pełno starych listów i zdjęć.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Judyta. - I tak się napracowałam, a to się kiedyś, w wolnej chwili, przejrzy.

- W każdym razie zamiotłam tu podłogę i usunęłam pajęczyny. To ładny pokój z oknem. Można by w nim urządzić jeszcze jedną sypialnię, tylko gdzie wtedy pomieści się to wszystko?

Biddy dotychczas prawie się nie odzywała, dopiero teraz przeszła przez cały pokoik i stanęła przy mansardowym okienku.

- Masz rację, Isobel - zauważyła. - To może być wspaniała sypialnia z widokiem na morze. Nie będzie ci żal tego widoku?

Isobel potrząsnęła głową z takim impetem, aż zagrzechotały sztuczne czereśnie na jej kapeluszu.

- Na wszystko przychodzi czas, proszę jaśnie pani. Bez świętej pamięci pani Boscawen to już nie jest to samo. A z domu mojego brata też będę miała piękny widok. Zaraz po drugiej stronie pól jest mleczarnia!

Najwyraźniej odplakała już swoje, wyładowując się w szaleńczej pasji sprzątanania. Teraz zaś pod każdym

względem dojrzała do odejścia. Akurat wszyscy zeszli z powrotem na dół, kiedy dał się słyszeć warkot silnika samochodu i przed frontowymi drzwiami z piskiem zahamował mały austin. To brat Isobel przyjechał po nią.

Musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim w popłochu przypomniała sobie wszystko, czego jeszcze nie zdążyła powiedzieć. Czy nie zostawiła czasem swojej książeczki ubezpieczeniowej? Ależ skąd, ma ją w torebce. Na sznurze wisi sześć czystych ściereczek od kurzu, trzeba by je zabrać... A może jaśnie państwo chcą się napić herbaty? Jest w puszcze w kredensie, a dzbanuszek z mlekiem w spiżarni...

Dopiero pan Baines uspokoił ją, zapewniając, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku i chyba nie powinna kazać bratu dłużej czekać... Jej bagaże leżały już w samochodzie, więc Isobel tylko ucisnęła ręce wszystkim trojgu i usiadła na siedzeniu obok brata. Pan Baines zauważył, że nawet się nie obejrzała za siebie, kiedy samochód ruszył.

- Dobrze się stało - stwierdziła Judyta, kiedy austin już znikł z pola widzenia. - Byłoby gorzej, gdyby zaczęła histeryzować. Czułabym się wtedy, jakbym ją wyrzucała na bruk.

- A tak będzie miała piękny widok na mleczarnię. Co teraz robimy?

- Musi pan już wracać do swojej kancelarii?

- Nie, postanowiłem ten dzień pozostawić do twojej dyspozycji.

- No to świetnie. Zostańmy tu trochę, wypuszczę Morąg i dam jej wody, a potem napijemy się herbaty.

- Mówisz zupełnie jak moja córeczka, kiedy bawi się w dom. - Pan Baines się uśmiechnął.

- Tak, tylko to jest naprawdę, a nie na niby!

Było bardzo ciepło, więc do podwieczorku zasiedli na werandzie. Pan Baines poznosił tam różne stare wyplatane

meble, aby mieli na czym usiąść. Na błękitnym niebie pojawiło się kilka puszystych białych obłoczków, które wkrótce rozwiały się jak dym. Lekki powiew poruszał gałązkami różowo kwitnącego migdałowca, strącając płatki na trawnik. Skądś słyhać było śpiew drozda. Podczas gdy cała trójka piła herbatę z pozostałych po ciotce Lawinii filiżanek z girlandami róż - Morąg udała się na wyprawę, aby zbadać teren i zapoznać się z wszystkimi nowymi zapachami.

- Mam nadzieję, że ona się tu nie zgubi! - zaniepokoiła się Biddy.

- Na pewno nie.

- Jak daleko sięga ten ogród?

- Do podnóża pagórka. Opada tarasami, a na samym dole jest sad. Później ci wszystko pokażę.

Znów odezwał się drozd. Biddy odsunęła od siebie filiżankę i spodek, odchyliła się i przymknęła oczy, rozkoszując się jego śpiewem. Pan Baines i Judyta zostawili ją więc samą i udali się na powtórny obchód domu. Tym razem nastawili się szczególnie na wyszukiwanie usterek, które wymagały niezwłocznej naprawy. I tak na poddaszu w sypialni Isobel wykryli świeży zaciek, a drugi taki sam w łazience. W kuchni jeden z kranów ciekł, a w zmywalni można było podejrzewać początki grzyba.

- Trzeba będzie wezwać hydraulika - stwierdził pan Baines i wyszedł na dwór, aby sprawdzić stan rynien oraz rzucić okiem, czy zawiasy nie są zardzewiałe lub czy nie brakuje dachówek.

Judyta upewniła się, że jej obecność nie będzie przy tym potrzebna, po czym wróciła do Biddy. Idąc przez kuchnię, po drodze zdjęła z haczyka klucz od „chatki”, ho uznała, że to najlepszy moment, aby wygnać ostatniego upiora straszącego w Dower House. W jej nowym domu nie powinno być miejsc wiążących się z przykrymi wspomnieniami!

Biddy siedziała tam, gdzie ją pozostawili, tyle że Morąg

już wróciła ze spaceru i odpoczywała u nóg swej pani. Judyta dawno nie widziała Biddy pogrążonej w tak błogim rozmarzeniu. Wprawdzie nie spała, ale aż przykro było jej przeszkadzać. Judyta jednak przysunęła sobie wiklinowy taboret i usiadła naprzeciw niej.

- Czy chciałabyś zobaczyć ogród? - spytała delikatnie. Biddy dopiero teraz odwróciła głowę.

- Coście tam robili z tym twoim adwokatem?

- Sprawdzaliśmy stan instalacji.

- To bardzo sympatyczny facet.

- Owszem, wyjątkowo.

- Pani Boscawen musiała być bardzo spokojną osobą.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ w życiu nie widziałam jeszcze tak spokojnego miejsca. Wokół cisza, słychać tylko śpiew ptaków i pisk mew. I ten ogród zalany słońcem, z widokiem na morze...

- Rzeczywiście, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, wydawało mi się, że jestem za granicą. Gdzieś nad Morzem Śródziemnym, na przykład we Włoszech...

- Bardzo dobre porównanie. Zdążyłam już zapomnieć o Kornwalii, bo nie byłam tu od tamtego lata w River-view. Tu czuję się jak w zupełnie innym kraju, z dala od Devon.

- Czy to ci się podoba?

- Nawet bardzo. Od razu lepiej się czuję, kiedy jestem w domu, w którym żaden kąt nie przypomina mi Neda.

Po raz pierwszy od śmierci syna Biddy wypowiedziała głośno jego imię.

- Czy to dobrze? - Judyta wołała się upewnić.

- Wiem, że nie powinnam się z tego cieszyć, bo trzeba pielegnować wspomnienia, ale w Upper Bickley jest ich za dużo. Budzę się w nocy, bo wydaje mi się, że słyszę jego głos. Idę do jego sypialni, wtulam twarz w kołdrę na jego łóżku i płaczę... Ta zima była dla mnie koszmarem. Nie wiem, jak przeżyłabym ją bez ciebie.



- Najgorsze już minęło - pocieszyła ją Judyta.
- Tak, ale wiem, że muszę tam wrócić, aby uporać się ze swoją słabością i móc spojrzeć prawdzie w oczy.
- Wcale nie musisz tam wracać, bo możesz zostać tutaj. Teraz to jest mój dom i nic nie stoi na przeszkodzie, aby się tu wprowadzić choćby jutro. Jeśli chcesz, zostań tu na kilka dni, tygodni lub nawet całe lata. Dlaczego go nie?
- Proszę, to już masz gotowy plan? Kiedyś ty na to wpadła?
- Teraz, w trakcie rozmowy z tobą. Nie widzę niczego, co mogłoby nam w tym przeszkodzić.
- Przecież nie mogę zostawić mojego domku w Devon na pastwę losu!
- Możesz wynająć go komuś na lato z pełnym umeblowaniem. To taki świetny punkt, blisko do Plymouth. Na pewno znajdziesz wielu chętnych wśród rodzin marynarzy skoszarowanych w Devonport. Wystarczy, jeśli rozgłosisz w porcie, że ten dom jest do wynajęcia.
- A co Daggowie poczną ze sobą?
- Jeśli w twoim domu zamieszkają jacyś sympatyczni ludzie, to Daggowie chętnie zgodzą się pomagać im w utrzymaniu domu i ogrodu. Dla ciebie będą to miłe wakacje, a przy okazji pomożesz mi uporządkować strych...
- To ładne wakacje! - Biddy się roześmiała. Judyta zauważyła, że ciotka zaczyna się zapalać do tego projektu.
- No więc o co ci jeszcze chodzi? Zgódź się, należy ci się taka zmiana otoczenia.
- Ale przecież obie doszliśmy do wniosku, że nie możesz wiecznie mieszkać ze mną, a wiesz, jak kiepsko radzę sobie sama...
- Nie będziesz sama, bo chcę sprowadzić tutaj Phyllis razem z jej dzieckiem. Pamiętam, że zawsze lubiłaś Phyllis, a jej mała Ania jest taka urocza! Tym sposobem, nawet icli zaciągnę się do służby pomocniczej, we trójkę dacie sobie radę ze wszystkim. Zabiorę cię jeszcze do Nancherrow i przedstawię Dianie i całej reszcie. W ich towarzy-

stwie nikt nie może czuć się samotny! Zresztą będziesz mogła pracować w Czerwonym Krzyżu z nią zamiast z Hester Lang. Widzisz, jak wszystko świetnie się układa? Chyba to miało tak być.

Biddy jednak wciąż dręczyły wątpliwości.

- A co na to powie Bob?

- Zadzwonimy do niego i poinformujemy go o naszych planach.

- Tak, ale chodzi o to, żebym była w domu, kiedy on dostanie urlop.

- Stąd do niego nie jest dużo dalej niż z Devon. Zresztą możecie się umówić, że będziecie się spotykać w Londynie. Dojedziesz tam pociągiem. No, Biddy, nie wymyślaj coraz to nowych trudności! Zgódź się, choćby do końca lata!

- Jeszcze to przemyślę... - wymawiała się słabo Biddy, ale Judyta nie zwracała już na to uwagi.

- Dziś jeszcze przenocujemy „Pod Mitrą”, ale jutro zrobimy zapasy jedzenia i wprowadzimy się tu na dobre. Pościelimy sobie łóżka i narwiemy masę kwiatów do flakonów. Jeszcze dziś napalimy dobrze w piecu, żeby nie wygasł. Będziemy wtedy mogły nagrzać dużo wody i o nic więcej nie musimy się martwić!

- A co będzie z Morąg?

- Co ma z nią być? Ona już polubiła to miejsce, prawda, maleńka? Czuje się tu jak w domu. Proszę cię, przestań już mnożyć przeszkody! Co mi po domu, jeżeli nie miałybyśmy nim się cieszyć?

Biddy wreszcie uległa.

- No dobrze, spróbujemy. Na razie przez dwa tygodnie... - W tym momencie wybuchnęła śmiechem. - Skąd u ciebie się wzięła taka siła przekonywania? Na pewno nie odziedziczyłaś tego po matce ani po ojcu.

- Załóżmy, że mam to po tobie. Teraz pospieszmy się, zanim pan Baines wróci, bo chcę pokazać ci ogród.

Biddy wstała i w przyjemnym ciepłe popołudnia prze-

szły razem na przełaj przez trawnik, a potem ścieżką prowadzącą między grzędami róż aż do sadu u stóp wzgórza. Stare pokrzywione jabłonie okryły się już młodą zielenią. Kwiaty przekwitły, a na ich miejscu pojawiły się zawiązki owoców. Pod drzewami rosła wysoka trawa, przetykana maczkami i rumiankami. Ogrodnik jeszcze nie zdążył jej skosić i zgrabić w małe kupki.

- To wygląda jak obraz Moneta - rozmarzyła się Biddy, podczas gdy Morąg w podskokach pobiegła naprzód. -A co to za domek?

- To właśnie jest „chatka”, którą ciotka Lawinia kazała zbudować dla Atheny i Edwarda, kiedy byli mali. Latem bawili się tu w dom.

- Chciałabyś mi ją pokazać?

- Myślę, że tak, bo po to wzięłam klucz.

Judyta poszła pierwsza, schylając się pod nisko nawi-stymi gałęzmi jabłoni. Kiedy wstąpiła na drewniane schodki - w nozdrza uderzył ją zapach nagrzanego w słońcu kreozotu. Wsadziła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Wewnątrz ukazało się łóżko przykryte czerwonym kocem. To tu poznała, a potem straciła swoją pierwszą miłość...

„Miłość się tu dopiero zaczyna...”

Dla niej tu się skończyła.

„Nie ma sensu obdarzać miłością niewłaściwą osobę...”

Przypomniała sobie trzmiela brzęczącego wtedy pod sufitem. Gdy spojrzała w górę, były tam takie same pajęczyny. Poczowała, jak jej oczy wypełniają się łzami.

- Judyto!

Otarła łzy i odwróciła się do Biddy.

- Głupio wyszło, prawda?

- To tutaj ty i Edward...?

- Tak. Od tej pory tu nie byłam, ale dziś musiałam lu przyjść.

- Żeby wyrwać tę zadrę?

- Chyba tak.

- Ciągle jeszcze cię to gryzie?

- Tak.
  - No to byłaś odważna, że tu przyszłaś - uznała Bidy. -Ale teraz to miejsce należy do ciebie i będziesz mogła wypełnić je nowymi wspomnieniami, jakimi zechcesz.
  - Prawdę mówiąc, to nie czuję w tej chwili zbyt wiele odwagi.
  - Poza wszystkim zawsze masz tu dodatkowe miejsce do spania. Na przykład dla gości, którzy chrapią.
- Judycie od razu przeszła chęć do płaczu. Obydwie zanosły się śmiechem, potem Bidy uściśnęła ją i wypchnęła z domku. Zamknęły go na klucz i ruszyły z powrotem przez sad. Usłyszały stamtąd, że pan Baines je woła, więc przyspieszyły kroku, aby jak najszybciej podzielić się z nim swoimi planami.
- Tu Nancherrow, słucham.
  - Diana? Judyta z tej strony.
  - Ach, kochanie! Skąd dzwonicz?
  - Z Dower House. Wprowadziłam się wczoraj i już tu mieszkam.
  - To wspaniale. Nawet nie wiedziałam, że przyjechałaś.
  - Przywiozłam ze sobą Bidy i jej psa. W poniedziałek odebrałam klucze, a wczoraj się tam przenieśliśmy.
  - Na stałe?
  - Nie wiem, ale na pewno na jakiś czas. Jest tu cudownie i dziękuję ci bardzo, że zostawiłaś mi meble. Wydaje mi się, że powinnam jakoś ci za to zapłacić...
  - Nawet nie wspominaj o tym, bo Edgar obraziłby się śmiertelnie. Wiem, że po tych rzeczach, które zabrałam, zostały takie brzydkie puste miejsca, ale chciałam, żeby każde z moich dzieci miało jakąś pamiątkę po kochanej cioci Lawinii.
  - Tych pustych miejsc prawie nie widać, a zresztą z czasem zastawię je swoimi rzeczami. Co tam u was słychać?
  - Wszyscy zdrowi. Niedawno Edward niespodziewanie

wpadł do nas na dwa dni, bo dostał wolny weekend. Nie mogłam sobie darować, że cię tu wtedy nie było.

- A co on porabia?

- Schudł i musiał być zmęczony, bo większość pobytu przespał. Dopiero kiedy miał już wracać do Kent czy gdzie on tam jest - stał się znów taki jak przedtem. Powiedziałam mu, że kupiłaś Dower House i bardzo się tym ucieszył, jak i my wszyscy. Mówił, że to tak, jakby ten dom został w rodzinie, i prosił, żebyś nie wprowadzała lam żadnych radykalnych zmian.

- A niby co miałabym wprowadzić?

- Bo ja wiem? Może dobudowałabyś salę balową czy coś w tym rodzaju? Czekał, kiedy my się zobaczymy? Już wiem - wpadnij do nas na lunch razem ze swoją ciocią i pieskiem. Może być jutro?

- Jutro to nie, bo wybieramy się do St. Just. Chcę zaproponować Phyllis, żeby zamieszkała u mnie razem ze swoją córeczką, a przy okazji zajęła się naszym domem. Mam nadzieję, że spodoba się jej ta propozycja, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Kochanie, chyba wszystko byłoby dla niej lepsze od tej ciasnoty w St. Just! Więc może wpadniesz na lunch w piątek?

- Z przyjemnością. I chciałabym cię prosić, żebyś wciągnęła Bidy do waszego koła Czerwonego Krzyża.

- Oczywiście, przyda się nam zastrzyk świeżej krwi, zwłaszcza że Barbara Parker-Brown zanadto się tu szarogęsi. Zastraszyla już wszystkie panie z wyjątkiem mnie. Zawsze nam wmawiano, że wojna wyzwala w ludziach najlepsze cechy, ale u niej chyba ujawniły się najgorsze. A co mamy zrobić z twoimi rzeczami, które są tutaj? Chcesz je zabrać czy mamy je dla ciebie przechować?

Zabiorę wszystko, żeby zwolnić twoją różową sypialnię.

Jakie to smutne. To tak, jakby kończyła się pewna

epoka! Nic, powiem Mary, żeby je spakowała, i odeślemy ci je traktorem lub czymś podobnym.

- Z tym nie musisz się spieszyć. A co słyhać u Atheny?

- Grubieje z dnia na dzień. Szykuję już dla dziecka łóżeczko. Będzie śliczne, całe obszyte białym angielskim haftem. Pokażę ci je, gdy przyjedziesz. A więc do zobaczenia w piątek! Powiem pani Nettlebed, żeby zabiła tucznego cielca... to znaczy ukrećła łeb którejs ze starych kur Loveday. Dziękuję za telefon, kochanie. Tak się cieszę, że będziesz znowu z nami. Pa!

*Dower House, Rosemullion, Kornwalia 25 maja 1940, sobota*

*Kochani Rodzice!*

*Znowu długo do Was nie pisałam, ale tyle różnych rzeczy się działo...*

*Chociażby ten papier, na którym piszę. Podoba Wam się? Znalazłam całą papeterię w szufladzie biurka. Taki piękny wytłaczany papier od Harrodsa, jakby na mnie czekał!*

*A więc wprowadziłam się już do nowego domu razem z Biddy i jej psem. Biddy szalenie się tu podoba, kompletnie już, się rozluźniła i wygląda lepiej niż przedtem. Myślę, że dobrze się czuje w takim spokojnym domu, w którym nic nie przypomina jej Neda. Zresztą zawsze lubiła Kornwalię. Dziś po obiedzie poszliśmy nad morze popływać. Liczę na to, że zostanie tu ze mną przynajmniej do końca lata, ale oczywiście to ona o tym zadecyduje.*

*Wczoraj pojechałyśmy moim samochodem do St. Just, gdzie Phyllis mieszkała u swojej matki. Jest tam niewyobrażalnie ciasno, więc po wstępnych grzecznościach i obowiązkowej herbatce z ciastem wywabiłyśmy Phyllis na dwór. Usiadłyśmy razem na trawie i przedstawiłyśmy jej naszą ofertę, żeby zabrała Anię i przeniosła się do mojego domu. Ania już chodzi i mówi kilka słów. Jest strasznie*

*słodka i na szczęście podobna bardziej do Phyllis niż do Cyryla, bo on tylko brwi miał ładne!*

*Trochę potrwało, zanim Phyllis pojęła, o co mi chodzi, ale kiedy to do niej dotarło - rozplakana się ze szczęścia. Umówiliśmy się tak, że będę jej płacić pewne wynagrodzenia za zajmowanie się domem. Ponieważ oprócz tego dostaje jakąś część żołdu Cyryla, no i nie będzie musiała płacić czynszu za dom - nie powinna mieć kłopotów finansowych. Pan Baines zaaprobował taki układ. Obawiałam się, że Phyllis może mieć opory przed rozłąką z matką, ale podeszła do sprawy filozoficznie. Natomiast jej matka, gdy ją o tym powiadomiliśmy, chyba poczuła głównie ulgę, bo w tym domku było nieprzyzwoicie ciasno!*

*W piątek Biddy pojechała ze mną na lunch do Nancherrow. Obawiałam się, czy przypadną sobie do gustu z Dianą, bo mają zbyt podobne charaktery. Na szczęście okazało się, że pasują do siebie, bo od razu zaczęły plotkować i chichotać z tych samych głupich kawałów. Biddy chce przyłączyć się do koła Czerwonego Krzyża, które prowadzi Diana, żeby móc robić coś pożytecznego dla kraju. Zdążyła już się tu zadomowić i stopniowo dochodzi do siebie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim obciążeniem psychicznym był dla niej każdy dzień pobytu w domu pełnym pamiątek po Nedzie.*

*Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy pokażę Wam mój nowy dom. Chyba mi się udało — nie mam jeszcze dziewiętnastu lat, a już zapuszczam korzenie! Nie znaczy to oczywiście, że mam zamiar od razu tu osiąść. Szczerze pragnę wstąpić do służby pomocniczej, ale najpierw muszę pozalać wszystkie sprawy. Może zrobię to dopiero pod koniec lata.*

*Teraz, powinnam już iść na strych i pomóc Biddy, bo męczy się tam sama przy porządkowaniu starych gratów. Na razie mamy trzy sypialnie, a Phyllis z Anią będą spały na poddaszu, tam gdzie przedtem Isobel. Z czasem jednak możemy potrzebować jeszcze jednej sypialni, więc kiedy*

*uprzątniemy tę drugą facjatkę, będziemy musiały ją odmalować i wstawić tam jakieś meble.*

*Komunikaty z frontu są przygnębiające. Alianci wycofali się do Dunkierki. Pułkownik Carey-Lewis jest przekonany, że cały Brytyjski Korpus Ekspedycyjny zostanie wycięty w pień lub w najlepszym razie wzięty do niewoli. Wszystko teraz dzieje się tak szybko, że zanim dostaniecie ten list - Bóg jeden wie, co jeszcze może się wydarzyć. Jednak pan Baines wierzy święcie, że wygramy tę wojnę, a ja przychylam się do jego zdania.*

*Nie martwcie się więc o nas, choć wiem, że to trudne, kiedy dzielą nas takie odległości. Mam jednak nadzieję, że wbrew wszystkiemu nic się nam nie stanie.*

*Wasza kochająca -*

*Judyta*

Nareszcie skończyła się ewakuacja wojsk brytyjskich spod Dunkierki, słusznie nazwana Cudem Dziewięciu Dni. Pierwszą partię żołnierzy udało się wydostać stamtąd już dwudziestego szóstego maja, ale Dunkierka, po wielu dniach i nocach nieprzerwanych ataków stała w ogniu, a mola i nabrzeża były zniszczone. Niedobitki Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego zebrały się więc na plażach i wydmach, czekając w długiej, lecz zdyscyplinowanej kolejce na możliwość ucieczki.

Transportowce i niszczyciele, mimo nieustannego ognia artyleryjskiego i nalotów z powietrza, stały na redzie, ale oddziały otoczone w kotle Dunkierki, nie dysponujące środkami transportu, nie miały jak do nich dotrzeć. Kiedy wieści o tym rozeszły się po wybrzeżu Anglii - już następnej nocy z Dover wyruszyła dziwna flotylla małych jednostek pływających. W jej skład wchodziły zarówno jachty, jak i barki, stateczki wycieczkowe, holowniki, a nawet pontony, które wypłynęły z przystani od Poole do Hamble, z Hayling Island i Hastings, Convey Island i Burnham-on-Crouch. Sterowali nimi starsi panowie



i młodzi chłopcy, emerytowani dyrektorzy banków i rybacy, rządcy majątków i wszyscy, którzy mieli jakiekolwiek kwalifikacje żeglarskie, nabyte podczas wakacji w czasie pokoju.

Zadaniem ich było podpływać jak najbliżej do plaż, załadować jak najwięcej ludzi i odstawić ich w bezpieczne miejsca. Kursowali tak tam i z powrotem, odwożąc wyczerpanych żołnierzy do czekających na redzie okrętów. Kiedy kończyło się im paliwo - wracali do Anglii, aby zatankować nowy zapas i trochę odpocząć. Potem akcja zaczynała się od początku.

Trwało to dziewięć dni, a w poniedziałek, trzeciego czerwca, operacja została zakończona. Dzięki zarówno zorganizowanym, jak i spontanicznym akcjom, względnie aktom indywidualnego bohaterstwa - ewakuowano z plaż Dunkierki i dostarczono do Anglii ponad trzysta tysięcy żołnierzy. Ojczyzna odetchnęła z ulgą, ale czterdzieści tysięcy ludzi zostało w rękach nieprzyjaciela jako jeńcy wojenni.

Natomiast 51. Dywizja Strzelców Szkockich nie brała udziału w walkach pod Dunkierką. Pozostała we Francji, aby wesprzeć osłabioną fizycznie i moralnie armię francuską. Była to już jednak walka z góry skazana na przebraną. Co dzień poranne gazety ilustrowały ponurymi strzałkami etapy dalszego zwycięskiego pochodu wojsk niemieckich. Było więc tylko kwestią dni, kiedy ta garstka najdzielniejszych żołnierzy brytyjskich zostanie przyparta do linii brzegowej.

St. Valery-en-Caux było ostatnim miejscem, dokąd mogli się jeszcze wycofywać. Odwrót drogą morską nie wchodził w grę z powodu gęstej mgły. Wyczerpane licznymi 'tarciami bataliony strzelców szkockich zostały wreszcie otoczone przez przeważające siły niemieckiej dywizji pancerniej. Dziesiątego czerwca poddał się korpus francuski, a kilka godzin później skapitulowała także i 51. Dywizja. Kuzbrojonym żołnierzom pozwolono ostatni raz przede-

filować przed swoim generałem w pozycji „na prawo patrz”. Potem bataliony szkockie karnie pomaszerowały do niewoli. Wśród jeńców był Gus.

Kiedy po latach Judyta wspominała tę wojnę, kojarzyła się jej ona z długą podróżą samolotem. Tak samo składała się głównie z długich i nudnych okresów zastoju, przerywanych krótkimi chwilami grozy. To porównanie odpowiadało rzeczywistości, gdyż fizyczną niemożliwością było przeżycie całych sześciu lat wojny na najwyższych obrotach. Takie zaś chwile grozy, jak oblężenie Dunkierki czy upadek Francji, powodowały, że nie tylko Judyta, ale prawie wszyscy mieszkańcy Wysp Brytyjskich siedzieli jak na szpilkach.

W Dower House na kredensie kuchennym stał radioodbiornik włączony od wczesnego ranka do późnej nocy, aby nie przepuścić jakiegoś ważnego komunikatu. Wiezorami natomiast Judyta, Bidy i Phyllis gromadziły się wokół radia w salonie i razem wysłuchiwały wiadomości o dwudziestej pierwszej.

Jednak w miarę jak mijały pierwsze bezchmurne dni lata, rozpacz ustępowała miejsca ostrożnej nadziei, kiedy zaś specjalna operacja przebiegła zgodnie z planem - także wdzięczności i dumie. Potem nastąpiła ulga, a za nią -poczucie triumfu, żołnierze bowiem wrócili do domu! Niestety, przywieźli ze sobą tylko karabiny z bagnetami i niewielką liczbę pistoletów maszynowych. Na plażach Francji zostały działa, czołgi i samochody, przeważnie zniszczone, jak również zbiorniki zapasowego paliwa porzucone w zgliszczach Hawru.

Ale za to żołnierze wrócili!

Stopniowo napływały także strzępy wiadomości o tym, kto się uratował, a kto został we Francji. Udało się Palmerowi, byłemu ogrodnikowi i kierowcy w jednej osobie, a także Joemu Warrenowi i jego przyjacielowi Robowi Padlowowi.

Jane Pearson zadzwoniła do Atheny z Londynu, chcąc podzielić się z nią radosną wiadomością. Alistair Pearson został wyłowiony z morza przez samotnego żeglarza, który dał mu kieliszek najlepszego francuskiego koniaku na rozgrzewkę i dostarczył szczęśliwie na ląd w Cowes.

Oznaczało to pomyślne zakończenie jego perypetii wojennych.

Natomiast syn gubernatora hrabstwa odniósł rany i leczył się w szpitalu w Bristolu, a na temat siostrzeńca pani Mudge i Charliego Lanyona, chłopaka Heather Warren, wiadomości były lakoniczne - „zaginiony, przypuszczalnie poległy”.

Jednak dla Diany i Edgara Carey-Lewisów, Atheny i Loveday, Mary Millyway i Nettlebedów, no i oczywiście dla Judyty, najważniejszą wiadomością było to, że Edward Carey-Lewis uszedł z życiem. Jego eskadra myśliwców brała udział w lotach patrolowych nad ruinami Dunkierki, rozpraszając niemieckie bombowce i odwracając ich uwagę od plaż, na których trwała ewakuacja.

Nawet w tych gorących dniach, jeśli akurat linia była wolna, Edward korzystał z okazji i dzwonił do domu. Tym sposobem dawał znać rodzinie, że w ogóle żyje, a często w jego głosie pobrzmiwał entuzjazm po udanym wypadzie.

Natomiast po upadku St. Valéry nadzieje na to, że Gus przeżył, były nikłe. Wszyscy się modlili, aby dostał się do niewoli, ale w zaciekłych walkach poprzedzających kapitulację St. Valéry 51. Dywizja Strzelców Szkockich została zdziesiątkowana. Ze względu na Loveday wszyscy robili dobrą minę, ale nic nie było w stanie ukoić jej złamanego serca.

- Najważniejsze to żeby stale być zajęтым - powiedziała pani Mudge. - Przynajmniej tak ludzie gadają, ale lalwiej powiedzieć niż zrobić.

Ciekawe, jak mam to wmówić mojej biednej siostrze, która całymi dniami się zamartwia, bo nie wie, czy jej chłopak żyje, czy zginął.

„Zaginiony, przypuszczalnie poległy” - też coś! Spróbowałby ktoś dostać taki telegram! I na domiar złego była wtedy sama w chałupie, bo jej stary pojechał na targ. Dobrze, że ten posłaniec, który przyniósł telegram, był tak miły, że zrobił jej herbaty.

Loveday jeszcze nigdy nie widziała pani Mudge w takim stanie. Prawda, że uwielbiała ona zawsze nasładzać się cudzymi nieszczęściami, które dodawały smaczku jej życiu. To jednak było coś zupełnie innego niż jakiś Bob Rogers zza szosy, który obciął sobie palce siekaczem do brukwi, czy stara pani Tyson, której zwłoki znaleziono w przydrożnym rowie - chodziło tu o jej bliskiego krewnego, jedyne go syna jej siostry.

- Tak bym chciała pojechać do niej i pobyć z nią choć parę dni, tak dla towarzystwa! Z kim biedaczka ma pogadać o dawnych, dobrych czasach, jeśli nie z rodzoną siostrą? Ma wprowadzić córki, gdzieś tam w głębi kraju, ale to wietrznice, tylko kiecki i gwiazdy filmowe im w głowie!

- Dlaczego więc pani nie pojedzie do siostry?

- A kto za mnie wydoi krowy i zajmie się mlekiem? A tu jeszcze za tydzień lub dwa zaczną się sianokosy, trzeba będzie nosić chłopom herbatę na łąki i Bóg wie ile przybędzie gąb do karmienia! Choćby człowiek wbił zęby w ścianę, nic nie poradzi.

- Gdzie mieszka pani siostra?

- Jej chłop gospodarzy pod St. Veryan. To wiocha zabita deskami, łaska boska, jeśli leci tam choć jeden autobus w tygodniu. Nie wiem, jak ona może tak żyć. Ja bym się chyba urwała!

Było już wpół do jedenastej i Loveday jak zwykle piła herbatę z panią Mudge. Ostatnio i tak spędzała coraz więcej czasu w Lidgey, pomagając w gospodarstwie Walterowi i jego ojcu, ucząc się radzić sobie z ich opornym traktorem i karmiąc drób, a także świnie, które ostatnio nabyto na targu w Penzance z myślą o tuczu bekonowym.

Od czasu otrzymania hiobowych wieści z St. Valéry uciekała tam pod byle pretekstem, a czasem nawet i bez niego. Zdrowy rozsądek pani Mudge stanowił dla niej większą pociechę niż serdeczne współczucie matki, Atheny i Mary. Każdy w Nancherrow starał się teraz być dla niej aż do przesady miły, podczas gdy jej potrzeba było czegoś innego. Niby to próbowała pogodzić się z myślą, że Gus /ginął i nie zobaczy go już więcej - w głębi duszy jednak pragnęła rozmawiać z kimś o nim tak, jakby żył nadal. Do tego najlepiej nadawała się właśnie pani Mudge. Przy każdej okazji powtarzała:

- Przecież mógł dostać się do niewoli!

Loveday z kolei mówiła pani Mudge to samo o jej siostrzeńcu.

- Nie wiemy na pewno, czy on zginął. Były tam takie ciężkie walki, że niczego nie można być pewnym.

W ten sposób pocieszały się nawzajem.

Pani Mudge dopiła swoją herbatę i z wysiłkiem się podniosła, aby nalać sobie drugą. Patrząc na nią od tyłu, Loveday pomyślała, że to już nie jest ta sama krzepka i pyskata baba co zawsze. Najwyraźniej instynkt rodzinny miała silnie rozwinięty i pragnęła dotrzymać towarzystwa siostrze. Loveday, z właściwym wszystkim Carey-Lewisom poczuciem odpowiedzialności połączonym z jej wrodzonym popędem przywódczym, postanowiła, że musi coś z tym zrobić. Zanim pani Mudge ponownie usiadła już podjęła decyzję.

- Musi pani pojechać do St. Veryan - powiedziała stanowczo. - Jeszcze dziś i choćby na tydzień, jeśli będzie trzeba. Zanim zaczną się sianokosy.

Pani Mudge spojrzała na nią jak na wariatkę.

- Cóż ty, dziecko, za głupstwa wygadujesz?

- Nie wygaduję żadnych głupstw. Będę doić krowy za panią.

Ty?

Tak, przecież praca w gospodarstwie jest moją służbą

zastępczą, a pani sama nauczyła mnie doić. Idzie mi to trochę wolniej, ale na pewno szybko dojdę do większej wprawy.

- W życiu się z tym nie wyrobisz. Zaczynamy doić o szóstej rano.
- Mogę wstawać nawet o wpół do szóstej. Jeśli Walter zgoni krowy do hali udojowej, o szóstej już tam będę.
- Ale doimy nie tylko rano, także wieczorem!
- Nie ma sprawy.
- Jeszcze trzeba myć bańki i wystawiać je tam, skąd zabiera je mleczarz. Przyjeżdża codziennie o ósmej i nie lubi czekać.
- Na pewno nie każę mu czekać.

Pani Mudge patrzyła na Loveday z niedowierzaniem. Czowała się rozdarta wewnątrz między pragnieniem towarzyszenia swojej siostrze w nieszczęściu a kłopotliwą sugestią, jakoby nie była niezastąpiona.

- I będziesz musiała sprzątać po sobie - próbowała jeszcze zniechęcić Loveday. - Walter nie zrobi tego za ciebie, bo to nie jest robota dla mężczyzny. A ja nie chcę zastać po powrocie brudnej mleczarni i zapuszczonych baniek.
- Na pewno niczego takiego pani nie zastanie. Proszę, pani Mudge, niech pani mi pozwoli! Sama pani mówiła, że trzeba być stale zajęтым. Mam teraz takie samo zmartwienie jak pani, a w nocy i tak nie mogę spać, bo wciąż myślę o Gusie. Równie dobrze mogę więc wstać o piątej i przynajmniej zrobić coś pożytecznego. Więc jeśli pani pojedzie do swojej siostry, pomoże pani nie tylko jej, ale i mnie.
- Tylko, broń Boże, nie myśl, że mniej się martwię o Gusa niż o mojego siostrzeńca! Ten Gus to był taki uroczy młody człowiek! Pamiętasz, jak tu przyszedł malować moją oborę? Wokół pełno gnoju, wszędzie paskudzą kury, a on nawet się nie skrzywił!
- Niech więc pani zadzwoni do siostry i powie, że do

niej przyjedzie. Może pani tam jechać jeszcze dziś wieczorem - mąż panią zawiezie - i zostać tak długo, jak będzie trzeba.

Pani Mudge z podziwu aż potrzęsnęła głową.

- Niech ja skonam, jeśli potrafię cię zrozumieć, Loveday. Wciąż mnie zaskakujesz. Nigdy nie przypuszczałabym, że jest w tobie tyle serca...

- Przeciwnie, jestem bardzo wyrachowana, bo nie ruszyłabym palcem, gdybym czegoś z tego nie miała.

- Jesteś za skromna.

- Wcale nie, tylko szczerą.

- To ty tak mówisz - zareplikowała pani Mudge. -Ja tam wiem swoje.

Codziennie o wpół do dziewiątej rano, kiedy już wyniosła pełne bańki na koniec ścieżki, skąd zabierał je mleczarz, i odstawiła puste do mleczarni - Loveday wracała na śniadanie do Nancherrow, głodna jak wilk.

Był osiemnasty czerwca i pani Mudge przebywała poza domem od pięciu dni. Nazajutrz miała już wracać. Loveday czuła się trochę głupio, bo przekonała się, że zadanie, którego się pochopnie podjęła, przekraczało jej siły. Początkowo z nerwów wykonywała wszystkie czynności powoli i niezgrabnie. Wdrożenie do tej pracy ułatwił jej dopiero Walter, na zmianę krzyżąc na nią i zachęcając po swojemu: „Poczekaj, pokażę ci, jak przenosić te pieprzone bańki”.

Przy tym był z natury małomówny, toteż Loveday nie miała pewności, czy wie, co się stało z Gusem. Znając panią Mudge, można się było domyślić, że musiała z nim o tym rozmawiać. Sam jednak nie poruszał tego tematu ani nie starał się okazywać Loveday współczucia. Kiedy (ius przebywał w Nancherrow, obaj młodzi ludzie spotkali się kiedyś w stajni. Loveday przedstawiła ich sobie, ale Walter zachowywał się wtedy ostentacyjnie wyzywająco, jakby pozując na nieokrzesanego prostaka.

Toteż Gus, po

jednej czy dwóch próbach nawiązania z nim kontaktu, dał za wygraną. Loveday miała wtedy wrażenie, że Walter mógł być zazdrosny, ale zaraz uznała tę myśl za niedorzeczną. Faktem było, że Walter rządził się własnymi prawami, ale znała go przecież od dziecka i w jego towarzystwie zawsze czuła się swobodnie.

Co wieczór, po wydojeniu ostatniej krowy i wypuszczeniu stada z powrotem na pastwisko, Loveday zabierała się do szorowania hali udojowej, zlewając ją silnym strumieniem wody z węża. Miała bowiem ambicję, aby posadzka i wiadra lśniły czystością i pani Mudge po powrocie znalazła wszystko w jak najlepszym porządku. Kuchnia natomiast przypominała raczej chlew - wszędzie góry nie pozmywanych naczyń, okopconych garów i brudnych ścierek... Loveday obiecywała sobie, że jutro spróbuje doprowadzić także i kuchnię do porządku, aby przynajmniej to zrobić dla biednej pani Mudge.

Minęła podwórze i jak zwykle wdrapała się na bramkę, gdzie trochę przysiadła, by podziwiać swój ulubiony widok. Dzień zapowiadał się piękny; jeszcze gdy szła do pracy, wszędzie błyszczały kropelki rosy, odbijające pierwsze promienie słońca, a tafla morska opalizowała jak macica perłowa. Teraz, po trzech godzinach, niebo było błękitne i bezchmurne. Powiewał lekki wietrzyk, z dala dochodził szum fal rozbijających się o skały. Mewy szybowały wysoko po niebie. W słońcu wrzosowiska przybrały ciepły odcień brązu, a pastwiska - szmaragdowej zieleni. Krowy skubały trawę, w oddali zaś groźnie szczekał pies Waltera. Loveday miała w tym momencie kompletną pustkę w głowie. Sama też od dłuższego czasu czuła się jakby zawieszona w próżni i nawet było jej z tym dobrze. Wtem pustkę tę wypełniła postać Gusa, tak jakby szedł teraz ku niej żywy, z przyborami do malowania w chlebaku przewieszonym przez ramię. Zaczęła więc intensywnie wyobrażać go sobie we Francji, to w marszu, to znów rannego, ale zawsze żywego. Jakby czuła jego fizyczną obecność przy sobie, z niezbitym przeświadczeniem, że żyje! Chyba i on musiał równocześnie myśleć o niej, bo wydawało się jej, że słyszy jego głos, jakby przez niewidzialny telefon... Aż przymknęła oczy z rozkoszy, zaciskając palce na obramowaniu furtki. A kiedy znów spojrzała na świat - wszystko wyglądało jakoś inaczej. Nie czuła już zmęczenia, przeciwnie - jakby znów zaczęła wierzyć w swoje szczęście...



Bez namysłu zeskoczyła ze szczytu furtki i puściła się biegiem przed siebie, stromą ścieżką w dół, tupiąc gumowcami po kamieniach i grudach błota. Przeskoczyła następną furtkę, aż ją zakłuło pod żebrami, na co zastosowała stary, wypróbowany sposób - pochyliła się i pocałowała własne kolano. Jeszcze tylko ścieżka, podjazd, podwórze - i już tylne drzwi domu...

- Loveday, zdejmij buty, bo są całe ubłocone!

- Przepraszam, pani Nettlebed.

- Późno dziś przyszłaś. Miałaś dużo roboty?

- Nie, nic specjalnego.

W samych skarpetkach weszła do kuchni. Chciała zapytać, czy nie było jakiegoś listu lub innej wiadomości, nie ugryzła się w język, bo wiedziała, że zarówno pani Nettlebed, jak i inni zaczęliby zaraz zadawać masę pytań. Natomiast dopóki nikt o nic nie pytał - nie podważało to jej przekonania o bezpieczeństwie Gusa. Oczywiście nie zamierzała podzielić się swoją nową nadzieją z nikim, nawet z Judytą.

- Co dziś na śniadanie, bo umieram z głodu! - powiedziała zamiast tego.

- Sadzone jajka z pomidorami. Twoja porcja jest w jadalni, na podgrzewanej płytce. Lepiej się pospiesz, bo wszyscy już zjedli i mój chciałby sprzątnąć ze stołu.

Loveday umyła więc ręce w zlewie, wytarła w papierowy ręcznik z rolki i wyszła na korytarz. Słysząc tam lwio dobiegający z piętra szum odkurzacza i głos matki

nawołującej Mary. Już była blisko otwartych drzwi jadalni, kiedy odezwał się dzwonek telefonu. Stała i zaczęła nasłuchiwać. Kiedy jednak nikt nie podnosił słuchawki, sama weszła do gabinetu ojca. Nikogo tam nie było, tylko telefon na biurku wydzwaniał przeraźliwie, więc go odebrała.

- Słucham, Nancherrow... - zaczęła, ale nie wiadomo dlaczego zaschło jej w gardle, więc odchrząknęła i powtórzyła jeszcze raz: - Tu Nancherrow. W telefonie coś piknęło raz i drugi, a potem zabrzęczało.

- Słucham! - powtórzyła prawie z rozpaczą.

- Kto mówi? - Męski głos po tamtej stronie drutu był niewyraźny i jakby dochodzący z dużej odległości.

- Loveday.

- Loveday, to ja, Gus!

Pod nią zaś ugięły się nogi do tego stopnia, że klapnęła na podłogę, ściągając za sobą aparat.

- Gus!

- Słyszysz mnie? Ta linia jest strasznie przeciążona. Mogę mówić tylko bardzo krótko.

- Skąd dzwonisz?

- Ze szpitala.

- Ale gdzie?

- W Southampton. Już wszystko w porządku, jutro wracam do domu.

Chciałem zadzwonić wcześniej, ale nic mogłem się dopchać do telefonu, tylu było chętnych.

- Co się z tobą działo? Byłeś ranny? Ciężko?

- Tylko w nogę. Chodzę jeszcze o kulach, ale poza tym czuję się dobrze.

- Wiedziałaś, że żyjesz! Jakby coś mi o tym powiedziało.

- Słuchaj, nie mogę już dłużej mówić. Chciałem tylko dać ci znać, że żyję. Napiszę do ciebie.

- Daj mi adres, to i ja do ciebie napiszę.

- To jest...

W tym momencie połączenie się urwało. „Gus, Gus!” -krzyczała rozpaczliwie Loveday, waląc w widełki, ale telefon milczał. W końcu zrezygnowała z dalszych usiłowań i odstawiła aparat z powrotem na biurko. Wciąż siedząc na dywanie, oparła czoło o chłodny, wypolerowany kant biurka ojca i dała swobodny upust łzom.

- Dziękuję! - powiedziała na głos, choć nie wiadomo, komu właściwie dziękowała. - Wiedziałam, że żyjesz i musisz się w końcu odezwać! To ostatnie było już adresowane do Gusa.

Po chwili wyprostowała się, wyciągnęła ze spodni połę koszuli i wytarła w nią nos. Potem wyleciała z gabinetu jak na skrzydłach, wołając matkę, aby wylądować w końcu w ramionach Mary i wykrzyczeć jej swą wielką radość.

Tymczasem w Dower House Bidy wylądowywała swą odzyskaną energię, uprzątając już drugą facjatkę. Z zalegających ją rupieci zostały się tylko dwa kufry. Judyta uznała, że schowane tam rzeczy przedstawiają zbyt wielką wartość emocjonalną, aby z lekkim sercem się ich pozbyć. W jednym kufrze znajdowały się pliki starych listów powiązanych słowiałymi jedwabnymi wstążeczkami, karnety balowe z małymi ołóweczkami dyndającymi na sznureczkach, nuty, albumy ze zdjęciami, księgi powinszowań i oprawna w wytartą skórę księga pamiątkowa datowana na rok 1898. Drugi kufer pełen był drobiazgów z epoki wiktoriańskiej, takich jak długie białe rękawiczki z guziczkami z masy perłowej, strusie pióra, bukietiki sztucznych gardenii, naszywane paciorkami balowe torebki i ozdobne spinki do włosów. A wszystko przepełnione takim romantyzmem i nostalgią, że żal byłoby to po prostu wyrzucić. Poza tym Diana Carey-Lewis obiecała, że wpadnie kiedyś do Dower House, aby pogrzebać w tych pamiątkach. Na razie więc Judyta postanowiła nakryć kufry starymi adamaszkowymi portierami i pozostawić je tam, gdzie stały przez całe lata.

Inne starocia okazały się popsute lub stoczone przez korniki, toteż bez żalu zsypano je na kupę obok pojemników na śmieci. Kiedy przyjedzie śmieciarz, da mu się pół korony, aby to wszystko wywiózł swoją ciężarówką.

Na opróżnionej w ten sposób facjatce stały teraz Judyta i Phyllis, zastanawiając się, jakie znaleźć dla niej zastosowanie. Mała Ania tymczasem bawiła się w ogrodzie, wygrzebując blaszaną łyżką dołki w grządce. Asystowała jej Morąg, więc Phyllis od czasu do czasu wyglądała przez okno, aby sprawdzić, czy dziecko i pies nie robią sobie nawzajem krzywdy ani nie wyrządzają jakiejś szkody. Nic takiego jednak się nie działo.

Biddy - o dziwo - znalazła sobie zajęcie w kuchni, choć na ogół nie znosiła gotowania. Tym razem nie chodziło wcale o przyrządzanie zwykłych, prozaicznych potraw, lecz o coś specjalnego - w starej, zatłuszczonej książce kucharskiej pozostałej po Isobel znalazła przepis na nalewkę z kwiatu dzikiego bzu! Akurat przypadała pora jego kwitnienia i żywopłoty osypane były kremowym kwieciem o charakterystycznym zapachu. Zaprawiania nalewki Biddy nie uważała za gotowanie, gdyż czynność ta kojarzyła się jej raczej z dobrym, wysokoprocentowym trunkiem, jakim nigdy nie gardziła. Tym bardziej że surowiec nic nie kosztował, mnóstwo go było na przydrożnych krzewach.

- Powinnyśmy przerobić tę facjatkę na jeszcze jeden pokój gościnny - uważała Phyllis. - Jedyne zajęła pani Somerville, a jakby kto jeszcze chciał zanoćować?

- Szkoda na to miejsca - sprzeciwiła się Judyta. - Lepiej niech tu będzie pokoik Ani. Możemy ustawić tu jej łóżko, półki na książki i może jakąś starą kanapę, bo to zawsze przytulniej wygląda. Będzie mogła się tu bawić albo i nabałaganić, w razie gdyby padało.

- Coś ty? - ostro zaprotestowała Phyllis. - Starczy

nam ten pokój, co już mamy. Nie na toś kupiła ten dom, żeby cały nam oddawać!

- A gdyby Cyryl dostał urlop i chciał przyjechać do ciebie? Chyba że wolałby odwiedzić raczej swoich rodziców...

- No nie, on nie jest taki.

- Więc jak byście wtedy spali we trójkę? To nawet nie wypada, Ania już nie jest taka mała!

- W starym domu jakoś się mieściliśmy.

- Ale u mnie nie będziecie się mieścić, bo nie ma lskiej potrzeby. To jest pokój Ani - i koniec. Najwyższy czas, żeby zaczynała już spać sama. Wstawimy łóżko o normalnych wymiarach, więc gdybyśmy chciały przenocować tam jakiegoś gościa, zawsze będziesz mogła zabrać ją do siebie. Zadowolona? To teraz zastanówmy się, co położymy na podłodze.

- Wystarczy kawałek linoleum.

- O nie! Linoleum jest brzydkie i zimne, musi być dywan. Najlepiej niebieski... - Widząc już w myślach taki dywan na podłodze, dopasowywała teraz do niego całą resztę. Facjatka była dość przestronna, ale jedyne mansardowe okienko nie wpuszczało tam zbyt wiele światła.

- Ściany pomalujemy na biało, to zaraz zrobi się jaśniej... Na tym tle będzie można wymalować jakieś ilustracje z bajek, żeby było weselej.

Tylko że tu nie ma kominka. Już trzeba myśleć, czym to ogrzejemy zimą.

- A parafinowy piecyk nie wystarczy?

- Boję się, że to może być niebezpieczne.

- Ale one tak ładnie pachną, jak się nagrzeją!

- Tylko że Ania może taki piecyk przewrócić i puścić nas wszystkich z dymem. Lepiej...

Nie dokończyła jednak, co byłoby lepiej, gdyż w tym momencie na dole trzasnęły drzwi i Judyta usłyszała swoje imię wykrzykiwane głosem, w którym wibrowało podniecenie. To była Loveday! Obie z Phyllis przechyliły się przez poręcz w sam raz na tyle wcześnie, by w przelocie

mignęła im sylwetka Loveday wbiegająca po schodach na górę. Na piętrze przystanąła i powtórnie zawołała Judytę.

- Gdzie ty jesteś?

- Tu, na poddaszu!

Weszła więc na samą górę, czerwona na twarzy, tyleż ze zmęczenia, co z emocji. Loki jej powiewały, a z fiołkowych oczu promieniowała czysta radość! Jeszcze w biegu, nie mogąc się doczekać, relacjonowała im wieść, którą chciała się podzielić.

- I wiecie co? Nie uwierzycie! Właśnie dzwonił Gus! -Zatrzymała się dla nabrania oddechu, jakby biegła przez całą drogę z Nancherrow. - Jakieś pół godziny temu! Dzwonił ze szpitala w Southampton. Był ranny, chodzi jeszcze o kulach, ale poza tym czuje się dobrze!

Judyta z miejsca zapomniała o linoleum, dywanie czy grzejniku do pokoju dzieciennego. Wydała z siebie triumfalny okrzyk i wybiegła jej naprzeciw z otwartymi ramionami. Wyściskały się, wycalowały i odtńczyły dziki taniec radości. Żadnej z nich nie przeszkadzało, że Love-day nie zdążyła jeszcze zrzucić wyświechtanych sztruksowych spodni i wypuszczonej na wierzch koszuli przesiąkniętej wonią obory. W tej chwili liczyło się tylko to, że Gus żyje!

- Aż mnie zatknęło - wydyszała w końcu Loveday, kiedy zmęczona tańcem przysiadła na najwyższym stopniu. - Do Rosemullion dojechałam rowerem, ale zostawiłam go pod kościołem, a stamtąd leciałam aż na samą górę, bo nie mogłam się doczekać, żeby wam o tym powiedzieć.

- Mogłaś przecież zadzwonić!

- To nie byłoby to samo. Chciałam zobaczyć wasze miny.

Phyllis jednak nie miała w tym momencie wesołej miny.

- Ranny, mówisz? A poważnie? Gdzie dostał?

- Skoro mówił, że chodzi o kulach, to chyba w nogę,

ale nie brzmiało to zbyt groźnie. Nie mieliśmy czasu dużo rozmawiać, bo zaraz nas rozłączyli. Wiem tylko, że jutro wraca do Szkocji, a stamtąd do mnie napisze.

- Ale jak zdołał wydostać się z Francji? - nie mogła uwierzyć Judyta.

- Tyle wiem co i ty. Zdążył tylko powiedzieć, że żyje i czuje się dobrze.

- To prawdziwy cud!

- Też tak pomyślałam. Aż nogi się pode mną ugięły. Mama prosiła, żebyście wszystkie przyszły dziś wieczór do Nancherrow, bo chce wyprawić prawdziwą ucztę na cześć Gusa. Tatuś ma nawet zamiar otworzyć szampana... Zabierz Phyllis z Anią i Bidy...

W tym momencie, jak na komendę, zapadła cisza. Nawet Loveday jakby nieco przygasła, bo uświadomiła sobie, że wprawdzie Gus żyje, ale Ned już nigdy nie wróci.

- Gdzie jest Bidy? - dodała ściszym głosem.

- W kuchni.

- Kurczę, mam nadzieję, że nie słyszała tych moich wykrzykiwań!

Powinam była zawczasu o tym pomyśleć...

- Niby dlaczego? Trudno, byś myślała o wszystkim. 'Ib, że Ned nie żyje, nie przeszkadza, abyśmy wszystkie cieszyły się z twojej radości. Myślę, że powinnyśmy zaraz zejść do niej i powiedzieć jej o tym. Nawet jeśli będzie jej trochę smutno, nie da tego po sobie poznać. Chyba doszła już do siebie, bo nawet o Nedzie potrafi mówić całkiem zwyczajnym tonem. A gdyby jednak zwiesiła nos na kwintę, trzeba spróbować wyciągnąć ją na to przyjęcie z szampanem i okazać szalone zainteresowanie jej nalewką z czarnego bzu!

*Ardray House, Bancharry, Aberdeenshire 21 czerwca 1949, piątek  
Kochana Loveday!*

*Nareszcie znalazłem wolną chwilę, żeby do Ciebie napisać. Musiałem jeszcze trochę poleżeć w innym szpitalu,*

*w Aberdeen, ale dochodzę już do siebie, choć ciągle jeszcze poruszam się o kulach. Teraz jestem już w domu, bo Mama wynajęła pielęgniarkę, żeby zmieniała mi opatrunki. Mam nadzieję, że długo u nas nie pobędzie, bo to straszne babsko!*

*Byłem szczęśliwy, że mogłem zamienić z Tobą choć parę słów, ale centrala w szpitalu wydzielala każdemu z nas tylko po trzy minuty na rozmowę. I tak czekałem dwa dni na to połączenie, bo powiedzieli, że to nie jest telefon do rodziny. Gdybym stał już, mocniej na nogach, przeskoczyłbym przez płot, wszedł w pociąg i przyjechał prosto do Was. Z Southampton byłoby bliżej do Kornwalii niż do Szkocji, a pociąg do Aberdeen włókł się niemiłosiernie.*

*Wydostałem się z Dunkierki na dzień przed jej kapitulacją. Otrzymaliśmy rozkaz, Żeby każdy ratował się jak może, więc rozdzieliliśmy się na małe grupki, z których kilka skierowało się do Veulles-les-Roses, około czterech mii na wschód od St. Valéry. Było wśród nas trochę Francuzów i dwa nasze bataliony. Szliśmy tam przez całą noc i te cztery mile zdawały się nie mieć końca. Nad ranem jednak dobrnęliśmy do brzegu i przez mgłę dojrzeliliśmy nasze okręty stojące na redzie. Brzegi były tu strasznie wysokie, ale poryte wąwozami schodzącymi na samą plażę, więc ustawiliśmy się w kolejce i czekaliśmy, aż nasi wylądują desant na plaży. Dwóch chłopaków nie mogło się doczekać swojej kolejki i próbowało spuścić się z wysokiego brzegu po linach. Cóż, kiedy było już jasno, a Niemcy ostrzeliwali plażę ze wszystkich stron. Mieli także snajperów... Cała plaża była usłana trupami. Nie uszedłem jeszcze nawet stu metrów, a już dostałem postrzał w udo. Dobrze, Że dwaj nasi chłopcy zauważyli to i wzięli mnie między siebie. Z ich pomocą jakoś dokużytkalem do łodzi, ale ledwie zdążyliśmy wsiąść do którejś, a już nadleciały bombowce. Jedna łódź, z trzydziestoma ludźmi na pokładzie,*



*od razu poszła na dno. Dobrze, że nasze okręty otworzyły ogień ze wszystkich dział i zestrzeliły dwa bombowce. W końcu, przemoczeni do suchej nitki i oblepieni błotem (ja także krwią), jakoś dostaliśmy się na pokład naszego niszczyciela. Ledwośmy pomyśleli, że jesteśmy uratowani, a już szkopy ze wszystkich klifów otworzyły ostry ogień. My jednak nie podnieśliśmy kotwicy, dopóki się nie upewniliśmy, że na plaży nie ma już nikogo z naszych. Wszystko to działo się dwunastego czerwca o dziesiątej rano.*

*Przybiliśmy do brzegu w Southampton, gdzie znieśli innie z pokładu na noszach i odwieźli do szpitala. Tam wydobyto mi kulę z nogi. Na szczęście nie utkwiała zbyt głęboko ani nie wyrządziła żadnych poważniejszych szkód, więc to już tylko kwestia zagojenia się rany.*

*Nie wiem, co teraz będzie z nami się działo. Mówią, że nasza dywizja ma się formować na nowo. Gdyby tak się stało, pewno wróciłbym do swoich, chyba że siły wyższe trzymają dla mnie coś innego w zanadrzu...*

*Pozdrawiam serdecznie Ciebie i całą Twoją rodzinę -*

*Gus*

*W tej samej kopercie, oprócz właściwego listu, znajdowała się jeszcze jedna karteczka, bez nagłówka ani daty.*

*Najdroższa Loveday!*

*Tamtem list pisałem z myślą, aby mógł go przeczytać także i Twój ojciec. Te kilka słów kieruję jednak wyłącznie do Ciebie. Tak cudownie było móc usłyszeć Twój głos w słuchawce... Kiedy czekałem na swą kolej na tej diabelskiej plaży, przez cały czas myślałem o Tobie i to dodawało mi wiary, że wyjdę z tego z życiem. Dzisiaj mamy tu piękną pogodę, wzgórza całe w kwiatach, a w wodzie i.wki odbija się światło słoneczne. Kiedy zacznę już lepiej*

*chodzić, może wybiorę się tu na ryby... Napisz mi o wszystkim, co robisz!  
Twój kochający -*

*Gus*

*Dower House, Rosemullion 24 lipca 1940*

*Kochani Rodzice!*

*Dziś o drugiej nad ranem Athena urodziła córeczkę! Poród odebrał stary doktor Wells przy asyście naszej położnej rejonowej, Lily Crouch.*

*Przykro nam było, że zafundowaliśmy im nie przespaną noc, ale doktor Wells powiedział, że nie przepuściłby takiej okazji za żadne skarby świata. W tej chwili mamy siódmą wieczór i wróciłam właśnie z*

*Nancherrow, bo oczywiście pojechałam tam zaraz, na rowerze, żeby zobaczyć dzidziusia. Dziewczynka jest duża, bardzo czerwona i z całą szopą czarnych włosów - wygląda jak indiańskie niemowlę! Wybrali jej imiona Klementyna Lawinia. Pułkownik zaraz, zadepeszerwał do Palestyny, aby zawiadomić Ruperta, że został ojcem. Athena pęka z dumy, jakby to była tylko jej zasługa ( w czym jest trochę racji). Siedzi teraz w pełnej kwiatów sypialni z dzidziusiem u boku i przyjmuje hołdy, jak zwykle zlaną perfumami i w wytwornym negliżu z masą koronek.*

*Loveday i ja chcieliśmy być matkami chrzestnymi, ale z chrztem małej poczekamy, dopóki jej ojciec nie uzyska urlopu. Wszyscy wprawdzie oczekiwaliśmy tego maleństwa, ale i tak nie przestaje nas fascynować.*

*Doktor Wells wpadł potem znów do Nancherrow, niby po to, żeby sprawdzić, jak czują się matka i dziecko. Pułkownik akurat otworzył szampana, co zwykle świetnie mu wychodzi, i symbolicznie ochrzciliśmy nim małą (mam nadzieję, że chowa jeszcze skrzynkę w zapasie na obławanie Dnia Zwycięstwa, bo teraz, nie można nigdzie dostać szampana). A kiedy wszyscy świętowaliśmy narodziny, do*

ktor Wells ujawnił prawdziwy powód swojej powtórnej wizyty. Chciał podzielić się z nami wiadomością, że Jeremy żyje i przebywa w szpitalu Marynarki Wojennej gdzieś koło Liverpoolu. Okazało się, że doktor wiedział już o tym wcześniej, tylko nie chciał zakłócać porodu Atheny. Czy to nie miłe z jego strony? Przecież na pewno pękał z niecierpliwości, żeby nam o tym powiedzieć!

Wracając do Jeremy'ego - jego okręt został zatopiony przez, niemiecką łódź podwodną, a on z trzema kolegami zdołał ewakuować się na tratwie. Przez całą dobę dryfowali po oceanie, aż wyłowili ich statek handlowy. Trudno to sobie wyobrazić, zwłaszcza że nawet w lecie Atlantyk musi być lodowaty. Mało tego, Jeremy był jeszcze wyczerpany, odwodniony i miał ramię poparzone wskutek wybuchu, więc gdy tylko statek przybił do Liverpoolu, zaraz zabrali go do szpitala. Pani Wells dojechała tam, aby go pielęgnować. Teraz na pewno dostanie urlop zdrowotny, więc chyba wkrótce go zobaczymy. Czy to nie cud, że zdołał się uratować? Nie mam pojęcia, jak ludzie dają radę wyjść cało z takich opresji. Chyba dlatego, że wiedzą, jaka jest alternatywa...

Cały kraj żyje teraz, w strachu przed inwazją. Kobiety służby pomocnicze urządzają po domach zbiórki naczyń aluminiowych jako surowca wtórnego do produkcji hurricane'ów i spitfire'ów. Oddaliśmy i my swoje, więc musiałam kupić komplet emaliowanych garnków i patelni, do których wszystko przywiera, ale czego się nie robi dla ojczyzny! Ochotnicza Służba Samoobrony przemianowała się teraz na Gwardię Krajową, co brzmi o wiele dumniej, i kto żyw - zaciąga się w jej szeregi. Pułkownik Carey-l.cwis, z racji swojego frontowego doświadczenia z tamtej wojny, został mianowany komendantem okręgu Rosemullion. Gwardziści podostawali mundury i broń, w Urzędzie Gminy Rosemullion założyli swoją główną kwaterę z telefonem i tablicą na obwieszczenia, a teraz intensywnie ćwiczą musztrę.

*Po Dunkierce wydano rozkaz, aby w całym kraju zamilkły wszystkie dzwony kościelne. Od tej pory miały już tylko uderzać na alarm w przypadku wylądowania Niemców. Jakiś stary księżulek z zabitej deskami parafii nic nie wiedział o tym albo jeśli wiedział, to zapomniał, i miejscowy policjant przyłapał go na gorącym uczynku ciągnięcia za linę od dzwonu. Oczywiście natychmiast aresztował biedaka. Inny znów facet został skazany na grzywnę dwudziestu pięciu funtów za szerzenie defetyzmu. Ponoć miał rozpowiadać w knajpie, że na wrzosowiskach Bodmin wylądowało dwudziestu niemieckich spadochroniarzy w przebraniu zakonnicy. Powiedziano mu, że i tak powinien się cieszyć, że nie poszedł siedzieć!*

*W ramach zabezpieczeń przed inwazją pousuwano także wszelkie drogowskazy ze skrzyżowań. Bidy twierdzi, że to nic nie da. Widocznie odpowiednie władze wyobrażają sobie, że w ten sposób udałoby się zmylić niemiecki batalion pancerny, żeby zamiast do Penzance trafił na przykład nad zatokę Lamorna. No, a tam już, byśmy im pokazali! Żarty na bok, ale rzeczywiście zagrożenie jest całkiem konkretne. Dwa tygodnie temu zbombardowano Falmouth, a i teraz co wieczór wysłuchujemy komunikatów z walk powietrznych nad hrabstwem Kent i kanałem La Manche. Na szczęście nasi dzielni piloci myśliwscy, wśród których jest i Edward Carey-Lewis, skutecznie zestrzeliwiają niemieckie bombowce. Widziałam w gazecie zdjęcie, jak to młodzi lotnicy wygrzewają się w słońcu, siedząc na leżakach i wyplatanych krzeselkach w pełnym ekwipunku i czekają na hasło zapowiadające nalot kolejnego dywizjonu stukasów. Przypomina to walkę Dawida z Goliatem, tym bardziej że wyspy Guernsey i Jersey są już pod okupacją i zamiast naszych flag wiszą tam swastyki. Dobrze przynajmniej, że obyło się bez ofiar, jeśli nie liczyć niemieckiego żołnierza, któremu pijany Irlandczyk rozkwaśił nos!*

*U nas wszystko w porządku. Bidy udziela się w ochotniczej formacji kobiecej, zbierającej aluminiowe naczynia do przetopienia na kadłuby samolotów. Phyllis pomalowała już ściany w pokoiku swojej Ani, a jutro ma przyjść fachowiec od układania wykładzin. Wybrałyśmy niebieską, z małym wzorkiem, który chyba pasuje do ścian. Powinno to wyglądać ładnie.*

*Phyllis czuje się u nas świetnie, a jej mała Ania wręcz rozkwita. To bardzo mile i niekłopotliwe dziecko, przez większość dnia śpi. Phyllis bardzo ją kocha, ale stara się krótko trzymać. Jej mąż Cyryl pływa gdzieś po Morzu Śródziemnym, chyba w okolicach Malty, ale to tajemnica wojskowa.*

*Ukończył jakiś kurs i dostał awans na starszego marynarza o specjalności mechanika maszynowni. Pewnie oznacza to szczebel wyżej od palacza, ale Cyryl jest bardzo dumny z tej pierwszej belki i przysłał Phyllis swoje zdjęcie w mundurze, na którym, dokładnie ją widać. Zabawne, że tyle się nasłuchiwałam o tym Cyrylu, a dotąd go nie widziałam.. Na tym zdjęciu nie jest specjalnie przystojny, ale Phyllis twierdzi, że „bardzo się poprawił”. Mam nadzieję, że i Wam jakoś leci. Strasznie się rozpisałam, ale żyjemy w tak ciekawych czasach, że warto byłoby to uwiecznić.*

*Ucałowania od kochającej*

*Judyty*

Dower House, jak większość dziewiętnastowiecznych dworów ziemiańskich, wyposażony był w mnóstwo przybudówek na zapleczu. Znajdowała się tam szopa na narzędzia, stara wozownia, mnożarka do sadzonek, dREWUTNIA, łazienka i ustęp dla służby, wreszcie pralnia. Większość miejsca zajmował w niej magiel i tradycyjny kocioł, pod którym wciąż trzeba było palić, donosząc ogromne ilości wody. Prasowano tam na stole kuchennym, przykrytym kocami i starymi prześcieradłami, żelazkiem nagrzewanym na blasze.

Dopiero gdy posiadłość przeszła na własność państwa Boscawen - ciotka Lawinia, z myślą o wygodzie Isobel, poczyniła tam znaczne udogodnienia. Wozownię kazała przerobić na garaż, a w korytarzyku za zmywalnią zainstalować łazienkę z ubikacją wewnątrz budynku. Z dawnej wygodki dla służby korzystał teraz ogrodnik, gdy przypiliła go nagle potrzeba. Pralnię zamieniono na spiżarnię, a w zmywalni, na miejsce ogromnego zlewu wielkości koryta do pojenia koni, zainstalowano dwa mniejsze z wyżymaczką pomiędzy nimi. Kolejnym prezentem dla Isobel było nowoczesne elektryczne żelazko, podczas gdy staromodne powędrowały na złom. Toteż starej służącej zdawało się, że trafiła do raju.

Teraz, po latach, tak samo czuła się Phyllis. Po ubogim domu w Pendeen i zatłoczonej chałupce jej matki wyposażenie Dower House wydało się szczytem luksusu. Wciąż nie przestawała jej zadziwiać gorąca woda lejąca się wprost ze ściany po odkręceniu kurka, a pranie i zmywanie, które zawsze uważała za nie kończącą się harówkę - nagle stały się nieomal przyjemnością, łazienka zaś prawie dorównywała tej z Riverview. Też była tu podgrzewana suszarka do ręczników, bawełniane firaneczki w wesoły deseń i mydła Yardleya pachnące lawendą... Kiedyś Phyllis ze zgrozą myślała o poniedziałku, w który to dzień tradycyjnie urządzano wielkie pranie. Teraz zaś nie mogła się go doczekać! Oczywiście codziennie prała pieluszki Ani i rozwieszała je na sznurze. Bieliznę pościelową i duże kąpielowe ręczniki oddawano do pralni, ale i tak, przy czterech osobach w domu, od poniedziałku do poniedziałku nazbierały się dwa pełne kosze bielizny, bluzek, sukienek, fartuchów, spódnic, spodni, pończoch i skarpetek. Przy praniu pomagała jej Judyta, podczas gdy mała Ania bawiła się spinaczami do bielizny. Phyllis szorowała brudne rzeczy mydłem na tarze w jednym zlewie, przepuszczała przez wyżymaczkę i podawała Judycie, która w drugim zlewie je płukała. W dwójkę robota szła im

dużo sprawniej i zwykle całe pranie nie trwało dłużej niż godzinę. W dni deszczowe rozwieszały uprane rzeczy na suszarce nad kuchenną płytą. Tego dnia jednak nie padało i było ciepło, choć nieco pochmurno.

Zachodni wiatr rozganiał chmury, spod których ukazywało się błękitne niebo z przebłyskami słońca. Natomiast w zmywalni, mimo otwartych tylnych drzwi, było wręcz duszno. Wilgotne powietrze przesycił zapach mydła i mokrego płótna. Ale już ostatni ciuszek, fartuszek Ani, po wypłukaniu i wykręceniu wylądował w wiklinowym koszu na bieliznę.

- No i mamy spokój aż do przyszłego tygodnia -oświadczyła z satysfakcją Phyllis, wyjmując korek ze zlewu, aby spłukać brudne mydliny. Podczas gdy ściekały, odgarnęła włosy ze spoconego czoła. - Straszny tu gorąc, nie? Takem się zgrzała!

- Ja też. Wyjdźmy już stąd na świeże powietrze - zaproponowała Judyta, podnosząc z podłogi jeden z koszyków i opierając go sobie na biodrze. - Aniu, przyniesiesz nam spinacze, dobrze?

Kiedy wyszła na dwór, owionął ją zachodni wiatr, przenikając przez lepiącą się do nóg bawełnianą spódniczkę. Łączka do wieszania bielizny znajdowała się między tylnym wejściem do domu a garażem. W trawie rosły stokrotki, a od żwirowanego podjazdu oddzielał łączkę żywopłot z eskalonii. Judyta i Phyllis, to schylając się, to prostując, porozwieszały mokre rzeczy na sznurach. Wiatr wydymał rękawy koszul, a z powłoczek robił kanciaste halony.

- W Nancherrow też teraz będą pieluchy do prania -zauważyła Phyllis, przypinając ściereczkę do sznura. -Jak myślisz, kto to będzie robił?

- Któż by, jak nie Mary Millyway?

- Uch, nie pomieniałabym się z nią na robotę! Lubię dzieci, ale za nic nie chciałabym być niańką.

- Ja też nie. Gdybym już miała iść do kogoś na służbę, wolałabym zostać praczką.

- Z bykaś spadła?

- Dlaczego? Wieszanie bielizny jest dużo przyjemniejsze niż wynoszenie nocników jakiegoś starego dziada.

- Kto mówi o nocnikach?

- Ja.

- E, ja tam bym wolała iść za pokojówkę do jakiejś wielkiej damy. Nic, tylko czesałabym ją i wysłuchiwała ploteczek z wyższych sfer.

- Ale musiałabyś także znosić jej humory i czekać do trzeciej nad ranem, aż jaśnie pani raczy wrócić z balu! Myślę, że...

- A ja myślę, że jakiś samochód wjeżdża na naszą górkę! - ściągnęła ją z obłoków Phyllis.

I rzeczywiście, słysząc było warkot silnika, potem kierowca zwolnił, zredukował bieg i wjechał przed bramę, aby z piskiem opon na żwirze zahamować przed frontowym wejściem.

- Chyba masz gościa - zauważyła obojętnie Phyllis.

- Chyba tak.

- A wiesz, kto to może być?

- Wiem.

- No więc kto?

- Jeremy Wells! - odpowiedziała Judyta, kładąc trzymane przez siebie spinacze z powrotem do koszyczka i rzucając halkę Bidy mniej więcej w kierunku Phyllis.

A więc to tak! Phyllis rozwieszała byle jak halkę na sznurze i usiłowała nie patrzeć w tamtą stronę, ale trudno jej było ustrzec się od ukradkowych spojrzeń. Tak długo czekała na ten moment! Przecież to ten sam młody doktor, którego Judyta poznała w pociągu z Plymouth. Miała wtedy dopiero czternaście lat, ale jasne było, że się jej podobał. A kiedy niby przypadkiem spotkała go znów u Carey-Lewisów w Nancherrow - Phyllis uznała, że to zrzą-



dzenie boskie. Najwyraźniej był Judycie przeznaczony i zapowiadali się na szczęśliwą parę.

Oczywiście Judyta udawała, że nic ich nie łączy, a wszelkie pikantne aluzje Phyllis zbywała krótkim: „Nie pleć głupstw”. Nie dawało się jednak ukryć, jak dumna była z niego, kiedy wstąpił do marynarki, a jak przeżywała katastrofę jego okrętu i dramatyczne dryfowanie po Atlantyku! Phyllis nie mogła się zdecydować, co w tej przygodzie było gorsze - czy płonący okręt z rozgrzanym do czerwoności pokładem, czy konieczność skoku w od-slęcująco ciemny, zimny i głęboki przestwór wodny? Tym bardziej że ani ona, ani jej mąż nie umieli pływać! No, ale grunt, że wszystko dobrze się skończyło. Szkoda tylko, że nie przyjechał w mundurze, tylko w starym flanelowym ubraniu i niebieskiej koszuli. Judycie jednak chyba to nie przeszkadzało, bo na powitanie uścisnęli się serdecznie i wycelowali, a teraz paplali o wszystkim i o niczym, raz po raz wybuchając śmiechem.

Phyllis byłaby tak bez końca podglądała z daleka, gdyby Judyta nie zwróciła się w jej stronę, jakby sobie nagle u niej przypomniawsza. Kiedy ją zawołała - Phyllis raptem dziwnie się zawstydziała, ale posłusznie zostawiła mokrą bieliznę, wzięła córeczkę na ręce i skierowała się ku przełazowi w żywopłocie, żałując w duchu, że nie ma na sobie nic porządnego zamiast mokrego fartucha.

- Jeremy, to Phyllis Eddy, która pomagała mojej mamie prowadzić dom. Mieszka teraz z nami, bo jej mąż także służy w marynarce.

- O, a na jakim stanowisku?

- Mechanika maszynowni! - wyrecytowała z dumą Phyllis. - Dostał już awans na starszego marynarza!

- No, to musiał nieźle się spisywać. Ciekawe, gdzie teraz pływa.

- Gdzieś na Morzu Śródziemnym.

To mu dobrze, chociaż wygrzeje się na słońcu. A czyja jest ta mała dziewczynka?

- To nasza Ania, ale pewnie się pana wstydzi.

- Jeremy wpadł do nas po drodze do Nancherrow - wyjaśniła Judyta. - Chce zatrzymać się u nich na parę dni.

- Och, to cudownie! - nie wytrzymała Phyllis. Cóż, ten młody człowiek nie był specjalnie przystojny, a jeszcze do tego nosił okulary! Za to miał najmiłszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała, a w tym uśmiechu pokazywał piękne białe zęby. No i jak na kogoś, kto o mało nie wyleciał w powietrze razem z okrętem, wyglądał nadspodziewanie dobrze.

- Oczekują mnie tam dopiero na lunch - uzupełnił Jeremy. - No, ale skoro już przejeżdżałem przez Rosemullion, nie darowałbym sobie, żeby nie sprawdzić, jak sobie radzisz w tym starym domu.

Phyllis uśmiechnęła się pod nosem. No tak, musiał znaleźć pretekst, żeby wpaść z wizytą! Było dopiero wpół do jedenastej, więc młodzi będą mieli pełne dwie godziny dla siebie. Niech no tylko zostaną sami...

- Czemu nie zaprosisz pana doktora do środka albo na werandę? - zaproponowała, sadzając sobie Anię na drugim biodrze. - Tylko skończę wieszać pranie i zaraz zaparzę kawę!

Mówiąc to, czuła się tak jak za dawnych czasów w Riverview, kiedy pani Dunbar przyjmowała gości. Teraz Jeremy Wells był ich gościem, pierwszym, którego witały na nowym gospodarstwie. Filiżanka kawy to niby nic wielkiego, ale Phyllis chętnie poniosłaby i większą ofiarę, gdyby to miało utorować drogę prawdziwej miłości!

Judyta i Jeremy mieli ze sobą dużo do pogadania po jedenastu miesiącach niewidzenia - tyle się tymczasem zdarzyło, przybyło nowych informacji o wspólnych znajomych! Ostatnie ich spotkanie przypadło w tamtą upalną sierpniową niedzielę, która dla Judyty tak obiecująco się zapowiadała, a tak fatalnie się skończyła! Obiecała wtedy

po lunchu, że zobaczą się później, ale od tamtej chwili więcej się nie widzieli.

Ukradkowo przyglądając się Jeremy'emu zauważyła, że się zmienił.

Dziesięć miesięcy przebywania na ogarniętym wojną oceanie wyostrzyło jego rysy, dodało do nich kilka nowych zmarszczek i pewną twardość w spojrzeniu, które nie tak łatwo już rozjaśniał promienny uśmiech. Zawsze jednak знаła go jako dojrzałego i odpowiedzialnego człowieka, nie stracił więc nic takiego, czego warto by było żałować. Judyta poinformowała Jeremy'ego o narodzinach dziecka Atheny i Ruperta.

- Masz pojęcie, miała prawie dziewięć funtów! - relacjonowała. - Cała czerwona i z czarnymi włoskami jak mała Indianka!

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

- Wszyscy byliśmy pewni, że Athena od razu podrzuci ją Mary Millyway, ale, o dziwo, nagle poczuła instynkt macierzyński. Całymi godzinami leży przytulona do Klementynki i czule do niej przemawia jak do małego puszystego szczeniaczka! A Loveday haruje na farmie, jakby pełniła zastępczą służbę rolną! Rzecz jasna nieoficjalnie, więc przynajmniej nie musi nosić tego ich ohydneho munduru. Karmi całe stado kur i zaopatruje nas wszystkich w jajka. Pan Nettlebed jest w obronie przeciwlotniczej, a oprócz tego zajmuje się jeszcze ogrodem warzywnym, ale do stołu podaje z taką samą nadętą miną jak zawsze. Zobaczysz, teraz spodoba ci się w Nancherrow, bo niby się zmieniło, ale właściwie nic się nie zmieniło - i to jest najzabawniejsze!

Jeremy zainteresował się teraz, co słyhać u Warrenów w Porthkerris.

Zaskoczył tym Judytę, bo przecież znał tę rodzinę tylko ze słyszenia.

- Chwała Bogu, Joe Warren wrócił spod Dunkierki. Pobył trochę w domu i znów pojechał na front, ale nie wiem, dokąd tym razem. Byliśmy raz u nich z Bidy, to dowiedziałyśmy się wszystkich ploteczek. Heather pra-

kuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale zajmuje się jakimiś ściśle tajnymi sprawami. Dobrze jej się powodzi, ale o jej chłopaku, Charliem Lanyonie, słuch zaginął. Też był pod Dunkierką, więc modlą się, żeby choć dostał się do niewoli! - To przywiodło jej na pamięć Gusa, więc dodała: - A słyszałeś, jak Gus Callender wydostał się z St. Valéry?

- Ojciec powiedział mi o tym. To prawdziwy cud.

- Szkoda, że nie widziałeś miny Loveday, kiedy przybiegła do nas z tą wiadomością. Była już całkiem przygnębiona, aż raptem coś ją olśniło, jakby intuicja jej podpowiedziała, że on żyje. Mówiła, że jakby usłyszała jego głos. Wracała akurat z Lidgey, więc przez całą drogę do Nancherrow biegnęła, a ledwo wpadła do domu, zaraz zadzwonił telefon i to był właśnie on! Dzwonił ze szpitala w Southampton. Zupełnie jakby dowiedziała się o tym telepatycznie!

- Jestem przekonany, że istnieje więź telepatyczna między ludźmi, którzy się kochają - potwierdził Jeremy. - I kto jak kto, ale właśnie Loveday może mieć taki szósty zmysł. Jest rodowitą Kornwalijką i ma typową celtycką intuicję.

Nie było po co rozmawiać dłużej o Carey-Lewisach, bo przecież Jeremy miał za jakąś godzinę się z nimi zobaczyć. Judyta opowiedziała mu więc jeszcze o tragicznej śmierci Neda Somerville'a i o jego rodzicach, Bobie i Bidy.

- Wiedziałaś, że ciocia wyprowadziła się z Devon i zamieszkała tu ze mną?

- Tak, i liczyłem, że będę mógł ją poznać.

- Właśnie dziś rano trafiła jej się okazja do Penzance, bo akurat wybierała się do fryzjera. Nie wiem, kiedy wróci, ale wszystko dobrze się tu nam układa. Powiedziałam raz panu Bainesowi, że to chyba musiało być zapisane w gwiazdach.

- A do tego jeszcze Phyllis?

- Ona to już zupełnie spadła z nieba. I nam z nią dobrze, i jej tu dobrze, aż odżyła, odkąd jest u nas. Urządziłyśmy nawet oddzielny pokój dla małej, żeby Cyryl mógł spędzić noc z żoną, gdyby przyjechał na urlop. Zanim odjedziesz, muszę oprowadzić cię po moim domu. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jest naprawdę mój. Zawsze marzyłam o własnej chatce pod palmą, a teraz mam swoje miejsce pod słońcem, gdzie mogę zapaść korzenie. Czasem w nocy budzę się i myślę, czy nie śnię.

- I chciałabyś zostać tu już na zawsze?

- Tak, ale jeszcze nie teraz. Najpierw trzeba zrobić coś dla kraju. Pewnie wstąpię do służby pomocniczej.

Jeremy uśmiechnął się, ale nie rozwijał tego tematu. Zaczął natomiast wypytywać Judytę, co słychać u jej rodziny w Singapurze. Właśnie mu o tym opowiadała, gdy Phyllis przyniosła kawę. Judyta zauważyła, że naląła ją do najlepszych filiżanek po ciotce Lawinii, kawa była świeżo zmielona, a do niej biszkopciki.

- Przyniosłaś tylko dwie filiżanki - zwróciła uwagę. - Nie napijesz się z nami?

- Dziękuję, ale mam kupę roboty, a państwo tu jeszcze macie tyle do pogadania... Nie wiedziałam, czy pan słodzi, ale na wszelki wypadek podałam cukier.

- Dziękuję, rzeczywiście słodzę.

Phyllis wycofała się z domyślnym uśmiechem. Judyta miała nadzieję, że Jeremy tego nie zauważył. Naląła mu kawy i zmieniła temat.

- O wszystkim już mówiliśmy, tylko nie o tobie, a przecież miałeś takie straszne przejścia... - zaczęła, lecz widząc jego minę, szybko dodała: - Chyba że nie chciałbyś o tym mówić?

- Niespecjalnie.

- Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz.

- To nic takiego.

- Czy okręt poszedł na dno?

- Tak. Trzymałem się kurczowo tratwy i widziałem,

jak powoli się pograżał, poczynając od rufy. Potem wir wciągnął wszystko i na powierzchni zostały tylko plamy ropy i kawałki osprzętu.

- Dużo załogi straciliście?

- Około połowy. Zginął pierwszy oficer i dowódca obsługi dział. Kapitan uratował się, ale jest jeszcze w szpitalu.

- Twój ojciec mówił, że byłeś poparzony.

- Tak, na plecach, lewym ramieniu i łopatce, ale niezbyt poważnie. Nie trzeba było przeszczepiać skóry i wszystko już ładnie się goi.

- I co teraz zrobisz?

- O tym zadecyduje dowództwo.

- Zamustrujesz na jakiś inny okręt?

- Mam nadzieję.

- Znów będziesz pływał po Atlantyku?

- Pewnie, w konwojach. Przecież wciąż toczy się walka.

- Tylko czy ją wygramy?

- Musimy. Trzeba pilnować szlaków handlowych, aby nie dopuścić do przerwania dostaw amerykańskiej broni i żywności. Niemieckie łodzie podwodne węszą wszędzie, a my musimy dostosowywać tempo konwoju do prędkości najwolniejszego statku handlowego. Stanowczo za dużo ich tracimy.

- I nie boisz się tam wracać?

- Boję się, ale wszyscy nauczyliśmy się już wmawiać sobie, że wcale się nie boimy. Dyscyplina i rutyna też robią swoje. Zresztą w najgorszym razie wiem już, czego się mogę spodziewać.

- Była bitwa o Francję, a teraz znów o Anglię... - westchnęła Judyta, bo wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie. Nie rozwijała tego tematu, bo wiedziała, co Jeremy teraz powie.

- A Edward jest w największym ogniu tej bitwy.

- Wiem.

- Masz może jakieś wiadomości od niego?

- Tylko tyle, co przekazał rodzinie.
  - A do ciebie nie pisał?
  - Nie.
  - Ani ty do niego?
  - Też nie.
  - Co takiego zaszło między wami?
  - Nic.
  - Kłamiesz.
  - Naprawdę nic takiego! - Wiedziała jednak, że nie umie kłamać i Jeremy zaraz ją rozszyfruje.
  - Kochałaś Edwarda.
  - A któż by go nie kochał? To był człowiek stworzony do miłości. Chyba urodził się w czepku.
  - Wiesz, że nie to miałem na myśli.
- Judyta spuściła oczy i nie odzywała się, więc przez chwilę słychać było tylko szum drzew w ogrodzie i pisk mew wysoko nad głowami. Ponieważ Jeremy nie doczekał się odpowiedzi - kontynuował temat.
- Wiem dobrze, jak to było. W tamtą niedzielę, kiedy przed lunchem siedzieliśmy w ogrodzie i razem z Edwardem przyniosłem drinki, zauważyłem, jak na niego patrzysz. Rozpromieniłaś się jak włączona żarówka. A kiedy rozmawialiście, wyglądało to, jakby otaczała was aureola...
  - Może właśnie chciałam zrobić takie wrażenie? - wykręcała się, bo nie mogła znieść, jak jej to przypominał.
  - Po lunchu pojechaliście oboje odwiedzić panią Bo-scawen. Potem nad zatokę przyszedł już tylko Edward, a ty znikłaś i nie pokazałaś się więcej. Coś musiało się wtedy wydarzyć, prawda?
- Nie było sensu zaprzeczać.
- To się wydarzyło, że przeceniłam jego uczucia. Kochałam go chyba od samego początku i myślałam, że on mnie też. Jemu nie można było się oprzeć, miał w sobie coś takiego... - Uśmiechnęła się kwaśno do Jeremy'ego, ale jego szeroki uśmiech potrafił zawsze podnieść ją na duchu. - Zresztą ty wiesz o tym najlepiej!

- Rzeczywiście.
- Myślałam więc, że on czuje to samo w stosunku do mnie, ale okazało się, że nic podobnego.
- Ależ on szalał za tobą!
- Mimo to nie chciał związać się ze mną na stałe.
- Na to był chyba jeszcze za młody.
- To samo powiedział mnie.
- A ty wtedy postanowiłaś z tym skończyć?
- Tak, gdyż za dużo już powiedziałam i za daleko się posunęłam. Musiałam się wycofać.
- Także z Nancherrow?
- Tak, bo nie mogłam dłużej znieść widoku ani jego, ani ich wszystkich. Gdybym po tym, co się stało, codziennie musiała patrzeć na niego... Chyba mnie rozumiesz?
- Mogę zrozumieć koniec miłości, ale nie koniec przyjaźni.
- Może Athena lepiej wiedziałaby, jak się zachować w takiej sytuacji, ale ja nie miałam jej doświadczenia.
- Wciąż jeszcze kochasz Edwarda?
- Próbuję się odkochać, ale trudno zapomnieć o pierwszej miłości swego życia.
- Ile ty właściwie masz lat?
- Dopiero skończyłam dziewiętnaście.
- To jesteś jeszcze strasznie młoda.
- Ale spróbuję jakoś sobie z tym poradzić.
- Pewnie martwisz się o niego?
- Cały czas, nawet podświadomie. Kiedy widzę w gazetach zdjęcia samolotów czy walk powietrznych, myślę o nim. Co nie znaczy, że identyfikuję się z tym, co się dzieje. Myślę, że ktoś, kto ma w sobie tyle wdzięku, także wszystko, co robi, robi z wdziękiem.
- Rozumiem, o co ci chodzi - uśmiechnął się wyrozumiale Jeremy. - Przepraszam, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale za dobrze znam Edwarda. Bałem się, żeby cię nie skrzywdził.



- Teraz, kiedy już jest po wszystkim, mogę spokojnie o tym mówić. I nawet nie przeszkadza mi, że wiesz o tym.

- To dobrze. - Dopił kawę, odstawił filiżankę i popatrzył na zegarek. - No, jeśli chcesz pokazać mi swoją posiadłość, to chodźmy, bo będę pomału się zbierał.

W spokojnej atmosferze starego domu oboje przestali już krępować się siebie nawzajem. Miejsce nieporozumień zajęła duma Judyty z jej stanu posiadania, podsycana entuzjazmem Jeremy'ego. Za życia ciotki Lawinii bywał nieraz w tym domu, ale nie wykraczał wtedy poza granice salonu i jadalni. Teraz zaś zrobili prawdziwy obchód całego domu, od poddasza do kuchni.

- Diana i pan pułkownik byli tacy mili, że pozostawili mi prawie całe wyposażenie - objaśniała Judyta. - A takie drobiazgi, jak wyblakła tapeta czy wytarte miejsca na dywanie, nie tylko mi nie przeszkadzają, ale przez to wygląda In bardziej po domowemu. Tu i ówdzie zostały dziury po tych rzeczach, które zabrali do Nancherrow, ale mogę świetnie obejść się bez nich. Kuchnia jest bardzo funkcjonalna...

- A czym podgrzewasz wodę? - Jeremy okazał się uroczo praktyczny.

- Wężownicą z pieca kuchennego. To bardzo wydajne, wystarczy dwa razy dziennie napalić. Jedyne, co by mi się naprawdę przydało, to porządna lodówka, ale nie mam kiedy się za tym rozejrzeć, a w Penzance akurat nie ma lodówek w sklepie. Trzeba będzie pojechać do Plymouth. l'an Baines radzi, żeby zainstalować jeszcze jedną łazienkę, ale na razie wystarcza nam to, co jest... Założyłabym uiczej centralne ogrzewanie, ale z tym trzeba będzie poczekać, aż się wojna skończy.

Do tego będzie ci potrzebny dodatkowy zbiornik. Tu, za zmywalnią, akurat się zmieści... Pokazała mu to miejsce i przez następne pięć minut dyskutowali o trudnościach z przebicciem rur przez grube

kamienne ściany. Po chwili dołączyła do nich Phyllis, która razem z Anią zbierała groszek w ogródku. Zamienili jeszcze parę słów, po czym Jeremy znów spojrzął na zegarek i oświadczył, że już pora na niego.

- Długo zostajesz w Nancherrow? - zagadnęła Judyta, odprowadzając go do samochodu.

- Tylko dwa dni.

- A zobaczymy się jeszcze? - spytała z nadzieją w głosie.

- No pewnie! Wiesz co, najlepiej wpadnij jeszcze dziś po południu, to pójdziemy razem nad zatokę popływać. Może i inni pójda z nami?

Propozycja wydała się zachęcająca, przecież tak dawno nie była już nad zatoką!

- Chętnie. Przyjadę na rowerze.

- Tylko pamiętaj zabrać kostium kąpielowy.

- Będę pamiętać.

- No więc do zobaczenia o trzeciej.

- Dobrze, ale gdyby w Nancherrow mieli jakieś inne plany co do ciebie, to po prostu zadzwoń.

- Oczywiście.

Wsiadł do samochodu i odjechał, a Judyta stała i pa trzymała w ślad za nim, dopóki nie znikł jej z oczu. Potem poszła do kuchni, siadła przy stole obok Phyllis i razem łuskały groszek.

Jazda rowerem do Nancherrow, w świetle słonecznym rozproszonym między gałązkami drzew i wśród obficie kwitnących niebieskich hortensji przypominała posuwanie się wzdłuż koryta rzeki. Zaraz po lunchu Judyta przebrała się w bawełnianą koszulkę i szorty, a do bagażnika roweru zapakowała kostium kąpielowy, ręcznik, gruby sweter i paczkę ciasteczek. Z góry cieszyła się na myśl o kąpeli; a może Loveday czy nawet Athena też zechcą pójść popływać?

Ledwo wyjechała spod drzew, a już koła roweru za-

zgrzytały na żwirze. Poranną mgiełkę dawno rozwiał zachodni wiatr, który wciąż jeszcze dmuchał. Popołudniowe słońce odbijało się w oknach Nancherrow, a kury Loveday gdakały w swej zagrodzie, jakby już zniosły jajka albo miały zamiar to zrobić.

Wokół nie było widać żywej duszy, ale drzwi frontowe siały otworem. Judyta oparła rower o ścianę, zabrała rzeczy z bagażnika i właśnie zamierzała wejść do środka, gdy nagle zamarła. Oto, nie wiadomo skąd, tuż za nią znalazł się Jeremy, jakby wyskoczył spod ziemi.

- No wiesz! Jak mogłeś mnie tak przestraszyć? - złała go żartobliwie. On jednak położył jej ręce na ramionach, jakby chcąc ją przytrzymać, i przemówił całkiem poważnie:

- Nie wchodź tam.

- Dlaczego?! - wykrzyknęła Judyta ze wzrastającym przerażeniem, widząc jego ściągniętą, bladą mimo opalenizny twarz i nerwowy skurcz policzka.

- Jakies pół godziny temu dostali telefon, że Edward nie żyje.

- Nie! - usiłowała rozpaczliwie zaprzeczyć, dziękując Bogu, że Jeremy tak mocno ją przytrzymał. Inaczej na pewno ugięłyby się pod nią kolana, a nagły przestach ścisnął ją za gardło.

- Zginął dziś rano - powtórzył Jeremy.

- Niemożliwe! Jeremy, powiedz, że to nieprawda! To nie mógł być Edward!

- Niestety, dzwonił jego dowódca, aby oficjalnie powiadomić o tym pułkownika.

Tłumiony dotąd lęk, z którym wszyscy już nauczyli się żyć, wypełził teraz z ciemnego kąta i wyszczerzył zęby. Kiedy podniosła oczy na Jeremy'ego, ujrzała pod jego okularami nieobeschłe jeszcze łzy.

„Wszyscy kochaliśmy lidwarda na swój sposób - pomyślała. - I wszystkim nam będzie go brakować!”

- Jak to się stało i gdzie? - chciała wiedzieć.

- Nad Dover, w czasie nalotu. Niemcy bombardowali port, więc nasze myśliwce ruszyły do kontrataku. Zniszczyliśmy dwanaście niemieckich maszyn, ale straciliśmy trzy własne, w tym spitfire'a Edwarda.

Judyta rozpaczliwie chwytła się każdego strzępka na dziei. W bezsilnym gniewie pytała:

- Ale czy oni są tego pewni? Skąd mogą wiedzieć, że on nie żyje?

- Pilot drugiego spitfire'a widział to na własne oczy. Stukas oddał pojedynczą serię prosto w samolot, aż tylko czarny dym z niego poszedł. Przeszedł w korkociąg, spadł do morza i dopiero tam wybuchł. Nie było kiedy katapultować się ani skakać ze spadochronem. Nikt na jego miejscu nie miałby szansy przeżycia.

Słuchała tych strasznych słów czując, jak obumiera w niej ostatni cień nadziei. Jeremy postąpił krok naprzód i wziął ją w ramiona. Ona też upuściła na ziemię ręcznik i sweter, objęła go w pasie, przyłgnęła policzkiem do jego ramienia i próbowali jakoś pocieszyć się nawzajem. Rów nocześnie jednak Judyta myślała o pogrążonej w bólu ro dzinie, która znajdowała się gdzieś wewnątrz. A więc i do tego ciepłego, szczęśliwego domu uroczych, pogodnych ludzi wdarł się smutek! Trudno było wyobrazić sobie, jak pogodzą się z tą stratą. Na razie wszakże jedno było pewne - tego smutku Judyta nie miała prawa z nimi dzielić. W swoim czasie czuła się już jedną z klanu Carey Lewisów. Może kiedyś będzie mogła znów tak myśleć o sobie, w tej chwili jednak byłaby w Nancherrow tylko intruzem.

- Nie możemy tu zostać! - oświadczyła, delikatnie wy zwałając się z uścisku Jeremy'ego. - Jedźmy stąd, zaraz!

W zdenerwowaniu plotła od rzeczy, ale Jeremy dosko nale ją rozumiał.

- Ty rzeczywiście powinnaś wracać do domu, ale ja tu jeszcze zostanę, nawet te dwa dni... Obawiam się, że pułkownik niepokoi się o zdrowie Diany. Wiesz, jak za-

wsze starał się ją chronić... Na wszelki wypadek wolę być pod ręką. Choćby po to, by udzielać im moralnego wsparcia.

- Racja, przyda się jeszcze jeden mężczyzna w domu. Na miejscu pułkownika też wolałabym, żebyś został. Jesteś laki silny, opanowany, możesz im dużo pomóc. Chciałabym być taka jak ty, ale w tej chwili stać mnie tylko na to, żeby stąd uciec i schować się we własnym domu. Czy to bardzo podłe z mojej strony?

- Absolutnie nie. - Uśmiechnął się. - Jeśli chcesz, mogę cię podwieźć.

- Przyjechałam rowerem.

- To jedź ostrożnie, bo jesteś jeszcze w szoku. Podniósł z ziemi jej ręcznik i sweter, otrzepał i wetknął z powrotem do bagażnika roweru. Potem ujął rower za kierownicę i doprowadził go do niej.

- No to jazda!

Przejęła od niego rower, ale jeszcze się nad czymś zastanawiała.

- Powiedz Dianie, że kiedy indziej do niej przyjadę. Pozdrów ją ode mnie i wytłumacz, w czym rzecz.

- Oczywiście.

- A zanim znów wyjedziesz, wpadnij do mnie.

- Nie ma sprawy. Może zdążymy jeszcze popływać. Nie wiadomo dlaczego, właśnie te niewinne słowa spowodowały, że jej oczy wypełniły się łzami.

- Jeremy, powiedz, dlaczego musiał to być akurat Edward?

- Nie pytaj, bo ci na to nie odpowiem.

Nie pytała więc już o nic, tylko wsiadła na rower i powoli wyjechała na drogę. Jeremy odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie znikła w tunelu drzew. Potem odwrócił się i wszedł do domu, ale w uszach dźwięczało mu pytanie ludyty: „Dlaczego musiał to być akurat Edward?”

Judyta później nie pamiętała, w jaki sposób dostała się z Nancherrow do Dower House, gdyż pedałowiała jak au-

tomat, mając pustkę w mózgu. Najpierw czuła się zamroczone, jakby dostała pałką po głowie, a potem - jak ranne zwierzę, które pragnie tylko skryć się przed światem w swej norze.

Kiedy minęła bramę posiadłości Nancherrow, pomknęła serpentyną do skąpanej w słońcu doliny Rosemullion, potem przez wieś i nad rzeczkę. Kobieta rozwieszająca pranie przed domem poznała ją i uprzejmie zagadnęła: „Piękna dziś pogoda, prawda?“, ale do Judyty to ledwo dotarło.

Pedałowała jeszcze tak długo, dopóki stromizna wzgórze nie zmusiła jej do prowadzenia roweru. Przy bramie Dower House zatrzymała się na chwilę dla nabrania oddechu. Dopchała rower do drzwi i porzuciła go tam, ze skrzywioną kierownicą i obracającym się wolno przednim kołem. Dom drzemał leniwie w popołudniowym słońcu, od którego nagrzewały się jego kamienne mury. Judyta stwierdziła to dotykając ścian ganku i pomyślała, że ten dom ma w sobie życie, jak człowiek - bijące serce. Po chwili zastanowienia weszła do hallu, gdzie słychać było jedynie tykanie starego stojącego zegara. Trochę nasłuchiwała i zawołała:

- Biddy!

Powtórzyła to jeszcze raz, ale nie otrzymała odpowiedzi, co oznaczało, że Biddy jeszcze nie wróciła. Zawołała więc:

- Phyllis!

Również i w tym wypadku odpowiedziała jej cisza. Przeszła więc przez hall i otworzyła szklane drzwi wiodące na werandę. Widać było stamtąd ogród, gdzie Phyllis siedziała z Anią i Morąg na rozłożonym kocu.

Wyniosła tam też zabawki małej - gumową piłkę, którą kupiła jej Judyta, i blaszany serwis dla lalek, wygrzebany przez Biddy na strychu.

Judyta zeszła z werandy prosto na trawnik. Morąg, sły-

sząc jej kroki, zaszczekała, co zmusiło Phyllis do podniesienia głowy.

- Jużś wróciła? Toście sobie nie popływali.

- Ano nie - odrzekła Judyta, siadając przy niej na kocu. Miło było usiąść na nagrzaney w słońcu, szorstkiej materii.

- A czemu nie? Taki piękny dzień dzisiaj... Urwała, bo zmroził ją ton głosu Judyty.

- Phyllis, chciałabym cię o coś zapytać.

- Dobrze się czujesz? - spytała na wszelki wypadek.

- Gdybym na przykład musiała wyjechać... - ciągnęła Judyta nie zważając na nią - czy zostałabyś tu i zaopiekowała się Biddy?

- O czym ty, u licha, gadasz?

- Jeszcze z nią o tym nie mówiłam, ale myślę, że wolałaby zostać tu z tobą niż wracać do Devon. Rozumiesz, ona nie może być sama, bo wtedy wraca do wspomnień o Nedzie i zaczyna pić. I to na poważnie, żeby się upić. Raz już się tak zdarzyło, kiedy zostawiłam ją samą, jeszcze w Devon. Wtedy powiedziała mi o tym pani Dagg. Między innymi dlatego zabrałam ją tu ze sobą. Mówię ci to teraz, kiedy ona nie słyszy, bo chciałabym, żeby to zostało między nami. Nie opuścisz jej nigdy, prawda?

Phyllis, rzecz jasna, była kompletnie zaskoczona.

- O co ci chodzi, na miłość boską?

- Wiesz, że prędzej czy później wyjechałabym stąd, żeby wstąpić do jakiejś służby, bo w takiej sytuacji nie mogę przecież siedzieć w domu.

- Tak, ale...

- No więc jutro pojedę pociągiem do Plymouth, do koszar Devonport, żeby zaciągnąć się do Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej.

Oczywiście jeszcze tu wrócę, ho rozkaz wyjazdu dostanę najwcześniej za dwa tygodnie. Ale proszę, obiecaj mi, że nie opuścisz Biddy! A gdybyście musiały z Anią gdzieś wyjechać, znalazłabyś kogoś na swoje miejsce, dobrze?

Phyllis od razu zauważyła, że Judyta jest w stanie jakiegoś dziwnego podniecenia. Mówi dużo i szybko, a wszystko nie trzyma się kupy. Zaciekawilo ją to, lecz i zaniepokoiło, więc położyła rękę na ramieniu Judyty, tak jak kiedyś uspokajała młodego nerwowego konia.

- No, tylko się nie martw. - Celowo starała się mówić powoli i spokojnie.

- Niby dlaczego miałabym opuścić panią Somerville? Przecież wszyscy wiedzą, że ona lubi strzelić sobie kielicha do poduszki!

- Tu nie chodzi o kielicha do poduszki! - prawie krzyczała Judyta. - Czy ty nic nie rozumiesz?

- Spokojnie, wszystko rozumiem. Przecież dałam ci słowo.

Spokojna pewność siebie Phyllis poskutkowała, gdyż Judyta opanowała rozdrażnienie, przygryzła wargę i zamilkła.

- No, tak już lepiej - podsumowała Phyllis. - Teraz pomówmy poważnie. Wiem, że już od dawna chciałaś wstąpić do tej służby pomocniczej. Ale skąd nagle taki pośpiech? Co cię tak przypiliło, żeby już, zaraz, od jutra?

- Nie wiem. To tak jakoś samo z siebie...

- Czy stało się coś ważnego?

- Tak.

- I to właśnie teraz?

- Tak.

- No to powiedz swojej Phyllis, co to takiego.

Te słowa przypomniały Judycie, jak za czasów River-view Phyllis w taki sposób ośmielała ją do zwierzeń, kiedy boleśnie przeżywała wyniki egzaminu czy fakt, że nie zaproszono jej na czyjeś urodziny. Zaczepnęła więc hausa powietrza i wyrzuciła z siebie:

- Zginał Edward Carey-Lewis. Zestrzelili jego samolot nad Dover.

- Boże wszechmogący!

- Jeremy powiedział mi o tym, gdy tylko tam przyjechałam. To dlatego nie poszliśmy się kąpać, tylko zaraz tu



wróciłam. Chciałam być blisko ciebie. Tak cię potrzebowałam... -  
Raptem jej twarz skurczyła się jak u dziecka, które za chwilę wybuchnie płaczem. Phyllis przyciągnęła ją do siebie, pocałowała we włosy i łagodnie zaczęła kołysać w ramionach jak niemowlę. - Phyllis, ja nie mogę znieść myśli o tym, że on nie żyje! Zawsze się wiedziało, że jest gdzieś w pobliżu, a teraz już w ogóle go nie ma...!

- Ciii...

Tuląc do piersi roztrzęsioną Judytę, Phyllis nagle zrozumiała wszystko. To nie Jeremy Wells, tylko Edward Carey-Lewis był obiektem westchnień Judyty. Okazało się, że Phyllis mimo całej swej przenikliwości źle oceniła sytuację. Judyta pokochała młodego Carey-Lewisa, a teraz utraciła go na zawsze.

- Ciii... no, już dobrze...

- Och, Phyllis...

- Wypłacz się, to ci ulży.

Jaka ta wojna jest okrutna, myślała Phyllis. Ale czy warto za wszelką cenę robić dobrą minę do złej gry? Może lepiej puścić wszystko na żywioł, niech czas uleczy lany, a dobroczynne łyzy zmyją smutki?

Judyta pojawiła się powtórnie w Nancherrow dopiero po trzech dniach, pierwszego sierpnia. Akurat padał obfity deszcz, długo wyczekiwany przez wysuszone pola i ogrody. Od razu tak podniósł się poziom wody w rzece, że już nie było widać kaczeńców; na szosie potworzyły się kałuże, a z drzew za najłżejszym poruszeniem gałązek leciały strumienie wody.

Judyta w nieprzemakalnej kurtce, lecz z gołą głową, przyjechała na rowerze. Pod górę pchała go aż do bramy majątku, gdzie znów wskoczyła na siodełko, aby przejechać między namokniętymi hortensjami.

Zostawiła rower przy drzwiach frontowych i weszła do hallu. Od razu ujrzała stojący tam stary wózek dziecięcy na pasach, klasyczny w swej formie jak rolls-royce. Spała

w nim Klementyna, bo przypuszczalnie z powodu deszczu nie można było wywieźć jej do ogrodu na świeże powietrze. Judyta położyła mokrą kurtkę na krześle i podeszła do wózka, aby nacieszyć oczy rozkosznym widokiem śpiącego niemowlęcia. Na ozdobionej falbankami poduszecze rysowały się jej pyzate brzoskwiniowe po liczki i jedwabiste czarne włoski. Dziewczynka była cała owinięta w puszysty szal z szetlandzkiej wełny, ale jedna tłusta łapka wysunęła się z powijaków i spoczywała, rozcapierzona jak rozgwiazda, na różowej kołderce. Judycie zdawało się, że nikt i nic nie jest w stanie zakłócić tego beztroskiego snu, będącego ucieleśnieniem samej niewinności. Dotknęła małej łapki, podziwiając precyzyjnie ukształtowane paznokietki. Poczła zapach czystego, wypielegnowanego ciała w połączeniu z wonią wełny i pudru Johnsona. Widok tego uroczego maleństwa po prawil jej nastrój bardziej niż cokolwiek innego w tych dniach.

W końcu jednak odeszła od śpiącego dziecka i wkroczyła do wewnętrznego hallu. Na okrągłym stole u podnóża schodów stały kwiaty we flakonie, a na tacy jak zwykle biała sterta listów przygotowanych do wysłania. Zatrzymała się tam na chwilę, ale dom robił wrażenie pustego. Przeszła więc korytarzem do małego saloniku, którego drzwi stały otworem. W jego przeciwległym końcu, pod wykuszowym oknem, siedziała przy biurku Diana.

Biurko, przeniesione tu z dużego salonu, którego przestano używać po wybuchu wojny, było zawałone korespondencją i materiałami piśmiennymi. Ale Diana w tym momencie nawet nie trzymała pióra w ręku, tylko bezmyślnie gapiała się na deszcz siąpiący za oknem. Kiedy Judyta zawołała ją po imieniu, odwróciła się wprawdzie, ale przez moment jakby nie mogła się skupić. Dopiero po chwili jej wzrok się rozjaśnił.

- Judyto, kochanie, nareszcie przyjechałaś!

Wyciągnęła rękę na powitanie, a Judyta zamknęła za sobą drzwi i szybko przebiegła przez pokój, aby ją uściskać.

- Jak miło znów cię zobaczyć! - dodała jeszcze Diana. Wyglądała na zmęczoną, schudła i pobladła, ale nie przestała być elegancka jak zawsze. Do plisowanej spódniczki miała dobrze dobraną niebieską jedwabną bluzkę i rozpinany kaszmirowy sweter zarzucony na ramiona, a do tego perły na szyi i kolczyki. Nienaganny makijaż i zapach wykwintnych perfum dopełniały wrażenia. Judyta patrzyła na nią z podziwem, lecz równocześnie i z pewną wdzięcznością, bo gdyby zobaczyła Dianę zdruzgotaną, zaniedbaną i źle ubraną - oznaczałoby to niechybnie, że zbliża się koniec świata. Rozumiała też jednak, ile samozaparacia musi kosztować Dianę takie trzymanie fasonu. Musiała zachowywać pozory ze względu na swą rodzinę, Nettlebedów i Mary.

- Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz... - ciągnęła dalej Diana.

- Diano, kochanie, tak mi przykro!

- Błagam, nie mów do mnie w ten sposób, bo zaraz się rozplacę!

Najlepiej mów całkiem zwyczajnie. Tak dziś leje, a ty przyjechałaś na rowerze? Pewno przemokłaś do nitki. Siadaj, pogadamy.

- A nie przeszkadzam ci?

- Właśnie marzę o tym, żeby ktoś mi trochę poprzeskadzał. Nie cierpię pisania, a muszę odpowiedzieć na le wszystkie listy kondolencyjne, które otrzymałam. To zabawne, że zawsze wysyłałam kondolencje do innych tylko dlatego, że tak wypadało, a nie zdawałam sobie sprawy, ile to dla tych ludzi znaczy. Teraz czytam po raz klóryś z rzędu nawet najpłytsze komunały, bo i one napełniają mnie dumą i przynoszą pociechę. Ale najciekawsze, że każdy z tych ludzi pisze o Edwardzie co innego, jakby każdy z nich znał innego Edwarda. Jedni zwracają uwagę na to, jaki był miły, kto inny przypomina jakieś zabawne wydarzenie z jego udziałem, komuś znów wydał

się szczególnie wrażliwy czy przystojny... Ale najbardziej wzruszający list Edgar dostał od jego bezpośredniego do wódcy. Ten człowiek dopiero ma ciężkie zadanie - mas/ pojęcie, że musi pisać takie listy do wszystkich osieroconych rodziców?

- A co napisał o Edwardzie?

- Jak się dzielnie spisywał. I we Francji, i nad Kentem. Jak przy tym nigdy nie tracił humoru i jak uwielbiali go podkomendni... Pod koniec odbywał jeden lot za drugim, ale nigdy nie okazywał zmęczenia ani nie zbrakło mu odwagi.

- Pan pułkownik musiał być bardzo zadowolony z takiego listu!

- Pewnie, wsadził go do portfela i założę się, że do końca życia będzie go nosił na sercu.

- A jak pan pułkownik się czuje?

- Oczywiście jest roztrzęsiony, ale stara się nie dać tego poznać po sobie. Ciekawe, że i Edgar, i Athena, i na wet Loveday znaleźli sobie teraz nowe źródła, skąd czerpią siły. Athena ma swojego słodkiego dzidziusia, a Loveday po prostu jeszcze wcześniej wychodzi codziennie do pracy w Lidgley. Nie wiem dlaczego, ale obcowanie z panią Mudge jest dla niej największą pociechą. Może też łatwiej będzie nam samym się opanować, jeżeli najpierw nauczy my się podnosić na duchu innych? Wyobrażam sobie, co czuła Biddy, kiedy zginął Ned. Jej było jeszcze ciężiej, bo nie miała innych dzieci, które mogłyby być przy niej. Dobrze, że miała choć ciebie. Właściwie uratowałaś jej życie.

- Biddy prosiła, bym przekazała ci, że jeśli chcesz, chętnie do ciebie wpadnie.

- Powiedz jej, że może przyjść w każdej chwili. Bardzo chciałabym z nią porozmawiać. Jak myślisz, może Ned i Edward teraz gdzieś tam się spotkali i są szczęśliwi?

- Tego to ja już nie wiem.

- Przepraszam, taka głupia myśl przyszła mi nagle do

Howy... - Odwróciła się i znów utkwiała wzrok w deszcz za oknem. - Wiesz, kiedy weszłaś, akurat próbowałam przypomnieć sobie wiersz, który zawsze recytuje się na akademiach z okazji rocznicy zakończenia tamtej wojny. - znów zwróciła się do Judyty i z uśmiechem dokończyła: -To było coś o poległych, że nigdy się już nie zestarzeją, ale na zawsze pozostaną młodzi. Tylko że mam taką słabą pamięć do wierszy...

Judyta od razu sobie przypomniła, ale słowa te wydawały się jej tak wzruszające, że nie była pewna, czy będzie w stanie wypowiedzieć je na głos. Próbowała więc odwlec tę chwilę.

- Pamiętasz, jak to leciało?

- Chyba jakoś tak:

*To my się zestarzejemy - oni zostaną młodzi-Historia ich nie osądzi - bieg lat im nie zaszkodzi...* Urwała, bo czuła narastający ucisk w gardle i wiedziała, że za nic nie wypowie następnych dwóch wersów. Nawet jeśli Diana to zauważyła - nie dała nic po sobie poznać.

- To chyba mówi samo za siebie, prawda? Ten Binyan musiał być genialny, żeby znaleźć coś pocieszającego w takim bezmiarze nieszczęść!

- Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały, po czym Diana dyskretnie zaznaczyła: - Byłaś zakochana w Edwardzie, prawda? Nie musisz się martwić, że wiem o tym, bo od początku wiedziałam. Martwiłam się trochę o ciebie, bo on był jeszcze taki młody i nieodpowiedzialny, ale co mogłam zrobić? Tylko nie zacznij go teraz opłakiwać.

- Uważasz, że nie mam prawa?

- Skąd, myślę o czymś zupełnie innym. Chodzi mi o to, że masz dopiero dziewiętnaście lat i nie możesz marnować swojej młodości, żałując czegoś, co mogło się wydarzyć... -Raptem parsknęła śmiechem. - To zabrzmiało zupełnie jak cytat z tej okropnie nudnej sztuki, na której byliśmy ostatnio z Tommym Mortimerem w Londynie.

- Absolutnie nie mam zamiaru marnować swojej młodości - zapewniła ją Judyta. - Wręcz przeciwnie, natracę czasu. We wtorek wstąpiłam do Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej i tylko czekać, kiedy dostanę rozkaz wyjazdu.

- Ależ, kochanie...

- Wiedziałam, że prędzej czy później muszę to zrobić, więc niby dlaczego nie właśnie teraz? Tym bardziej że uregulowałam już wszystkie swoje sprawy. Biddy zamieszkała w Dower House razem z Phyllis i jej Anią i wszystko wskazuje, że chyba zostanie tam na stałe. Może od czasu do czasu zajrzysz do nich, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku?

- Z przyjemnością, zresztą będziemy się widywały na spotkaniach Czerwonego Krzyża. A co się robi w takiej służbie przy marynarce? Może będziecie pływać łódkami jak na regatach w Cowes? Widziałam gdzieś na zdjęciu osadę złożoną z samych ładnych dziewcząt...

- Nie, to nie ma nic wspólnego z łódkami.

- A szkoda!

- Będę tam raczej pisać na maszynie lub stenografować.

- Nie zapowiada się to zbyt ciekawie.

- Bo to jest taka praca.

Diana przetrawiała to w sobie przez jakiś czas, aż z głębokim westchnieniem przyznała:

- Trudno mi się będzie z tym pogodzić, ale rozumiem, że musisz tak postąpić. Z Jeremym także ciężko mi było się rozstać, taką podporą był dla nas w tych dniach. Ale też wiedziałam, że musi tam wracać. Pewnie ma jakiś inny okręt.

- Po drodze wpadł jeszcze do nas pożegnać się. To właśnie on mi poradził, żebym do ciebie zajrzała.

- To naprawdę jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. A propos... - Nagle zaczęła otwierać szufladki w biurku, jakby czegoś szukając. - Powinien gdzieś tu być dodat-

kowy klucz. Jeśli już od nas odjeżdżasz, muszę ci go dać.

- Jaki klucz?

- Od mojego domu w zaułku Cadogan. Na początku wojny miałam do niego sześć zapasowych kluczy. Jeden dostał Rupert, drugi Athena, Gus, Jeremy i Edward... O, jest! Musisz przyczepić do niego jakiś breloczek, żeby go nie zgubić.

Pchnęła w kierunku Judyty mosiężny klucz od zatrasku. Judyta złapała go i zacisnęła w garści.

- Po co mi go dajesz?

- Na wszelki wypadek. Podczas wojny przerzucają ludzi z miejsca na miejsce, a wszystkie drogi przeważnie prowadzą przez Londyn. Hotele są strasznie drogie, zresztą zwykle nie ma w nich miejsc. Dobrze mieć jakiś punkt oparcia, żeby w razie czego móc tam przenocować, oczywiście jeśli go nie zbombardują. Na razie nie wybieram się do Londynu, a nawet gdybyśmy się tam spotkały, to nic się nie stanie. Miejsca wystarczy.

- To naprawdę cudowne. I jak to szlachetnie z twojej slrony!

- Żadna szlachetność, to tylko drobiazg, który mogę dla was wszystkich zrobić. Zostaniesz na lunch? Zostań, mamy olbrzymi pieróg z nadzieniem z królika!

- Chciałabym, ale niestety muszę już lecieć.

- Loveday pracuje w Lidgey, ale Athena kręci się gdzieś w pobliżu...

- Może zobaczę się z nimi kiedy indziej. Dziś przyjechałam tylko do ciebie.

- Dobrze - Diana uśmiechnęła się wyrozumiale. - Powiem im, że spotkasz się z nimi innym razem.

Od śmierci Edwarda pułkownik Carey-Lewis co rano zabierał ze stołu w hallu całą korespondencję, aby ją przejrzeć w swoim gabinecie, zanim trafiłaby do rąk Diany. Wciąż przecież, po dziesięciu dniach, przychodziły jeszcze

listy kondolencyjne z różnych stron kraju i pułkownik obawiał się, iż niektóre z nich mogą okazać się na tyle nietaktowne, że zdenerwowałyby Dianę. Na takie listy sam odpowiadał i czym prędzej je niszczył. Resztę odnosił na biurko żony.

Tego ranka, jak zwykle, stosik listów był duży, ale wzrok pułkownika przyciągnęła znajdująca się w nim nietypowa koperta. Duża, żółta, sztywna i zaadresowana czarnym pochyłym pismem. Kiedy przyjrzał się jej dokładniej, zauważył stempel pocztowy z Aberdeen.

Zaniósł więc całą korespondencję do swego gabinetu, zamknął drzwi za sobą i usiadł za biurkiem. Na pierwszy ogień wziął dziwną, ciężką kopertę i rozciął ją swoim srebrnym nożykiem do papieru. Wewnątrz był list i sztywna kartka złożona we dwoje, spięta spinaczami. Zaczął od listu podpisanego „Gus”. Wzruszyło go, że jeszcze jeden kolega Edwarda z Cambridge pamięta o oddaniu hołdu poległemu przyjacielowi.

*Kwatera Główna*

*Pułku Strzelców Szkockich, Aberdeen 5 sierpnia 1940*

*Drogi Panie Pułkowniku!*

*Przykro mi, że nie napisałem do tej pory, ale dopiero wczoraj dowiedziałem się o śmierci Edwarda. Najuprzejmiej proszę o wybaczenie. Przez dziesięć lat uczyłem się poza domem, ale nigdzie, ani w Szkocji, ani w Rugby, nie zdołałem się z nikim szczerze zaprzyjaźnić. Może była to wina mojego typowo szkockiego, powściągliwego stylu bycia? Dopiero kiedy rozpocząłem studia w Cambridge i poznałem Edwarda -moje życie nabrało zupełnie nowych barw. Muszę się przyznać, że na początku podchodziłem do niego z rezerwą, bo jego wdzięk wydawał mi się aż podejrzany. Jednak gdy go bliżej poznałem, przekonałem się, że za tą zasłoną*



*dumną kryje się człowiek o silnym charakterze, który wie, czego chce i do czego dąży.*

*Mile wspominam te miesiące, które spędziliśmy razem, lulward dał się wtedy poznać jako wspaniały kompan, zawsze pełen radości życia i człowiek szlachetnego serca. Na zawsze wryła mi się też w pamięć moja wizyta w Nanncherrow przed samym wybuchem wojny i gościnne przyjęcie, jakie zgotowaliście Państwo obcemu w końcu człowiekowi. Takich wrażeń się nie zapomina i dumny jestem, 'c miałem szczęście poznać Edwarda i zaliczać się do grona jego przyjaciół.*

*Przeglądając niedawno mój szkicownik jeszcze z Cambridge, natrafiłem na portret, który zrobiłem Edwardowi w czasie międzywydziałowego meczu krykieta. Nie bardzo palił się wtedy do tej gry, ale jakoś dał się przekonać i czekał właśnie na swoją kolej, aby wyjść na boisko.*

*Oczywiście absolutnie się nie obrażę, jeśli Pan Pułkownik wyrzuci ten rysunek do kosza, ale pomyślałem sobie, że może chciałby go Pan zatrzymać...*

*Nasza dywizja formuje się na nowo, ale tymczasem dostałem przeniesienie do Drugiego Batalionu Pułku Strzelców Szkockich, który już odjechał na front. Jeśli to tylko będzie możliwe, postaram się być w kontakcie z Panem Pułkownikiem.*

*Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla Pana, Małżonki, Atheny i Loveday.*

*Szczerze oddany -*

*Gus*

Edgar dwa razy przeczytał ten list od początku do końca, Culem sięgnął po złożoną sztywną kartkę. Opanowując drżenie rąk, zdjął spinacze i rozłożył kartonik. Wewnątrz znajdowała się kartka wyrwana z bloczku, z charakterystycznie postrzępionym górnym brzegiem.

Rysunek był w stylu Gusa, najpierw naszkicowany ołówkiem, a potem lekko podkolorowany akwarelą. Ar-

tysta uchwycił tu Edwarda w jednym charakterystycznym momencie i uwiecznił go tak już na zawsze. Na rysunku Edward miał na sobie strój do gry w krykieta, czyli białą koszulę i także spodnie, przewiązane w pasie jedwabną szarfą w jaskrawe pasy. Zawinięte rękawy koszuli ukazywały dobrze umięśnione przedramiona, a w dłoni ściśniętą piłeczkę do krykieta. Z półprofilu było widać jego roześmianą, opaloną twarz, z charakterystycznym kosmykiem złocistych włosów spadającym na czoło. Wydawało się, że za chwilę podniesie rękę, by go odgarnąć. Raptem pułkownik przestał widzieć rysunek wyraźnie, bo przesłoniły mu go łzy. Przyłapał się na tym, że zwyczajnie płacze. Wyciągnął wielką chustkę w niebieskie grochy, wytarł oczy i wysiąkał nos. Dobrze, że był sam i nie miał świadków swojej kompromitującej słabości. Długo przesiedział nad tym portretem syna, zanim w końcu ostrożnie włożył go z powrotem w prowizoryczną okładkę, spiął spinaczami i schował do szuflady. Kiedyś może pokaże go Dianie. Z czasem zdobędzie się na to, aby kazać oprawić rysunek w ramkę, którą postawi na biurku. Najpierw jednak musi znaleźć w sobie siły, aby móc spokojnie siedzieć i patrzeć w twarz poległego syna. I nauczyć się jakoś z tym żyć.

**1942**

*Kwatera Główna*

*Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej, Portsmouth 2J stycznia 1942,  
piątek*

*Kochani Rodzice!*

*Od czasu tego listu, który nadszedł zaraz po Nowym Roku, nie mam od Was żadnego znaku życia, więc martwię się, czy z jakichś powodów nie możecie pisać, czy też może są jakieś trudności z przesyłką? Na wszelki wypadek piszę jeszcze na Orchard Road, bo nawet gdyby Was tam już nie było, to może ktoś Wam ten Ust przekaże. Niepokoję się o Was coraz bardziej, bo z gazet i radia napływają same niemiłe wieści o zwycięskim pochodzie Japończyków. Zajęli już Filipiny, Rangun i Hongkong, zatopili okręty „Książę Walii” i „Repulse”, a teraz padł Kuala Lumpur...*

*Wszystko to dzieje się tak blisko Was i nie widać, :czy ktokolwiek był w stanie ich zatrzymać. Próbowałam dodzwonić się do Scapa Flow, żeby sprawdzić, czy wujek liob nie wie czegoś więcej na ten temat, ale się nie dodzwoniłam. A nawet gdyby mi się udało - nie wiem, czy byłabym w stanie zamienić z nim choć kilka słów.*

*Dzwoniłam też do Loveday, bo myślałam, że może ma jakieś wieści od Gusa. Pamiętasz, Mamo, tego Gusa : Drugiego Batalionu Pułku Strzelców Szkockich, który przedstawił Ci się na przyjęciu w koszarach Selarig? Okazało się, że często wymieniają między sobą listy, ale ostat-*

*nio ona też długo nie miała żadnej wiadomości. Sądzi. Że wysłali go może na jakiś kurs lub odbywa ćwiczenia. W każdym razie znikąd nie nadchodzą dobre wiadomości.*

*Dziś poszłam do mojego szefa, kapitana Crombiego, z listem do podpisu. Czytał akurat gazetę i sam mnie zagadnął: „Masz rodzinę w Singapurze, prawda?” Trochę mnie to zdziwiło, bo zwykle nie jest zbyt rozmowny. Ciekawa byłam, skąd o tym wie, ale pewnie nasza pierwszy oficer mu powiedziała. Opowiedziałam mu więc wszystko o Was i o tym, jak się teraz o Was niepokoję, ale on mnie pocieszył, że chociaż ogólna sytuacja jest ciężka na wszystkich frontach (nawet w Afryce Północnej), to jednak Singapur jest nie do zdobycia. Nie tylko z tej racji, że jest ufortyfikowany, ale także dlatego, że w razie ataku będzie zaciekle broniony. Oby się nie mylił, ale wolę nawet nie myśleć o możliwości oblężenia. Proszę Cię, Mamo, gdybyś mogła się ewakuować stamtąd w jakieś bezpieczniejsze miejsce, skorzystaj z tego! Kiedy będzie po wszystkim, zawsze możesz wrócić.*

*Teraz, kiedy już wyrzuciłam z siebie, co mi leżało na sercu, mogę opisać Wam, jak mi się żyje. Przede wszystkim jest tu piekielnie zimno, przez noc woda w szklance zamarza! Dziś na szczycie Portsdown Hill leżał już śnieg. Dobrze, że chociaż w naszym biurze jest ciepło. Dostałam przepustkę i jutro jadę na weekend do Londynu. Nie bójcie się, chwilowo nie ma nalotów! Zatrzymam się w mieszkaniu Diany, które na szczęście jeszcze się ostało. Umówiłam się z Heather Warren na spotkanie w Londynie, bo nie widziałam jej od początku wojny (kiedy wprowadziłam się do Dower House, ona akurat wyjechała z Porthkerris). Ciężko nam było się spotkać, bo ona w tej swojej ściśle tajnej firmie prawie nigdy nie ma wolnego w te dni co ja. Dopiero teraz udało nam się zgrać przepustki. Nie pamiętam, czy Wam pisałam, że jej chłopak, Charlie Lanyon, dostał się do niewoli niemieckiej. Nie*

*jest mu tam pewnie zbyt wesoło, ale zważywszy, jaka była alternatywa... Spotykamy się z Heather koło Swana i Edgara, stamtąd idziemy prosto na lunch, a potem może na koncert. Chciałabym kupić sobie na tę okazję jakąś „kiece” (jak mówi Athena), ale chodzę teraz w mundurze, więc nie otrzymuję kartek odzieżowych, chyba że uda mi się wyprosić jakąś od Phyllis lub Biddy.*

*Z Nancherrow często dostaję listy. Ostatnio Athena przysłała mi zdjęcie Klementynki, która ma półtora roku i zaczyna już chodzić. Rzeczywiście urocza! Mąż Atheny, liupert, walczy teraz w Afryce Północnej ze swoją dywizją pancerną. Z koni przesiedli się na czołgi! Athena dostała ud niego list, w którym przesłał jej taki kawał: angielski oficer udał się z tajną misją na pustynię. Po jakimś czasie do Kwatery Głównej dotarł jego meldunek: „Złapałem Rommla”. Oczywiście wszyscy szaleli z radości, ale gdy wrócił, okazało się, że prawdziwy tekst brzmiał: „Zapomniałem rondla”.*

*Niezbyt to śmieszne, ale może Tatuś trochę się tym rozerwie.*

*Proszę, dajcie znać o sobie, najszybciej jak będziecie mogli, żebym się wreszcie przestała martwić! Ucałowania -*

*Judyta*

Kwatera Główna Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej mieściła się w zarekwirowanym komunalnym bloku mieszkaniowym. Ten tandetny budynek, postawiony na skrzyżowaniu głównej ulicy z ponurym podmiejskim zaułkiem, cechował się rzadko spotykaną brzydotą, niewygodą i niefunkcjonalnością. Zbudowany z czerwonej cegły, miał niby reprezentować modny w latach trzydziestych styl, co poznawało się po płaskim dachu, zaokrąglonych narożnikach i brzydkich metalowych framugach okien. Tej zimnej fasady nie łagodziły ani balkony, ani

nawet najmniejszy ogródek. Wybetonowane podwórze, na którym poprzedni lokatorzy rozwieszali pranie, obecny gospodarz przeznaczył na parking dla rowerów dziewcząt ze służby pomocniczej.

Budynek był trzypiętrowy. Łącznie mieściło się w nim dwanaście mieszkań o prawie identycznym rozkładzie. Z braku wind wchodziło się po kamiennych schodach. Mieszkania były bardzo małe - każde złożone z saloniku, dwóch sypialni, kuchni i łazienki. Nie miały ani centralnego ogrzewania, ani kominków, tylko w salonie i przedpokoju znajdowały się wbudowane w ścianę elektryczne grzejniki. Podczas wojny jednak, dla oszczędności prądu, nawet i te wyłączano, toteż w zimie panował tu przeraźliwy ziąb.

W każdym mieszkaniu kwaterowało po dziesięć dziewcząt. Cztery spały w salonie, cztery w większej sypialni, a dwie - w mniejszej, która sądząc po wymiarach, była przeznaczona albo dla małego dziecka, albo zasuszonego staruszka. Tę właśnie kłitkę Judyta dzieliła z koleżanką nazwiskiem Sue Ford. Podzieliła się z nią też spostrzeżeniem, że ich lokum jest wielkości spiżarni w Dower House, tyle że trzy razy zimniejsze. Sue była wysoką, flegmatyczną dziewczyną pochodzącą z Bath; miała stopień starszej szeregowej i pracowała w dziale łączności. Pełniła więc dyżury o różnych porach, co było korzystne, gdyż w tej ciasnocie dwie osoby nie mogły równocześnie rozbierać się ani ubierać. Podpiwniczenie budynku, stale zaciemnione i obłożone workami z piaskiem, pełniło zarazem funkcję stołówki i schronu przeciwlotniczego. Śniadanie serwowano tu o siódmej rano, a kolację o siódmej wieczór. Chwilami Judyta miała wrażenie, że jeśli jeszcze raz dostanie do jedzenia amerykańską konserwę mięsna, jajecznicę z proszku jajecznego czy przeraźliwie żółty marynowany kalafior - chyba zacznie krzyżeć! Dlatego możliwość wypadu do Londynu, choćby tylko

na noc, stanowiła jakieś urozmaicenie. Toteż już rano Judyta, okutana w ciepły płaszcz, z podręczną torbą, odmeldowała się w biurze przepustek i wyszła na przystanek licząc, że złapie autobus jadący na dworzec kolejowy. Mogła oczywiście pojechać tam na rowerze, ale musiałyby wtedy zostawić go na stacji i - przypuszczalnie - nie znaleźć go już tam po powrocie. Rower zaś był jej lak niezbędny do życia, że nie chciała ryzykować jego utraty.

Na szczęście nie musiała czekać długo na autobus, gdyż koło przystanku zatrzymała się ciężarówka. Prowadzący ją młody marynarz otworzył drzwiczki i zapytał:

- Może podwieźć?
- Dziękuję, chętnie! - Wgramoliła się do szoferki i zatrzasnęła drzwiczki za sobą.
- A panienska dokąd?
- Na stację kolejową, jeśli można.
- Przepustka, co? - Zgrzytając dźwignią zmiany biegów, ponownie włączył się do ruchu.
- Dostałam wolny weekend.
- I gdzie to się panienska wypuszcza?
- Do Londynu.
- O, to paniencie dobrze. Ja pochodzę z Hackney, ale nalot rozwalił nam chałupę. Matula musiała przenieść się do kuzyna w Balham. Ale ziąb dzisiaj, co? Może papieroska?
- Dziękuję, nie palę.
- A o której panienska ma pociąg?
- Powinien być piętnaście po dziesiątej.
- Jeśli odejdzie o czasie.

Jak było do przewidzenia, pociąg przyjechał i odjechał *i* opóźnieniem. Judyta postąpiła trochę na peronie, tupiąc nogami dla rozgrzewki, a kiedy już mogła wsiadać - bezwstydnie pomaszzerowała do przedziału pierwszej klasy. Wprawdzie w rozkazie wyjazdu wymieniona była trzecia

klasa, ale cały tamten wagon wypełnili młodzi marynarze ze świeżego zaciągu, którzy akurat też podróżowali do Londynu. Nie czuła się więc na siłach walczyć rękami i nogami o miejsce, aby w końcu przesiedzieć całą drogę na własnym plecaku, wciśnięta w kącik tuż przy cuchnących ubikacjach. A w razie gdyby między Portsmouthli a Waterloo do przedziału wszedł kontroler, co nie zdarzało się często - najwyżej dopłaciłaby różnicę.

W pociągu na odmianę było gorąco i duszno. Zdjęła więc płaszcz i kapelusz, wciskając je razem z torbą na półkę bagażową. Jedynym pasażerem w przedziale był oprócz niej komandor rezerwy Marynarki Wojennej, pogrążony w lekturze gazety. Judyta też kupiła sobie na drogę „Daily Telegraph”, ale zamiast czytać, spoglądała przez brudne okno. Prawie nie zauważała już zniszczeń spowodowanych bombardowaniem, bo zdążyła się do nich przyzwyczaić. Układała w myśli plan, że gdy tylko dojedzie do stacji Waterloo - musi przesiąść się w metro i przejechać do Sloane Square. Stamtąd piechotą przejdzie do domu Diany w zaułku Cadogan; jeżeli starczy jej czasu - przebierze się w cywilne ciuchy i znów pojedzie metrem do przystanku Piccadilly Circus...

W tym momencie zorientowała się, że znów drapie ją w gardle, co zwykle oznaczało rozpoczynające się przeziębienie. W dzieciństwie nie przeziębiała się zbyt często, ale teraz, kiedy stykała się z tyloma obcymi osobami, już trzy razy zdarzyła się jej infekcja, która raz przerodziła się w gripę, wymagającą pięciodniowego pobytu w izbie chorych.

Usiłowała ignorować drapanie w gardle i nie myśleć o tym, że wczoraj Sue Ford wróciła z dyżuru pociągając nosem. Liczyła na to, że złe samopoczucie minie i nie zepsuje jej upragnionego weekendu. W kosmetyczce miała zapas aspiryny, więc zażyje ją po przybyciu na miejsce. To pozwoli jakoś przeżyć dzień dzisiejszy, a co będzie jutro - zobaczy się!



Usłyszała odgłos zamykanych drzwi wagonów, co oznaczało, że pociąg wkrótce ruszy. W ostatniej chwili do ich przedziału wszedł trzeci pasażer, porucznik piechoty morskiej w pełnym wyjściowym umundurowaniu i obszernym, długim płaszczu khaki.

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?

- Tak - odpowiedziała Judyta, gdyż komandor prawie nie zwrócił na niego uwagi.

- Chwała Bogu! - Zamknął drzwi za sobą, zdjął płaszcz i czapkę, upchnął je na półce bagażowej, zgiął kolana, aby się przejrzeć w lustrze, przygładził włosy ręką i opadł na siedzenie naprzeciw Judyty.

- Uff, ale mi się udało! - sapnął.

Judytę przeszedł dreszcz, gdyż знаła tego człowieka, choć wolałaby nie znać. Był to niejaki Anthony Borden Smythe, którego poznała w Klubie Młodszych Oficerów, dokąd kiedyś wybrała się z Sue Ford w towarzystwie dwóch młodych podporuczników. Przysiadł się wtedy do ich stolika i psuł całą zabawę, wtrącając się do rozmowy i natrętnie stawiając kolejki. Był przy tym tak gruboskórny, że zarówno docinki, jak i otwarte zniewagi spływały po nim jak woda po gęsi. Judyta, Sue i asystujący im oficerowie nie wytrzymali w końcu i przenieśli się do innego lokalu. Sue nazwała wtedy tego uciążliwego faceta „nudziarzem wielkim koronnym”. Niestety, teraz okazało się, że i on od razu poznał Judytę.

Dzień dobry, jak to świetnie się składa! Dzień dobry.

- Panna Judyta Dunbar, prawda? Tak mi się wydawało. Pamięta pani, spotkaliśmy się w Klubie Oficerskim. Ale była pyszna zabawa! Szkoda, że panie musiały tak prędko wyjść.

Też tak myślę. Pociąg nareszcie ruszył, ale to Judyty wcale nie ucieszyło, bo wiedziała, że teraz nie może się już wycofać. Jedzie pani do miasta?

- Tak, do Londynu.

- To się świetnie składa, bo ja też. Mam się spotkać z moją mamuszką, bo akurat też przyjechała na kilka dni do miasta.

Patrząc na niego z wyraźną abominacją, Judyta próbowała wyobrazić sobie tę „mamuszkę”. W jej umyśle kojarzyła się z klaczą, bo sam Anthony trochę przypominał konia. Takiego chudego, z długimi uszami i zębami, a jeszcze dłuższymi nogami, i małym szczeciniastym wąsikiem nad górną wargą. Miał za to bardzo twarzowy mundur.

- Gdzie pani stacjonuje? - wypytywał.

- Na okręcie „Excellent”.

- Jak też pani może wytrzymać z tymi trepami z artylerii?

- Dziękuję, bardzo dobrze - odpowiedziała, myśląc z sympatią o małymównym, lecz taktownym kapitanie Crombim.

- Też przez to przeszedłem, a jakże. Uczyłem się tam obsługi dział. Jeszcze nigdy w życiu tak daleko mnie nic zanosło. Gdzie się pani zatrzymuje w Londynie?

- Mam tam dom - skłamała Judyta.

- O rany, naprawdę? - Judyta nie rozwijała tego tematu, pozwalając mu wyobrazić sobie jakąś luksusową, sześciopiętrową kamienicę. -

Normalnie zajeżdżam zawsze do mojego klubu, ale teraz, kiedy mamuska jest w mieście, zatrzymam się tam gdzie ona.

- To ładnie z pana strony.

- Ma pani dziś wolny wieczór? Może byśmy wyszli gdzieś na kolację, a potem potańczyć? Znam taki lokal, gdzie dla mnie zawsze znajdzie się stolik.

„W życiu nie widziałam drugiego takiego zarozumiałca” - pomyślała sobie Judyta, a głośno odpowiedziała:

- Przykro mi, ale już jestem umówiona.

- Randka, co? - zachichotał znacząco.

- Umówiłam się z przyjaciółką.

- Świetnie, przyprowadzę kumpla i zabawimy się we czwórkę. Ta przyjaciółka też taka ładna jak pani?

Judyta zastanawiała się, jaką odpowiedzią najskuteczniej splawi natręta. Rozważała różne warianty.

„Niestety, jest sakramencko brzydka...”

„Byłaby piękna, gdyby nie miała drewnianej nogi...”

„Jest instruktorką wychowania fizycznego i ma męża boksera...”

Zdecydowała się jednak powiedzieć prawdę.

- Jest urzędniczką państwową na wysokim stanowisku. I ta odpowiedź wywarła pożądany skutek, gdyż Anthony Borden-Smythe nieco się stropił.

- Aha, intelektualistka - westchnął. - To raczej nie w moim guście.

Wyczuwając jego słaby punkt, Judyta postanowiła całkiem go dobić.

- I tak nie mogłybyśmy dzisiaj spotkać się z panami -dodała. - Wybieramy się do British Museum na odczyt o kulturze chińskiej z czasów dynastii Ming. Nie ma pan pojęcia, jakie to ciekawe!

- No cóż, przykro mi. Może innym razem?

Siedzący w kącie komandor marynarki wydał zza swojej gazety pomruk, który mógł oznaczać równie dobrze dezaprobatę, jak i wesołość. Judyta miała już dość tej jałowej rozmowy i też rozłożyła gazetę. Od razu jednak jej małą radość ze splawienia nudnego Borden-Smythe'a przyćmiły najnowsze doniesienia z Dalekiego Wschodu.

„Japończycy maszerują na Singapur” - głosił nagłówek. Trzeba więc było sporo odwagi, aby przeczytać dalszy lekt i obejrzeć zamieszczoną w nim mapkę. „Obrońcy Malajów przeżywają ciężkie chwile (...) Kuala Lumpur jest już w rękach japońskich, a jego mieszkańcy pospiesznie się ewakuowali (...) Japońska Piąta Dywizja i Dywizja Gwardii nacierają w kierunku południowym, na Jo-hor (...) Wynik tej ofensywy zadecyduje o losach Singapuru (...) Brygada Indyjska poniosła klęskę nad rzeką Muar

(...) Armia generała Percivala wycofała się do Singapuru..."

Ogarnął ją lęk. Pomyślała o rodzicach i Jess. Tak pragnęłyby, aby byli teraz gdziekolwiek indziej, tylko nie w Singapurze! Pal licho piękny dom na Orchard Road niechby przenieśli się na Sumatrę, Jawę czy gdziekolwiek, byleby w bezpieczne miejsce! Wprawdzie Jess miała już dziesięć lat, ale dla Judyty wciąż była tą samą czterolletnią dziewczynką, rozpaczliwie płaczącą przy pożegnaniu i ściskającą pajacyka... „Boże, daj, żeby nic im się nie stało - modliła się w duchu. - To przecież moja rodzina, która tyle dla mnie znaczy! Zachowaj ich w zdrowiu!”

Pociąg stanął na stacji Petersfield. Wysiadł tam ko mandor rezerwy, którego na peronie oczekiwała żona. An thony Borden-Smythe przysnął, lekko pochrapując, a nikł nowy nie dosiadł się do przedziału. Tymczasem Judytę mocniej rozboleło gardło. Odłożyła gazetę i tępo wpatrywała się w ścięte mrozem pola Hampshire, przeklinając wojnę, która musiała wszystko popsuć.

Londyńskie mieszkanie Diany jeszcze przed pierwszą wojną światową przerobiono ze starej stajni i dwóch połączonych mieszkań dla woźniców, znajdujących się na piętrze. Obecnie po jednej stronie drzwi frontowych wcho dziło się do garażu, a po drugiej do kuchni. Wąskie, strome schodki prowadziły na piętro, gdzie wygospodarowano więcej przestrzeni, niż można było przypuszczać. A więc urządzono tam podłużny salon, w którym przed wojną często wydawano przyjęcia. Prócz niego starczyło jeszcze miejsca na dużą sypialnię, łazienkę, oddzielną ubikację i drugą, mniejszą sypialnię, która częściej pełniła funkcję garderoby. Stała tam deska do prasowania, leżały walizki, a w szafie wisiały rzeczy Diany, których nie chciało się jej zabierać do Kornwalii. Ponieważ jednak stało tam rów nież łóżko - można było wykorzystać ten pokoik dla nie spodziewanego gościa.

Nie było tam natomiast żadnej jadalni, gdyż Diana nie potrzebowała czegoś takiego. Przebywając w Londynie, zwykle jadała na mieście, a nawet gdy chciała spędzić romantyczny wieczór sam na sam z Tommym Mortimerem - przynosili sobie zimną kolację.

Przed wojną Diana zatrudniała jakąś panią Hickson do prowadzenia gospodarstwa domowego podczas jej pobytu i opieki nad mieszkaniem. Obecnie głównym zajęciem owej niewiasty była praca dla ojczyzny - na stanowisku bufetowej w kantynie żołnierskiej na dworcu Paddington. Ponieważ jednak mieszkała blisko, w komunalnym bloku o kilka domów dalej, dwa lub trzy razy w tygodniu wpadała wieczorami do mieszkania Diany sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Teraz pani Carey-Lewis nie przyjeżdżała już tak często do Londynu, nad czym zacięta kobieta mocno bolała. Natomiast poroz-dawała klucze od apartamentu kilku znajomym spoza rodziny, toteż pani Hickson nigdy nie była pewna, kogo tym razem zastanie - Athenę czy jakiegoś nieznajomego młodego oficera? Czasem czyjś pobyt w mieszkaniu zdradzały tylko resztki jedzenia w lodówce lub kłęb brudnej pościeli na podłodze łazienki. Wtedy sprzątała mieszkanie, powlekała świeżą pościel, a brudną bieliznę zabierała do domu, by ją uprać. Lubiła nawet te krótkie wizyty w rezydencji swojej byłej chlebodawczyni, bo za każdym razem znajdowała tam pięć szylingów na toaletce.

Na początku roku 1940, kiedy Anglia nie uczestniczyła jeszcze czynnie w działaniach wojennych, w mieszkaniu Diany często bywał Edward Carey-Lewis, przeważnie w towarzystwie kolegi i kilku ładnych dziewcząt. Po śmierci Edwarda Diana osobiście napisała do pani Hickson, zawiadamiając ją o tym. Poczciwa kobieta przepłakała wtenczas cały dzień, aż w końcu szef odesłał ją do domu, uważając, że łzy mogą tylko podkopać morale żołnierzy.

Mały dom cudem ocalał podczas nalotów. Kiedyś w po-

blizu uderzyła ogromna bomba, co bardzo przestraszyło panią Hickson. Na miejscu jednak okazało się, że jedynymi uszkodzeniami, jakie nalot wyrządził w mieszkaniu Diany, było kilka rys na ścianach i wybite szyby we wszystkich oknach. Meble, porcelana, szkło, obrazy i dywany osypane były tłuczonym szkłem i pokryte grubą warstwą brązo wego pyłu. Doprowadzenie tego do porządku zajęło pani Hickson cały tydzień. Judyta otworzyła drzwi domu kluczem otrzymanym od Diany. Na wstępie zajrzała do kuchni, do której wejście znajdowało się z prawej strony drzwi frontowych. Za uważyła, że lodówka jest pusta i otwarta, toteż najpierw zamknęła drzwiczki i podłączyła ją do prądu. Potem, za nim zamknęła mały, narożny sklepik, będzie musiała kupić coś do jedzenia, ale na razie nie było na to czasu.

Podniosła swoją walizeczkę i weszła na górę, wprost do salonu. Było tam nieco chłodno, gdyż budynek nic miał centralnego ogrzewania, ale kiedy po powrocie roz. pali gazowy kominek - zaraz wszędzie zrobi się ciepło. Z salonu wchodziło się do sypialni i łazienki. Druga sypialnia i ubikacja mieściły się po przeciwnej stronie nad kuchnią.

Judyta cieszyła się, że już dotarła na miejsce, bo ilekroć wpadała do tego przytulnego gniazdka - co dzięki uprzejmości Diany zdarzyło się już trzy czy cztery razy - czuła się tam jak w domu. Diana potrafiła bowiem nadać temu wnętrzu swoje charakterystyczne piętno, uczynić zeń miniaturę Nancherrow. Urządziła je komfortowo, a nawet luksusowo - kremowe zasłony z surowego jedwabiu, wszystkie podłogi pokryte grubą kremową wykładziną, tu i ówdzie przysłoniętą perskimi dywanami. Kanapa i fotele były obite atłasem, mebelki - lekkie i eleganckie, wszędzie pełno obrazów, luster, opasłych poduszek i zdjęć rodzinnych. Brakowało tylko flakonu ze świeżymi kwiatami.

W sypialni również wisiały kremowe zasłony, a po-

dwójne łoże miało baldachim i koronkowe firanki. Kapa na łożko była z grubego kretonu drukowanego w róże z tego samego materiału zrobiono również obicie szesz-longu w stylu wiktoriańskim i draperie zmarszczone wokół toaletki, na której stała butelka perfum używanych przez Dianę. Mimo że właścicielki nie było tu od początku wojny - w pokojach unosił się jej charakterystyczny zapach.

Judyta rzuciła na łożko płaszcz i kapelusz. Spojrzała na zegarek - było już wpół do pierwszej, a więc nie miała czasu przebrać się po cywilnemu. Heather będzie musiała zaakceptować ją w mundurze. Rozsunęła zamek błyskawiczny walizki, wyjęła z niej kosmetyczkę i zabrała do łazienki wykładanej różowym marmurem, z futrzakiem na posadzce. Połknęła dwie tabletki aspiryny, popiła szklanką wody i zajrzała do lustrzanej szafki łazienkowej. Znalazła w niej buteleczkę tymologliceryny, więc wypłukała nią gardło, licząc na to, że dzięki tym zabiegom jakoś przetrwa ten dzień. Umyła jeszcze twarz i ręce, potem wróciła do sypialni i przed lustrem przyczesła włosy, umalowała się i uperfumowała. Sprawdziła jeszcze, czy na jej białym kołnierzyku nie został jakiś pyłek sadzy z pociągu i czy nie przekrzywił się węzeł jej wytwornego atlasowego krawata. W lustrze widziała też odbicie znajdującego się za nią łożka, które wabiło swoim widokiem. Najchętniej wślizgnęłaby się pod kołdrę z butelką gorącej wody, aby wyspać się i porządnie wypocić. Niestety, groziło jej, że się spóźni na spotkanie z Heather, więc łożko musiało na razie poczekać.

Miała zamiar pojechać metrem na Piccadilly, ale ledwie wyszła na Sloane Street - akurat zajechał autobus. Wsiadła więc i wykupiła bilet do Piccadilly Circus. Ulice Londynu nie wyglądały teraz ładnie - były brudne i zaśmiecone. I'anovało zimno, a zachmurzone niebo sprawiało wrażenie, jakby lada chwila miał spaść śnieg. W zabudowie

ziały dziury powstałe podczas nalotów, a wystawy sklepów zabito deskami, pozostawiając niewielkie szpary, aby można było zobaczyć, co jest w środku. Nad parkiem unosiły się balony zaporowe, na trawnikach piętrzyły się góry worków z piaskiem i wystawały wejścia do schronów. Zniknęły ozdobne sztachety z kutego żelaza, które przetopiono na działa. Zabytkowy kościół Świętego Jakuba, trafiony bombą, leżał w gruzach. Posązek Erosa z Piccadilly Circus usunięto w bezpieczne miejsce, ale na stopniach cokół nadal siedzieli starzy bywalcy tego miejsca, karmiąc gołębie i sprzedając gazety.

Autobus zatrzymał się na przystanku, więc Judyta wysiadła i przeszła pod główne wejście Swana i Edgara. Heather już tam czekała. Z daleka widać było jej błyszczące czarne włosy, szykowny czerwony płaszcz i długie zamszowe botki obszyte futrem.

- Heather!

- Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz.

- Przepraszam, spóźniłam się dziesięć minut. Pewnie już zmarzłaś? Nie, nie całuj mnie, bo jestem przeziębiona i mogę cię zarazić.

- Mam to w nosie! - odparła żywo Heather i dziewczęta uściskały się z radości, że znów spotkały się po tylu latach. - Co robimy? - dodała, gdy się już przywitały.

- To zależy, ile masz czasu.

- Tylko to popołudnie. Wieczorem muszę wracać, bo jutro mam dyżur.

- Przecież jutro jest niedziela!

- My nie mamy wolnych niedziel.

- Szkoda, bo myślałam, że przenocujesz ze mną w domu Diany.

- Chciałabym, ale nie dzisiaj. Mój pociąg odjeżdża o wpół do ósmej, więc prawie cały dzień mamy dla siebie. Na razie jestem strasznie głodna, więc zjedźmy lunch, a potem pomyślimy, co zrobić dalej. Dokąd idziemy?



Rozważyły różne warianty, aż w końcu Judyta zaproponowała:

- Chodźmy do Berkeleya!

- Ależ to strasznie luksusowy lokal!

- Nie szkodzi, i tak nic nie może kosztować więcej niż pięć szylingów.

Przy odrobinie szczęścia znajdziemy wolny stolik.

Aby dojść do Berkeleya, musiały się trochę cofnąć wzdłuż Piccadilly. Po przekroczeniu obrotowych drzwi znalazły się od razu w świetle przepychu i kuszących zapachów. Już u wejścia widać było, że bar jest zatłoczony, ale Heather wypatrzyła wolny stolik i dwa krzesła. Zajęła je, podczas gdy Judyta przeszła do restauracji w poszukiwaniu kierownika sali. Na szczęście okazał się sympatyczny i nie traktował jej z góry, choć była tylko szeregową ochotniczką służby pomocniczej, i to bez męskiego lowarzystwa. Zapytany o stolik na dwie osoby, najpierw przejrzał swoje notatki dotyczące rezerwacji, a następnie oświadczył, że za jakieś piętnaście minut miejsca się znajdą.

- Oby tylko nie przy drzwiach do kuchni! - wyraziła nadzieję Judyta.

Kierownik sali był nieco zaskoczony, że klientka tak dobrze wie, czego chce, jednak odniósł się do niej z pełnym szacunkiem.

- Ależ skąd, łaskawa pani. Ten stolik jest przy oknie.

- To wspaniale! - Postąpiła mu swój najmiłszy uśmiech.

- Dam paniom znać, gdy tylko miejsca się zwolnią.

- Świetnie, czekamy w barze.

Wracając do Heather, dyskretnie uniosła kciuk na znak, że wszystko poszło po jej myśli. Od razu wytworzył się przyjemny nastrój.

Wystarczyło, aby zrzuciły wierzchnie ukrycia - natychmiast porwał je szatniarz. Zaraz po nim pojawił się kelner z zapytaniem, czego się napiją. Zanim Judyta zdążyła otworzyć usta, Heather zamówiła szampana.

- Panie życzą sobie po kieliszku? - upewnił się kelner
- Nie, proszę od razu butelkę.
- ...prosto z piwnic Szkoły Miejskiej w Porthkerris uzupełniła pod nosem Judyta, gdy kelner się oddalił. Oczy wiście zaczęły chichotać, potem Heather zapaliła papie rosa, a Judyta pogryzała chipsy z porcelanowej miseczki.

Patrząc spod oka na Heather oceniła, że przyjaciółka świetnie wygląda. Nie była zbyt wysoka, ale szczupła, a ciemny koloryt wyróżniał ją z tłumu. Miała na sobie wąską popielatą spódniczkę i granatowy pulower w do brym gatunku, a do tego złoty łańcuszek na szyi i takie/ koła w uszach.

- Wspaniale wyglądasz - pochwaliła ją. - Nie zdążyłam już się przebrać.
- Nie szkodzi, w tym mundurze też bardzo ci do twa rzy. Całe szczęście, że nie wstąpiłaś do obrony terytorialnci ani do lotnictwa, bo one mają wszędzie pełno kieszonek, patek i guzików, a do tego koszarne kapelusze! I widzę, że podcięłaś włosy.

- Musiałam, bo według przepisów włosy nie mogą do tykać kołnierzyka. Czyli że trzeba nosić je albo krótkie, albo upięte w kok.

- Ale bardzo ci ładnie w takiej fryzurze.

Akurat kelner przyniósł kieliszki i butelkę, którą przy nich z namaszczeniem otworzył. Nie roniąc ani kropelki, nalał szampana najpierw Heather, a później Judycie.

- Dziękujemy.
- Proszę uprzejmie, szanowna pani.

Po pierwszych łykach Judyta poczuła się od razu lepiej.

- Muszę zapamiętać, że szampan jest świetnym lekarstwem na przeziębienie! - zauważyła.

Popijając szampana, przyjaciółki rozglądały się wokół. Oprócz nich w barze siedziały różne eleganckie kobiety w towarzystwie pułkowników sztabowych, oficerów z Wolnej Francji i gwardzistów krajowych.

Wszyscy oni też popijali, gadali i chichotali w najlepsze, zapominając o ca-

lym świecie. Pikanterii dodawał fakt, że wielu spośród tych panów asystowało paniom, które z pewnością nie były ich żonami. No cóż, wojna sprzyjała rozluźnieniu obyczajów i w modzie były takie przelotne romanse. Szczególnie seksownie wyglądała dziewczyna w czarnej obcisłej sukience i futerku z norek, z bujną rudą fryzurą i długimi czerwonymi paznokciami. Towarzyszył jej łysawy pułkownik lotnictwa i nie dawało się ukryć, że aż dyszy pożądaniem.

- Ten facet nie może oderwać od niej oczu! - zauważyła ze śmiechem Judyta.

- Że nie wspomnę o rękach! - dodała Heather.

Akurat skończyły szampana, kiedy odnalazł je kierownik sali.

Zaanonsował dziewczętom, że stolik jest już wolny, przeprowadził je przez zatłoczoną salę restauracyjną, gdzie wskazał im miejsca, pomógł rozłożyć serwetki, przyniósł każdej kartę dań i zapytał, czy ma podać aperitif. Nie miały jednak ochoty na drinka, bo i tak były już we wspaniałym humorze.

Ta jasna, przestronna restauracja tak przyjemnie się prezentowała na tle ponurych i brudnych ulic o zabitych deskami wystawach! I lunch był smaczny - ostrygi, kurczak, a do tego butelka białego wina i na deser lody. Dziewczęta nagadały się przy tym za wszystkie czasy, nadrabiając zaległości długiego okresu rozłąki. Oczywiście rozmawiały także o sprawach smutnych, jak śmierć Neda Somerville'a i Edwarda Carey-Lewisa, a także siostrzeńca pani Mudge, rzekomo zaginionego, który został na plaży Dunkierki. Więcej szczęścia miał Charlie Lanyon, bo przeżył huraganowy ogień i siedział teraz w niemieckim obozie dla jeńców wojennych.

- Pisziesz do niego? - zagadnęła Judyta.

- Oczywiście, wysyłam list co tydzień. Nie wiem, czy docierają, ale co szkodzi próbować?

- A od niego dostałaś jakąś wiadomość?

- Ograniczają im tam prawo do korespondencji, więc

pisze do swoich rodziców, a oni przekazują mi informacje. Chyba wszystko u niego w porządku, a poza tym dostaje czasem nasze paczki żywnościowe.

- Będziesz czekać na niego?

- Jak to „czekać”? - Heather uniosła brwi.

- No, czy dochowasz mu wierności?

- Ależ między nami nigdy nic takiego nie było. Po prostu go lubiłam. Już raz ci mówiłam, że nie mam za miaru za wszelką cenę wydać się za męża. Owszem, może kiedyś, kiedy zechcę... W każdym razie małżeństwo nie będzie dla mnie celem samym w sobie. W życiu jest tyle ciekawszych rzeczy do zrobienia.

- A tam, gdzie pracujesz, nie ma jakichś fajnych chłopaków?

- Sami dziwacy! - Heather roześmiała się. - Tacy in teligentni, że aż zbzikowani. A tak pociągający, że nic zbliżyłabyś się do nich na długość bosaka! Czemu nie, kulturalni, może nawet interesujący, ale chyba dla na ukowca. Zupełni dziwacy!

- A co ty tam właściwie robisz?

Heather wzruszyła ramionami i spuściła oczy. Sięgnęła po drugiego papierosa, a kiedy znów podniosła wzrok, Judyta zorientowała się, że nie wydusi z niej ani słowa. Mało tego, może bała się, że już za dużo powiedziała?

- Wolałabyś o tym nie mówić, prawda? - pomogła jej Judyta.

- Rzeczywiście!

- Ale lubisz tę pracę?

- To takie fascynujące! - Heather wypuściła kłęb dymu. - Mówmy lepiej o tobie. Co ty robisz?

- Nic specjalnie fascynującego. Pracuję w Centrum Wyszukolenia Artylerii na Wyspie Wielorybów. Moim przełożonym jest oficer szkoleniowy.

- Czym on się zajmuje?

- Projektuje pomoce naukowe do szkolenia artylerzystów. Na przykład sztuczne sklepienia, urządzenia do sy-

mulacji warunków bojowych czy demonstracji działania siły odśrodkowej. Wciąż kipi nowymi pomysłami.

- A poderwałaś już tam kogoś?

- Niejednego! - Judyta się uśmiechnęła.

- Ale nikogo szczególnego?

- Nie. Tamten raz wystarczył.

- Co masz na myśli?

- To, że nie chcę po raz drugi przeżywać tego samego, przez co przeszłam po śmierci Edwarda. Poczekam, aż wojna się skończy. Wtedy może zakocham się w jakimś najmniej spodziewanym facecie, wyjdę za niego, urodzę kupę dzieci i stanę się taką kurą domową, że nie będziesz chciała mnie znać.

- Kochałaś się w Edwardzie?

- Tak, przez całe lata.

- Nie wiedziałam o tym.

- Bo nigdy ci o tym nie mówiłam.

- Tak mi przykro!

- Teraz to już nie ma znaczenia.

Zmieniły więc temat i zaczęły rozmawiać o przyjemniejszych sprawach, jak na przykład o tym, że ojciec Heather został sierżantem Gwardii Krajowej, a Joego wysłano na kurs oficerski.

- A co porabia twoja mama? - indagowała Judyta.

- Och, jej nic nie bierze. Jest taka sama jak zawsze. Nie pisze zbyt często, bo pewnie jest strasznie zajęta, ale nie darowała sobie, żeby mi nie napisać, jak starego lozpustnika szlag trafił w banku. Pamiętasz, jak Ellie przybiegła roztrzęsiona z kina, kiedy ten stary osioł pokazał jej, co miał najlepszego? Nie zapomnę tego do końca życia.

- Jak to, przecież nie było cię przy tym.

- Wystarczająco się nasłuchałam, bo nasz dom żył tym przez dłuższy czas. Mama ciągle powtarzała: „Trzeba ci było widzieć Judytę.

Wyglądała jak mała furia!"

- Mecenias Baines opowiedział mi, jak to było. Podobno

dostał apopleksji, kiedy dyrektor banku powiedział mu, że jego czek nie ma pokrycia. I wyobraź sobie, że jak na złość zachciało mi się wtedy śmiać, choć to było bardzo nie ma miejscu.

- Grunt, żeśmy się go nareszcie pozbyli. A co tam sły chać u Carey-Lewisów? Wszystko w porządku?

Zaczęły więc rozmawiać o Nancherrow i o tym, jak małej Klementynce udaje się choć częściowo ukoić smutek Diany po stracie Edwarda.

Nasunęło to Judycie porów nanie, że w podobny sposób towarzystwo Phyllis i ani pomogło ciotce Bidy z powrotem stanąć na nogi.

- Więc teraz one razem mieszkają w Dower House? zaciekawiała się Heather.

- Tak, i bardzo im dobrze ze sobą. Prawda, jeszcze nie widziałas mojego domu! Musisz do mnie przyjechać, kiedy znów dostaniesz wolne. Na pewno pokochasz go tak jak ja.

- Wciąż nie chce mi się wierzyć, że masz własny dom -nie mogła się nadziwić Heather. - Teraz jesteś rzeczywiście dorosła. Co nie znaczy, że ci zazdroszczę - na razie wcale nie chciałabym mieć domu, bo to przykułoby mnie do miejsca. No, ale dla ciebie to spełnienie marzeń, tym bardziej że twoja rodzina jest tak daleko... Och, przepraszam! - dodała po chwili.

- Za co przepraszasz?

- To było strasznie nietaktowne z mojej strony. Czytałam w dzisiejszej gazecie o Singapurze.

- Ja też.

- Masz jakieś wiadomości od rodziny?

- Już od dłuższego czasu nie.

- Pewnie się martwisz?

- Strasznie. Mam tylko nadzieję, że może udało się im ewakuować, przynajmniej mamie i Jess. Wszyscy mówią, że Singapur na pewno nie padnie, bo będzie dobrze broniony. Ale nawet jeśli się utrzyma, to na pewno zaczną się naloty i inne straszne rzeczy. Na razie zresztą nie

widzę, żeby ktokolwiek był w stanie zatrzymać Japończyków. Żeby  
choć mogła się dowiedzieć, co tam się naprawdę dzieje!

Spojrzała na Heather przez stół i nieśmiało spytała:

- A ty nie mogłabyś się jakoś dyskretnie popytać? W tym momencie  
kelner przyniósł kawę, a podczas gdy  
nalewał ją w małe filiżanki - Heather zdusiła papierosa i zapaliła  
drugiego. Dopiero kiedy kelner oddalił się poza zasięg głosu, udzieliła  
odpowiedzi.

- Niestety, my zajmujemy się tylko sprawami europejskimi.

- Przepraszam, nie powinnam była pytać - westchnęła Judyta. - Wiesz,  
Gus Callender też tam jest ze swoim Batalionem Strzelców Szkockich.

- Chwileczkę, bo nie nadążam!

- To kolega Edwarda z Cambridge. Kiedyś przyjechał na trochę do  
Nancherrow i wtedy Loveday... no wiesz...

- Loveday? - z niedowierzaniem powtórzyła Heather. - Kręciła z nim?  
Nigdy mi nic nie powiedziała.

- Nie liczyłabym na to, że ci powie. To było takie nieoczekiwane! Miała  
dopiero siedemnaście lat i ta miłość spadła na nią jak grom z jasnego  
nieba. Nagłe olśnienie, a wydawało im się, że znali się od zawsze.

- Jeśli on teraz jest w Singapurze, to znajdzie się w największym ogniu  
walk i nie dałabym trzech groszy za jego życie.

- Też mi się tak wydaje.

- Jaka ta wojna jest straszna! Żal mi Loveday i ciebie także. Ale co my  
możemy zrobić? Tylko siedzieć i czekać, co się będzie działo.

- Najgorsze jest właśnie czekanie i udawanie, że nie sianie się najgorsze.  
Pewnie, że chciałabym, aby moi rodzice i Jess zostali przy życiu i żebym  
mogła kiedyś ich powitać w Dower House. Ze względu na Loveday  
pragnę, żeby Gus przeżył. Po St. Valéry myśleliśmy, że nie ujdzie  
stamtąd z życiem, a jemu tymczasem udało się uciec. Kie-

dy Loveday się o tym dowiedziała - jakby ją odmieniło. Nie chciałabym, żeby drugi raz przeszła to samo.

- Och, ona wszystko wytrzyma.

- Skąd wiesz?

- Bo ją znam. To twarda sztuka.

- Ależ... - zaczęła Judyta, lecz Heather nie dała jej skończyć.

- Słuchaj, przegadamy tak resztę dnia i nie starczy nam czasu na nic. Mam tu dwa bilety do Albert Hall, dostałam od szefa. Koncert zacznie się za pół godziny. Co wolisz: żebyśmy tam poszły czy raczej połączyły po sklepach?

- A co grają?

- Koncert skrzypcowy Williama Waltona i drugi koncert fortepianowy Rachmaninowa.

- Jeśli tak, to nie mam ochoty na zakupy.

Dziewczęta dopiły więc kawę, zapłaciły rachunek z hojnym napiwkiem, odebrały palta z szatni (co wiązało się z dalszym napiwkiem) i wyszły na Piccadilly. Miały szczęście, bo przy krawężniku zatrzymała się właśnie taksówka, z której wysiadł komandor marynarki i jego dość pospolicie wyglądająca żona. Heather i Judyta odczekały tylko, aż zapłaci za przejazd, po czym szybko wsco czyły do taksówki, zanim ktoś sprzątnąłby ją im sprzed nosa.

- Dokąd jedziemy, kochana? - spytał kierowca.

- Do Albert Hall, i to szybko!

Koncert z nawiązką spełnił oczekiwania Judyty. Nie знаła dotąd muzyki Waltona, natomiast Rachmaninow ko jarzył się jej z samymi miłymi chwilami. Muzyka na pewien czas przeniosła ją w inny świat, w którym nie było walk ani bomb, strachu ani śmierci. Podobnie odbierali to inni słuchacze, kiedy bowiem umilkły ostatnie nuty - publiczność nagrodziła dyrygenta i orkiestrę owacją trwającą co najmniej pięć minut.

Po dwóch godzinach spędzonych w obłokach nadszedł jednak czas powrotu na ziemię. Judyta była tak pochłonięta



przeżywaniami słuchanych utworów, że zapomniała na jakiś czas o swoim przeziębieniu. Teraz jednak, gdy obie przepychały się już w stronę foyer i wyjścia, ból głowy i gardła powrócił ze zdwojoną siłą.

Dziewczęta początkowo miały zamiar wsiąść do autobusu lub przejść się do mieszkania Judyty piechotą, lecz gdy wyszły na zewnątrz, nawet w ciemnościach się zorientowały, że pada deszcz, a może i śnieg z deszczem. Tymczasem żadna z nich nie miała parasolki. Stały więc na chodniku, potracane przez innych wychodzących, i zastanawiały się, jakie są szanse na złapanie taksówki. Praktycznie żadne!

- Nie możemy iść pieszo, bo przemokniemy do suchej nitki - utyskiwała Heather, zła na samą siebie. - Że też nie wzięłam parasolki!

- Ja nie mogłam, bo nie wolno nam nosić parasolek do munduru.

Kiedy tak rozważały, jak dostaną się do domu, drugi raz uśmiechnęło się do nich szczęście. Akurat podjechał do krawężnika samochód z kierowcą, sprowadzony przez bardziej przewidującego majora lotnictwa, będącego w towarzystwie kobiety. Kiedy otworzył drzwi wozu - kobieta natychmiast wcisnęła się do środka. Major już miał podążyć za nią, kiedy jego wzrok padł na dwie zmoknięte i bezradne dziewczyny.

- A panie w którą stronę? - zagadnął.

- Okolice Sloane Square - odpowiedziała Judyta.

- Możemy panie podwieźć, bo jedziemy do Clapham. Oczywiście natychmiast przystały na tę propozycję,

choć wydawała się im zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Heather zajęła miejsce na tylnym siedzeniu, Judyta zaś obok kierowcy. Kiedy wóz ruszył, padało tak, że wycieraczki poruszały się nieprzerwanie, a kierowca *i* trudnością się orientował w przytłumionym zaciemniającymi osłonami światłem reflektorów.

Tymczasem na tylnym siedzeniu Heather wdała się w rozmowę z uprzejmym majorem i jego towarzyszką.

- To naprawdę bardzo miło z państwa strony - mówiła. - Nie wiem, co byśmy bez was zrobiły...

- Zwykle tak bywa, jeśli się wychodzi późno z teatru lub koncertu, a tym bardziej w taką psią pogodę...

Judyta już nie słuchała dalej, bo czuła, że dostaje dreszczy. Stała przedtem w kałuży i przemoczone nogi jej szczerze pogorszyły sprawę.

Kiedy wreszcie znajdzie się w mieszkaniu - włączy gazowe ogrzewanie, ale najpierw musi się postarać o coś do zjedzenia, bo nie miała czasu niczego kupić.

Posuwali się już wzdłuż Sloane Street, a na tylnym siedzeniu rozmowa nie ustawała. Heather z nowymi znajomymi wymieniła już uwagi na temat koncertu, a teraz dyskutowali o zbombardowaniu Queens Hall i recitalach wokalnych Myry Hess, odbywających się w porze południowej w kościele Świętego Marcina.

- Zawsze są tam tłumy. Niektórzy ludzie po prostu wpadają na chwilę, żeby jej posłuchać, nawet po drodze do pracy czy z pracy...

Major wychylił się naprzód i zapytał Judytę:

- Gdzie dokładnie panie mieszkają? Gdyby to było nam po drodze, moglibyśmy podwieźć panie pod sam dom.

- W zaułku Cadogan. Tylko że... - jakby coś sobie przypomniała - muszę jeszcze zrobić zakupy, bo nie mam w domu nic do jedzenia. Przyjechałam dziś rano z Portsmouth i nie zdążyłam się zaopatrzyć. Gdyby pan był tak uprzejmy i wysadził nas przed sklepem spożywczym...

- Proszę się o nic nie martwić - odpowiedział szarmancko oficer i dalej już wszystko poszło jak z płatka. Judyta poinstruowała kierowcę, aby podjechał do najbliższego sklepiku na rogu, i na swą kartkę żywnościową nabyła chleb, jajka, trochę bekonu, cukru i margaryny, pół litra mleka i słoik podejrzanie wyglądającego dżemu malinowego. Starsza pani zza lady zapakowała jej to wszy-

stko w dużą papierową torbę. Judyta zapłaciła i wróciła do czekających w samochodzie.

- Przynajmniej dzięki panu mamy już podwieczorek.

- Przecież nie moglibyśmy zostawić pań na głodniaka! Dokąd teraz?

W ten sposób dostarczono je pod same drzwi domu. W mokrych kocich łbach zaułka odbijały się światła wozu, w których widać było kota uciekającego przed deszczem, Judyta i Heather rozplęwały się w podziękowaniach, chciały nawet pokryć swój udział w kosztach podróży, ale mąż nie chciał o tym słyszeć. Rozkazującym tonem polecił im, aby szybko uciekały do domu, póki jeszcze bardziej nie zmokną, więc nie certowały się już dłużej.

- Nie zapalaj światła, dopóki nie zasłonę wszystkich okien! - uprzedziła Judyta Heather. - I nie ruszaj się ślad, bo skręcisz kark na tych schodach. Sama namacała wejście do kuchni, spuściła zasłonę zaciemniającą i postawiła na stole torbę z zakupami. Po ciemku weszła ostrożnie na górę, dokładnie zasłoniła okna w salonie i dopiero wtedy włączyła światło.

- Możesz już wchodzić! - krzyknęła do Heather i razem obeszły wszystkie pokoje, aby sprawdzić, czy nie wydostaje się z nich choćby promień światła. Zdjęła mokry płaszcz i buty, rozpałała gazowy kominek i zaświeciła kilka lamp. Od razu w salonie zrobiło się przytulniej.

- Marzę o filiżance herbaty! - westchnęła Heather.

- Ja też, ale najpierw muszę zażyć aspirynę.

- Źle się czujesz?

- Nie za dobrze.

- Biedactwo, rzeczywiście kiepsko wyglądasz. Czyś ty czasem nie złapała grypy?

- Żebyś nie wymówiła w złą godzinę!

- To idź i zażyj co trzeba, a ja tymczasem zrobię herbatę. Nie bój się, trafię do kuchni.

- Tam jest chleb, będziemy mogły zrobić grzanki do herbaty.

- Świetnie! - odparła Heather.

Skierowała się na dół, a Judyta tymczasem zdjęła płaszcz i rzuciła go na łóżko. Ściągnęła też mokre buty i pończochy, wsuwając stopy w puszyste kapcie. Kurtkę mundurową zastąpiła grubym swetrem, który przywiozła ze sobą. Potem zażyła aspirynę i znów wypłukała gardło. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze - nie wyglądało najlepiej! Widać na nim było twarz zmizerowaną i zmęczoną, z podkrążonymi oczami. Bidy na pewno dora dziłaby jej szklanek gorącej whisky z miodem i cytryną, ale Judyta nie miała pod ręką żadnego z tych składników.

Ledwo wróciła do salonu, a już Heather wносиła na górę tacę z herbatą i dodatkami do niej. Za pomocą dłu giego widelca przypiekła nad gazowym płomieniem kilka kromek chleba, skąpo smarując je margaryną i dżemem.

- Zupełnie jak na pikniku! - stwierdziła Heather ob lizując palce. - Mama zawsze smarowała nam bułeczki dżemem malinowym. Podoba mi się ten dom, jest fajnie urządzone. Często tu przyjeżdżasz?

- Ilekroć jestem w Londynie.

- Pewnie, że to lepsze niż koszary.

- Szkoda, że nie możesz zostać na noc.

- Niestety, nie mogę.

- A gdybyś zadzwoniła do pracy i powiedziała, że na przykład głowa cię boli?

- Muszę być jutro na dyżurze.

- O której masz pociąg?

- O wpół do ósmej.

- Z którego dworca?

- Euston.

- Czym się tam dostaniesz?

- Metrem ze Sloane Square.

- Chciałabyś, żebym cię odprowadziła?

- Nie! - ucięła ostro Heather, a potem dla złagodzenia tej odpowiedzi dodała: - Nie powinnaś już dziś nigdzie

wychodzić. Z tym przeziębieniem najlepiej położyć się do łóżka.

Judyta czuła jednak, że nawet gdyby tryskała zdrowiem - Heather nie życzyłaby sobie, aby towarzyszyła jej do stacji liuston. Przypuszczalnie nie chciała nawet, aby Judyta zauważyła, w jakim kierunku ma zamiar jechać. Każdy jej krok otaczała głęboka tajemnica, co było przerażające. Judyta żywiła tylko nadzieję, że przyjaciółka nie szykuje się na agentkę wywiadu. Nie mogła sobie wyobrazić, że miano by ją w nocy zrzucić na terytorium wroga.

Nie o wszystkim zdążyły porozmawiać, ale Heather musiała już się zbierać.

- Tak wcześnie? - dziwiła się Judyta.

- Wolę nie myśleć, co by się działo, gdybym spóźniła się na ten pociąg. Tylko na jego przyjazd wysyłają po nas samochód na stację.

Judyta od razu wyobraziła sobie odludną stacyjkę w szczerym polu.

Czeka tam służbowy samochód, który będzie długo kołował po bezdrożach, zanim dowiezie Heather na miejsce. A u celu wstępu bronią zdalnie otwierane bramy, zasieki z drutu kolczastego i groźne psy wartownicze. Gdzieś w głębi długie podjazdy prowadzą do ponurego wiktoriańskiego gmazyska... Judyta prawie słyszała, jak na jego basztach pohukują sowy...

Wizja ta przejęła ją głęboką odrazą. O ileż lepsza, choć pozornie nudna, była praca u kapitana Crombiego! Po stokroć wolała wypełniać jego polecenia, odbierać telefony i pisać na maszynie niż uczestniczyć w czymś tak ściśle utajnionym i nie mieć nawet wolnej niedzieli!

Heather przygotowywała się już do wyjścia. Dociągnęła zamki błyskawiczne podsuszonych przy kominku botków, zapięła szykowny czerwony płaszcz, a na czarnych włosach zawiązała jedwabną chusteczkę.

- To był wspaniały dzień! - oświadczyła.

- Dziękuję ci, żeś zabrała mnie na ten koncert. Byłam naprawdę zachwycona!

- Musimy jeszcze kiedyś się spotkać, tym razem może szybciej. Nie, nie schodź ze mną na dół, dam sobie radę.
- Ciągłe mi się wydaje, że powinnam cię jednak od prowadzić.
- Nie wygłupiaj się, lepiej weź gorącą kąpiel i włącz pod pierzynę! - Pocałowały się na pożegnanie, ale Heather jakby miała wyrzuty sumienia, bo dodała: - Nie chciałabym zostawiać cię samej.
- Ależ świetnie dam sobie radę!
- Będę ciągle myśleć o tobie, o twoich rodzicach i o Jess. Daj mi znać, jeśli dowiesz się czegoś nowego.
- Oczywiście, dam słowo.
- Masz mój adres? Skrytkę pocztową i tak dalej? To trochę skomplikowane, ale w końcu listy zawsze do mnie dochodzą.
- Dobrze, napiszę ci o wszystkim.
- No, to do widzenia, kochanie.
- Do widzenia.

Jeszcze raz objęły się, ucałowały i Heather w końcu wyszła, najpierw po schodach w dół, potem na zewnątrz. Jeszcze trzaśnięcie drzwiami, potem coraz cichszy dźwięk kroków wzdłuż zaułka i już jej nie było.

W tej chwili słyhać było tylko szum deszczu i oddalone odgłosy ruchu ulicznego na Sloane Street. Judyta miała nadzieję, że w taką fatalną pogodę nie będzie nalotu - bombowce najchętniej nadlatywały w pogodne, księżycowe noce. Po wyjściu Heather została pustka, więc aby ją zappełnić, nastawiła płytę z koncertem wiolonczelowym. Od razu przestała czuć się samotnie. Sprzątnęła po podwieczorku, pozmywała naczynia i ustawiła je na suszarce. Zagotowała wodę w czajniku i napełniła nią gumowy termofor. Zniosła go na górę i włożyła do łóżka między pościel. Potem zażyła jeszcze dwie aspiryny, bo czuła się coraz gorzej, i napełniła gorącej wody do wanny.

Moczyła się w niej prawie godzinę, a gdy wyszła z wanny - przebrała się w nocną koszulę, a na nią na-

ciągnęła sweter z szorstkiej wełny. Tymczasem skończyła się płyta, więc wyłączyła radiogramofon. Pozostawiła jednak palący się gaz i otwarte drzwi do sypialni, aby jej wnętrze mogło się ogrzać. Znalazła jeszcze stary numer „Vogue” i wzięła go do łóżka. Przez chwilę przerzucała strony barwnego magazynu, lecz w końcu zmęczenie wzięło górę, więc przymknęła oczy. Zaraz jednak otworzyła je na powrót, a przynajmniej tak się jej zdawało. Serce zabiło jej jak młotem, usłyszała bowiem zgrzyt klucza w zamku drzwi na dole. Słyszać też było, jak się otworzyły, a potem delikatnie zamknęły.

A więc ktoś z zewnątrz dostał się do domu! Judyta przez chwilę leżała porażona strachem, potem wyskoczyła z łóżka jak oparzona, przebiegła przez salon i stanęła u szczytu schodów. W razie gdyby intruz okazał się niepożądanym gościem, była gotowa zdzielić go w łeb pierwszym ciężkim przedmiotem, jaki się nawinie.

Jednak gdy przybysz doszedł już do połowy schodów, zobaczyła, że ma na sobie obszerny płaszcz ze złoto lamowanymi epoletami i mokrą od deszczu czapkę. W jednym ręku trzymał podręczną walizeczkę, a w drugim torbę z żaglowego płótna ze sznurowymi uszami.

To był Jeremy! Kiedy Judyta go poznała, aż zmiękły jej nogi i musiała się oprzeć o poręcz. Nie włamywacz, gwałciciel ani morderca - tylko jedyny człowiek, którego rzeczywiście pragnęła tu zobaczyć.

- Jeremy!

Na dźwięk jej głosu spojrzał w górę spod daszka czapki. Padające z góry światło nadawało jego twarzy ponury wygląd.

- O rany, Judyta!

- A kogo się spodziewałeś zobaczyć?

- Nikogo specjalnego, ale od razu poczułem, że ktoś jest w domu, bo się świeciło.

- Myślałam, że pływasz gdzieś po oceanie. Co tu robisz?

- O to samo mógłbym spytać ciebie. - Wszedł na samą górę, postawił na podeście swój bagaż i nachylił się, aby pocałować Judytę w policzek. - I kto to widział przyjmować męskie odwiedziny w nocnej koszuli?
- Byłam już w łóżku.
- Mam nadzieję, że sama?
- Jeśli chcesz wiedzieć, to jestem przeziębiona i fatalnie się czuję.
- No to marsz do łóżka, szybko!
- Teraz już nie, bo muszę z tobą porozmawiać. Masz zamiar zostać na noc?
- Tak planowałem.
- A teraz ja zajęłam łóżko.
- To nic, prześpię się w tej garderobie z deską do prasowania. Nieraz już tam spałem.
- Na jak długo zostajesz?
- Do jutra rana. O siódmej mam pociąg. - Powiesił czapkę na słupku przy poręczy schodów i zaczął rozpinąć płaszcz.
- A skąd teraz przyjechałeś?
- Z Truro. - Zrzucił z siebie płaszcz i przewiesił go przez poręcz. - Dostałem dwa dni urlopu, więc chciałem spędzić go przede wszystkim ze swoimi rodzicami.
- Nie widziałam cię już kopę lat... Jeremy pamiętał dokładnie.
- Odkąd przyjechałem do Dower House pożegnać się z tobą.
- To chyba było w innym wcieleniu. - Raptem pomyślała o czymś znacznie poważniejszym. - Pewnie jesteś głodny? Niestety, mam tylko chleb i plasterek bekonu. Sklep na rogu już jest zamknięty, ale...
- Ale co? - Wyrażnie się z niej podśmiewał.
- Mógłbyś coś zjeść na mieście. Na przykład w hotelu „Royal Court”.
- To wcale nie byłoby zabawne.
- Gdybym wiedziała, że przyjedziesz...



- Upiekłabyś placek, prawda? Na szczęście jestem przewidujący, a mama zapakowała mi niezłą wałówkę. O, tu icst! - Trącił nogą swoją torbę z żaglowego płótna.

Judyta zajrzała do niej i od razu zauważyła główkę butelki.

- Nareszcie pomyślałeś o czymś praktycznym.

- Niepotrzebnie taszczyć to na górę, bo to straszny ciężar. Powinienem był zostawić tę torbę w kuchni, ale gdy zobaczyłem światło, przede wszystkim chciałem sprawdzić, kto jest w mieszkaniu.

- A kto tu jeszcze mógłby być? Chyba Athena albo I.oveday. Rupert jest na Bliskim Wschodzie, a Gus na Dalekim.

- To jeszcze nie wszystkie możliwości. Nancherrow siało się teraz domem otwartym dla młodych oficerów, a Diana daje klucz do tego mieszkania każdemu, kto zasłuży na jej względy.

- O tym nie wiedziałam.

- Tak więc przestał to już być zamknięty klub. Często lu przyjeżdżasz?

- Czasem na weekendy.

- I to jest jeden z nich?

- Tak, ale jutro muszę już wracać do Portsmouth.

- Szkoda, że nie wolno mi tu dłużej zostać. Zabrałbym cię gdzieś na lunch.

- Ale nie możesz, prawda?

- Niestety. Napijesz się czegoś?

- Nie mam nic w barku.

- Za to ja mam w swoim marynarskim kuferku. - Pochylił się, aby podnieść swoją torbę. Wydawała się strasznie ciężka i coś w niej brzęczało. - Chodź, to ci pokażę.

Znów zeszli na dół, tym razem do kuchni. Jeremy postawił torbę na stole i zabrał się do jej rozładowywania. Linoleum było zimne i Judycie zaczęły szybko marznąć nogi, więc usiadła na drugim końcu stołu. Przypominało to rozpakowywanie skarpety z gwiazdkowymi prezentami,

bo nikt z nich nie wiedział, co za chwilę się pojawi. Pierwsza była butelka whisky Black and White, a za nią pojechała się butelka ginu Gordona. Znalazły się tam jeszcze dwie cytryny, pomarańcza, trzy paczki frytek, funt wiejskiego masła i tabliczka gorzkiej czekolady. Na końcu wyłoniła się paczka o podejrzanej formie, zawinięta w gazetę poplamioną krwią.

- Co to jest? - nie wytrzymała Judyta. - Czyjaś głowa.

- Nie, befsztyki. - Powtórzył jeszcze raz to słowo, wymawiając z naciskiem każdą sylabę.

- A skąd ty, na miłość boską, wzięłaś befsztyki i wiejskie masło? Chyba twoja mama nie handluje na czarnym rynku?

- Skąd, to prezenty od wdzięcznych pacjentów. Lodówka działa?

- Oczywiście.

- A jest w niej trochę lodu?

- Myślę, że tak.

Jeremy otworzył lodówkę, włożył do niej masło i zakrwawioną paczkę obok resztek zapasów Judyty. Wyjął natomiast pojemnik z kostkami lodu i zapytał:

- Czego się napijesz? Whisky z wodą sodową? Myślę, że dobrze ci zrobi na przeziębienie.

- Tak, ale nie mam wody sodowej.

- A założysz się, że masz?

Okazało się, że znalazł syfon w jakimś ukrytym schowku. Z innego schowka wyciągnął szklanki, wsadził do nich kostki lodu z pojemnika, na to nalał whisky i chlusnął wody sodowej z syfonu. Potem podał Judycie wysoką szklankę z musującym napojem.

- Twoje zdrowie!

- W twoje ręce! - odparowała z uśmiechem.

Już po pierwszym łyku Jeremy głęboko odetchnął, wyraźnie odprężony.

- Tego mi było trzeba!

- Zwykle nie piję whisky, ale to dobre.

- Na wszystko przychodzi czas. Chodźmy już na górę, to robi się zimno. W salonie rozsiedli się wygodnie przy kominku. Jeremy zajął jeden z foteli, a Judyta zwinęła się w kłębek na dywaniku, blisko paleniska.

- Była tu dzisiaj Heather Warren - poinformowała. - Specjalnie przyjechałam z Portsmouth, żeby się z nią spotkać. Byłyśmy razem na lunchu, a potem na koncercie, tylko ona spieszyła się na pociąg, bo musiała wracać do leż swojej tajnej służby.

- Gdzie odbywał się ten koncert?

- W Albert Hall. Grali Waltona i Rachmaninowa. Ale opowiedz lepiej o sobie, co się z tobą działo.

- To co zawsze.

- Dostałeś urlop?

- Nie całkiem, raczej wezwanie do Admiralicji. Dostałem awans na komandora-lekarza.

- Wspaniale! No, to jesteś teraz wyższa szarża.

- Na razie to jeszcze nieoficjalne, więc nie trąb o tym po całym mieście.

- Ale mamie powiedziałaś, prawda?

- Oczywiście.

- A poza tym co nowego?

- Zamustrowałem na inny okręt, krążownik „Sutherland”.

- Wciąż jeszcze pływasz po Atlantyku? Mogliby przenieść cię na Morze Śródziemne. Należałoby ci się trochę słońca.

Wzruszył ramionami i czym prędzej zmienił temat.

- Masz jakieś wiadomości od rodziny?

- Od początku miesiąca ani znaku życia. Nie wiem, co się tam dzieje, może coś straszego?

- Wszyscy są w Singapurze?

- Chyba tak.

- Wiele kobiet i dzieci już stamtąd ewakuowano.

- Pierwsze słyszę.

Spojrzał na zegarek.

- Już piętnaście po ósmej. O dziewiątej posłuchamy wiadomości.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym je usłyszeć.

- Zawsze lepiej znać prawdę niż wyobrażać sobie naj gorsze.

- Tak źle i tak niedobrze. To wszystko dzieje się za szybko. W najgorszych chwilach, jak podczas odwrotu spod Dunkierki czy nalotów na Portsmouth, pocieszałam się, że przynajmniej im nic nie grozi. Kiedy myśmy stali w kolejkach, żeby wykupić nasze przydziałowe ochłapy oni nurzali się w luksusach i czas płynął im wśród samych rozrywek.

Wszystko to się skończyło, kiedy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Odtąd oni znajdują się w większym niebezpieczeństwie niż my. Szkoda, że nie pojechałam do Singapuru, kiedy jeszcze mogłam. Przy najmniej bylibyśmy razem. A teraz oni są tak daleko i nic ma od nich żadnych wiadomości...

Czuła, że głos jej się załamuje i jeśli powie jeszcze choć jedno słowo - wybuchnie płaczem. Dlatego pociągnęła tylko łyk whisky i wbiła wzrok w błękitne płomyki gazu.

- Wydaje mi się, że najgorszą udręką jest nie wiedzieć o niczym - zauważył oględnie Jeremy.

- Zwykle jakoś daję sobie z tym radę. Tylko dziś w ogóle nie czuję się najlepiej.

- No więc kładź się do łóżka!

- Ale tak mi przykro...

- Niby dlaczego?

- Bo tak rzadko się widzimy, a kiedy wreszcie się spotkaliśmy, to akurat musiałam się tak paskudnie przeziębić i nie mam nastroju, żeby słuchać wiadomości. Stanowczo nie jestem dziś dla ciebie odpowiednim towarzystwem.

- Lubię cię taką, jaka jesteś. Szkoda tylko, że jutro będę musiał tak wcześniej cię opuścić. Kiedy się spoty-

kamy, od razu musimy się rozstawać. Chyba to wszystko przez tę przekłątą wojnę!

- Nie szkodzi, dobrze, że choć na krótko możemy być razem. Wolę, żebyś to był ty niż któryś z nowych podopiecznych Diany.

- Też się z tego cieszę. Na razie jednak ty jesteś przygnębiona, a ja jestem głodny. Chyba nam obojgu dobrze zrobi porządna gorąca kolacja, a przy okazji trochę muzyki. Wracaj do łóżka, a ja się tym zajmę.

Wstał i włączył radio. Z odbiornika popłynęły dźwięki muzyki tanecznej.

Była to bezpośrednia transmisja dansingu w hotelu „Savoy”. Carroll Gibbons wykonywał właśnie „Begin the Beguine”. Judyta wyobraziła sobie, jak elegancyści goście wstają od stolików i przechodzą na parkiet.

- 1 co szef kuchni poleca? Befszyki?

- Oczywiście, smażone na maśle. Szkoda, że nie mamy lu szampana.

Chcesz jeszcze whisky?

- Jeszcze tej nie skończyłam.

Podał jej rękę i postawił na nogi. „Kierunek - łóżko, marsz!” -

zakomenderował, popychając ją lekko w stronę sypialni. Słyszała stamtąd, jak zbiega po schodach niczym po trapie okrętowym. Nie poszła jednak od razu do łóżka, tylko usiadła przed lustrem. Przyglądała się odbiciu swojej bladej twarzy i rozmyślała, dlaczego Jeremy nie zwrócił uwagi na jej krótką, puszystą fryzurkę, jaką teraz nosiła w miejsce poprzednich długich loków. Może nawet jej nie zauważył? Mężczyźni czasem nie dostrzegają takich szczegółów.

Czuła się teraz przyjemnie oszołomiona. Najwidoczniej whisky w połączeniu z gorącą kąpielą i aspiryną robiły swoje. Przyczesła włosy, umalowała usta, spryskała się perfumami i żałowała, że nie ma teraz na sobie lizeski przybranej falbankami i koronkami, takiej jakich używały Diana i Athena. Z pewnością wyglądałaby w niej bardziej romantycznie i kobieco niż w starym wełnianym swetrze.

Ale właściwie dla kogo miałyby wyglądać romantycznie" Przecież to tylko Jeremy! Przyłapała się na tym, że ta kwestia wprawiła ją w zakłopotanie i nie potrafi udzielić sobie samej rozsądnej odpowiedzi. Wstała więc od toaletki, poprawiła poduszki i usiadła w łóżku, popijając resztkę whisky. Z kuchni na dole dochodziły smakowite zapachy roztopionego masła i smażących się befsztyków.

Tymczasem skończyło się „Begin the Beguine”, a Car roli Gibbons grał teraz na fortepianie utwór Irvinga Berlina:

*Jesteś dla mnie wiosennym tchnieniem...* W tym momencie na schodach rozległy się kroki i do sypialni zajrzał Jeremy. Zauważyła, że zdjął marynarkę, a na granatowy sweter nałożył fartuch.

- Jaki befsztyk najbardziej lubisz?
- Już sama nie pamiętam, tak dawno czegoś takiego nie jadłam.
- Może być średnio wysmażony?
- To brzmi zachęcająco.
- Masz jeszcze coś do picia?
- Właśnie skończyłam.
- Zaraz naleję ci drugiego drinka.
- Chcesz, żebym się upiła?
- Jak można się upić leżąc w łóżku? - Mówiąc to, odebrał od niej pustą szklankę. - Podam ci to do kolacji zamiast szampana.
- Jeremy, ale ja nie chcę jeść sama!
- Nie będziesz, obiecuję.

Uwinał się nadzwyczaj szybko i niemal natychmiast przyniósł do sypialni ciężką tacę, którą postawił na łóżku przed Judytą. Zwykle gdy zanoszą się komuś posiłek do łóżka - przeważnie zapomina się zabrać czegoś z kuchni, na przykład dżemu, nożyka do masła czy łyżeczki do herbaty. Natomiast Jeremy zdawał się pamiętać o wszystkim. Skwierczące befsztyki podał na podgrzanych talerzach, z frytkami i groszkiem z puszką. Zrobił nawet sos.

i do tego nie zabrakło noży, widelców, soli, pieprzu i musztardy. Pamiętał nawet o serwetkach, chociaż zastąpił je czystymi lnianymi ściereczkami. Przyniósł także świeżo nalane drinki.

- A co proponujesz na deser? - chciała wiedzieć Judyta.  
- Do wyboru: połówkę pomarańczy albo kanapkę z dżemem.  
- Wspaniale, to najlepsza kolacja, jaką kiedykolwiek jadłam. Dziękuję ci, Jeremy.

- Lepiej jedz befsztyk, póki nie wystygnie.

Jeremy miał rację - tego potrzebowali najbardziej. Judyta, myśląc głównie o swym złym samopoczuciu i ciężkiej sytuacji na froncie, nie zdawała sobie sprawy, że jest przede wszystkim głodna. Solidny posiłek od razu dodał jej sił. Mało tego, Jeremy usmażył befsztyk akurat w sam raz tak, jak trzeba - z wierzchu przyrumieniony, a w środku różowy i tak miękki, że mimo bólu gardła przełykanie nie sprawiało jej trudności. I chyba po miesiącach odżywiania się monotonna, nieapetyczną strawą skurczył się jej żołądek, bo szybko poczuła się nasycona.

- Tak się najadłam, że nie zmieszczę już nic więcej - oświadczyła.

Odłożyła nóż i widelec, więc Jeremy szybko sprzątnął jej talerz.

Zadowolona, opadła z ulgą na poduszki. - Przynajmniej jakaś odmiana po tych ohydnych konserwach. Zjedz całą pomarańczę, bo nie mam już ochoty na deser. Jak ty wciąż mnie zadziwiasz - nie wiedziałam, że umiesz gotować!

- Każdy, kto kiedyś żeglował, musi umieć gotować, choćby tylko usmażyć rybę. Może napijesz się kawy? Albo lepiej nie, bo nie będziesz mogła zasnąć. Kiedy się zaczęło twoje przeziębienie? - zapytał z zawodową biegłością.

- W gardle drapało mnie już dziś rano, kiedy jechałam pociągiem. Myślę, że zaraziłam się od dziewczyny, z którą mieszkam.

- Brałaś już coś na to?

- Tylko aspirynę. I jeszcze płukałam gardło.

- A jak się czujesz teraz?

- Trochę lepiej.

- Mam przy sobie takie cudowne tabletki, które przy wiozłem z Ameryki. Wyglądają jak małe bomby i działają równie błyskawicznie. Dam ci jedną.

- Tylko żeby mnie od razu nie zwała z nóg!

- Na pewno nic takiego się nie stanie.

Przez otwarte drzwi słyhać było, że koncert muzyki tanecznej zbliża się ku końcowi. Po ostatnich akordach orkiestry Carrola Gibbonsa na jedną lub dwie sekundy zapanowała cisza. Potem rozległy się wyraźne dźwięki uderzeń Big Bena i zapowiedź: „Tu mówi Londyn. Na dajemy wiadomości...” Jeremy spojrzał pytająco na Judytę, a ona przytaknęła ruchem głowy. Musiała wysłuchać tych wiadomości, choćby były najbardziej hiobowe - ponieważ był przy niej Jeremy, tak czuły i wyrozumiały, a równocześnie silny i opanowany. Jego obecność dawała jej po czucie bezpieczeństwa. Samej ciężko było silić się na hart ducha i rozsądek, ale we dwójkę mogli wspierać się na wzajem.

Niewiele to jednak pomogło, gdyż wiadomości były akurat tak złe, jak się spodziewała. Japończycy zamknęli pierścień oblężenia na szosie przez Johor. Już drugi dzień trwały naloty na Singapur, który zamienił się w warowną twierdzę. Wciąż toczyły się zacięte walki nad rzeką Muar... Brytyjskie lotnictwo bombardowało i ostrzeliwało z broni maszynowej japońskie barki transportowe... Inwazja japońska zagrażała kontynentowi australijskiemu... Japońscy wysadzili pięciotysięczny desant na wyspy Nowa Brytania i Nowa Irlandia... Tamtejszy garnizon został zmuszony do odwrotu...

Z kolei w Afryce Północnej atak wojsk generała Romm la zmusił do wycofania się Pierwszą Dywizję Pancerną. Agedabia została wzięta w dwa ognie, a cała dywizja in dyjska znalazła się w okrężeniu...

- Dosyć! - zdenerwował się Jeremy i wyłączył radio.



Kiedy ucichł beznamienny głos spikera, wrócił do Judyty i dokończył: - Nie wygląda to zbyt ciekawie.

- Sądzisz, że Singapur padnie?

- Byłaby to zupełna klęska. Jeśli Japończycy zdobędą Singapur, to opanują całe Holenderskie Indie Wschodnie.

- Ale jeśli ta wyspa jest tak ważna ze względów strategicznych, to czemu lepiej nie przygotowano jej obrony?

- Nikt nie spodziewał się ataku od strony północnej, u Japończycy wymierzili swoje ciężkie działa z lądu poprzez cieśninę.

- Gus Callender też tam jest ze swoim batalionem.

- Wiem o tym.

- Tak mi żal jego i Loveday!

- A mnie żal ciebie.

Pochylił się i pocałował ją w policzek, a potem położył rękę na jej czole.

- Jak się teraz czujesz? - spytał.

- Już sama nie wiem, jak się właściwie czuję.

- Poczekaj, niech tylko sprzątnę to wszystko i pozmywam. - Uśmiechnął się. - Zaraz przyniosę ci pigułkę, po której już jutro będziesz zdrowa.

Wyszedł, zostawiając Judytę wygodnie wyciągniętą na wznak w puchowym łóżu Diany, w urządzonej przez nią luksusowym gniazdku.

Wokół siebie miała muślinowe zasłony, obicia z kretonu w róże i nastrojowe światło lamp. Ciszę mącił jedynie szum padającego deszczu i uderzenia wiatru o szybę. Traktowała ten wiatr jak żywą istotę, która przelatywała całe połączenie kraju, aby uderzyć w tonące w ciemnościach miasto. Patrząc w sufit rozmyślała, że znajduje się teraz w samym sercu metropolii, która mimo zniszczeń wojennych kipiała życiem. Na przykład na East budzie i w dzielnicy portowej mimo bombardowania ocalały szeregowy domki, których mieszkańcy gromadzili się we frontowych pokojach, pili herbatę, robili na drutach, czytali gazety, rozmawiali i słuchali radia. Uciekinierzy ze zrujnowanych domów spędzali noce w tunelach metra

i nie przeszkadzały im kursujące w tę i z powrotem kolejki, byleby tylko przebywać w większej grupie, a nie w samotności.

Nawet tak chłodne i deszczowe noce styczniowe jak ta wielu ludzi spędzało pod gołym niebem. Obsługa dział przeciwlotniczych, członkowie ochotniczej straży pożarnej i formacji ostrzegających przed nalotami pełnili dyżury przy telefonie, ćmiąc skręty i czytając gazety w zaimprovizowanych budkach wartowniczych. Urlopowani z frontu żołnierze przechadzali się dwójkami lub trójkami po ulicach, szukając jakiejś rozrywki. W końcu zwykle lądowali w pierwszym z brzegu barze. prostytutki z Soho wystawały w otwartych drzwiach lokali, oświetlając laktarkami swoje nogi w ażurowych pończochach i pantoflach na koturnach. Na drugim biegunie znajdowali się młodzi oficerowie, którzy z oddalonych lotnisk czy baz wojskowych wyrwali się na przepustkę do miasta i wyciągali swoje dziewczyny na kolacyjki w „Savoyu” lub na dansingi w nocnych lokalach „Mirabelle”, „Bagatelle” czy „Coconut Grove”.

W którymś momencie Judyta przyłapała się na tym, że bezwiednie zaczęła myśleć o matce. I to nie takiej, jaka była obecnie, na drugim końcu świata, w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, przypuszczalnie wystraszona i spanikowana. Nie, przypominała sobie matkę taką, jak ją zapamiętała z czasów Riverview.

W ciągu tych sześciu lat tyle się zmieniło! Nabyła Do wer House, zaciągnęła się do służby pomocniczej, a przedtem spędziła ponurą zimę u Bidy w Upper Bickley. Jeszcze wcześniej wybuchła wojna i skończyły się jej bez troski dni w Nancherrow, choć myślała, że będą trwać wiecznie.

Riverview kojarzyło się Judycie z końcowym okresem dzieciństwa, a więc wzbudzało miłe wspomnienia. Przewidywała, że nie był to własny dom, tylko czasowo wynajęty, ale przez cztery lata pełnił funkcję domu. Przed oczami

miała senne letnie wieczory, kiedy wysoka fala przyływu wdierała się w ujście rzeki. Przypominała sobie kolejkę wąskotorową kursującą wzdłuż tej rzeki do Porthkerris i z powrotem. A kiedy wracała ze szkoły, wysiadała z tej kolejki i szła pod górę stromą ścieżką przez ogród. Zawsze wpadała do domu jak po ogień, wołając od progu: „Mamo!” A mama zawsze była gdzieś w pobliżu. Albo w saloniku, przy stole nakrytym już do podwieczorku, w otoczeniu swoich ulubionych drobiazgów... Albo przy toaletce, kiedy przebierała się do kolacji, szczotkowała włosy i pudrowała swój maleńki nosek... Albo przy łóżeczku less, czytając jej bajkę przed zaśnięciem...

Przez te cztery lata w Riverview właściwie nic się nie działo. Był to dom pozbawiony męskiej ręki, najwyżej od czasu do czasu wpadał w odwiedziny wujek Bob albo Ned. Wizyty Somerville'ów ubarwiały trochę ich monotonne życie, podobnie jak pantomima wystawiona przez Towarzystwo Miłośników Sztuki z Porthkerris lub pikniki na Veglos w porze kwitnienia pierwiosnków. Oprócz tych przerywników każdy dzień był podobny do innych dni, u rok do roku. Nie działo się nic interesującego, ale także nic złego.

Prawda zaś wyglądała tak, że Molly Dunbar była słabą i chwiejną kobietką, niezaradną w roli matki. Bała się prowadzić swój mały samochód, tak samo jak siedzieć w chłodny dzień na wilgotnej plaży, nawiązywać nowe znajomości czy podejmować jakiegokolwiek decyzje. Z rezerwą podchodziła do wszelkich zmian - Judyta pamiętała tej histeryczną reakcję na wiadomość, że ma się przenieść z dobrze znanego sobie Kolombo do nie znanego Singapuru. Miała też kiepską kondycję fizyczną, łatwo się męczyła i pod byle pretekstem kładła się do łóżka. Przez całe swoje życie potrzebowała kogoś, kto by nią kierował. W braku męża, który mówiłby jej, co i jak ma robić, szukała oparcia w kobietach silniejszych od siebie, jak ciotka Luiza, Bidy Somerville i Phyllis. To właściwie

Phyllis zarządzała domem w Riverview, organizując życie codzienne, targując się z dostawcami i w porę wynosząc Jess na stronę, jeśli zdarzył się jej atak złości.

Oczywiście słabość i miękkość charakteru nie były cechami zawinionymi przez Molly, lecz wynikiem wychowania, jakie wyniosła z domu rodzinnego. Jednakże świadomość tego faktu niczego nie zmieniała na lepsze. Wprosiła przeciwnie. W niektórych kobietach okropności wojny wyzwalały tylko najlepsze cechy - odwagę, przedsiębiorczość i wolę przeżycia. Molly Dunbar natomiast była całkiem bezradna wobec wszelkich przeciwności; mogła tylko opuścić ręce i uznać się za pokonaną.

- Nie! - wykrzyczała Judyta na głos, przerywając w ten sposób rozpaczliwą gonitwę myśli. Jakby nie chcąc do puścić do siebie wytworów swojej wyobraźni, wcisnęła twarz głęboko w poduszkę, układając się na boku w bezpiecznej pozycji dziecka w łonie matki. W tym momencie usłyszała kroki Jeremy'ego na schodach, a potem na podłodze salonu.

- Wołałaś mnie? - spytał, ale Judyta, wtulona w poduszkę, tylko potrząsnęła głową. - Przyniosłem ci tę twoją tabletkę i wodę do popicia - oznajmił, lecz nawet się nie poruszyła. Usiadł więc przy niej na łóżku, obciążając swoim ciężarem kołdrę wokół jej pleców. - Judyto! przemówił, a wtem ona odwróciła się wbijając w niego ze złością spojrzenie pełnych łez oczu.

- Nie chcę żadnych tabletek! - rzuciła mu w twarz. Nie chcę w ogóle niczego! Chcę być przy mojej matce!

- Ależ, kochanie...

- A ty traktujesz mnie jak lekarz pacjentkę! Masz chyba skrzywienie zawodowe.

- Wcale nie miałem takich intencji.

- Nie mogę sobie darować, że nie jestem teraz przy niej.

- Nie możesz sobie robić wyrzutów z tego powodu. Wszyscy cię tu kochamy i nie wolno ci się zadrećcać.

Jego rzeczowe podejście i fakt, że nie była w stanie wyprowadzić go z równowagi - ostudziły jej wybuch złości. Mało tego, zrobiło się jej przykro.

- Przepraszam, głupio się zachowałam.

- Naprawdę aż tak źle się czujesz?

- Już sama nie wiem, jak się czuję.

Nie odpowiedział na to wprost, tylko wy dobył swoją „cudowną pigułkę”, która rzeczywiście wyglądała jak mała bomba. Do tego podał Judyście szklanekę wody i polecił:

- Najpierw zażyj to, a potem pogadamy.

- Ale jesteś pewien, że to nie zwali mnie z nóg?

- Nie ma prawa. Zaraz poczujesz się lepiej, a potem prędzej zaśniesz.

Wygląda, jakby była trudna do przełknięcia, ale wystarczy obficie popić ją wodą. Lepiej zażyj zaraz, bo trochę potrwa, zanim zacznie działać.

- No dobrze - zgodziła się z westchnieniem.

- Grzeczna dziewczynka.

Judyta z pewnym wysiłkiem uniosła się na łokciu, wsadziła pigułkę do ust i popiła wodą z kranu, która w Londynie miała metaliczny posmak.

- Dobrze, nawet nie stanęła ci w gardle! - pochwalił .leremy. Odebrał szklanekę z rąk Judyty, która z ulgą opadła na poduszki. - Może spróbujesz teraz zasnąć?

- Nie chce mi się spać.

- A chciałabyś porozmawiać?

- Tak naprawdę to chciałabym dostać jakąś pigułkę na uspienie mózgu.

To okropne - nie móc ani przez chwilę przestać myśleć!

- Przykro mi, ale nie mam nic takiego. - W jego głosie pobrzmiwał rzeczywisty smutek.

- Jakie to głupie. Mam już dwadzieścia lat, a chcę do mamy, zupełnie jak dziecko. Chciałabym trzymać ją w ramionach, czuć jej obecność i wiedzieć, że nic jej nie grozi.

Łzy, które z trudnością powstrzymywała przez cały wieczór, teraz znów wypełniły jej oczy. Nie miała już sił ani motywacji, żeby nad nimi zapanować.

- Myślałam o Riverview... tak spokojnie sobie wtedy żyłyśmy z mamą i Jess... Niby nic się nie działo, ale byłyśmy szczęśliwe i żadna z nas nie czuła się tak rozdarła wewnątrz jak ja teraz! A od tej pory minęło już sześć lat, jak wyrwanych z życiorysu... - Nie mogła już mówić dalej.
  - Rzeczywiście, sześć lat to strasznie długo - stwierdził ze smutkiem Jeremy. - Bardzo mi przykro.
  - Żeby choć jakiś list... Żebym wiedziała, gdzie one teraz są...
  - Rozumiem cię doskonale.
  - To takie głupie z mojej strony!
  - Nie ma w tym nic głupiego, ale nie wolno ci traci nadziei. Czasem brak wiadomości jest dobrą wiadomością. Niewykluczone, że twoja rodzina może być już daleko od Singapuru, na przykład w drodze do Indii czy w inne bezpieczne miejsce. W takiej sytuacji jak teraz normalne jest, że wszelka łączność zawodzi. Staraj się tylko nic popadać w przygnębienie.
  - Mówisz tak, żeby mi zrobić przyjemność.
  - Nie czas teraz na pocieszenie. Chodzi o to, żebyś była rozsądna i widziała wszystko we właściwych porcjach.
  - A gdyby to chodziło o twoich rodziców?
  - Wtedy na pewno odchodziłbym od zmysłów z nie pokoju. Starałbym się jednak za wszelką cenę nie traci nadziei.
- Judyta przetrwała w sobie tę odpowiedź i nieoczekiwanie wypaliła:
- Twoja matka jest zupełnie inna niż moja.
  - Co chcesz przez to powiedzieć?
  - No, że ma całkiem inny charakter.
  - Skąd możesz o tym wiedzieć?
  - Poznałam twoją mamę na pogrzebie ciotki Lawinii, a w czasie stypy trochę pogadałyśmy. Zauważyłam wtedy, że twoja mama jest silna, rozsądna i obdarzona zmysłem

praktycznym. Na pewno świetnie potrafi uspokajać zdenerwowanych pacjentów i nigdy nie przekreśla ważnych wiadomości.

- Spostrzegawcza jesteś.

- Moja mama jest ulepiona z zupełnie innej gliny. Widziałeś ją tylko raz w pociągu, kiedy się jeszcze nie znaliśmy. Ona nie jest ani pewna siebie, ani samodzielna - troszczy się tylko o to, co ludzie o niej pomyślą. Ciotka Luiza zawsze jej wmawiała, że jest głupia, a ona nawet nie próbowała udowodnić, że to nieprawda.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że tym bardziej boję się o nią.

- Nie jest tam przecież sama. Ma przy sobie twojego ojca i Jess.

- Jess jest jeszcze za mała, aby pomóc mamie w podjęciu decyzji.

- Dziesięć lat to już nie taka mała dziewczynka! Czasem dzieci w tym wieku mają już doskonale ukształtowaną osobowość, wiedzę, czego chcą i umieją to przeprowadzić. Jestem pewien, że Jess będzie prawdziwą podporą dla twojej mamy.

- Skąd możemy wiedzieć... - zaczęła, ale dalszy ciąg zdania utonął w niepowstrzymanych już łzach. Judyta próbowała otrzeć je brzegiem prześcieradła, ale robiła to tak nieudolnie, że Jeremy nie mógł na to patrzeć. Poszedł do łazienki, namoczył ściereczkę, wyżał ją i przyniósł wraz z suchym ręcznikiem.

- No już... - wziął ją pod brodę i wytarł twarz moką ściereczką, a następnie podał ręcznik, w który wysiękała nos.

- Normalnie nigdy tak nie płaczę - próbowała się usprawiedliwić. -

Ostatni raz tak płakałam, kiedy dowiedziałam się o śmierci Edwarda, ale to dlatego, że coś ważnego się wtedy dla mnie skończyło, a czułam, że zacznie się coś jeszcze gorszego. Ale wtedy się nie bałam - dokończyła.

W jej głosie brzmiała taka rozpacz, że Jeremy zdecydował się zrobić to, na co miał ochotę przez cały wieczór. Położył się obok Judyty, objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Jego bliskość działała na nią kojąco, więc leżała przy nim bez ruchu, zaciskając tylko palce jednej ręki na grubej wełnie jego swetra. Niczym dziecko przy piersi wczepione w chustę matki.

- Wiesz, jak pocieszała mnie mama, kiedy byłem mały? - próbował sobie przypomnieć. - „To wszystko minie. Ani się obejrzysz, a już nie będziesz o niczym pamiętał”.

- Czy to mogło coś zmienić?

- Nie, ale łatwiej mi było dojść do siebie.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako małego chłopca. Kiedy cię poznałam, już byłeś dorosły. Ile ty właściwie masz lat?

- Trzydzieści cztery.

- Wszystkiemu winna ta wojna. Inaczej dawno już był byś żonaty i dzieciaty.

- To mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Zawsze byłem za bardzo zajęty, żeby uganiać się za dziewczynami. Wiecznie też brakowało mi forsy.

- Powinieneś zrobić specjalizację. Na przykład z chirurgii albo ginekologii. Mógłbyś być wziętym specjalistą i mieć gabinet na Harley Street. Już wyobrażam sobie tę kolejkę bogatych dam przy nadziei pod twoimi drzwiami!

- Niezbyt mi to imponuje.

- A co ci imponuje?

- Najbardziej chyba mój ojciec. Taki typowy wiejski lekarz, z psem na tylnym siedzeniu samochodu.

- Brzmi to dosyć konkretnie.

Mówiła już swoim normalnym głosem, ale palce wciąż zaciskała na swetrze Jeremy'ego.

- Jeremy...

- Słucham?



O czym myślałeś, kiedy dryfowałeś na tratwie po [Atlantyku](#)?

Przede wszystkim o tym, żeby wyjść z tego z życiem.

- A nie wspominałeś żadnych miłych chwil z przeszłości?

- Próbowałem.

- A co to było?

- Nie pamiętam.

- Jak to? Musisz coś pamiętać!

Sprawiała wrażenie, jakby bardzo jej na tym zależało, więc Jeremy spróbował opanować przemożne pożądanie, spotęgowane przez jej bliskość. Czuł zresztą, że i ona go pragnie, ale siłą woli zmusił się do wygrzebania z głębi swojej podświadomości jakichś chaotycznych wspomnień.

- No, na przykład niedziela w Truro, kiedy w katedrze dzwoniли na nieszpory. Albo wybrzeże w Nare, gdzie morze wydawało się zupełnie niebieskie, a w przydrożnych iowach kwitło pełno kwiatów... - W miarę przywoływania wspomnień pojawiały się w pamięci następne obrazy i dźwięki, które rozbudzały w nim ciepłe uczucia. - Najmilej wspominam każdy pobyt w Nancherrow. Kiedy to z Hwardem wczesnym rankiem szliśmy kąpać się w morzu, a potem wracaliśmy przez ogrody, wiedząc, że czeka na nas pyszne śniadanie... Nie zapomnę też, jak pierwszy raz zagrałem w reprezentacji Kornwalii i strzeliłem dwie bramki. Albo jak w grudniu polowaliśmy na bażanty. Czekaliśmy na pędzenie, psy aż piszczały, żeby aportować, a na zimowym niebie bezlistne gałęzie wyglądały jak koronka... No i ten moment, kiedy usłyszałem utwór „Pan mą radością” i wiedziałem, że wróciłaś już do Nancherrow.

- To prawda, muzyka pozwala zapomnieć o całym świecie.

- No więc chyba udzieliłem ci wyczerpującej odpowiedzi. Teraz kolej na ciebie.

- Nie mam siły teraz o tym myśleć.

- Spróbuj przypomnieć sobie choć jedno miłe wydarzenie, do którego chciałabyś powracać w ciężkich chwilach - zachęcał.

- No, jeśli tak, to przede wszystkim chyba to, że ku piłam ten dom.

Wprawdzie czuje się tam ciągle obecność cioci Lawinii, ale jednak jest mój, własny. I ten zegai w hallu tak przyjemnie tyka, i taki ładny stamtąd jest widok na morze, i te sosny na dole... Ale najważniejsze, że czeka tam na mnie Phyllis, i że zawsze, kiedy zechcę, będę mogła tam wrócić, a któregoś dnia zostanę już na zawsze.

- Tak, tego zawsze możesz się trzymać - potwierdził z uśmiechem. Patrzył na bladą twarz Judyty z przymkniętymi oczami i długimi rzęsami leżącymi na policzkach, jej ładnie wykrojone usta, zarys szczęki i podbródka... Nachylił się nad nią i pocałował w czoło. - No, myślę, że już dość na dzisiaj. Jesteś zmęczona, a ja jutro muszę wstać.

Judyta od razu otworzyła oczy i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem, jeszcze mocniej wczepiając palce w jego sweter. Jeremy czuł, że zaraz odstąpi od swych szczytnych zasad, ale próbował jeszcze zachować pozory.

- Musisz się porządnie wyspać...

Perswazja nie poskutkowała, bo Judytę naraz ogarnęło jakieś dziwne podniecenie.

- Nie zostawiaj mnie samej! - błagała. - Chciałabym, żebyś został ze mną!

- Ależ, Judyto...

- Nie odchodź, proszę! - Po chwili dorzuciła, jakby Jeremy potrzebował jeszcze dodatkowej zachęty: - Po czuję się lepiej, jeśli zostaniesz ze mną.

To jest podwójne łóżko, będziesz miał masę miejsca!

Jeremy jeszcze się wahał, rozdarty wewnętrznie między pożądaniem fizycznym a własnym zdrowym rozsądkiem

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytał ostrożnie

- Niby dlaczego nie?

- Bo jeśli zostanę z tobą, to na pewno zechcę się z tobą kochać.  
Nie wyglądała na zaskoczoną. Szokująca natomiast była jej odpowiedź:

- To nic nie szkodzi.
- Jak to „nic nie szkodzi”?
- To znaczy, że jeśli zechcesz kochać się ze mną, nie będę miała nic przeciwko temu.
- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?
- Myślę, że po prostu tego chcę. - Naraz uśmiechnęła się, jak jeszcze ani razu przez cały ten wieczór. Jeremy poczuł, jak jego serce wykonuje szalony obrót, a zdrowy rozsądek wycieka zeń jak woda z wanny po wyciągnięciu korka. - Nie bój się, Jeremy. Nie będziesz pierwszy.
- Pierwszy był Edward, prawda?
- Oczywiście.
- A gdybym poszedł z tobą do łóżka, myślałabyś wtedy o Edwardzie?
- Nie! - odpowiedziała stanowczym tonem. - Będę myśleć tylko o tobie. O tym, że jesteś ze mną, kiedy cię potrzebuję. Nie chcę, żebyś odchodził. Chcę, żebyś był ze mną, bo przy tobie czuję się bezpiecznie.
- Ale chyba nie będę kochać się z tobą w ubraniu?
- No więc idź i rozbierz się.
- Nie mogę, bo trzymasz mnie za sweter. Uśmiechnęła się i rozluźniła palce, ale Jeremy wciąż nie ruszał się z miejsca.
- Przecież cię już puściłam! - ponaglała.
- Boję się, że znikniesz, kiedy odejdę.
- Nie bój się, nie zniknę.
- Za dwie minuty przyjdę.
- Postaraj się już za minutę!
- Judyto! - Z ciemności dobiegł jego głos. Poruszyła się i wyciągnęła rękę, ale namacała obok siebie puste miejsce. Kiedy z wysiłkiem otworzyła oczy,

stwierdziła, że sypialnia wygląda tak samo jak wtedy, gdy zasypiała. Zasłony były opuszczone, paliła się lampka tylko że Jeremy siedział koło niej na brzegu łóżka. Zdążył się już ogolić i nałożyć mundur, pachniało od niego świeżością i mydłem.

- Przyniosłem ci herbatę.
- A która to godzina?
- Szósta rano. Muszę się już zbierać.

Judyta ziewnęła, przeciągnęła się i podciągnęła do pozycji siedzącej, aby mógł jej podać parującą filiżankę herbaty, zbyt gorącej, aby ją od razu pić.

Jeszcze nie w pełni rozbudzona, mrugała oczami, aby odpędzić senność.

- O której wstałeś?
- O wpół do szóstej.
- Nie słyszałam.
- Zauważyłem.
- Jadłeś coś na śniadanie?
- Tak, jajko na bekonie.
- Zabierz ze sobą to wszystko, co przywiozłeś. Nic ma sensu nic tu zostawiać.
- Wszystko już spakowałem. Teraz chciałbym się z tobą pożegnać. No i podziękować ci.
- To raczej ja powinnam być wdzięczna.
- Nie ma za co. To będzie dla mnie cudowne wspomnienie.

Judyta zawstydziała się, nie wiadomo dlaczego. Spuściła oczy i popijała małymi łydkami gorący płyn.

- Jak się dzisiaj czujesz? - Zmienił temat.
- Dobrze, tylko trochę kręci mi się w głowie.
- Gardło już nie boli?
- Przestało.
- Ale będziesz uważać na siebie, prawda?
- Pewnie.
- Kiedy musisz być z powrotem w Portsmouth?
- Dziś wieczorem.

Może będzie już na ciebie czekał list od rodziny. Rzeczywiście, może będzie - potwierdziła z nadzieją w głosie.

- Uważaj na siebie i spróbuj się nie zamartwiać. Żałuję tylko, że nie mogę zostać dłużej. Przegadaliśmy pół nocy a i tak zostało wiele spraw, których nie omówiliśmy. Teraz już nie ma na to czasu.

- Nie możesz przecież spóźnić się na pociąg.

- Napiszę do ciebie, jak tylko znajdę trochę czasu. Może w ten sposób uda mi się przekazać ci to wszystko, czego nie zdążyłem powiedzieć. W liście pójdzie mi łatwiej.

- Szło ci całkiem nieźle, ale bardzo się ucieszę, jeśli dostanę od ciebie list.

- Muszę już iść. Do widzenia, kochanie!

- Jeśli odstawisz gdzieś tę filiżankę, będę mogła pożegnać się z tobą jak należy.

Roześmiał się i odebrał od niej filiżankę ze spodkiem. Dopiero wtedy mogli się uściskać i ucałować nie tylko jak para przyjaciół, ale i jak para kochanków.

- Tylko żeby cię znów nie wysadzili w powietrze.

- Postaram się nie dać.

- I pisz do mnie, tak jak obiecałeś.

- Prędzej czy później na pewno napiszę.

- A możesz jeszcze coś dla mnie zrobić, nim wyjdiesz?

- Co takiego?

- Odsłoń okno, żebym mogła zobaczyć wschód słońca.

- Jeszcze nieprędko go zobaczysz.

- To nic, poczekam.

Wstał więc, zgasił lampkę i podszedł do okna. Judyta słyszała, jak odsuwa zasłony - i te jedwabne, i tę zaciemniającą. Za oknem było jeszcze szaro, ale deszcz już przestał padać i wiatr ustał.

- O, tak jest dobrze.

- Ale muszę już iść.

- Do widzenia, Jeremy.

- Do widzenia, kochanie.

W ciemności nie widziała, jak wychodzi, ale słyszała jego kroki na schodach, odgłosy otwierania i zamykania drzwi. Kiedy już całkiem się oddalił - opadła na poduszki i prawie natychmiast zasnęła ponownie. Obudziła się dopiero o dziesiątej, więc i tak nie zoba czyła wschodu słońca. Dzień był pochmurny, lecz tu i ów dzie spoza chmur prześwitywały paski niebieskiego nieba. Wyobraziła sobie Jeremy'ego w pociągu podążającym gdzieś na północ. Uśmiechnęła się do siebie na wspo mnienie minionej nocy i pieszczot Jeremy'ego, tyleż czu ły ch, co wyrafinowanych. Dbał o to, aby jej zadowolenie szło w parze z jego namiętnością, toteż oboje razem osiągnęli szczyt uniesienia, tym radośniejszy, że niespo dziewany.

Sytuacja diametralnie się zmieniła. Przedtem nawet nic wymieniała listów z Jeremym, ale teraz obiecał, że prędzej czy później do niej napisze. Miała więc na co czekać.

Tymczasem jednak znow została sama. Analizując swoje samopoczucie stwierdziła, że poprzednie objawy choroby, jak ból głowy, zmęczenie i przygnębiecie - ustąpiły bez śladu wraz z domniemanym przeziębieniem, grypy, czy cokolwiek to było. Nie wiadomo tylko, ile w tym było zasługi samego Jeremy'ego, ile jego porad lekarskich, a ile - dobrze przespanej nocy. Bez względu jednak na przyczynę była znowu sobą i odzyskała swoją zwykłą energię.

W tej chwili jednak nie wiedziała, co ma zrobić z jej nadmiarem, bo na kwaterze miała się zameldować dopiero wieczorem. Perspektywa samotnie spędzonej niedzieli w ogarniętym wojną Londynie nie wydawała się zachęcająca, tym bardziej że zakazano nawet bicia w dzwony kościelne. Pojawiła się natomiast nowa ewentualność w biurze przepustek, w przegródce pod literą „D”, mógł czekać na nią list z Singapuru! Jakby zobaczyła go naraz oczami duszy - toteż postanowiła niezwłocznie wracać

do Portsmouth. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, aby napuścić wody na odświeżającą kąpiel.

Kiedy się już wykąpała, ubrała i spakowała - chciała jeszcze posprzątać po sobie. Ściągnęła pościel z łóżka, złożyła ją w kostkę, opróżniła lodówkę i wyłączyła ją z gniazdka. Jeremy, jak na marynarza przystało, pozostawił kuchnię we wzorowym porządku. Judyta napisała więc jeszcze tylko karteczkę z informacją dla pani Hickson, przycisnęła ją dwiema półkoronówkami, zabrała swój neseser i wyszła, zamykając drzwi za sobą. Pojechała metrem do stacji Waterloo i wsiadła tam do pierwszego pociągu do Portsmouth. Przy gruzach zniszczonego przez bomby Guildhallu złapała taksówkę i już o drugiej po południu znalazła się z powrotem w koszarach. Zapłaciła taksówkarzowi i śmiałym krokiem skierowała się przez główne wejście do biura przepustek, gdzie dziś służbę pełniła dziewczyna w stopniu starszej szeregowej, z kwaśną miną i fatalną cerą. Siedziała za biurkiem i z nudów obgryzała paznokcie.

- Co tak wcześnie? - spytała.

- Rzeczywiście, przyjechałam trochę wcześniej.

- Myślałam, że dostałaś wolny weekend?

- Dostałam, ale go nie wykorzystałam.

- Coś takiego! - Wartowniczką spojrzała na Judytę podejrzliwie. - Może niektórym to odpowiada...

Wygłosiła to stwierdzenie nie czekając na odpowiedź, toteż Judyta tylko odnotowała swój powrót i od razu sięgnęła do drewnianej skrzynki z przegródkami na listy. Pod „D” było ich kilka, więc wyciągnęła wszystkie i zaczęła je przerzucać. Durbridge, Dały... nareszcie! Na samym spodzie znalazła cienką błękitną kopertę poczty lotniczej, zaadresowaną pismem matki. Koperta była brudna i pozaginana, jakby okrążyła cały świat, i to jeszcze z przygodami!

Judyta odłożyła inne listy z powrotem i chciała od razu zabrać się do lektury, ale czuła na sobie nieprzyjemne spojrzenie wartowniczki, więc wolała przeczytać list bez

świadków. Zabrała swój bagaż i wdrapała się po schodach na najwyższe piętro, do zimnej kajutki, którą zajmowała wspólnie z Sue. Przy niedzieli nie było w mieszkaniu żywej duszy, a i Sue pewnie pełniła akurat dyżur. Judyta zrzuciła więc tylko kapelusz i nie zdejmując płaszcza usiadła na dolnej pryczy. Rozcięła kopertę i wyjęła z niej plik cienkich, bibułkowych arkusików specjalnego papieru do przesyłek lotniczych, zapisanych ręką matki. Rozłożyła je i zaczęła czytać.

*Orchard Road, Singapur 16 stycznia 1942*

*Najdroższa Judyto!*

*Będę pisać krótko, bo nie mam zbyt wiele czasu. Jutro Jess i ja odpływamy do Australii na statku „Radža Sa rawaku”. Japończycy już cztery dni temu zdobyli Kuala Lumpur, a teraz nieubłaganie zbliżają się do Singapuru. Po Nowym Roku tutejszy gubernator wydał rozkaz ewakuacji wszystkich kobiet i dzieci, więc już od upadku Kuala Lumpur ojciec całymi dniami przesiadywał w różnych firmach przewozowych, próbując załatwić dla mnie i Jess miejsce na jakimś' statku. Wszędzie panuje wielkie zamieszanie, bo równocześnie na wyspę napływają uchodźcy z terenów już zajętych przez Japończyków. Dopiero przed chwilą (jest jedenasta rano) ojciec przyszedł z wiadomością, że udało mu się załatwić dwa miejsca na jutro rano. Pewnie musiał kogoś przekupić!*

*Wolno nam zabrać ze sobą tylko po jednej małej walizce, bo statek jest przeladowany. Ojciec niestety nie może jechać z nami, bo jest odpowiedzialny za całe biuro i pracowników firmy. Za nic nie zgodziłabym się na rozłąkę, gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo Jess. Tak więc znów, jak zawsze, jestem rozdarta wewnątrz. Opuścić nas: dom, ogród i służbę to dla mnie tyle, co zostać wyrwami z korzeniami. Ale jakie mam inne wyjście?*



*Jess także przeżywa wyjazd i konieczność rozstania z Ahl i nem, nianią i ogrodnikiem, z którymi była bardzo zaprzyjaźniona. Udało mi się jednak przekonać ją, że podróż, statkiem to wielka przygoda. Teraz niania pomaga jej spakować walizkę. Przeraza mnie ta wizja, ale próbuję sobie wmówić, że to wielkie szczęście móc się stąd wydostać. Kiedy już szczęśliwie wylądujemy w Australii - natychmiast wyślę Ci telegram, w którym podam adres do korespondencji. Proszę Cię, przekaż to wszystko Bidy, bo nie mam już czasu oddzielnie do niej pisać.*

Pierwsze akapity listu były napisane grzecznym, pensjonarskim charakterem pisma Molly. Natomiast im dalej - tym pismo stawało się coraz mniej wyraźne, a ostatni dopisek był już zwyczajnie nabazgrany drżącą ręką.

*Może to wydać się dziwne, ale przez całe życie zadawałam sobie pytanie, na które nie umiałam odpowiedzieć. Kim ja właściwie jestem? Co tu robię i do czego zmierzam? Teraz wydaje mi się, że najbardziej koszmarnie sny, jakie wtedy śniłam, stają się jawą. Szkoda, że nie mogę się z Tobą pożegnać inaczej niż tylko na piśmie. Mam nadzieję, że zajmiesz się Jess, gdyby coś się stało z ojcem i ze mną. Cały czas myślę o Tobie, bo tak bardzo Cię kocham... Napiszę do Ciebie z Australii, moje najdroższe dziecko!*

*Twoja Mama*

To był ostatni list, jaki Judyta otrzymała od swojej matki. Trzy tygodnie później, piętnastego lutego, Japończycy zajęli Singapur. Potem nastąpiła cisza.

*Krażownik „Sutherland”, Poczta Główna w Londynie, poste restante 21 lutego 1942 Kochana Judyto!*

*Obiecałem Ci, że prędzej czy później do Ciebie napiszę. Tymczasem minął już miesiąc, a więc będzie to raczej*

*później niż prędeż. Co prawda, mogłem skrobnąć jaki/s krótką karteczkę, ale nic by to nam nie dało. Liczę więc. Że wybaczysz mi to opóźnienie. Adres, który podałem, jest mylący, bo mój okręt raczej nie zmieściłby się w skrytce pocztowej na Poczcie Główniej. Tkwi natomiast w suchym doku stoczni w Brooklynie, gdzie przeprowadzany jest jego remont. Na szczęście poi i w Nowym Jorku stoi otworem dla naszej marynarki i przyjmują nas tam bardzo serdecznie. Od momentu rozpoczęcia prac remontowych coraz to ktoś wydaje na naszą cześć przyjęcia, gdzie traktują nas jak bohaterów, którymi przecież nie jesteśmy. Na przykład mój pierwszy oficer Jack Curtis i ja zostaliśmy zaproszeni na koktajl w hiszpańskiej willi na obrzeżach Central Parku. Poznaliśmy tam urocze małżeństwo, Elizę i Dave 'a Barmannów, którzy od razu zaprosili nas do domku weekendowego na Long Island. Zawieźli nas tam swoim cadillakiem. Ten ich dom znajduje się o dwie godziny drogi stąd, w miasteczku Leesport, na południowym wybrzeżu Long Island. Jedzie się tam autostradą wśród samych reklam, przydrożnych barów i złomowisk samochodów, ale samo miasteczko leży z dala od szosy i jest bardzo urokliwe. Wygląda tak, jak zawsze wyobrażałem sobie Amerykę na podstawie starych filmów: rozległe pastwiska, ogrodzenia z pali, szerokie ulice, a na centralnym placu drogeria, straż pożarna i drewniane kościółki z wysoką wieżyczką. Tylko patrzeć, kiedy pojawi się dziewczyna w perkalowej sukience, która pod koniec filmu szczęśliwie poślubi chłopca z sąsiedztwa...*

*Dom moich gospodarzy leży nad samą wodą, ale to jeszcze nie ocean, tylko rodzaj laguny odciętej przez Firc Island. Jest tu też mała przystań, z flagą amerykańską! powiewającą na wietrze oraz masą wytwornych jachtów i żaglówek na kotwicy.*

*Tak to mniej więcej wygląda miejsce, w którym w tej chwili przebywam. Na dworze jest chłodno, ale sucho, a powietrze świeże. W domu natomiast panuje ciepło, bo*

*świetnie działa centralne ogrzewanie. W ogóle ten dom irst jasny i przestronny, z woskowanymi parkietami i białymi zasłonkami. Jack i ja mamy oddzielne sypialnie, każda ze swoją łazienką. Jak widzisz, pławimy się tu w luksusie.*

*Gościnność naszych gospodarzy jest aż krępująca, tym bardziej że nie mamy jak się odwdzięczyć. Chyba to typowa cecha Amerykanów, wywodząca się jeszcze z czasów osadnictwa na Dzikim Zachodzie. Taki pionier, kiedy widział .' daleka chmurę kurzu na prerii, wiedział już, że zbliża się ktoś obcy. Wolał wtedy do żony, aby dorzuciła jeszcze parę kartofli do garnka, ale równocześnie na wszelki wypadek szykował strzelbę.*

*Wystarczy już. o mnie, teraz pora, żebym napisał coś o Tobie. Myślę o Tobie codziennie i ciekaw jestem, czy masz jakieś wiadomości od rodziny. Kapitulacja Singapuru była chyba największą klęską w historii Imperium Brytyjskiego, tym bardziej że obrona twierdzy okazała się fatalnie przygotowana i źle dowodzona. Słaba to jednak pociecha. Jedyna nadzieja w tym, że wojna kiedyś się skończy i - jestem pewien - Wasza rodzina znów będzie w komplecie. Najgorsze, że Czerwony Krzyż tam nie dociera - jeńcy wojenni w Niemczech są pod tym względem w lepszej sytuacji. Staram się jednak nie tracić nadziei, zwłaszcza że biedny Gus też tam jest. Mam wyrzuty sumienia, ilekroć myślę, co on przeżywa, podczas gdy ja mam tu komfortowe warunki. Tyle że moje poczucie winy niczego nie zmieni.*

Jeremy odłożył pióro, bo akurat uwagę jego zwrócił mały prom kursujący po wodach laguny. Zapisał już wiele stron, a jeszcze nie doszedł do najważniejszego tematu, który chciał poruszyć. Może nawet podświadomie odsuwał ten moment, gdyż stanowiło to dla niego tak ważną sprawę osobistą, że nie był pewien, czy zdoła znaleźć odpowiednie słowa. Przystępował do tego listu z dużą pewnością siebie,

ale im bardziej zbliżał się do sedna - tym mniej wiedział, jak to ugryźć. Przez chwilę śledził więc trasę promu, do póki nie zniknął w przybrzeżnych zaroślach. Dopiero wic dy wziął ponownie pióro do ręki i wrócił do rozpoczętego listu.

*Niespodziewane spotkanie z Tobą w Londynie było dla mnie darem nieba. Cieszę się, że mogłem być przy Tobą w chwilach, kiedy czułaś się źle zarówno fizycznie, jak i duchowo. To, że spędziłem z Tobą noc, graniczy z CII dem. Nigdy nie zapomnę radości, jaką mi dałaś.*

*Muszę Ci wyznać, że Cię kocham i chyba kochałem już od dawna, tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero kiedy wróciłaś do Nancherrow i usłyszałem z Tve go pokoju melodię „Pan mą radością” - zrozumiałem, czym zawsze dla mnie byłaś.*

*Wiem jednak, i chyba Ty jesteś podobnego zdania, że miłość i wszelkie zobowiązania w czasie wojny nie mają zbyt wielkiego sensu. Wystarczy, że raz pokochałaś Ed warda, a on wkrótce potem zginął. Wątpię, czy ktokolwiek chciałby przeżywać coś takiego po raz drugi. Kiedyś jednak wojna się skończy i jeśli z boską pomocą przeżr jemy i wrócimy do Kornwalii - będziemy próbować jakoś poukładać swoje życie. Wtedy nade wszystko chciałbym być z Tobą, gdyż nie umiem wyobrazić sobie życia be: Ciebie.*

Znów przerwał, odłożył pióro i przeczytał jeszcze raz to wszystko, co dotąd napisał. Miał wątpliwości, czy ostał ni akapit nie wyszedł zbyt patetycznie. Zdawał sobie sprą wę, że nie umie przelewać swoich uczuć na papier w taki sposób, jak Burns czy Browning robili to w wierszach. Cóż, nie był poetą i to, co napisał, musiało wystarczyć. Niemniej jednak ustawicznie opadały go wątpliwości.

Nade wszystko pragnął ożenić się z Judytą, ale czy było to wobec niej uczciwe? Był od niej dużo starszy

i jaką przyszłość mógł jej zapewnić? Czy życie żony wiejskiego lekarza mogło być atrakcyjne dla dziewczyny, która dzięki hojności zmarłej ciotki posiadała własny majątek i dom? Czy ludzie nie będą gadać - a zresztą, czy i ona nie pomyśli - że żeni się z nią dla pieniędzy? Wiedział z własnego doświadczenia, jak wygląda życie lekarza na prowincji - nie kończące się telefony, nocne wezwania, zepsute wakacje i posiłki w biegu. Judyta zasługiwała chyba na coś lepszego. Odpowiedni dla niej byłby mężczyzna, który stworzyłby jej to, czego nigdy nie miała - bezpieczną i stabilną rodzinę - i sam dysponowałby majątkiem. Wyrosła na taką piękną i atrakcyjną kobietę, że aż serce biło mocniej na jej widok, toteż i mężczyźni muszą lgnąć do niej jak muchy do miodu. Czy prośba o rękę w takiej chwili nie jest dowodem egoizmu z jego strony? Sam nie wiedział, jak ma postąpić, ale zaszedł już tak daleko, że musiał to jakoś zakończyć. Nadal bił się z myślami, ale z desperacją sięgnął po pióro i brnął dalej.

*Piszę te słowa nie wiedząc, jakie właściwie żywisz do mnie uczucia. Byliśmy zawsze przyjaciółmi - a przynajmniej tak mi się wydawało - i pragnąłbym, aby tak pozostało nadal. Nie chciałbym więc powiedzieć ani napisać nic takiego, co mogłoby popsuć dobre stosunki między nami. Dlatego na razie poprzestanę na tym wyznaniu miłości. Proszę Cię tylko, napisz do mnie jak najszybciej, abym wiedział, co o mnie myślisz. Kiedy indziej może znajdziesz czas, aby pomyśleć o naszej wspólnej przyszłości. Kocham Cię całym sercem i żywię nadzieję, że nie sprawi Ci to przykrości. Pamiętaj, że chętnie poczekam, aż dojrzejesz do podjęcia decyzji. Napisz tylko do mnie, żeby uspokoić moje skołatane nerwy.*

*Twój na zawsze —*

*J eremy*

Nareszcie skończył list i tym razem na dobre odłożył pióro. Przeczesał włosy palcami i z rozpaczą wpatrywał się w zapisane strony, nad którymi przesiedział całe przedpołudnie. Może niepotrzebnie tracił czas? Może raczej powinien podrzeć ten list i napisać inny, w którym nie żądałby od niej niczego? No, ale skoro już napisał..

- Jeremy!

Był to głos jego gospodyni, która najwidoczniej go szukała. Czuł w duchu wdzięczność dla niej, że przerwała te kłopotliwe rozważania.

- Jeremy!

- Tutaj jestem, w salonie! - Szybko zebrał kartki listu, złożył je i wsunął pod okładkę bloczku.

Przez otwarte drzwi weszła wysoka opalona kobieta z puszystymi włosami o srebrnozłocistym połysku, ułożonymi w elegancką fryzurę. Miała na sobie kostium z cienkiej wełny i koszulową bluzkę w paski, z nakrochmalonym kołnierzykiem i mankietami zapinanymi na złote spinki. Eliza Barmann była typową długonogą Arne rykanką, a kształt jej nóg podkreślały czółenka na wysokich obcasach.

- Chcielibyśmy zabrać cię na lunch do klubu - oznajmiła. - Będziesz gotów za piętnaście minut?

- Ależ oczywiście. - Szybko złożył swoje rzeczy i wstał. - Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno.

- Napisałeś już ten list?

- Prawie.

- Może chcesz, żebyśmy go nadali?

- Dziękuję, ale może jeszcze będę chciał coś dodać. Nadam go, kiedy już wrócę na okręt.

- No, jak uważasz.

- W takim razie pójdę się przebrać.

- To nie jest żadne uroczyste przyjęcie, wystarczy, jeśli nałożysz krawat.

Dave pyta, czy po lunchu nie zagrałbyś w golfa.

- Nie mam ze sobą kijów.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się. - Zawsze możemy pożyczyć. I nie musisz się śpieszyć, chyba że chcesz jeszcze napić się z nami martini.

W ten kwietniowy dzień Judyta została w pracy po godzinach, aby przepisać na maszynie list podyktowany przez kapitana Crombiego. Kiedy w końcu wykręciła z maszyny oryginał wraz z kopiami dla kapitana okrętu "Excellence" i dla komendanta indendentury Marynarki Wojennej - dochodziła już szósta po południu. Dwie dziewczyny, które pracowały w tej samej hali maszyn, dawno już pozbierały swoje rzeczy i odjechały na rowerach do koszar. Trochę jednak potrwało, zanim kapitan ostatecznie zredagował swój komunikat, nie tylko ściśle tajny, ale i pilny, toteż Judyta, acz niechętnie, musiała zostać na dłużej.

Była dziś wyraźnie zmęczona. Na dworze wiosna rozkwitała w najlepsze, powiewał ciepły wiaterek, a widok poruszających się kielichów żonkili w ogródku kapitana nie sprzyjał skupieniu. W południe wyszła na przerwę obiadową, spoglądając po drodze na zielone zbocza Portdown Hill.

Zatrzymała się na chwilę, pragnąc gorąco, aby tam się znaleźć, wchłonąć w nozdrza zapach świeżo skoszonej trawy i obserwować, jak przyroda budzi się do życia. Uświadomiła sobie, że dwadzieścia lat ma się tylko raz, w tym wieku powinno się raczej biegać po górach, rozkoszować świeżym powietrzem i śpiewem ptaków... Zamiast tego miała tylko pół godziny na zjedzenie potrawy z baraniny, po czym musiała wracać do zagraconego baraku pełniącego funkcję prowizorycznej siedziby Departamentu Kadr i Szkolenia.

Uporządkowała przepisane dokumenty, wyjmując kalkę spomiędzy stron. Ostatnią kopię wciągnęła do akt, podczas gdy pozostałe złożyła równo we czworo, wsadziła do teczki i zaniosiła do podpisu.

Musiła przejść z hali maszyn przez główne biuro, gdzie siedzieli porucznik Armstrong i kapitan Burton z piechoty morskiej. Kiedy ich mijala, nawet nie podnieśli głów znad swoich biurka. Nie było to z ich strony le kceważenie, tylko zawodowa obojętność. Po przeciwnej stronie pomieszczenia znajdowały się drzwi z wypisanym na tabliczce skrótem: „DKS”.

Ta mania skrótów była koszmarem trwającej wojny. Kapitan Crombie przez większość czasu pracy próbował zainteresować przełożonych swoim najnowszym wynalazkiem, symulatorem treningowym model 1, znanym po wszechnie pod skrótową nazwą ST-1. Judyta przez ostatnie pół roku wystukiwała na maszynie pisma dotyczące tego diabelskiego urządzenia, więc na własny użytek wymyśliła interpretację skrótu ST-1 jako „straszna tandeta”. Zaraz po Nowym Roku przypadały urodziny kapitana Crombiego. Judyta uznała, że czas najwyższy wnieść w jego monotonne życie nieco humoru. Wymalowała mu więc piękna laurkę i ułożyła wierszyk:

*Model ST-1 to chytra maszyna,  
Nie wiadomo, gdzie się kończy i zaczyna.*

*Chociaż nie ma wzięcia,  
Lecz przy dobrych chęciach*

*Może zeń pociechę mieć nasza kantyna.* Laurka okazała się jednak niewypałem, gdyż kapitan nie miał w tym okresie nastroju do żartów. Martwiło go, że lat mu przybywa, możliwości awansu maleją, a opłaty za naukę syna rosną. Dlatego dwa dni później Judyta znalazła swoje dzieło w koszu na śmieci.

- Wejść! - Tym razem też siedział przy biurku z miną człowieka cierpiącego na wrzód żołądka.

- Proszę, panie kapitanie, tu jest przepisany list. Zaadresowałam też koperty. Gdyby pan kapitan zechciał rzucić na to okiem, mogłabym jeszcze dziś je wysłać.

Kapitan spojrzał na zegarek.



Boże, to już tak późno? Chyba powinnaś już dawno .kończyć pracę?  
- Cóż, jeśli przed siódmą nie wrócę do koszar, nie dostanę już nic do jedzenia.

- No, na pewno nie każę ci głodować! Przynieś mi te koperty, a sam się zajmę ich wysyłką.

Judyta dawno już odkryła, że kapitan był jak ten przysłowiowy pies, co to dużo szczeka, lecz nie gryzie. Toteż nie odczuwała przed nim najmniejszego lęku. Od czasu upadku Singapuru okazywał jej życzliwe zainteresowanie. Na swój zwykły, bezceremonialny sposób wypytywał ją o wiadomości od rodziny, a gdy przez dłuższy czas nie nadchodziły - taktownie przestał o nie pytać. Wkrótce potem, jak cały świat obiegły hiobowe wieści o kapitulacji Singapuru - zaprosił Judytę w niedzielę na lunch do swego domu.

Niezbyt się paliła do tych odwiedzin, ale ujęta okazywaną troską obdarzyła go promiennym uśmiechem, jakby tylko o tym marzyła. Kapitan mieszkał z żoną i synkiem w Fareham, dokąd w niedzielę nie kursowały autobusy. Judyta musiała więc przebyć pięć mil na rowerze. Mało tego, wizyta okazała się jeszcze większym niewypałem niż owa nieszczęsna laurka.

Pani Crombie była bowiem osobą niezmiernie podejrzliwą i zazdrosną, a kapitan nie potrafił prowadzić luźnej rozmowy towarzyskiej. Dla uniknięcia dwuznacznej sytuacji Judyta na każdym kroku zwracała się do niego „panie kapitanie”, a przez większą część wizyty siedziała z jego synkiem na podłodze w salonie, pomagając mu budować wiatrak z klocków. Odetchnęła więc z ulgą, kiedy nadszedł czas, aby się pożegnać i wsiąść z powrotem na rower, choć czekało ją jeszcze pięć mil drogi do koszar. W każdym razie na pewno kapitan miał najlepsze chęci!

Zostawiła go teraz samego, aby w spokoju przeczytał list, a tymczasem wróciła do hali, przykryła maszynę pokrowcem, wzięła zaadresowane koperty oraz swój płaszcz

i kapelusze. Akurat porucznik Armstrong i kapitan Burton również zdecydowali się skończyć pracę na dzisiaj. Po rucznik zapalił papierosa i kiedy Judyta przechodziła obok niego, zaczął ją:

- Wybieramy się na drinka „Pod Koronę i Kotwicę” Może poszłabyś z nami?

Najwyraźniej obaj panowie doszli do wniosku, że od tej chwili mogą zacząć być na luzie.

- Dziękuję, ale nie mam czasu - odmówiła z uśmiechem.

- Szkoda. To może kiedy indziej?

- Z przyjemnością.

Kiedy wróciła do swego przełożonego, starannie złożyła wszystkie kopie listu, wsadziła do odpowiednich kopert, zakleiła je i odłożyła na tacę przeznaczoną dla pism wy chodzących.

- Jeśli to wszystko, to ja już pójdę.

- Dziękuję, Judyto. - Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało. Judyta była pewna, że nie uśmiechał się częściej z powodu swojej oschłej i zazdrosnej żony. Zrobiło jej się go żal, tym bardziej że pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu.

- Nie ma za co, panie kapitanie! - odpowiedziała na kładając płaszcz.

Podczas gdy go zapinała, kapitan zza biurka przyglądał się jej uważnie.

Raptem wyskoczył z zupełnie nieoczekiwanym pytaniem.

- Jak dawno ostatni raz miałeś urlop?

- Chyba na Boże Narodzenie - usiłowała sobie przy pomnieć.

- A więc jesteś przepracowana.

- Czy pan kapitan chciałby się mnie pozbyć?

- Wręcz przeciwnie, ale wyglądasz na zmęczoną.

- To przez długą zimę.

- Może przydałyby ci się małe wiosenne wakacje? Tak żebyś mogła wyskoczyć do swojego domu w Kornwalii. Zastanów się nad tym.

Tak jest, panie kapitanie, pomyślę o tym. Jeśli chcesz, mogę porozmawiać z waszą komendantką.

- Och, niech pan kapitan tego nie robi! - Judyta z przeżeniem potrząsnęła głową. - I tak należy mi się dłuższy wolny weekend. Po prostu wystąpię o niego.

- Myślę, że powinnaś to zrobić. - Wyprostował się i swoim zwykłym, szorstkim tonem dodał: - No, to zmykaj!

- Dobranoc, panie kapitanie. - Uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Dobranoc, Dunbar.

Był już ciepły, wiosenny wieczór, kiedy wyruszyła w drogę powrotną do koszar. Jadąc na rowerze przez miasto rozmyślała, jak by to było dobrze wyskoczyć choć na kilka dni do Kornwalii. Posiedzieć trochę z Bidy, Phyllis i Anią... pokręcić się po domu... oplewić grządki róż... O tej porze należałoby już zakonserwować „chatkę” przed sezonem letnim i rozejrzeć się za nowym ogrodnikiem. Do załatwienia tych wszystkich spraw wystarczyłby jej dłuższy weekend.

Ciekawe, że najbardziej jej brakowało nie tyle kontaktu z rodziną, ile samych listów. W ciągu siedmiu lat zdążyła się przyzwyczaić do przyjemnego oczekiwania na regularnie przychodzące koperty, pełne banalnych nowinek z Singapuru. Teraz, ilekroć wracała do koszar, za każdym razem z goryczą przypominała sobie, że nie ma po co zaglądać do przegródki z literą „D”.

Nie nadchodził również obiecany list od Jeremy'ego. Minęły już dwa miesiące od ich spotkania w Londynie, kiedy zostawił ją śpiącą w łóżku Diany. Obiecał wtedy, że wcześniej czy później napisze - tyle jej jeszcze miał do powiedzenia! Uwierzyła mu, a tymczasem mijały tygodnie i nic się nie działo. Kiedy już przez dłuższy czas nie było żadnego listu, zaczęła podejrzewać, że może Jeremy poszedł z nią do łóżka z tych samych powodów co Edward. W końcu to ona pierwsza prosiła go, aby

z nią został, a że jeszcze do tego była chora i smutna po prostu się nad nią zlitował. Mówił do niej „kochanie” ale ile w tym było rzeczywistego kochania, a ile współ czucia? Obiecał, że napisze, ale tak długo już nie pisał że w końcu przestała się spodziewać listu.

Chwilami nachodziła ją myśl, żeby samej napisać do niego. Ot tak, półzartem, dajmy na to: „Ty kłamczuchu, wystawiłeś mnie do wiatru! Miałeś napisać, a nawet się nie odezwałeś. Już nigdy ci nie uwierzę!” Obawiała się jednak, że może pochopnie napisać za dużo i spłoszyć tym Jeremy'ego, tak jak spłoszyła Edwarda swoją przed wczesną deklaracją dozgonnej miłości.

Zresztą trzeba pamiętać, że wokół szaleje wojna. Nie czas na to, aby wiązać się na stałe, jak by powiedział Edward. I nie czas także na dotrzymywanie obietnic.

Tylko że tym razem nie był to Edward, lecz Jeremy, wzór prawdomówności i uczciwości. Chyba że po prostu zmienił zdanie. Na odległość przemyślał jeszcze raz całą sprawę i poszedł za głosem rozsądku. Upojne chwile przeżyte w Londynie potraktował tylko jako przelotną rozrywkę, dla której nie warto byłoby poświęcać długoletniej przyjaźni.

Judyta próbowała wmówić sobie, że rozumie jego mo tywy, ale naprawdę nic z tego nie rozumiała. Jedno było pewne - czuła się nie tylko zawiedziona, lecz i ugodzona w samo serce.

Te mało optymistyczne rozważania zajęły jej całą drogę powrotną do koszar. Podjechała od tyłu budynku, ustawiła rower w stojaku i skierowała się w stronę wartowni. Dyżurowała tam dzisiaj kwatermistrzyni, tęga niewiasta po trzydziestce, w cywilu przełożona internatu dla chłopców.

- Ach, to ty, Dunbar. Tak długo dziś siedziałaś w pracy ?
- Musiałam, bo miałam pilne listy do napisania.
- Ależ cię przetrzymali! Tymczasem był tu telefon do ciebie. Zostawiłam ci karteczkę w skrzynce na listy.
- Dziękuję, pani porucznik.

Lepiej się pośpiesz, bo pójdziesz spać na głodniaka.

- Tak, oczywiście.

Odnosiła swój powrót i sięgnęła do przegródek na korespondencję. Znalazła tam list od Bidy i kartkę wyrwaną z bloczku, z notatką kwatermistrzyni: „Szer. Dunbar, 16.30 telefon od Loveday Carey-Lewis. Prosi, żeby oddzwonić”.

Czegoż ona może chcieć? Jednak Judyta nie miała teraz czasu do niej dzwonić. Musiała najpierw zjeść kolację, dopóki nie było jeszcze za późno. Przeszła więc prosto do stołówki, gdzie otrzymała plasterek mielonki wołowej ze smażonymi kartoflami i rozgotowaną kapustą. Na deser była porcja gąbczastego biszkoptu z kleksem dżemu śliwkowego na wierzchu, co wydało się nie do przełknięcia. Wołała więc wrócić na swoją kwaterę, gdzie trzymała odłożoną na czarną godzinę torbę jabłek. Wzięła sobie jedno i udała się na poszukiwanie wolnego telefonu. Na klatce schodowej znajdowały się trzy ogólnodostępne automaty, ale zwykle każdy z nich był obleżony przez dziewczęta wyczekujące na schodach i podsłuchujące wszystkie rozmowy. Tego wieczoru jednak Judyta miała szczęście; zapewne z powodu ładnej pogody koszary były puste i mogła bez przeszkód skorzystać z telefonu.

Wykręciła numer Nancherrow, wrzuciła monetę i czekała.

- Tu Nancherrow, słucham! - odezwał się głos po tamtej stronie.

Judyta nacisnęła guzik, żeby moneta mogła wpaść do wnętrza aparatu.

- Kto mówi?

- Athena.

- Cześć, tu Judyta. Podobno Loveday prosiła o telefon.

- Poczekaj, zaraz ją zawołam. - Zrobiła to tak głośno, że Judycie omal nie popękały bębenki. - Już idzie.

- A jak się miewa Klementyna?

- Och, ona jest taka słodka! Dzwonisz z automatu?

- Tak.
  - To porozmawiamy kiedy indziej, bo stracisz kupc forsy. Kiedyś musimy się spotkać. Daję ci Loveday.
  - O, Judyta, jak fajnie, że zadzwoniłaś! Nie mogłam się do ciebie dodzwonić, bo podobno miałaś pilną pracę Będę się streszczać. Słuchaj, przyjeżdżamy z mamą na weekend do Londynu, do naszego domu. Postaraj się ko niecznie odwiedzić nas tam, jeśli będziesz mogła. Przy najmniej spróbuj!
  - Co się stało, że przyjeżdżasz do Londynu? Przecież nie znosisz wielkich miast.
  - Wszystko ci wyjaśnię, tylko muszę się z tobą zobaczyć! - W jej głosie pobrzmiwało podniecenie. - Tyle ci mam do powiedzenia! Załatwisz sobie przepustkę?
  - Spróbuję wystąpić o wolny weekend.
  - Spróbuj koniecznie, bo to sprawa życia i śmierci. Przyjeżdżamy z mamą pociągiem, bo nie starczy benzyny do pocziwego, starego bentleya. Jutro jest czwartek, a ty kiedy będziesz mogła przyjechać?
  - Jeszcze nie wiem, muszę sprawdzić. Najwcześniej w sobotę.
  - Świetnie. W każdym razie ja tam będę, nawet jeśli mama gdzieś wyjdzie. No, to czekam na ciebie.
  - Nie wiem, czy dam radę...
  - Musisz dać radę. Wymyślisz jakąś wymówkę. No wiesz, urlop okolicznościowy z ważnych powodów osobistych, cokolwiek, abyś tylko przyjechała, bo to ważna sprawa.
  - W każdym razie spróbuję.
  - Fajnie. Nie będę mogła się ciebie doczekać... - W tym momencie w telefonie odezwał się przerywany sygnał, więc dodała szybko: - Cześć! - i odłożyła słuchawkę.
- Judyta odłożyła swoją, nie posiadając się ze zdziwienia. Cóż tej Loveday mogło strzelić do głowy? Co ją napadło, żeby nagle wybrać się do Londynu, choć zawsze wybrzydzała na to miasto? Wiedziała jednak, że na razie tego

się nie dowie. Pewne było tylko to, że jutro z samego rana musi się zameldować u pierwszej oficer i jakoś przekonać tę straszną babę, żeby udzieliła jej okolicznościowego urlopu na weekend. W razie gdyby odmówiła, Judyta była zdecydowana prosić o wstawiennictwo kapitana Crombiego. Jego poparcie dodawało jej otuchy.

Pierwsza oficer kobiecej służby pomocniczej okazała się dokładnie tak antypatyczna, jak Judyta przewidywała. Dopiero po dłuższych upokarzających prośbach niechętnie się zgodziła podpisać rozkaz wyjazdu. Judyta wylewnie jej podziękowała i szybko się ulotniła, żeby stara jędrza nie zdążyła zmienić zdania.

Dziewczyna pełniąca służbę w sekretariacie uniosła głowę znad maszyny i spojrzała pytająco na Judytę. Ta mrugnęła porozumiewawczo i dała jej podniesionym kciukiem umowny znak, że wszystko w porządku.

- Masz szczęście - mruknęła koleżanka. - Stara jest dzisiaj w paskudnym humorze. Myślałam, że od razu wyrzuci cię za drzwi.

Judyta mogła już w dobrym nastroju udać się do pracy w Departamencie Kadr i Szkolenia. Tam z własnej inicjatywy zaparzyła kawę kochanemu kapitanowi Crombiemu, aby okazać mu, jak się cieszy, że pracuje u niego, a nie u jakiejś niewyżytej starej panny.

Sobota była pogodnym dniem, nieba nie przesłaniały chmury, toteż Judyta, ledwie wydostała się z ciemnego tunelu stacji Waterloo, zdecydowała się na luksus jazdy taksówką. Po drodze obserwowała, jak Londyn wypiękniał w wiosennym słońcu. Drzewa okryły się świeżą zielenią, wokół lejów po bombach zakorzeniły się pędy wierzbowki, a po powierzchni zbiornika przeciwpożarowego pływała kaczka krzyżówka. Na trawnikach w parku słały się kobierce liliowych krokusów i żółtych żonkili. W górze połyskiwały srebrzyście balony zaporowe, nad budynkami

instytucji rządowych trzepotały flagi, a na twarzach prze chodniów zagościł uśmiech.

Taksówka zatrzymała się przy kamiennym portyku wio dącym do zaułka Cadogan.

- Może być tutaj, kochana? - zapytał kierowca.

- Ależ oczywiście, dziękuję bardzo.

Wzięła swą podręczną walizeczkę i przeszła kawałek drogi brukowanym zaułkiem, gdzie małe domki spoglądały sobie w okna, a w skrzynkach i donicach bujnie krzewiły się kwiaty. Pod którąś ścianą w plamie słonecznej mył się i wygrzewał kot. Gdzie indziej znów ktoś rozwiesił upraną bieliznę na lince rozciągniętej między oknami, co wyglądało zupełnie jak w Porthkerris. Okna mieszkania Diany były otwarte na oścież, aż powiewały w nich fi ranki, a przy żółtych drzwiach frontowych, w drewnianej donicy, kwitły róże wielokwiatowe.

- Loveday! - zawołała Judyta, spoglądając w górę.

- Ach, to ty! Jesteś wspaniała! - W oknie pojawiła się głowa Loveday. - Poczekaj, już schodzę.

- Nie musisz, mam klucz.

Kiedy otworzyła drzwi, Loveday czekała na nią u szczytu schodów.

- Bałam się, że nie dasz rady się stamtąd wyrwać. Dużo musiałaś nakłamać, żeby dostać wolne?

- Wystarczyło się trochę powdzięczyć! - odkrzyknęła Judyta wchodząc po schodach. - No i musiałam jeszcze wysłuchać kazania, że nie uprzedziłam pierwszej oficer zawczasu, że dostarczyłam jej zespołowi dodatkowej pracy, że nie można na mnie polegać i takie tam ple-ple. Nudne jak flaki z olejem.

Tymczasem doszła na górę, postawiła neseser na podłodze, zdjęła kapelusz i dopiero wtedy uściśniły się na powitanie.

- Gdzie jest Diana? - spytała jeszcze.

- Jak to ona, robi zakupy. Jesteśmy umówione za pięć-



naście pierwsza u Ritza, bo Tommy Mortimer zaprasza nas na lunch.

- Chryste, ależ Francja-elegancja! Tylko że nie mam co na siebie włożyć.

- W mundurze wyglądasz wystarczająco szykownie.

- Coś takiego! No, może nie wyrzucą mnie stamtąd, mimo że nie jestem oficerem.

Rozejrzała się wokół, bo ostatni raz przebywała tu w środku zimy. Teraz wszystko się zmieniło, pokoje były pełne słońca, powietrza, a także kwiatów, które Diana przywiozła z Nancherrow.

Judyta opadła na kanapę i z zadowoleniem stwierdziła:

- Jak tu przytulnie! Całkiem jak w domu.

- Faktycznie - przyznała Loveday, wtulając się w olbrzymi fotel. - Nie przepadam za Londynem, ale to mieszkanko jest bardzo miłe.

- Ale jak my się teraz pomieścimy?

- Będziemy we dwie spały na podwójnym łóżku, a mania prześpi się w garderobie.

- To trochę nie w porządku wobec twojej mamy.

- Ona nie ma nic przeciwko temu. Woli pokoik ciasny, ale własny.

Zresztą tam też jest wygodne łóżko.

- Kiedy przyjechałyście?

- We czwartek, pociągiem. To było nawet zabawne, zwłaszcza że Tommy wyjechał po nas samochodem na stację. - Na wspomnienie Tommy'ego Loveday zachichotała. - Masz pojęcie, że odznaczono go medalem za odwagę podczas nalotu? Jest taki skromny, że powiedział o tym tylko nam.

- Za co dostał ten medal?

- Uratował jakąś starą pannę z płonącego domu. Przedarł się przez dym i ogień, dostał się do środka i wyciągnął ją za nogi spod stołu w jadalni!

Judyta zrobiła oczy jak spodki, bo trudno jej było wyobrazić sobie, że taki wymuskany miejski elegancik jak Tommy Mortimer mógł zdobyć się na bohaterski czyn.

- A przynajmniej była mu wdzięczna? - dopytywała się.
- Skąd, jeszcze miała pretensję, że nie uratował także jej kanarka. Takie niewdzięczne babsko!

Roześmiała się, a Judyta przy tym zauważyła, że Love day wygląda dziś ładniej niż zwykle. Miała na sobie elegancką sukienkę z cienkiej wełenki w odcieniu niebieskiego hiacyntu, z krótkimi rękawami i białym pikowym kołnierzykiem. Do tego jedwabne pończochy, czarne czołenka na wysokich obcasach, szminka na ustach, uczerzone rzęsy i dziwny błysk we fiołkowych oczach. Cos tu się jednak nie zgadzało.

- Skróciłaś włosy?
- Tak, bo mama mówiła, że wyglądałam już jak strach na wróble. Zabrała mnie do Antoine'a i straciłam tam masę czasu.
- Ale wyglądasz świetnie.
- Może trochę za krótko ścięte, ale przecież odrosną. Loveday potrząsnęła głową. - W domu nigdy nie miałam czasu się tym zająć. A propos domu, masz pozdrowienia od tatusia, Atheny, Mary i w ogóle od wszystkich, z Nel tlebedami włącznie. Klementyna rozrabia jak pijany zając. Ma ogromny wózek dla lalek i wszędzie się z nim wozi.
- A co słyhać u Ruperta?
- Walczy gdzieś na Saharze Zachodniej, ale wciąż śle stamtąd długie listy do Atheny, więc raczej humor mu dopisuje. - Tu Loveday urwała i uśmiech zniknął z jej twarzy. Po chwili dodała: - Przynajmniej ona otrzymuje jakieś listy. A ty masz wiadomości od swoich?
- Ani znaku życia.
- Tak mi przykro!
- Przepadli jak kamień w wodę. Wiem tylko, że statek, którym płynęła mama i Jess, nigdy nie dotarł do Australii.
- Gdyby się uratowały, pewnie byłyby w niewoli u Ja pończyków.
- Pewnie tak.

A co z twoim ojcem?

Nie wiem nic. Cisza. - Ponownie potrząsnęła głową. Teraz nie było już innego wyjścia, jak tylko zadać ostatnie pytanie: - A co z Gusem? Pewnie też nie masz żadnych wiadomości, bo inaczej chybabyś mi o tym powiedziała.

Przez chwilę Loveday siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę, skubiąc palcami taśmę z obicia fotela. Potem nagle zerwała się na równe nogi i stanęła przy oknie, z twarzą zwróconą na zewnątrz, otoczona aureolą ciemnych loków. Judyta czekała w milczeniu na odpowiedź. W końcu ją usłyszała.

- Gus nie żyje!

Judyta była tak zaszokowana, że przez moment nie wiedziała, co ma powiedzieć. Wreszcie wykrztusiła:

- A więc jednak dostałaś jakieś wiadomości!

- Niczego nie dostałam, ale wiem, że on nie żyje.

- Ależ skąd możesz o tym wiedzieć?

- Po prostu wiem. - Loveday wzruszyła chudymi ramionami, a potem zwróciła się twarzą ku Judycie, opierając się o biało malowany parapet okienny. - Gdyby żył, wiedziałabym o tym. Wtedy, po St. Valéry, wiedziałam. To było tak, jakby ktoś przekazał mi to przez telefon. I rzeczywiście udało mu się wydostać stamtąd. Natomiast od upadku Singapuru dzień po dniu chodziłam do Lidgey i siadałam na płocie tak jak wtedy, zamykałam oczy i intensywnie o nim myślałam. Próbowałam nawiązać z nim telepatyczną łączność, licząc, że otrzymam jakiś sygnał od niego. Tym razem jednak odpowiadała mi tylko ciemność i cisza. To znaczy, że nie ma go już wśród żywych.

- Ależ, Loveday! - wyjąkała z przerażeniem Judyta. - Nie wolno ci tracić nadziei! To tak, jakbyś go zawczasu uśmierciła. Powinnaś przez cały czas myśleć o nim i wierzyć, że wróci.

- Ty to robisz, prawda?

- Po co ta ironia? Owszem, robię to, bo czuję, że powinnam.

- Wierzysz, że twoi rodzice i Jess żyją?
- Muszę w to wierzyć, choćby ze względu na nich To bardzo ważne.
- Jeśli wiem już, że Gus nie żyje, to nic nie jest ważne
- Przestań bez przerwy to powtarzać! Jak możesz móć wić to z taką pewnością? Że raz ci się udało z tą telepali;|. to nie znaczy, że musi się udawać za każdym razem Wtedy Gus był tylko we Francji, a teraz jest na drugim końcu świata.
- Odległość nie ma żadnego znaczenia. - Loveday była uparta jak zawsze. Kiedy się na coś zawzięła, nie miała zamiaru ustąpić. - Przekaz telepatyczny pokonuje tysiące mil w ułamku sekundy. Gdyby żył, wiedziałabym o tym, a teraz wiem, że zginął.
- Och, czy musisz być taka stanowcza?
- Taka jestem i nic na to nie poradzę.
- Więc tylko to miałaś mi do powiedzenia? - nie wytrzymała Judyta. - Dlatego ściągnęłaś mnie tutaj?
- Między innymi tak, ale nie tylko. - Judyta z niepo kojem czekała, z czym Loveday jeszcze wyskoczy. - Wy chodzę za męż.
- Powiedziała to tak obojętnym tonem, jakby przekazy wała jakąś zdawkową informację, więc Judyta sądziła, że się przesłyszała.
- Co takiego?
- Wychodzę za męż.
- Za kogo, na miłość boską?
- Za Waltera.
- Waltera Mudge'a?
- A znasz jakiegoś innego Waltera?
- Wiadomość ta była tak szokująca, że Judytę kompletnie zatkało - jakby dostała kopniaka w splot słoneczny. Kiedy w końcu zdołała złapać oddech, wykrztusiła:
- Co cię napadło, że chcesz wyjść akurat za Waltera. Loveday wzruszyła ramionami.
- Po prostu go lubię. Zresztą zawsze go lubiłam.

Ja też go lubię, ale to za mało, aby spędzić z nim icsztę życia.

- Tylko nie mów, że on pochodzi z niższej sfery albo że to nie wypada, bo zacznę krzyczeć!

- Dobrze wiesz, że nigdy nie powiedziałabym nic podobnego.

- I tak wyjdę za niego, bo chcę.

- Przecież kochasz Gusa! - weszła w jej słowo Judyta.

- Mówię ci, że Gus nie żyje! - wykrzyczała jej w twarz Loveday. - Więc i tak za niego nie wyjdę. A jaki sens czekać na kogoś, kto nigdy nie wróci? Judyta starała się za wszelką cenę zachować zimną krew, gdyż wiedziała, że jeśli da się sprowokować - padnie wiele obraźliwych słów, które nigdy nie powinny zostać wypowiedziane. Zmieniła więc taktykę.

- Ależ zastanów się - zaczęła ostrożnie. - Masz dopiero dziewiętnaście lat. Nawet jeśli Gus rzeczywiście nie żyje, będziesz jeszcze miała tysiące szans trafienia na odpowiedniego mężczyznę. Wiem, że jesteś zżyta z Walterem, bo pracujecie razem i znacie się od małego, ale to nie oznacza, że musicie się od razu pobrać.

- Teraz z nim pracuję, to prawda - przyznała Loveday. - Ale nie wiem, jak długo to potrwa. Dziewczęta w moim wieku mogą już dostać powołanie do służby pomocniczej, a ja oficjalnie nie jestem zarejestrowana w zastępczej służbie rolnej.

- Jak to? Przecież wykonujesz pracę niezbędną dla kraju.

- Mimo to nie chcę ryzykować, że wyślą mnie do fabryki amunicji gdzieś daleko stąd. Przecież wiesz, że za nic nie opuściłabym Nancherrow.

- Czy to znaczy, że chcesz wyjść za Waltera, aby uniknąć powołania do służby? - spytała Judyta, nie mogąc ukryć niedowierzania.

- Przecież ci powiedziałam, że nie zniosłabym wyjazdu

z Nancherrow. Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć najlepiej.

Chybabym zwariowała. A może i umarła.

Dalsza rozmowa w tym duchu przypominała już dialog dziada z obrazem.

- Ale co cię łączy z Walterem Mudge'em? - Judyta jeszcze próbowała perswazji.

- Znowu zaczynasz? - Loveday wzniosła fiołkowe oczy do nieba. -

Zdeklasuję się, prawda? Niewykształcony robotnik rolny to nie partia dla mnie? Nawet jeśli nie mówisz tego głośno, to z pewnością tak myślisz.

- Wcale tak nie myślę.

- Już się nasłuchiłam takich tekstów od Mary Milly way. Jest na mnie taka zła, że prawie się nie odzywa. Cóż z tego, kiedy ja nigdy w ten sposób nie patrzyłam na Waltera ani na jego matkę. Ty też nie traktowałaś tak Phyllis ani Joego Warrena. Walter zawsze był moim przyjacielem. Oboje kochamy konie, jazdę konną i pracę na farmie, przy nim czuję się swobodnie. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Poza tym jest cholernie przystojny i taki męski! Na tych wszystkich dobrze urodzonych kolegów Edwarda nigdy nie mogłam patrzeć. To co, miałam się dzieć i czekać na kolejnego bezmózgiego wymoczka?

Judyta tylko potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, jak można w tak krótkim czasie nagromadzić tyle uprzedzeń.

- No wiesz! Myślałam, że kto jak kto, ale ty zawsze staniesz po mojej stronie.

- Właśnie dlatego, że stoję po twojej stronie, nie mogę spokojnie patrzeć, jak marnujesz sobie życie. Zresztą wcale nie musisz wychodzić za Waltera.

- Owszem, muszę. Spodziewam się dziecka! - Loveday wykrzyczała to tak głośno, jakby rozmawiała z głuchym.

- O rany! - stęknęła Judyta.

- Cóż cię tak dziwi? To chyba normalne, że kobiety zachodzą w ciążę i mają dzieci.

- Kiedy ono ma się urodzić?

- W listopadzie.
- I Walter jest ojcem?
- Oczywiście.
- Ale kiedy... no wiesz...
- Masz na myśli, kiedy zostało poczęte? Już ci mówię. Pod koniec lutego, na stryszku nad stajnią. Brzmi to kiczowato, prawda? Jak z brukowej powieści. Ale tak właśnie było i wcale się tego nie wstydzę.
- Myślałaś wtedy, że Gus już nie wróci?
- Nie tylko myślałam, ale byłam tego pewna. Czułam się wtedy taka samotna i nieszczęśliwa! Akurat robiliśmy coś przy koniach, kiedy nagle się rozplakałam. Opowiedziałam Walterowi o Gusie, a on przytulił mnie i scała-wał łzy z moich oczu. Był taki silny i opiekuńczy, a równocześnie delikatny i miły... Na stryszku pachniało sianem, pod nami konie chrupały obrok... Zniknęły wszelkie zagrożenia, było mi wtedy dobrze jak nigdy... I wcale nie mam zamiaru czuć się winna z tego powodu.
- A czy twoja mama wie o tym?
- Oczywiście. Powiedziała jej, kiedy tylko się upewniłam. I tatusiowi też.
- I co oni na to?
- Byli trochę zdziwieni, ale zachowali się bardzo sympatycznie. Powiedzieli, że jeśli nie chcę, to wcale nie muszę wychodzić za Waltera, bo w Nancherrow jedno dziecko więcej czy mniej nie robi różnicy, a nawet lepiej, że Klementyna będzie miała towarzystwo. Kiedy im powiedziałam, że chcę wyjść za Waltera nie tylko z powodu dziecka - boczyli się trochę, ale przyznali, że to moje życie i tylko ja sama mogę w tej sprawie podjąć decyzję. Zresztą z rodziną Mudge'ów zawsze łączyły ich zażyłe stosunki, a teraz, kiedy już nie ma Edwarda, mogą być pewni, że przynajmniej ja pozostanę na zawsze w pobliżu. Myślę, że to dla nich ważniejsze niż takie głupstwo, jak pochodzenie Waltera. Znając Carey-Lewisów, można było być pewnym, że

tak to właśnie wyglądało. Mieli tak wysoką pozycję społeczną, że mogli się rządzić własnymi prawami. Szczęście swoich dzieci stawiali zawsze na pierwszym miejscu, nie zważając na to, co ludzie powiedzą. W podobnych sytuacjach Diana i Edgar wykazywali nadzwyczajną solidarność. Na pewno i tym razem postarają się robić dobrą minę do złej gry, będą się zachowywać, jakby nic nie zaszło, a z czasem na pewno pokochają wnuczka.

Jakakolwiek dalsza dyskusja nie miała więc sensu. Skoro Diana i pułkownik już udzielili córce rodzicielskiego błogosławieństwa, jedynym rozsądnym wyjściem było po godzić się z faktami. Takie postawienie sprawy przyniosło Judycie ulgę; od tej chwili nie musiała się już kłócić z Loveday, lecz mogła razem z nią rozkoszować się na strojem chwili.

- Zawsze wiedziałam, że masz najlepszych rodziców na świecie - podsumowała krótko. Raptem uśmiechnęła się poprzez napływające do oczu łzy wzruszenia i zerwała się z kanapy. - Przepraszam cię, Loveday, nie miałam prawa być dla ciebie taka surowa.

Loveday równocześnie odeszła od okna i przyjaciółki spotkały się na środku pokoju. Padły sobie w ramiona, tryskając kaskadami śmiechu i obsypując się pocałunkami.

- Byłam po prostu zaskoczona - usprawiedliwiała się jeszcze Judyta. - Zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałam. Na pewno będziecie wspaniałą parą.

- Chciałam koniecznie powiedzieć ci o tym sama, żebyś nie dowiedziała się od kogoś trzeciego.

- A kiedy odbędzie się ślub?

- Przypuszczalnie w przyszłym miesiącu.

- W Rosemullion?

- Oczywiście, a wesele w Nancherrow.

- Jak będziesz ubrana? W atłasową suknię z falbankami i welon po prababci?

- Uchowaj Boże! Pewnie wezmę konfirmacyjną sukien-



kę Atheny. Wprawdzie nie powinnam już iść do ołtarza w dziewiczej bieli, ale trzeba zachować pozory.

A jak będzie z weselem? - Judycie zaczynał się już udzielać nastrój chwili.

- Chcielibyśmy, żeby ślub odbył się rano, a potem zaprosimy gości na lunch. Kiedy się bierze ślub po południu - cały dzień jest rozbity. Mam nadzieję, że przyjedziesz?

- Za nic w świecie nie chciałabym przepuścić takiej okazji. Zawczasu wystaram się o tydzień urlopu. Chyba weźmiesz mnie na druhenę?

- A chciałabyś tego?

- W sukni z morelowej tafty, z bukietem goździków i w atlasowych pantofelkach na szpilkach? Nie, dziękuję, leszcze bym cię zaćmiła!

- Cha, cha, alem się uśmieła!

Teraz były już znowu sobą, jak dawniej.

- Gdzie będziecie mieszkać? - zainteresowała się Judyta.

- W Lidgey jest taki mały domek, w niezbyt dobrym stanie, ale tatuś obiecał, że każe go wyremontować i dorobić łazienkę. Tam są tylko dwa pokoje, ale na razie to nam wystarczy. A Walter ma usunąć z ogródka pokrzywy i stare rupiecie.

- No, to uwijecie sobie przytulne gniazdko. A gdzie spędzicie miesiąc miodowy?

- Jakoś nie pomyśleliśmy o tym.

- Przecież musicie mieć miodowy miesiąc!

- Athena nie miała.

- Przynajmniej moglibyście spędzić gdzieś upojny weekend.

- To może być nawet zabawne. - Loveday spojrzała na zegarek. - Popatrz, już dwunasta! Musimy zacząć szykować się do Ritza, ale najpierw napijmy się czegoś. W lodówce jest gin i sok pomarańczowy.

Przywiozłyśmy je z Nancherrow.

- Uważasz, że powinniśmy jeszcze coś pić? O ile znam Tommy'ego Mortimera, lunch może być obficie zakra piany.

- Tak, ale chcę się napić z tobą. Czuję, że tego nu trzeba. Tak się bałam, że kiedy dowiesz się wszystkiego zrobisz minę obrażonej hrabiny i przestaniesz się do mnie odzywać!

- Czy tak właśnie zachowuje się Mary Millyway? Loveday nie przejmowała się zbytnio Mary.

- Ona? Na pewno niedługo zmięknie. Zresztą musi. bo tylko ona potrafi przerobić confirmacyjną sukienkę Atheny na suknię ślubną. Dobra, idź już i zrób się na bóstwo, a ja tymczasem przygotuję dla nas drinki. Skierowała się w stronę schodów, lecz u ich szczytn zatrzymała się i wyszczerzyła zęby w łobuzerskim uśmiechu, jaki Judyta pamiętała jeszcze z czasów szkolnych.

- Ciekawe, co tam słyhać u Świętej Urszuli? - przy pomniała sobie.

- Gdyby Deirdre Ledingham nas teraz zobaczyła, pew nie zapisałaby nas za złe sprawowanie!

- Chwała Bogu, że mamy to już za sobą. Nie przy puszczałam nigdy, że tak fajnie jest być dorosłą.

Dobry humor Loveday udzielił się i Judycie. Na chwilę przestała myśleć o grozie wojny, a sięgnęła pamięcią do szczęśliwych czasów dzieciństwa, choć dla niej nie trwały one długo. Na razie wystarczyło, że obie były młode i ład ne, słońce świeciło, kwiaty pachniały, Loveday wychodziła za mąż, a Tommy Mortimer stawiał im lunch u Ritza. Najważniejsze zaś było to, że nadal pozostały w przyjaźni.

- Rzeczywiście fajnie - potwierdziła z uśmiechem.

Tommy Mortimer przeszedł samego siebie. W wytwórnej restauracji zarezerwował stolik przy oknie z widokiem na park. Razem z Dianą przybyli na miejsce wcześniej i czekali w hallu, aż dziewczęta dostaną się przez obrotowe drzwi do wnętrza. Potem nastąpiło wylewne przy-

witanie wszystkich ze wszystkimi. Tommy Mortimer był i.ik samo elegancki i szarmancki jak zawsze, natomiast Diana specjalnie na wyjazd do Londynu ubrała się w obcisły czarny kostiumik i fantazyjny kapelusik, kokieteryjnie nasunięty na jedno oko. Nie wstępowała nawet do baru na drinka, tylko od razu skierowali kroki do sali restauracyjnej. Na zarezerwowanym stoliku chłodził się już szampan w srebrnym kubku z lodem.

Lunch udał się nad podziw. Stolik tonął w słońcu, potrawy były wyborne, a wino lało się strumieniami. Diana tryskała energią tym bardziej, że był to jej pierwszy wypad do miasta od wybuchu wojny. Toteż goście przy innych stolikach od razu ją zauważyli, machali do niej rękami i posyłali całusy. O zbliżającym się ślubie Loveday rozprawiała zaś z taką werwą, jakby spotkało ją największe szczęście w życiu i jakby tego właśnie życzyła sobie dla córki.

- Przyjechałyśmy do Londynu, aby zamówić zaproszenia na ślub i skompletować coś w rodzaju wyprawy. Nabiegałyśmy się wczoraj po sklepach, prawda, kochanie?

- A wystarczy wam kartek odzieżowych? - zainteresowała się Judyta, jak zawsze praktyczna.

- Z tym poradziłam sobie bez kłopotu. Zawarłam z Hetty małą transakcję. Podarowałam jej całą stertę używanych rzeczy Atheny w zamian za sześciomiesięczny przydział kartek na odzież. Dziewczyna jest przekonana, że świetnie na tym wyszła.

- Biedna Hetty! - nie wytrzymała Judyta.

- Dlaczego? Jest szczęśliwa, bo w życiu nie miała takiej garderoby. Mało tego, będzie zaproszona na wesele! Mamy zamiar zaprosić także Phyllis, Bidy i Boba.

Judyta, odkąd przebywała z dala od domu, nie orientowała się na bieżąco we wszystkim, toteż zaskoczyło ją, że Diana wymieniła imię wuja Boba.

- Masz na myśli mojego wuja, Boba Somerville'a? - spytała dla pewności.

- Oczywiście. Wiosną wpadł do Dower House na kilkudniowy urlop i Biddy przyprowadziła go do nas na kolację. Od razu przypadli sobie do gustu z Edgarem a zresztą to uroczy człowiek.
- Rzeczywiście, zapomniałam, że Biddy pisała nu o tym. Nie wiem tylko, czy będzie mógł przyjechać.
- Mam nadzieję, że tak, bo brakuje nam atrakcyjnych panów. Zostali prawie sami staruszkowie o laskach.
- Dobrze, powiedz, jak planujesz urządzić wesele. Diana od razu znalazła się w swoim żywiole.
- Chcemy nadać temu formę zabawy ludowej. To będzie przyjemniejsze niż sztywny i oficjalny lunch pod dachem. Wiesz, rozstawimy na dziedzińcu stoły na koźlach, w otoczeniu beczek piwa i wiązek siana...
- A jeśli będzie padało?
- Na pewno nie będzie. Nie ma prawa padać! Tommy uśmiechnął się na taką pewność siebie.
- Ilu gości ma przyjść na tę imprezę? - zapytał.
- Zastanawialiśmy się nad tym już w pociągu, prawda, Loveday? Kościół w Rosemullion pomieści około osiem dziesięciu osób, więc nie może być więcej. Chcemy umaić wewnątrz polnymi kwiatami, a przy każdej ławce ustawić snopy zboża przewiązane białymi wstążkami, żeby to wyglądało na prawdziwe wiejskie wesele. Tommy, co ma oznaczać ta mina?
- Zastanawiam się, jakie pieśni będziemy śpiewać. „Musimy siać, choć grunta nasze marne” czy „Zaszumiały złote łany zbóż”?
- Nie wygłupiaj się, bo to wcale nie jest śmieszne.
- Czy mam włożyć garnitur frakowy, czy sportowe ubranie z tweedu?
- Będziesz mile widziany nawet w portkach przepasa nych powrozem, jeśli ci to sprawi przyjemność.
- Cokolwiek sprawi przyjemność tobie, sprawi i mnie oświadczył Tommy, na co Diana posłała mu całusa i zdecydowała, że czas już zamówić kawę.

Jej beztroski nastrój udzielił się i dziewczętom. Zaraz po lunchu towarzystwo rozeszło się w różne strony. Tommy musiał wracać do swego sklepu na Regent Street, Diana i Loveday wybierały się do Harrodsa, a Judyta sama ruszyła na poszukiwanie prezentu ślubnego dla Loveday i Waltera. Najpierw podjechała autobusem na Sloane Square do sklepu Petera Jonesa, gdzie oglądała rondelki, drewniane łyżki, wycieraczki i lampy stojące. Jednak żadna z tych rzeczy zbyt jej nie podobała, więc zapuściła się w labirynt wąskich uliczek prowadzących na północ od Kings Road. Po niedługim czasie natrafiła na sklep ze starzyzną, przed którym na chodniku stały jakieś meble podejrzanego pochodzenia. Na zakurzonej wystawie leżały srebra stołowe w wybitych aksamitem pudłach, oryginalne w kształcie filiżanki i spodki, ołowiane żołnierzyki, szachy z kości słoniowej, zabytkowe nocniczki, figurki z brązu i wyblakłe pluszowe portiery. Z nadzieją weszła więc do środka, uruchamiając dzwonek przy drzwiach. W sklepie panował półmrok, pachniało kurzem, wilgocią i stęchlizną, a wewnątrz zastawione było topornymi meblami, wiaderkami na węgiel i mosiężnymi gongami. Z zaplecza wyłoniła się starsza pani w fartuchu i cudacznym kapeluszu. Zapaliła niktłe światelko i zapytała, czym może służyć. Kiedy Judyta wyjaśniła, że chodzi o prezent ślubny - dostojna dama rozsiadła się w zapadniętym fotelu, zaciągnęła niedopałkiem papierosa i poradziła nie spieszyć się, lecz dobrze się rozejrzeć. Toteż przez najbliższe piętnaście minut Judyta krążyła po sklepie, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Było to dwanaście płaskich talerzy, w idealnym stanie, bez najmniejszego obtłuczenia, w żywych odcieniach błękitu i czerwieni. Nadawały się zarówno do tego, by z nich jeść, jak też do wyeksponowania na półkach kredensu.

- Wezmę je - zdecydowała.
- Proszę uprzejmie.

Właścicielka sklepu wypluła niedopałek na podłogę przydeptała go obcasem i dźwignęła się z fotela. Pako wanie talerzy zajęło trochę czasu, gdyż trzeba było każdy z osobna zawinać w gazetę, a potem wszystkie wsadzić do kartonowego pudła, co razem ważyło chyba z tonę. Judyta zapłaciła, podniosła ciężką paczkę oburącz przed siebie i wróciła na Kings Road, gdzie złapała taksówkę

Dochodziło już wpół do piątej, lecz Diana i Loveday wróciły dopiero za godzinę, obładowane paczkami. Na rzekały, że bolą je nogi, ale nie straciły przez to ochoty do rozmowy. Zakupy się udały, czas miło przeszedł, ale jakże chętnie napiłyby się herbaty! Wobec tego Judyta postawiła czajnik na gazie, nakryła do podwieczorku i przygotowała gorące grzanki z masłem. Następne pół godziny minęło na prezentacji nowo zakupionych toalet, aż cały pokój był usłany częściami garderoby i opako waniami z bibułki. Kiedy Loveday skończyła się chwalić zakupami, Judyta wyciągnęła z za kanapy swoje pudło i po pchnęła je w jej stronę, mówiąc: „A to mój prezent ślubny dla ciebie”. Oczywiście Loveday natychmiast odpakowała pierwszy talerz i zachwytem nie było końca.

- One są cudowne!

- Więcej nie odpakowuj, bo wszystkie są takie same. Masz ich cały tuzin.

- Wspaniale, nie mogłaś już wymyślić nic lepszego! Oglądałyśmy różne talerze, ale mieli tam tylko takie zwy czajne, białe. Te są naprawdę wyjątkowe! Gdzieś ty je dostała?

Judyta wyjaśniła gdzie, po czym dodała:

- Są strasznie ciężkie. Nie wiem, jak się z nimi zabierzecie.

- To żaden problem. Wynajmiemy bagażowego, zresztą tatuś i tak wyjedzie po nas na stację.

- One są za piękne, żeby z nich jeść - dodała Diana.

- Będę ich używać tylko do ozdoby - zadeklarowała Loveday. - Jeśli tylko wydębnię od kogoś kredens, ustawię

go za szkłem. Od razu w naszym domu zrobi się ładniej. Dziękuję ci, Judyto, kochanie!

Zatem śmiało rzec można, że dzień minął ku zadowoleniu wszystkich. Panie popijały herbatę, pogryzając grzanki, dopóki Diana nie spojrzała na zegarek i nie przypomniała, że czas już szykować się do teatru. Tommy Mortimer załatwił bowiem dla wszystkich bilety na rewię.

W tej powodzi rozrywek trudno było się dziwić, że Judyta dopiero nazajutrz rano znalazła się sam na sam z Dianą. Loveday jeszcze spała, więc razem zjadły w kuchni śniadanie - jajka przywiezione z Nancherrow i świeżo zaparzoną kawę. Miały więc czas, aby poruszyć temat poważniejszy niż ślub Loveday i pomówić o wojennych losach rodziny Dunbarów na Dalekim Wschodzie.

Diana wypytywała o wszystkie szczegóły, czyniła to jednak z takim życzliwym zainteresowaniem, że Judyta mogła mówić o tym bez trudności. Zakończyła na ostatniej informacji, jaką otrzymała - że statek „Radza Sarawaku” nigdy nie dotarł do Australii.

- Myślisz, że został storpedowany?

- Pewnie tak, choć oficjalnie nikt tego nie potwierdził.

- Jakie to straszne. Twoja biedna mamusia! Dobrze, że opowiedziałas mi o tym, bo czasem jest lżej, jeśli ma się z kim porozmawiać. Celowo wczoraj nie poruszałam tego tematu, bo czas i miejsce nie były odpowiednie ku temu. Zresztą chciałam poświęcić ten dzień Loveday. Chyba nie pomyślałaś o mnie, że jestem nieczuła i obojętna? Pamiętaj, że w razie czego masz mnie i Edgara pod ręką. Traktujemy cię jak córkę, więc gdybyś kiedyś nie miała się przed kim wypłakać, to po prostu zadzwoń do nas.

- Wiem, jacy wszyscy jesteście dobrzy.

- Myślę, że mimo wszystko nie trzeba tracić nadziei. Diana z westchnieniem odstawiła swoją kawę i sięgnęła po papierosa. W szlafroku z brzoskwinowego atłasu, nie umalowana, wyglądała jakoś smutno. Judyta czekała tylko, kiedy poruszy temat Gusa, bo jego imię, choć nie wy-

powiedziane, wisiało w powietrzu. Diana jednak nie za czyniała rozmowy, więc Judyta doszła do wniosku, że musi odezwać się pierwsza.

Wymagało to nieco odwagi, gdy niewykluczone, że Diana mogłaby zwierzyć się jej ze swoich wątpliwości co do postępowania Loveday. A wtedy Judyta przeżywałaby konflikt wewnętrzny, nie wiedząc, po czyjej stronie się opowiedzieć.

- Z nadzieją różnie bywa - zaczęła więc ostrożnie. Loveday chyba straciła nadzieję. Jest przekonana, że Gus nie żyje.

- Wiem - przytaknęła Diana. - To straszne, ale co mogę zrobić? Może, skoro jest tak tego pewna, on rze czywiście zginął? Byli tak zżyci ze sobą, że między nimi mogła wytworzyć się jakaś szczególna więź. Miło było patrzeć, jak pojawił się w Nancherrow - nie wiadomo skąd, a wydawało się, że był tam od zawsze. Taki miły, ujmujący chłopak, a przy tym tak utalentowany i zako chany w Loveday! Oni wcale nie kryli się ze swoją miłością.

Umilkła. Judyta liczyła, że Diana powie coś więcej, ale wyglądało na to, że nie ma już nic więcej do dodania. A więc Gus odszedł na zawsze, a Loveday nosiła pod sercem dziecko Waltera i miała za niego wyjść. Za późno już na wszelkie wątpliwości, a tym bardziej na to, żeby zmienić zdanie. Diana i Edgar, jak widać, postanowili za chować kamienną twarz i nikt, nawet Judyta, nie był w stanie rozgryźć, co naprawdę myślą o tym wszystkim.

- Może Loveday ma rację - zaczęła w końcu dyplomatycznie. - Trudno budować całe życie na nadziei. Z drugiej strony jednak, jeśli komuś tylko to pozostało, zwa żywszy, jaka jest alternatywa... Jeremy powiedział mi, żeby nie tracić nadziei, bo to bardzo ważne.

Wypaliła to bez zastanowienia, ale po chwili ugryzła się w język. Za późno, bo Diana od razu chwyciła ją za słowo.

- Widziałaś się z Jeremym? Kiedy?



Nie pamiętam... - Judyta usiłowała wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. - Zdaje mi się, że jeszcze przed upadkiem Singapuru. Był wtedy przejazdem w Londynie.

- Nie widzieliśmy się z nim kopę lat. Co tam u niego słyhać?

- Wszystko w porządku. Dostał już awans na komandora-lekarza.

- Rzeczywiście, jego ojciec wspominał o tym Edgarowi. Zawsze mówiłam, że to zdolny chłopak. Chciałabym wysłać mu zaproszenie na ślub, tylko gdzie on teraz może przebywać?

- Nie mam pojęcia.

- A zostawił ci jakiś adres do korespondencji?

- Tak. Krążownik „Sutherland”, Poczta Główna, poste restante.

- Z tego nic nie wynika. Ta przekłeta wojna rozsypała wszystkich po świecie jak odłamki granatu.

- To fakt, ale co możemy na to poradzić? - westchnęła współczująco Judyta.

- Jaka ty jesteś rozsądna, kochanie! - zachwyciła się Diana. - Oczywiście masz rację. Nalej mi, proszę, jeszcze kawy i zastanówmy się, co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym przedpołudniem. Tommy znów zaprasza nas na lunch, ale gdybyśmy wyciągnęły Loveday z łóżka, można by jeszcze przejść się po parku. Szkoda każdej chwili!

Wieczorem, wracając pociągiem do Portsmouth, Judyta przeżywała jeszcze raz wrażenia minionych dwóch dni. Teraz, gdy była sama, z dala od rozbawionego towarzystwa, zaczęła już inaczej patrzeć na sprawę małżeństwa Loveday i Waltera. Aż nazbyt dobrze знаła nieobliczalny i uparty charakter swej najlepszej przyjaciółki. Wiedziała też, że największym koszmarem byłaby dla niej konieczność opuszczenia Nancherrow. Wizja powołania do służby pomocniczej i odkomenderowania na daleki posterunek wystarczyła, aby wprawić ją w popłoch. Skoro zaś Love-

day była przeświadczona, że Gus już nigdy nie wróci natychmiast zwróciła się ku Walterowi, bo małżeństwo z nim zapewniało pozostanie w Nancherrow. Zakładając, że mówiła prawdę - można było zrozumieć jej motywację Judyta nie miała jednak pewności, czy to Walter uwiódł Loveday na sianie, czy też przypadkiem Loveday z wy rachowania nie uwiodła Waltera.

Dokładnie w dwa tygodnie później Judyta otrzymała oficjalne zaproszenie na ślub Loveday. Od razu je za uważyła, kiedy po pracy wróciła do koszar, gdyż ledwo mieściło się w skrytce pocztowej. Jak widać, Diana nic traciła czasu. Koperta była gruba, z bibułkową podszewką, a zaproszenie - na podwójnie złożonym arkuszu wykwin tnego papieru ze znakiem wodnym. Judyta z miejsca wy obraziła sobie, jak Diana musiała suszyć głowę właści cielowi składu papierniczego, żeby wyszperał takie cudo ze swoich przedwojennych zapasów.

Najwidoczniej przekonała również szefa drukarni akcydensowej, aby szybko zrealizował zamówienie. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania - wypukły druk wykonany techniką miedzioryt niczą zadziwił bogactwem formy i nie pozostawiał wą pliwości, że uroczystość będzie miała należytą oprawę.

*Pułkownik Carey-Lewis z małżonka mają zaszczyt zaprosić Panią Judytę Dunbar na ślub ich córki Loveday z Panem Walterem Mudge'em, który odbędzie się w kościele parafialnym w Rosemullion w sobotę 30 maja 1942, jak również na przyjęcie weselne w Nancherrow.*

Pomiędzy kartkami zaproszenia tkwił jeszcze list od Loveday. Judyta wsadziła elegancki druczek za ramkę lu-

sterka na swojej nocnej szafce i wzięła się do czytania listu.

*Nancherrow 1 1 maja 1942*

*Kochana Judyto!*

*To ładnie z Twojej strony, że przyjechałaś do Londynu. Tak się nam miło gadało! Przesyłam ci zaproszenie -prawda, że eleganckie? Mama jest taka kochana, zawsze chce wszystko robić z rozmachem.*

*W domu mamy istny cyrk na kółkach, bo musimy w krótkim czasie zdążyć ze wszystkimi przygotowaniami. Mama, Mary i pani Nettlebed zrobią to dużo lepiej ode innie, więc na razie pracuję na farmie razem z Walterem, wyjąwszy chwile, kiedy Mary upina na mnie sukienkę. Nawiasem mówiąc, to sukienka leży całkiem nieźle!*

*Kiedy na farmie nie ma chwilowo nic do roboty, próbujemy z Walterem doprowadzić do porządku ogród przy naszym domku. Walter wywiózł stamtąd przyczepą wszystkie stare ramy od łóżek, popsute wózki dzieciinne, dziurawe wiaderka i inne rupiecie. Potem zaorał ten kawałek ziemi i zasadził kartofle. Nazywa to oczyszczaniem terenu i mówi, że po zbiorze kartofli zasieje tam trawę.*

*W tej chwili ekipa remontowa rozbiera naszą chałupkę na części pierwsze. Myślę, że Tatusi musiał użyć swoich wpływów w radzie hrabstwa, bo przecież, teraz zabronione są wszelkie inwestycje budowlane. Założyli już kanalizację, mamy dwa pokoje i coś w rodzaju garderoby, gdzie Walter będzie mógł zostawiać brudne buty i kombinezon. Położyli także nową podłogę i postawili nowy piec. Zaczyna się robić całkiem przytulnie!*

*Mama z tatusiem namęczyli się strasznie przy układaniu listy gości, bo ich liczba musi być ograniczona. Żeby było sprawiedliwie, czterdzieści osób będzie z naszej strony, a czterdzieści ze strony Mudge'ów. Zaprosiliśmy kogo trzeba, poczynając od gubernatora hrabstwa po Biddy, Phyllis,*

*kochanego pana Bainesa, starego doktora Wellsa z żoną i różnych dobrych znajomych. Mudge'owie mają większy kłopot, bo ich rodzina jest bardzo liczna. Oni chyba od pokoleń żenili się tylko między sobą i wszyscy są spo krewnieni ze wszystkimi. Ale przy tym okazało się, że War renowie też są z nimi spowinowaceni, więc będą na wc sełu. Napisałam do Heather, żeby ją też zaprosić, ale ona nie może się wyrwać z tej swojej ściśle tajnej firmy, za nic w świecie nie chciałabym pracować w takim miejscu ona chyba w ogóle nie może mieć życia prywatnego!*

*Wyobraź sobie, że moja przyszła teściowa sprawiła sobie na tę okazję nową sztuczną szczękę! Mało tego, także suknię z błękitnej krepy i dobrany do niej kapelusz! Do sukni to on może pasuje, ale gryzie się z jej nowymi zębami. Do tego chce sobie jeszcze zrobić trwałą ondulację. Mama wierzy święcie, że pogoda nie splata nam figla, więc planuje przyjęcie na dziedzińcu. Tato nie jest tego pewien, więc na wszelki wypadek opracował plan awa ryjny, obejmujący przeniesienie wszystkiego do jadalni w razie deszczu. Pani Nettlebed chciała sama zająć się gotowaniem, ale z tych skąpych przydziałów kartkowych nie da rady, zamówiliśmy więc w Truro gotowe dania z restauracji. Gubernator obiecał nam jeszcze dwa łososie, więc lunch powinien wypaść niezłe. Nie podamy szampana, bo tato przechowuje naszą ostatnią skrzynkę aż do dnia, kiedy wojna się skończy i Rupert wróci do domu. Udało się nam za to zdobyć musujące wino z Afryki Południowej, no i będzie cała beczka piwa!*

*Ojciec Waltera wyznał tatusiowi, że ma zakopaną w ogródku baryłkę czystego spirytusu. Podobno znalazł ją na skałach, kiedy rozbił się tam jakiś statek. Całkiem jak z powieści Daphne du Maurier! Proponował, żeby podać ten spirytus gościom, ale tato uznał to za zbyt ryzykowne. Jakoś przekonał pana Mudge'a, żeby zachował tę baryłkę na lepsze czasy, ale w każdym razie trzeba przyznać, że to bardzo ładnie z jego strony.*

Wydawałoby się, że Nettlebed powinien teraz być w swoim żywiole. Tymczasem jego największym zmartwieniem okazało się to, czy Walter będzie miał co na siebie włożyć. W rzeczy samej Walter chciał wystąpić w swoim ledynym garniturze, który dotąd zakładał tylko na pogrzeby. Wyglądałby w nim jednak trochę dziwnie, bo donasza go po wujku, który miał dłuższe nogi, a pani Mudge nigdy nie miała czasu skrócić tych spodni. W końcu Nettlebed wyciągnął Waltera do gospody i przy piwie przekonał go, żeby powierzył mu inicjatywę. I rzeczywiście, w sobotę zabrał go do Penzance, kupił mu u Medwaya popielaty garnitur i na miejscu dał go dopasować. Do tego dołożył jeszcze kremową koszulę i jedwabny krawat, zapłacił za to wszystko i kazał Walterowi potraktować to jako prezent ślubny. Potem chyba mu na tyle ulżyło, że mógł spokojnie zająć się liczeniem sztucców i wycieraniem kieliszków.

Jeszcze nie podziękowałam Ci należycie za te talerze. Dowieźliśmy je szczęśliwie, a że mam dostać od pani Mudge kredens jeszcze po jej matce - będę mogła ładnie je wyeksponować. Walterowi też się spodobały. Oczywiście dostaliśmy też inne prezenty, jak dwa prześcieradła - jeszcze przewiązane niebieską wstążeczką, chociaż przeleżały się u kogoś w bieliźniarce, powłoczkę na poduszkę zszywaną z kwadratów, wycieraczkę do butów i śliczny srebrny czajniczek.

Mam nadzieję, że tym razem dostaniesz urlop, bo chciałybyśmy, żebyś pomogła Biddy przybrać kościół kwiatami. Trzeba będzie to zrobić w piątek wieczorem, bo polne kwiaty szybko więdną. Biddy już się zgodziła. Kiedy przyjeżdżasz?

Klementyna ma być moją druhną. Oczywiście jest na to o wiele za mała, ale Athena się uparła. Prawda jest taka, że znalazła moją starą dziecięcą sukieneczkę z białego muślinu z różowym przybraniem i koniecznie chce

*pokazać wszystkim swoją córkę w tym stroju. Gdybyś była tu z nami, ubawiłabyś się setnie. Tysiące całusów —*

*Loveday*

*PS. Przyszedł telegram od Jeremy'ego. Życzy nam wicie szczęścia, ale nie będzie mógł przyjechać.*

Następnego dnia Judyta odczekała, aż kapitan Crombie zapozna się z najnowszymi komunikatami i podpisze parę listów, aby zaraz zwrócić się do niego z prośbą:

- Czy pan kapitan nie miałby nic przeciwko temu, abym wzięła teraz urlop?

Oficer podniósł się gwałtownie i zmierzył Judytę ostrym spojrzeniem.

- Co ja słyszę? Naprawdę prosisz o urlop?

Jego ironiczny ton nieco ją speszył, ale nie zrażona tym sprecyzowała swoje żądanie.

- Muszę pojechać na ślub, który odbędzie się trzydzie stego maja.

Kapitan odchylił się i założył ręce za głowę. Judyta tylko czekała, kiedy jeszcze położy nogi na stół jak w amerykańskim filmie.

- Czyj ślub? - spytał.

- Mojej przyjaciółki. Loveday Carey-Lewis - dodała, jakby to mogło wpłynąć na decyzję przełożonego.

- To ma być w Kornwalii?

- Tak.

- Ile ci trzeba tego urlopu?

- Dwa tygodnie.

Dopiero wtedy przestał ironizować i szeroko się uśmiechnął, dzięki czemu Judyta poczuła się znacznie pewniej.

- Osobiście nie mam nic przeciwko temu. Musisz tylko załatwić to z waszą szefową.

- Czy pan kapitan jest tego pewien?

- Najzupełniej. Jasne, że będzie mi brakowało twojej pomocy, ale każę sobie przydzielić inną dziewczynę na

zastępstwo. Zresztą, o ile pamiętasz, sam już od dawna usiłuję cię przekonać, że powinnaś wziąć urlop.

- Przedtem nie miałam ku temu ważnego powodu.

- Ale teraz masz?

- Tak jest.

- No więc spróbuj przyłapać waszą komendantkę. Powiedz jej, że ja już się zgodziłem.

- Dziękuję bardzo, panie kapitanie. - Uśmiechnęła się. - To miłe z pana strony.

Natomiast pani pierwszy oficer bynajmniej nie zamierzała pójść Judyście na rękę.

- Szeregową Dunbar, wy znowu tutaj? Macie zamiar zamieszkać w moim biurze czy co? O co wam tym razem chodzi?

Mimo tego odstręczającego wstępu Judyta bez zająknięcia wyrecytowała swoją prośbę.

- Przecież dopiero co wyjeżdżaliście do Londynu!

- To był tylko krótki weekend, pani porucznik.

- A teraz chcielibyście aż dwa tygodnie?

- Tak jest, pani porucznik.

Pierwszy oficer próbowała dać podkomendnej do zrozumienia, że prosi o coś niestosownego. Przecież szeregową Dunbar chyba wie, jak zapracowana jest w tej chwili cała załoga „Excellent”, w tym także dwie pozostałe kancelistki z Departamentu Kadr i Szkolenia. Trudno więc będzie żądać od nich dodatkowej pracy. Czy szeregowej Dunbar naprawdę potrzebne są w takiej sytuacji aż dwa tygodnie?

Ta przemowa spowodowała, że Judyta poczuła się jak szczur uciekający z tonącego okrętu. Bąknęła tylko nieśmiało coś na temat ślubu.

- Urlop okolicznościowy z powodu czyjegoś ślubu? - Pierwszy oficer wbiła w Judytę przenikliwe spojrzenie paciorkowatych oczu.

- Nie proszę o urlop okolicznościowy, pani porucznik - wyjaśniła Judyta.

- Czy to ślub kogoś z rodziny?

- Nie, ale mojej najlepszej przyjaciółki. Jej rodzice opiekowali się mną, kiedy moi wyjechali za granicę. Wytrzymała niedowierzające spojrzenie komendantki, kto ra podejrzewała, że szeregowca Dunbar zmyśliła całą historię. - Poza tym, pani porucznik, należy mi się urlop Ostatni raz brałam wolne jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Komendantka nachyliła się nad podaniem Judyty, rzucając następane pytanie:

- Czy zwracaliście się w tej sprawie do kapitana Crombiego?

- Pan kapitan powiedział, że wyrazi zgodę, o ile tylko pani porucznik nie będzie miała nic przeciwko temu.

Pani porucznik ostentacyjnie długo zastanawiała się nad odpowiedzią, przygryzając wargę. Judyta potulnie stała przed jej biurkiem, wyobrażając sobie równocześnie, z jaką satysfakcją porwałaby z tego biurka tacę na korespondencję przychodzącą i grzmotnęła nią w ostrzyżoną po męsku głowę tej antypatycznej baby!

- No dobrze - zgodziła się w końcu, acz z westchnieniem, pierwszy oficer.

- Ale myślę, że siedem dni w zupełności wam wystarczy.

- Dziękuję bardzo, pani porucznik! - odpowiedziała szybko Judyta, dodając w duchu „ty stara wiedźmo!”

Skierowała się już ku wyjściu, lecz komendantka zatrzymała ją w pół drogi.

- Dunbar!

- Słucham, pani porucznik?

- Myślę, że powinniście obciąć włosy. Dotykają już kołnierzyka, a to wygląda bardzo nieporządnie.

- Tak jest, pani porucznik.

Kapitan Crombie z oburzeniem przyjął raport Judyty na temat przebiegu tej rozmowy.

- Tylko tydzień? Co ta stara... - W porę ugryzł się w język i zaraz się poprawił: - Co pani pierwszy oficer



o tobie myśli? Niby dlaczego nie miałybyś dostać dwóch tygodni? Muszę z nią porozmawiać.

- Och, niech pan kapitan tego nie robi! - błagała Judyta, przerażona perspektywą niesmacznych scen, jakie niewątpliwie rozegrałyby się w kwaterach oficerskich. - Ona nigdy by mi tego nie darowała!

Pomyślałaby, że to ja pana na nią napuściłam!

- Ależ w ciągu tygodnia ledwo zdążysz obrócić tam i z powrotem!

- Skądże, tydzień to kupa czasu. Wystarczy, jeśli wyjadę we czwartek, a w następny czwartek wrócę. Proszę, niech pan jej nic nie mówi, bo gotowa jeszcze ogłosić alarm i odwołać wszystkie urlopy.

- Tego nawet ona nie jest w stanie zrobić.

- Nie byłabym taka pewna. Już stwierdziła, że mam za długie włosy, i kazała mi je skrócić.

- Sądzę, że twoje włosy są akurat takie, jakie być powinny - nie wytrzymał kapitan. Osobista nuta w jego głosie zaskoczyła Judytę, a i on uznał, że posunął się za daleko, bo pospiesznie zaczął przekładać jakieś papiery na biurku. Potem odchrząknął i dokończył już w innym duchu: - No więc zostawmy to tak, jak jest. Tyle że będziesz musiała maksymalnie wykorzystać każdy dzień.

- Niech się pan kapitan nie martwi. - Odwzajemniła mu się uśmiechem. - Wykorzystam je, na ile się da.

Kiedy drzwi zamknęły się za Judytą, kapitan został sam ze swoimi myślami. Żałował słów, które mu się nieopatrznie wymknęły, lecz wobec tak miłej i ładnej dziewczyny trudno było mu się powstrzymać. Wiedział, że ma ona własny dom w Kornwalii, bo mu o tym opowiedziała. Na chwilę puścił wodze fantazji, próbując sobie wyobrazić, że rzuca pracę, dom, żonę i dziecko, aby podążyć tam za nią. Spacerowaliby razem po klifach, pływali w oceanie, jadali kolacyjki przy świecach w romantycznych małych knajpkach, a zasypiali przy wtórze szumu fal...

Z obłoków ściągnął go przenikliwy dzwonek telefonu Podniósł słuchawkę i warknął:

- Tu Departament Kadr i Szkolenia.

Okazało się, że dzwonił jego przełożony. Marzenia prysły - i chyba nawet lepiej, że tak się stało.

*Dower House, Rosemullion, Kornwalia 31 maja 1942, niedziela  
Drogi Bobie!*

*Wesele, wesele i już po weselu. Nowożeńcy wynajęli na trzy dni pokój w Hotelu Zamkowym w Porthkerris. aby mieć choć namiastkę miodowego miesiąca.*

*Jaka szkoda, że nie mogłeś przyjechać. Nigdy dotąd nie byłam sama na żadnym ślubie, więc czułam się trochę dziwnie. Wszyscy zresztą żalowali, że Cię nie ma wśród nas, a ja odmówiłam modlitwę w Twojej intencji.*

*Tera: zostałam sama, bo Judyta i Phyllis z Anią pojechały na piknik nad zatokę w Nancherrow. Mam więc czas, aby za świeżej pamięci opisać Ci, jak wyglądała ta uroczystość.*

*Judyta przybyła już we czwartek. Pogoda była paskudna, ale wyjechałam po nią samochodem do Penzance. Podróż miała raczej nudną, tym bardziej że w Bristolu musiała się przesiąść na pociąg do Londynu, który od jeźdżał dopiero za dwie godziny. Niepokoiliam się trochę, czekając na nią na peronie, gdyż nie widziałam jej już od miesiący, a tymczasem tyle wydarzyło się okropności! Obawiałam się też, że Judyta może czuć się już u nas obco, a przecież byliśmy zawsze tak zżyte! Jednak nic takiego się nie zdarzyło, a przeraziła mnie tylko jej bladość i chudość, ale to właściwie normalne, zważywszy, co obecnie przeżywa.*

*Na miejscu, w Dower House, Judyta przede wszystkim zrzuciła mundur i przebrała się w wygodne, stare ciuchy -zupełnie jak uczennica na wakacjach. Potem obeszła dom, żeby wszystkiego osobiście doglądnąć. Zastała siedzibę w świetnym stanie, bo Phyllis solidnie się napracowała*

*na jej przyjazd - wyfroterowała podłogi, wyprała firanki, oplewiła grządki, a w sypialni powlekła czystą pościel i ustawiła świeżo ścięte kwiaty.*

*Wieczorem przyszedłam do niej, kiedy już leżała w łóżku. Nagadałyśmy się za wszystkie czasy, głównie o Molly, Brusie i Jess. Ona wciąż żywi nadzieję na ich powrót, ale nie przypuszczam, abyśmy otrzymali jakiś znak życia przed końcem działań wojennych. Potem wspominałyśmy Neda i Edwarda Carey-Lewisa, a przy okazji zagadnęłam ją o sprawy męsko-damskie. Na razie jednak nie chce się w nic takiego angażować - przypuszczam, że jest ostrożna. Kto raz, się sparzy, ten dmucha na zimne! Zaczęłyśmy więc obgadywać Loveday i Waltera.*

*Tak naprawdę to nie byłyśmy zachwycone tym ślubem, ale nie puściłyśmy pary z gęby przed nikim, nawet przed Phyllis. Tak samo Diana i Edgar Carey-Lewisowie trzymają fason i udają, że właśnie o takim zięciu marzyli. Już za to samo należy się im uznanie! W końcu to nie nasza sprawa, ale myślę, że wszyscy wolelibyśmy, żeby Loveday nie spodziewała się dziecka. Judyta zasnęła dopiero o wpół do pierwszej w nocy, po szklance ciepłego mleka i pigułce nasennej. Następnego ranka wyglądała już całkiem inaczej - z jej rysów ustąpiło napięcie, a na policzki wróciły kolory. To chyba nasz dom ma taką moc uzdrawiania! Nazajutrz, w piątek, Judyta pojechała na rowerze do Nancherrow przywitać się ze wszystkimi i obejrzeć przyszły dom Loveday, jeszcze nie wykończony. Pod jej nieobecność przyjechała z wizytą matka Phyllis, której udało się złapać okazję do Rosemullion. Zabrała do siebie małą Anię na cały weekend, dzięki czemu Phyllis mogła się lepiej bawić na weselu bez dzieciaka uczepionego u spódnicy. Przez całe piątkowe popołudnie zbierałyśmy polne kwiaty, a wieczorem przybrałyśmy nimi kościół. Pracowały z nami także Athena, Diana i Mary Millyway, dopóki*

*całkiem się nie ściemniło. Wtedy posprzątałyśmy po sobie i rozeszłyśmy się do domów.*

*W sobotę miał się odbyć ślub i wyobraź sobie, że jak na zamówienie zrobiła się piękna pogoda! Oczywiście Dla na pękała z radości. Po śniadaniu przebrałyśmy się w na sze mocno przechodzone kreacje, których nie będę Ci opi sywać, bo wiem, że Cię to nie interesuje.*

*Wspomnę tylko. Że Judyta nie miała kapelusza, ale znalazłyśmy starą pa namę Lawinii Boscawen, którą nosiła do prac w ogródku. Phyllis przybrała ten kapelusz różową wstążką i Judyta wyglądała naprawdę uroczo.*

*Do kościoła poszłyśmy pieszo i do szczęścia brakowało nam tylko bicia dzwonów. Kościół, umajony girlandami róż jerychońskich i bukietami margerytek, stanowił widok jedyny w swoim rodzaju. Ławki zapelniały się stopniowo, dopóki nie zabrakło miejsc. Panowie w żakietach prezentowali się elegancko, a panie - bardziej strojnie, z bukietami goździków i asparagusu przypiętymi do obfitych biustów. Diana miała szalową toaletę z turkusowego jedwabiu, pułkownik wystąpił we fraku, a Athena w kremowym kostiumie. Mała Klementyna Rycroft stanowczo nie nadawała się jeszcze na drużną, bo już w kruchcie zrzuciła buciki i skarpetki, a przez cały kościół szła drapiąc się po pupci. W końcu wylądowała na kolanach u Mary Millyway.*

*Narzeczeni tworzyli nadspodziewanie efektowną parę. Walter, ze swoją cygańską urodą, był rzeczywiście przystojny, szczególnie gdy się ostrzygł i ogolił. Pierwszy drużba wydawał się nieco prymitywny, ale udało mu się nie zgubić obrączek. Najbardziej zachwycająco wyglądała jednak Loveday w sukience z białego woalu, białych pończochach i baletkach. Nie miała welonu ani żadnej biżuterii, tylko wianek z margerytek na swoich błyszczących czarnych włosach.*

*Ceremonia przebiegła pomyślnie, przed kościołem zrobiono młodym zdjęcia i obsypano ich confetti. Potem no-*

wożeńcy odjechali otwartym bentleyem Diany, który prowadził Nettlebed. Reszta gości wsiadła do dwóch autokarów wynajętych przez Edgara, a tych, którzy się nie zmieścili, zabierały prywatne samochody. Na przykład Hetiv, nieco ograniczona podkuchenna z Nancherrow, wskoczyła do samochodu samego gubernatora hrabstwa. Widać nie jest taka głupia, na jaką wygląda!

Nancherrow przybrało świąteczną szatę. Na maszcie powiewała flaga państwowa, wszędzie pełno było kwiatów, a dziedziniec wyglądał zupełnie inaczej niż normalnie. Pod ścianami piętrzyły się wiązki siana, a wokół gołębnika, przemienionego w maik ubrany kolorowymi wstążkami, trzepotały skrzydłami gołębie. Na dziedzińcu ustawiono stoły przykryte białymi obrusami i zastawione najlepszymi srebrami oraz szkłem. Barek pękał od napojów, a nie zabrakło też dwóch beczek piwa. Wynajęci z restauracji kelnerzy uwijali się jak w ukropie, dopóki każdy nie miał w ręku pełnej szklanki.

Do obiadu zasiedliśmy około wpół do trzeciej. Mimo trudności z zaopatrzeniem udał się wspaniale. Każdy dołożył coś od siebie, tak że znalazł się tam i wędzony łosoś, i pieczony schab, a na deser puddingi z kremem. Siedziałam między adwokatem Judyty, panem Bainesem, a panem Warrenem z Porthkerris i bardzo miło nam się gawędziło. Kiedy posiłek miał się ku końcowi, gubernator wzniósł pierwszy toast. Przyjęto go frenetycznymi oklaskami, choć dały się słyszeć także pojedyncze gwizdy, ale szybko je wyciszono. Walter wygłosił przemówienie całkiem do rzeczy, natomiast pierwszy družba - zupełnie od rzeczy. Potem dalej świetnie się bawiliśmy, a kiedy dochodziła piąta - zorientowaliśmy się, że państwo młodzi zbierają się już do odjazdu. Ustawiliśmy się więc wszyscy przy głównym wejściu, a kiedy się ukazali - Loveday rzuciła swój bukiet w kierunku Judyty, która go zręcznie chwyciła. Potem nowożeńcy wsiedli do bentleya i Nettlebed podwiózł ich do końca wewnętrznej drogi Nancherrow. Tam przesiedli

się do starego samochodu pana Mudge'a i odjechali do Porthkerris. Dobrze, że Nettlebed nie wiozł ich do samego Porthkei ris, bo po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się wypn trochę za dużo. Wstawiony Nettlebed to widok jedxn\ w swoim rodzaju! Próbował zachowywać się tak poważna i dostojnie jak zawsze, tylko że nogi odmawiały mu po słuszeństwa. W którymś momencie zauważyłam, jak w\ wijał walca z Hetty! Mam nadzieję, że z czasem pani Nel tlebed wybaczy mu to wykroczenie.

Tak to mniej więcej wyglądało. Po wszystkim wysko czyłyśmy do domu, żeby wyprowadzić Morag bodaj na krótki spacer, bo biedne psisko przez cały czas siedziało w zamknięciu. Potem wróciłyśmy z Judytą do Nancherrow, bo Carey-Lewisowie zaprosili nas na skromną ro dzinną kolację. Po tym posiłku same pozmywałyśmy, gdy: Nettlebedowie wycofali się już. do łóżek na zasłużony od poczynek.

Przepraszam, że się tak rozpisałam, ale okazja była jedyna w swoim rodzaju. Taka radosna uroczystość w samym środku tej okropnej wojny to niczym przesilenie w trakcie długiej, ostrej zimy. Dzięki temu mogliśmy choć na chwilę zapomnieć o strachu, samotności i tragicznych doniesieniach z frontu - po prostu świetnie się bawiliśmy!

Przy tej okazji myślałam również o przyszłości. Gdyby zdarzyło się najgorsze i Molly, Bruce ani Jess nigdy już do nas nie wrócili - chyba powinniśmy dołożyć wszelkich starań, aby zastąpić Judycie rodziców. Jeszcze w kościele wyobrażałam sobie, że kiedyś będę organizować jej wesele, a Ty doprowadzisz, ją do ołtarza! Na razie pewne jesl tylko jedno - to, że ona nie zechce opuścić swego wspaniałego domu. Może więc, kiedy już. wojna się skończy, a Ty przejdiesz nareszcie w stan spoczynku - kupilibyśmy sobie jakąś posiadłość Misko Rosemullion? Postawilibyśmy domek w ogródku z palmą, a Ty mógłbyś trzymać tam żaglówkę!

*Tak naprawdę to nie chciałabym już wracać do Upper Hickley ani w ogóle do Devon. Z tamtym miejscem wiąże się za dużo wspomnień o Nedzie, a tu zdążyłam już nawiązać nowe przyjaźnie i zacząć nowe życie. Chciałabym pozostać w tych stronach, gdyż tu jakoś łatwiej pogodzić mi się z faktem, że Ned nigdy nie wróci. Mieszkam tu już dwa i pół roku i wcale nie chciałabym stąd wyjeżdżać. Co Ty na to, kochanie? Może byś to przemyślał?*

*Uważaj na siebie!*

*Twoja kochająca Bidy*

## 1945

Okręt wojenny „Adelaide” pełnił funkcję bazy Czwartej i Floty Łodzi Podwodnych stacjonującej w Trincomalee na Cejlonie. Przerobiono go ze statku handlowego, po którym pozostał mu szeroki kadłub i sterówka na rufie. Stałym miejscem jego postoju była Zatoka Smeatona, odnoga morska głęboko wcinająca się pomiędzy dwa zalesione przy lądki. Zakotwiczona w głębokich wodach „Adelaide”, ze swymi rozgrzanymi w słońcu pokładami i przycumowana u boku eskadrą łodzi podwodnych, przypominała maciorę karmiącą prosięta.

Dowódcą okrętu-bazy był komandor rezerwy Spiros, rodem z Afryki Południowej. Baza służyła głównie do celów administracyjnych i dlatego przydzielono tu do prac biurowych dwie kancelistki z kobiecej służby pomocni czej. Codziennie dowożono je promem na pokład „Ade laide”, gdzie w biurze komandora przepisywały na ma szynie rozkazy do załóg łodzi podwodnych, raporty z ich patroli i rozkazy Admiralicji oraz uzupełniały wpisy w książkach opatrzonej klauzulą „Ściśle tajne”. Jedną z tych dziewcząt była Penny Wailes, przeniesiona na Daleki Wschód z Liverpoolu, gdzie pracowała w Kwa terze Głównej Admiralicji. Wolny od pracy czas spędzała przeważnie w towarzystwie młodego kapitana piechoty morskiej, stacjonującego w Obozie 39, kilka mil od Trin comalee. Atrakcyjność tego mężczyzny potęgowało to, że miał do dyspozycji nie tylko jeepa, ale również małą żaglówkę. Prawie w każdy weekend żeglowali nią po błę-



kitnych wodach zatoki, odkrywając trudno dostępne zakątki, gdzie mogli biwakować i kąpać się bez świadków.

Razem z Penny pracowała Judyta Dunbar.

Obie budziły zazdrość innych dziewcząt, które co rano wychodziły do pracy w instytucjach zlokalizowanych na lądzie, takich jak Kwatera Główna Marynarki, biuro kapitana okrętu „Highflyer”, kasa i intendentura. Judyta i Penny wiedziały jednak, że zazdrość koleżanek jest nieuzasadniona, bo ich praca, pozornie atrakcyjna, była wyczerpująca zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Przede wszystkim miały bardzo długi dzień pracy. Marynarze odbywali wachty według rozkładu obowiązującego w strefie tropikalnej, co oznaczało, że ostatnia wachta kończyła się o drugiej po południu. Potem następowała dwugodzinna sjeść w hamaku, na koi lub w innym zacisznym kącie. O czwartej, kiedy już się robiło chłodniej, szli popływać. Natomiast dziewczęta przybywały na pokład okrętu-bazy o wpół do ósmej rano, już po śniadaniu, a do swoich kwater wracały dopiero o wpół do szóstej wieczorem promem, który odwoził oficerów.

Godziny pracy nie dłużyłyby się im tak, gdyby w ciągu dnia mogły dla odświeżenia wziąć prysznic. Nie miały jednak takiej możliwości, gdyż na okręcie było zbyt ciasno, zresztą przebywali na nim głównie mężczyźni. Toteż zanim uporały się z przepisywaniem, powielaniem i wypełnianiem ksiąg meldunków - ich mundury, z rana nieskazitelnie białe, pod wieczór lepiły się od potu.

Problemy natury psychologicznej stwarzał fakt, że były jedynymi kobietami na pokładzie, i to bez konkretnego stopnia służbowego. Ot, ni pies, ni wydra. Nikt od nich nie oczekiwał nawiązywania bliższych stosunków z oficerami - zresztą same by tego nie chciały - natomiast marynarze, choć spragnieni damskiego towarzystwa, nie śmieli się narzucać. Śledzili tylko bacznie, czy któraś z dziewcząt, nazywanych przez nich „oficerskimi kąska-

mi", nie cieszy się szczególnymi względami kadry do wódczej.

Ani Penny, ani Judyta nie miały im tego za złe. W Tnu comalee kobiet było jak na lekarstwo, a po ustaniu działań wojennych w Europie okręty brytyjskiej Marynarki Wojennej masowo zasilły Flotę

Wschodnioindyjską. Tole/ nie było dnia, żeby do portu nie zawitał kolejny krążownik lub niszczyciel, który zarzucał kotwicę i łodziami wysyłał na ląd coraz to nowe transporty spragnionych płci przez ciwnej marynarzy.

A cóż oni mogli mieć do roboty na lądzie? Grać w piłkę, popijać w kantine czy oglądać stare filmy w garni zonowym kinie przerobionym z hangaru? W tym dalekim kraju nie mieli swoich ulubionych uliczek ani knajpek, kin, a przede wszystkim dziewcząt. Europejczyków żyło w tych stronach mało, a tubylcze wioski składały się z kilku chat krytych strzechą z palmowych liści, połączonych błotnistymi polnymi drogami, rozjeżdżonymi kołami wołów ciągniętych przez bawoły. Zresztą i tak do tych wiosek nie mieli wstępu, a w głębi lądu rozciągała się dżungla pełna jadowitych węży, komarów i mrówek.

W porze monsunów sytuacja się pogarszała, gdyż na boiskach do piłki nożnej stała woda, drogami płynęły błotniste rzeki, a po blaszanym dachu kina deszcz bębnił tak, że siedziało się w nim jak we wnętrzu bębna. Nic więc dziwnego, że dla prostego marynarza Trincomalee, gdy tylko straciło urok nowości, nie było niczym atrakcyjnym. Nazywano to miejsce „Scapa Flow w technicolorze”, co wcale nie miało pozytywnego wydźwięku.

Najbardziej jednak brakowało im nie knajp czy kin, lecz dziewczyn.

Nawet gdyby co przystojniejszy, a przede wszystkim odważniejszy marynarz zdołał poderwać którąś z kancelistek - nie bardzo miał gdzie umówić się z nią na randkę. Mógł jej zaoferować jedynie herbaciarnię „Pod Słoniem” należącą do Syngalezów, których wyobrażenia

.. rozrywce sprowadzały się do puszczenia zdartej płyty z wiązką starych angielskich melodii.

Ale i dziewczęta nie miały tu lekkiego życia. Szczególnie drażliwa sytuacja powstała podczas wizyty naczelnego dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych, Lorda Mount-hattena. W tym czasie bawił on akurat w górskiej twierdzy Kandy i przy okazji bytności w Trincomalee postanowił odwiedzić podległą mu jednostkę. Penny i Judyta zdecydowały wtedy, że na czas jego wizyty pozostaną w biurze pod pokładem, zamiast stanąć w szyku wraz z całą załogą. Wiedziały bowiem, że admirał na ich widok może zapomnieć języka w gębie, co spowodowałoby przykry zgrzyt. Komandor Spiros początkowo był przeciwny tej decyzji, kiedy jednak rozważył sprawę z ich punktu widzenia -przyznał im rację. Mało tego, kiedy naczelną dowódca już odjechał - zszedł na dół, aby podziękować dziewczętom za takt. Ucieszyły się tym, lecz bynajmniej nie zdziwiły, gdyż komandor Spiros był powszechnie lubiany.

Pod koniec któregoś z rzędu upalnego dnia na początku sierpnia Judyta i Penny oczekiwały na łódź, która miała je odwieźć na brzeg razem z oficerami. Wraz z nimi czekało także dwóch kapitanów łodzi podwodnych, jeden porucznik i trzech młodych podporuczników w nieskazitelnie czystych mundurach.

Pokłady „Adelaide” parowały, wydzielając nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Ze śródokręcia zwieszały się żurawiki z drabinkami sznurowymi, po których schodzili amatorzy kąpieli morskich. W morzu pluskały się już dwie drużyny graczy w piłkę wodną, rozbryzgując wodę jak dokazujące delfiny.

Judyta marzyła tylko, żeby już znaleźć się w koszarach, zrzucić z siebie przeпоcony mundur i popędzić co tchu do wydzielonej zatoczki, w której się kąpały dziewczęta

ze służby pomocniczej. Z jaką rozkoszą skoczyłaby z pn mostu prosto w chłodną, odświeżającą wodę!

- Co robisz dziś wieczorem? - spytała Penny ziewając

- Chwała Bogu, tym razem nic. Nigdzie nie wychodzę może zajmę się pisaniem listów... A ty?

- Też nic wielkiego. Pewnie pójdziemy z Martinem do Klubu

Oficerskiego. - Martin to był kapitan piechoty morskiej dysponujący

jeepem. - Albo na rybę do chiński^ restauracji. To zależy, ile będzie miał forsy.

Do burty okrętu dobiła tymczasem łódź. W marynarce brytyjskiej łodzi uważano za wizytówkę okrętu, a te na leżące do „Adelaide” były pomalowane świeżą białą farbą, pokłady miały wyszorowane do czysta, a liny przepisowo zwinięte. Także załoga - sternik i trzech marynarzy była chyba specjalnie dobrana. Sami przystojni, musku larni i opaleni na brąz chłopcy, w białych czapkach na suniętych aż po brwi. Na znak dany przez oficera wach towego Penny i Judyta, jako najniższe rangą, pierwsze zeszły po drabince do łodzi. Za nimi postępowali inni oficerowie według szarży, a zamykał pochód kapitan Fic ming, dowódca łodzi podwodnej „Foxfire”. Majtkowie odepchnęli łódź od burty, sternik włączył motorek i ru szyli, nie całkiem po linii prostej, lecz po łuku, pozostawiając za sobą spienioną smugę kilwateru.

Na szczęście zrobiło się już trochę chłodniej. Judyta usiadła na poduszce w rogu kokpitu i nastawiła twarz pod ożywczy powiew wiatru. Dziób łodzi rozbryzgiwał w po wietrze wodę, tworząc mgiełkę, w której kropelkach póź ne popołudniowe słońce odbijało się tęczowo. Czowała na wargach słony smak rozpylonej wody morskiej.

Opłynęli właśnie zalesiony przylądek strzegący wejścia do Zatoki Smeatona. Las zaczynał tu rzednąć, ustępując miejsca skałom, pierzastym palmom i białym piaszczy stym plażom. Linia brzegowa cofała się w tym miejscu, odsłaniając jeden z największych portów świata, w którym cumowała przeważająca część Floty Wschodnioin-

dyjskiej - ciężkie okręty bojowe, krążowniki i niszczyciele. Niedawno dołączył do nich nowo przybyły z Anglii okręt „Antigua”, z białymi płóciennymi daszkami rozpiętymi pod pokładem i flagą łopoczącą na rufie.

Po jakichś pięciu minutach łódź dobiła do mola przy siedzibie Kwatery Głównej. Sternik zmniejszył prędkość i ustawił łódź burką do pomostu, który był długi, betonowy i ukształtowany w formie litery „T”. Zawsze panował przy nim duży ruch - przybijały i odpływały łodzie, ładowano pasażerów bądź towary. Na brzegu, w cieniu palm i masztu z flagą Marynarki Wojennej, mieściły się budynki Kwatery Głównej, działu łączności, administracji i dowództwa kobiecej służby pomocniczej, których białe ściany przypominały kostki cukru. W tle, jak malowana kulisa teatralna, wznosiły się porośnięte dżunglą pasma Gór Słoniowych. Na szczytach wzgórz wystawały sponad gęstwiny drzew dachy trzech nie mniej ważnych budynków. Najwyżej znajdowała się rezydencja komandora Curtice'a, dowódcy okrętu „Highflyer”. Poniżej, na zboczu wzgórza, mieszkał jego kapitan. Trzecim był jasny i przestronny gmach szpitalika dla członkiń kobiecych służb pomocniczych. Każdy z trzech budynków otaczała obszerna weranda, rozległe ogrody i malownicze palmy. Z każdego ogrodu kręta ścieżka wyrębana w dżungli prowadziła na brzeg morski. I'enny Wailes przeleżała kiedyś tydzień w szpitaliku z powodu ostrego nawrotu tropikalnej gorączki. Wróciwszy stamtąd, nie mogła się nachwalić chłodnych morskich powiewów, wyłożonych kafelkami łazienek i troskliwej opieki pielęgniarek i posługaczy. Tym trudniej było jej z powrotem przywyknąć do prymitywnych warunków panujących w koszarach.

Łódź precyzyjnie przybiła do nabrzeża, lekko dotykając jego wyściełanych odboi. Dwóch marynarzy natychmiast wyskoczyło na molo, mocując cumy przy dziobie i rufie do pacholków cumowych. Oficerowie wyszli na brzeg we-

dług rangi, a więc Penny i Judyta opuściły łódź ostatnie Judyta z uśmiechem podziękowała sternikowi, gdyż zd; i żyła go już poznać jako jednego z najsympatyczniejszych członków załogi.

- Cześć, mała. Do zobaczenia jutro! - Skinął jej ręk.i i ponownie uruchomił silnik. Dziewczęta przez chwilę ob serwowały, jak łódź odpływała z powrotem w stronę okrę tu-bazy, po czym ruszyły, aby pokonać piechotą ostatni odcinek drogi dzielącej je od koszar.

Molo było długie, więc nie zdążyły przejść nawet po łowy, gdy usłyszały za sobą tupot nóg po betonie i w o łanie:

- Hej, wy tam, zaczekajcie!

Odwróciły się i ujrzaly kolejną przybijającą do brzegu łódź transportową, z której wysiadła następna partia of i cerów. Judyta nie dostrzegła spośród nich żadnej znajomej] twarzy, więc zrobiła minę nie tylko zdziwioną, lecz i zniecierpliwioną.

- Przepraszam panie... - Zrównał się z nimi kapitan marynarki, w nowym, świeżo wykrochmalonym mundurze i czapce nasuniętej nisko na czoło. - Nie chciałem tak krzy czeć, ale poznałem panią. Panna Judyta Dunbar, prawda?

- Tak - potwierdziła, nadal nie wiedząc, z kim ma do czynienia.

- Tak mi się właśnie wydawało. Jestem Toby Whitaker. Judycie jednak to nazwisko nic nie mówiło, więc tylko

w zakłopotaniu kręciła głową. Kapitan natomiast nie da wał za wygraną.

- Nie pamięta pani? Byłem oficerem łącznikowym pani wujka, komandora Somerville'a. Przed samym wybuchem wojny przyjechałem do państwa domu w Devon, aby doręczyć komandorowi polecenie wyjazdu do Scapa Flow...

Dopiero teraz Judycie rozjaśniło się w głowie. Poru cznik Whitaker był tym oficerem, z którym wówczas siedziała na kamiennych schodkach Upper Bickley, a on palii

papierosa. Sięgając myślą wstecz, zawsze uważała ten dzień za właściwą datę rozpoczęcia wojny.

- Och, przepraszam, oczywiście, że sobie przypominam - zaczęła się gęsto tłumaczyć. - Tylko to było już dawno temu...

- Czy możemy zamienić słówko?

- Ależ proszę bardzo... - W tym momencie przypomniała sobie o obecności Penny. - To jest Penny Wailes, i którą razem pracuję. Wracamy właśnie do koszar.

- Miło mi cię poznać, Penny.

- Witam pana. - Penny jednak miała na głowie ważniejsze sprawy niż poznawanie przypadkowych ludzi. -Przepraszam, może to niegrzecznie z mojej strony, ale będę już lecieć. Muszę się przebrać, bo jestem na dziś wieczór umówiona. - Z marszu dorzuciła jeszcze: - Miło mi było pana poznać. Do jutra, Judyto!

Pomachała im ręką i szybkim krokiem ruszyła naprzód, migając opalonymi nogami w białych tenisówkach.

- Pracujecie razem? - upewnił się Toby Whitaker.

- Tak, w kancelarii dowódcy okrętu „Adelaide”, bazy łodzi podwodnych w Zatoce Smeatona.

- Kto jest tym dowódcą?

- Komandor Spiros.

- Grek?

- Jeśli już, to pochodzi z Afryki Południowej.

- A więc dlatego przywożą was tą samą łodzią co oficerów! Nie mogłem tego rozgryźć.

- I dlatego też wyglądam tak nieświeżo. Cały dzień spędzamy na okręcie, a tam nie ma gdzie się umyć.

- Dla mnie wyglądasz w sam raz jak trzeba.

- Przepraszam, że nie od razu cię poznałam. Widzisz, przepracowałam dwa lata w ośrodku szkolenia artyleryjskiego i teoretycznie powinnam znać prawie wszystkich oficerów, bo każdy musiał przez to przejść.

Problem tylko w tym, że znam ich z twarzy, ale nie z nazwisk. Dawno już tu jesteś?

- Dopiero od dwóch dni.
- Przyplłynęłaś „Antigua”?
- Jako oficer łącznikowy.
- Aha, rozumiem.
- A ty? - dopytywał się już bezceremonialnie, krocząc tuż przy niej.
- Jestem tu prawie od roku. Przeniesiono mnie we wrześniu 1944, po lądowaniu aliantów we Francji. Zgło siłam się wtedy na wyjazd za granicę, ale myślałam, że to będzie właśnie Francja. Tymczasem znalazłam się na transportowcu płynącym przez Ocean Indyjski.
- I jak się podróżowało?
- Całkiem niezłe. Poza kilkoma alarmami z powodu łodzi podwodnych, które zauważono na Kanale Sueskim, nic szczególnego się nie działo. Ten transportowiec został przerobiony z luksusowego przedwojennego transatlanty ku „Królowa Pacyfiku”. A po koszarach w Portsmouth wszystko wydawało mi się luksusem. Zajmowałyśmy we cztery kabinę pierwszej klasy i dostawałyśmy tylko biały chleb. Zjadłam go tyle, że chyba przytyłam parę kilo gramów.
- Nie widać tego po tobie.
- Tu jest tak gorąco, że aż się nie chce jeść. Żywię się głównie sokiem cytrynowym i solą, żeby nie dopuścić do odwodnienia. Na początku nie odważyłyśmy się wy chodzić na dwór bez nakrycia głowy w obawie przed po rażeniem słonecznym. A teraz, popatrz, żadna z nas nie nakłada kapelusza nawet na plażę czy na żaglówki. A wiesz, że wujek Bob Somerville został już kontradmirałem i pracuje w sztabie naczelnego dowódcy sil zbrojnych?
- Tak, wiedziałem o tym. Chciałem go nawet odwiedzić, kiedy przybiliśmy do brzegu w Kolombo, aby nabrać słodkiej wody. Jednak nic z tego nie wyszło, bo nie pozwolono nam wyjść na ląd.
- Jaka szkoda!



- A ty się z nim dotychczas nie widziałaś?
- Nie, bo wujek przebywa w Kolombo niewiele ponad miesiąc. Nie można się do niego dodzwonić, gdyż telefony działają na idiotycznych zasadach - są tu cztery różne centrale i zawsze trafia się nie na tę co trzeba. Natomiast dostałam od niego list utrzymany w bardzo optymistycznym tonie. Pisze, że przydzielono mu luksusową rezydencję i że mogę go odwiedzić, kiedy zechcę. Pewnie więc wybiorę się do niego, gdy tylko dostanę urlop. Ostatni urlop spędziłam w głębi wyspy u państwa Campbellów, którzy mają plantację herbaty w pobliżu Nuwara Eliya. Moi rodzice przyjaźnili się z nimi, kiedy mieszkali w Kolombo.
- A gdzie są teraz twoi rodzice?
- Teraz to nie wiem, bo inwazja japońska zastała ich w Singapurze.
- Przepraszam, nie miałem o tym pojęcia. To naprawdę straszne.
- Tak, bo od tej pory minęło trzy i pół roku.
- I żadnych wiadomości o rodzicach?
- Absolutnie żadnych.
- Ale ty jesteś jakąś krewną Somerville'ow, prawda?
- Tak. Biddy jest moją ciotką, rodzoną siostrą matki. Dlatego mieszkałam wtedy u nich w Devon. - Wtem nagła myśl przyszła jej do głowy, więc dodała: - Na pewno wiesz, że Ned Somerville zginął na samym początku wojny, kiedy zatopiono okręt „Royal Oak”?
- Tak, wiedziałem o tym.
- Wydawałoby się, że to już tak dawno temu.
- Pięć lat to kupa czasu. A co teraz porabia pani Somerville? Ciągle jeszcze mieszka w Devon?
- Nie, przeniosła się do Kornwalii. Mam tam dom i zaprosiłam ją do siebie zaraz po śmierci Neda. A kiedy wstąpiłam do tej służby, ona po prostu tam została i wątpię, czy kiedykolwiek zechce wrócić do Devon.
- A my mieszkamy w pobliżu Chudleigh.
- „My” to znaczy kto?

- Moja żona, dwóch synów i ja.
- Jak to miło mieć aż dwóch synków! Kiedy ich ostatni raz widziałeś?
- Niedawno, jakieś kilka tygodni temu. Przed zaokrętowaniem dostałem kilka dni urlopu.

Tak rozmawiając, doszli do końca mola. Zatrzymali się tam i stanęli naprzeciw siebie.

- Dokąd się teraz wybierasz? - spytała Judyta.
- Do domu komandora Curtice'a. To stary kolega mojego ojca, jeszcze ze Szkoły Morskiej, a potem służyli na jednym okręcie. Dowiedział się, że tu jestem, i zaraz zaprosił mnie do siebie.
- Na którą jesteście umówieni?
- Na wpół do siódmej.
- W takim razie masz dwa wyjścia. Albo pójdziesz tą drogą... - wskazała wąską ścieżkę wijącą się wzdłuż wybrzeża - wtedy będziesz musiał pokonać około setki schodów w górę, prosto pod jego ogród. Jednak mniej się zmęczysz, jeśli pójdziesz szosą.
- A którą ty idziesz?
- Szosą.
- To i ja tak pójdę.

Poszli więc drogą biegnącą przez teren Kwatery Głównej, rozjeżdżoną kołami ciężarówek i pokrytą naniesionym przez nie pyłem. Przegradzał ją mur zabezpieczony od góry drutem kolczastym. Brama w ciągu dnia stała otworem, ale strzegło jej dwóch marynarzy. Na widok Toby'ego Whitakera wartownicy stanęli na baczność i zaszalutowali. Dalej droga wiała się pomiędzy palmami, ale ten jej odcinek był krótki i kończył się następną bramą, która broniła wstępu do koszar kobiecej służby pomocniczej.

Judyta przystanęła i obróciła się ku Toby'emu.

- Tu się pożegnamy, bo ja już dalej nie idę.

Toby z zainteresowaniem zaglądał za bramę, gdzie schodząca w dół ścieżka prowadziła do podłużnego budynku krytego strzechą z palmowych liści. Mieściła się

tam stołówka i sala rekreacyjna dla dziewcząt. Wokół werandy kipiał gąszcz bugenwilli, a prócz tego rosły tu także inne kwitnące drzewa i kwiaty na grządkach.

- Z daleka wygląda to ładnie - stwierdził Toby.

- Rzeczywiście, trochę jak wioska, a trochę jak kemping. W głębi są nasze baraki mieszkalne wychodzące na zatokę. Mamy tam własne kąpielisko.

- Ale pewnie żaden mężczyzna nie może tam wejść?

- Może, jeśli zaprosi go któraś z nas. Z tym że wolno go wprowadzić najwyżej do stołówki na herbatę lub drinka. Do baraków i kąpieliska panowie mają wstęp wzbroniony.

- No i słusznie - przyznał Toby, a po chwili namysłu dodał: - A gdybym zaproponował ci wspólne spędzenie wieczoru? Moglibyśmy na przykład pójść gdzieś na kolację. Sęk w tym, że jestem tu nowy i nie mam pojęcia, dokąd można się wybrać.

- Najwyżej do chińskiej restauracji albo do Klubu Oficerskiego. Innych możliwości właściwie nie ma.

- Więc poszłabyś tam ze mną?

Teraz z kolei Judyta się zawahała. Często obracała się tu w towarzystwie młodych oficerów, z którymi chodziła na kolacyjki, dansingi i pikniki, wspólnie plażowała i pływała na żaglówkach. Byli to jednak starzy znajomi z Portsmouth, co do których mogła być pewna, że ich stosunki wzajemne nie wykrócą poza granice koleżeństwa. Po śmierci Edwarda i nagłym zniknięciu Jeremy'ego wystrzegła się wszelkiego zaangażowania uczuciowego, choć w Trincomalee było to mocno utrudnione z powodu przewagi liczebnej przystojnych panów spragnionych damskiego towarzystwa.

Z drugiej strony Toby Whitaker kojarzył się jej z przeszłością, rodziną Somerville'ow i ich domem w Devon. Miło byłoby powspominać z nim dawne, dobre czasy, porozmawiać o wuju Bobie, ciotce Bidy i Nedzie. Poza tym był żonaty. Co prawda, Judyta wiedziała z doświad-

czenia, że w tych nienaturalnych warunkach ten fakt nu odgrywał zbyt wielkiej roli. Gorące księżycowe noce pod palmami pobudzały męskie żądze tak samo jak miesiące wymuszonego celibatu, a pod wpływem nastroju chwil i szybko zapominało się o żonie i dzieciach na drugim koncu świata. Nieraz już z trudem znajdowała wyjście z po dobnie kłopotliwych sytuacji i wołała, aby to się nie po wtórzyło.

Milczenie przedłużało się, gdyż Toby czekał na jej odpowiedź.

Tymczasem Judyta wciąż rozważała rozmaile za i przeciw. Nie był specjalnie przystojny, ale też nie wyglądał na podrywacza. Raczej na statecznego ojca ro dziny, który przypuszczalnie będzie przez cały czas opo wiadał o swoich dzieciach lub - co gorsza - chwalił się ich zdjęciami. Wydawał się nieszkodliwy, a poza tym Ju dyta obawiała się go urazić bezpośrednią odmową.

- Dziękuję, z przyjemnością - odpowiedziała w końcu.

- No to świetnie.

- Z tym że zamiast na kolację może lepiej chodźmy gdzieś popływać. Na przykład w sobotę, bo wszystkie so boty mam wolne.

- Wyśmienicie, ale podpowiedz mi, dokąd możemy się wybrać, bo jeszcze się tu nie orientuję.

- Najlepszym miejscem będzie schronisko YMCA.

- No wiesz! - wyraźnie się zachnął.

- Nie bój się, to nie jest takie typowe schronisko, raczej mały hotelik. I nie mają tam tylko broszur religijnych i stołów do ping-ponga. Wręcz przeciwnie, można nawel dostać drinka.

- A gdzie to jest?

- Z drugiej strony Fortu Frederick. Mają tam własną plażę ze wspaniałym kąpieliskiem, a mężczyźni mogą z niej korzystać tylko, gdy są wprowadzeni przez kobietę. Nigdy więc nie ma tam tłumu, a kierowniczką tego ośrodka jest urocza osoba, pani Todd-Harper. Nazywamy ją Toddy.

- Czy mogłabyś powiedzieć mi o niej coś więcej?
- Teraz nie, bo to długa historia. Zostawmy to na sobotę. - W razie gdyby w sobotę rozmowa się nie kleiła, Toddy mogła dostarczyć do niej tematu.
- Jak się tam dostaniemy?
- W tamtą stronę ciężarówka kursują tam i z powrotem jak autobusy.
- No to gdzie się spotkamy?
- Tutaj, przy bramie, dajmy na to o wpół do dwunastej.
- Wspaniale!

Judyta odprowadzała przez chwilę wzrokiem Toby'ego, kiedy ruszył w dalszą drogę na szczyt wzgórza, w butach brązowych od pyłu. Odetchnęła z ulgą, że się go wreszcie pozbyła, zastanawiając się tylko, w co się tym razem wpakowała. Zdecydowała się wreszcie przejść przez bramę i wartownię, gdzie tego dnia nie było dla niej żadnych listów. W stołówce syngalescy posługacze serwowali już wczesną kolację dla udających się na nocną wachtę. Judyta nalała sobie tylko szklanekę soku cytrynowego, wypłała go do dna i wyszła na taras, gdzie dwie dziewczyny flirtowały ze swymi chłopakami, rozpartymi na wyplatanych fotelach. Z tarasu wybetonowany chodnik prowadził do baraków mieszkalnych i sanitariatów, chaotycznie rozrzuconych wśród drzew, które pozostawiono dla cienia, kiedy wykarczowo połąć dżungli pod założenie tego obozowiska.

O tej porze panował w nim duży ruch, gdyż dziewczęta zatrudnione na ładzie kończyły pracę już o czwartej po południu. Miały więc dużo wolnego czasu, aby pograć w tenisa lub popływać. Od strony sanitariatów przemykały półnagie postacie, nie mające na sobie nic oprócz ręcznika i sandałków. Inne dziewczęta, tylko w kostiumach kąpielowych, rozwieszały na sznurach upraną bieliznę. Niektóre zaś zdążyły się już przebrać w długie spodnie i koszule z rękawami, co stanowiło obowiązkowy ubiór w godzinach wieczornych, zabezpieczający przed komarami malarycznymi.

W tym klimacie, oprócz malarii, czyhały także inne niebezpieczeństwa. W obawie przed epidemią tyfusu wszystkie dziewczęta musiały się poddać bolesnym szczepieniom, powodującym przykre skutki uboczne. Ochotni czki świeżo przybyłe z Anglii, zanim nie przyzwyczyły się do upałów, cierpiały najczęściej z powodu oparzeń słonecznych i niedyspozycji żołądkowych. Nękała je także tropikalna gorączka podobna do grypy. Na wiecznie spoconej skórze łatwo wyskakiwały potówki i pęcherze, a zwykłe ukąszenie komara czy mrówki mogło wywołać groźne zakażenie, jeśli nie zostało natychmiast przemyte dettolem. Toteż butelka tego płynu należała do obowiązkowego wyposażenia dziewcząt. Zmywano nim także sa nitariaty, co wieczór dezynfekowane karbolem.

Pod dłuższymi ścianami baraków stało po dwanaście łóżek, co przypominało sypialnię w internacie, tylko jeszcze bardziej prymitywną. Do każdego łóżka przypisana była szafka nocna i krzeselko, a funkcję szaf pełniły drewniane wieszaki. Posadzka była z betonu, a pod sufitem z palmowych liści obracały się drewniane śmigła wentylatorów, stwarzające przynajmniej pozory klimatyzacji. Nad każdym łóżkiem zwieszał się dzwon moskitiery.

O tej porze dziewczęta wynajdywały sobie rozmaite zajęcia. Któraś, owinięta tylko w ręcznik kąpielowy, siedziała na łóżku, trzymając przenośną maszynę i wystukując na niej list do domu. Inne czytały książki, prze glądały przychodzącą korespondencję, czyściły buty lub robiły sobie manicure. Jakaś dwójka zajęta była plotkowaniem, chichocząc nad plikiem zdjęć. Któraś wreszcie nakręcała sobie włosy na papiloty, słuchając przy tym zdartej płyty z nagraniem Binga Crosby'ego. Wśród trzasków i zgrzytów igły gramofonu ledwo było słyszeć słowa piosenki:

*Zmierzch zapada purpurowy, Wkrótce wszystkich zmorzy sen...* Judyta podeszła do swego łóżka, które przez prawie

rok było dla niej namiastką domu. Odłożyła torebkę, zrzuciła z siebie przeпоcony mundur i owiązała się wpół ręcznikiem. Opadła na łóżko, zakładając ręce pod głowę i śledząc ruchy śmigów wentylatora pod sufitem. Przemineło już tyle dni, a ona nawet nie pomyślała

o Kornwalii ani o Devon, Dower House ani Nancherrow. Może dlatego, że ostatnio nie miała czasu na rozmyślenia, a także wiedziała już, że wzbudzanie w sobie tęsknoty do niczego nie prowadzi. Dawne czasy i dawni znajomi należeli jakby do innego świata. W tej chwili koncentrowała się głównie na swojej pracy, a na wspomnienia nie mogła sobie pozwolić choćby dlatego, że nigdy nie była sama, a ludzie, którzy ją otaczali, nie zawsze byli życzliwi i współczujący.

Z kolei piosenka „Purpurowy zmierzch” nieodłącznie kojarzyła się jej z Nancherrow, gdyż latem 1939 roku Athena przywiozła tę płytę z Londynu i bez przerwy puszczała ją na radiogramofonie.

*...Chciałbym w ciszy twej alkowy  
W swych ramionach tulić cię!*

Przy okazji wspomnień z Nancherrow przywołała na pamięć malowniczą grupę, którą zawsze wyobrażała sobie jako temat obrazu „W oczekiwaniu na lunch. Nancherrow, 1939”. Oczami duszy zobaczyła błękitne niebo tamtego dnia, taflę morza, frędzle na parasolu ogrodowym poruszane lekkim wietrzykiem i cień rzucany przez ten parasol na zieloną trawę. Wokół niego na leżakach i kocach rozsiedli się młodzi ludzie, wtedy jeszcze pogrążeni w słodkim nieróbstwie, ale już świadomi nieuchronnej wojny. Nikt wówczas nie miał pojęcia, jakich spustoszeń ten kataklizm dokona w ich życiu i jak rozrzuci ich w różne strony aż po krańce świata. Judyta spróbowała w swojej wyobraźni dokonać przeglądu dalszych losów każdej z tych postaci.

Zacznijmy od Edwarda, uwielbianego przez wszystkich złotego młodzieńca. Zginął zestrzelony podczas bitwy

o Anglię i nie wróci już więcej do Nancherrow, aby wylegiwać się na trawie w słońcu!

Athena pracowicie plotła wówczas wianek ze stokrotek Miała błyszczące w słońcu złote włosy i ozłocone tym że słońcem nagie ramiona. Wtedy nie była nawet zawężona z Rupertem. Teraz ma już dwadzieścia osiem lat. a jej pięcioletnia córeczka Klementyna prawie nie widzia ła ojca.

Rupert leżał wyciągnięty na leżaku, ze sterczącymi ko ścistymi kolanami... Typowy oficer gwardii, wysoki, ży lasty, cedzący słowa...

Szalenie pewny siebie, ale szczerzy

i prostolinijny, bez cienia fałszu. Przeżył całą kampanię północnoafrykańską, przeszedł szlak bojowy przez Sycylię do Europy i wydawało się już, że ma szczęście, gdy pod sam koniec wojny został ciężko ranny przy forsowaniu Renu. Diana potem powiadomiła Judytę, że w szpitalu wojskowym amputowano mu prawą nogę. Oczywiście zmartwiła się tym, ale przede wszystkim dziękowała Bogu, że w ogóle uszedł z życiem.

Gus Callender - czarniawy, małomówny Szkot - przy jaciel Edwarda, student inżynierii, artysta i żołnierz, który na krótko pojawił się w ich życiu po to tylko, żeby wkrótce rozplynać się w masakrze Singapuru.

Loveday utrzymywała, że Gus na pewno nie żyje, a ponieważ równocześnie nosiła pod sercem dziecko Waltera Mudge'a - nikt nie kwestionował jej przekonania. Zwłaszcza że zgodnie z dotychczasowymi doświadczeniami, gdyby Gus żył, ona byłaby pierwszą osobą, która by o tym wiedziała. Poza tym Diana i Edgar na pierwszym miejscu stawiali jej szczęście i dobre samopoczucie, no i najchętniej zatrzymaliby ją przy sobie na zawsze. Toteż śmierć Gusa została jakby zadekretowana. Jedna Judyta nie wierzyła w nią do końca, ale po ślubie Loveday nie było sensu nadal podsycać wątlej iskierki nadziei. Kości zostały rzucone. Loveday była teraz żoną kornwalijskiego farmera i matką Nataniela, największego, najsilniejszego i najbardziej



krzykliwego dziecka, jakie Judyta w życiu widziała. Imienia Gusa nikt już nie wymieniał - po prostu przepadł na zawsze.

Ostatnim z tej grupy był Jeremy Wells. Od czasu do czasu wiadomości o nim docierały do Judyty. Wiedziała, że wyszedł cało z walk o Atlantyk i został przeniesiony na Morze Śródziemne. Dowiadywała się o tym jednak tylko z drugiej ręki, bo sama nie otrzymała od niego ani jednego listu. Po nocy spędzonej z nią w londyńskim mieszkaniu Diany po prostu znikł z jej życia. Wmawiała sobie, że widocznie tak miało być, ale nieraz tęskniła za widokiem poczciwej twarzy Jeremy'ego i jego krzepiącą bliskością, pragnęła z nim porozmawiać. Niewykluczone, że któregoś dnia pojawi się tu, w Trincomalee, jako lekarz na którymś z okrętów bojowych. Ciekawe, co mieliby sobie do powiedzenia po tylu latach ciszy? Mógłby z tego wyniknąć co najwyżej niemiły zgrzyt. Czas uleczył ranę, jaką jej zadał, lecz to przykre przeżycie nauczyło ją ostrożności. Kto raz się sparzy, ten dmucha na zimne. A czy ma sens wzajemne oskarżanie się, rozdrapywanie starych ran?

Rozmyślenia jej przerwał podniesiony głos:

- Czy jest tu Judyta Dunbar?

Dopiero teraz się zorientowała, że tym czasem słońce zaszło, a niebo nad uchylonymi okienkami w dachu z palmowych liści przybrało kolor ciemnoszafirowy. Przez cały barak szła w stronę jej łóżka dziewczyna w długich spodniach i koszuli khaki, o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach i w okularach w rogowej oprawce. Judyta rozpoznała w niej starszą szeregową Anne Dawkins, pracującą w kasie.

- Tu jestem! - odezwała się, nie zadając sobie trudu, aby podciągnąć ręcznik powyżej nagich piersi.

- Przepraszam, że tak wpadam - zaczęła Anne ostrym akcentem londyńskich przedmieść - ale właśnie przeglądałam pocztę i zauważyłam, że przez pomyłkę wzięłam

list adresowany do ciebie. Musiał się zaplątać między moimi. Pomyślałam sobie, że najlepiej od razu ci go przyniosę. Wręczyła Judyście grubą kopertę zaadresowaną pismem Loveday. Cóż za dziwny zbieg okoliczności! Najpierw Toby Whitaker przywołał wspomnienia z przeszłości, po tern dołożyła się do tego piosenka „Purpurowy zmierzch” a teraz jeszcze list od Loveday, która przecież nie znosiła pisać. Judyta modliła się tylko, aby nie oznaczało to jakiejś złej wiadomości.

Anne Dawkins wciąż przestępowała z nogi na nogę. tłumacząc się gęsto:  
- Tak jakoś głupio wyszło. Musiałam myśleć o niebieskich migdałach...  
- To naprawdę nie ma znaczenia - przerwała jej wy wody Judyta. -  
Dziękuję, żeś mi go przyniosła.

Koleżanka wyszła, a Judyta odczekała, kiedy zniknie z pola widzenia, po czym ułożyła sobie wysoko poduszki i oparła się o nie. Rozcięła paznokciem kopertę i wyjęła z niej plik złożonych kartek papieru poczty lotniczej. Wo kół jej twarzy latały małe muszki, więc odpędzając je wiszącym końcem moskitiery, zabrała się do czytania.

*Lidgey, Rosemullion 22 lipca 1945*

*Kochana Judyto!*

*Nie przeraż się tym listem ode mnie. Pewnie od razu pomyślisz, że coś się stało, ale nie bój się - nie przesyłam Ci żadnych złych wiadomości. Po prostu byliśmy akurat z Natem na podwieczorku w Dower House, a tam tak pusto bez Ciebie, że od razu zatęskniłam za Tobą i postanowiłam do Ciebie napisać. Walter poszedł z kumplami na piwo, a Nat, chwalić Boga, śpi. Zasnął przy mnie rui kanapie w kuchni, bo gdybym chciała siłą kłaść go do łóżeczka, narobiłby wrzasku. A tak zwykle przenoszę go tam, kiedy już zaśnie, choć jest strasznie ciężki.*

*Ma już dwa i pół roku, czarne włosy, czarne oczy, jest*

niezwykle wyrosnięty i tryska energią. Bez względu na pogodę lubi bawić się tylko na dworze, a najchętniej asystowałby ojcu w czasie jazdy ciągnikiem. Walter sadza go zwykle między kolanami i dalej robi swoje, przy czym Nat często zasypia. Tylko w Nancherrow zachowuje się jak należy, bo tatuś trochę go onieśmiela, no i Mary Millyway pilnuje, żeby nie uciekał na dwór.

Podczas podwieczorku Biddy zwierzyła mi się, że Twój wujek Bob został przeniesiony do Kolombo. To zabawne, że oboje razem się tam znaleźliście! No, może nie takie zabawne, bo pewnie chodzi o to, że po zakończeniu działań wojennych w Europie całą siłę naszej floty kieruje się na wschód. Ciekawe, czy już widziałaś się z wujkiem? Pewnie nie, bo zobaczyłam na mapie, że Kolombo leży dokładnie po przeciwnej stronie wyspy niż Trincomalee.

A może Jeremy Wells też do Was dołączył? Ostatnio przebywał z Siódmą Flotą na Gibraltarze. Tyle razy przepłynął Atlantyk w tę i z powrotem, że należy mu się trochę śródziemnomorskiego słońca.

A oto wiadomości z Nancherrow. Tak tu teraz, pusto i smutno, bo dwa miesiące temu Athena spakowała ma-natki, zabrała Klementynę i wyjechała do Gloucestershire, gdzie teraz mieszka Rupert. Pewnie słyszałaś, że został ciężko ranny w Niemczech przy przekraczaniu Renu i stracił prawą nogę. Co za pech, żeby przebyć całą Saliarę Zachodnią od Al-Alamajn po Trypolis i Sycylię bez. jednego draśnięcia, a pod sam koniec wojny tak fatalnie oberwać! Oczywiście wrócił do kraju, przeleżał masę czasu w szpitalu, a potem w jakimś ośrodku rehabilitacyjnym, gdzie uczył się chodzić z protezą. Athena zostawiła wtedy Klementynę z. mamą i Mary, a sama z. atrz, ymała się w pobliżu szpitala, aby móc być cały cz, as przy nim.

Jako inwalida nie miał już po co wracać do pułku, został więc zdemobilizowany i mieszka teraz z Atheną w małym dworku na terenie posiadłości swojego ojca. Uczy się zarządzać tym majątkiem na wypadek, gdyby pa-

*pcio wyciągnął nogi. Przykro było nam żegnać się z Altaną i Klementyną, ale widzieliśmy, że wyjeżdża tam chętna i tak się cieszy, że Rupert w ogóle żyje. Dzwoniła do nas parę razy i mówiła, że tam jest bardzo ładnie, a domem już się zajmie, żeby wyglądał jak trzeba. Tyle że tera może to być trochę trudne, bo wciąż wszystko jest na kartki - nawet zasłony, kołdry czy prześcieradła!*

*Nat z jednej strony tęskni za Klementyną, ale z drugiej/ się cieszy, bo nareszcie będzie miał do swojej wyłącznej dyspozycji wszystkie zabawki w Nancherrow. Dotychczas Klementyna nie bardzo chciała się z nim dzielić, a kiedy nalegał, potrafiła zdzielić go po głowie lalką lub samo chodzikiem.*

*Wszyscy z ulgą przyjęliśmy koniec wojny, ale w życiu codziennym niewiele się zmieniło. Nadal paliwo jest ra cjonowane, a w sklepach nic nie można dostać. Dobrze, że mieszkamy na wsi, to przynajmniej możemy od czasu do czasu zarznąć kure, ustrzelić bażanta lub gołębia alba złowić rybę. Mamy też jajka i żywimy się prawie wyłącznie nimi - do kompletu dokupiliśmy nawet dwa tuziny białych leghornów.*

*Nettlebed nie ma już sił zajmować się ogrodem warzywnym, więc jedno z pól na dole w Lidzey przekształciliśmy we wspólne warzywniki. Ojciec Waltera zaorał je i razem z Nettlebedem uprawiają tam kartofle, kapustę, marchew, fasolę, groszek i tym podobne. Teść ostatnio nie czuł się zbyt dobrze, bo kaszlał i kłuło go w piersiach. Doktor kazał mu trochę zwolnić tempo, ale on tylko roześmiał mu się w nos i dalej haruje jak wół.*

*Pani Mudge dalej zajmuje się wszystkim, co ma związek z mlekiem.*

*Uwielbia Nata i rozpuszcza go jak dziadowski bicz. - pewnie dlatego jest taki niemożliwy! Nie mogę się doczekać, kiedy będzie miał pięć lat i pójdzie do szkoły.*

*Muszę kończyć, żeby pozmywać po kolacji, zamknąć kury i położyć Nata do łóżeczka. Czekam mnie jeszcze kupa prasowania, ale pewnie go nie tknę, bo to syzyfowa praca.*

*Tak się cieszę, Że mogłam podzielić się z Tobą tym wszystkim! Odpisz mi koniecznie! Czasem całymi dniami nie mam czasu o Tobie pomyśleć, a kiedy indziej znów myślę o Tobie na okrągło. Najzabawniej jest, kiedy idę do Nancherrow i muszę sobie powtarzać, że Cię tam nie zastanę.*

*Tysiące całusów -*

*Loveday*

W tropikalnym klimacie zmianę pór roku wyznaczały jedynie uderzenia monsunu, toteż stała słoneczna pogoda zaczynała już nużyć. Dni, tygodnie i miesiące prawie nie różniły się od siebie, a że mijały błyskawicznie jak z bicza trząśł - łatwo było zatracić rachubę czasu. Przyczyniał się do tego brak dostępu do prasy i wiadomości radiowych. Mało którą z dziewcząt interesowało naprawdę, co się dzieje na świecie. Jedynym ważnym wydarzeniem, jakie miało miejsce w ostatnim czasie, było zakończenie wojny w Europie - ale od tej pory minęły już trzy miesiące!

Tym większego znaczenia nabierał tu regularny rozkład tygodni roboczych przerywanych weekendami. Nadawał on tej właściwie nienormalnej egzystencji pozory normalności. Soboty i niedziele były zawsze wyczekiwane z utęsknieniem, gdyż miało się wtedy czas dla siebie i wolny wybór - robić wszystko, co się chce, albo w ogóle nic nie robić.

Dla Judyty największą zaletą weekendów było to, że nie musiała wstawać o wpół do szóstej rano, aby zdążyć na łódź dowożącą załogę na „Adelaide”. Wprawdzie w wolne dni budziła się o tej samej porze, bo jej zegar wewnętrzny tak już był nastawiony, ale zaraz odwracała się na drugi bok i spała dalej, dopóki pod moskitierą nie zrobiło się zbyt gorąco. Oznaczało to, że najwyższy czas wziąć prysznic i iść na śniadanie.

W tę sobotę na śniadanie serwowano jajecznicę. Judy-

ta mogła zjeść ją spokojnie, zamiast, jak co dzień, la pać w biegu kromkę chleba z dżemem. Bez pośpiechu delectowała się herbatą, gdy przysiadła się do niej Helen O'Connor, ekscentryczna Irlandka pochodząca z hrabstwa Kerry. Ta wysoka i chuda czarnowłosa dziewczyna miała własne poglądy na kwestię moralności - kolekcjonowała mężczyzn tak, jak inni zbierali znaczki. Nosiała złotą bran soletkę, do której z każdą kolejną zdobyczą przybywał następny breloczek - miała ich już wiele i nazywała je swoimi skalpami. Wiecznie przesiadywała w Klubie Oli cerskim, całując się na tarasie z coraz to nowym abszty fikantem.

- Co robisz dzisiaj? - zagadnęła Judytę, zapalając piet wszego w tym dniu papierosa i wypuszczając zgrabny kłęb dymu.

Judyta odpowiedziała, że umówiła się z Tobym Whi takerem.

- A przynajmniej przystojny?

- W sam raz jak na żonatego faceta z dwójką dzieci.

- Uważaj, bo tacy są najgorsi. Myślałam, że pojedziesz dziś ze mną na żagłówkę, bo wydaje mi się, że mogę potrzebować przyzwoitki...

- Przykro mi, ale będziesz musiała poszukać sobie innej obstawy! - zaśmiała się Judyta.

- Myślisz, że tak łatwo kogoś znaleźć? No nic. - Przeciągnęła się i ziewnęła. - Zaryzykuję. Najwyżej sama będę bronić swojej cnoty!

W jej niebieskich oczach zamigotał figlarny błysk, co na chwilę upodobniło ją do Loveday. Judyta z miejsca poczuła do niej sympatię. Po śniadaniu poszła wykąpać się w zatoce i ani się spostrzegła, kiedy nadszedł czas umówionego spotkania z Tobym Whitakerem. Nałożyła szorty, koszulkę bez rękawów i stare tenisówki. Do koszyka zaś zapakowała słomkowy kapelusz, kostium kąpielowy i ręcznik. Po namyśle zabrała jeszcze książkę, w razie gdyby rozmowa

się nie kleiła lub Toby'emu zebrało się na drzemkę... Dodała do tego długie spodnie i koszulę khaki oraz sandaalki, na wypadek gdyby postanowili pójść razem na kolację. I rzewiesiła koszyk przez ramię i przeszła przez cały teren koszar do wartowni, a stamtąd pod bramę. Stawiła się na umówionym miejscu przed wyznaczoną godziną, ale Toby już tam czekał. Mile zaskoczył Judytę tym, że przyjechał jeepem. Siedział w nim paląc papierosa, ale na widok Judyty wyskoczył z wozu, wyrzucił niedopałek i wyszedł jej naprzeciw. Miał na sobie znoszone cywilne ciuchy - spraną koszulę i niebieskie szorty, przez co wyglądał dużo bardziej pospolicie niż w mundurze. Przypominał statecznego ojca rodziny wybierającego się na plażę - dobrze przynajmniej, że nie nosił skarpetek do sandałów i nie nakrywał głowy, zamiast kapeluszem, chustką zawiązaną na węzełki przy czterech rogach.

- Cześć! - zawołał z daleka.

- Cześć. Przyszłam trochę za wcześnie. Nie przypuszczałam, że będziesz tu przede mną. Skąd wytrzasnąłeś jeepa?

- Pożyczyłem od komandora Curtice'a. Uważał, że ciężarówką nie zabiera się dziewczyny na randkę. Oczywiście jeszcze dziś muszę mu go zwrócić. Odebrał koszyk z rąk Judyty, przy czym robił wrażenie wyraźnie zadowolonego z siebie.

- Jedźmy już - dodał.

Ruszyli, wzbijając tuman kurzu, szosą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Nie mogli jednak rozwinąć zbyt dużej prędkości, gdyż po tej samej drodze kursowały różnorodne środki transportu: ciężarówki wojskowe, rowery, ryksze i wozy ciągnięte przez bawoły. Przy obwałowaniu nadmorskim pracowały zespoły robotników, poboczem szosy zaś bose niewiasty odziane w sari podążały na targ, niosąc na plecach niemowlęta, na głowie kosze owoców, a za sobą prowadząc gromadki dzieci z gołymi tyłeczkami. Za obwałowaniem widać było port z podłużnymi sylwetkami

okrętów brytyjskiej Marynarki Wojennej. Trzepotały na nich flagi i płócienne daszki przeciwsłoneczne, a po wodzie niosły się gwizdki sygnałów.

Toby nie znał drogi, więc poprosił Judytę, aby piloto wała. Dzięki jej wskazówkom wyprowadził wóz z portu, przeciął wioskę, minął targ owocowy, Pettah, Fort Fic derick i Swami Rock, aż wydostał się na rozjeżdżoną ko leinami drogę wiodącą wzdłuż wybrzeża. Nie było tam prawie żadnego ruchu, ale i tak musiał wlec się noga za nogą z uwagi na nierówną nawierzchnię. Podniósł więc głos, aby przekrzyczeć warkot silnika jeepa i szum wiatru,

- Miałaś opowiedzieć mi o tej pani, która prowadzi ośrodek YWCA - przypomniał.

Judyta wolałaby o tym nie mówić, ale czuła, że niegrzecznie byłoby go spławić.

- No cóż, to kobieta z charakterem! - zaczęła.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak ona się nazywa.

- Toddy... To znaczy pani Todd-Harper. Jest wdową po plantatorze herbaty, który posiadał majątek w Bandę rewela. W roku 1939 chcieli już wracać do Anglii, kiedy wybuchła wojna. Oczywiście nie było wtedy statków pa sażerskich, więc zostali na Cejlonie. Dwa lata temu jej mąż zmarł na atak serca, więc sprzedała plantację i wstąpiła do tutejszej kobiecej organizacji charytatywnej. Chciała zaciągnąć się do takiej służby pomocniczej jak moja, ale nie przyjęli jej ze względu na wiek. Odkomenderowano ją w końcu do Trincomalee i powierzono zarząd nad ośrodkiem YWCA. I to by było tyle.

- Skąd wiesz to wszystko o niej?

- Przecież do dziesiątego roku życia wychowywałam się w Kolombo. Todd-Harperowie zatrzymywali się tani czasem w hotelu „Galie”, aby spotykać się ze znajomymi.

- Czy twoi rodzice ich znali?

- Tak, ale moja mama niezbyt ją lubiła. Zbyt różne miały charaktery. Mama zawsze mówiła, że Toddy zachowuje się wyzywająco.



- No proszę, a po latach spotkałyście się znów - zasiniał się Toby.  
- Tak, bo rok temu ona już tu była i bardzo serdecznie mnie powitała. Znajomość z nią bardzo mi się przydaje, bo nieraz, kiedy późno wychodzę z przyjęcia, mogę u niej przenocować. Nawet gdy nie ma już wolnych pokoi, każe wystawić dla mnie łóżko z moskitierą na werandę. Nie masz pojęcia, jak to przyjemnie budzić się o świcie, kiedy jest jeszcze chłodno, i obserwować rybaków wracających z nocnego połowu! Przejeżdżali teraz przez zupełnie odludne okolice. W południowym słońcu widać było tylko wybrzeże okolone palmami i taflę morską o barwie nefrytu. Wkrótce jednak w polu widzenia ukazał się ośrodek YWCA, mieszczący się w niskim podłużnym budynku krytym strzechą z palmowych liści. Usytuowany był między szosą a morzem, wyposażony w obszerne werandy i skryty w cieniu palm. Oprócz schroniska jedynymi zabudowaniami w okolicy były tubylcze chaty o jakieś pół mili dalej. Dochodził stamtąd dym z palenisk, a na piasku suszyły się rybackie tratwy.

- To tu? - zapytał Toby.

- Tak, tutaj.

- Co za romantyczny zakątek!

- Pomyśleć, że zbudowano go zaledwie dwa lata temu.

- Nie przypuszczałem, że panie z YWCA mają tak bujną wyobraźnię. Nie minęło pięć minut, jak dotarli na miejsce. Panował tam nieopisany upał, ale słyszeć było szum morza. Przeszli po białym, rozgrzanym, ale brudnym piasku plaży, potem po drewnianych schodkach na werandę, a stamtąd do wnętrza budynku. W jadalni z pootwieranymi na oścież drzwiami i oknami krzątał się syngaleski służący w białej koszuli i sarongu w czerwoną kratę. Nakrywał właśnie stoły do obiadu, podczas gdy pod sufitem szumiały

wentylatory, a przez otwarte okna widać było panoramę nieba, morza i plaży.

W tym momencie w drzwiach po przeciwległej stronie jadalni pojawiła się kobieta niosąca stos świeżo wyprą sowanych białych serwetek. Na widok Judyty i Toby'ego przystanęła, ale zaraz się rozpromieniła, odłożyła serwetki na podręczny stolik i ruszyła na powitanie przez całą salę

- Ach, kochanie! - krzyczała z daleka, rozpościerając szeroko ramiona. - Cóż za miła niespodzianka! Czemu nie daliście znać, że wybieracie się do mnie?

Zrównała się z Judytą, miażdżąc ją w niedźwiedzim uścisku i zostawiając na jej policzkach ślady szminki.

- Tyle czasu cię nie widziałam! Chyba nie chorowałaś

- Ależ skąd! Zresztą byłam tu zaledwie miesiąc temu. Po uwolnieniu się z uścisku Judyta dyskretnie ścierała ślady umalowanych ust damy. - Toddy, to jest Toby Whi taker.

- Aha, Toby Whitaker - powtórzyła Toddy z wyraźną chrypką, czemu trudno się było dziwić, gdyż wypalała jednego papierosa po drugim. - Czy ja cię już gdzieś widziałam?

- Chyba nie - bąkał Toby, lekko zaskoczony. - Dopiero co przyjechałem do Trincomalee.

- Znam prawie wszystkich adoratorów Judyty, więc myślałam, że cię po prostu nie poznałam.

Była to wysoka, szczupła kobieta o wąskich biodracli i płaskich jak u mężczyzny piersiach. Miała na sobie dłu gie spodnie i koszulową bluzkę, cerę spaloną od słońca jak dobrze wyprawiona skóra i pomarszczoną jak suszona śliwka. Na tym tle kontrastowo odbijał się jaskrawy makijaż - uczernione ołówkiem brwi, niebieski cień na powiekach i ciemnoczerwona szminka na wargach. Jeszcze większy kontrast stanowiły jej włosy, których naturalną śnieżnobiałą siwiznę Toddy pofarbowwała na kanarkowy blond, gdyż uważała, że siwe włosy zanadto ją postarzają.

- Przyjechaliście na lunch? Świetnie, zjemy razem. Po-

wtórzę wam wszystkie najnowsze plotki. Dobrze, że nie ma tu dziś dużego ruchu. Na lunch dostaniecie świeżo złowioną rybę. Napijecie się czegoś? Na pewno umieracie z pragnienia. Gin z tonikiem czy z sokiem cytrynowym? -Nie przerywając potoku słów, wyjęła z kieszonki bluzki paczkę papierosów i zapalniczkę. Z biegłością rutynowanego palacza wytrząsnęła papierosa z paczki. - Judyto, muszę ci koniecznie powiedzieć, jaka wredna baba była lu niedawno. Chyba w stopniu trzeciego oficera, ale stanowczo za wulgarna jak na wyższą szarżę. A zadzierała nosa, że hej! Przekrzykiwała się przez cały stół, jakby zwoływała psy na polowaniu. Nie znasz jej przypadkiem?

- Osobiście nie. - Judyta ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Ale wiesz, o kim mówię, prawda? Zresztą to bez znaczenia. - Skrzesała płomyk zapalniczki i zapaliła papierosa tkwiącego w uszmkowanych wargach. - Miejmy nadzieję, że więcej się tu nie pojawi. No więc czego się napijecie? Ginu z tonikiem? Judyto, zaprowadź... - zdążyła już zapomnieć jego imienia.

- Toby'ego - podpowiedział sam Toby.

- Zaprowadź Toby'ego na werandę i rozgośćcie się, a ja przyniosę drinki. Drzwi zamknęły się za nią, ale i przez nie słychać było, jak komenderuje służbą.

- Ale cię zatkało! - Judyta zauważyła minę Toby'ego, więc szybko zmienił wyraz twarzy.

- Teraz dopiero rozumiem, co miałaś na myśli - nawiązał do poprzednich słów Judyty.

- Wyzywająca, prawda?

- Owszem, a może nawet wulgarna. - Jakby się zorientował, że powiedział za dużo, dodał szybko: - Ale na pewno potrafi być świetnym kumplem.

Zostawili więc swoje koszyki i wyszli na werandę umeblowaną wyplatany mi krzesłami i stolikami. Najwidoczniej był to ośrodek życia towarzyskiego, gdyż po-

rozsiadały się już tam małe grupki dziewcząt z asystującymi im panami. Wszyscy w skąpych strojach kąpielo wych zażywali chłodu i przed obiadem pokrzepiali się drinkiem. Na rozgrzanym piasku leżeli plackiem opalem na brąz plażowicze. Kilka osób pływało lub tylko unosiło się na wodzie. Judyta i Toby oparli się łokciami o balu stradę werandy i obserwowali, co się dzieje na zewnątrz Oślepiającą biel piasku odgradzał od tafli morza bła doróżowy pas potłuczonych muszelek. Można tu było znaleźć zupełnie inne muszle niż swojskie małże i ser cówki pasiaste w Pennmaron. Na tej plaży piętrzyły się skorupy trytonów i perłopławów, słuchotki i porcelanki monetki oraz wyschnięte pancerzyki jeżowców.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy chlupnę do tego morza! - niecierpliwił się Toby. - Popłyniemy do tamtych skal!

- Jeśli chcesz, to płyn, ale ja nie mam zamiaru, bo siedzą na nich jeżowce i łatwo kolec mógłby mi wbic się w nogę. Poza tym boję się wypływać tak daleko Wprawdzie nie ma tu zagrożenia rekinów, bo łódki ryba ckie kursują w tę i z powrotem, ale wolę nie ryzykować.

- A widziałaś tu już rekina?

- Tu nie, ale wypłynęliśmy kiedyś żaglówką poza port i przez całą drogę powrotną rekin następował nam na pięty, nurkując pod kilem. Gdyby chciał, mógłby wywrócić naszą łódkę i połknąć nas wszystkich na obiad. Dziękuję za taką przyjemność!

Z wody wyszła właśnie szczupła i długonoga dziewczyna w białym kostiumie kąpielowym. Wyżęła włosy z wody, podniosła z piasku ręcznik i skierowała się w stronę czekającego na nią mężczyzny. Toby śledził wzrokiem każdy jej ruch, a kiedy stracił ją z oczu, zwrócił się do Judyty:

- Powiedz mi, jak to jest z dziewczętami tutaj? Czy naprawdę są ładniejsze niż w kraju, czy tylko mają urok rzadkości?

- Myślę, że są naprawdę ładniejsze - wyjaśniła Judyta.
  - A dlaczego?
  - Wpływa na to nasz tryb życia. Przebywamy przecież całymi dniami na świeżym powietrzu, pływamy, gramy w tenisa i w ogóle zażywamy ruchu. Zauważ, że kiedy z Anglii przyjeżdżają dziewczyny z nowego zaciągu -wszystkie są tęgie, blade i nalane. Na głowach mają trwałą ondulację, a na twarzach grubą warstwę pudru. Tu często się kąpią w morzu, a od wody włosy im się płaczą, więc obcinają je na krótko. Ponieważ wiecznie są spocone -rezygnują z pudru, a że wskutek upału tracą apetyt - szybko chudną. Do tego jeszcze przesiadują na słońcu, więc nabierają ładnej opalenizny. Ot, i cały sekret.
  - Nie mogę sobie wyobrazić, że byłaś kiedykolwiek tęga, blada i nalana.
  - Tęga może nie, ale na pewno blada. Toby roześmiał się i stwierdził:
  - Świetnie, że pokazałaś mi to miejsce. Sam nigdy bym tu nie trafił.
- W tym momencie wróciła Toddy, niosąc drinki, silnie schłodzone i zawierające duży procent alkoholu. Wypili je, a potem skoczyli szybko wykąpać się przed lunchem. Szefowa ośrodka zaserwowała na ten posiłek rybę z rusztu lak świeżą, że jej białe mięso samo odchodziło od ości. Na deser podała sałatkę z owoców mango, pomarańcz i ananasów. Przez cały czas usta się jej nie zamykały. Raczyła swoich gości pikantnymi ploteczkami i skandalami towarzyskimi, które brzmiały wiarygodnie, gdyż Toddy spędziła pół życia na Cejlonie i z każdym, od wiceadmirała do plantatora herbaty, była na ty.
- Toby słuchał uprzejmie jej opowiadań i śmiał się w odpowiednich momentach, ale Judyta zauważyła, że był nieco zde gustowany. Judyte denerwował jego brak poczucia humoru i celowo zaczęła podpuszczać Toddy do jeszcze bardziej szokujących wynurzeń. Przy tej rozmowie lunch dość się przeciągnął, tym bardziej że Toddy zaproponowała

jeszcze jednego drinka („Teraz na drugą nogę, kochanie!") Ale to ona właśnie dała sygnał do wstania od stołu, gasząc papierosa i oświadczając, że ma zamiar się zdrzemnąć.

- Na pewno jeszcze zechcecie kawy. Każę Peterowi, aby wyniósł ją wam na werandę. Wstanę około wpół do piątej i wtedy napijemy się herbaty. Tymczasem czujcie się jak u siebie w domu.

Następną godzinę przesiedzieli więc w wyplatanych In telach na werandzie, leniwie sącząc mrożoną kawę. Tym czasem zrobiło się na tyle chłodno, że można było pójść się kąpać. Judyta poszła przebrać się w strój kąpielowy, a kiedy wróciła - Toby już był w wodzie. Pobiegła więc do niego, z rozkoszą zanurzając się w chłodne jasnozielone fale, które podziały jak balsam na rozgrzaną skórę. Kropelki słonej wody osiadły na jej rzęsach i rozpraszały światło słoneczne w miliony małych tęczy.

Kąpiel była tak przyjemna, że niepostrzeżenie minęła i następna godzina, zanim Judyta i Toby zdecydowali się skierować ku brzegowi. Do tej pory pływali wolno i leniwie, aż nagle w Toby'ego jakby wstąpił szatan. Może chciał się popisać, jak to mężczyzna, gdyż gromko zaanonsował:

„Ścigamy się!" - i nie dając Judycie czasu na przygotowanie, zaczął pruć wodę szybkim australijskim kraulem. Judytę rozzłościło to do tego stopnia, że z góry zrezygnowała z nierównej walki. Kto by pomyślał, że dorosły mężczyzna zacznie się raptem zachowywać jak ucz-niak?

Celowo więc ociągała się z wyjściem na brzeg, kiedy on wynurzył się już z wody i stanął na plaży w dumnej pozie, trzymając się pod boki i szczerząc zęby od ucha do ucha.

- Co się tak grzebiesz? - dogadywał.

- To było nieuczciwe zagranie! - ucięła szorstko, szorując kolanami po płyciźnie. Aby przejść ostatnie metry do brzegu, musiała wstać.

Spróbowała więc postawić nogi na piaszczystym dnie...

Jej lewą stopę przeszył nagle paroksyzm bólu tak ostre-

go i niespodziewanego, że straciła równowagę, zachwiała się i upadła twarzą w dół, aż w jej otwarte usta nabrało się wody. Chciała krzyknąć, lecz nie mogła wydobyć głosu z gardła. W obawie, że zachłyśnie się wodą, wsparła się dłońmi o dno i jakoś wynurzyła twarz na powierzchnię. Nie dbała już ani trochę o zachowanie pozorów, więc resztę drogi przebyła czołgając się na łokciach i kolanach.

Wszystko to trwało ułamek sekundy, lecz Toby w okamgnieniu znalazł się przy niej.

- Co się stało, do jasnej cholery?!

- Coś wbiło mi się w nogę. Nie mogę stanąć. Nawet nie próbuj mnie podnosić.

Toby nie miał innego wyjścia, jak chwycić ją pod ramiona i wyciągnąć na brzeg. Leżała podparta na łokciach, pozwalając wodzie ściekać po twarzy. Podniosła tylko rękę, aby odgarnąć mokre włosy.

- Już dobrze? - spytał Toby.

- Przeciwnie, wręcz fatalnie! - odwarknęła, bo rozzłościło ją to głupie pytanie. Potem jednak pożałowała tego wybuchu złości, bo Toby już klęczał przy niej, a triumfalny uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca trosce i niepokoju.

- Która to noga?

- Lewa. - Judyta zorientowała się, że do oczu napływają jej łzy bólu i strachu.

- Spokojnie, nie ruszaj się. - Toby mocno ścisnął jej kostkę i podniósł do góry, aby obejrzeć stopę. - O kurczę, tam tkwi odłamek szkła. Siedź spokojnie, spróbuję go wyjąć. Zaciśnij zęby.

- Toby, nie... - zaczęła, ale on nie zważając na to przystąpił do dzieła. Znow przeszył ją ostry ból, targający wszystkimi nerwami i tkankami ciała. Bała się, że zemdleje, ale stopniowo ból zaczął ustępować, natomiast z podeszwy jej stopy pociekł gruby strumień krwi.

- No, już po wszystkim - usłyszała, więc otworzyła oczy. - Dzielnie się spisałaś. Popatrz tylko.

Toby trzymał w ręku trójkątny odłamek szkła ze stłuczonej butelki, wyszlifowany i wyostrzony jak nóż przez działanie fal morskich.

- To wszystko? Więcej tam nie było?

- Myślę, że chyba tylko ten jeden kawałek.

- Ale noga mi krwawi.

- Co za odkrycie! - Toby schował wyjęty kawałek szkła do kieszeni szortów. - Złap mnie za szyję i trzymaj się mocno.

Poczuła się dziwnie lekko. Przeniósł ją przez całą dlii gość plaży, a potem na werandę, gdzie usadowił na jcd nym z wyściełanych foteli.

- Ależ zabrudzę Toddy meble! - próbowała protestować Judyta, ale Toby nie słuchał jej, tylko zajrzał na chwilę do wnętrza budynku i zaraz wrócił, niosąc ściągnięty z któregoś stołu biały obrus. Złożył go w kostkę i pod sunął pod zranioną stopę. Oczywiście w ciągu kilku se kund materiał przesiąkł krwią.

- Musimy coś z tym zrobić! - rozglądał się niezdecydowanie. W sukurs przyszła mu jedna z opalających się na plaży dziewcząt, opalona na brąz, z włosami spło wiałymi od słońca. Miała na sobie stanik od dwuczęściowego kostiumu kąpielowego i zamotaną wokół bioder chustę na kształt sarongu.

- Co się stało? - spytała.

- Wypadek - odrzekł jej krótko.

- Może na coś się przydam? Jestem pielęgniarką.

- Chwała Bogu! - Toby odetchnął z ulgą.

- Pracuję w szpitalu Marynarki Wojennej - wyjaśniała, przyklękając przy Judycie. - Oj, to wygląda paskudnie! Co to było? Za głębokie jak na muszlę.

- Kawałek szkła. - Toby wyjął z kieszeni fatalny odłamek.

- To takie rzeczy można znaleźć w piasku? I jakie to duże! Musiało głęboko się wbić. - Pielęgniarka podeszła do sprawy praktycznie. -

Cholera, sika z niej jak z kranu.



Potrzebna mi gaza, wata i bandaże. Musi tu być jakaś apteczka. Gdzie jest pani Todd-Harper?

- Poszła się przespać po obiedzie.

- Obudzę ją, a pan tymczasem niech spróbuje zatamować to krwawienie. Kiedy wyszła, Toby odzyskał swoją poprzednią flegmę. Widać potrzeba mu było kogoś, kto udzieliłby mu fachowych instrukcji. Przysiadł na podnóżku fotela i próbował jak najlepiej wykonać polecenie.

- Tak mi przykro... - zaczął.

Judyta wolałaby, żeby nic nie mówił. Na szczęście po chwili wróciła nieznajoma pielęgniarka, niosąc apteczkę. Tuż za nią podążała Toddy. Wyrwana ze snu, nie zdążyła się dokładnie ubrać; bluzka wystawała jej ze spodni, a żaden guzik nie trafił we właściwą dziurkę.

- Och, kochanie, jakie to straszne. Dobrze się czujesz? Chryste, ona jest blada jak śmierć. Nic dziwnego zresztą. -Zwracając się do młodej pielęgniarki dodała z niepokojem: - Czy to groźne?

- Raczej tak - odpowiedziała lakonicznie dziewczyna. - Rana jest bardzo głęboka. Myślę, że trzeba będzie to zszyć.

Na szczęście okazała się nie tylko zręczna, lecz przy tym miła i delikatna. Błyskawicznie przyłożyła Judycie do rany tampon z gazy, obłożyła stopę watą i obandażowała. Spinając bandaże agrafką, zauważyła:

- Myślę, że powinno się ją zawieźć do szpitala lub na izbę chorych, żeby ją pozszywali. Ma pan jakiś pojazd?

- Tak, jeepa.

- Może być.

Toddy z ulgą opadła na najbliższe krzesło.

- Jestem zupełnie wstrząśnięta - oznajmiła wszem i wobec. - Czegoś takiego nigdy u nas nie było. Mieliśmy już przypadki oparzeń przez meduzy, ukłuc kolcami jeżowców, nawet poranienia przez rekina... ale żeby szkło? Jak ludzie mogą być aż tak nieostrożni? Chwała Bogu,

że pani się tu znalazła! - Obdarzyła uśmiechem wdzięczności pielęgniarkę, która pakowała już środki opatrunkowe z powrotem do apteczki. - Nie wiem, jak pani dziękować!

- Nie ma za co. Mogłabym skorzystać z telefonu? Spróbuję dodzwonić się na izbę chorych i zawiadomić siostrę przełożoną o nagłym wypadku. Kiedy wyszła, Toby też przeprosił całe towarzystwo.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli się tymczasem ubiorę. Nie mogę przecież wracać do Trincomalee w mokrych kąpielówkach.

Poszedł się przebrać, więc Judyta i Toddy zostały same.

- Co za paskudny wypadek! - narzekała Toddy, szukając w kieszonce bluzki nieodłącznych papierosów. W końcu je znalazła, wyciągnęła jednego i zapaliła. Tak mi przykro, bo to trochę i moja wina. Bardzo boli?

- Nic przyjemnego.

- I pomyśleć, że tak się dobrze bawiliście! Nic to, na wszystko przyjdzie czas. Spróbuję cię odwiedzić w tej izbie chorych. Może przywiozę ci winogron i zjem je sama, ale przynajmniej cię trochę rozerwę. Trzeba umieć we wszystkim dostrzec dobre strony. To nie powinno potrwać dłużej niż tydzień, a przez ten czas przynajmniej porządnie sobie odpoczniesz. Czy to nie wspaniałe - leżeć w łóżku i nic nie robić?

Perspektywa ta wcale nie pocieszyła Judyty.

- Nie cierpię nie mieć nic do roboty!

Okazało się jednak, że nie było to wcale takie straszne. Judyta trafiła do czteroosobowej sali, a jej łóżko stało tuż przy drzwiach wychodzących na taras kryty dachem z liści palmowych, wspartych na słupkach oplecionych bugenwillą. Jej opadających kwiatów nie nadążał zmiatać posługacz, a z tarasu rozciągał się widok na ogród i cały port.

Mimo typowej szpitalnej krzątaniny izba chorych sprawiała wrażenie oazy spokoju. Była czysta i przestronna, można nawet powiedzieć, że luksusowo wyposażona, wszystkie instalacje bowiem działały prawidłowo, na ścianach wisiały oleodruki przedstawiające angielskie krajobrazy, a w oknach zasłonki z cienkiej bawełny, które wydymał wiatr. Trzy inne pacjentki na tej samej sali znajdowały się w różnych stadiach rekonwalescencji. Jedna cierpiała na gorączkę tropikalną, a druga, po niefortunnym zeskoku na skałę podczas wesołego pikniku, miała nogę złamaną w kostce. Naprawdę poważnie chora była trzecia dziewczyna,

nękana przez kolejny nawrót czerwonki pełzakowej. Leżała blada, wycieńczona i apatyczna, toteż pielęgniarki mówiły między sobą, że gdy tylko poczuje się lepiej - najprawdopodobniej zostanie zdemobilizowana i odesłana do domu.

Judytę cieszyło, że żadna z jej współtowarzyszek nie była zbyt rozmowna. Wykazały oczywiście życzliwe zainteresowanie, przedstawiły się sobie nawzajem, wypytały o szczegóły na temat wypadku, ale na tym się skończyło. Dziewczyna po przebytej gorączce tropikalnej czuła się już na tyle dobrze, że mogła haftować. Pacjentka ze złamaną nogą pograżyła się w lekturze grubej książki, a chora na czerwonkę od czasu do czasu zdobywała się na wysiłek przewrócenia kartki czasopisma, ale widać było, że nie ma siły na nic więcej.

Panująca na oddziale cisza stanowiła kontrast w porównaniu z wiecznym gwarem w koszarach, toteż Judyta potrzebowała nieco czasu, by się do tego przyzwyczaić. Potem jednak zdobyła się na pewien dystans wobec otoczenia, co przypominało długi samotny spacer. Nie przeżywała czegoś takiego, jak daleko mogła sięgnąć pamięcią.

W tę monotonną atmosferę trochę zamieszania wносиły jedynie pielęgniarki mierzące temperaturę, roznoszące leki czy posiłki. Poza tym jedyne dźwięki, jakie słychać było przez cały dzień, dochodziły z włączonego bez przerwy

radia. Nadawało ono na przemian wiązanki rozmaitych melodii oraz krótkie serwisy informacyjne. Utwory mu zyczne były zestawione zupełnie przypadkowo - moclm przebój Andrews Sisters „Rum i coca-cola” emitowau\ był między arią z opery Verdiego a walcem z baletu „Cop pelia”. Judycie dodatkowej rozrywki dostarczało zgadywanie, jaki utwór za chwilę usłyszysz.

Na inne rozrywki na razie nie miała ochoty. Dobro duszna przełożona pielęgniarek, z rozłożystym biustem i w wy krochmalonym fartuchu, przypominająca staro świecką nianię, podsuwała jej książki ze szpitalnej biblioteki oraz stare numery „Life'u”, ale Judyta jakoś nie przejawiała chęci do czytania. Po prostu nie potrafiła się skupić - wolała podziwiać widok z okna, zmienne barwy nieba oraz ruch okrętów i łodzi kursujących w obrębie portu. Obraz ten stwarzał wrażenie spokoju i pogody, choć przecież to wojna przygnała w te strony całą flotę wscho dnoindyjską.

Judyta przypominała też sobie, jak przed kilkoma miesiącami na teren portu wtargnął tajemniczy, nie ziden tyfikowany obiekt. Wywołało to panikę, gdyż sądzono, że to japońska łódź podwodna, która może wysadzić w po wietrze całą flotę. Tymczasem okazało się, że była to samica wieloryba, która poszukiwała cichej przystani dla odbycia porodu. Kiedy już małe wielorybiątko przyszło na świat - specjalnie odkomenderowana fregata towarzyszy szła matce i dziecku w drodze na pełne morze. Ten swój ski incydent wniósł w codzienne życie portu nieco od prężenia i dobrej zabawy, którą potem wspomniano jesz cze przez wiele dni.

Widok z okna wydawał się Judycie dziwnie znajomy, choć nie miała pojęcia, gdzie i kiedy mogła coś podobnego widzieć. Dopiero po dłuższym namyśle skojarzyła go sobie z wrażeniami z pierwszej wizyty w Dower House, kiedy jeszcze żyła ciotka Lawinia. Wyglądając z okna salonu, widziała podobny ogród opadający w dół zbocza

wzgórza i linię horyzontu widoczną ponad wierzchołkami drzew. Kiedy już przywołała wspomnienia o Dower House, wróciła pamięcią do tego wyjątkowego dnia, kiedy razem z Biddy obejmowała dom w posiadanie. Natychmiast wyobraziła sobie, że znów tam jest, tylko sama, bez Biddy, Phyllis i jej córeczki Ani. Wydawało się jej, że chodzi po pokojach, słyszy własne kroki, czuje zapach żonkili i świeżo wyprasowanej bielizny. Miała wrażenie, iż dotyka wypolerowanej poręczy schodów, widziała podwójne łóżko o mosiężnych słupkach i zdjęcia w srebrnych ramkach pozostałe po ciotce Lawinii, a obok tego jej własne książki i chińską szkatułkę. W myślach otwierała okna i czuła tchnienie chłodnego i wilgotnego powietrza na policzkach. Wspomnienia te poprawiły w znaczący sposób jej samopoczucie, gdyż przecież od pięciu lat był to jej własny dom. Ostatni raz widziała go przed osiemnastoma miesiącami, gdy otrzymała urlop przed rozpoczęciem służby na Dalekim Wschodzie. Przyjechała pożegnać się z Biddy i Phyllis, a przy tym zauważyła, że znaczna część wyposażenia domu wymaga już remontu. Wskutek ograniczeń wojennych było to chwilowo niewykonalne, więc tymczasem wszystko musiało popaść w jeszcze większą ruinę. Kiedyś jednak ta wojna się skończy. Za rok, za dwa lub później, ale w końcu wróci do domu i wtedy zabierze się do jego konserwacji i przemeblowywania. Najpilniejsza jest instalacja centralnego ogrzewania, do czego potrzebny będzie nowy kocioł, rury i grzejniki. Od razu zrobi się ciepło i przytulnie, zniknie wilgoć typowa dla kornwalijskich zim. W następnej kolejności trzeba będzie pomalować ściany, a tapety wymienić na nowe. Przydałyby się też nowe kapy i zasłony, szczególnie w salonie. Jeszcze kiedy wprowadzały się tam z Biddy - widać było, że już długo nie wytrzymają. Z tym tylko, że trudno będzie dobrać taki sam kreton, bo Judyta chciała, aby nowe za-

słony nie różniły się od starych. Najbardziej pomocna może tu się okazać Diana - mistrzyni w dobieraniu ma teriałów. Można było wyobrazić sobie, co powie: „Ku chanie, najlepiej udajmy się do Londynu. Jestem pewna, że u Liberty'ego znajdziemy odpowiedni kreton”.

Pogrążona w tych rozmyślaniach, powoli zapadła w drzemkę. We śnie nadal nie opuszczała jej wizja Dowci House. Judyta śniła, że znajduje się w zalanym słońcem salonie, ale tym razem była tam jeszcze ciotka Lawinia siedząca w swym fotelu przy oknie, jak również Jeremy Wells. Grzebał akurat w jej biurku, jakoby szukając listu, który ciotka zgubiła. Oskarżał ją, że go wyrzuciła, na co Lawinia dowodziła, że raczej oddała go do pralni!

Pogrążając się głębiej we śnie, Judyta ujrzała siebie w ogrodzie, podczas gdy na dworze padał deszcz. Próbowwała dostać się do domu, ale drzwi były zamknięte. Stukała do okna, ale ciotki Lawinii już tam nie było. Tylko Jeremy szczyrzył do niej zza szyby zęby w demonicznym uśmiechu...

W izbie chorych kobiecej służby pomocniczej odwiedziny nie ograniczały się do wyznaczonych godzin. Pierwsi goście pojawiali się wczesnym popołudniem, a ostatni nieraz wychodzili po dziesiątej wieczorem. Przełożona pielęgniarek celowo nie przestrzegała zbyt sztywno regulaminu, gdyż wiedziała, że jej pacjentki nieraz trafiały tu wskutek przepracowania i przemęczenia. Nic dziwnego, przecież wykonywały odpowiedzialną pracę przez długie godziny w wysysającym siły tropikalnym upale. A że było ich tak mało przy tak dużej liczbie mężczyzn - nawet po pracy nie miały chwili odpoczynku, bo wciąż je wyciągano to na tenisa, to na plażę, przyjęcia lub dancing...

Każdą nowo przybyłą pacjentkę siostra przełożona otaczała więc troskliwą opieką, oferując oprócz pigułek i zastrzyków także zwiększoną dawkę snu, nie normowany rozkład dnia i przynajmniej namiastkę domowych warun-

ków. Według jej zasad wypoczynek i komfort psychiczny stanowiły podstawowe składniki kuracji.

W takich warunkach koleżanki odwiedzały chore bez ograniczeń, znosząc im listy z domu, czystą bieliznę, książki do czytania i świeże owoce. Wpadali do nich również młodzi mężczyźni kończący służbę na okrętach lub w instytucjach lądowych, wnosząc na oddziały oprócz kwiatów, ilustrowanych pism i amerykańskiej czekolady także atrakcyjny pierwiastek męski. Zdarzało się więc często, że przy łózkach co ładniejszych pacjentek siedziało i po trzech panów naraz. Jeśli zbyt głośno przekomarzali się i chichotali - przełożona pielęgniarek wypraszała całe towarzystwo na taras, gdzie mogli z wygodnych foteli kontemplować wieczorny krajobraz, plotkować i flirtować do woli. Pierwszym dniem pobytu Judyty w izbie chorych była niedziela, toteż nie spodziewała się odwiedzin, gdyż wiadomość o jej wypadku jeszcze nie rozeszła się wśród koleżanek. Dopiero o piątej po południu wpadła do niej Penny Wailes, wracając z randki ze swoim kapitanem. Dzień spędzili pod żaglami, toteż miała na sobie tylko szorty i koszulkę nałożone na kostium kąpielowy, a włosy potargane wiatrem i zlepione od soli morskiej.

- Moje biedactwo! Pani kwatermistrz opowiedziała mi o wszystkim. Co za pech! Przyniosłam ci ananasa, bo po drodze wstąpiłam na targ owocowy. Może ci czegoś trzeba? Nie? No to będę lecieć, bo na pokładzie tego nowego krążownika ma się dziś odbyć wielkie przyjęcie, a przecież muszę się jeszcze umyć i przebrać. Jutro powiem komandorowi Spirosowi, że będzie nas teraz mniej w biurze. Jak długo masz tu leżeć? Pewnie przynajmniej tydzień. Ale nie przejmuj się, jakoś damy sobie radę, a jeśli nie, to najwyżej zostawimy to wszystko do twego powrotu... Trajkotała w podobnym duchu około kwadransa, a potem spojrzała na zegarek, poderwała się błyskawicznie,

obiecała, że jeszcze tu wróci, i znikła. Judyta była prze konana, że w tym dniu nikt już do niej nie przyjdzie. Okazało się jednak, że się myliła, bo zaraz po zachodzie słońca usłyszała głośno wymówione swoje imię. To pani Todd-Harper zmierzała do niej energicznym krokiem z okrzykiem: „Kochanie!”

Cóż za miła niespodzianka! Ekscentryczna dama, ubrana jak zwykle w spodnie i koszulową bluzkę, tym razem szy kowała się najwyraźniej na wieczorne wyjście, gdyż była jaskrawo umalowana, złana perfumami i obwieszona złotą biżuterią. Przez ramię miała przerzucony wypchany kozyk, a ton jej głosu i oryginalny wygląd spowodowały, że rozmowy ucichły, a wszystkie głowy zwróciły się ku niej. Toddy jednak albo nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie wywołała, lub celowo nie zwracała na to uwagi.

- Ach, więc tu jesteś! Musiałam przecież sprawdzić, co się z tobą dzieje.

- Przejechałaś taki kawał drogi, żeby mnie zobaczyć? Judyta, wzruszona jej pamięcią, od razu wyobraziła sobie Toddy przedzierającą się samotnie, po ciemku, przez od ludne tereny rojące się od bandytów.

Musiała być bardzo odważna! Tyle że Toddy miała spore doświadczenie życiowe, a przy tym nie bała się nikogo i niczego. Każdego bandytę lekkomyślnego na tyle, aby się na nią porwać, gotowa była przywitać stekiem wyzwisk lub ciosem cięż kiej pałki, którą zawsze wozila ze sobą w samochodzie.

- A cóż to takiego? - Toddy przysunęła sobie krzesło. - I tak wybierałam się po zakupy. Przy okazji przyniosłam ci to i owo.

Wysypała na łóżko Judyty zawartość swojego koszyka.

- Tu masz puszkę brzoskwiń, a tu gumę do żucia o smaku wina. To olejek kąpielowy, ale jakiś podejrzany. Diabli wiedzą, czym to pachnie, pewnie „wspomnieniem po zdechłym Azorku”... A co to tak wystaje w nogach twego łóżka?



- Taka druciana siatka, żeby kołdra nie dotykała mojej nogi.
- Aż tak boli?
- Trochę.

Z tarasu przez otwarte drzwi dobiegał gwar męskich głosów przeplatanych wybuchami śmiechu.

- Muszą się tam nieźle bawić! - Toddy uniosła w górę podmalowane brwi.
- Pewnie któryś z tych chłopaków przemycił piersiówkę ginu. Chciałam ci też przynieść coś takiego, ale bałam się, że siostra nas nakryje. Powiedz teraz, co tu wyrabiali z twoją biedną nóżką.
- Nic takiego. Dali zastrzyk znieczulający i pozszywali.
- Mam nadzieję, że nie czułaś, jak przeciągali ci igłę w tę i nazad! - Toddy zrobiła przy tym taki wyraz twarzy, jakby gryzła cytrynę. - Długo mają cię tu trzymać?
- Około dziesięciu dni.
- A co z twoją pracą?
- Jakoś dadzą sobie radę beze mnie.
- A Toby Whitaker przynajmniej zajrzał do ciebie?
- Ma dzisiaj służbę.
- Sympatyczny facet, ale trochę nudnawy. Przedtem przywoziłaś do mnie ciekawszych chłopaków.
- On już jest żonaty.
- To nie powód, aby miał być nudny. Nie wiem, po co w ogóle z nim się umawiałaś.
- Stara znajomość, jeszcze sprzed wojny. Był kiedyś oficerem łącznikowym wuja Boba.
- Wuja Boba? - powtórzyła Toddy w zamyśleniu. Oczywiście wiedziała wszystko zarówno o Somerville'ach, jak też Dower House, Nancherrow i Carey-Lewisach, bo Judyta w ciągu minionych miesięcy zdążyła jej o tym wszystkim opowiedzieć. Toddy uwielbiała dowiadywać się szczegółów z życia innych ludzi, ale starała się ich od razu należycie zaszufelkować. - Masz na myśli kontradmirała Somerville'a ze Sztabu Naczelnego Dowództwa w Kolombo?

Judyta parsknęła śmiechem.

- Toddy, on jest w Kolombo dopiero od miesiąca. Nic powiesz mi, że już się z nim widziałaś!

- Ja nie, ale któregoś dnia zadzwonił Johnny Harrington i mówił, że spotkali się na jakimś przyjęciu. A pamiętasz Finch-Paytonów? Są już starzy, ale kiedyś grywali w hi y dża z twoimi rodzicami. I oczywiście na tym przyjęciu Mavis Finch-Payton znowu się upiła. Że też ona nigdy nie wie, kiedy przestać!

- Wiesz co, mogłabyś prowadzić kronikę towarzyską w naszej „Gazecie Floty”.

- Jeszcze czego! Żeby ciągle mieć sprawy sądowe o zniesławienie? A propos, która to już godzina? - Spojrzała na potężny cyferblat swego zegarka. - No, jeszcze mam trochę czasu.

- Wybierasz się gdzieś?

- Do klubu, umówiłam się na drinka z tym nowym pułkownikiem lotnictwa.

- Nowym w Trincomalee czy nowym dla ciebie?

- Jedno i drugie. - Toddy zrobiła zabawną minę. Powiedz, co ci mam przynieść, kiedy przyjdę następnym razem. Pewnie jakiś pikantny romans?

- A wiesz, że to byłoby cudowne? Do tej pory nic miałam zbytnej ochoty na czytanie, ale chyba właśnie zaczynam do tego dojrzewać.

- Co robiłaś przez cały dzień?

- Nic.

- Jak to nic? Nie można tak po prostu nic nie robić.

- Dopiero co mówiłaś, że to wspaniałe.

- Miałam na myśli wypoczynek, a nie bezmyślne leżenie i wpatrywanie się w sufit.

- Wcale nie bezmyślne, tylko twórcze. W wyobraźni przemeblowałam cały swój dom w Kornwalii.

- Dajesz słowo, że nie kłamiesz?

- Tak, ale dlaczego tak ci na tym zależy?

- Bo widzisz... - Toddy miała trudności z dobozem

odpowiednich słów. - Kiedy z jakichś powodów trzeba na pewien czas zwolnić tempo, wtedy człowiek zaczyna się zadrećcać... To samo działo się ze mną po śmierci mojego męża. Między innymi dlatego podjęłam tę pracę... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Judyta zrozumiała, że sama musi ubrać w słowa to, co Toddy sugerowała jej w drodze okrężnych aluzji.

- Pewnie myślisz, że kiedy tu leżę, to zamartwiam się, co się dzieje z mamą, tatusiem i Jess?

- Żebyś wiedziała, że nadchodzą chwile, kiedy takie sprawy wypływają na powierzchnię. Na przykład kiedy rozmowa się rwie...

- Staram się nie dopuszczać, żeby te myśli wracały.

- Dusić je w sobie też nie jest dobrze - oświadczyła Toddy, nachylając się nad Judytą i ujmując jej rękę w swoją opaloną dłoń o czerwono pomalowanych paznokciach. - Słuchaj, kochanie, ja nie bardzo nadaję się na redaktorkę kroniki towarzyskiej, ale świetnie na pocieszycielkę. Nie pytałam cię nigdy o twoją rodzinę, bo nie chciałam wtrącać się w nie swoje sprawy, ale gdybyś miała ochotę o tym porozmawiać, jestem do dyspozycji.

- A czy im to coś pomoże, jeśli będę o nich mówić? Zresztą odwykłam już od rozmów na ten temat. Jediną osobą, z którą mogłam rozmawiać o rodzicach i Jess, była Bidy, bo ich znała. Jeszcze ciocia Luiza, ale ona zginęła w wypadku, kiedy miałam czternaście lat. Carey-Lewisowie też ich nie znali, bo dopiero po wyjeździe mamy i Jess do Kolombo i po śmierci ciotki Luizy zaczęłam spędzać wakacje w Nancherrow. Chyba ci już o tym wszystkim opowiadałam, na przykład o Carey-Lewisach, prawda? Oni byli dla mnie bardzo dobrzy, jak druga rodzina, ale nie znali mamy ani Jess.

- Czy musi się kogoś znać, aby móc okazywać współczucie jego krewnym?

- Przynajmniej jest dużo trudniej, kiedy nie ma się wspólnych wspomnień. Na przykład takich: „To było wte-

dy, kiedy chcieliśmy urządzić piknik, a tymczasem padał śnieg i mieliśmy stłuczkę". Albo: „Pamiętasz, jak wraca łyśmy pociągiem z Plymouth, a całe wrzosowiska Bodmin były pokryte śniegiem?" Poza tym kiedy przeżywasz ciężkie chwile, wszyscy znajomi ci współczują, ale tylko tu pewnego momentu. Po jakimś czasie twoje narzekania i użalania się nad sobą zaczynają ich nudzić, więc szukają pretekstu, aby cię unikać. Dlatego lepiej powiedzieć sobie raz na zawsze, że albo mówimy same przyjemne rzeczy, albo w ogóle nic nie mówimy. Przyzwyczaiałam się już do tej wiecznej niepewności, która nie wiadomo kiedy się skończy, tak jak i wojna. Najgorzej czuję się w dniach ich urodzin i przed świętami, kiedy nie mogę wysłać do nich kartek ani pakować prezentów. Wtedy przez cały dzień zadrezczam się myślami, co też oni w tej chwili mogą robić.

- O matko! - wymamrotała Toddy ledwo dosłyszalnie.

- Między innymi dlatego najbardziej brakuje mi Biddy. Wspomnienia żyją tak długo, jak długo się o nich mówi. To samo działa w drugą stronę: ludzie, których się nie wspomina, jakby przestali istnieć i odeszli w nicość. I tak zaczynam już zapominać, jak wyglądali mama, tatuś i Jess. Przecież Jess ma teraz czternaście lat i pewnie bym jej nie poznała! Tatusia nie widziałam już od czternastu lat, a mamy od dziesięciu, kiedy zostawili mnie w szkole z internatem. Siłą rzeczy zaczęłam już o nich myśleć jak o starych fotografiach z albumu rodzinnego, takich sepiowych... Gdybym zobaczyła ich teraz, pewnie nie wierzyłabym własnym oczom. „To naprawdę Molly Dunbar? Nie może być!" Toddy nie skomentowała tej wypowiedzi, natomiast Judyta dostrzegła smutek na jej twarzy i łzy błyszczące w oczach. Od razu poczuła się winna.

- Ale się rozgadałam! Przepraszam cię, nie chciałam powiedzieć tego wszystkiego! - Gwałtownie próbowała przypomnieć sobie coś bardziej optymistycznego. - Przy-

najmniej nie zostałam bez środków do życia, bo ciotka Luiza zapisała mi cały majątek.

Zabrzmiało to bardziej materialistycznie niż optymistycznie, więc zaraz dodała:

- Może to nie jest odpowiedni moment, by mówić o takich sprawach...

- Dlaczego nie? - zaprotestowała Toddy. - Trzeba Irzeźwo myśleć o życiu. Pieniądze wprawdzie nie dają szczęścia, ale pozwalają godnie znosić nieszczęście.

- I zachować niezależność ducha, prawda? To samo wbijała nam do głów dyrektorka naszej szkoły. Na przykład dzięki temu, że mogłam kupić Dower House, posiadam teraz własny dom i nie muszę się gnieździć pod cudzym dachem. Mam swoje miejsce na ziemi, o czym marzyłam jeszcze w dzieciństwie.

- Żebyś wiedziała, że to jest najważniejsze.

- Na razie i tak drepczę w miejscu, dopóki nie będę wiedziała na pewno, co się stało z mamą, tatusiem i Jess. Pewne jest tylko jedno, że kiedyś ktoś mi o tym powie. Gdyby mieli już nigdy nie wrócić, to w najgorszym razie mam za sobą dziesięć lat, podczas których nauczyłam się żyć bez nich. Tyle że w ten sposób myślę o sobie, a nie o nich.

- Przede wszystkim powinnaś myśleć o własnej przyszłości -

podsumowała Toddy. - O tym, co zrobisz, kiedy wojna się skończy.

Wiem, że trudno jest myśleć o przyszłości, kiedy się jest młodym. Mnie łatwiej, bo przeżyłam już swoje, mogłabym być twoją matką. I kiedy sięgam wstecz myślami, różnie mi się w życiu działo, ale wszystko jakoś trzymało się kupy. Ty też długo nie będziesz sama. Na pewno wyjdiesz za jakiegoś fajnego faceta i dochowasz się gromadki dzieci, które zapełnią twój dom.

- O tym jeszcze za wcześnie mówić. Na razie nie sięgam wyobraźnią dalej niż do kupna materiału na zasłony u Liberty'ego.

- No, to przynajmniej coś konkretnego. Ważne jest,

aby czegoś się trzymać, nie tracić nadziei. W końcu ta przeklęta wojna nie będzie trwać wiecznie. Któregoś dnia się skończy, może nawet wcześniej, niż myślimy.

- Pewnie tak - zgodziła się Judyta, patrząc, jak na sali robi się stopniowo coraz luźniej. Odwiedzający zegnali się z pacjentkami i jeden po drugim wychodzili. Nagli' przypomniała sobie o spotkaniu w Klubie Oficerskim, na które Toddy była umówiona. - Zrobiło się już strasznie późno!

Musiałam stracić rachubę czasu. Przeze mnie spóźni się na randkę ze swoim pułkownikiem.

- Jeśli kocha, to poczeka. Ale chyba rzeczywiście mu się już lecieć.

Lepiej się teraz czujesz?

- O tak! Że też chciało ci się tego wszystkiego wy słuchać!

- No, to trzymaj się. - Toddy wstała, wzięła swój ko szyk i cmoknęła Judytę w policzek. - Możemy zawsze porozmawiać, kiedykolwiek zechcesz. Na razie przyniosę ci jakąś podniecającą lekturę dla zabicia czasu.

- Dziękuję ci, że do mnie przyszłaś.

Toddy przeparaowała przez całą salę, zanim doszła do drzwi na jej drugim końcu. Kiedy ostatecznie znikła z pola widzenia, Judyta oparła głowę na poduszce i wpatrzyła się w wygwieżdżone niebo. Na jego bezchmurnym błękicie jarzył się Krzyż Południa. W tym momencie poczuła dziwne zmęczenie, połączone ze zubożeniem na wszystko. Pomyślała, że chyba tak muszą się czuć katolicy po odbytej spowiedzi. W uszach dźwięczały jej słowa Toddy: „Któregoś dnia to się skończy, może nawet wcześniej, niż myślimy”.

*Trincomalee, izba chorych 16 sierpnia 1945*

*Kochana Bidy!*

*Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak długo do Ciebie nie pisałam. Tym bardziej że przez ostatnie dwa tygodnie nie miałam nic do roboty.*

*Leżałam w izbie chorych, bo*

*paskudnie rozciąłam sobie nogę szkłem, kiedy kapaliśmy się w morzu z Tobym Whitakerem (przed wojną był oficerem łącznikowym wujka Boba). Na początku obawiali się zakażenia, ale kiedy wyjęli szwy, pomalutką zaczęłam znów chodzić i dziś wracam do koszar, a jutro do pracy. Nie chcę jednak pisać Ci tylko o sobie. Nie odzywałam się głównie dlatego, że ostatnio dzień w dzień tkwiłyśmy przy radiu i słuchałyśmy wiadomości. O zrzuceniu bomby na Hiroszimę dowiedziałyśmy się jeszcze tego samego dnia. Słuchałyśmy akurat muzyki i zajmowałyśmy się swoimi sprawami, gdy nagle siostra przełożona wpadła na oddział i nastawiła radio na cały regulator. Najpierw wydawało się nam, że to był taki normalny nalot - dopiero po chwili się zorientowałyśmy, że to coś znacznie poważniejszego. Podobno sto tysięcy osób zginęło na miejscu, a miasto zostało zrównane z ziemią. Na pewno widziałaś w gazetach zdjęcia grzyba atomowego i tych strasznie poparzonych ludzi, którzy to przeżyli. To było gorsze niż bombardowanie Drezna! Najgorsza jednak jest świadomość, że dysponujemy obecnie tak potężną siłą, i z tą świadomością będziemy musieli żyć.*

*Mimo to na całym oddziale wrzało jak w ulu, bo czułyśmy się zawiedzione, że wszystko to dzieje się bez naszego udziału. Ktokolwiek do nas przychodził - przynosił gazety i wiadomości, na podstawie których powoli zaczęłyśmy zdawać sobie sprawę z wagi tego, co się stało. We czwartek dowiedziałyśmy się o zrzuceniu bomby na Nagasaki i stało się jasne, że Japończycy już długo nie wytrzymają. I rzeczywiście, nie minęło kilka dni, kiedy świat obiegnęła wiadomość o ich kapitulacji.*

*Tego dnia na okrętach odprawiono msze dziękczynne i wszystkie załogi jak jeden mąż śpiewały hymn „ Ciebie, Boże, wysławiamy”. Potem trębacze Marynarki Wojennej odegrali capstrzyk na cześć poległych... Wiadomo, że w takim dniu wszystko stało na głowie i nikt nie przestrzegał żadnych regulaminów. W mesie ofi-*

*cerskiej urządzono przyjęcie, przez cały dzień wszyscy latali jak kot z pęcherzem i chyba nikt nie wykonywał żail nej pracy. Wieczorem na jednostkach Floty Wschodnie indyjskiej zapalono światła, wystrzeliwano rakiety i szm czne ognie, a na pokładzie krążownika flagowego grała orkiestra, ale nie marsze wojskowe, tylko same wesole piosenki.*

*Myśmy wszystkie wyległy na taras izby chorych, nawet pacjenci na wózkach, a z nami lekarze, pielęgniarki i od wiedzający. Chyba każdy z gości przyniósł butelkę ginu, więc szybko zrobiło się wesolo i odpalane rakiety wita liśmy dzikimi okrzykami radości.*

*Ja też się cieszyłam, ale równocześnie było mi smutno. Przez cały czas bowiem miałam świadomość, że prędzej czy później ktoś mnie powiadomi, co się stało z Mamci. Tatusiem i Jess - czy przeżyli te koszmarne trzy i pół roku. Celowo starałam się jak najmniej o nich myśleć, Żeby się zupełnie nie załamać. Nie mogę jednak dłużej chować głowy w piasek i muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Gdybym się czegoś dowiedziała - natychmiast wyślę Ci telegram i zadzwonię do wujka Boba, jeśli uda mi się dodzwonić do Naczelnego Dowództwa. Tyle się teraz dzieje, że wszędzie panuje bałagan. Dwa dni temu wpadł do mnie Toby Whitaker i wspomniał o możliwości przerzutu całej floty do Singapuru. Możliwe, że przeniosą tam i naszą „Adelaide”. Pożyjemy - zobaczymy. Toddy odwiedzała mnie tu kilka razy. Pisałam Ci o niej, ale jeśli nie pamiętasz, to Ci przypomnę, że to wdowa mieszkająca na Cejlonie od dawna, która w latach trzydziestych zetknęła się z moimi rodzicami w Kołombo. Ponieważ była to chyba jedyna osoba tutaj, która ich znała -już. w pierwszym dniu mojego pobytu w izbie chorych nagadałyśmy się za wszystkie czasy. Trzeba trafu, że było to akurat w przeddzień zrzucenia bomby na Hiroszimę, ale myśmy jeszcze wtedy nie zdawały sobie z. tego sprawy, a mnie bolała noga i było mi smutno. Toddy chciała mnie*



*pocieszyć i powiedziała: „Któregoś dnia to się skończy, może nawet wcześniej, niż myślimy”. I popatrz, już następnego dnia spadła ta bomba i okazało się, że to początek końca. Czy to nie nadzwyczajny zbieg okoliczności?*

*Ucałowania dla Ciebie, Phyllis i Ani, a jeśli będziesz widziała się z Carey-Lewisami, to pozdrów także ich, Loveday i Nata -*

*Judyta*

„Prędzej czy później ktoś mnie powiadomi, co się stało z Mamą, Tatusiem i Jess”.

A więc czekała, a życie toczyło się jak zawsze, dzień po dniu wtłoczone w regulaminowe karby. Co rano rejs łódką na pokład okrętu-bazy „Adelaide”, a tam długie godziny wypełnione pisaniem na maszynie i wypełnianiem ksiąg meldunków w obezwładniającym upale. A co wieczór rejs powrotny łodzią na stały ląd.

Codziennie Judyta powtarzała sobie: „Może to już dziś...”, lecz żadne informacje nie nadchodziły. Jej niepokój podsycaly strzępy wiadomości o warunkach panujących w japońskich obozach. Krążyły pogłoski o torturowaniu więźniów, zmuszaniu ich do niewolniczej pracy, głodzie i szerzących się chorobach. Judyta wołała o tym nie myśleć.

W biurze, gdzie pracowała, wszyscy starali się być dla niej szczególnie życzliwi i serdeczni. Nawet podoficer administracyjny powściągał przy niej grubiańskie maniery i niewyparzony język. Judyta przypuszczała, że komandor Spiros kazał tak ją traktować, ale skąd mógł wiedzieć o jej sytuacji rodzinnej? Domyślała się, że powiedziała mu o tym

komendantka kobiecej służby pomocniczej,

i czuła się wzruszona takimi przejawami troski ze strony dowództwa.

Niezwykle pomocna okazała się Penny Wailes, z którą zdążyła się już zaprzyjaźnić. Nawiązało się między nimi porozumienie bez słów, przy czym Penny czuwała nad

nią jak życzliwa starsza siostra. Z pracy wracały zawsze razem i razem przechodziły przez wartownię, gdzie co dziennie Judyta dowiadywała się, że nadal nie nadeszły żadne wiadomości.

Któregoś dnia w końcu stało się. We wtorek o szóstej wieczorem Judyta wzięła właśnie prysznic po kąpieli w za toce. Owinięta w ręcznik rozczesywała przed lustrem ino kre włosy, gdy do baraku wpadła któraś z dziewcząt pel niących służbę w wartowni.

- Dunbar!

- Tu jestem! - odkrzyknęła, stojąc z grzebieniem w garści.

- Mam ci przekazać, że jutro rano musisz się zamel dować u pani porucznik.

- Ależ jutro o tej porze muszę być w pracy! - wy mawiła się, zdziwiona.

- Komandor Spiros już wie o tym. Zabierzesz się póź niej, inną łodzią.

- A o której mam się stawić u pani porucznik?

- O dziesiątej trzydzieści, dobrze? - Koleżanka wyraź nie czekała na odpowiedź.

- Dobrze, dziękuję. - Judyta wróciła do rozczesywania włosów.

Nazajutrz już wczesnym rankiem Judyta wypucowała buty i kapelusz, nałożyła czysty mundur - białą bawełnianą bluzę i spódnicę,

wykrochmaloną i uprasowaną. Przygotowywała się do spotkania jak

dawny marynarz do bitwy morskiej. Wiadomo bowiem, że przed

zbliżającą się walką cała załoga przebierała się w czyste mundury, aby w

razie zranienia zmniejszyć prawdopodobieństwo infekcji. Jeszcze

zasnurowała buty, nałożyła kapelusz i wyszła z baraku, kierując się

prosto do Kwatery Głównej.

Komendantką kobiecej służby pomocniczej w Trincomalee była

porucznik Beresford. Wraz ze swoim sekretariatem w sile jednej

dziewczyny w stopniu podoficer-

skim i dwóch starszych szeregowych urzędowała na piętrze jednego z baraków Kwatery Głównej, zajmując trzy pokoje. Okna ich wychodziły na portowe moło, gdzie ciągle coś się działo, toteż widok stamtąd przypominał wiszący na ścianie żywy obraz. Zwracał na to uwagę każdy, kto przyszedł do jej biura, zachodząc w głowę, jak też pani porucznik może w takich warunkach skupić się na pracy.

Komendantka pracowała tu już jednak blisko rok, więc widok z okna stracił dla niej urok nowości. Biurko ustawiła pod kątem prostym do okna, więc ilekroć oderwała głowę od papierów - przed sobą miała gładką białą ścianę z dwiema szafkami na dokumenty. Najwyżej od czasu do czasu po białym tynku łąziła jakaś dziwaczna jaszczurka.

Na biurku stały trzy fotografie w ramkach, rozmieszczone dyskretnie, aby nie rozpraszały uwagi. Przedstawiały one jej męża - podpułkownika artylerii - i dwoje dzieci, których nie widziała od wiosny 1940 roku, kiedy to za namową męża zdecydowała się dla bezpieczeństwa wysłać je do krewnych w Kanadzie. Moment pożegnania na stacji Euston przeżyła tak boleśnie, że przez całą wojnę wołała nie wracać do niego myślami.

Teraz jednak wojna się skończyła, choć tak nagle i drastycznie.

Beresfordowie wyszli z niej nietknięci i któregoś dnia znów będą w komplecie. Kiedy wysłała dzieci do Kanady, miały sześć i osiem lat - teraz już jedenaście i trzynaście. Coraz trudniej znosiła rozłąkę, a od zakończenia wojny nie było dnia, żeby o nich nie myślała.

Gwałtownie otrząsnęła się z tych rozważań i spróbowała wziąć się w garść. Stanowczo nie była to odpowiednia chwila na tak rozdzierające wspomnienia. Minał już kwadrans po dziesiątej w środę, dwudziestego drugiego sierpnia. Temperatura powietrza na zewnątrz wciąż wzrastała, bo zbliżało się już jesienne zrównanie dnia z nocą. Wewnątrz też panował upał nie do zniesienia - nie pomagał ani wiatr od morza, ani szumiące pod sufitem

wentylatory. Bawełniana bluza od tropikalnego mundiu pani porucznik przylepiła się już do jej spoconych pleców Na biurku leżały papiery dotyczące sprawy, którą musiał właśnie załatwić. Przysunęła je do siebie i zaczęła przeglądać, chociaż znała je już na pamięć. W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi, więc podniosła głowę, pozornie całkiem opanowana.

- Proszę!

Przez drzwi wsunęła głowę dziewczyna w randze pod oficera marynarki.

- Pani porucznik, melduję, że przyszła szeregową Dunbar.

- Dziękuję, Richardson. Każ jej wejść.

Judyta weszła do przestronnego gabinetu, rzucając okiem na panoramę portu widoczną w otwartym oknie Na jej widok komendantka wstała zza biurka, jakby witała z dawnym oczekiwanym gościem. Była wysoką kobietą do brzości po trzydziestce, o miłej powierzchowności i gładkich brązowych włosach upiętych z tyłu w kok. Do typu jej urody niezbyt pasował mundur - byłoby jej do twarzy raczej w sweterku bliźniaku, z perełkami na szyi. Z łatwością można było wyobrazić ją sobie jako działaczkę parafialnego kółka pań, organizującą wieniec kwiatowy na rzecz kościoła.

- Dobrze, że przyszłaś, Dunbar. Usiądź, proszę. Może napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję, pani porucznik.

Twarde drewniane krzesło nie było zbyt wygodne, ale usiadła na nim prosto, z rękoma na kolanach, naprzeciw biurka komendantki. Kiedy ich spojrzenia się zetknęły pani porucznik skierowała wzrok w inną stronę, niby to przerzucając jakieś papiery na biurku, to znów bawiąc się piórem.

- Dostałaś wiadomość ode mnie? Musiałaś dostać, bo inaczej nie przyszłabyś tutaj. Zadzwoiłam wczoraj do

komandora Spirosa i zgodził się dać ci dziś wolne przedpołudnie.

- Dziękuję, pani porucznik.

Po chwili ciszy komendantka zaczęła z innej beczki.

- A jak tam twoja noga?

- Słucham?

- No, przecież słyszałam, że przebiłaś sobie nogę szkłem. Już się zagoiła?

- Tak, to nie była poważna rana.

- W każdym razie niezgorzej się nacierpiałaś. Widać było, że wstępne uprzejmości już się wyczerpały, więc Judyta czekała, kiedy pani porucznik przystąpi do rzeczy. No i przystąpiła.

- Przykro mi, Dunbar, ale nie mam dla ciebie dobrych wiadomości.

- Czy chodzi o moją rodzinę?

- Tak.

- Co się z nimi stało?

- Dowiedzieliśmy się o tym za pośrednictwem Czerwonego Krzyża i Działu Socjalnego Marynarki. Niestety, muszę cię zawiadomić, że twój ojciec nie żyje. Zmarł na dyzenterię w więzieniu Changi, w rok po kapitulacji Singapuru. Koledzy go pielęgnowali, ale niewiele mogli zrobić, bo nie mieli żadnych lekarstw, panował głód i fatalne warunki higieniczne. Nie myśl tylko, że umierał w samotności, bo do końca był wśród przyjaciół.

- Rozumiem. - W gardle tak jej zaschło, że głos, który się z niego wydobył, był ledwo dosłyszalnym szeptem. Odchrząknęła i tym razem poszło jej lepiej. - A co z moją mamą i Jess?

- Co do tego nie mamy jeszcze pewności. Wiadomo tylko, że statek „Radża Sarawaku”, którym płynęły, został storpedowany na Morzu Jawajskim w sześć dni po opuszczeniu Singapuru. Był przeładowany, więc prawie natychmiast poszedł na dno. Z jego załogi i pasażerów mog--

ła się uratować najwyżej garstka, jeśli w ogóle, bo mieli tylko krótką chwilę na ewakuację.

- Czy udało się odnaleźć kogoś, kto ocalał z tego statku?
- Jak dotąd nie. Z tym że Japończycy utrzymywali wiele obozów dla internowanych na Jawie, Sumatrze, Malajach, a nawet w samej Japonii. Czerwony Krzyż nie zdołał wszędzie dotrzeć, bo na to potrzeba czasu.
- Może...
- Myślę, kochanie, że nie ma po co wzbudzać płonnych nadziei.
- Czy to właśnie pani porucznik chciała mi powiedzieć?
- Niestety, tak.

Nad ich głowami krążyły wentylatory, zza otwartego okna dochodził terkot silniczka łodzi przybijającej do moła, a gdzieś daleko ktoś stukał młotkiem. W mózgu Judyty tłukła się tylko jedna, natrętna myśl - że trzy i pół roku oczekiwania poszło na marne. Nie zobaczy już więcej swoich rodziców ani siostrzyczki.

W ciężkiej ciszy, która teraz zaległa, zabrzmiały tylko słowa komendantki:

- Dobrze się czujesz, Dunbar?
- Tak jest, pani porucznik. - Może nie zachowywała się tak, jak powinna w takiej chwili? Może wypadało, aby wybuchnęła płaczem? Cóż, kiedy akurat wcale nic zbierało jej się na płacz. - Dziękuję, wszystko w porządku
- Może jednak napiłabyś się herbaty?
- Nie, dziękuję.
- Tak mi przykro, naprawdę! - Tu głos jej się załamał. Judycie zrobiło się żal przełożonej. Widać było, że szczerze, jak matka, przejmuje się jej nieszczęściem i z trudem przeszły jej przez gardło te tragiczne wiadomości. Kiedy jednak Judyta spróbowała odpowiedzieć - ją samą zdziwiło spokojne i beznamiętne brzmienie własnego głosu.
- Przypuszczałam, że „Radża Sarawaku” zatonał. Wiedziałam, że coś się musiało stać, ponieważ nigdy nie dotarł do Australii. W ostatnim liście z Singapuru mama obie-

cała, że napisze do mnie, gdy tylko tam dotrze. Od tej pory nie dostałam już od niej ani jednego listu.

Przypomniała sobie fragment tego ostatniego listu, tak często czytanego, że znała go już na pamięć:

„Może to wydać się dziwne, ale przez całe życie zadawałam sobie pytanie, na które nie umiałam odpowiedzieć. Kim właściwie jestem? Co tu robię i do czego zmierzam? Teraz wydaje mi się, że najbardziej koszmarnie sny, jakie wtedy śniłam, stają się jawą”.

Czy mogło to być przeczucie? Tego już nikt się dziś nie dowie. Judyta mówiła dalej:

- Wiedziałam, że coś się musiało stać z tym statkiem. Próbowałam tylko wmawiać sobie, że może mama i Jess dostały się na jakąś łódź ratunkową lub tratwę i ktoś je potem wyłowił... - W tym momencie Judyta przypomniała sobie dręczące ją kiedyś koszmary o rekinach na Morzu Jawajskim i wołała nie rozwijać tego tematu. - Ale tak naprawdę nie wydaje mi się, żeby miały jakąkolwiek szansę, Jess była jeszcze taka mała, a mama nie umiała zbyt dobrze pływać.

- Masz jeszcze inne rodzeństwo?

- Nie.

Komendantka spuściła oczy i znów zaczęła przeglądać leżące na biurku papiery. Judyta zauważyła, że są to jej akta personalne, prowadzone od dnia, kiedy wstąpiła do Kobiecej Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej.

- Tu jest napisane, że twoimi najbliższymi krewnymi są komandorostwo Somerville.

- Podałam ich, bo moi rodzice byli już wtedy za granicą. Wujek Bob Somerville jest kontradmirałem i pracuje w sztabie tu, w Kolombo. Bidy Somerville jest rodzoną siostrą mojej mamy. To mi przypomina, że muszę wysłać jej telegram o tym, co się stało, bo obiecałam dać znać, gdy tylko będę coś wiedziała.

- Możemy to zaraz załatwić. Napisz, co chcesz jej przekazać, a któraś z dziewcząt to przetelegrafuje.

- Dziękuję, pani porucznik.

- Ale chyba masz jeszcze innych znajomych na Cejlonie. Campbellów, zdaje mi się. Spędzałaś u nich ostatni urlop.

- Tak, zgadza się, to znajomi moich rodziców.

- Wspominam o nich, gdyż sądzę, że należy ci się teraz odpoczynek z dala od Trincomalee. Czy nie chciałabyś znów pojechać do nich?

Judyta nie spodziewała się, że komendantka wystąpi z taką propozycją. Przypomniała sobie majątek Nuwara Eliya w górzystej okolicy, gdzie bywało chłodniej i częściej padało. Zbocza wzgórz porastały tam krzewy herbaciane, wokół pachniało liśćmi eukaliptusa, a w przytulnym bungalowie Campbellów wieczorami w kominach płonęły grube drwa... Jednak w chwili obecnej ta wizja nie wydawała się jej zachęcająca, toteż pokręciła głową.

- Nie masz ochoty tam jechać?

- Nie bardzo. - Wprawdzie mile spędziła tamten urlop u Campbellów, ale teraz to już nie byłoby to samo. Czowała, że nie mogłaby uczestniczyć w ciągłych przyjęciach, po znawać nowych ludzi... Wolałaby raczej zaszyć się w jakimś ustronnym miejscu, aby w spokoju dojść do siebie. Próbowała więc jakoś uzasadnić swoją odmowę: - Campbellowie są bardzo mili, ale... Komendantka nie dała jej dokończyć.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Uśmiechnęła się. Nawet najlepsi przyjaciele potrafią czasem być męczący. Mam więc inny pomysł. Może wyjechałabyś do Kolombo i pobyła trochę u kontradmirała Somerville'a? Ma tani luksusową rezydencję, a w niej roje służby. I co chyba najważniejsze, miałabyś przy sobie bliskiego człowieka, a chyba tego ci właśnie trzeba. Mogłabyś z czasem oswoić się z tym, co ci powiedziałam, porozmawiać z wujkiem, poczynić pewne plany na przyszłość... Ależ oczywiście, wujek Bob! Na tym zakręcie życia.



na którym się teraz znajdowała, z nikim tak bardzo nie pragnęłaby porozmawiać jak z nim. Tylko że...

- Przecież wuj Bob jest ciągle zajęty. Nie chciałabym mu przeszkadzać.
- Nie przypuszczam, żebyś kiedykolwiek mogła mu przeszkadzać.
- Rzeczywiście, kiedyś sam mi proponował, żebym do niego przyjechała. Napisał do mnie, gdy tylko przybył do Kolombo.
- No więc na co czekasz? Możemy przecież zadzwonić do niego nawet zaraz.
- A co z moją pracą u komandora Spirosa?
- Odkomenderujemy kogoś do pomocy szeregowej Wailes.
- Kiedy mogłabym jechać?
- Jak najszybciej. Po co tracić czas?
- A jak długo będę mogła tam zostać?
- Ano właśnie. Należą ci się dwa tygodnie urlopu, ale myślę, że powinnaś dostać dodatkowy urlop okolicznościowy. Razem byłby to miesiąc.
- Aż miesiąc?
- No, tylko nie miej żadnych skrupułów! Po prostu dostajesz to, na co zasłużyłaś.

A więc znów pojedzie do Kolombo i spędzi cały miesiąc w towarzystwie wuja Boba! Przywołała z pamięci obraz domu, w którym przeżyła swoje pierwsze dziesięć lat, i matki siedzącej z robótką na werandzie...

Komendantka cierpliwie czekała na jej odpowiedź, a kiedy Judyta znów podniosła wzrok - uśmiechnęła się do niej zachęcająco.

- No więc jak?
- Pani porucznik jest dla mnie taka dobra... - To było wszystko, co Judyta mogła z siebie wydobyć.
- Robię to, co do mnie należy. A więc sprawa załatwiona? - Kiedy zaś Judyta wreszcie przytaknęła, dodała jeszcze: - No to do dzieła!

*Nadawca: Dowództwo Kobiecej Służby Pomocniczej Marynarki Wojennej, Trincomalee Adresat: Pani Somerville, Dower House, Rosemullion.*

*Kornwalia, Anglia*

*22 sierpnia 1945*

*KOCHANA BIDDY ZŁE WIADOMOŚCI STOP BRU CI DUNBAR  
ZMARŁ 1943 WIĘZIENIE CHANGI STOI' MOLLY I JESS ZAGINIONE  
PO STORPEDOWANIU STATKU STOP MAM MIESIĄC URLOPU  
STOP JAD ħ DO WUJA BOBA NAPISZĘ OD NIEGO STOP Nił MARTW  
SIĘ O MNIE STOP UCAŁOWANIA DLA CIEBII I PHYLLIS STOP  
JUDYTA*

*Nadawca: Bidy Somerville, Rosemullion, Kornwalia, Anglia*

*Adresat: Judyta Dunbar, rezydencja kontradmirała Somerville'a, 326  
Galie Road, Kolombo, Cejlon*

*23 sierpnia 1945*

*TELEGRAM OTRZYMAŁAM STOP MARTWIĘ SIL  
WIADOMOŚCIAMI STOP CIESZĘ SIĘ ŻE JESTEŚ U BO BA STOP  
NASZE MYŚLI SĄ Z TOBĄ STOP CZEKAM) NA CIEBIE Z PHYLLIS  
STOP BIDDY*

*Rezydencja kontradmirała Somerville'a, 326 Galie Road, Kolombo 28  
sierpnia 1945, wtorek*

*Kochana Bidy!*

*Przepraszam, że nie od razu napisałam do Ciebie, ale potrzebowałam  
trochę czasu, żeby się pozbierać po tym wszystkim. Dziękuję za miły  
telegram. Od razu poczułam się lepiej, wiedząc, że tam na drugim końcu  
świata łączycie się ze mną w smutku. Chciałabym, żebyśmy znów były  
razem. Najciężej jest znieść myśl, że oni wszyscy pomarli tak dawno temu,  
kiedy myśmy jeszcze nic nie wiedziały. W Changi panowały podobno tak  
ciężkie warunki, że tylko nieliczni cudem przeżyli. Więźniów  
dziesiątkowały choro-*

by, a o należywym odżywianiu czy opiece lekarskiej nie mogli nawet marzyć. Dobrze, że chociaż mój biedny tatuś nie był sam w swoich ostatnich chwilach, ale miał przy sobie przyjaciół. Mam też nadzieję, że mama i Jess zginęły tu miejscu, kiedy storpedowano ich statek. Początkowo nie dawała mi spokoju myśl, że nie została mi po nich żadna pamiątka, tak jakby obie naraz rozplynęły się w powietrzu. Na szczęście przypomniałam sobie, że jeszcze w Riverview przed wyjazdem do Kolombo mama spakowała swoje drobiazgi i oddała na przechowanie. Mam nadzieję, że będę mogła je odebrać, kiedy wrócę do domu. Żal mi także Phylis, bo była bardzo przywiązana do mojej mamy. Dobrze, że chociaż teraz jesteście razem, la natomiast pławię się w luksusie w domu Boba. Kazał mi mówić do siebie po imieniu - powiedział, że jestem już „za stara”, aby go nazywać wujkiem!

Informacje o rodzicach i Jess przekazała mi nasza komendantka w możliwie najbardziej serdeczny i taktowny sposób. Spodziewała się pewnie, że zacznę płakać, ale wtedy nie mogłam się na to zdobyć. Dopiero później dałam upust łzom. Poszukiwaniem zaginionych osób zajmuje się Czerwony Krzyż, a więc wiadomości o losie mamy, tatusia i Jess są oficjalnie potwierdzone. Pani porucznik udzieliła mi z tej okazji urlopu okolicznościowego i sama zaproponowała, abym wyjechała do Boba. Od razu zadzwoniłyśmy do niego z jej gabinetu i kazał mi natychmiast przyjeżdżać.

Nasza komendantka była tak miła, że zorganizowała mi komfortową podróż, dzięki czemu nie musiałam tłuc się brudnym i dusznym pociągami z Trincomalee do Kolombo. Akurat trafiła się okazja, że komandor Curtice ze swoją sekretarką jechał służbowym samochodem do Kandy na naradę sztabową w Kwaterze Głównej Zjednoczonych Sił Zbrojnych i zgodził się mnie zabrać. Siedziałam obok kierowcy, więc nie musiałam brać udziału w rozmowie. Podróż trwała długo, bo drogi są tam bardzo kręte, ale

*przynajmniej naoglądałam się ciekawych widoków. W lu bylczych wioskach przy szosie dzieci machały do nas ta czkami, po drzewach skakały małpy, kobiety siedziały przed chatami, wyplatając z palmowych liści poszycia da chów, a mężczyźni wykonywali różne prace z udziałem słoni. Po drodze komandor Curtice był tak miły, że postawił mi lunch w zajeździe koło Sigiriya. W Kandy prze nocowałam, a rano inny samochód służbowy zawiózł mnie do Kołombo. Dostarczyli mnie pod sam dom Boba około piątej po południu.*

*Bob czekał już na mnie i wyszedł mi na spotkanie. Ledwo wygramoliłam się z wozu, tak jak stałam, w prze poconym i zakurzonym mundurze - bez słowa uścisnął mnie mocno, jak to on potrafi. Dopiero wtedy rozkrochmaliałam się i rozbeczałam jak dziecko, nie tyle z żalu za moimi bliskimi, co ze zmęczenia i radości, że mam już kogoś, przy kim poczuję się bezpiecznie i nie będę musiała robić dobrej miny na pokaz.*

*Bob wygląda świetnie, może tylko przybyło mu trochę zmarszczek i siwych włosów, ale poza tym prawie się nie zmienił. Ani schudł, ani przytył.*

*Jego dom to piękny, przestronny bungalow. Przy bramie stoi wartownik, a o porządek dba liczna służba. Bob mie szka przy Galie Road, ale nie po stronie morza, tylko po przeciwnej. Przy domu rozciąga się wspaniały cienisty ogród z masą kwitnących drzew i krzewów. Przy tej samej ulicy, tylko o sześć budynków dalej, mieści się siedziba naszej służby pomocniczej, a prawie naprzeciwko stoi dom, w którym mieszkaliśmy przed wyjazdem z Kołombo. Czy to nie nadzwyczajny zbieg okoliczności? Nie wiem. kto tam się potem wprowadził — pewnie rodzina jakiegoś indyjskiego wojskowego.*

*Na parterze willi Boba mieści się ogromny hall, z kto rego dwuskrzydłowe drzwi prowadzą do nie mniej prze stronnego salonu. Można stamtąd wyjść na werandę, a z niej prosto do ogrodu. Po obu stronach salonu znaj-*

*dują się sypialnie i łazienki. Dostałam do własnej dyspozycji uroczy chłodny pokój z marmurową posadzką, oddzielną ubikacją i kabiną prysznicową.*

*Razem z Bobem mieszka w tym domu pan David Beatty, cywilny urzędnik państwowy. To bardzo wykształcony człowiek, włada co najmniej sześcioma językami, w tym chińskim i hindi. Nawet wygląda jak profesor. Większość dnia spędza w swoim gabinecie, ale do kolacji siada razem z nami. Potrafi być miły, ale przy tym tak zabawnie oschły i pedantyczny! Jak już pisałam, po całym domu krząta się rój służących. Najstarszym rangą kamerdynerem jest wysoki, ciemnoskóry Tamil imieniem Tomasz. Usługuje nam przy posiłkach, podaje drinki i jest bardzo sympatyczny, tylko że ma pełno złotych zębów i codziennie nosi świeży kwiatek za uchem. Inne prace wykonują tu pomniejsi posługacze, ale jestem przekonana, że gdyby Tomasz nimi nie zarządzał - zapanowałby tu jeden wielki bałagan.*

*Tomasz ma jeszcze jedną zaletę - umie przyrządzać tajemniczą miksturę, która świetnie leczy kaca. Bardzo przydatna umiejętność!*

*Przez pierwsze trzy dni pobytu nic nie robiłam, tylko odsypiałam zaległości, wylegiwałam się na werandzie z książką lub słuchałam muzyki z płyt na gramofonie Boba, tak jak kiedyś w Keyham Terrace. Bob i David codziennie wychodzą do pracy, więc siedziałam sama w domu i pozwalałam się obsługiwać Tomaszowi.*

*Nie musiałam przez cały czas przebywać w czterech ścianach, gdyż Bob ma do dyspozycji aż dwa samochody. Jeden - służbowy, z marynarzem za kierownicą - zawozi go co rano do pracy, a wieczorem odwozi Z powrotem. Oprócz tego Bob ma jeszcze prywatny samochód z kierowcą - tubylcem o imieniu Azid. Zapowiedział mi, że mogę z niego korzystać, ilekroć zechcę wyskoczyć do miasta, na przykład po zakupy. Tylko że na początku nie czułam się jeszcze na siłach, aby cokolwiek planować.*

*Co wieczór po kolacji, kiedy David Beatty szedł do swego gabinetu, prowadziliśmy z Bobem długie rozmowy\ Wracaliśmy myślami do dawnych czasów, wspominając, zdarzenia i ludzi - Neda, a nawet Edwarda Carey-Lewisa Bob zwierzył mi się, że ma zamiar wystąpić z marynarki Uważa, że dwie wojny światowe to aż nadto jak na jednego mężczyznę, i chciałby resztę życia spędzić z Tobą. Tym bardziej że według niego po wyprodukowaniu bomby a/o mowej zmieni się struktura sił zbrojnych. Marynarka Wojenna będzie wymagała modernizacji i redukcji stanu osobowego.*

*Bob wspominał mi także o Twoich zamiarach sprzedaż domu w Devon i przeprowadzki do Kornwalii. Nie chcia łąbym absolutnie, byście to zrobili ze względu na mnie. ale uważam, że to świetny pomysł. Tylko błagam Cię. Biddy, nie wyprowadzaj się z Dower House, dopóki ja tam nie wrócę!*

*Ależ się rozpisalam! Dopiero pod koniec trzeciego dnia mojego pobytu Bob po powrocie z pracy orzekł, że dosyć już tego leniuchowania. Okazało się, że chce zabrać mnie na koktajl, który urządzano na pokładzie przybyłego nie dawno krążownika. Wykąpałam się więc, przebrałam i świetnie się bawiłam. Poznałam wielu nowych ludzi, wojskowych i cywilów. Między innymi Bob przedstawił mi kapitana Hugona Halleya, który razem z nim pracował w sztabie Naczelnego Dowództwa. Tak przypadliśmy sobie do gustu, że ośmioosobową grupą, w której był i Hugo. po skończonym koktajlu pojechaliśmy jeszcze na kolację do hotelu „Galie”. Wygląda tam jak za dawnych, dobrych czasów, tylko tłok dużo większy.*

*W ostatnią niedzielę Hugo przyszedł do nas na lunch, a potem zabrał mnie samochodem na plażę koło Mown Lavinia. Chcieliśmy się kąpać, ale fale były zbyt wysokie, więc tylko posiedzieliśmy trochę na piasku, a popływaliśmy później w basenie w Klubie Oficerskim. Mają tam*

*także korty tenisowe, więc może kiedyś umówię się z nim nu partyjkę tenisa.*

*Wyobrażam już sobie, jak płoniesz z ciekawości, więc nto dalsze szczegóły. Hugo to bardzo sympatyczny chłopak, przystojny, ma subtelne poczucie humoru i jest nieżonaty! Oczywiście w tej chwili nie ma to dla mnie żadnego znaczenia - grunt, że dobrze się bawię w jego towarzystwie. Proszę Cię więc, abys jeszcze nie projektowała dla mnie sukni ślubnej! A propos sukni - Hugo znów zaprosił mnie na przyjęcie, więc muszę sobie sprawić nowe rzeczy, bo przy tych eleganckich damach z Kolombo wyglądam jak uboga krewna.*

*Muszę już kończyć. Ciekawe, ale dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jakim obciążeniem była dla mnie ta ciągła niepewność co do losu moich rodziców i Jess. Teraz przynajmniej nie będę musiała już dłużej się z tym obnosić. Jasne, że nikt i nic nie zapełni tej pustki, którą po sobie zostawili, ale stopniowo zaczynam już myśleć o przyszłości. Nie potrzebujesz więc kłopotać się o mnie.*

*Martwi mnie tylko jedno: że mam już dwadzieścia cztery lata i dotychczas jeszcze niczego nie osiągnęłam. Nie zdobyłam żadnego wykształcenia, bo w końcu nie miałam kiedy podjąć studiów. Kiedy wrócę do kraju — pewnie trzeba będzie zaczynać wszystko od początku, tylko że sama nie wiem jeszcze, co właściwie miałabym zaczynać. Myślę jednak, że na coś się w końcu zdecyduję.*

*Ucałowania dla Ciebie i reszty -*

*Judyta*

O siódmej rano było jeszcze stosunkowo chłodno i przyjemnie. Judyta wstała z łóżka i boso, tylko w cienkim szlafroczku, przeszła na werandę. Zastała tam Boba, który zjadł już śniadanie, złożone jedynie z plastra owocu papai, i wypijał właśnie trzecią filiżankę kawy. Nie słyszał kroków Judyty, bo przeglądał właśnie poranny numer „Ceylon Timesa”.

- Cześć - odezwała się.
- Boże, aleś mnie przestraszyła! - Bob gwałtownym ruchem odłożył gazetę. - Co ty tu robisz o tej porze ?

Pocałowała go na przywitanie i usiadła przy stole na przeciw niego.

- Chciałam cię o coś zapytać.
- Zanim zapytasz, najpierw coś zjedz.

Na dźwięk ich głosów natychmiast zjawił się Tomasz przynosząc drugą porcję papai, gorące grzanki i czajniczek z chińską herbatą. Tego ranka miał zatknięty za uchem kwiat czerwonego jaśminu.

- Dziękuję, Tomaszu.

Służący pokazał w uśmiechu złote zęby.

- Czy mam podać jeszcze jajka na miękko?
- Nie, dziękuję. Wystarczy papaja.

Tomasz ustawił więc przyniesione talerze tak, jak mu się wydawało najlepiej, po czym opuścił pokój.

- No więc o co chciałaś mnie zapytać? - zwrócił się do Judyty Bob.

Wyglądał dziś świeżo i apetycznie: szpa kowaty i mocno opalony, w śnieżnobiałym tropikalnym mundurze ze złotymi epoletami kontradmirała.

- Chciałabym się wybrać dziś po zakupy. Czy mogła bym skorzystać z samochodu?

- Ależ oczywiście! Nie musiałaś zrywać się tak wczesnie, tylko żeby o to zapytać.

- I tak już nie spałam. - Jakby na zaprzeczenie swoich słów ziewnęła. - A gdzie jest David?

- Wszedł już, bo miał dziś wcześniej odprawę. A co/ takiego chcesz kupować?

- Coś z ubrania, bo nie mam co na siebie włożyć.

- Stara śpiewka!

- Bo to prawda! Hugo znowu się ze mną umówił, a ja nie mam w czym wyjść.

- Cóż to za problem? Nie masz pieniędzy?

- Mam, tylko nigdy nie miałam zbyt wielu sposobności do robienia zakupów i nie wiem, czy dam sobie radę.



- Zawsze sądziłem, że kobiety świetnie radzą sobie z zakupami.
  - Ogólnie tak, ale we wszystkim trzeba mieć doświadczenie. Mama zawsze bała się podjąć decyzję, ilekroć coś razem kupowałyśmy. No i nawet za najlepszych czasów nigdy nie miała przy sobie zbyt wiele gotówki. A kiedy zamieszkałam razem z Bidy, trwała już wojna i wszystko było na kartki. Tylko przerabiało się wciąż te same, obrzydliwie praktyczne, stare ciuchy. - Przerwała na chwilę, aby nalać sobie gorącej herbaty. - Największą specjalistką od zakupów, jaką znam, jest Diana Carey-Lewis. Ona w naj wytworniej szych magazynach czuje się w swoim żywiole i ekspedientki nigdy nie mają jej dość.
  - Myślisz, że ciebie szybko miałyby dość? - podśmiewał się wujek.
  - Może nie, ale przydałaby mi się jakaś sprytna koleżanka.
  - Tego nie jestem w stanie ci zapewnić, ale ręczę, że mimo braku doświadczenia poradzisz sobie świetnie.
- O której chcesz wyruszyć?
- Około dziewiątej, zanim zrobi się gorąco.
  - Dobrze, powiem Tomaszowi, żeby zamówił na tę porę Azida. Teraz muszę już iść, bo mój samochód czeka. Miłego dnia!
- Judyta słabo już pamiętała rozkład miasta Kolombo. Kazała więc Azidowi zawieźć się do firmy „Whiteaway i Laidlaw”, która była cejlońskim odpowiednikiem londyńskiego Harrodsa i jeszcze jej matka chętnie się tam zaopatrywała. Azid wysadził więc Judytę przy rozgrzanym i zatłoczonym chodniku pod sklepem i spytał, kiedy ma po nią przyjechać.
- Chyba koło jedenastej - zdecydowała szybko, bo gorąco jej było stać w słońcu, a poza tym potraćali ją przechodnie.

- Tak jest, proszę panienki. Będę czekał, o tu! - Azid wskazał ręką miejsce, w którym stał.

Judyta weszła więc po schodkach ocienionych markizą. W drzwiach zawahała się przez chwilę, lecz zaraz polem skierowała się na piętro do działu odzieżowego. Tam jed nak zakręciło się jej w głowie od wszechobecnych luster, manekinów, wieszaków, a przede wszystkim sukienek. Nie wiedziała, od czego zacząć. Z opresji wybawiła ją dopiero ekspedientka, drobna Eurazjatka o wielkich czarnych oczach i czarnych włosach związanych z tyłu wstążką, schludnie ubrana w białą bluzeczkę i czarna spódniczkę.

- Czym mogę pani służyć? - spytała cichym głosem. Ułatwiło to Judycie zadanie, gdyż od razu jej umysł zaczął pracować w szybszym tempie. Co chciałaby kupić? Kilka sukienek koktajlowych, może jedną długą do tańca... Ba wełniane sukienki do chodzenia na co dzień...

- Mamy tu wszystko - oświadczyła ekspedientka. Pani jest bardzo szczupła... Zaraz coś dopasujemy.

Zaprowadziła Judytę do przymierzalni i przyniosła jci całe naręczce rozmaitych części garderoby. Judyta zrzuciła swoją mundurową bluzę i spódniczkę, a sympatyczna pa nienka ubierała ją w coraz to inne stroje, z najróżniej szych materiałów i we wszystkich kolorach tęczy. Jedwabie, bawełny, woale... Suknia balowa z różowego jedwa biu jak na hinduskie sari, z wyszytym szlakiem złotych gwiazdek przy obrętku... Koktajlowa sukienka z błękitnej chińskiej krepy w duże białe kwiaty... Suknia tuba ze zło cistego szantungu o kroju prostym, lecz wystudiowanym... Wreszcie czarna muślinowa sukienka o szeroko rozklo szowanym dole, na sztywnej halce, z bogato marszczoną riuszą z białej organdy wokół głębokiego dekoltu!

Wybór był trudny, ale ostatecznie Judyta zdecydowała się na różową suknię balową i trzy koktajlowe, w tym czarną muślinową, która od razu wpadła jej w oko. Do

tego dokupiła jeszcze trzy sukienki na co dzień i jedną plażową, której karczek trzymał się tylko na ruloniku.

Teraz już Judyta pozbyła się wszystkich zahamowań i poszła na całego. Do nowych sukienek potrzebowała przecież dodatków. Przeszła więc do działu obuwia, gdzie nabyła sandały, kilka par kolorowych czółenek i czarne pantofelki z odkrytymi piętami, na dziesięciocentymetrowych obcasach, do kompletu z czarną sukienką. W innym dziale kupiła dwie małe wieczorowe torebki, czarną i złotą, jak również sportową torebkę na ramię, z miękkiej czerwonej skórki. Do tego jeszcze apaszki i bransoletki, szal z kaszmiru, okulary przeciwsłoneczne i skórzany pasek ze srebrną klamrą...

Schodząc na parter, Judyta zawadziła o dział kosmetyczny. Na ladach i półkach stały tam różnokolorowe pudełeczka i słoiczki, flakoniki perfum, szminki w złotych oprawkach, wysadzone klejnocikami puderniczki i łąbędzie puszki do pudru. Nie mogła oprzeć się tej pokusie, zwłaszcza że dawno wyczerpały się zapasy z kasety Elizabeth Arden, którą kiedyś dostała w prezencie, a w Trincomalee nie było porządnej drogerii. Kupiła więc sobie szminkę, perfumy, pachnący talk i także mydło, ołówki do brwi, cienie do powiek, tusz do rzęs, olejek kąpielowy, szampon, lakier do paznokci i krem do rąk.

Azid czekał już na nią, gdyż spóźniła się na umówioną porę. Kiedy zobaczył, jak wychodzi ze sklepu obładowana paczkami - natychmiast rzucił się, aby je od niej odebrać. Wrzucił pakunki na tylne siedzenie wozu i otworzył drzwiczki, aby Judyta mogła wsiąść. Gdy już opadła bezsilnie na rozgrzane siedzenie, zamknął za nią drzwiczki. Uśmiechnął się, gdy w lusterku wstecznym napotkał jej spojrzenie.

- Jak się panience udały zakupy?

- Dziękuję, Azid, bardzo dobrze. Przepraszam, że dałam ci czekać.

- Ależ nic się nie stało.

W drodze powrotnej, kiedy przez otwarte okna samochodu wpadał powiew, który chłodził jej rozgrzane policzki, Judyta zorientowała się, że po pierwsze - przez całe dwie godziny udało jej się nie myśleć o zmarłych rodzicach ani o Jess. Po drugie zaś doszła do wniosku, że mimo męczącego upału zakupy sprawiły, iż poczuła się dziwnie ożywiona. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego większość kobiet tak lubi chodzić po sklepach i wydawać pieniądze nawet na całkiem niepotrzebne fatalaszki. Najwyraźniej zakupy mają w sobie coś, co daje nieszczęśliwym pociechę, znudzonym - rozrywkę, a zawiedzionym - satysfakcję. Z pewnością była to rozrywka ko sztowna i ekstrawagancka - lepsza jednak niż uzalanie się nad sobą bądź szukanie pociechy w alkoholu czy w ramionach przypadkowych kochanków.

Uśmiechnęła się do siebie. Największą przyjemność sprawiło jej nabycie tej strojnej czarnej sukienki. Od czasu do czasu będzie się wybierać po zakupy...

W tym momencie uświadomiła sobie również, ile wydała pieniędzy, i przezornie uzupełniła: „Byle nie za często!”

Zapadł już zmrok i przez otwarte okno widać było czarną sylwetkę palmy na tle szafirowego nieba usianego pici wszymi gwiazdkami. Judyta przy swej toalecie zakładała właśnie kolczyki. Z werandy, gdzie odpoczywał Bob So merville ze swą nieodłączną szklaneczką whisky i fajką, dochodziły przytłumione dźwięki muzyki fortepianowej. Najwyraźniej Bob oddawał się swojej ulubionej rozrywce - słuchaniu muzyki z płyt. Tym razem były to chyba wariacje Rachmaninowa na motywach utworów Paga niniego.

Po nałożeniu kolczyków wybrała jedną ze świeżo ku pionych szminek i starannie umalowała usta. W lustrze widziała odbicie swoich szarych oczu obrzeżonych uczei nionymi rzęsami, plamy rózu na policzkach i zarys uszmin kowanych warg. Umyte właśnie włosy, krótko obcięte

i spłowiące od słońca, przylegały gładko do głowy. Wyciągnęła koreczek z flakonu perfum „L'Heure Bleu” i dotknęła nim skóry na karku oraz po wewnętrznej stronie nadgarstków. Rozchodzący się w powietrzu zapach stanowił prawdziwą rozkosz dla zmysłów i kojarzył się Judycie ze szczytem wyrafinowanego luksusu. Wrażenie to przywiodło jej na myśl Dianę Carey-Lewis - ciekawe, jak podobałoby się jej nowe wcielenie Judyty?

Wstała od lustra, strząsnęła z ramion cienki szlafroczek, wsunęła stopy w czarne czółenka bez pięt i sięgnęła po rozłożoną na łóżku sukienkę. Wrzuciła ją przez głowę, aż owionęły ją fałdy przezroczystego czarnego materiału, i spróbowała zapiąć zamek błyskawiczny z tyłu.

Niestety, nie było to takie proste, jak się wydawało. Rano w sklepie ekspedientka zapięła i odpięła zamek, więc Judyta nie przypuszczała, że sama może mieć z tym trudności. Najwyraźniej do wkładania tego typu sukienki potrzebna była pomoc drugiej osoby - pokojówki, męża czy nawet kochanka. Judyta nie miała jednak nikogo takiego pod ręką, więc pozostał jej tylko Bob. Wzięła więc swoją czarną wieczorową torebkę i udała się na poszukiwanie wujka. Wysokie obcasy jej pantofelków postukiwały na marmurowej posadzce, a nie dopięta sukienka ześlizgiwała się z ramion.

Bob odpoczywał, wpięty, na fotelu z podnóżkiem. W jednej ręce trzymał fajkę, w drugiej szklaneczkę whisky z wodą sodową. W świetle małej lampki relaksował się słuchając Rachmaninowa. Robił wrażenie tak odprężonego, że aż żal było mu przeszkadzać.

- Słuchaj, Bob... - zaczęła.

- A, to ty. Cześć!

- Mógłbyś zapiąć mi ten zamek?

Bob ze śmiechem podciągnął się do pozycji siedzącej. Judyta uklękła tyłem do niego, a on, z wprawą żonatego od lat mężczyzny, dociągnął zamek na jej plecach. Raptem poczuła się tym jakby zażenowana.

- Podoba ci się ta sukienka?
  - Wspaniała. Dziś ją kupiłaś?
  - Tak, była strasznie droga, lecz nie mogłam się oprzeć. Dokupiłam do niej te pantofle i torebkę.
  - Wyglądasz jak gwiazda filmowa. A mówiłaś, że me znasz się na zakupach.
  - Już się nauczyłam, to wcale nie takie trudne. - Przy siadła na chwilę naprzeciw niego. - Ten Rachmaninow jest niezrównany. Szkoda, że nie idziesz ze mną.
  - A dokąd wychodzisz tym razem?
  - Na jakiś okręt, chyba ten australijski niszczyciel.
  - Aha, już wiem, co to za przyjęcie. Mówiąc między nami, też zostałem na nie zaproszony, ale wymówiłem się, że mam już inne zobowiązania. Żebyś mnie tylko nie wydała!
  - Dobrze, będę pamiętać.
  - Prawdę mówiąc, jestem już trochę zmęczony tymi wieczornymi wyjściami. Chciałbym mieć choć jeden wie czór dla siebie i wcześniej położyć się spać.
  - Jeśli wcześniej pójdziesz do łóżka, to kto rozepnie mi ten zamek?
  - Poprosisz Tomasza. On z pewnością będzie czekał na twój powrót.
  - Ale czy nie będzie czuł się skrepowany?
  - Jego już chyba nic nie zdziwi.
- W tym momencie odezwał się dzwonek przy drzwiach frontowych. Słychać było, jak Tomasz poczłapał przez cały hall, żeby je otworzyć.
- Dobry wieczór, sahibie.
  - Dobry wieczór, Tomaszu.
  - Pan admirał jest na werandzie.
  - Dziękuję. Już ja go znajdę.
- Po chwili na werandzie pojawił się Hugo w odświętym mundurze, z kapeluszem pod pachą. Bob zaproponował mu drinka, ale młody oficer uprzejmie odmówił. I tak

byli już spóźnieni, a na pokładzie gościnnego okrętu czekało na nich morze drinków.

- No więc bawcie się dobrze. Odprowadzę was do wyjścia. - Bob dźwignął się na nogi, najwyraźniej starając się odwlec moment pożegnania. Towarzyszył im aż do drzwi frontowych, gdzie Judyta pocałowała go na dobranoc i zapewniła, że szykuje się jej miły wieczór. Kiedy samochodem Hugona wyjechali za bramę, Bob zamknął ją za nimi. Tej nocy nad dachami miasta unosił się księżyc w pełni. Aby dostać się do portu, należało przejechać przez całą długość Galie Road na drugi koniec miasta. Australijski niszczyciel cumował na terenie doków i na jego głównym pokładzie, rześście oświetlonym, już trwała zabawa. Kiedy Judyta i Hugo dostali się tam po trapie - szybko się zorientowali, że jest to takie samo przyjęcie jak to, na którym Judyta była uprzednio z Bobem. Rozpoznawała nawet twarze gości, choć nie kojarzyła ich z nazwiskami. Hugo doprowadził ją w stronę dowódcy okrętu, aby dokonać prezentacji. Kręcący się w pobliżu stewardzi zaoferowali im zaraz drinki i kanapki, po czym oboje oddali się bez reszty rozmówkom towarzyskim bez głębszego sensu, ale nie pozbawionym swoistego wdzięku. Judyta na jakiś czas rozstała się z Hugonem, pochłonięta konwersacją z dwoma australijskimi oficerami w stopniu porucznika. Nagle poczuła na nadgarstku ciasny uchwyt czyichś palców, a przed nią wyrosła jak spod ziemi dama w obcisłej pawiozielonej sukni.

- Ach, kochanie, jak miło, że przyszłaś! - zaszczębiotała. - Pamiętasz, poznałyśmy się na tamtym przyjęciu. Bob Somerville przedstawił nas sobie. Nazywam się Moira Burringde, a ty jesteś Judyta Dunbar, prawda? Jaką masz szalową sukienkę! Bob to uroczy człowiek. Nie wiesz, gdzie on jest?

Na szczęście rozluźniła nieco swój żelazny uchwyt, tak że Judyta mogła oswobodzić rękę. Jeden z australijskich

poruczników wymamrotał jakąś grzecznościową formułki, i szybko się ulotnił. Drugi natomiast pozostał, z usnnc chem jakby przylepionym do twarzy. Moira Burridge, będąc niskiego wzrostu, stanęła na palcach i zaczęła sn, rozglądać wyłupiastymi oczyma o barwie zielonych winogron, z rozmazanym tuszem na rzęsach.

- Gdzież on jest? - nie ustępowała. - Nigdzie go nie widzę.

- Bob nie mógł dziś przyjść - wyjąkała wreszcie Judyta. - Miał inne zobowiązania.

- Kurczę, szkoda. Bez niego żadna zabawa ani w po łowie nie jest taka fajna. - Nie mogąc ukryć zawodu, zwróciła się ku Judycie. - To z kim przyjechałaś?

- Jest ze mną Hugo Halley.

- Hugo? - Moira miała brzydki zwyczaj przysuwania się do samej twarzy rozmówcy. Judyta instynktownie się cofnęła, ale choć starała się zrobić to dyskretnie, Moim natychmiast przybliżyła się jeszcze bardziej. - A gdzieś ty go poznała? O ile wiem, mieszkasz u Boba. Długo jeszcze zostaniesz w Kolombo? Musicie kiedyś przyjść do nas. Kiedy by wam pasowało? Judyta usiłowała się wymówić, przebąkując, że nie zna planów Boba.

- Zadzwoń do niego. Mieszkamy w forcie, bo Rodney pracuje w sztabie... Znasz Rodneya, prawda? - Moira, mówiąc, rozpryskiwała z ust kropelki śliny. Jedna taka kropelka pacnęła Judycie na policzek, ale dziewczyna była zbyt dobrze wychowana, by ją ostentacyjnie wytrzeć. Nie znasz? To zaraz ci go pokażę.

Akurat przechodził obok steward, niosąc drinki na tacy. Moira w przelocie odstawiała tam swoją pustą szklaneczkę, zamieniając ją na pełną.

- O, tam jest! - Moira nie przerywała potoku wymowy. - Widzisz, rozmawia z tym podporucznikiem indyjskiej marynarki.

Na tej podstawie Judyta mogła, choć z pewnymi trud-



nościami, zidentyfikować komandora Burridge'a. Był to wysoki, łysy mężczyzna o twarzy kształtu gruszki. Zanim jednak otworzyła usta - Moira zarzuciła ją następną lawiną słów.

- Zaraz, niech no pomyślę... Jesteś chyba krewną Boba, prawda?

Przyjechałaś z kraju?

Judyta wymamrotała coś na temat Trincomalee.

- Biedactwo, zesłali cię do tej zabitej deskami dziury pełnej komarów?

Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że dopiero co przyjechałaś z kraju. Zostawiliśmy tam naszych dwóch chłopaków. Są w szkole z internatem, a wakacje spędzają u mojej mamy. Już od dwóch lat nie widziałam moich biednych maleństw...

Rozmowa z Moirą Burridge miała tylko tę dobrą stronę, że ta gadatliwa osoba wcale nie oczekiwała odpowiedzi na swoje wynurzenia.

Wystarczyło, że Judyta od czasu do czasu potakiwała głową, kręciła nią przecząco bądź uśmiechała się ledwo dostrzegalnie. Moira, rozochociona wypitymi koktajlami, trzepała z coraz większą werwą, aż Judyta zaczęła się w końcu modlić, aby powrócił Hugo i wybawił ją z tej opresji.

- Tak naprawdę, to wcale nie tęsknię za krajem - wywnętrzała się dalej Moira. - Mamy tam dom w Petersfield, ale teraz w Anglii wszystko jest na kartki, nawet paliwo. A najgorsze, że nie mieliśmy tam służby! Chyba całkiem przewróciło nam się w głowach, no i odwykliśmy od tej okropnej angielskiej pogody... Co robicie dziś wieczorem? Może poszlibyśmy razem na kolację do hotelu „Grand Oriental”?

Judycie zrobiło się słabo na samą myśl o tym, ale na szczęście w samą porę zjawiał się Hugo. Odetchnęła z ulgą, podczas gdy on przywitał Moirę promiennym uśmiechem.

- Witam drogą panią. Właśnie zamieniłem parę słów z szanownym małżonkiem...

- Hugo, łobuzie, musiałeś poderwać najładniejszą

dziewczynę na pokładzie? Proponowałam właśnie, abyście poszli z nami na kolację do „Grand Oriental”...

- To miło z pani strony, ale niestety nie możemy skorzystać. - Hugo zrobił szczerze smutną minę. - Wybieramy się właśnie na proszoną kolację i już jesteśmy spóźnieni. Myślę, Judyto, że musimy się zbierać...

- Jaka szkoda! Czy naprawdę musicie tam iść? Tak nam się przyjemnie gawędziło, prawda, kochanie? A ile jeszcze miałybyśmy do pogadania... - Moira z trudem już utrzymywała równowagę na swoich niebotycznych obcasach. - Ale to nic, spotkamy się kiedy indziej.

W końcu udało się im uwolnić od jej kłopotliwego towarzystwa.

Schodząc z pomostu, Judyta obejrzała się i dostrzegła, że pani Burridge wzięła następną szklaneczkę, przycisnęła do muru kolejnego nieszczęśnika i znów była w stanie euforii. Kiedy szczęśliwie znaleźli się już na brzegu poza zasięgiem uszu dowódcy wachty, Judyta nie wytrzymała.

- W życiu nie spotkałam tak okropnej baby!

- Przepraszam, że zostawiłem cię na jej pastwę - usprawiedliwił się Hugo, biorąc Judytę pod ramię. Znajdowali się na terenie doków, więc musieli lawirować między dźwigami, skrzyniami, kablami i łańcuchami. - Ta kobieta jest postrachem całej marynarki. Należałoby współczuć biednemu Rodneyowi, tylko że ten stary nudziarz nie zasłużył na nic lepszego.

- Bałam się już, że będę musiała spędzić w jej towarzystwie cały wieczór!

- Z pewnością nie naraziłbym cię na coś takiego.

- Już chciałam jej wmówić, że dostałam strasznej migreny. Ale pierwsze słyszę, że jesteśmy jeszcze gdzieś zaproszeni.

- Musiałem jakoś spławić panią Burridge, bo zarezerwowałem stolik w klubie „Pod Salamandrą”, a gdyby ona dowiedziała się o tym, nie odczepiłaby się od nas.

- Nigdy nie słyszałam o żadnej „Salamandrze”.

- To prywatny klub, którego jestem członkiem. Będziemy mogli zjeść tam kolację i potańczyć. Chyba że wolisz iść z Burridge'ami do „Grand Oriental”? Mógłbym zawrócić i powiedzieć im, że zmieniliśmy zdanie.

- Tylko spróbuj! Chybabym cię udusiła!

- A więc idziemy „Pod Salamandrę”.

Wsiadli do samochodu zaparkowanego przy bramie portu i skierowali się na południe, do dzielnicy starych domów pamiętających czasy kolonizacji holenderskiej. Judyta nie знаła tej części miasta, ale po dziesięciu minutach byli już na miejscu. Do okazałego budynku, ustawionego szczytową ścianą w stronę ulicy, wjeżdżało się przez wysoką bramę i kolisty podjazd. Wejścia nie znaczył żaden szyld ani reklama świetlna, tylko przy drzwiach stał portier w zielonej liberii i majestatycznym turbanie. Inny pracownik pilnował parkingu.

Po szerokich schodach i przez rzeźbione drzwi wchodziło się do hallu z kolumnami, wykładanego marmurem. Za następnymi drzwiami znajdował się wewnętrzny dziedziniec pod gołym niebem, otoczony tarasami, z parkietem do tańca pośrodku. Na tarasach stały stoliki, które oświetlały lampki z czerwonymi abażurami, natomiast na krąg taneczny padało tylko światło księżyca. Orkiestra grała tańce latynoamerykańskie, jakąś sambę czy rumbę. Po parkiecie kręciło się już kilka par, tańczących mniej lub bardziej w takt melodii.

- O, pan kapitan Halley! - Starszy kelner, w nakrochmalonej białej kurtce i takimż sarongu, wyszedł im na powitanie. Wskazał stolik, pomógł rozłożyć serwetki, przyniósł karty dań i dyskretnie się ulotnił.

- No i jak ci się tu podoba? - Hugo ponad stolikiem spojrzał w oczy Judycie.

- Nie miałam pojęcia, że w tym mieście istnieje taki uroczy zakątek.

- Istnieje dopiero od pół roku, ale miałem szczęście,

że wszedłem do klubu na prawach założyciela. W tej chwili przyjmują tu ograniczoną liczbę członków i trzeba się zapisywać na listy oczekujących.

- Kto tu jest kierownikiem?
- Jakiś facet, zdaje się pół-Portugalczyk.
- To brzmi jak z sensacyjnego filmu.
- Tak? - roześmiał się Hugo. - Ale nie dlatego cię lu przyprowadziłem.
- A dlaczego?
- Bo można tu dobrze zjeść, głuptasku!

W tym momencie powrócił starszy kelner w towarzystwie drugiego, niosącego srebrny kubełek z lodem, a w nim - oszronioną butelkę.

- Kiedy zdążyłeś to zamówić? - Judyta nie posiadała się ze zdziwienia.
- Od razu, gdy rezerwowałem stolik.
- Ale to chyba nie szampan? Przecież to niemożliwe!
- Rzeczywiście nie, ale to białe, musujące wino z Afryki Południowej. Może prawdziwy koneser kręciłby na nic nosem, ale wydaje mi się, że jest bardzo dobre.

Kelner otworzył butelkę, nalał wina do kieliszków i odstawił kubełek na bok.

Judyta podniosła do ust kieliszek na długiej nóżce.

- Twoje zdrowie! - Hugo wznosił toast.

Judyta upiła łyżeczkę i przekonała się, że jeśli nawet to nie szampan - to w każdym razie trunk był od niego niewiele gorszy: dobrze schłodzony, musujący i pachnący świeżością.

Hugo odstawił kieliszek i zagaił:

- Mam ci do powiedzenia dwie rzeczy, i to teraz, póki pamiętam.
- I cóż to takiego?
- Zacznę od tego, co powinienem był powiedzieć już dawno: jesteś naprawdę śliczna!
- No wiesz... - bąknęła zmieszana, choć jednocześnie mile połączona.

- Coś taka zdziwiona? Zauważyłem, że Angielki nie umieją dobrze przyjmować komplementów. Amerykanki za to aż za dobrze - tak jakby się im należały!

- W każdym razie to miło z twojej strony. Tę sukienkę dopiero co kupiłam.

- Jest zachwycająca.

- A co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

- To już coś z innej beczki.

- No więc?

Hugo odstawił kieliszek i nachylił się nad stołem.

- Wiem już, co się stało z twoją rodziną. Dopiero niedawno dowiedziałas się, że nikt z nich nie przeżył, prawda? Czekalaś trzy i pół roku, aby w końcu się dowiedzieć, że nie ma żadnej nadziei. Jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać, ale przede wszystkim pragnę, żebyś wiedziała, że ja wiem. Żeby między nami nie było żadnych niedomówień ani tematów tabu.

- Masz rację - przyznała Judyta po krótkim namyśle. - Właściwie to ja powinnam była od tego zacząć, ale nie chciało mi to przejść przez gardło.

- W każdym razie możesz śmiało o tym mówić, jeśli chcesz.

- Nie mam na to zbyt wielkiej ochoty.

- To nawet lepiej.

- A kto ci o tym powiedział? - przyszła jej do głowy nagła myśl.

- Admirał Somerville.

- Ale czy powiedział ci o tym, jeszcze zanim spotkaliśmy się po raz pierwszy?

- Nie, dopiero w ostatnią niedzielę, kiedy wróciliśmy z plaży. Poszłaś się przebrać, a wtedy admirał, korzystając z tego, że byliśmy sami, powiedział mi, jaka jest sytuacja.

- Nic mi wtedy nie wspomniałeś.

- Uważałem, że to nie był właściwy moment.

- Dobrze, że nie wiedziałeś o tym wcześniej. Inaczej

myślałabym, że po prostu starasz się być dla mnie miły, bo ci mnie żal.

- Niby jak to miałyby wyglądać?

- Bob na przykład mógłby cię uprzedzić: „Wiesz, moja siostrzenica ma teraz straszne zmartwienie. Chciałbym żebyś ją trochę rozerwał”.

- Nie ze mną ten numer! - Hugo się roześmiał. - Nic nadaję się do zabawiania zmartwionych siostrzenic. W takich sytuacjach mam po prostu ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie.

Rozmowa na chwilę się urwała, po czym Hugo podsumował:

- No więc wyczerpaliśmy ten temat.

- Może to i lepiej.

- Teraz mówmy o czymś innym. Kiedy wracasz do Trincomalee?

- Dopiero za trzy tygodnie. Może Bob będzie mógł podwieźć mnie do Kandy, a stamtąd jakoś się dostanę.

- Nie możesz polecieć samolotem?

- Na samoloty RAF-u trudno się dostać.

- A chętnie tam wrócisz?

- Nie bardzo. Zresztą myślę, że odkąd wojna się skoii czyła, w takich bazach jak ta będzie coraz mniej do roboty. Pewnie zaczną stopniowo zwalniać personel, a mój okręt „Adelaide” wraz z Czwartą Flotą popłynie do Australii. Będę musiała rozejrzeć się za jakąś pracą na lądzie. Judyta wypła następny łyk wina i odstawiła kieliszek. Właściwie mam już tego dość. Najchętniej wsiadłabym na pierwszy statek i popłynęła do kraju. Tylko że jeszcze nieprędko do tego dojdzie.

- A co zrobisz, kiedy tak się stanie?

- Wrócę do swojego domu. - Jeszcze tamtego dnia, kiedy siedzieli na plaży w Mount Lavinia, bo z powodu zbyt wysokiej fali nie dało się pływać, opowiedziała mu o Dower House w Kornwalii, zamieszkanym obecnie przez Bidy Somerville i Phyllis. - A wtedy nie będę musiała

szukać pracy ani robić niczego, czego nie będę chciała. Zapuszczę włosy choćby do pasa, będę kłaść się spać i wstawać, kiedy zechcę. Przez całe życie musiałam przestrzegać jakichś regulaminów, najpierw w szkole, a potem w tej służbie. Mam już dwadzieścia cztery lata i chyba najwyższy czas, żebym trochę użyła życia.

- Zgadza się z tobą, ale zauważ, że ta wojna dotknęła całe twoje pokolenie. Tylko że niektórych w specyficzny sposób. Wielu ludziom dała szansę wyrwania się z ich szarej, beznadziejnej egzystencji. - W tym momencie Judyta przypomniała sobie męża Phyllis, Cyryla Eddy'ego, który dzięki wojnie mógł spełnić marzenia o dalekomorskich rejsach, zamiast harować w kopalni cyny. - Słyszałem o przynajmniej dwóch kobietach z bardzo dobrych domów, które wcześniej wyszły za męża, bo nie miały co ze sobą zrobić. Gdy wybuchła wojna i ich nudni mężowie poszli na front - odkryły swoją życiową szansę w szeregach francuskiego, polskiego czy norweskiego ruchu oporu. Przez te kilka lat żyły pełnią życia.

- A czy po wojnie wróciły do swoich mężów?

- Tak, ale o ile dojrzałe i mądrzejsze!

- Ludzie są różni - Judyta się zaśmiała.

- I chwała Bogu, bo inaczej świat byłby strasznie nudny.

- Ile ty masz lat? - zagadnęła znienacka, gdyż pomyślała, że Hugo musi być bardzo mądry.

- Trzydzieści cztery.

- I nigdy nie miałaś zamiaru się ożenić?

- Nieraz miałem, ale nie podczas wojny. Nikomu niespieszno umierać, ale chyba ciężiej jest ginąć ze świadomością, że zostawia się osamotnioną wdowę i sieroty.

- Przecież wojna już się skończyła.

- Tak, ale swoje życie związałem raz na zawsze z marynarką. Chyba że uznają mnie za zbędnego i przeniosą w stan spoczynku, do jakiejś nudnej pracy na lądzie.

Akurat wrócił starszy kelner, by przyjąć zamówienie. Potrwało to trochę, gdyż okazało się, że nie zdążyli jeszcze

przejrzeć menu. Ostatecznie oboje zdecydowali się na homara i kurczaka. Kelner napełnił powtórnie ich kieliszki i wycofał się na zaplecze. Krótką chwilę ciszy przerwało westchnienie Judyty.

- O co chodzi? - spytał Hugo.

- Nie wiem dokładnie, ale chyba myślałam właśnie o powrocie do Trincomalee. To coś takiego jak powroci do szkoły po wakacjach.

- Postaraj się nie myśleć o tym.

- Dobrze, nie będę - obiecała. - Ale nadal nie wiem, jak mogliśmy się wplątać w dyskusję na tak poważne te maty.

- To wszystko przeze mnie, więc dajmy temu spokój i mówmy o czymś innym.

- Nie wiem, jak się do tego zabrać.

- Na przykład opowiedz mi kawał albo zadaj zagadkę.

- Szkoda, że nie mamy do tego papierowych czapek.

- To zwróciłoby na nas uwagę, a gdybyśmy zrobili z siebie widowisko, mógłbym zostać wydalony z klubu. Wyobrażasz sobie, jaki powstałby skandal? Moira Bur ridge miałyby o czym plotkować przez najbliższe miesiące.

- Pewnie powiedziałyby, że dobrze nam tak, bo ośmieliliśmy się unikać jej towarzystwa.

- Sądzę więc, że powinniśmy starannie zaplanować, jak spędzimy te trzy tygodnie, żeby nie zmarnować ani chwili. Chciałbym, żebyś miała co wspominać, gdy wrócisz do Trincomalee. Mogę na przykład zabrać cię do Negombo, starego portugalskiego fortu, gdzie jest naprawdę pięknie. Albo wybierzmy się do Panadury, żeby popływać na plaży jak z „Błękitnej laguny”. Możemy też wybrać się na wycieczkę do Ratanapury, gdzie jest zajazd, w którym na stołach stoją misy pełne szafirów. Kupię ci taki szafir, żebyś wpięła go sobie w nos jak Hinduska. A co najbardziej lubisz? Uprawiać sport? Moglibyśmy pograć w tenisa.



- Nie zabrałam ze sobą rakiety.
- To nic, zawsze można ją wypożyczyć.
- A dobrze grasz?
- Świetnie, szczególnie wtedy, gdy z wdziękiem przeskakuję przez siatkę, aby pogratulować zwycięzcy.

Orkiestra znów zagrała do tańca, tylko tym razem, zamiast melodii latynoamerykańskiej, był to ckliwy utwór jazzowy przy akompaniamencie saksofonu.

*Cóż ci mogę podarować dziś, mała? Tylko serce, więcej nie mam nic, mała!...*

- Chodź, zatańczymy - zaproponował nagle Hugo. Kiedy przeszli na parkiet, okazało się, że zgodnie z jej oczekiwaniami Hugo doskonale tańczył. Nie przestępował z nogi na nogę ani nie popychał Judyty przed sobą, jakby była odkurzaczem. Trzymał ją tylko mocno w ramionach, przyciskając policzek do jej policzka. Nic nie mówił, bo i nie było o czym mówić.

*Dałbym ci klejnotów pełen wór, mała,*

*Od Woolwortha perłę długi sznur, mała.*

*Lecz nadzieje dla nas szczęścia czas, mała.*

*Cóż ci mogę podarować dziś?* Judyta patrzyła na księżyc ponad ramieniem Hugona i czuła, że prawie nic jej nie brakuje do pełni szczęścia.

Hugo odwiózł ją na Galie Road dopiero o wpół do trzeciej nad ranem.

Wartownik otworzył im bramę, a gdy wysiedli z samochodu - z lubością wdychali zapach kwitnących tulipanowców i podziwiali jasne światło księżycy, rzucające na ogród czarne cienie. Hugo odprowadził ją do podnóża schodów. Tam Judyta zatrzymała się i zwróciła ku niemu:

- Dziękuję ci, Hugo! - powiedziała z naciskiem. - To był uroczy wieczór!
- Mimo pani Burridge?
- Przynajmniej mogliśmy się pośmiać. Dobranoc - dodała po chwili namysłu.

Hugo położył dłonie na jej ramiona, pochylił się i go rąco ją pocałował. Judyta dawno już nie doświadczyła tak namiętnego pocałunku, a jeszcze dawniej czuła radość z tego powodu. Nic więc dziwnego, że otoczyła ramionami talię Hugona i odwzajemniła pocałunek z jeszcze większym żarem.

W tym momencie otworzyły się frontowe drzwi i oboje znaleźli się w smudze jaskrawego światła elektrycznego. Odskoczyli od siebie, ale bardziej rozbawieni niż zmuszani. Tomasz stał u szczytu schodów, a na jego ciemnej twarzy nie malowało się ani zadowolenie, ani dezaprobaty. Hugo przeprosił go, że kazał mu tak długo czekać, na co Tomasz błysnął tylko złotymi zębami w uśmiechu.

Judyta powiedziała Hugonowi jeszcze raz „dobranoc” i weszła po schodach do domu. Tomasz zaryglował za nią drzwi od środka na masywne zamki.

Dni mijały coraz szybciej i szybciej, jak to zwykle bywa podczas miłych spędzanych wakacji. Skończył się jeden tydzień, a za nim drugi i trzeci. Osiemnastego września tylko trzy dni dzieliły Judytę od powrotu do Trincomalee. A tam zaczęło się znowu żmudne przepisywanie niekończących się sprawozdań i konieczność meldowania się w koszarach o wyznaczonych porach. Nie będzie nato miast sklepów, miejskiego gwaru, zadbanego domu Boba, jego samego, Tomasza ani Hugona.

Ten zaś dotrzymał słowa i zadbał o to, by nie zmarnować ani chwili z jej upojnych wakacji. Nie nudził się w towarzystwie Judyty ani sam nie był nudny. Przeciwnie, dawał jej do zrozumienia, że chętnie z nią przebywa, a przy tym nie był wymagający ani zaborczy, dzięki czemu czuła się przy nim bezpiecznie. Nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia.

Wytworzyła się między nimi specyficzna więź. Nie krępowali się już wobec siebie do tego stopnia, że otwarcie rozmawiali nawet na dość drażliwe tematy. Na przykład na plaży w Panadurze, kiedy na rozgrzanym piasku suszyli się po kąpieli, Hugo tłumaczył Judycie:

- Nie myśl, że mi się nie podobasz albo że nie chciałbym kochać się z tobą. Przeciwnie, myślę, że dałoby to satysfakcję nam obojgu. Wydaje mi się jednak, że jeszcze na to za wcześnie. Po tylu ciężkich przeżyciach potrzebujesz spokoju, aby dojść do siebie. Gdybyś znowu wdała się w bezsensowny romans, mogłoby ci to sprawić dodatkowy ból.

- Może nie byłoby to wcale bez sensu?

- Myślę jednak, że to szaleństwo. Zresztą zdecyduj sama. Tu trafił w sedno, gdyż Judyta w tej chwili najbardziej bała się podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Wolała iść po linii najmniejszego oporu.

- Ale ja już nie jestem dziewczyną, Hugo!

- Nawet przez chwilę/nie podejrzewałem, że mogłabyś nią być.

- Byłam w łóżku z dwoma mężczyznami. Obydwu kochałam i obydwóch straciłam. Od tej pory staram się nie zakochiwać, bo to przynosi tylko cierpienie i trudno potem dojść do siebie.

- Za nic nie chciałbym sprawić ci bólu ani igrać z twoimi uczuciami. Za bardzo cię polubiłem.

- Gdybym mogła jeszcze zostać w Kolombo... Gdybym nie musiała jeszcze wracać do Trincomalee... Może gdybyśmy mieli więcej czasu...

- Za dużo tego gdybania. Czy to by coś zmieniło?

- Naprawdę nie wiem.

Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Ja też nie wiem. Lepiej chodźmy pływać.

Azid wprowadził samochód przez bramę, minął wartownika, zatoczył łuk i podjechał pod same drzwi domu. Wyłączył silnik, wyskoczył z wozu i otworzył Judycie drzwiczki, zanim zdążyła zrobić to sama. Kiedy jej tak usługiwał, czuła się jak księżniczka.

- Dziękuję, Azid - odprawiła go, wchodząc po schodkach do domu. Na zegarze w hallu wybiło już wpół do szóstej. Judyta przeszła przez pusty o tej porze salon na tonącą w kwiatkach werandę. Wiedziała, że zastanie lam obydwu panów, Boba Somerville'a i Davida Beatty'ego którzy po dniu pracy odpoczywali w fotelach przy stoliku nakrytym do podwieczorku. David Beatty pogrążony był w lekturze jednej ze swoich książek naukowych, a Bob czytał londyńskiego „Timesa” sprowadzanego tu pocztą lotniczą. Nie zdjął jeszcze białego tropikalnego munduru, bo miał zamiar się umyć, ogolić i przebrać dopiero po przeczytaniu gazety. Świadomie celebrował codzienny rytuał tradycyjnej angielskiej herbatki, stale o tej samej porze, gdyż przypominało mu to rodzinny dom i pozostawioną w kraju żonę.

- O, jesteś już! - spojrzał znad gazety. - Gdzieś ty się podziewała? Siadaj i napij się z nami herbaty. Tomasz zrobił nam nawet kanapki z ogórkiem!

- No proszę, jaka kultura. Dobry wieczór, panie Beatty David, jakby wyrwany ze snu, otrząsnął się i zamrugał oczami. Podniósł wzrok znad książki, a na widok Judyty zerwał z nosa okulary i zaczął dźwigać z fotela swoją tyczkowatą figurę. Zawsze zachowywał się tak, ilekroć Judyta znienacka się do niego odezwała, więc już za wczasu uprzedzała: „Ależ niech pan nie wstaje”, zanim jeszcze dotknął stopami podłogi.

- Przepraszam, zaczytałem się. - Uśmiechnął się nieśmiało, nasadzając z powrotem okulary na nos. Po chwili był już duchowo nieobecny, gdyż ponownie zatonął w lekturze. Właściwie nigdy nie był zbyt rozmowny. Bob nalał herbaty do białej porcelanowej filiżanki, wrzucił do niej plasterki cytryny i podał Judycie.

- Grałaś w tenisa - stwierdził.

- Skąd wiesz?

- Intuicja mi podpowiedziała, a dzięki wyczulonemu zmysłowi obserwacji zauważyłem biały strój i raketę.

- Jesteś genialny!
  - Gdzie graliście?
  - W klubie. Rozgrywaliśmy debła: Hugo, ja i jeszcze jedna para.
  - Kto wygrał?
  - Jasne, że my.
  - Wychodzisz gdzieś wieczorem?
  - Tym razem nie, bo Hugo jest zaproszony do koszar na czysto męskie przyjęcie.
  - Wyobrażam sobie, co to będzie: picie na umór, a polem wygłupy. Módl się, żeby na następną randkę nie przyszedł z nogą w gipsie. Aha, dopóki pamiętam - załatwiłem ci transport do Kandy. W sobotę o ósmej rano przyjedzie po ciebie samochód.
- Judyta nie wiedziała, czy ma się z tego cieszyć, czy martwić.
- Nie chcę tam wracać! - Skrzywiła się jak dziecko.
  - Ja też nie chciałbym, żebyś stąd odjeżdżała, ale służba nie drużba. A propos służby. Dzwoniła do mnie dzisiaj komendantka tego waszego babskiego wojska. Pytała, czy masz czas jutro rano i czy nie mogłabyś jej pomóc.
  - Pomóc? W czym? - spytała ostrożnie Judyta. Nosiła już mundur na tyle długo, aby nigdy nie zgłaszać się na ochotnika do czegoś, czego dokładnie nie знаła. Nie czekając na odpowiedź, wzięła sobie kanapkę z ogórkiem i schrupała soczysty plasterek.
  - W powitaniu chłopaków, którym należy się odpowiednie przyjęcie.
  - Nie rozumiem.
  - Jutro zawinie do naszego portu statek sanitarny „Orion” na krótki postój w drodze do Anglii. Wiezie pierwszą partię żołnierzy wyzwolonych z japońskich obozów pracy przy budowie linii kolejowej w Birmie. Podleczono ich trochę w szpitalu w Rangunie, a teraz chcemy stopniowo przywracać ich cywilizacji. Będą mogli wyjść na kilka godzin na ląd, więc w forcie szykuje się dla nich

herbatę i ciastka. Wasza komendantka chce zebrać trocin, dziewcząt, żeby pełniły honory domu i zabawiały ich rozmową.

- I co jej odpowiedziałeś?

- Na razie tyle, że muszę najpierw przedyskutować to z tobą. Wyjaśniłem jej, że dopiero co dowiedziałaś się o śmierci swojego ojca w japońskim więzieniu, więc z pewnością z tyloma byłymi więźniami może być dla ciebie zbyt dużym szokiem.

Judyta beznamiętnie kiwnęła głową, przełknęła resztkę kanapki i machinalnie sięgnęła po następną. Wiedziała, że pod koniec wojny armie alianckie wkraczały do japońskich obozów, uwalniając pozostałych przy życiu więźniów i udzielając im pierwszej pomocy. Czerwony Krzyż rozpowszechniał na całym świecie opisy okropno ści, jakie tam zastał.

Opublikowane w prasie komentarze

i zdjęcia wywoływały w krajach Zachodu takie same mieszane uczucia, jak informacje podawane po wyzwoleniu hitlerowskich obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Dachau i Ravensbriick.

Jeńcy wojenni zatrudnieni przy budowie linii kolejowej w dżungli marli jak muchy, zmuszani do niewolniczej pracy przez osiemnaście godzin na dobę. Okrutni dozorczy nie oszczędzali nawet chorych, wyczerpanych głodem, malarią i dyzenterią szerzącą się w ich brudnych barakach. A teraz, po latach mąk, ci ludzie wracali do domu.

- Muszę tam iść - zdecydowała z westchnieniem. Gdybym odmówiła, nie mogłabym do końca życia spojrzeć w oczy własnemu odbiciu w lustrze. Byłoby to z mojej strony zwykłe tchórzostwo.

- Niewykluczone, że spotkanie z nimi właśnie poprawi ci samopoczucie.

- Po tym, co przeszli, to aż dziwne, że jeszcze niektórzy z nich będą w stanie wyjść na brzeg.

- W szpitalu trochę ich odkarmili i odchuchali. Za-

wiadomiono też ich rodziny w kraju, że żyją i są w drodze do domu.

- Więc co mam robić?

- Wskoczyć w mundur i zameldować się jutro o dziewiątej rano.

- Gdzie?

- W dowództwie kobiecej służby pomocniczej na Galie Road. Tam otrzymasz dalsze rozkazy.

- Dobrze.

- Grzeczna dziewczynka. Napij się jeszcze herbaty. Zjesz z nami dzisiaj kolację? Powiem Tomaszowi, żeby nakrył na trzy osoby.

Następnego ranka Judyta wzięła prysznic i tylko w szlafrocжку zeszła na śniadanie. Zjadła je sama, gdyż Bob i David Beatty wcześniej już wyszli do pracy. Nie miała zbyt wielkiego apetytu, więc zadowolila się tylko grejpfrutem i filiżanką chińskiej herbaty. Kiedy po śniadaniu wróciła do swojej sypialni, znalazła rozłożony na łóżku świeżo uprany i uprasowany mundur oraz wyczyszczony kapelusz i wypolerowane do połysku buty. Przypomniało to jej ostatni dzień w Trincomalee, kiedy tak samo ubrała się w czysty mundur na spotkanie z panią porucznik. Teraz też szykowała się jak przed wyruszeniem w bój. Zapięła dokładnie wszystkie guziki, zasznurowała buty, przyczesła włosy, nałożyła kapelusz, umalowała usta i spryskała się perfumami. Zastanawiała się, czy wziąć torebkę, ale zdecydowała, że nie będzie jej potrzebna. Miała wszak nadzieję, że w południe wróci do domu. Na wszelki wypadek wsadziła do kieszeni tylko portfel z plikiem rupii.

W hallu, przy otwartych drzwiach, czekał na nią Tomasz.

- Czy mam zawołać Azida, żeby podwiózł panienkę?

- Dziękuję, Tomasz, nie trzeba. To tylko paręset metrów, przejdę się piechotą.

- Panienska robi bardzo dobry uczynek. To tacy dzielni ludzie, a ci dranie Japończycy tak się nad nimi znęcali. Niech im panienska koniecznie powie ode mnie, że byli bardzo dzielni.

Judytę wzruszył ten jego wybuch.

- Masz rację, Tomaszu. Powiem im to.

Wyszła przez bramę prosto w rozgrzane powietrze za lanej słońcem ulicy. Niedługo zobaczyła siedzibę miej scowego dowództwa kobiecej służby pomocniczej. Był to duży, dwupiętrowy budynek w stylu edwardiańskim biały i bogato zdobiony sztukaterią, z płaskim dachem zwieńczonym attyką. Kiedyś należał do bogatego kupca, ale nie stracił wiele z dawnego przepychu. Tylko rozległe tereny ogrodów zabudowano obecnie koszarowymi bara kami i sanitariatami.

Kiedy przeszła przez bramę, młody wartownik obdarzył ją uśmiechem i zasalutował. Nie opodal stała zaparkowana ciężarówka, której kierowca-marynarz przeglądał w szo ferce stary numer brukowego pisemka. Judyta weszła po schodkach przez monumentalną werandę do hallu, peł niącego tu funkcję wartowni, zastawionego biurkami i przegródkami na listy. Kręciła się tam już grupka dziewcząt ze służby pomocniczej, najwyraźniej czekając na przydział. Kierowała tym wszystkim młoda kobieta w ran dze trzeciego oficera. Asystowała jej starsza szeregową, która pomagała sprawdzać nazwiska obecnych dziewcząt.

- Powinno być czternaście szeregowych. He już ma my? - Szefowa uiłowała policzyć dziewczęta, wskazując na nie ołówkiem.

- Dwanaście, pani porucznik. - Jej niższa rangą po mocnica najwidoczniej lepiej orientowała się w tej materii.

- Czyli że brakuje nam jeszcze dwóch... - W tym momencie zauważyła kręcącą się niepewnie Judytę. - A ty to kto?

- Szeregową Dunbar, pani porucznik.

- Gdzie służysz?



- W Trincomalee, na okręcie „Adelaide”. Teraz mam urlop.  
- Aha, Dunbar... - Pani porucznik szukała jej nazwiska na liście. - O, tu cię mam. Postawimy przy tobie ptaszka. A więc brakuje nam jeszcze jednej. Już jest spóźniona...

Nerwowo spojrzała na zegarek. Najwyraźniej przerastało ją zadanie, którego się podjęła.

- Jeszcze nie jestem spóźniona! - zaprotestowała ostatnia ochotniczka meldując się na służbie. - Jest dopiero za pięć dziewiąta.

Była to niska, krępa dziewczyna o ciemnej cerze, krótkich czarnych lokach i wesołych niebieskich oczach.

- No, dobrze. - Jej pewność siebie nieco zbiła komendantkę z tropu. - Ty jesteś Sudlow?

- Tak jest, pani porucznik. Z okrętu „Lanka”. Miałam wolne przedpołudnie.

Dziewczęta otrzymały dyspozycję, zgodnie z którą miały dojechać ciężarówką do fortu i tam oczekiwać przybycia byłych więźniów.

- A dlaczego nie na nabrzeżu? - spytała któraś.

- Zamówiliśmy autobusy, które przewiozą tych ludzi do fortu. Stamtąd przejdą kawałek na błonia, gdzie jest moło i pochylnia. Tam powitacie ich i zaprowadzicie do namiotów, gdzie czeka na nich poczęstunek.

- Piwo? - spytała z nadzieją w głosie szeregowca Sudlow.

- Nie - zbyła ją krótko pani porucznik. - Herbata, ciastka, kanapki i tym podobne. Macie jeszcze jakieś pytania?

- Jak długo będziemy musiały tam zostać?

- Dopóki będziecie potrzebne. Musicie mieć pewność, że ci ludzie otrzymali co trzeba i są zadowoleni.

- Czy tylko my mamy tam być? - bąknęła nieśmiało jedna z ochotniczek, nieco przestraszona tą perspektywą.

- Ależ skąd! Ze szpitala wydelegowano grupę pielęgniarek, spodziewamy się też dodatkowych sił z garnizonu.

Orkiestra będzie grać różne melodie, a pod namiotami przywitają naszych gości wyżsi oficerowie trzech rodzajów broni. Na pewno nie będziecie tam same. - Rozejrzała się. - Zrozumiano? Odmaszerować!

- ...i powodzenia! - dokończyła za nią szeregowca Sudlow, co wywołało ogólną wesołość, ale pani porucznik udała, że nie słyszy.

Kiedy dziewczęta wyszły na dwór, w największy żar słońca, marynarz wyskoczył z szoferki ciężarówki i opuścił tylną burtę, aby mogły wgramolić się na skrzynię. Niektórym pomógł wejść, a gdy porozsiadały się już na drewnianych ławkach - podniósł burtę, zamknął ją i do brzo zabezpieczył. Po chwili zapuścił silnik i wóz ruszył w górę Galie Road. W ciężarówce panował przyjemny chłód, gdyż plandeka była podwinięta z obu stron. Judyta wraz z szeregowką Sudlow załadowały się ostatnie, więc usiadły z samego tyłu.

- Myślałam, że już nie zdążę - zwierzała się Sudlow. Nie dałam rady złapać żadnej okazji, więc musiałam wziąć rykszę. Ale ciebie to chyba nie znam. Stacjonujesz w Kolombo?

- Nie, w Trincomalee. Jestem tu na urlopie.

- Tak też myślałam, bo nie mogłam sobie przypomnieć twojej gęby. Jak się nazywasz?

- Judyta Dunbar.

- A ja Sara Sudlow.

- Cześć!

- Coś ta nasza stara za bardzo się zapala. Ja w tym nie widzę nic nadzwyczajnego. Herbata i ciastka, wielkie co! Po tym wszystkim, co ci biedacy przeszli!

- Nie wydaje mi się, żeby spodziewali się tu Bóg wie czego.

Przejeżdżając przez Galie Road, obrzeżoną z obu stron palmami, Judyta myślała o swoim ojcu. Kiedy jeszcze pracował w Kolombo - codziennie jeździł tędy do swego

biura w firmie „Wilson i McKinnon”, a potem, w więzieniu Changi, umierał w nędzy i beznadziei. Próbowała przypomnieć sobie, jak wyglądał i jak brzmiał jego głos -daremnie, gdyż od czasu, kiedy go widziała po raz ostatni, upłynęło już zbyt wiele lat. A szkoda, bo właśnie w taki dzień jak dziś chciałyby, aby ojciec ją widział. Modliła się więc w duchu: „Tatusiu, jeśli patrzysz na mnie z nieba, wiedz, że robię to także i dla ciebie!”

Sara Sudlow też niespokojnie kręciła się na niewygodnej ławce i wzdychała: „Boże, co ja bym dała za papierosa!” Najwyraźniej denerwowała się tak samo jak Judyta przed czekającymi je obowiązkami. - Będziemy musiały zdrowo się napocić, żeby za każdym razem wiedzieć, co mamy mówić - narzekała. - To nie miejsce na takie ple-ple jak na przyjęciach, a głupio, kiedy rozmowa się rwie. A gdybyśmy tak chodziły wszędzie we dwójkę? Wtedy jeśli jedna straci wątek, włączy się druga. - Świetny pomysł! - zgodziła się natychmiast Judyta i od razu poczuła się pewniej. Sara Sudlow wspaniale się nadawała na podporę duchową w ciężkich chwilach.

Ciężarówka minęła znajome miejsca, jak hotel „Galie” i przyległe do niego błonia. Potem przetoczyła się przez most, a stamtąd na bulwar biegnący wzdłuż wschodniego wybrzeża fortu. Tafla morska miała dziś odcień błękitu, a południowo-zachodni wiatr tworzył fale rozbijające się o skały. Szosa dochodziła do małej zatoczki z latarnią morską, tworzącej naturalną przystań osłoniętą od wiatru. Znajdowała się tam również pochylnia do wodowania statków i molo, a przy nim - oczekiwała w postawie zasadniczej orkiestra sikhów w wyjściowych mundurach i z kobzami. Wszyscy jak jeden mąż ubrani byli w szorty i bluzy koloru khaki oraz imponujące turbany, a ich tamburmajor miał przewiazaną przez ramię czerwoną szarfę i srebrną buławę w rękę.

- Nie wiedziałam, że sikhowie grają także na kobzach zdziwiła się Sara. -  
Myślałam, że tylko na fletach, kicich zaklinają węże.

- Jak widać, całkiem im z nimi do twarzy.

- Niech no usłyszę, jak potrafią na nich grać! Kierowca zatrzymał ciężarówkę i otworzył tylną burłę

Dziewczęta wyspały się z platformy, przekonując się na miejscu, że są tam już ich koleżanki. W skład komitciu powitalnego wchodzili oficerowie z miejscowego garnizonu i dowództwa floty, jak też pielęgniarce z morskiej służby sanitarnej, w szeleszczących białych kitlach i czepkach Na tle reprezentacyjnych gmachów najrozmaitszych instytucji państwowych rozciągała się zielona równina, na której urządzano przyjęcia na cześć dostojnych gości Ustawiono tam wojskowe namioty bogato udekorowane, a nad nimi powiewała na maszcie flaga brytyjska. Statek „Orion” stał na redzie mniej więcej o milę od brzegu.

- Wygląda zupełnie jak przedpotopowy statek wycieczkowy - ironizowała Sara. - A przecież to właściwie pływający szpital, którego pasażerowie nie mieliby sił do płynąć do brzegu... Chociaż nie, oni już płyną!

I rzeczywiście, latarnię morską opływały właśnie trzy barki, zdążające jedna za drugą w kierunku mola. Z daleka, w oślepiającym blasku słońca, ich pasażerowie zle wali się w jednolitą plamę koloru khaki z bladymi twarzami na jej tle.

- Ale ich dużo! - nie wytrzymała Sara. Judyta była pewna, że tą nieustanną gadaniną chciała pokryć zdenerwowanie. - Dziwnie to jakoś wygląda, taka parada po tych wszystkich okropieństwach. Mam tylko nadzieję, że nie będą... O rany!

Urwała gwałtownie, bo tamburmajor wydał właśnie pierwszy rozkaz orkiestrze. Słońce odbijało się w jego buławie, kiedy najpierw zawarczały bębny, a potem kobziarze równocześnie podnieśli instrumenty na wysokość ramion. Dopóki, dmuchając w ustniki, napełniali miechy

dobywał się z nich jękliwy dźwięk, aż słuchaczom przechodziły ciarki po plecach. Dopiero gdy zaczęli wykonywać właściwy utwór, okazało się, że nie będą to żadne marsze wojskowe, tylko stare szkockie piosenki.

*Płyń, łódka moja, płyń chybko jak wiatr -  
w krąg marynarzy brzmi śpiew...*

- Boże, chyba się zaraz rozplączę! - jęknęła Sara. Łodzie zbliżały się do brzegu. Z tej odległości można

było już odróżnić rysy ich pasażerów, stłoczonych jeden przy drugim.

*Płyń, wartko płyń, by na pokład twój wsiadł*

*Ten, co królewską ma krew!* Łódki nie były wprawdzie „chybkie jak wiatr”, a na ich pokładach nie siedzieli królowie, ale zwykli ludzie, którzy przeszli przez piekło, aby szczęśliwie znów wrócić do normalnego życia. Judyta zastanawiała się tylko, kto wpadł na pomysł, żeby powitać ich szkocką muzyką na kobzach, i doszła do wniosku, że uczyniono to celowo. Nieraz słyszała przedtem grających kobziarzy, ale atmosfera, jaka tym razem towarzyszyła wykonywanym przez nich utworom, przyprawiała ją o dreszcz. Podobnie jak Sara, poczuła cisnące się do oczu łzy, lecz opanowała się siłą woli i w miarę spokojnym głosem spytała:

- Dlaczego oni grają szkockie melodie?

- Prawdopodobnie dlatego, że innych nie znają, bo większość tych żołnierzy służyła w lekkiej piechocie w Durham. Co prawda, są między nimi także i strzelcy szkoccy...

Judyta czujnie nastawiła uszu.

- Strzelcy?

- Przynajmniej tak mi mówiła drugi oficer.

- Znałam jednego oficera strzelców szkockich, ale zginął w Singapurze.

- Może spotkasz tu jego kolegów.

- Niestety, nie znałam żadnych.

Pierwsza łódź przybiła już do brzegu. Jej pasażerowie

w szyku wojskowym wychodzili na molo. Sara wyprostowała się i zachęciła Judytę:

- No to wkraczamy do akcji. Uśmiech na twarzy i dobry humor! Niepotrzebnie się obawiały, bo wcale nie było trudno im zachować uśmiech na twarzy. W końcu na ląd wyszli nie przybysze z Marsa, tylko młodzi chłopcy, mówiący ze swojskim akcentem różnych angielskich prowincji. Judyta bardzo szybko przestała się krępować tych wychudzonych ludzi, noszących jeszcze ślady chorób i niedożywienia. Czerwony Krzyż w Rangunie wyekwipował ich wszy stkich w jednakowe polowe mundury i tenisówki. Na ba wełnianych zielonych bluzach nie nosili dystynkcji wojskowych ani oznak swoich pułków, ale przynajmniej wyglądali czysto i schludnie. Szli wzdłuż mola dwójkami lub trójkami, jakby niepewni, co ich może spotkać. Wkrótce jednak nieśmiałość ustąpiła, gdy pomiędzy nich wmieszały się pielęgniarki i dziewczęta ze służby pomocniczej, zagadując przyjaźnie:

- Cześć, nazywam się Judyta.

- A ja Sara. Witamy w Kolombo.

- Ta orkiestra gra na waszą cześć.

- Wszyscy tu cieszymy się, że was widzimy... Naturalnym biegiem rzeczy każdą dziewczynę otoczyła zaraz grupka mężczyzn, zadowolonych, że wreszcie ktoś im powie, co mają robić.

- Pójdziemy na górę, tam gdzie stoją te namioty poinformowała ich któraś z dziewczyn.

- Świetnie! - ucieszyli się żołnierze.

Jakaś starsza rangą pielęgniarka zaklaskała w dłonie jak nauczycielka, chcąc zwrócić uwagę uczniów.

- Nikt nie musi iść piechotą, jeśli nie czuje się na siłach - ogłosiła. - Zapewniamy wszystkim transport.

Jednak mężczyźni zgromadzeni wokół Judyty - a było ich około dwudziestu - oświadczyli, że wolą iść pieszo

- No więc chodźmy! - zgodziła się natychmiast. Ruszyli niespiesznym krokiem w górę trawiastego zbocza. Orkiestra kobziarzy wykonywała teraz inny utwór:

*Cieszymy się, bo do domu wraca Charlie nasz, sławny Charlie, dzielny Charlie...*

- Słyszałaś, jak ta siostra na nas klaskała? - zagadnął Judytę któryś z żołnierzy. - Zupełnie jak nauczycielka w tej wiosce, skąd pochodzę.

- A skąd pochodzisz?

- Z Alnwick.

- Byłeś już kiedyś w Kolombo?

- Przybiliśmy tu jeszcze w drodze do Singapuru, ale wtedy tylko oficerowie mogli wyjść na ląd. Pewnie bali się, że uciekniemy.

- I szkoda, że tego nie zrobiliśmy! - wtrącił się do rozmowy inny mężczyzna, z bliznami po czyrakach na szyi, który wyraźnie utykał.

- Nie będzie ci za ciężko iść? - zatroskała się Judyta. - Przecież mogliby cię podwieźć.

- Nie zaszkodzi, jeśli trochę rozprostuję nogi.

- A ty skąd pochodzisz?

- Spod Walsingham, gdzie są wrzosowiska. Mój ojciec hoduje tam owce.

- Służyłeś w lekkiej piechocie? - Tak.

- A macie między sobą strzelców szkockich?

- Tak, ale płyną za nami, w ostatniej łódce.

- Nieładnie, że przywitali was akurat szkocką muzyką. Powinni byli zagrać jakieś piosenki z Northumberland.

- Na przykład jakie?

- Nie wiem, bo nie znam żadnych.

- A może znasz „Gdy łódź zawija do przystani”? -podszedł do niej następny żołnierz.

- Niestety, jestem w tym kiepska.

- Jak mówiłaś, że się nazywasz?

- Judyta.

- Pracujesz w Kolombo?
- Nie, jestem tu na urlopie.
- No więc dlaczego nie odpoczywasz?
- Właśnie to robię.

Z perspektywy czasu to powitanie uwolnionych jeńców przypominało Judycie uroczyste zakończenie roku szkolnego lub typowo angielskie zabawy ludowe z kościelną kwestą na cele dobroczynne. Tak samo pachniało tu zdeptaną trawą, brezentem i ludzkim potem. Orkiestra wojskowa wygrywała kuplety z operetek Gilberta i Sullivana. Namioty pękały w szwach, gdyż musiały pomieścić za równo żołnierzy, jak i dostojnych gości, wśród których mógłby się znaleźć pastor, gubernator hrabstwa, ale też i pułkownik Carey-Lewis. Pod ścianami namiotów, jak i na innych podobnych uroczystościach, stały stoły zastawione ciastkami i kanapkami, które szybko znikwały, lecz wciąż uzupełniano ich zapas. Do picia podawano mrożoną kawę, lemoniadę i gorącą herbatę, a więc i tu nie raziłaby obecność pani Nettlebed lub Mary Millyway dyżurujących przy czajnikach, jak też pani Mudge mającej pieczę nad mlekiem i cukrem. W namiotach wkrótce zrobiło się tak ciasno, że nic można było się dopchać do stołów z prowiantem. Judyta i Sara musiały więc pełnić funkcję kelnerek, roznosząc wśród gości pełne talerze i szklanki, aby mieć pewność, że nikt nie został pominięty.

Teraz wszędzie już szumiał gwar rozmów, aż w końcu wygłodzeni żołnierze najedli się i w małych grupkach po rozsiadali na trawie, paląc papierosy i słuchając muzyki.

Judyta spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest już wpół do dwunastej, a tymczasem Sara gdzieś zniknęła. Stewardzi uprzątały już resztki posiłku. Pod namiotem było tak gorąco, że bluza lepiła się jej do pleców. Doszła do wniosku, że nie ma tam już nic do roboty, więc wyszła na dwór, wystawiając twarz na chłodny wiatr od morza.



Na błoniach widać było porozrzucane grupki odpoczywających żołnierzy, a orkiestra grała teraz kuplety z operetki „Fartuszek”. Na tle tego sielskiego pejzażu Judyta rzucił się w oczy jedyny mężczyzna, który nie wylegiwał się wsparty na łokciu, tylko stał tyłem do niej, najwyraźniej wsłuchany w muzykę.

Mężczyzna ten różnił się swoim wyglądem od reszty. Wprawdzie był równie chudy jak inni, ale zamiast identycznego polowego munduru i tenisówek miał na sobie zdarte buty w rodzaju tych, jakich używano podczas walk na pustyni. Na czarne włosy miał nasadzoną szkocką fu-rażerkę z powiewającymi z tyłu wstążkami, a do tego znoszoną koszulę khaki z podwiniętymi rękawami i... prawdziwą szkocką spódniczkę! Wprawdzie obszarpaną i byle jak pozszywaną sznurkami, ale autentyczną!

Czyżby to był Gus? Judyta w pierwszej chwili tak pomyślała, ale zaraz zreflektowała się, że przecież Gus od dawna nie żyje. Zginął podczas walk o Singapur. Ale może ten człowiek go znał?

Orkiestra grała kolejny utwór:

*Myłem ja okna, klamki i podłogi, U drzwi wejściowych pucowałem progi.  
Takem przykładał się do tej roboty, Że dzisiaj jestem admirałem floty!*

Judyta poszła na przełaj prosto ku niemu, ale dziwny człowiek nawet się nie odwrócił.

- Cześć! - powiedziała.

Zaskoczony, spojrział w jej stronę i wtedy zobaczyła jego twarz - piwne oczy, gęste brwi, zapadłe policzki i sieć drobnych zmarszczek, których przedtem tam nie było. Odniosła wrażenie, jakby serce nagle przestało jej bić i na chwilę zamieniła się w słup soli, więc mężczyzna odezwał się pierwszy:

- Boże, toż to Judyta!

„Loveday, jakżeś się pomyliła! Przez cały czas byłaś w błędzie!”

- Gus!
  - Skąd się tu wzięłaś?
  - Spędzam urlop w Kolombo.
  - „A więc nie zginął w Singapurze. Żyje i stoi tu przede mną”.
  - To ty żyjesz? - spytała głośno.
  - A myślałaś, że nie?
  - Wszyscy myśleliśmy, że zginąłeś jeszcze w Singapurze. Kiedy cię teraz zobaczyłam, pomyślałam, że nic możliwe, abyś to był ty.
  - Czy wyglądam na nieboszczyka?
  - Przeciwnie, wyglądasz świetnie. - Powiedziała to całkiem szczerze. - Szczególnie w tych butach, furażerze i spódniczce. Jak ci się udało je zachować?
  - Tylko czapkę i spódniczkę. Buty ukradłem.
  - Och, Gus!
  - Proszę cię, nie płacz!
- Podeszła więc bliżej do niego, otoczyła go ramionami w talii i przycisnęła twarz do spranej koszuli. Czuta przez/ nią wszystkie żebra i słyszała bicie serca. Także i on ją objął, a że nikt ich nie widział - mogli stać, ciasno przytuleni. Dla Judyty liczyło się w tej chwili tylko jedno, że znów odnalazła Gusa.
- Po dłuższej chwili odsunęli się od siebie. Nawet gdyby ktoś ich zobaczył - nie dbali o to. Judycie udało się nie rozpłakać, a Gus nawet nie próbował jej pocałować. Wszystko wróciło do punktu wyjścia.
- Nie widziałam cię w namiocie - zauważyła.
  - Byłem tam tylko przez chwilę.
  - Musisz tu czekać?
  - Niekoniecznie, a ty?
  - Też niekoniecznie. Kiedy masz wrócić na statek?
  - Łodzie mają przyplłynąć po nas o trzeciej.
  - Możemy wyskoczyć na Galie Road, napić się czegoś albo zjeść lunch. Mamy masę czasu.
  - Tak naprawdę to chciałbym wstąpić do hotelu „Galie”,

to muszę się tam z kimś zobaczyć. Tylko że nie mogę pójść tam sam, bo nie mam tutejszych pieniędzy, tylko japońskie banknoty.

- Mam pieniądze, więc mogę tam z tobą pojechać.

- Czym?

- Taksówką. Pod ratuszem jest ich postój, a tam możemy dojść piechotą.

- Czy jesteś tego pewna?

- Jak najbardziej.

- A nie będziesz miała nieprzyjemności z tego powodu?

- Jestem na urlopie, więc mogę robić, co zechcę.

Wymknęli się więc we dwójkę z ceremonii powitalnej. Przypuszczalnie nikt nie zauważył ich nieobecności, a jeśli nawet - to nie skwitował tego ani słowem. Wystarczyło wyjść na drugą stronę namiotu, prawie już pustego, potem na przełaj przez błonie i wzdłuż Queen Street aż do skrzyżowania. Pod wieżą ratuszową kilka staroświeckich taksówek czekało na pasażerów. Na ich widok wszyscy kierowcy zerwali się na nogi i wszczęli między sobą kłótnię, który z nich ma obsłużyć klientów. Judyta i Gus zażegnali konflikt w zarodku, wsiadając do pierwszej z brzegu taksówki.

- Wiesz co? - przyszło nagle do głowy Judycie. -Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jakie trudne zadanie ma świadek w sądzie. Nieraz byłbyś gotów przysiąc, że w danym momencie widziałeś tego, a nie innego człowieka. Tymczasem przekonałam się właśnie, że to, co się widzi, zależne jest od tego, co chciałoby się zobaczyć.

- Mówisz o mnie, prawda?

- Tak, bo dopóki nie zobaczyłam twojej twarzy, wmawiałam sobie, że to nie możesz być ty.

- Nie mogło mi się przydarzyć nic lepszego niż spotkanie z tobą.

Opowiedz mi teraz coś o sobie. Jesteś na urlopie, a gdzie pracujesz?

- W Trincomalee. Tu natomiast zatrzymałam się u me-

go wujka, Boba Somerville'a. Wątpię, czy kiedykolwiek go widziałeś. Jest teraz kontradmirałem i pracuje w s/la bie Naczelnego Dowództwa.

- Aha, rozumiem.

- Jego żona, Biddy, była rodzoną siostrą mojej maiki

- Dlaczego „była”?

- Ponieważ rodzice znaleźli się w Singapurze w tym samym czasie co ty...

- Wiem o tym - przerwał jej. - Miałem okazję ich poznać na przyjęciu w koszarach Selaring. To było przed atakiem na Pearl Harbor, kiedy chodziliśmy jeszcze na przyjęcia. Czy potem twoi rodzice zdołali się jakoś stamtąd wydostać?

- Nie - potrząsnęła głową Judyta. - Mój ojciec zmał I w więzieniu Changi.

- Och, przepraszam cię!

- Natomiast mama z siostrzyczką próbowały ewakuować się do Australii, ale ich statek został zatopiony na Morzu Jawajskim. Żadna z nich się nie uratowała.

- Boże, jak mi strasznie przykro!

- Właśnie z tego powodu dostałam miesiąc urlopu okolicznościowego. Spędziłam go u wujka, a pod koniec tygodnia muszę już wracać do Trincomalee.

- Czyli że minęlibyśmy się, gdybym trafił tu kilka dni później?

- Ano tak.

Jechali właśnie szosą wiodącą wzdłuż błoni, gdzie grupa bosonogich chłopców kopała piłkę. Gus zwrócił głowę w ich kierunku i jakby mimochodem zaznaczył:

- Wiem, że to nie to samo, ale moi rodzice też umarli. Nie z głodu ani od torpedy, ale spokojnie, we własnych łózkach albo może w szpitalu czy domu opieki. - Odwracając na krótko głowę ku Judycie, dodał: - Byli już starzy, jeszcze zanim wydali mnie na świat. Mieli mnie jednego. Może też myśleli, że nie żyję.

- Od kogo dowiedziałeś się o ich śmierci?

- Od takiej miłej pani, która była pracownikiem socjalnym w szpitalu w Rangunie.

- A czy w Singapurze nie dało się przesłać rodzicom żadnej wiadomości?

- Z Changi spróbowałem raz przemyścić gryps, ale wątpię, czy dotarł do celu. Więcej nie miałem już takiej szansy.

Taksówka podjechała właśnie pod frontowe wejście do hotelu, osłonięte markizą. Judyta i Gus weszli do hallu, gdzie stały donice z kwitnącymi krzewami i ozdobne gabloty, w których eksponowana była kosztowna biżuteria: złote naszyjniki i bransolety, broszki i kolczyki z szafirami i diamentami oraz pierścionki z rubinami i szmaragdami.

- Mówiłeś, że masz się tu z kimś zobaczyć - przypomniała Judyta.

- Bo mam.

- A z kim?

- Poczekaj, to zobaczysz. - Zwrócił się do syngaleskiego recepcjonisty: - Czy Kuttan jeszcze tu pracuje?

- Oczywiście, proszę wielmożnego pana. Akurat ma dziś dyżur na sali restauracyjnej.

- Czy mógłbym poprosić go na chwilę? To nie potrwa długo.

- A można wiedzieć, kto prosi?

- Kapitan Callender z Pułku Strzelców Szkockich, przyjaciel pułkownika Camerona.

- Już po niego idę. Gdyby wielmożny pan był łaskaw zaczekać na tarasie... - Drobnią brązową dłonią wskazał kierunek. - A może państwo czegoś się napiją?

- Czego się napijesz? - spytał Gus Judyty.

- Może być lemoniada.

- Poproszę dla pani lemoniadę, a dla mnie piwo.

- Już się robi, proszę wielmożnego pana.

Gus poszedł pierwszy przez hall wyłożony marmurem, prosto na taras. Sam wybrał stolik i przysunął wyplatane

krzesła. Judyta potulnie szła za nim, nie mogąc się nadziwić jego chłodnemu opanowaniu. Miał w sobie głę boko zakodowane cechy przywódcze, których nic nie by In w stanie wykorzenić. Mimo że przeżył piekło birman skiego obozu pracy - wyszedł stamtąd z twarzą. Jego obszarpany mundur nie wyglądał śmiesznie ani dziwacznie, gdyż nosił go z godnością. Wyczuwało się w nim jakąś wewnętrzną siłę ducha, co chwilami przerażało Ju dytę. W końcu wcześniej czy później będzie musiała mu powiedzieć o postępku Loveday. Nie bez racji w dawnych czasach zwiastunów złych nowin nieraz skracano o głowę! Postanowiła, że sama nie poruszy tego tematu, dopóki on wyraźnie o to nie zapyta. Przyniesiono im zamówione napoje, więc popijali je siedząc na tarasie. W hotelowym basenie kąpało się kil koro dzieci pod czujnym okiem nianiek. Wietrzyk poruszał liśćmi palmy, a za ozdobnym ogrodzeniem rozciągało się już morze.

- Nic się tu nie zmieniło - zauważył Gus.

- Byłeś tu już kiedyś?

- Tak, zanim dotarłem do Singapuru. Płynąłem wtedy statkiem transportowym przez Kapsztad i razem z kilkoma kolegami z pułku zatrzymaliśmy się tutaj przez cztery dni, dopóki nie przesiedliśmy się na inny statek. Spędziliśmy ten czas bardzo wesoło, na samych zabawach w towarzystwie pięknych dziewcząt.

Ktoś bezszelestnie podszedł i znienacka zagadnął:

- Panie kapitanie!

- Kuttan! - Gus poderwał się na nogi. Za nim stał rozpromieniony pracownik hotelu, w białej liberii z czerwonymi epoletami, z wypomadowanymi włosami i wypielegnowanym wąsikiem. W ręku trzymał srebrną tackę, na której stała butelka whisky Black and White.

- Mój Boże, nie wierzyłem własnym uszom, kiedy się dowiedziałem, że pan kapitan żyje i jest tutaj!

- Cieszę się, że cię widzę, Kuttan.

- Dobry Bóg zezwolił, abym mógł zobaczyć pana kapitana. Przyłynął pan statkiem z Rangun?

- Tak. Odpływamy po południu.

- Po ciemku zobaczę, jak pana statek popłynie pod wszystkimi światłami. Będę się modlił, żeby pan szczęśliwie dotarł do domu.

- Ja też będę myślał o tobie.

- Pułkownik Cameron prosił mnie, abym przechował dla niego tę butelkę. Przez całą wojnę trzymałem ją pod kluczem. Czy pułkownik nie przyjechał razem z panem?

- On nie żyje, Kuttan.

Czarne oczy starego kelnera zamglił smutek.

- Przyniósł pan złe wiadomości, panie kapitanie.

- Chciałem zawiadomić cię o tym, zanim opuszczę Kolombo.

- Nigdy nie zapomnę pobytu panów tutaj. Zwłaszcza pułkownika Camerona, to był taki dobry pan! - W tym momencie jego wzrok padł na butelkę whisky. - Byłem pewien, że pan pułkownik po nią przyjedzie. Przecież zapłacił za nią i kazał przechować w lodówce na oblewanie zakończenia wojny. A teraz już jej nie odbierze!

Zestawił butelkę z tacy na stolik.

- W takim razie pan kapitan musi ją zabrać.

- Ale ja nie przyjechałem tu po whisky, tylko żeby zobaczyć się z tobą.

- Tak się cieszę! Zje pan u nas lunch?

- Chyba nie. Nie mam ani czasu, ani zdrowia na delektowanie się waszymi przysmakami.

- Pan kapitan chorował?

- Na szczęście jestem już zdrowszy. Wiem, że masz dużo pracy i nie chcę odrywać cię od twoich obowiązków. - Wyciągnął doń rękę. - Do widzenia, stary druhu!

Obaj uścisnęli sobie dłonie, po czym Kuttan cofnął się o krok i zgiął w głębokim wschodnim ukłonie.

- Niech Bóg pana błogosławi, kapitanie.

Kiedy wyszedł, Gus usiadł i obrzucił spojrzeniem butelkę.

- Przydałaby mi się jakaś torba lub koszyk - zauważył. - Nie wyobrażam sobie, jak zataszczę to na statek na oczach wszystkich chłopaków.

- Coś znajdziemy - obiecała mu Judyta. - Żebyś mógł zabrać ją ze sobą do Szkocji.

- To tak, jakbym wioził drzewo do lasu.

- A co zrobisz po powrocie do domu?

- Trudno powiedzieć. Pewnie zamelduję się w dowództwie, potem przejdę badania lekarskie i otrzymam urlop

- Byłeś bardzo chory?

- Nie bardziej niż inni. Nasi ludzie chorowali na beri-beri, dyzenterię, wrzody, czyraki, zapalenie opłucnej, malarię i cholere. Szacuje się, że umarło około szesnastu tysięcy naszych. Ci, którzy dziś wyszli na brzeg, to za ledwie jedna trzecia tych, którzy musieli zostać na po kładzie.

- Chyba niechętnie o tym mówisz.

- O czym?

- No, jak to wszystko się zaczęło w Singapurze. Do stałam stamtąd ostatni list od matki, ale nie napisała o ni czym konkretnym, tylko o zamieszaniu i chaosie.

- To trafiła w sedno, bo tak to właśnie wyglądało. W dzień po ataku na Pearl Harbor Japończycy wkroczyli na Malaje. Nasz pułk brał udział w obronie wybrzeża, ale pod koniec stycznia cofnęliśmy się w głąb lądu i przyłączyliśmy do australijskiej brygady. Wkrótce jednak rozpełtało się tam takie piekło, że wycofaliśmy się do Singapuru. Jednak obrona tej wyspy bez pomocy lotnictwa była skazana na porażkę, a my dysponowaliśmy tylko stu pięćdziesięcioma samolotami, bo większa część RAF-u walczyła wtenczas w Afryce Północnej. W dodatku pchały się do nas tłumy uchodźców, tak że musieliśmy zabezpieczać tyły od strony grobli. Broniliśmy naszych pozycji przez jakieś trzy do czterech dni, ale głównie za



pomocą karabinów i bagnatów, bo pociski artyleryjskie szybko się nam skończyły. Krążyły pogłoski o możliwości ewakuacji na Jawę lub coś podobnego, ale okazały się nieprawdziwe. No, ale kiedy Japończycy już zajęli Singapur, po tygodniu dotarli do zbiorników wody pitnej.

Milionowe miasto pozbawione wody musiało się poddać i tyle.

- Co wtedy stało się z tobą?

- Zamknięto nas w Changi, ale nie było tam aż tak źle, gdyż strażnicy okazali się całkiem porządnymi ludźmi. Trafiłem do brygady remontowej, która usuwała szkody powstałe wskutek bombardowania.

Udawało mi się tam nieraz ukraść coś do jedzenia albo wyłudzić dodatkową porcję. Sprzedałem zegarek, aby zdobyć singapurskie dolary, którymi przekupiłem strażnika, żeby wysłał mój list do rodziców. Nie wiem jednak, czy to zrobił, a jeśli nawet - to czy oni ten list dostali. Teraz chyba już nigdy się tego nie dowiem. Ten sam strażnik kupił mi też ołówki i szkicownik, który udało mi się ukrywać przez najbliższe trzy i pół roku. Rejestrowałem w nim wszystko, co się działo, aby pozostał po tym jakiś ślad.

- Masz jeszcze te rysunki?

- Tak, na statku, razem ze szczoteczką do zębów, mydłem i ostatnim listem od Fergiego Camerona, który muszę przekazać wdowie po nim.

- A co się działo potem?

- Siedzieliśmy w Changi około sześciu miesięcy. Potem puszczono plotkę, że Japończycy zbudowali dla nas luksusowe obozy w Syjamie. I rzeczywiście, załadowano nas do bydłych ciężarówek, po trzydziestu w każdej. Nie było miejsca, żeby się położyć, a musieliśmy tak jechać przez pięć dni i nocy, aż dotarliśmy do Bangkoku. Dziennie dostawaliśmy tylko po miseczce ryżu i kubku wody. Jeszcze zanim dotarliśmy do Birmy, wielu z nas zachorowało lub umarło. W Bangkoku ledwo wytoczyli-

śmy się z ciężarówek, szczęśliwi, że mamy już to poza sobą. Nie wiedzieliśmy, że najgorsze dopiero się zaczyna Tymczasem kąpiące się dzieci wyszły z basenu, a nian ki zabrały je na drugie śniadanie. Gus podniósł szklanekę i wysączył do dna resztę piwa.

- To by było wszystko - podsumował. - Koniec, kropka. Dziękuję ci, że chciałaś mnie wysłuchać - dodał z cichym uśmiechem na ustach.

- To ja ci dziękuję, że mi to wszystko opowiedziałaś.

- Wystarczy już o mnie, a teraz chciałbym usłyszeć coś o tobie.

- Ależ to się nie da porównać!

- Proszę cię, opowiedz. Kiedy wstąpiłaś do służby po mocniczej?

- Następnego dnia po śmierci Edwarda.

- To było rzeczywiście tragiczne. Napisałem wtedy do Carey-Lewisów z Aberdeen, gdzie przebywałem, gdy wy dostałem się z St. Valéry.

Chciałem wpaść do nich, ale przed wypłynięciem do Kapsztadu już nie nadarzyła mi się okazja. - Nagle jakby sobie coś przypomniał: - Kupiłaś dom pani Boscawen, prawda?

- Tak, zawsze mi się podobał. Teraz stworzyłam tam sobie prawdziwy dom. Mieszka w nim jeszcze Bidy, żona Boba Somerville'a, i nasza była służąca Phyllis ze swoją córeczką. Czekają na mój przyjazd.

- Więc po wojnie chcesz tam wrócić?

- Tak.

Teraz Gus zadał pytanie, na które czekała.

- A co słyhać w Nancherrow?

- Wszystko-po staremu. Tyle że Nettlebed przekwalifikował się z kamerdynera na ogrodnika. To znaczy nadal podaje do stołu i odświeża garnitury pułkownika, ale w tej chwili bardziej interesuje go, jak rośnie fasolka.

- A jak się mają Diana i pułkownik?

- Bez zmian.

- A Athena?

- Mieszka teraz z Rupertem w Gloucestershire. Został zdemobilizowany, kiedy stracił nogę w Niemczech.

Wreszcie padło ostatnie, najważniejsze pytanie.

- A Loveday?

Śledził oczyma ruchy jej warg, kiedy odpowiedziała:

- Loveday wyszła za męża.

- Loveday? Za męża? - Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. - Za kogo, na miłość boską?

- Za Waltera Mudge'a.

- Tego chłopaka od koni?

- Zgadza się.

- Kiedy?

- W lecie 1942 roku.

- Ale... dlaczego?

- Była święcie przekonana, że nie żyjesz. Nie miała od ciebie żadnej wiadomości tak długo, aż po prostu straciła nadzieję.

- Nie rozumiem - stwierdził Gus.

- Nie wiem, czy potrafię ci to wyjaśnić. Widzisz, po St. Valéry Loveday miała jakby przeczucie, że żyjesz. I rzeczywiście wyszedłeś stamtąd cało. Odtąd wierzyła, że między wami istnieje ścisła łączność telepatyczna, i oczekiwała, że jeśli żyjesz - przekażesz jej jakiś znak. Ale nic takiego nie otrzymała.

- A co, miałem stamtąd dzwonić?

- Gus, proszę cię, spróbuj ją zrozumieć! Wiesz, jaka ona była zawsze uparta. Kiedy raz wbiła sobie coś do głowy, nie było siły, aby ją przekonać. Natomiast jej jakoś udało się przekonać nas wszystkich. - Po pewnym namyśle sprecyzowała tę wypowiedź. - No, przynajmniej Dianę i pułkownika.

- Ciebie nie przekonała?

- Ja byłem w podobnej sytuacji jak ona. Też nie miałam żadnych wiadomości, co się stało z moją rodziną w Singapurze. Tyle że ja nie traciłam nadziei, bo uważałam, że tylko to mi zostało. Tak samo wierzyłam, że

ty żyjesz, ale kiedy Loveday wyszła za mąż, także i to straciło sens.

- A czy jest szczęśliwa?

- Słucham?

- Pytam, czy jest szczęśliwa w małżeństwie?

- Myślę, że tak, chociaż od dawna już jej nie widziałam. Mają synka, Nataniela, który w listopadzie skończy trzy lata. Mieszkają w małym domku na farmie... Gus, tak mi przykro, że musiałam ci to powiedzieć! Ale to są fakty, więc po co miałabym cię okłamywać?

- Myślałem, że poczeka na mnie - stwierdził Gus z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

- Nie możesz mieć jej tego za złe.

- Wcale nie mam. - Jednak wbrew własnym słowom wydawał się teraz jakby bardziej zmęczony i przygaszony. Otarł oczy wierzchem dłoni. Judyta pomyślała, że nie ma teraz do kogo wrócić, ani w Szkocji, ani nigdzie indziej. Nie ma już rodziców, domu ani Loveday.

- Musimy być ze sobą w kontakcie - postanowiła. Dam ci mój adres, a ty mi dasz swój.

W tym momencie zorientowała się, że żadne z nich nie może zrealizować tego postanowienia, gdyż brakuje im odpowiednich przyborów. Wstała więc i szybko dodała:

- Muszę skombinować papier i coś do pisania. No i ja kąś torbę, żebyś mógł schować swoją butelkę. Poczeka tu chwilkę na mnie.

Judyta przeszła do baru, gdzie zapłaciła za napoje, a przy okazji wycygała mocną torbę z brązowego papieru. Potem zajrzała jeszcze do sali brydżowej, skąd zwiędżała dwa arkusiki firmowego papieru listowego i ołówek. Kiedy wróciła, stwierdziła, że Gus nie ruszył się z miejsca. Siedział wpatrzony w ledwo zauważalną linię horyzon tu, oddzielającą błękit nieba od równie błękitnej tafli morza.

- Proszę - wręczyła mu kartkę i ołówek. - Napisz tu adres, pod którym będzie można cię zastać.

Gus zapisał tylko: „Ardvray, Bancharry, Aberdeenshire”, i popchnął kartkę wraz z ołówkiem do Judyty. Złożyła paperek na pół, schowała do kieszeni i na drugim świstku napisała: „Dower House, Rosemullion”.

- Przyrzekasz, że odpowiesz, jeśli napiszę do ciebie? -upewniała się.

- Przyrzekam.

- Jedziemy teraz na jednym wózku, bo tyle straciliśmy, że mało co nam zostało. Tym bardziej powinniśmy trzymać się razem.

Gus złożył karteczkę, którą mu podała, i wsunął ją do kieszonki na piersi.

- Oczywiście masz rację. Ale wiesz, chyba muszę już iść. Nie mogę spóźnić się na łódź, która zabierze nas na statek.

- Pojadę z tobą.

- Wybacz, ale wolałbym jechać sam.

- Dobrze, zaraz złapiemy taksówkę. Tu masz pieniądze na drogę.

- No wiesz! Czuję się jak utrzymanek.

- Czuj się raczej jak szczególnie miły gość.

Gus zabrał torbę z butelką, której kształt i tak rysował się przez papier.

Oboje wyszli przez hall na zewnątrz. Portier sprowadził taksówkę i przytrzymał jej drzwiczki przed Gusem.

- Do widzenia, Judyto! - Gus jakby lekko zachrypł.

- Pamiętaj, napisz do mnie koniecznie! Dam ci znać, kiedy tylko wrócę do Anglii.

Skinął potakująco głową, a w ostatniej chwili coś sobie przypomniał.

- Aha, jeszcze jedno. Czy opowiesz w Nancherrow o naszym dzisiejszym spotkaniu?

- Pewnie!

- No więc powiedz im, że u mnie wszystko w porządku.

Pochyliła się naprzód i z impetem pocałowała go

w oba policzki. Dopiero wtedy Gus wsiadł do taksówki i portier zamknął za nim drzwiczki. Judyta uśmiechała się i machała ręką, dopóki samochód nie znikł jej z oczu. Potem sama czuła, że nie musi już na siłę robić dobici miny. W myślach próbowała zaklinać Gusa na odległość: „Tylko żebyś znowu nie zniknął bez śladu! Musisz być ze mną w kontakcie!”

- Czy wielmożna pani życzy sobie taksówkę? - za gadnął czujny i usłużny portier w butelkowozielonej liberii.

Judyta spróbowała błyskawicznie podjąć decyzję, gdzie powinna się teraz znaleźć i co robić. Doszła jednak do wniosku, że nie ma sensu już wracać do fortu. Raczej pojedzie do domu wujka, weźmie prysznic i odpocznie po tym wszystkim.

- Tak, proszę - odpowiedziała więc portierowi. Znowu przemierzała Galie Road, tylko że w przeciwnym

kierunku i w większym komforcie niż na trzytonowej ciężarówce.

„Czy opowiesz w Nancherrow o naszym dzisiejszym spotkaniu?” -

przypomniała sobie. Od razu przywiodło jej to na myśl Waltera Mudge'a, Loveday i Nataniela. O ile lepiej byłoby, gdyby to małżeństwo nigdy nie doszło do skutku, a to dziecko nie zostało poczęte, co dopiero urodzone! Wprawdzie Loveday była jej najlepszą przyjaciółką, ale też potrafiła skutecznie działać jej na nerwy. Obserwując z okna ruchliwą ulicę obrzeżoną rzędem palm, Judyta myślała o Gusie, na którego powrót nikt już nie czekał. Uważała, że spotkała go straszna niesprawiedliwość, na którą nie zasłużył. W wyobraźni zaczęła więc toczyć spór z nieobecną Loveday.

„Jak mogłaś być tak uparta i porywcza? Dlaczego nic posłuchałaś mnie wtedy w Londynie?”

„Spodziewałam się dziecka!” - wykrzyczała jej wówczas Loveday prosto w twarz, jakby mówiła do ostatniej idiotki.

„Aleś narobiła bigosu! Teraz, kiedy Gus żyje i wraca do kraju, okazuje się, że nie ma domu ani rodziny, bo jego starzy rodzice pomarli. A mogło wszystko ułożyć się tak pięknie! Powinien teraz wracać do Nancherrow i do ciebie, oczekującej na jego powrót. Tymczasem w Szkocji czeka na niego pusty dom, w którym nie ma miłości”.

„A któż mu broni przyjechać do Nancherrow? Zawsze będzie mile widziany, bo był przyjacielem Edwarda, a zresztą mama i tato bardzo go polubili”.

„Ciekawe, jak miałby przyjechać do Nancherrow wiedząc, że jesteś poślubiona Walterowi? Kochał cię i ta miłość trzymała go przy życiu, kiedy układał tory kolejowe w Birmie. W jakim charakterze miałby teraz znaleźć się w Nancherrow? Żeby wyjść z taką propozycją, trzeba chyba być bez serca albo bez wyobraźni”.

„Powinien był jakoś dać mi znać, że żyje”.

„W jaki sposób miał dać ci znać z drugiego końca świata? Tylko raz trafiła mu się okazja, żeby do ciebie zadzwonić, a drugi raz - żeby wysłać list do rodziców, który mógł nigdy do nich nie dotrzeć. Jak mogłaś stracić nadzieję i przestać na niego czekać?”

„Nie rozumiem, dlaczego ci tak na tym zależy?”

„Nie tyle mi zależy, ile czuję się odpowiedzialna za Gusa. Musimy jakoś dać mu do zrozumienia, że ma w nas przyjaciół. Nie możemy dopuścić, żeby znikł z naszego życia. Wątpię jednak, czy zechce odwiedzić nie tylko Nancherrow, ale i mnie w Dower House. Przecież wie, że mieszkamy blisko siebie i prędzej czy później będzie musiał natknąć się na ciebie. Nie rozumiesz, w jakiej sytuacji mnie postawiłaś?”

„W końcu nie jesteśmy chyba jego jedynymi przyjaciółmi”.

„Jak możesz być tak okrutna? Wiesz, jak kochał Kornwalię, tym bardziej że miał tu ciebie i mógł malować. Dlaczego zawsze musisz wszystko poplątać?”

„Skąd wiesz, czy wszystko? Nie widziałyśmy się od pięciu lat. Skąd wiesz, czy nie jestem szczęśliwa z Walterem?”

„Na pewno nie, bo nie był dla ciebie odpowiednim partnerem. Powinnaś była czekać na Gusa”. „Och, zamknij się nareszcie!”

Tymczasem taksówka podjechała już do krawężnika pod znajomą bramą, przy której stał wartownik. Judyta za płaciła więc kierowcy, wysiadła i ruszyła w stronę domu.

Okazało się jednak, że ten dzień był pod każdym względem niezwykle, bo i wuj Bob zachowywał się inaczej niż normalnie. Drzwi bungalowu stały otworem i ledwo Judyta postawiła nogę na podjeździe - już zbiegi ze schodów i szybkim krokiem momentalnie znalazł się przy niej.

- Gdzieś ty była? - Wuj nigdy dotąd nie gniewał się na nią, ale tym razem był wyraźnie zdenerwowany. Czekam na ciebie już od dwunastej. Coś ty tak długo tam robiła?

Judytę tak zaskoczył jego niespodziewany wybuch, że z trudem znajdowała jakieś słowa na swoje usprawiedliwienie.

- Ja... byłam w hotelu „Galie”, bo... spotkałam kogoś. Przepraszam bardzo...

- Nie przepraszaj, tylko słuchaj uważnie. - Teraz Judyta zrozumiała, że wujek nie tyle się gniewał, ile niepokoił o nią. Ujął ją za ramiona i trzymał tak mocno, jakby się bał, że za chwilę się rozpadnie. - Rano dzwoniła twoja drugi oficer z Trincomalee. Dostali wiadomość z okrętu

„Excellent” w Portsmouth, że odnaleziono twoją siostrę Jess w obozie internowanych na Jawie. Uratowała ją młoda australijska pielęgniarka, która była z nią w łodzi ratunkowej, kiedy zatonął „Radża Sarawaku”.

Judyta wpatrywała się w jego oczy płonące dziwnym ożywieniem i śledziła wzrokiem ruch warg, próbując nadążyć za potokiem słów, którymi ją zasypywał.



- I jutro albo pojutrze przyleci samolotem RAF-u z Dżakarty do Ratmalany. Rozumiesz? Twoja siostra będzie już z nami!  
Judyta nareszcie pojęła, o co chodzi. Wuj przez cały czas próbował dać jej do zrozumienia, że Jess żyje. Nie utonęła ani nie wyleciała w powietrze. Mała Jess była zdrowa i cała!

- Czerwony Krzyż ma nas zawiadomić o dokładnej dacie jej przyjazdu - kończył wuj. - Pojedziemy wtedy razem odebrać ją z lotniska.

- Jess? - Dopiero z wysiłkiem się zdobyła, aby wymówić jej imię. Bob nie od razu odpowiedział, tylko gwałtownie przyciągnął ją do siebie i objął ramionami tak mocno, że Judyta zaczęła się obawiać o całość swoich żeber.

- Tak, Jess - odpowiedział łamiącym się głosem, nawet nie próbując ukryć wzruszenia. - Wraca do ciebie!

- Chyba dziś jest wielki dzień dla pani, prawda?

- Rzeczywiście.

- Pułkownik mówił, że oczekuje pani swojej siostry.

- Tak.

- Ile ona ma lat?

- Czternaście.

Dochodziła już piąta, a Judyta i Bob przyjechali służbowym samochodem na lotnisko w Ratmalanie piętnaście po czwartej. Komendant zaprosił ich na herbatę do kantyny, gdzie mogli czekać, aż z wieży kontroli lotów zakomunikowano im, że samolot z Dżakarty podchodzi do lądowania.

- Mam nadzieję, że pani ją pozna.

- Też tak myślę.

Podążali już w stronę wieży kontrolnej. Bob Somerville i komendant lotniska szli pierwsi, pogrążeni w rozmowie na tematy służbowe. Judycie zaś asystował młody porucznik, który nosił zabójcze wąsiki i czapkę na bakier.

Sprawił wrażenie podrywacza, ale może po prostu dobrze się czuł w towarzystwie młodej, atrakcyjnej kobiety, na dodatek elegancko ubranej. Na co dzień miał bowiem do czynienia jedynie z dziewczętami z kobiecej służby po mocniczej, noszącymi mundury khaki.

- Długo jeszcze pani zostaje w Kolombo?

- Nie wiem dokładnie.

Judyta na zewnątrz starała się zachować spokój, ale w środku kipiała. A jeśli samolot nie przyleci? Albo na pokładzie nie będzie Jess? Może coś jej przeszkodziło? A jeśli eksploduje silnik samolotu i wszyscy pasażerowie wylecą w powietrze?

- Czy pani pracuje u pana admirała? - indagował dalej porucznik.

- Nie, tylko chwilowo się u niego zatrzymałam.

- To wspaniały człowiek! - Porucznik, jak mógł, starał się zabawić Judytę, ale nie miała teraz nastroju do rozmowy.

Przy wieży kontroli lotów dołączyli do Boba, pułkownika i kilku pracowników naziemnej obsługi lotniska, zajmujących się zaopatrzeniem i dostawami paliwa. Po przeciwnej stronie pasa startowego widać było hangary i równo obok siebie ustawione samoloty typu „Tornado” i „Hurricane”. Wiatr wydymał rękawy wskazujące jego kierunek. Pas startowy był wolny.

Wszyscy w milczeniu oczekiwali tego, co miało za chwilę nastąpić. Ciszę zmaciła dopiero uwaga porucznika: „Już nadlatuje!” Pracownicy obsługi naziemnej rozbiegli się do swoich ciężarówek. Na końcu pasa startowego pojawił się finisz w czerwonej kamizelce, sygnalizujący miejsce lądowania. Judyta osłoniła oczy dłonią i wpatrywała się w niebo, ale nie widziała nic poza oślepiającym blaskiem słońca. Nadstawiała uszu, ale nie dobiegł do niej żaden dźwięk. Zastanawiała się, czy ten porucznik jest jasnowidzem, czy też jego wąsiki są równie wrażliwe jak włosy czuciowe kota.

Dopiero wtedy zobaczyła na tle nieba samolot, z tej odległości mały jak zabawka. Potem usłyszała huk silników i od strony południowego zachodu, wytracając wysokość, stara dakota wypuściła podwozie i z łoskotem zaczęła toczyć się po pasie startowym, wzniesając chmurę pyłu. Zatrzymała się na wysokości wieży kontroli lotów. Silniki umilkły, drzwi otworzyły się od wewnątrz i wysunęły się z nich prowizoryczne schodki. Pasażerowie wysiadali z samolotu pojedynczo lub małymi grupkami. Pierwszy wyszedł major RAF-u, za nim kilku amerykańskich lotników, potem trzech schludnie odzianych Tamilów z teczkami. Za nimi ukazali się dwaj żołnierze, z których jeden poruszał się o kulach...

Judyta zaczęła już tracić nadzieję, gdy u szczytu schodków pojawiła się jeszcze jedna postać. Ubrana w spłowiałą zieloną koszulę i szorty, chuda i opalona jak chłopak, z krótko ostrzyżonymi, rozjaśnionymi od słońca włosami. Na nogach miała toporne skórzane sandały, za duże co najmniej o dwa numery, a przez kościste ramię przewiesiła mały brezentowy plecak.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, jakby chcąc zorientować się w sytuacji. Robiła wrażenie trochę zagubionej, niespokojnej i napiętej. W końcu zdecydowała się w ślad za innymi pasażerami zejść ze schodków i wychylić się zza skrzydła samolotu.

Judycie zdawało się, że oprócz niej i siostry nie ma teraz nikogo innego na świecie. Wyszła jej naprzeciw, próbując w chudej zaciętej twarzyczce odnaleźć ślad podobieństwa do pulchnej zapłakanej czterolatki, z którą się przed laty rozstawała. Jess zobaczyła ją i stanęła jak wryta. Judyta poczuła na sobie spojrzenie czystych błękitnych oczu, które pozostały takie same jak dawniej.

- Jess - odezwała się pierwsza.
- Judyta? - spytała Jess na wszelki wypadek.
- Tak, kochanie, Judyta.
- Bałam się, że cię nie poznam.

- A ja byłam pewna, że cię poznam. Rozpostarła ramiona. Jess zawahała się jeszcze chwilę, po czym padła w objęcia siostry. Od czasu gdy się ostatni raz widziały, urosła tak, że sięgała głową do podbródka Judyty, której wydawało się, że przyciska do siebie coś tak kruchego jak gałązka albo szkielet ptaszka. Szorstkie włosy Jess pachniały środkiem dezynfekującym, a jej chu de ramionka obejmowały Judytę w talii. Obie ucałowały się serdecznie, ale nie płakały.

Trzej oczekujący panowie taktownie pozwolili siostronom spędzić te kilka chwil razem. Kiedy dziewczęta podeszły do nich - przywitali Jess całkiem zwyczajnie, jakby co dziennie latała do Dżakarty i z powrotem. Bob nie próbował nawet jej pocałować, tylko czule zwichrzył ręką włosy dziewczynki. Jess nie uśmiechała się ani nie mówiła zbyt wiele, ale widać było, że czuje się dobrze.

Komendant lotniska odprowadził ich do samochodu, za parkowanego pod zadaszeniem z palmowych liści. Na pożegnanie Bob zwrócił się do niego:

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie pułkowniku.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie admirale. Nigdy nie zapomnę tego dnia.

Nie odszedł też od razu, tylko czekał, aż wóz ruszy, salutując odjeżdżającym. Długo jeszcze machał im ręką, dopóki nie znikli z pola widzenia.

Bob rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął zachęcająco do siostrzenicy.

- Teraz, Jess, jesteś naprawdę u siebie.

Jess siedziała między nimi na tylnym siedzeniu i Judyta nie mogła się na nią napatrzeć. To chciała jej dotknąć, to pogłodzić po włosach...

Wydawało się, że nic siostrze nie dolega, tylko na prawej nodze miała trzy brzydkie sinoczerwone blizny wielkości półkoronówki, a przez cienki materiał koszuli przeświecały żebra. Zęby wydawały się za duże w stosunku do drobnej twarzyczki.

a włosy były tak nierówno przystrzyżone, jakby obrzynano je kozikiem. Judyta jednak wydawała się piękna.

- Czy poznałaś od razu wujka Boba? - zagadnęła ją Judyta.

- Nie - potrząsnęła głową Jess.

- Jakże mogła mnie poznać? - Bob się roześmiał. - Przecież byłaś u nas w Plymouth bardzo krótko, no i miałaś tylko cztery lata, prawda, Jess? A może pamiętasz, że spędzałaś u nas święta Bożego Narodzenia?

- Święta sobie przypominam, ale wujka nie. Zapamiętałam tylko choinkę, całą srebrną, i pana Hobbsa, który robił mi takie grzanki, że aż ociekały masłem.

- A wiesz, Jess, że mówisz z australijskim akcentem? Nawet mi się to podoba, bo miałem kiedyś kilku dobrych marynarzy z Australii.

- Ruth była Australijką.

- To ta pani, która opiekowała się tobą? - chciała wiedzieć Judyta.

- Tak, ona była bardzo dobra. Mam w plecaku list do ciebie, który wczoraj napisała. Chcesz, żebym ci go dała?

- Nie, poczekaj, aż dojedziemy do domu. Wtedy spokojnie go przeczytam.

Tymczasem Ratmalana została daleko w tyle. Jechali teraz na północ szosą wiodącą do miasta. Jess z ciekawością śledziła widok za oknami.

- Wygląda tu trochę jak w Singapurze.

- Nie wiem, bo nigdy tam nie byłam.

- A dokąd my właściwie jedziemy?

- Do mojego domu - wtrącił się Bob. - Judyta mieszka u mnie.

- Czy ten dom jest duży?

- Wystarczająco jak dla mnie.

- A czy ja będę mogła tam zostać?

- Ależ oczywiście.

- A czy będę miała swój pokój?

- Jeśli tylko zechcesz.

Jess nie odpowiedziała na to, więc Judyta wystąpiła z inną propozycją.

- W moim pokoju są dwa łóżka, więc jeśli wolisz, będziesz mogła spać ze mną.

Na razie jednak Jess nie chciała podejmować żadnej wiążącej decyzji.

- Jeszcze się zastanowię - odparła. - Tymczasem czy mogłybyśmy zamienić się miejscami, bo chciałabym wyglądać przez okno?

Od tego momentu przez dalszą część drogi nie odezwała się ani słowem.

Odwróciła się plecami do Boba i Judyty, pochłonięta widokami za szybą.

Początkowo przejeżdżali przez tereny typowo rolnicze, z małymi gospodarstwami, wiejskimi studniami i wozami ciągnionymi przez bawoły. Potem coraz liczniej zaczęły się pojawiać domki, przydrożne sklepiki i stacje benzynowe. Dopiero tam, gdy samochód zwolnił przed bramą domu Boba, Jess rozwiązał się język.

- Tu stoi strażnik! - zauważyła z przestraszeniem.

- Tak, to nasz wartownik - uspokoił ją Bob. - Ale postawiono go tu nie po to, aby bronił nam wyjścia, tylko aby pilnował nas przed nieproszonymi gośćmi.

- To wujek ma swojego wartownika?

- Owszem. Mam także swojego ogrodnika, kucharza i kamerdynera.

Ogrodnik przyozdobił dziś cały dom kwiatami na twoje powitanie, kucharz przygotował dla ciebie budyń cytrynowy na deser, a kamerdyner Tomasz już nie może się doczekać... O, właśnie wyszedł nam naprzeciw - dodał, gdy kierowca podprowadził wóz pod same drzwi i zahamował.

Rzeczywiście Tomasz wylewnie powitał gościa. Już zbiegał po schodkach, aby otworzyć drzwiczki samochodu. Włosy miał świeżo wypomadowane, za uchem kwiat hibiskusa, a w promiennym uśmiechu widać było wszystkie złote zęby. Pomógł Jess wysiąść i swoją ciemną spraco-

waną dłonią pogładził ją po głowie. Odebrał od niej plecak i po ojcowsku obejmując jej chude plecy ramieniem, wprowadził do wnętrza domu, jakby to on odzyskał właśnie swoje utracone dziecko.

- Jak się panience leciało? - dopytywał się dość natarczywie. - Pewnie panienska głodna? A może by się czegoś napiła?

Jess, zmęczona jego atencjami, oświadczyła w końcu, że najbardziej chciałaby pójść do toalety. Judyta wkroczyła wtedy do akcji, odebrała plecak siostry i zaprowadziła ją do swojej chłodnej i zacisznej sypialni.

- Nie możesz mieć Tomaszowi tego za złe... - tłumaczyła.

- Ależ wcale nie mam.

- Rozumiesz, on tak przeżywał twój powrót, odkąd dowiedzieliśmy się, że żyjesz! Łazienka jest tutaj.

Jess stanęła w otwartych drzwiach, nie mogąc się napatrzeć na błyszczącą marmurową posadzkę, chromowane baterie i białą ceramikę.

- I to wszystko twoje? - spytała z niedowierzaniem.

- Teraz będzie także i twoje.

- W całym obozie w Asulu były tylko dwa ustępy. Strasznie śmierdziały, więc Ruth je czyściła.

- To musiało być dosyć nieprzyjemne. - Judyta czuła, że był to całkiem niestosowny komentarz, ale co innego mogła powiedzieć.

- Rzeczywiście - potwierdziła Jess.

- No więc zrób wreszcie, co masz zrobić, to ci ulży. Jess nie zamknęła nawet drzwi za sobą, kiedy korzystała

z toalety. Potem Judyta usłyszała odgłosy ciekącej wody, mycia rąk i twarzy.

- Który ręcznik mogę wziąć? - Z łazienki dobiegło pytanie Jess.

- Wszystko jedno który! - odkrzyknęła Judyta. Usiadła przy swojej toaletce i zaczęła rozczesywać włosy, aby zająć czymś ręce.

Tymczasem Jess wyszła z łazienki i przysiadła na brzegu łóżka, więc Judyta w lustrze złowiła jej spojrzenie.

- Lepiej teraz? - spytała.

- Pewnie! Ledwie już mogłam wytrzymać.

- To musiało być strasznie męczące, prawda? No i jak, zdecydowałaś się, czy wolisz spać ze mną, czy sama?

- Wolę z tobą.

- Dobrze, powiem o tym Tomaszowi.

- Myślałam, że jesteś bardziej podobna do mamy.

- Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

- To nie szkodzi, bo jesteś ładniejsza! Mama nigdy nie malowała ust. Kiedy wysiadałam z samolotu, bałam się, że nikt po mnie nie wyjdzie. Ruth uprzedziła mnie, żebym w takim wypadku została na lotnisku i czekała na ciebie do skutku.

- Coś podobnego! - Judyta aż odłożyła grzebień i odwróciła się twarzą do siostry. - Wiesz, że ja obawiałam się tego samego? Wmawiałam sobie, że może cię nie być w samolocie. A kiedy cię zobaczyłam, odetchnęłam z ulgą!

- Aha. - Jess ziewnęła. - Mieszkasz z wujkiem Bobem?

- Tylko podczas urlopu. Na stałe pracuję w Trincoma lee. To wielki port Marynarki Wojennej na wschodnim wybrzeżu Cejlonu.

- Pracownicy socjalni w Asulu długo nie mogli znaleźć żadnej mojej rodziny. Musiałyśmy przebywać na terenie obozu, dopóki nie dowiedzieli się twojego adresu.

- Ciekawam, jak się do tego zabrali. To chyba musiało przypominać szukanie igły w stogu siana. Akurat tak się złożyło, że dopiero niedawno otrzymałam oficjalną informację o śmierci naszych rodziców. Wtedy sądzono, że i ty nie żyjesz. Z tej okazji udzielono mi urlopu okolicznościowego i wujek zaprosił mnie do siebie.

- Od razu, jak tylko statek poszedł na dno, wiedziałam, że mama nie żyje. Ale o tatusiu dowiedziałam się też



dopiero niedawno. Czerwony Krzyż w Singapurze poinformował, że tatuś zmarł w więzieniu Changi.

- Wiem, zdążyłam się już jakoś z tym pogodzić. Po prostu próbuję o tym nie myśleć.

- Kobiety w Asulu też umierały, ale miały wokół siebie przyjaciółki.

- Myślę, że i tatuś umarł otoczony przyjaciółmi.

- Aha. - Jess spojrzała na siostrę i zmieniła temat. - A my teraz zostaniemy razem?

- Pewnie. Nic już nas nie rozdzieli.

- A gdzie będziemy mieszkać?

- W moim domu w Kornwalii.

- Kiedy tam pojedziemy?

- Tego, kochanie, jeszcze nie wiem. Spróbujemy jakoś to załatwić, wujek Bob nam pomoże. A teraz - spojrzała na zegarek - jest już wpół do siódmej. O tej porze zwykle myjemy się, przebieramy i idziemy na werandę czegoś się napić. Dziś kolacja będzie wcześniej, bo może jesteś zmęczona i zechcesz się położyć.

- Czy do tej kolacji zasiądziemy tylko my z wujkiem Bobem?

- Nie, przyjdzie jeszcze pan David Beatty. Mieszka z wujkiem i jest bardzo miły.

- W Singapurze mama zawsze przebierała się do kolacji w jakąś elegancką suknię.

- My przebieramy się nie po to, aby wyglądać elegancko, tylko aby czuć się czysto i świeżo.

- Ale ja mam tylko to co na sobie!

- Dam ci jakieś moje rzeczy. Jesteś już prawie tego wzrostu co ja.

Znajdziemy jakieś szorty i bluzkę, mam też sandały z czerwonych i złotych pasków, w sam raz na ciebie.

Jess wyciągnęła nogi przed siebie, patrząc na nie z wyraźnym niesmakiem.

- Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz nosiłam jakieś

buty. Dlatego nie mogli mi znaleźć nic lepszego od tych sandałów.

- Jutro weźmiemy samochód Boba i pojedziemy po zakupy.

Skompletujemy ci całą garderobę, w tym także i ciepłe rzeczy na powrót do Anglii. Jakiś gruby sweter, nieprzemakalny płaszcz, odpowiednie buty i skarpety...

- A czy w Kolombo można dostać takie rzeczy? W Singapurze nikt nigdy się ciepło nie ubierał.

- W górach, gdzie są plantacje herbaty, bywa nieraz chłodno i wilgotno. A może teraz wzięłabyś prysznic?

- Wolałabym wyjść i obejrzeć sobie ogród.

- Czy nie lepiej najpierw wziąć prysznic, przebrać się i poczuć kimś zupełnie innym? W łazience jest wszystko co trzeba, a kiedy się umyjesz, wybierzesz sobie coś do ubrania. Potem, jeśli zechcesz, możesz poszukać Boba albo przejść się po ogrodzie, dopóki się nie ściemni.

- Mam swoją szczoteczkę do zębów - oznajmiła Jess, grzebiąc w plecaku. Wyciągnęła stamtąd wspomnianą szczoteczkę, kawałek mydła, grzebień i jakiś przedmiot owinięty w spraną szmatkę. Po odwinięciu okazało się, że jest to rodzaj prymitywnego fletu z wydrążonego pędu bambusa.

- Co to takiego? - zainteresowała się Judyta.

- Dostałam to od jednego z chłopców w obozie. Sam zrobił ten flecik i można na nim ładnie grać. Raz nawet zorganizowaliśmy koncert.

Pomagała nam Ruth i jedna pani z Holandii.

Jess odłożyła flecik na łóżko i znów sięgnęła do plecaka.

- A co się stało z twoim pajacem? - spytała tymczasem Judyta.

- Poszedł na dno razem ze statkiem - odpowiedziała Jess beznamiętnym tonem i wyciągnęła z plecaka plik liniowanych kartek wyrwanych z bloczka. - To dla ciebie od Ruth.

- Wygląda to na długi list, więc schowam go na póź-

niej. - Judyta wzięła kartki, położyła na swojej toalecie i przycisnęła ciężkim flakonem perfum. Pokazała Jess, jak działa prysznic, i zostawiła ją samą w łazience. Po jakimś czasie dziewczynka wyszła stamtąd zupełnie goła, tylko obwiązana w pasie ręcznikiem. Była tak chuda, że dałoby się policzyć wszystkie żebra, mokre włosy sterczały jej w strączkach, ale zaczynały się już uwypuklać zaczątki dziewczęcych piersi. No i nie pachniała wreszcie środkiem dezynfekcyjnym, tylko mydłem „Różowa Pelargonja”.

Grzebały razem w rzeczach Judyty, dopóki nie wybrały białych szortów do gry w tenisa i niebieskiej koszulowej bluzki z chińskiego jedwabiu. Jess podwinęła rękawy ponad swymi kościstymi łokciami i przyglądała wilgotne włosy.

- Świetnie wyglądasz - stwierdziła Judyta. - Wygodnie ci w tym?
- Aha. Już zapomniałam, jak wygląda jedwab. Pamiętam tylko, że mama kiedyś nosiła jedwabne sukienki. Gdzie może być teraz wujek Bob?
- Myślę, że na werandzie.
- Pójdę go poszukać, dobrze?
- Proszę bardzo, idź.

Judyta wolała zostać teraz przez chwilę sama, aby odetchnąć po wszystkich wrażeniach dzisiejszego dnia. Ważne było, aby zachować spokój i rozsądek, gdyż tylko one mogły zapewnić prawidłowe kontakty z siostrą. Wylewne przywitanie na lotnisku w Ratmalanie było przecież ze strony Jess raczej demonstracją radości z tego, że nie będzie więcej sama, niż wyrazem dawnej siostrzanej miłości. Upłynęło zbyt wiele lat, aby taka miłość mogła się utrzymać, tym bardziej że Jess tyle od tej pory przeszła! Ze strony Judyty potrzeba było teraz wiele cierpliwości. Przy odbudowywaniu wzajemnych stosunków nie powinna się śpieszyć, tylko traktować siostrę jak dorosłą osobę. Początek był dobry, bo wróciła w normalnym stanie psy-

chicznym, zrównoważona i bez widocznych urazów. Oby tak dalej. Doszedłszy do tego wniosku Judyta wstała, zrzuciła zakurzone i przepocone części garderoby, wzięła prysznic i przebrała się w lekkie spodnie i koszulkę bez rękawów Umalowała usta i dotknęła skóry w kilku miejscach ko reczkiem flakonu z perfumami „L'Heure Bleu”. Dopiero wtedy sięgnęła po list od młodej Australijki.

*Dżakarta, 19 września 1945 Droga Judyto!*

*Nazywam się Ruth Mulaney. Mam dwadzieścia pięć ha i jestem Australijką.*

*W 1941 ukończyłam akurat kursy pielęgniarские i WY jechałam do znajomych w Singapurze. Zaraz, po japońskiej inwazji na Malaje ojciec telegraficznie wezwał mnie do powrotu. Udało mi się wtedy zdobyć miejsce na statku „Radża Sarawaku”, starej łajbie wypełnionej po brzegi uchodźcami.*

*Po sześciu dniach rejsu nasz statek został storpedowany na Morzu Jawajskim około piątej po południu. Matka Jess akurat musiała zejść pod pokład i prosiła mnie, żebym uważała na małą.*

*Statek prawie natychmiast poszedł na dno. Wśród krzyków i zamieszania nałożyłam kamizelkę ratunkową, złapałam Jess na ręce i wyskoczyłam za burtę. Udało mi się nie wypuścić jej z rąk i miałyśmy szczęście, że zaraz podpłynęła do nas łódź ratunkowa. Zmieściliśmy się w niej ostatnie, gdyż była już przepelniona. Wszystkich innycli rozbitków, którzy próbowali się do niej dostać, musieliśmy odpychać, a nawet bić wiosłami.*

*Okazało się, że na statku było zbyt mało szalup i tratw, brakowało też kamizelek ratunkowych. Łodzi nie wyposażono w żelazne zapasy żywności i słodkiej wody. Na szczęście ja i jeszcze jedna kobieta miałyśmy przy sobie butelki z wodą. Wśród pasażerów łodzi znaleźli się za-*

*równo Chińczycy, jak też. Malajowie i jeden hinduski marynarz. Już pierwszej nocy umarło czworo dzieci i jedna starsza pani.*

*Dryfowaliśmy tak przez całą noc, następny dzień i jeszcze jedną noc. Na drugi dzień dostrzegli nas indonezyjscy rybacy i wzięli na hol. Zabrali nas do swojej wioski na Jawie, skąd miałam zamiar dostać się do Dżakarty w nadziei, że uda mi się wsiąść tam na inny statek odplywający do Australii. Nic jednak z tego nie wyszło, bo Jess zachorowała. Skaleczyła się czymś w nogę tak paskudnie, że wdało się zakażenie. Dostała wysokiej gorączki, która spowodowała silne odwodnienie.*

*Dlatego musiałyśmy zostać w rybackiej wiosce, podczas gdy innym rozbitkom udało się ruszyć w dalszą drogę. Bałam się, że Jess umrze, ale na szczęście jej silny organizm przezwyciężył infekcję. Kiedy już nabrała sił na tyle, by wytrzymać podróż - na niebie pojawiły się japońskie samoloty. Ktoś wtedy podwiózł nas w stronę Dżakarty wozem zaprzężonym w bawoły. Ostatnie piętnaście mil przebyłyśmy pieszo, ale Japończycy już tam na nas czekali. Przewieźli nas do obozu w Bandungu, gdzie trzymali już wiele holenderskich kobiet i dzieci.*

*Bandung był pierwszym z czterech obozów, przez które przeszłyśmy. Najgorszy był ostatni, w Asulu. Był to właściwie obóz pracy, w którym zatrudniano nas przy uprawie pól ryżowych, czyszczeniu kanałów melioracyjnych i latryn. Dobrze, że przynajmniej Jess była za młoda, żeby pracować, ale i tak stale przymierałyśmy głodem. Za każde przewinienie karano tam wszystkich pozbawieniem żywności przez dwa dni.*

*Karmiono nas tam ryżem, kaszą z sago i zupą z odpadów warzyw.*

*Czasami miejscowa ludność podawała nam przez druty jakieś owoce albo udawało mi się wymienić coś na jajko lub szczyptę soli. Były z nami jeszcze dwie pielęgniarki z Australii, ale jedna umarła, a drugą Japończycy rozstrzelali.*

*Na szczęście Jess już więcej nie chorowała poważnie i Czasami tylko robiły się jej wrzody i czyraki, po który cli zostały blizny. Próbowaliśmy prowadzić coś w rodzaju szkoły dla dzieci, ale strażnicy, gdy się o tym dowiedzieli, odebrali nam wszystkie książki.*

*Wiedziałyśmy, że wojna się kończy, ponieważ jakieś od ważne kobiety przemyciły na teren obozu radio w czę ściach, które potem zmontowały.*

*Pod koniec sierpnia usły szatyśmy o zrzuceniu bomb atomowych na Japonię i lą dowaniu aliantów na Jawie. Zaraz potem komendant obozu i wszyscy strażnicy gdzieś znikli, ale my zostałyśmy na miejscu, bo dokąd miałyśmy pójść? Z amerykańskiego sa mołotu, przelatującego nisko nad nami, zrzucono nam na spadochronach zasobniki z konserwami i papierosami. Był to rzeczywiście dla nas dobry dzień!*

*Potem do naszego obozu wkroczyli Anglicy i Holendrzy, mężowie naszych współwięźniarek, wypuszczeni z innych obozów. Musieli być niezłe zaszokowani, widząc nas w takim stanie!*

*A oto, dlaczego tak późno dotarła do Ciebie wiadomość, że Jess żyje.*

*Po pierwsze, z powodu zamieszek niepodległościowycli w Indonezji.*

*Mieszkańcy archipelagu nie chcieli już. powrotu holenderskich kolonizatorów, a to opóźniało wszystkie czynności urzędowe.*

*Po drugie, Jess figurowała w rejestrach obozowych pod moim nazwiskiem. Nie chciałam, aby nas rozdzielono, więc Zgłosiłam ją jako moją siostrę. Nie przyznałam się, że nie jesteśmy spokrewnione, nawet po wyzwoleniu obozu. Bałam się bowiem, że wyślą mnie do kraju w pierwszej kolejności i będę musiała zostawić ją samą. Dopiero kiedy obie mogłyśmy opuścić obóz - ujawniłam jej właściwe nazwisko.*

*Przez te trzy i pół roku Jess nieraz była świadkiem okrucieństw, tortur i śmierci. Nauczyła się jednak przechodzić nad tym do porządku dziennego. Dzieci jakoś po-*

*trafią dystansować się od przykrych wydarzeń, a Twoja siostrzyczka pokazała, że jest odważną osobką o silnym charakterze.*

*Przez te wspólnie przeżyte lata zżyliśmy się bardzo ze sobą. Teraz jest jej smutno, że już jutro odlatuje. Niemniej jednak zdaje sobie sprawę, że nie możemy zawsze być razem.*

*Zapewniłam ją, że nie żegnamy się na zawsze i że kiedyś musi odwiedzić mnie w Australii. Mieszkamy w Turramur-ra na przedmieściu Sydney, a mój ojciec jest przedsiębiorcą budowlanym. Mówiąc serio, bardzo bym się ucieszyła, gdybyś kiedyś pozwoliła jej przyjechać do mnie. Może gdy będzie trochę starsza?*

*Wracam do domu zaraz po odlocie Jess, kiedy tylko znajdzie się miejsce na statku lub w samolocie.*

*Powierzam Twojej opiece naszą małą siostrzyczkę -*

*Ruth Mulaney*

Judyta przeczytała ten list dwa razy od początku do końca, a potem schowała go do górnej szufladki w toalecie. Teraz Ruth powierzała jej opiece swoją przybraną siostrzyczkę, a przez minione trzy i pół roku sama była dla niej podporą, choć może wątlą. Jess pokochała ją, a teraz musiała się z nią rozstać...

Tymczasem zapadł mrok. Judyta wyszła z sypialni, aby odszukać Jess. Znalazła ją samą na werandzie, pochłoniętą przeglądaniem któregoś z albumów rodzinnych Boba. Na widok nadchodzącej Judyty podniosła głowę.

- Chodź, zobacz, jakie zabawne zdjęcie! Mamusia i tatuś jeszcze wtedy tak młodo wyglądali!

Judyta usiadła obok siostry na wyściełanej wiklinowej kozetce.

- Gdzie jest wujek Bob? - spytała, obejmując ją ramieniem.

- Poszedł się przebrać, a mnie zostawił ten album, żeby go sobie obejrzała. Tu są zdjęcia z okresu, kiedy

rodzice mieszkali w Kolombo. Na tym jest ktoś w oki o pnym kapeluszu, a kim są ci ludzie? Odwróciła kartkę albumu.

- To nasi dziadkowie, rodzice mamy.

- Wyglądają na bardzo starych.

- Bo już wtedy byli starzy i okropnie nudni. Nie cici piałam jeździć do nich. Myślę, że ty chyba też, chocki/ byłaś jeszcze bardzo mała. A to jest ciocia Bidy, siostra mamy, żona wuja Boba. Poznasz ją i na pewno polubis/. bo jest strasznie zabawna.

- A to kto?

- To ich syn, a nasz kuzyn, Ned, gdy miał dwanaście lat. Zginął na samym początku wojny, kiedy Niemcy za topili jego okręt.

Jess przyjęła tę informację w milczeniu i przewróciła kartkę.

- Przeczytałam list od Ruth - zmieniła temat Judyta. Jakaż to wspinała kobieta!

- I jaka odważna! Nie bała się nikogo i niczego.

- Ona pisze, że i ty byłaś bardzo odważna. - Jess tylko wzruszyła ramionami, więc Judyta zaczęła z innej beczki. - Tam, w obozie, podawałyście się za siostry?

- Na początku oszukiwałyśmy, a potem zaczęłyśmy sa me w to wierzyć.

- Na pewno było ci ciężko rozstawać się z nią?

- Pewnie!

- Ona pisze, że chciałyby, abyś odwiedziła ją w Au stralii, kiedy będziesz starsza.

Jess błyskawicznie podniosła głowę, jak na sprężynie, i po raz pierwszy spojrziała Judyte prosto w oczy.

- Naprawdę mogłabym do niej pojechać?

- Oczywiście. Powiedzmy, kiedy skończysz siedemna ście lat. Tylko za trzy lata.

- Aż za trzy lata!

- Przecież musisz teraz pójść do szkoły i nadrobić masę zaległości. Ale nie bój się, nie wysłę cię nigdzie daleko.



Możesz pójść do Świętej Urszuli, tak jak ja. Na przykład jako dochodząca.

Jess nie chciała jednak rozwijać tematu szkoły. Bardziej frapowała ją perspektywa podróży do Australii.

- Bałam się, że nie pozwolisz mi jechać - wyznała. - Myślałam, że taka podróż może być dla nas za kosztowna. Australia leży tak daleko od Anglii...

- Na pewno dla nas nie będzie za drogo. Mało tego, możesz potem zaprosić Ruth do nas.

- Mówisz serio?

- Jak najbardziej.

- Boże, pragnęłabym tego najmocniej ze wszystkiego w świecie! Gdybym mogła wypowiedzieć tylko jedno życzenie - miałabym właśnie to. Kiedy żegnałyśmy się dziś rano, najbardziej bałam się tego, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Czy mogłabym napisać o tym do niej? Nauczyłam się na pamięć jej adresu w Australii, w razie gdybym go zgubiła.

- Myślę, że powinnaś to zrobić nawet jutro, żeby nie tracić czasu. Potem przynajmniej będziesz miała na co czekać, a to też jest ważne. Na razie jednak... - urwała na chwilę. - Wydaje mi się, że powinnyśmy zacząć planować znacznie bliższą przyszłość.

- To znaczy co? - Jess uniosła brwi ze zdziwieniem.

- To znaczy, że czas już zbierać się do domu!

Judyta zajęta była pakowaniem, którego normalnie nie znosiła, a tym razem miała z nim jeszcze więcej kłopotu. Mało tego, że pakowała rzeczy należące do dwóch osób, to jeszcze rozkładała je na cztery partie.

Zarówno bowiem garderobę własną, jak i Jess musiała podzielić na dwie kategorie: „potrzebne podczas podróży” i „niepotrzebne podczas podróży”.

Na rzeczy z tej drugiej grupy przeznaczyła wielkie skórzane walizy, dodatkowo ściągnięte rzemieniami. Musiały być mocne, aby wytrzymać załadunek w Kolombo i wy-

ładunek w Liverpoolu, niewykluczone, że połączony z e zrzucaniem z dużej wysokości. Swoje rzeczy „potrzebne w podróży” pakowała do własnej walizki przywiezionej z Trincomalee, a na garderobę Jess dokupiła skórzaną torebkę. Firma „Whiteaway i Laidlaw” - wschodni odpowiednik Harrodsa - także i tym razem stanęła na wysokości zadania. Zakupy dla Jess zajęły większą część dnia, przy czym Judyta nie liczyła się zbyt z kosztami. Wiedziała bowiem, że w Anglii przydziały kartkowe były jeszcze uboższe niż przedtem, a ponadto po powrocie zarówno ona, jak i Jess będą musiały się poddać uciążliwej formalnej procedurze, zanim otrzymają dowody tożsamości, kartki żywnościowe, paliwowe i odzieżowe. W zniechęconym wojną kraju wciąż obowiązywały ograniczenia czasu wojny.

Jess potrzebowała właściwie wszystkiego, poczynając od bielizny - po bluzki, swetry, spódnice, wełniane podkolanówki, piżamę, cztery pary butów, ciepły szlafrok i płaszcz nieprzemakalny. Wszystko to, poskładane na kupki, leżało na łóżku i miało być przesłane oddzielnym transportem. Na drogę do domu dziewczęta mogły wziąć ze sobą tylko to co najniezbędniejsze, bo statek, którym miały płynąć, pełen był zdemobilizowanych żołnierzy, to też przestrzeń bagażową wydzielano bardzo oszczędnie. Na samą podróż mogły być potrzebne najwyżej bawełniane spodnie i koszulki, rozpinany sweterek, koszula nocna i tenisówki. Natomiast już w Anglii, po zejściu na ląd, przydadzą się raczej długie spodnie i zamszowe kurtki...

Była już czwarta po południu, a wciąż jeszcze panował tak obezwładniający upał, że Judyta ledwo mogła sobie wyobrazić, że już za trzy tygodnie zarówno ona, jak i Jess będą z radością ubierać się w te grube, ciężkie rzeczy. Na razie samo składanie szetlandzkiego swetra stanowiło wysiłek, przy którym oblewała się potem.

Ciszę przerwał szept Tomasza:

- Panienko Judyto!

Judyta wstała i obróciła się w kierunku drzwi. Uprzednio zostawiła je otwarte, aby zrobić przeciąg, a teraz w ich szparze stał Tomasz, nieco onieśmielony, że przeszkadza.

- O co chodzi, Tomaszu?
- Gość do panienki. Czeka na werandzie.
- A kto to taki?
- Pan kapitan Halley.

Judyta o mało nie krzyknęła, ledwo w ostatniej chwili zakryła usta dłonią. Miała wyrzuty sumienia wobec Hugona, już od tygodnia bowiem, czyli od powrotu Jess, nie widziała się z nim, nie próbowała nawiązać kontaktu ani nie myślała o nim. W ostatnich dniach tyle się działo, że nie mogła znaleźć ani chwili, żeby do niego zadzwonić. Dni mijały, poczucie winy rosło, aż w końcu zatknęła za ramię lustra karteczkę z przypomnieniem: „Zadzwoń do Hugona!” Trzeba trafu, że tego samego dnia Hugo zjawił się osobiście, więc Judyta zawstydzila się swoich złych manier.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę - poleciła Tomaszowi.
- Podam państwu herbatę.
- To ładnie z twojej strony.

Tomasz wycofał się z ukłonem, a Judyta, zmieszana, przerwała pakowanie, umyła twarz i ręce, spróbowała doprowadzić do porządku zlepione włosy. Bawełniana sukienka też nie była już ani czysta, ani świeża, ale na razie musiała wystarczyć. Judyta wsunęła więc na bose nogi sandały i poszła przełknąć czekającą ją gorzką pigułkę.

Hugo, w mundurze, stał na werandzie, opierając się ramieniem o słupek. Był odwrócony tyłem, bo kontemplował właśnie widok ogrodu.

- Hugo - odezwała się.
- Judyto. - W jego głosie nie znać było cienia wyrzutu lub gniewu, co przyniosło Judycie ulgę. Przeciwnie, raczej zdawał się zachwycony tym, że ją widzi.

- Tak mi wstyd... - zaczęła.
- Wstyd czego?
- Powinam była już dawno do ciebie zadzwonić i powiedzieć ci, co się tu działo, ale nie mogłam na to znać czasu. Przykro mi, to było takie niegrzeczne z mojej strony...
- Daj spokój z tą samokrytyką. Nawet o tym nie myślałem.
- I przepraszam cię, że wyglądam tak nieświeżo, ale wszystkie czyste rzeczy są już spakowane.
- Wyglądasz wspaniale, a ja po całym dniu spędzonym w Katarundzie też nie czuję się świeżo. Wstąpiłem do ciebie w drodze powrotnej.
- I dobrze zrobiłeś, bo jutro już wyjeżdżamy.
- Tak prędko?
- Nawet zapisałam sobie dla pamięci, że mam dziś do ciebie zadzwonić.
- Może raczej ja powinienem być pierwszy się odezwać, ale wiedziałem, jaka jest sytuacja, i nie chciałem przez szkadzać.
- Na pewno nie wyjechałabym bez pożegnania. Hugo wznosił ręce do góry w geście poddania.
- Dobra, dajmy już spokój tym konwenansom, bo oboje jesteśmy zmęczeni. Usiądźmy lepiej na chwilę i pogadajmy spokojnie. To był rzeczywiście świetny pomysł. Judyta wyciągnęła się w fotelu Boba, opierając nogi na podnóżku, a Hugo przysunął sobie taboret i usiadł naprzeciw niej, z łokciami opartymi na kolanach.
- Dobrze więc, po kolei: wyjeżdżasz już jutro?
- Tak. Od obiadu próbuję się spakować.
- A co będzie z twoją służbą?
- Wszystko załatwione. Dostałam na razie bezterminowy urlop, a po powrocie do kraju wystąpię o zwolnienie z przyczyn osobistych.
- Czym wracasz do kraju?

- Statkiem transportowym. Bob w ostatniej chwili załatwił dla nas dwa miejsca.
- Na liniowcu „Królowa Pacyfiku”?
- Tak. Zabawne, że to ten sam statek, którym przyплыnęłam, tylko że w tę stronę będzie na nim pełno pasażerów. Do kraju wracają zarówno rodziny osadników / Cejlonu, jak i cały garnizon lotników z Indii. Ale to nic, grunt, że znajdziemy się na pokładzie. - Uśmiechnęła się z pewnym zażenowaniem. - Wstyd się przyznać, ale zawdzięczam to temu, że mam wujka admirała. Bob załatwił wszystko przez telefon, wykorzystując swoje stanowisko.
- A co z Trincomalee?
- Do tej pory nie wróciłam tam i już nie wrócę.
- A nie zostawiłaś tam jakichś swoich rzeczy?
- Nic godnego uwagi. To, co było dla mnie cenne, zabrałam ze sobą do Kolombo, a o resztę nie dbam. W zeszłym tygodniu spędziłyśmy z Jess cały dzień u Whiteawaya i Laidlawa i wykupiłyśmy pół sklepu. Obsprawiłyśmy się od stóp do głów.
- Jak to ładnie brzmi! - zauważył z uśmiechem.
- Co takiego?
- „Spędziłyśmy z Jess...” To tak, jakbyście się nigdy nie rozstawały.
- Rzeczywiście, czy to nie był prawdziwy cud? Może się wydawać, jakbyśmy się nigdy nie rozstawały, ale nieraz budzę się nocą i pytam sama siebie, czy to wszystko nie jest snem. Dopiero gdy zapalam światło i widzę, że Jess śpi na sąsiednim łóżku, uspokajam się, że ona jest naprawdę.
- Ciekawe, w jakim jest stanie.
- W zadziwiająco dobrym. Z czasem mogą ujawnić się u niej jakieś urazy psychiczne czy fizyczne, ale na razie trzyma się świetnie.
- A gdzie ona jest teraz?
- Bob zabrał ją do zoo, bo chciała zobaczyć aligatory.
- Szkoda, że nie mogę jej poznać.

- Poczekaj, niedługo powinna wrócić.
- Nie mogę, bo jestem zaproszony na drinka do Na czelnego Dowództwa. Gdybym się spóźnił, chybaby mnie rozstrzelali.

W tym momencie rozmowę przerwał Tomasz, wnosząc tacę z podwieczorkiem. Hugo podsunął mu stolik, więc służący postawił na nim tacę, skłonił się ceremonialnie i zostawił ich samych. Po jego wyjściu Judyta podjęła przerwany wątek.

- Wiem, że Bob opowiedział ci o wszystkich przejściach Jess, ale czy wspominał także o Gusie Callenderze !
- A kto to taki? Słuchaj, czy mogłabyś być taka miła i nalać mi herbaty?
- Proszę bardzo. To znaczy, że nic ci nie mówił, a lo był taki nadzwyczajny zbieg okoliczności. Masz pojęcie, tego samego dnia, kiedy dowiedzieliśmy się, że Jess żyje, do portu zawinął statek sanitarny „Orion” z byłymi więźniami japońskich obozów pracy w Birmie.
- Tak, rzeczywiście, stał tu przez cały dzień, a odpłynął dopiero wieczorem.
- Byłam w grupie naszych dziewcząt, które witały tych ludzi na brzegu... - Tymczasem Hugo podsunął i jej filiżankę chińskiej herbaty z cytryną. Była jednak za gorąca, aby ją od razu wypić, więc na razie Judyta odstawiła filiżankę. - I Gus znalazł się wśród nich. Wiesz, był kapitanem Pułku Strzelców Szkockich...  
Opowiedziała mu ze szczegółami przebieg tego niespodziewanego spotkania. Jak to wszyscy uznali już Gusa za zmarłego, a on tymczasem żył. Jak poszła z nim do hotelu „Galie” i była świadkiem wzruszającej sceny przekazania mu przez starego kelnera butelki whisky. Opisała także, jak Gus wyglądał, w co był ubrany i jak się rozstawali, gdy wsadziła go do taksówki.
- I masz pojęcie, że kiedy po tym wszystkim wróciłam do domu, Bob czekał na mnie z wiadomością, że Jess żyje. Tego samego dnia dowiedziałam się, że dwie osoby,

których nie miałam już nadziei zobaczyć - nadal żyją. Czy to nie nadzwyczajne?

- Rzeczywiście. - Hugo przytaknął jej całkiem serio.

- Tyle że o Jess już się nie boję, natomiast mam powody, żeby martwić się o Gusa. W szpitalu w Rangunie dowiedział się, że jego starzy rodzice zmarli, kiedy siedział w niewoli japońskiej, a żadnych innych krewnych nie ma. Kiedy wróci do Szkocji, nikt go nie będzie oczekiwał.

- Gdzie on mieszka?

- Gdzieś w Aberdeenshire. Nie wiem dokładnie, bo to znajomy moich znajomych z Kornwalii i u nich go poznałam. Drugi raz w życiu zobaczyłam go dopiero, gdy zszedł z pokładu tego statku.

- Ale chyba ma jakiś dom?

- Myślę, że nawet cały majątek. Chyba pochodzi z zamożnej rodziny, bo studiował w Cambridge, jeszcze wcześniej skończył Rugby, a kiedy go poznałam, jeździł luksusową lagondą.

- No więc raczej krzywda mu się nie dzieje. Tymczasem herbata nieco wystygła, więc Judyta wypła

łyceczek. Rozgrzało ją to, a zarazem odświeżyło. Nadal myśląc o Gusie, dodała:

- W każdym razie muszę być z nim w kontakcie.

- A ty masz gdzie wrócić? - zmienił temat Hugo.

- Do domu pełnego kobiet. - Parsknęła śmiechem.

- A co z Jess?

- Prędzej czy później będzie musiała iść do szkoły. Może raczej później, bo chciałabym, żeby najpierw doszła do siebie i trochę się rozerwała.

- W gronie rodziny i przyjaciół?

- Otóż to właśnie.

- A nie czeka na ciebie stęskniony narzeczonny, aby poprowadzić cię do ołtarza?

Czasem trudno było poznać, czy Hugo żartuje, czy mówi serio, więc na wszelki wypadek spojrzała mu w twarz. Z jego miny wywnioskowała, że jest poważny.

- A dlaczego pytasz? - dociekała.
  - Bo jeśli jest ktoś taki, to ma szczęście. Judyta odstawiała filiżankę ze spodkiem na stolik.
  - Hugo, nie myśl, proszę, że cię zwyczajnie wykorzystywałam - oświadczyła.
  - Absolutnie tak nie myślę. Chciałem tylko być przy tobie w ciężkich chwilach i żałuję, że nie mieliśmy dla siebie więcej czasu.
  - Przecież chyba wyjaśniliśmy sobie, że nic by to nic zmieniło.
  - Pewnie nic.
  - W każdym razie mile spędziliśmy czas. Przekonaliśmy się, że potrafimy tak samo beztrudnie bawić się i cieszyć jak przed wojną. Tańczyć w takt piosenki, elegancko się ubierać, a nawet śmiać się z tej okropnej Moiry Bur ridge. I za to właśnie jestem ci wdzięczna. Dzięki tobie poczułam się znów tak jak kiedyś.
- Hugo przechylił się i wziął ją za rękę.
- Czy zobaczymy się jeszcze, kiedy w końcu wrócę do Anglii? - spytał.
  - Oczywiście, nawet musisz odwiedzić mnie w Korn wali. Mam uroczy dom nad samym morzem. Przyjedź w lecie, sam albo z przyjaciółką. W swoim czasie możesz też przywieźć żonę z dziećmi, to będziemy razem stawiać babki z piasku.
  - O, to lubię.
  - Co takiego lubisz?
  - Jasne sytuacje.
  - Przecież wiesz, że nigdy ci się nie narzucałam, ale nie chciałabym także cię stracić.
  - Jak będzie można się z tobą skontaktować?
  - W książce telefonicznej jest mój numer, pod nazwiskiem Dunbar i adresem Dower House, Rosemullion.
  - A jeśli zadzwonię, to przyrzekniesz mi, że nie wrzasz niesz w słuchawkę: „Kto tam znów, u diabła?”



- Nie przypuszczam, abym komukolwiek mogła coś podobnego powiedzieć.

Jeszcze przez kilka minut rozmawiali w tym duchu, aż w końcu Hugo spojrział na zegarek i stwierdził, że już czas na niego.

- Muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc, napisać list i zameldować się w Naczelnym Dowództwie na pięć minut przed wyznaczoną godziną.

- To znaczy kiedy?

- O wpół do siódmej. To ma być koktajl z okazji przyjazdu lorda Mountbattena z małżonką.

- Czy Moira Burridge też tam będzie?

- Uchowaj Boże!

- Przy okazji pozdrów ją ode mnie.

- Uwważaj, bo dam jej twój adres i powiem, że nie możesz się doczekać, kiedy cię odwiedzi w Kornwalii.

- Tylko spróbuj, to cię uduszę!

Odprowadziła go do drzwi, a stamtąd do samochodu zaparkowanego na podjeździe. Na odchodnym jeszcze odwrócił się do niej:

- Do widzenia.

- Do widzenia, Hugo!

Ucałowali się nawzajem w oba policzki.

- Spędziliśmy razem wspaniałe chwile.

- Tak, to było rzeczywiście wspaniałe. Dziękuję ci.

- Tak się cieszę, że w końcu wszystko ci się dobrze ułożyło.

- Może jeszcze nie całkiem, ale jest już na dobrej drodze - odpowiedziała.

*Pokład statku „Królowa Pacyfiku”*

*Morze Śródziemne*

*12 października 1945, piątek*

*Drogi Gusie!*

*Siedzę tu na smaganym wichrem pokładzie spacerowym wśród płaczących dzieci, zirytowanych matek i znudzo-*

*nych lotników. Siedzimy na deskach pokładu, bo nie mamy na czym, i z każdym dniem stajemy się coraz brudniejsi i bo umyć się też nie ma gdzie! Nie masz pojęcia, co za zbieg okoliczności! Kiedy rozstaliśmy się po wyjściu z hotelu „Galie”, w domu czekał na mnie wuj Bob (to znaczy kontradmirał Somerville) z wiadomością, że moja młodsza siostra Jess żyje! Zna leżono ją w obozie internowanych na Jawie. Czyż to nie był dzień cudów? Najpierw Ty się odnalazłeś, a później ona!*

*Jess ma już czternaście lat. Przyleciała do Kolombo amerykańskim samolotem wojskowym z Dżakarty. Odebra liśmy ją na lotnisku w Ratmalanie. Była mocno opalona i wychudzona, ale tak wyrosnięta, że niewiele niższa ode mnie. Najważniejsze jednak, że jest zdrowa.*

*W związku z tym przez cały miniony tydzień załatwia liśmy różne formalności. W efekcie otrzymałam zwolnienie ze służby z przyczyn osobistych i wracamy razem do kraju.*

*Przez cały czas myślałam o Tobie. Pewnie już jesteś z powrotem w Szkocji? Wyślę ten list z Gibraltaru, pod adresem, który mi dałeś.*

*Cudownie było spotkać Cię znowu i spędzić z Tobą choć kilka chwil.*

*Przykro mi, że musiałam Cię poinformować o zamążpójściu Loveday. To całkiem zrozumiałe. Że ze względu na nią przez jakiś czas wolisz trzymać się z dala od Kornwalii. Może kiedy uporządkujesz, na nowo swoje życie i osiągniesz, pewną stabilizację - spojrzysz na te sprawy inaczej. W każdym razie pamiataj, że zarówno w Nancherrow, jak i u mnie jesteś zawsze mile widziany. Tylko koniecznie zabierz ze sobą szkicownik!*

*Proszę, odpisz mi i daj znać, jak Ci leci i jakie masz plany na przyszłość. Serdeczności —*

*Judyta*

*Dower House, Rosemullion*

*21 października 1945, rocznica zwycięstwa pod Trafalgarem*

*Drogi Bobie!*

*Judyta i Jess są już w domu, zdrowe i całe. W piątek wyjechałam po nie taksówką na dworzec w Penzance. Przyjechały „Riwiera” z całymi górami bagażu. Nie pamiętam, czy kiedyś cokolwiek tak mocno przeżywałam.*

*Były oczywiście zmęczone, ale wyglądały dobrze. Jess w niczym nie przypomina tego rozpieszczonego pulpeta, jakiego pamiętaliśmy z tamtych świąt w Keyham. Tylko oczy ma dalej tak samo błękitne! Dużo mówiła mi o Tobie, choć spędziliście razem tak krótki czas.*

*Do łez wzruszyło mnie jej przywitanie z Phyllis. Czekala na nas przy wejściu ze swoją córeczką i z psem, ale nikt nie wskazał Jess, że to ona. A jednak, gdy tylko wysiadła z taksówki, od razu rzuciła się Phyllis na szyję! Ania była trochę o nią zazdrosna, ale Jess wspaniale umie postępować z dziećmi. W obozie często opiekowała się najmłodszymi więźniami.*

*Judyta pokazała mi list od tej miłej pani z Australii, która przez cały czas troszczyła się o Jess. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, przez jakie piekło obie przeszły. Myślę, że prędzej czy później Jess zacznie opowiadać o swoich przeżyciach, ale jestem pewna, że pierwszą osobą, której się zwierzy, będzie Phyllis. W każdym razie dziś rano poszłam do kościoła i podziękowałam Bogu, że to tak się skończyło.*

*Mamy właśnie niedzielę, chłodny, deszczowy i wietrzny dzień. Z drzew opadły już liście. Judyta zabrała Jess w odwiedzin do Nancherrow.*

*Wyszły już godzinę temu, w gumowcach i płaszczach nieprzemakalnych. Przy pierwszej okazji trzeba będzie kupić Jess rower, żeby mogła swobodnie się poruszać, bo przydziały paliwa są symboliczne, a samochód Judyty stoi w garażu na kołkach.*

*Jest nam trochę ciasno, ale całkiem niezłe się pomieścić udało się. Ania przemieściła się z powrotem do Phyllis, a ja/ pokój daliśmy Jess. Myślę jednak, że najwyższy czas, ab\śmy też poszukali sobie własnego kąta. W zeszłym, ty go dniu widziałam w Portscatho śliczny domek, z trzema sypialniami i dwiema łazienkami. Stoi na wzgórzu za wsia, nad samym morzem. Do sklepu jest stamtąd tylko pół mili, a dwie mile do St. Mawes, gdzie mógłbyś trzymać żaglówkę. Trafiliśmy akurat na dobry moment: można b\ się tam wprowadzić choćby od jutra, więc chyba skorzystam z tej okazji. W tych dniach rozmawiałam przez telefon z Hester Lang, która obiecała pomóc mi w przeprowadzce. Chciałabym, by na Twój przyjazd wszystko już było gotowe.*

*Phyllis też dostała dobrą wiadomość. Jej mąż Cyryl zdecydował się pozostać na stałe w marynarce jako za wodowy podoficer. Dosłużył się tej rangi na wojnie i do stał nawet medal za odwagę, więc może nareszcie będą mogli z Phyllis żyć po ludzku. Od śmierci Molly czuję się za nią trochę odpowiedzialna, tym bardziej że przeżyliśmy kilka lat w zgodzie pod jednym dachem. Nie wia domo, czy pobory Cyryla na to wystarczą, ale myślę, że też już powinni przeprowadzić się do własnego domu. Na przykład do któregoś z tych szeregowych domków w Pen zance. Gdyby nie było ich na to stać, wydaje mi się, że na początek powinniśmy im trochę pomóc. Judyta na pewno chętnie by się dołożyła, tylko że ma teraz na głowie Jess i jej przyszłą naukę. Kiedy pierwsze emocje opadną spróbuję pomówić z. nią o tym.*

*Kończę już, aby zdążyć nadać ten Ust. Możesz sobie wyobrazić, jak będę zbiegać z górki do skrzynki pocztowej. Wezmę ze sobą Morag. Trochę się już postarzała, ale nadal nie może usiedzieć w miejscu, kiedy usłyszy słowo „spacerek”.*

*Czy nie uważasz, kochanie, że nam się poszczęściło!*

*Nie mogę się już doczekać Twojego powrotu. Proszę Cię, nie ociągaj się zbyt długo! Twoja kochająca*

*Biddy*

- Nie przypuszczałam, że to aż tak daleko. Wydaje się, że ta droga nigdy się nie skończy.

- To dlatego, że idziemy piechotą. Na rowerach nie byłoby tak daleko. Droga do Nancherrow robiła wrażenie zaniedbanej. Pełno było na niej kałuż i wyboi, a krawężniki zarastały trawą. Hortensje dawno już uschły i zbrązowiały, a ich opuszczone kwiatostany ociekały kroplami deszczu. W górze wiatr szarpał nagimi gałęzmi, a po bladym niebie sunęły deszczowe chmury.

- Kiedy pierwszy raz tędy jechałam - wspominała Judyta - droga wydawała mi się tak długa i kręta, że na jej końcu wyobrażałam sobie jakiś nawiedzony dom. Przypomniało mi się to wrażenie podczas lektury „Rebeki”.

- Nie czytałam tej książki.

- Nie miałaś kiedy. Za to teraz czeka cię prawdziwa uczta duchowa, kiedy zaczniesz nadrabiać zaległości.

- Pamiętam tylko jedną książkę, którą dostałam na gwiazdkę, gdy byłam mała. Była duża, z kolorowymi obrazkami i różnymi bajkami. Ciekawe, co się z nią stało.

- Pewnie oddaliśmy ją do przechowalni, jak całe skrzynie innych rzeczy. Są tam także pamiątki po mamie. Będziemy musiały to wszystko odebrać. To tak, jakbyśmy otwierały puszkę Pandory.

Szeregi drzew zaczynały rzednieć, a więc było już blisko do celu. Za ostatnim zakrętem ukazał się dwór, tylko widok na morze przesłaniała teraz deszczowa chmura. Dziewczęta zatrzymały się na chwilę, aby ogarnąć wzrokiem całość, choć wiatr szarpał ich płaszcze i szaliki.

- Ależ to duże! - zauważyła Jess.

- Oni muszą mieć duży dom, bo mają troje dzieci,

dużo służby i wciąż zajeżdżają do nich jacyś goście wyjaśniła Judyta. -  
Chodźmy już, bo zmokniemy.

Biegiem pokonały ostatni odcinek podjazdu, dopadając do drzwi frontowych akurat w momencie nowej fali deszczu. Przy wejściu zrzuciły mokre płaszcze i gumowce. W skarpetkach weszły do hallu.

Prawie nic się tam nie zmieniło. No, może było trochę chłodniej, choć na kominku tliły się polana. Pośrodku okrągłego stołu pysznił się bukiet chryzantem i jesiennych liści, a obok leżały psie smycze, księga pamiątkowa i sio sik listów przeznaczonych do wysyłki. Wokoło panowała cisza, przerywana jedynie tykaniem starego zegara.

- Gdzie są ci wszyscy ludzie? - wyszeptła z lękiem Jess.

- Sama nie wiem. Musimy ich poszukać. Zaczniemy od góry.

Już na półpiętrze słychać było dźwięki radia dochodzące z pokoju dziecinnego. Drzwi do tego pomieszczenia były uchylone, toteż Judyta lekko je pchnęła. Wewnątrz ujrzała Mary, stojącą przy desce do prasowania. Głośno wymówiła jej imię.

- O Boże, Judyta! - Mary z hałasem odstawiła żelazko i rozpostarła swe mocne ramiona. - Naprawdę znowu tu jesteś? Nie mogę uwierzyć! A to Jess? Jak się masz, kochanie! Aleście zmokły! Pewnie całą drogę szłyście piechotą?

- Tak, bo mamy tylko jeden rower. A gdzie Loveday?

- Powinna wkrótce tu być. Idzie z Natem prosto z Lidgely, bo musiała pomóc Walterowi zamknąć dwa cielaki.

- A jak tam Nat? Rośnie?

- Och, to straszny łobuz! - We włosach Mary przybyło nieco srebrnych nitek, a na twarzy zmarszczek, ale jakoś to do niej pasowało. Niebieski sweter był już pocerowany, a kołnierzyk bluzki przetarty, ale jak dawniej pachniała dziecięcym mydłem Johnsona i świeżo uprasowaną bielizną. - Widziałyście się już z panią?

- Nie, szłyśmy prosto do ciebie.
- To zejdźcie i pokażcie się, że jesteście.

Mary wyłączyła żelazko i radio, a do kominka dołożyła dREW, nie mogąc przy tym powstrzymać się od uwagi:

- Chwała Bogu, że rośnie tu dużo drzew. Inaczej zamarzlibyśmy na śmierć.

Potem zeszła wraz z dziewczętami na dół, do małego saloniku. Zapukała we framugę, uchyliła drzwi i wsadziła głowę przez szczelinę.

- Macie państwo gości! - oświadczyła, otwierając drzwi na całą szerokość.

Przy kominku w saloniku siedziała z jednej strony Diana z robótką, a z drugiej pułkownik z numerem „Sunday Timesa” na kolanach. U jego stóp drzemał stary Tiger, natomiast Pekoe podniósł głośny jazgot, jakby alarmował cały dom przed złodziejami.

Diana uspokoiła go:

- Cicho, Pekoe, to przecież Judyta.

Piesek niezadowolony powrócił na swoją poduszkę, a Diana szybko zdjęła okulary, odłożyła haft i wstała, by powitać Judytę.

- Och, kochanie, kopę lat się nie widziałyśmy. Chodź tu, niechże cię uściskam!

Była tak samo wysoka, szczupła i piękna jak zawsze, mimo że jej pszenicznazłote włosy przybrały srebrny odcień.

- Wróciła moja przybrana córka! Ślicznie wyglądasz! I Jess przyszła z tobą? Kochanie, jestem Diana Carey-Lewis. Słyszeliśmy tu dużo o tobie, ale widzimy cię po raz pierwszy.

Judyta wyzwoliła się z uścisku Diany i skierowała w stronę pułkownika, który już dawno wstał, lecz cierpliwie czekał na swoją kolej. Zawsze wyglądał na starszego, niż był naprawdę, a teraz już całkiem przegrał wyścig z czasem. Na jego tykowatej figurze luźno zwisały znoszone łachy, których dawniej nie włożyłby za nic

odwieczna tweedowa marynarka i sprane sztruksowe spodnie.

- Moja droga... - zaczął jak zwykle sztywno i trochę nieśmiało. Dopiero kiedy Judyta ujęła jego ręce w swoje, ucałowali się serdecznie. - Tak nam miło, że jesteś znowu z nami!

- Ja się jeszcze bardziej cieszę, że mogłam tu przyjść. Tiger, jak zawsze przyjacielski, podniósł się do pozycji siedzącej. Judyta nachyliła się, aby go pogłaskać, i za uważyła ze smutkiem:

- Postarzał się biedak.

Rzeczywiście, pies nie był wprawdzie gruby, lecz ocię żały z powodu artretyzmu, a pysk mu całkiem posiwiął.

- My też nie młodniejemy - przyznał pułkownik. Powinienem już się rozejrzeć za nowym szczeniakiem tej rasy, ale jakoś nie mam do tego serca...

- Edgarze, musisz poznać Jess - wtrąciła Diana.

- Jak się masz, Jess. - Wyciągnął do niej rękę. - Poznaj mojego kochanego pieska. Tiger, popatrz, to jest Jess!

Uśmiechnął się do niej w swój zwykły, łagodny sposób, który potrafił ośmielić każde dziecko.

- Przejechałaś kawał świata - dodał. - Jak ci się podoba Kornwalia? Tu nie zawsze tak pada jak dziś.

- Jeszcze pamiętam Kornwalię - odpowiedziała Jess.

- Naprawdę? Przecież wyjechałaś stąd strasznie dawno! Usiądź tu, przy kominku, musisz mi o tym opowiedzieć. - Odsunął stertę gazet i czasopism, robiąc jej miejsce. - Ile miałaś lat, kiedy opuściłaś Kornwalię?

- Cztery.

- Nie przypuszczałem, że aż tyle. W takim razie rzeczywiście możesz wiele pamiętać. Ja na przykład zapamiętałem coś z czasów, kiedy miałem dwa lata. Siedziałem wtedy w wózku, a jakieś inne dziecko wsadziło mi karmelka do buzi...

W tym momencie Mary oświadczyła, że idzie nastawić herbatę. Wszyscy się zgodzili, że to świetny pomysł. Kiedy



wyszła, Diana wróciła na swój fotel, a Judyta przysiadła na przeciwnym końcu kanapy, którego akurat nie zajmował Pekoe.

- Takie miałaś ciężkie przejścia, kochanie! Chyba schudłaś, ale wyglądasz elegancko. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz?

- Oczywiście.

- Loveday nie może się już ciebie doczekać. Za chwilę tu będzie, bo musi ci pokazać swojego łobuziaka. Jess, kochanie, jaka jesteś dzielna. Ile musiałaś wycierpieć! Biddy zaraz zadzwoniła do nas, kiedy otrzymała od Boba wiadomość... - Diana urwała, bo zdała sobie sprawę, że nie powinna mówić tego w obecności Jess. Sprawdziła najpierw, że dziewczynka jest pogrążona w rozmowie z pułkownikiem, a potem szeptem dokończyła: - ...że ona nie żyje! Ale kiedy dowiedziałaś się, że to nieprawda, musiałaś chyba oszaleć z radości.

- O tak, to było rzeczywiście przeżycie.

- Straszne tylko, że straciłaś rodziców. Chciałam napisać do ciebie list z kondolencjami, ale nie zdążyłam, bo dowiedziałam się, że wracasz do domu. Jaką miałaś podróż?

- Trudno to nazwać podróżą, raczej próbą wytrzymałości. Statek był tak przepełniony, że do każdego posiłku zasiadało się na trzy zmiany.

- Jeśli już mowa o posiłkach, to masz pozdrowienia od obojga Nettlebedów. Dostali dziś wychodne, bo chcieli odwiedzić swoją starą kuzynkę w szpitalu w Camborne. Przyjemnie było wrócić do Dower House, prawda? Na pewno ogród pięknie wygląda, bo dałam Phyllis trochę sadzonek.

Rozprawiała tak z przejęciem, a Judyta udawała, że słucha. Naprawdę jednak myślała o Gusie Callenderze. Zastanawiała się, czy to dobry moment, aby powiedzieć Dianie i pułkownikowi, że on żyje.

Zdecydowała jednak, że pierwszą osobą, której o tym powie, i to w cztery oczy,

musi być Loveday. Może jeszcze dziś znajdzie stosowną chwilę.

- A gdzie teraz śpi Jess? - chciała wiedzieć Diana.

- W pokoju Ani, która przeniosła się do Phyllis. To tylko tymczasowo, bo mamy masę miejsca.

- Czy poczyniłaś już jakieś plany co do przyszłości Jess?

- Muszę spotkać się z panną Catto. Mam nadzieję, że przyjmie Jess do Świętej Urszuli.

- Ależ na pewno ją przyjmie! Czy to nie zabawne, że wszystko właściwie zaczyna się od początku? Aha, jeszcze nie powiedziałam ci, że Athena spodziewa się na wiosnę drugiego dzidziusia. Kiedy stąd wyjechali, zrobiło się od razu strasznie smutno. Nie masz pojęcia, jak pusty jest dom bez dziecka!

Ledwo wymówiła te słowa, gdy jak na zawołanie rozległ się przeraźliwy wrzask małego Nataniela Mudge'a. Najwyraźniej kłócił się z matką.

- Ja nie chcę zdjąć butów!

- Musisz, bo są całe zabłocone.

- Wcale nie są zabłocone!

- Nie widzisz, jak zdeptałeś kuchnię? No, chodź tutaj...

- Nie!

- Nat...!

W tym miejscu nastąpiła dalsza seria wrzasków. Najwidoczniej Loveday siłą zdjęła chłopcu buty.

- O matko! - jęknęła Diana, wznosząc oczy ku niebu. Po chwili drzwi otworzyły się z hukiem i wpadł przez

nie jej wnuk, już bez butów, za to czerwony na buzi i z gniewnie wydętą dolną wargą.

- Co tam się znów dzieje? - spytała Diana.

- Mama zdjęła mi buty - poskarżył się Nat. - A one są nowe, takie czerwone, i chciałem je wam pokazać!

- Może pokażesz je nam innym razem? - próbowała ułagodzić go Diana.

- Ale ja chciałem teraz!

Judyta właśnie wstawiała z kanapy, gdy w drzwiach pojawiła się Loveday. Wyglądała tak samo jak zawsze -bardziej jak zbuntowana pannica niż jak matka pełnego temperamentu trzyletniego chłopca. Miała na sobie spodnie, stary sweter i czerwone skarpetki, a wokół głowy powiewały jej niesforne, czarne loki.

Zapanowało krótkie milczenie, gdyż obie przyjaciółki tylko stały naprzeciw siebie i wymieniały uśmiechy. Pierwsza odezwała się Loveday.

- Któż to do nas przyjechał? Chwała Bogu, że już jesteś! - Objęły się i ucałowały jak za dawnych lat. -Trochę spóźniłam się, ale... Nat, nie wolno wsadzać pieskowi paluszków do oczka!

Chłopczyk spojrzał na matkę wzrokiem tak wyzywającym, że Judyta mimo woli wybuchnęła śmiechem.

- Zdaje się, że trafiła kosa na kamień.

- On jest naprawdę straszny, prawda, Nat? Jesteś słodki, ale strasznie rozrabiasz.

- Tatuś mówi, że jestem mały łobuz - poinformował wszystkich Nat.

Wtem zauważył Jess, której dotąd nie znał, więc wlepił w nią uporczywe spojrzenie swoich piwnych oczu.

- Cześć! - przywitała go wesoło Jess.

- Kto ty jesteś?

- Jess.

- A co tu robisz?

- Przyszłam do was na herbatkę.

- Myśmy z mamusią przynieśli czekoladowe ciasteczka.

- A dasz mi jedno?

Nat przemyślał ten problem, po czym odrzekł z całą stanowczością.

- Nie. Sam zjem wszystkie.

Tym razem wdrapał się na kanapę i zaczął na niej podskakiwać. Sytuację opanowała Mary, która akurat przyszła z informacją, że podwieczorek już na stole. Złapała Nata

w powietrzu podczas kolejnego podskoku i wrzeszczącego poniosła w stronę jadalni.

- Ona jedna potrafi dać sobie z nim radę - stwierdziła z dumą Loveday.

- A Walter nie potrafi?

- Walter bywa czasem jeszcze gorszy. Chodźmy już, mamo.

Wszyscy przeszli więc z saloniku do jadalni. Pochód zamykał pułkownik, który po drodze zdążył jeszcze za sunąć kratę kominka. W jadalni czekał już stół nakryty do podwieczorku, z tymi samymi przysmakami co niegdyś - kanapkami z dżemem i marmoladą, keksem i czekoladowymi ciasteczkami, które przyniosła Loveday.

Stół był teraz dużo mniejszy niż za dawnych czasów, bo zdjęto jego dodatkowe blaty. Na tle dużej sali wydawał się śmiesznie mały, a zamiast przedwojennego adamasz, kowego obrusa przykrywała go praktyczna serweta z kory w biało-niebieską kratkę. Mary siedziała u szczytu stołu, mając pod ręką duży brązowy czajnik. Stara srebrna za stawa poszła do lamusa jeszcze na początku wojny! Dla Nata Mary przygotowała wysokie krzeselko obok siebie, ale chłopczyk uparcie się z niego ześlizgiwał. W końcu jednak Mary wlepiła mu takiego klapsa w pupę, że za przestał wszelkich prób nieposłuszeństwa.

Naprzeciw Mary usiadł pułkownik, mając po lewej ręce Jess.

- Wolisz marmoladę czy dżem? - zapytał uprzejmie. Jess wybrała kanapkę z dżemem, podczas gdy Nat walił

łyżką w stół, gwałtownie domagając się swoich ulubionych czekoladowych ciasteczek. W końcu jednak zadowo lił się kanapką z marmoladą i ucichł, dzięki czemu można było normalnie rozmawiać.

Mary nalewała herbatę do fi liżanek, które podawano sobie z rąk do rąk. Diana pełniła honory domu, okazując życzliwe zainteresowanie Jess.

- Powiedz nam teraz, kochanie, jakie macie plany na najbliższą przyszłość. Od czego chcecie zacząć?

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Jess, która poczuła się tym nieco zakłopotana. Przełknęła szybko kęs kanapki z dżemem i wyjąkała:

„Jeszcze nie wiem”, posyłając równocześnie Judycie błagalne spojrzenie.

- Może najpierw kupimy ci rower? - podsunęła Judyta.

- O właśnie, rower.

- Najwyżej używany - uprzedziła Diana. - Teraz trudno je dostać, podobnie jak samochody. Nowe są nie do kupienia, a używane droższe od nowych. A może będziecie chciały zobaczyć wasz stary dom w Penmarron?

- Któregoś dnia wybierzemy się tam pociągiem. Także i do Porthkerris.

- To wyśmienity pomysł!

- Ale do środka nie będziemy mogły wejść... To znaczy, do naszego dawnego domu, bo przecież teraz kto inny tam mieszka. - Jess szybko wyzbyła się nieśmiałości, gdy zauważyła, że nikt jej nie przerywa, a wszyscy słuchają z zainteresowaniem. - Najwyżej popatrzymy od zewnątrz. No i musimy odwiedzić...

Tu zapomniała nazwiska tej osoby, więc znów zwróciła się o pomoc do Judyty.

- Panią Berry, tę, która ma sklepik - przypomniała jej siostra. - Pamiętasz, zawsze dawała ci gumę do żucia. Mogłybyśmy jeszcze zajrzeć do pana Willisa, który pływa promem. Tylko że on chyba ciebie nie znał, bo zawsze był moim przyjacielem.

- Na pewno spodoba ci się Porthkerris - pułkownik zwrócił się do Jess. - To takie malownicze miasteczko, pełne wąskich uliczek, łódek i artystów.

- Musisz koniecznie zabrać Jess do Warrenów - podsunęła Judycie Loveday. - Pani Warren obraziłaby się śmiertelnie, gdybyście były w Porthkerris, a nie wstąpiły do niej.

- A propos, co słyhać u Heather? Ciągle jeszcze pracuje w tym wywiadzie czy kontrwywiadzie?

- Nie, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pojecha-

la akurat ze swoim szefem do Stanów Zjednoczonych Ostatni list od niej dostaliśmy z Waszyngtonu.

- Coś podobnego! Mogła przynajmniej dać mi znać.

- Komu keksa? - Loveday zmieniła temat, krając ciasto Jess skończyła właśnie kanapkę, więc wzięła sobie duży kawałek.

- Kto to jest ta Heather? - chciała wiedzieć.

- To nasza dawna koleżanka - wyjaśniła jej Loveday. Byłyśmy u niej z Judytą przed samą wojną, kiedy pano wały takie upały, że przez cały czas siedziało się na plaży. Judyta dostała akurat swój pierwszy samochód i wyda wało się nam, że jesteśmy już całkiem dorosłe.

- Chodziłyście razem do szkoły? - zainteresowała się Jess.

- Nie. Ona chodziła do szkoły w Porthkerris, a my do Świętej Urszuli.

- Judyta chciałaby, żebym też tam poszła.

- Masz ci los, jeszcze jedna nowicjuszka do tego klasztoru?

- No wiesz, Loveday! — oburzyła się Mary ze swego końca stołu. - Jak może pleść takie głupstwa! Przecież dobrze wiesz, że to świetna szkoła. Sama napraszałaś się, żeby móc tam chodzić.

- Ale musiałyśmy nosić te okropne mundurki, a regulamin był zupełnie idiotyczny!

Jess wyglądała na przestraszoną, toteż pułkownik uspokajająco położył rękę na jej dłoni.

- Nie przejmuj się tym, co mówi moja zbzikowana córka. To bardzo dobra szkoła, a jej dyrektorka to wspaniała kobieta. Najlepszy dowód, że mogła dać sobie radę z Loveday.

- Miły jesteś, tatusiu!

- Wojna położyła kres mundurkom - dodała Diana, podstawiając Mary pustą filiżankę. - Do Świętej Urszuli dokwaterowano dziewczęta ewakuowane z Kentu, więc wszystko się wymieszało. Trzeba było dobudować do-

datkowe baraki z falistej blachy, bo zabrakło miejsca w klasach.

- Naprawdę nie noszą już tam żadnych mundurków? -nie mogła uwierzyć Judyta.

- Nie, tylko jednakowe krawaty.

- Chwała Bogu! Nie zapomnę tej kilometrowej listy obowiązkowego wyposażenia, które nasza biedna mama musiała skompletować.

- Przy tej okazji spotkałyśmy się u Medwaya. Boże, wydaje się to już tak dawno temu!

- Bo to było dawno - ucięła krótko Loveday. - Dobrze, Nat, teraz już możesz zjeść ciasteczko.

W takie ponure październikowe popołudnie wcześniej zrobiło się ciemno. Przez cały czas padał deszcz, ale nikt jakoś nie kwapił się z zasłonięciem okien.

- Chwała Bogu, że nie musimy już opuszczać tych okropnych czarnych zasłon - zauważyła Diana. - Tyleśmy się namęczyły z ich szyciem i rozwieszaniem, a pozrzucałyśmy je w ciągu trzech dni. Mary, zostaw te filiżanki, już my pozmywamy. Lepiej zabierz Nata do pokoju dziecinnego, żeby Loveday mogła mieć trochę czasu dla siebie. Jess, może i ty byś tam poszła? Nie żebyśmy chciały się ciebie pozbyć, ale może jest tam coś, co cię zainteresuje. Na przykład książki, układanki albo takie śliczne mebelki dla lalek? Tylko uważaj, żeby Nat tego nie ruszał! -Widząc wahanie na twarzy Jess, dodała z uśmiechem:

-Oczywiście tylko jeśli chcesz.

- Dobrze, chętnie tam pójde - zgodziła się Jess. Mary natomiast wytarła serwetką buzię Nata i zwróciła się do niego:

- Ciebie nie interesują mebelki dla lalek, prawda, koteczku? Jesteś mężczyzną, więc będziesz bawił się klockami albo traktorkiem! - Wstała, wzięła chłopczyka na ręce i życzliwie zachęciła Jess: - Chodź, kochanie, znajdziemy coś dla ciebie.

Wystarczyło, aby zabrakło Nata, a już zrobiło się cisze Diana dopiła ostatnie krople herbaty i zapaliła papierosa

- Co za urocza dziewczynka! - zwróciła się do Judyty. - Możesz być z niej dumna.

- Toteż jestem.

- A jaka pewna siebie!

- Tak się tylko wydaje. Ona dopiero próbuje ustawić się w nowej sytuacji.

- A nie ma napadów płaczu, lęków nocnych czy jakichś stanów chorobowych? - wypytywał pułkownik, który akurat wstał, by podać żonie popielniczkę.

- Chyba nie.

- Może jednak lekarz powinien ją przebadać - podsunęła Diana. - A propos lekarza, był tu niedawno stary doktor Wells, bo Nat się przeziębził, a Mary i Loveday nie podobał się jego kaszel. I wyobraź sobie, doktor powiedział, że Jeremy niedługo przyjedzie na urlop do domu. Nie brał wolnego przez dwa lata, bo pływał gdzieś po Morzu Śródziemnym.

Zaraz, gdzie to jest...

- Na Malcie - odpowiedział pułkownik.

- Właśnie, nie mogłam sobie przypomnieć, czy to miała być Malta, czy Gibraltar. Wiedziałam tylko, że gdzieś tani w pobliżu.

- Myślę, że powinni go wkrótce zdemobilizować - wyraziła swój pogląd Judyta, sama sobie się dziwiąc, że stać ją było na tak obojętny ton. - Tym bardziej że zaciągnął się jeden z pierwszych.

Loveday machinalnie sięgnęła po kawałek keksa.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak po tylu latach pływania spokojnie osiadł w Truro - zauważyła.

Diana była innego zdania.

- Ja tam mogę świetnie wyobrazić go sobie jako wiejskiego lekarza z psem na tylnym siedzeniu samochodu. A ty, Judyto, nie spotkałaś go nigdzie po drodze?

- Nie. Spodziewałam się, że prędzej czy później za-



winie do Trincomalee, bo wszyscy znajomi tam w końcu irafiali, ale jakoś nie dotarł.

- Miałam nadzieję, że w końcu się ożeni, ale widać na Malcie nie znalazł nikogo odpowiedniego. - Diana ziewnęła i ogarnęła wzrokiem nieporządek na stole. - Myślę, że powinniśmy pozmywać.

- Daj sobie z tym spokój, mamusi! - zarządziła Loveday. - My z Judytą

przypomnimy sobie, jak to się kiedyś zdobywało sprawności harcerskie.

- A propos, co się dzieje z Hetty? - skojarzyła sobie Judyta.

- W końcu wymknęła się spod kurateli pani Nettlebed, ale wpadła z deszczu pod rynnę. Pracuje jako salowa w szpitalu w Plymouth. Jesteście pewne, że dacie sobie radę same? Bo co sobotę o tej porze dzwoniemy zwykle do Atheny...

- Przekaż jej moje pozdrowienia.

- Oczywiście, chętnie przekażę.

W przestronnej, staroświeckiej kuchni Nancherrow było wprawdzie cieplej niż w reszcie domu, ale nieobecność Nettlebedów i Hetty brzęczącej talerzami w zmywalni powodowała wrażenie pustki.

- Ciekawam, kto teraz zmywa gary? - zagadnęła Judyta, obwiązując się w pasie fartuchem i napszczając gorącej wody do zlewu.

- Pewnie pani Nettlebed albo Mary, w każdym razie nie mama.

- Czy Nettlebed nadal pracuje w ogrodzie?

- Tak, razem z panem Mudge'em. Jemy teraz dużo warzyw, bo trudno dostać cokolwiek innego. Dziś akurat dom wydaje się pusty, ale normalnie kłębią się tu tłumy gości. Mama ciągle przygarnia pod swój dach różnych wojskowych stacjonujących w pobliżu. Myślę, że kiedy odjadą już na dobre, będzie jej brakować tego ciągłego ruchu i zgiełku.

- Co porabia Tommy Mortimer?
- Co jakiś czas wpada i stara się trochę rozerwać manię, bo po wyjeździe Atheny z dzieckiem czuła się strasznie samotna.
- Jak się miewa Walter? - Judyta dołała do wody trochę płynu do mycia naczyń i do wytworzonej w ten sposób piany włożyła pierwszą partię talerzy.
- Dobrze - odparła sucho Loveday.
- A jak wam leci w gospodarstwie?
- Wszystko w porządku.
- Jak się czuje pan Mudge?
- Wciąż jeszcze pracuje, chociaż zaczyna już trochę zwalniać tempo.
- A co zrobicie, kiedy pójdzie na emeryturę?
- Nie wiem, może wtedy zamienimy mieszkania. Zresztą nie mam pojęcia.

Judyta poczuła się zmrożona oschłością i beznamiętnym tonem jej odpowiedzi. Spróbowała więc z innej beczki.

- Ciekawam, co robicie w czasie wolnym od pracy. Chodzicie może na pikniki, do kina czy na piwo do baru?
- Na początku chodziliśmy czasem na piwo, ale teraz nie mogę, bo przecież mam dziecko. To znaczy, mogłabym zostawić Nata z teściową, ale tak naprawdę to wcale nie lubię chodzić do baru. Przeważnie więc Walter chodzi sam.
- No wiesz, Loveday!
- Coś taka przerażona?
- Przyznaj, że to nie brzmi zbyt zachęcająco.
- Dlaczego? Wszystko jest w porządku. Czasem przychodzą do nas goście. Tyle że nie umiem zbyt dobrze gotować.
- No, a co z twoją jazdą konną? Jeździcie jeszcze razem?
- Nie bardzo, bo Fleet sprzedałam, a jakoś nigdy nie mogłam się zdobyć, żeby kupić innego konia. Poza tym

teraz już nie ma polowań, bo na samym początku wojny zlikwidowano wszystkie sfory psów gończych.

- Wojna się skończyła, więc może znów zaczną się polowania z psami?
- Może i tak.

Loveday wzięła ścierkę i powoli, po jednej sztuce, zaczęła wycierać filiżanki i spodki. Suche ustawiała na stole w zmywalni. Brała właśnie kolejny talerzyk z suszarki, kiedy Judyta zaskoczyła ją pytaniem:

- Czy ty jesteś szczęśliwa, Loveday?
- Kto to powiedział, że małżeństwo jest jak klatka z ptakami wystawiona na dwór? - odpowiedziała wymijająco. - Te ptaki, które swobodnie latają, chcą dostać się do środka, a te, które są w środku, pragną wyfrunąć na zewnątrz.
- Nie mam pojęcia, kto to mógł powiedzieć.
- No, ale ty właśnie jesteś takim wolnym ptaszkiem, który może lecieć, dokąd chce.
- Nie bardzo, bo mam przy sobie Jess.
- A nie masz zamiaru wlecieć do klatki?
- Jakoś mi nie pilno.
- Ejże, nie masz żadnego wzdychulca? Niemożliwe, żebyś wciąż była wierna Edwardowi.
- Edward nie żyje już od lat.
- Przepraszam, nie powinnam była tego mówić - zreflektowała się Loveday.
- Nic nie szkodzi, przecież Edward był twoim bratem.
- Zawsze wydawało mi się, że Jeremy kocha się w tobie - myślała głośno Loveday, wycierając następne talerzyki.
- Chyba byłaś w błędzie - odpowiedziała spokojnie Judyta, próbując odskrobać lepki okruch keksa, który przywarł do spodka.
- Nie piszecie do siebie ani nie utrzymujecie żadnych kontaktów?
- Nie, po raz ostatni widzieliśmy się w Londynie tuż

przed kapitulacją Singapuru. To było w roku 1942, a od tej pory ani go nie widziałam, ani o nim nie słyszałam

- Pokłóciliście się?

- Nie, tylko doszliśmy do wniosku, że każde z nas powinno pójść w swoją stronę.

- Ciekawe, dlaczego dotąd się nie ożenił. Ma już chyba ze trzydzieści siedem lat. Pewnie, kiedy przejdzie do cy wila, ojciec przekaże mu praktykę.

- Chyba Jeremy zawsze tego pragnął. Tymczasem umyły ostatni talerzyk i czajniczek. Judyła wypuściła brudną wodę ze zlewu.

- To by było wszystko - oznajmiła, odwiązując fartuch i wieszając go na miejsce.

Loveday zdjęła talerzyk z suszarki i wytarła go.

- Przepraszam cię - dodała ni stąd, ni zowąd.

- Za co znowu? - uniosła brwi Judyta.

- Za to, co powiedziałam o Edwardzie. Ostatnio często mówię ludziom różne głupstwa, nie zdając sobie z tego sprawy.

Odkładając talerzyk na stos innych, dodała:

- Musisz odwiedzić mnie kiedyś w Lidgey. Jeszcze nie widziałaś naszego ślicznego domku. Został już wykończony. Kocham takie życie na farmie, wśród zwierząt. I Nata też kocham, chociaż jest taki łobuz.

Podwinęła wystrzępiony mankiet swetra i spojrzała na zegarek.

- O rany, pora już lecieć. W kuchni mam straszny ba łagan, a muszę jeszcze przygotować Walterowi podwieczorek i położyć Nata spać...

- Nie idź jeszcze - poprosiła nagle Judyta.

- Ależ muszę! - zaprotestowała zaskoczona Loveday.

- Zostań chociaż pięć minut. Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz mi przerywać, tylko wysłuchasz do końca.

- Zgoda! - Loveday przysiadła na brzegu stołu, wymachując w powietrzu nogami. - No to wal.

- Chodzi o Gusa.

Loveday zastygła w bezruchu. W ciszy, która zapanowała, słychać było tylko brzęczenie lodówki i kapanie wody z kranu.

- Co znów z Gusem?

Judyta opowiedziała jej wszystko, co widziała i słyszała.

- ...kiedy powiedział, że musi już wracać na statek sanitarny, zamówiłam mu taksówkę i tak się rozstaliśmy. I to by było wszystko.

Loveday dotrzymała słowa - ani razu nie przerwała Judycie, nie zadawała zbędnych pytań, tylko siedziała nieruchomo jak posąg i słuchała.

Milczała także wtedy, kiedy opowieść już się skończyła.

- Napisałam do niego jeszcze podczas podróży statkiem do kraju, ale dotąd mi nie odpisał - dodała jeszcze Judyta.

- Czy jest zdrow? Nic mu nie brakuje? - odezwała się wreszcie Loveday.

- Nie wiem, ale jak na człowieka po takich przejściach wyglądał dosyć dobrze. Oczywiście zmęczony, no i chudy, ale on nigdy nie był gruby.

- Jak mógł nie dać nam znać o sobie?

- Chyba powiedziałam ci, że nie mógł. Udało mu się przemycić tylko jeden list do rodziców, a oni przecież nie znali ani ciebie, ani nikogo z was. Nawet gdyby otrzymali wiadomość od niego, jak mieli ją przekazać?

- Byłam taka pewna, że on nie żyje!

- Wiem o tym, Loveday.

- Miałam wtedy w sobie taką pustkę...

- Nie zadrezczaj się tym.

- I co on teraz robi?

- Myślę, że da sobie radę. W szkockich pułkach panuje taka solidarność jak w rodzinie. Jeden drugiemu nie da zginąć.

- W każdym razie nie chcę, aby tu przyjeżdżał - stwierdziła kategorycznie Loveday.

- To zupełnie normalne. Myślę, że i on czułby się głupio w takiej sytuacji.

- Naprawdę wierzył, że będę na niego czekać?

- Tak. - Co mogła odpowiedzieć innego?

W chłodnym świetle lampy sufitowej widać było twarz Loveday ściągniętą bólem i jej fiołkowe oczy patrzące tępo przed siebie.

- Tak mi przykro, Loveday - dodała więc szybko Ju dyta.

- Przecież to nie twoja wina, tylko od początku do końca moja.

- Ciężko mi było mówić ci o tym.

- Właściwie powinnam cieszyć się, że on żyje, a nie siedzieć tu z nosem na kwintę.

- Nie było mi również przyjemnie informować Gusa, że wyszłaś za męża.

- To co innego. To tak, jakby skończył się rozdział. Gus może teraz zacząć nowe życie. W końcu nie został na lodzie i ma tu do czego wracać.

- A ty?

- Ja mam właściwie wszystko. Męża, syna, gospodarstwo, a w Nancherrow - mamę, tatusia i Mary. Mam to, czego chciałam. - Przerwała na chwilę i zaraz dodała: -A czy mama i tatuś wiedzą, że Gus żyje?

- Nie, bo chciałam najpierw powiedzieć o tym tobie. Jeśli zechcesz, mogę im to zaraz powtórzyć.

- Lepiej będzie, jeśli powiem im sama, zaraz po waszym wyjściu, zanim wrócę do Lidgey. A teraz naprawdę już muszę iść. - Znów spojrzała na zegarek i zsunęła się ze stołu. - Walter będzie zły, jeśli na czas nie dostanie podwieczorku.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie! - Loveday wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Jakby wciąż była tym samym niesfornym podlotkiem co kiedyś. Następnego dnia rano Diana wpadła z wizytą do Dower House. Był akurat poniedziałek i mieszkanki domu porozchodziły się w różne strony. Ania już z samego rana podreptała z tornistrem do szkoły podstawowej w Rosemullion, a Bidy pełniła właśnie dyżur w punkcie Czerwonego Krzyża w Penzance. Jess natomiast odkryła na nowo uroki „chatki” i uparła się, że musi w niej posprzątać, toteż biegała w tę i z powrotem ze szczotką i ścierką. Dochodziła jedenasta, a jeszcze jej nie było. Phyllis rozwieszała na sznurze upraną bieliznę, a Judyta, sama w domu, zajęła się przygotowywaniem zupy na wywarze z resztek wczorajszego kurczaka.

Zawsze uważała skrobanie i rozdrabnianie warzyw za świetny relaks psychiczny, podobnie jak układanie przyzmy kompostowej. Kiedy jeszcze przyprawi zupę ziołami z ogródka - przy gotowaniu powstanie równie kojący zapach, jak przy pieczeniu chleba lub domowego ciasta. Krojąc marchew, usłyszała za oknem warkot silnika samochodu wjeżdżającego na wzgórze i przez otwartą bramę kierującego się pod sam dom.

Wprawdzie nie oczekiwała dziś niczyich odwiedzin, lecz wyjrzała przez okno i zobaczyła Dianę wysiadającą ze starej furgonetki nabytej od handlarza rybami.

Judyta wyszła więc tylnymi drzwiami przez zmywalnię. Na tyłach domu, przy trawniku, gdzie suszono zwykle upraną bieliznę, Diana rozmawiała z Phyllis przez żywopłot z eskalonii. Miała na sobie wąską tweedową spódnicę i luźny żakiet, a przez ramię przewieszony staromodny koszyk na zakupy.

- Diano! - zawołała już z daleka Judyta.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, kochanie? - Diana odwróciła się na dźwięk jej głosu i szła w jej stronę

zwirowaną ścieżką. - Przywiozłam wam z Nancherrow trochę świeżych warzyw i jajek, chyba się przydadzą, pra wda? I chciałabym zamienić z tobą parę słów.

- To chodź do mnie do kuchni, napijemy się kawy. Judyta poszła pierwsza. W kuchni Diana postawiła kuzynek na stole, przysunęła sobie krzesło i usiadła. Judyta nalała wody do czajnika i postawiła go na ogniu.

- Co to tak pachnie, kochanie? - zainteresowała się Diana.

- Gotuję właśnie zupę. Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli będę dalej kroić warzywa?

- Ależ skąd! - Diana odwiązała jedwabny szalik, elegancko zamotany wokół szyi, i przystąpiła do rzeczy. Loveday powtórzyła nam, czego dowiedziała się o Gusie.

- Zgadza się. Mówiła mi, że sama wam o tym powie.

- A jak zareagowała, kiedy usłyszała tę wiadomość od ciebie? Była bardzo smutna?

- Myślę, że była nawet wstrząśnięta, ale nie płakała.

- Kochanie, lzy należą się umarłym, a nie żywym.

- Też mi coś podobnego powiedziała.

- Mogą z tego wyniknąć kłopoty, prawda?

- Nie przypuszczam. Szkoda, że z takim uporem wmawiała sobie i nam wszystkim, że Gus nie żyje, no i żenię chciała czekać na jego powrót. Nie powinno to jednak spowodować żadnych kłopotów, tyle że Loveday już ułożyła sobie życie, a Gus będzie musiał zacząć myśleć o własnym.

- Z tego, co mówiła Loveday, wynika, że może być mu potrzebna pomoc.

- Ciężko będzie mu pomóc, jeśli nie odpowiada na listy i trudno nawiązać z nim kontakt.

- Wydaje mi się jednak, że powinniśmy jakoś spróbować, choćby dlatego, że był przyjacielem Edwarda. Po jego śmierci napisał do nas taki miły list i przysłał portret, który sam narysował. Podobieństwo uchwycił trafniej niż na fotografii. Ten obrazek jest dla Edgara najcenniejszą



pamiętką. Stoi na jego biurku i Edgar będzie miał go przed oczami do końca swoich dni.

- Masz rację, ale trudno zorganizować jakąś pomoc dla kogoś, kto mieszka na drugim końcu kraju.

- Przecież mógłby przyjechać do nas i zatrzymać się na jakiś czas. Jak myślisz, czy wypadałoby, żebym napisała do niego list z zaproszeniem do Nancherrow?

- Wydaje mi się, że to kiepski pomysł. Może wyszłoby coś z tego kiedyś, ale nie teraz.

- Z powodu Loveday?

- Tak, bo to ona nie chce go tutaj widzieć. Zresztą z tych samych powodów prawdopodobnie i on nie skorzystałby z zaproszenia.

- No, ale coś musimy zrobić!

- Spróbuję odczekać trochę, a potem napiszę do niego znowu. Jeżeli otrzymam odpowiedź, będziemy przynajmniej wiedziały, na czym stoimy

- jak sobie radzi, czy już próbował jakoś ułożyć sobie życie.

- Przebywał u nas tak krótko, ale myśmy z Edgarem tak go polubili... -

Dianie załamał się głos.

- Diano, nie rozdieraj szat nad tym, co było i nie wróci.

- Czy sądzisz, że to moja wina?

- Ale co?

- To, że pozwoliłam jej wyjść za Waltera.

- A co mogłaś innego zrobić, kiedy Nataniel już był w drodze?

- Nataniel nie miał tu nic do rzeczy. Mógł śmiało urodzić się w Nancherrow i wychowywać przy nas. Niechby nawet ludzie gadali.

Nigdy o to nie dbałam.

Tymczasem woda w czajniku zaczęła kipieć. Judyta nasypała kawy do dzbanuszką, zaparzyła ją i odstawiła na bok płyty kuchennej, aby naciągnęła.

- Przecież ona chciała wyjść za Waltera - zauważyła.

- Właśnie, a myśmy jej nie tylko na to pozwolili, ale nawet zachęcali do tego. Widzisz, po śmierci Edwarda

nie zniósłabym, gdybym miała utracić jeszcze Loveday, a małżeństwo z Walterem gwarantowało, że nie wyślą jej nigdzie daleko. Zresztą zawsze go lubiliśmy, chociaż by I trochę prymitywny i nieokrzesany. Edgar cenił go, gdyż umiał dobrze obchodzić się z końmi, a na polowaniach zawsze uważał na Loveday. Pomagał jej też, gdy rozpo częła pracę na farmie, i w ogóle był jej przyjacielem, a zawsze uważałam, że w małżeństwie najważniejsza jest przyjaźń. Szał zmysłów z czasem obumiera, a przyjaźń pozostaje. Naprawdę wierzyłam, że oni pasują do siebie.

- A czy teraz masz powody, aby przypuszczać, że tak nie jest?

- Myślę, że nie, ale ona miała dopiero dziewiętnaście lat. Może gdybyśmy bardziej stanowczo nalegali, żeby jeszcze poczekała...

- To co? Gdybyś wdała się z nią w kłótnię, tylko jeszcze bardziej zacięłyby się w sobie, bo już jest taka. Wtedy w Londynie, kiedy spotkała się ze mną po to, żeby poinformować mnie o swoich zaręczynach, też próbowałam jej to wyperswadować i mało mnie nie zamor dowala...

Tymczasem kawa była już gotowa, więc Judyta rozlała ją do dwóch filiżanek i jedną z nich podsunęła Dianie. Z górnego piętra dobiegł tymczasem pomruk przypominający gwizd silników samolotu schodzącego do lądowania - to Phyllis odkurzała podest schodów.

- Sądziłam, że jej się uda, tak jak mnie się udało - dorzuciła jeszcze Diana tytułem wyjaśnienia, ale Judycie niczego to nie wyjaśniło.

- Nie rozumiem, co ci się udało?

- Nigdy nie kochałam się w Edgarze, ale był zawsze moim przyjacielem.

Był znajomym rodziców, więc pa miętam go jeszcze z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. Wydawał mi się wtedy strasznie stary, ale lubiłam go, bo zabierał mnie do parku, gdzie karmiłam kaczki... Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, miałam szes-

naście lat i kochałam się na zabój w pewnym młodym człowieku, który służył w pułku gwardii. Wysłano go na front francuski, potem przyjechał na urlop do domu, ale musiał wracać na front. Tym razem poległ, a ja miałam już siedemnaście lat i byłam w ciąży.

Przekazując tak sensacyjne wiadomości, Diana ani na moment nie zmieniła tonu głosu, jakby opisywała jakiś nowy model kapelusza. Tylko Judyta nie wierzyła własnym uszom.

- W ciąży!

- Tak, kochanie. Byłam nieostrożna, ale w tamtych czasach nie uświadamiano nas tak jak was teraz.

- I co było potem?

- Potem był Edgar. Nie mogłam przyznać się rodzicom do tego, co się stało, ale Edgarowi śmiało się zwierzyłam. A on zadeklarował, że ożeni się ze mną, zostanie ojcem dla mojego dziecka i stworzy mi takie warunki życia, abym nigdy nie musiała się o nic troszczyć. I tak się właśnie stało! - Diana zakończyła swoje wyznanie śmiechem.

- A co się stało z dzieckiem?

- To dziecko to Athena.

- Ależ... - Co właściwie mogła na to odpowiedzieć?

- Czy to cię aż tak dziwi? Zdarzają się przecież i takie rzeczy. Nigdy przy tym nie miałam wrażenia, że wykorzystuję Edgara. Po prostu po wszystkich przeżyciach, nieszczęśliwej miłości i rozpaczy - przy nim poczułam się, jakbym wpłynęła do bezpiecznego portu, gdzie wiem, że nic mi nie grozi. I tak zostało do dziś.

- Coś podobnego! W życiu nie pomyślałabym, żeby Athena...

- A któż mógł nawet pomyśleć o czymś takim?! Pierwszym dzieckiem Edgara był dopiero Edward, ale Athenę i tak kochał bardziej, niż jakikolwiek ojciec kocha córkę. Jest bardzo podobna do mnie, ale ma także pewne cechy ojca, o których wiemy tylko Edgar i ja. On był wybitnie

przystojnym, wysokim blondynem o niebieskich oczach Moja mama nazywała go prawdziwym Adonisem.

- Czy Athena zna tę historię?

- Ależ skąd! Niby kto miałby jej o tym powiedzieć. Uważa Edgara za swego ojca i dobrze. Aż dziwne, że przez tyle lat w ogóle nie przychodziło mi to na myśl. Nawet nie wiem dokładnie, po co ci to właściwie mówię.

- Pewnie z powodu Loveday.

- Oczywiście, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie. Historia się powtarza, prawda? Znowu jest wojna, dziecko w drodze, więc szuka się stabilizacji i bezpieczeństwa w ramionach starego przyjaciela. - Upiła łyk kawy i dodała: - Nikomu więcej o tym nie mówiłam.

- Na pewno nie puszczyć pary z ust.

- Nawet nie myślałam o czymś takim. Chciałam ci tylko uświadomić, kim jest dla mnie Edgar.

- Wiem o tym.

Na chwilę zapanowała cisza, podczas której Judyta przywiodła na pamięć postać Tommy'ego Mortimera. Nigdy bowiem nie mogła rozszyfrować charakteru stosunków między nim a Dianą. Dopiero teraz odniosła wrażenie, że już to rozumie. Edgar był jej całym życiem, ale przy tym człowiekiem dużo od niej starszym, zatwardziałym konserwatystą i prowincjuszem. Na tym tle stawało się jasne, kim był dla Diany Tommy Mortimer - kluczem do zupełnie innego wymiaru, świata, którego jej zawsze brakowało: Londynu, koncertów, przyjęć, zakupów, toalet i obiadków u Ritza.

- O czym tak rozmyślasz, kochanie? - zagadnęła ją Diana.

- O Tommym Mortimerze - przyznała się Judyta.

- Tommy nigdy nie był moim kochankiem.

- To nigdy nie przyszłoby mi na myśl.

- Tommy nie należy do tego rodzaju mężczyzn. To nie znaczy, broń Boże, że jest nienormalny, ale dla mnie jest osobnikiem kompletnie bezpłciowym.

- Faktycznie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam go w Nancherrow, nie mogłam pojąć, jaką rolę on tu pełni.

- Czy według ciebie Edgar powinien był wyrzucić go za drzwi?

- No, może nie aż tak...

- Edgar wie, że poczciwy Tommy nie stanowi dla niego zagrożenia, natomiast wie również, że ten człowiek jest mi potrzebny, dlatego toleruje jego obecność. Edgar to najbardziej wspaniałomyślny i szlachetny człowiek na świecie, a ja jestem z nim szczęśliwa. Jak widzisz, mnie się udało, sądziłam więc, że Loveday także się uda.

- Ale to życie Loveday, nie twoje.

W tym momencie ktoś im przeszkodził, choć z pewnością niezamierzenie. Dało się słyszeć głośne otwieranie drzwi i okrzyk:

- Judyto!

- Tu jestem, w kuchni! - Judyta podniosła głos.

- Ach, to przecież Jess! - zreflektowała się Diana. - Zupełnie o niej zapomniałam!

Śmiały się z tego wraz z Judytą i tak je zastała Jess, rozczochrana i umazana pajęczynami, ale mocno z czegoś zadowolona.

- Już prawie skończyłam, tylko potrzeba mi czegoś do mycia okien! - oznajmiła Judycie. Dopiero w tym momencie zauważyła Dianę i lekko się speszyła. - Och, przepraszam, nie widziałam, że pani tu jest.

- Ależ nic się nie stało, kochanie. Wpadłam tylko na chwilkę podrzucić wam trochę jajek i warzyw. A co ty takiego robiłaś?

- Sprzątałam w „chatce”, bo pełno tam było pajęczyn, much i innego paskudztwa. Wszystko wymiotłam, ale na podłodze leżały dwie zdechłe myszy. To znaczy, że powinnyśmy trzymać kota. Masz coś do mycia okien?

- Nie wiem. Muszę sprawdzić.

- Czy ten domek nie jest uroczy? - wtrąciła się z uśmiechem Diana. - Moje dzieci, Athena i Edward, ba-

wiły się tam całymi dniami, a nawet tygodniami. Biwakowały i piekły kiełbaski, które czuć było na milę.

- W lecie ja też się przeniosę do „chatki”. Będę tani nawet spać.
- A nie będzie ci smutno samej?
- Wezmę Morąg do towarzystwa.
- Napijesz się kawy? - zapytała Judyta.
- Raczej nie - pokręciła nosem Jess.
- No więc napij się mleka i zjedz ciasteczko czy cokolwiek innego.
- Ale ja chciałabym umyć okna w „chatce”!
- To zawsze zdążysz, ale najpierw zjedz coś, bo musisz nabrać ciała.
- No, dobrze - zgodziła się z westchnieniem Jess.
- Mleko jest w lodówce, a ciasteczka w puszcze. Jess wyjęła z lodówki butelkę z mlekiem.
- Dzwoniłaś już do Świętej Urszuli? - spytała.
- Tak. Umówiłam się z panną Catto na jutro po południu.
- Rozmawiałaś z nią samą?
- Oczywiście.
- Ale chyba nie będę musiała rozpoczynać nauki już teraz?
- Teraz nie, ale gdzieś od połowy semestru.
- Kiedy to będzie?
- Mniej więcej piątego listopada.
- W rocznicę spisku prochowego - podpowiedziała Diana.
- Co to za rocznica? - Jess uniosła brwi.
- To takie hucznie obchodzone święto na pamiątkę pewnego wydarzenia z naszej historii. Obchody polegają na tym, że pali się na stosie kukłę biednego Guya Fawkesa, a przy tym urządza się dzikie harce i fajerwerki.
- To może być zabawne.
- Wolałabyś dojeżdżać do szkoły czy zamieszkać w internacie?

- Pewnie przyjemniej byłoby dojeżdżać - odpowiedziała za nią Judyta - ale trudno o paliwo, a na autobusy nie ma co liczyć. Może będzie mieszkać w internacie, a na weekendy przyjeżdżać do domu? Zresztą wszystko zobaczy się na miejscu.

Tymczasem Jess, po długim mocowaniu się z pokrywką, otworzyła puszkę, w której znajdowały się już tylko dwa ciasteczka. Wzięła sobie jedno i nachyliła się nad Judytą, nalegając:

- Naprawdę zobacz, czy nie znalazłoby się coś do umycia tych okien!

- Wszystko zależy od tego - zaczęła panna Catto -czego Jess zdążyła się nauczyć w Singapurze. Ile miała lat, kiedy musiała przerwać naukę?

- Jedenaście.

- I od tej pory nie pobierała już żadnych lekcji?

- Formalnie nie. Jednak w tym obozie siedziały z nią także żony holenderskich plantatorów, kobiety wykształcone. Próbowaly zorganizować nauczanie dzieci, ale Japończycy, gdy tylko się dowiedzieli, odebrali im wszystkie książki. Z konieczności ograniczały się więc tylko do przekazywania tej wiedzy, którą pamiętały, opowiadania historyjek i uczenia pieśni. Udało się im nawet raz czy drugi zorganizować koncert. Któryś z chłopców zrobił dla Jess bambusowy flecik.

- To się w głowie nie mieści! - Panna Catto załamała rękę.

W jej gabinecie, w którym siedziały teraz z Judytą, miało miejsce tyle ważnych wydarzeń z przeszłości. Tu właśnie panna Catto poinformowała Judytę o śmiertelnym wypadku ciotki Luizy. Tutaj też Judyta dowiedziała się od mecenasa Bainesa o spadku, który tak odmienił jej dalsze życie...

W szkole panowała cisza, gdyż wybiła już czwarta po południu, a lekcje kończyły się o trzeciej. O tej porze

dziewczęta przeważnie grały na dworze w hokeja lub siał kówkę, tylko nieliczne starsze uczennice opracowywały jakieś materiały w bibliotece, ćwiczyły na fortepianie bądź/ na skrzypcach. Dźwięki wygrywanych przez nie gam sły chać było z dużej odległości.

Już w zewnętrznym wyglądzie Szkoły Świętej Urszuli widać było znaczne zmiany, niestety nie na lepsze. Lata wojny, związanych z nią niewygód i wyrzeczeń odcisnęły i tu swoje piętno. Przez te lata panna Catto miała na głowie nie jedną szkołę, lecz dwie, i dla nich musiała się borykać z ciasnotą, brakami w zaopatrzeniu, wymogami obrony przeciwlotniczej i personelem, przeważnie starszym wiekiem lub bez dodatkowych kwalifikacji.

Nic więc dziwnego, że dawniej wypielegnowane ogrody zarosły chwastami, a na miejscu dawnych kortów tenisowych i boisk do krykieta ustawiono sześć ohydnych baraków z blachy falistej. Przytulny gabinet panny Catto był zagracony, a w pustym palenisku kominka stał teraz, czajnik elektryczny. Te same zasłony, które Judyta pamiętała sprzed wojny, ledwo się trzymały, w spłowiałych obiciach mebli tu i ówdzie widniały dziury, a w dywanie prześwitywały nitki.

Sama panna Catto też nie wyszła z zawieruchy wojennej obronną ręką. Faktycznie przekroczyła już czterdziestkę - ale wyglądała znacznie starzej. Wciąż jednak roztaczała aurę spokojnej pewności siebie, a z jej oczu, jak przedtem, przebijała zarówno mądrość życiowa, jak też dobroć i przebłycki humor. Już po godzinie spędzonej w jej towarzystwie Judyta nie miała wątpliwości, że zostawia Jess w dobrych rękach.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zacznie od niższego oddziału czwartej klasy - mówiła dalej panna Catto. - Wprawdzie znajdzie się wśród dziewcząt o rok młodszych, ale za to nie będzie miała trudności w nauce i nie wpadnie w kompleksy.

- Wydaje mi się, że Jess jest na tyle inteligentna, że



szybko nadrobi zaległości - zapewniła Judyta. - Trzeba ją tylko zachęcić. Jess najwyraźniej zdążyła już polubić pannę Catto, chociaż początkowo, zalekniona i stremowana, odpowiadała zaledwie monosylabami na jej pytania. Wkrótce jednak nieśmiałość ustąpiła i formalna rozmowa wstępna zamieniła się w przyjacielską pogawędkę, gęsto przetykaną wybuchami śmiechu. Po pewnym czasie rozległo się pukanie do drzwi i w gabinecie zameldowała się jedna ze starszych uczennic, informując, że przyszła, aby oprowadzić Jess po szkole. Miała na sobie szarą flanelową spódniczkę, niebieski sweter i białe podkolanówki. Judyta na jej widok uświadomiła sobie, że zarówno ona, jak i Loveday w tym wieku wyglądały o wiele mniej atrakcyjnie, wtłoczone w bezkształtne zielone mundurki i fildekosowe pończochy.

- Dziękuję ci, Elizabeth, to miłe z twojej strony - pochwaliła dziewczynkę panna Catto. - Myślę, że pół godziny wam wystarczy. Tylko pamiętaj, żeby pokazać Jess wasze sypialnie, salę gimnastyczną i pracownię muzyczną.

- Tak jest, pani dyrektor. Chodź, Jess, idziemy.

Do tej pory jeszcze nie wróciły, panna Catto więc kontynuowała rozmowę z Judytą.

- Czy ona zna jakieś języki?

- Myślę, że zdążyła opanować najwyżej podstawy francuskiego, a i to pewno zapomniała.

- Może będzie musiała brać dodatkowe lekcje, ale bez przesady, żeby jej nie przeciążyć. Więc kiedy zaczynamy?

- Jak pani uważa.

- Myślę, że jak najszybciej. Może zaraz po przerwie półsemestralnej? To by było szóstego listopada.

Judycie wydało się, że to strasznie prędko.

- Może by najpierw przedyskutować to z Jess? Tak, żeby brała udział w podejmowaniu decyzji, które jej dotyczą.

- Masz rację. Kiedy Jess zakończy zwiedzanie szkoły, naradzimy się we trójkę. Tymczasem zastanówmy się, czy

ma dojeżdżać na zajęcia, czy zamieszkać w internacie? Ewentualnie mogłaby wracać do domu na weekendy, ale nie polecałabym takiego rozwiązania. W jej skomplikowanej sytuacji mogłoby to ją zbytnio rozpraszać, ale oczywiście decyzja należy do was.

- Dojeżdżanie nie wchodzi w rachubę przy takich ograniczeniach paliwa. Tym bardziej że autobusy kursują tu rzadko.

- A więc internat? Wydaje mi się, że kiedy Jess obejrzy sobie naszą szkołę, na pewno nie pomyśli, że chcemy ją znów zamknąć w jakimś obozie koncentracyjnym.

- Pewnie będziemy teraz musiały sporządzić listę niezbędnego wyposażenia? - przypomniała sobie Judyta.

- Ucieszysz się, kiedy się dowiesz - uśmiechnęła się panna Catto - że obecnie ta lista została znacznie skrócona. Nie wiem, czy zapełniłaby jedną stroniczkę! Wojna zdezaktualizowała te wszystkie staroświeckie, wiktoriańskie przepisy. Zresztą nasze dzieci nawet ładniej wyglądają w kolorowych sukienkach i przynajmniej łatwo je rozpoznać.

Obie panie spojrzały po sobie ponad dzielącym je biurkiem i panna Catto zapewniła:

- Daję ci słowo, kochanie, że zrobię wszystko co w mojej mocy, aby Jess czuła się tu dobrze.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- A co słyszeć u ciebie? Jak sobie radzisz?

- Dziękuję, świetnie.

- I jak w końcu ułożyłaś sobie życie?

- Nie poszłam na studia.

- Wiem o tym, bo od czasu do czasu widuję się z panem Bainesem.

Ciężko przeżyłam wiadomość o śmierci twoich rodziców. Dobrze, że została ci chociaż Jess i jesteś w stanie stworzyć jej dom. Tylko błagam, nie zamień się w kurę domową! Jesteś na to zbyt inteligentna.

- Przecież nie wstąpię już teraz na uniwersytet.

- Ano nie - zadumała się panna Catto. - Nawet nie myślałam o tym, bo w tej chwili byłby to już dla ciebie

krok wstecz. W każdym razie ważne, że próbowałyśmy. Widziałaś się ostatnio z Loveday Carey-Lewis?

- Tak, niedawno.

- Czy ona jest szczęśliwa?

- Wydaje się, że tak.

- Nigdy nie mogłam rozgryźć, co wyrośnie z tej dziewczyny. Zwykle na podstawie tempa rozwoju dziecka w okresie nauki szkolnej mogę w przybliżeniu przewidzieć jego dalsze losy. Jednak w stosunku do Loveday nic mi się nie zgadzało. U niej mogło się to skończyć zarówno bardzo dobrze, jak i bardzo źle, i nie mogłam się zdecydować na żaden z tych wariantów.

- Pewnie prawda leży pośrodku - podsumowała Judyta po krótkim namyśle.

- Chyba tak! - zaśmiała się panna Catto. - A może byśmy tak napiły się herbaty? Jess zaraz wróci, a ja przygotowałam dla niej czekoladowe ciasteczka.

Wstała, mocniej owijając się swą wystrzępioną czarną togą.

- Minęły te czasy, kiedy pokojówka przynosiła nam podwieczorek na tacy

- zauważyła. - Teraz muszę sama sobie radzić i nieźle mi to idzie.

- Nie przypuszczam, że pani kiedykolwiek mogłaby się zamienić w kure domową.

- Ależ na pewno nie mogłabym.

*Dower House, Rosemullion 3 listopada 1945, sobota*

*Kochany Wujku!*

*Przepraszam, że tak długo nie pisałam, ale byłam bardzo zajęta.*

*Jeździłam z Judytą w różne miejsca i porządkowałam „chatkę” w ogrodzie, gdzie mam zamiar spać, gdy się ociepli.*

*Bardzo Wujkowi dziękuję za miły pobyt w Kolombo i wizytę w zoo.*

*Szczególnie podobały mi się aligatory.*

*Od wtorku rozpoczynam naukę w Szkole Świętej Urszuli. Nie przypuszczałam, że tak chętnie zgodzę się po zostać w internacie, ale panna Catto mnie przekonała, bo opowiedziała, jakie przyjemne rzeczy robi się tam pod czas weekendów. Podobno dziewczęta urządzają przed stawienia, czytają na głos książki albo chodzą na wycieczki! Pozwoliła mi też dzwonić do Judyty kiedy zechcę, oczywiście wieczorem, a nie w ciągu dnia.*

*Panna Catto jest bardzo miła, a chwilami nawet zabawna. Morąg czuje się dobrze. Mam nadzieję, że Wujek też.*

*Pozdrowienia dla pana Beatty'ego i Tomasza. Ucałowania od Jess*

*PS. Ciocia Biddy także przesyła pozdrowienia.*

- Judyto, nie wchodź ze mną do środka. Chciałabym pożegnać się z tobą przed głównym wejściem. Inaczej to wszystko tylko niepotrzebnie się przedłuży.

- Naprawdę tego właśnie chcesz?

- Tak. Ta miła Elizabeth obiecała, że będzie tu na mnie czekać, pokaże mi moją sypialnię i wszystko inne.

- To ładnie z jej strony.

- Powiedziała jeszcze, że będzie się mną opiekować przez cały semestr.

Gdybym czegoś nie wiedziała albo było mi smutno, mam zawsze zwracać się do niej, to ona mi pomoże.

- Wygląda to na korzystny układ.

Tymczasem Judyta zdążyła już zboczyć z głównej drogi i podjechać na wzgórze, na którym stała szkoła. Było około wpół do trzeciej po południu i padała drobna mżawka, toteż wycieraczki samochodu pracowały bez przerwy.

- To zabawne! - zauważyła Judyta.

- Co takiego?

- To, jak historia się powtarza. Kiedy mama przywiozła mnie pierwszy raz do tej szkoły, powiedziałam jej do-

kładnie to samo co ty teraz. Żeby nie wchodziła do środka, tylko pożegnała się ze mną przed drzwiami. I ona też, tak jak ja, zastosowała się do tego.

- Ale to nie było to samo, prawda?

- Na szczęście teraz jest zupełnie inaczej. Wtedy myślałam, że rozstajemy się z mamą tylko na cztery lata, ale nie wydawało mi się, że to pożegnanie na zawsze. Na szczęście nie wiedziałam, że rzeczywiście tak będzie. A my przecież się nie żegnamy, tylko mówimy sobie „do zobaczenia”. Ani ja, ani Phyllis czy Biddy nie znajdziemy się gdzieś daleko od ciebie. Nawet gdy Biddy przeprowadzi się do nowego domu, to wciąż jeszcze będzie blisko. A niedługo nadejdą święta Bożego Narodzenia...

- Czy to będą takie prawdziwe święta?

- Tak, dokładnie takie, jakie mają być.

- Ubierzemy taką choinkę jak u cioci Biddy w Keyham?

- Tak, całą w srebrze i bieli, a wysoką aż do połowy schodów.

- Bez ciebie zrobi się od razu trochę dziwnie - zmieniła temat Jess.

- Mnie też będzie cię brakować.

- Ale nie będę bardzo tęsknić.

- Jak cię znam, Jess, to na pewno nie.

Pożegnanie nie zajęło zbyt dużo czasu, gdyż u głównego wejścia oczekiwała już starsza uczennica, Elizabeth. Na widok samochodu wybiegła im naprzeciw.

- Cześć, świetnie, że już jesteś. Ale fatalna pogoda! Chyba ciężko wam było jechać w taką mgłę? - Jej przyjazny sposób bycia połączony z dużą pewnością siebie błyskawicznie rozładował napiętą atmosferę. - Wezmę twoją walizkę i kij hokejowy. Dasz sobie radę z resztą? To chodź, pójdziemy od razu na górę i pokażę ci, gdzie będziesz spała.

Podczas wnoszenia bagaży do wnętrza Elizabeth taktownie wycofała się poza zasięg głosu. Judyta i Jess,

mimo nieustannej mżawki, stanęły naprzeciw siebie przed głównym wejściem.

- No więc tu się pożegnamy, jak było umówione. Judyta się uśmiechnęła.

- Zgadza się - przytaknęła Jess, tak opanowana i trzymająca na wodzy swoje uczucia, że Judycie zrobiło się trochę wstyd. Miała świadomość, że jeszcze trochę, a za cnie zachowywać się jak rozhisteryzowana mamuśka. -Wszystko będzie dobrze. Dziękuję, żeś mnie tu przywiozła.

- Cześć, Jess!

- Do widzenia.

- Kocham cię!

Objęły się i ucałowały na pożegnanie, przy czym Jess zrobiła śmieszna minę, obróciła się na pięcie i pobiegła w swoją stronę.

W drodze powrotnej Judyta popłakała trochę w samochodzie, ale głównie dlatego, że Jess zachowała się tak dzielnie i że bez niej w Dower House zrobi się pusto. W sumie tak mało czasu spędziły razem. W końcu jednak wytarła nos i przemówiła samej sobie do rozsądku. Przecież u Świętej Urszuli Jess zacznie się prawidłowo rozwijać w otoczeniu swoich rówieśnic. Zbyt długo już przebywała w towarzystwie dorosłych, którzy nie potrafili zapewnić jej niczego poza okrucieństwem, głodem i poniżeniem. Dopiero teraz, choć z opóźnieniem, dziewczynka będzie mogła poznać radości normalnego dzieciństwa. Nie można więc było zrobić nic mądrzejszego, gdyż tego właśnie potrzebowała.

Wszystko raczej szło ku lepszemu, co nie zmniejszało przykrego wrażenia pustki. Judyta zdecydowała więc, że tym, czego sama najbardziej potrzebuje, jest towarzystwo kogoś w jej wieku. Najlepiej Loveday. Do tej pory nie była jeszcze ani razu w Lidgey, gdyż ostatnio większość czasu poświęcała Jess. Tak jak jej obiecała, wybrały się na wycieczkę do Penmarron i Porthkerris, zwiedziły całe

miasteczko i złożyły wizytę Warrenom. Poza tym trzeba było kupić dla Jess wyprawkę do szkoły.

Lista niezbędnego wyposażenia nie była wprawdzie aż tak długa jak kiedyś, a dzięki firmie „Whiteaway i Laid-law” w Kolombo Jess została dobrze zaopatrzona w potrzebną odzież. Niemniej jednak wielu rzeczy brakowało i trzeba było szukać ich po ogołoconych z towaru sklepach w Penzance. Należało więc kupić kij i buty do hokeja na trawie, przybory do pisania, kasetę z farbami, wieczne pióro, nożyczki i zestaw pomocy naukowych. Potrzebna była również Biblia i psalterz w wydaniu zgodnym z wymogami Kościoła anglikańskiego.

Potem należało jeszcze to wszystko spakować, nic więc dziwnego, że Judyta na razie nie miała głowy, aby myśleć o Loveday. Natomiast teraz okazja sama się nadarzyła, aby wreszcie dotrzymać obietnicy i spędzić godzinkę lub dwie w towarzystwie Loveday i jej synka. Szkoda tylko, że nie pomyślała o tym wcześniej - mogła jeszcze w Penzance kupić kwiaty dla Loveday i słodycze lub zabawkę dla Nata. Na to jednak było już za późno - trudno, innym razem przywiezie im prezenty.

Minęła więc Rosemullion, potem bramy Nancherrow i przejechała jeszcze mniej więcej milę do drogi zbaczającej ku gospodarstwu. Była ona wąska i poślóbia koleinami na kształt koryta potoku wijącego się między granitowymi murkami i kępami ostrokrzewu. Na zakręcie stał drogowskaz z napisem „Lidgey” i kamienna ława, na której Walter codziennie zostawiał bańki z mlekiem, skąd zabierał je mleczarz.

W połowie drogi do gospodarstwa, po lewej stronie, znajdował się kamienny domek, który pułkownik kazał odnowić dla Loveday i Waltera. Poznać go było z daleka po mokrym od deszczu łupkowym dachu i rozpiętej w widocznym miejscu linie do bielizny. Judyta przejechała przez otwartą bramę podpartą wielkim głazem i po trawiastej ścieżce przechodzącej w coś, co miało być ogro-

dem, ale nigdy nim nie zostało. Znajdował się tam tylko skrawek zieleni, na którym rosło kilka krzaków ostrokrzewu i wały się rozrzucone zabawki. W trawie leżał między innymi zardzewiały trzykołowy rowerek, blaszany kubełek i łopatką. Kiedy Judyta zahamowała i wyłączyła silnik - dopiero wtedy usłyszała wycie wiatru. Skądś dochodziło również szczekanie psa. Wsiadła z wozu i przeszła ścieżką wyłożoną granitowymi płytami aż do drzwi pokrytych łuszczącą się farbą. Otworzyła je.

- Loveday! - zawołała.

Kiedy się rozejrzała, stwierdziła, że znajduje się w korytarzu zawałonym starymi łachami i gumowcami oblepionymi błotem.

- Loveday! - powtórzyła, otwierając następne drzwi. - To ja!

Oczom Judyty ukazała się kuchnia, pełniąca równocześnie rolę salonu. Była wierną kopią kuchni w starym domu państwa Mudge. Tak samo ogień buzował w piecu kaflowym, nad którym suszyły się uprane rzeczy. Na takiej samej posadzce z płyt, przyrzuconej kilkoma szmacianymi dywanikami, stał stół, psie miski i kubeł z pomyjami dla świń. Ze ściany wystawał ceramiczny zlew, na stole piętrzyła się góra starych gazet, kredens był załadowany różnymi rupieciami, a kanapa - zakłęśnięta pośrodku.

Na tej kanapie spał Nat z wielkim palcem w buzi. Widać było, że wcześniej zasnął, bo miał na sobie brudne i zasikane spodnie na szelkach. Radio wciśnięte na półkę kredensu zawodziło sobie a muzom: „Nie wiem kiedy, lecz przecież nadejdzie ten dzień...” Natomiast Loveday stała przy desce do prasowania.

Obejrzała się słysząc dźwięk otwieranych drzwi, więc Judyta na wszelki wypadek powtórzyła niepotrzebnie:

- To ja!

- O! - Loveday z trzaskiem odstawiła żelazko. - Skąd wracasz?

- Od Świętej Urszuli, gdzie właśnie zostawiłam Jess.



- Chryste, jak ona to zniosła?
  - Zdziwiająco spokojnie i rzeczowo. Nie uroniła ani jednej łzy. To raczej ja mało się nie poryczałam.
  - Myślisz, że jej się tam spodoba?
  - Wydaje mi się, że tak, tym bardziej że może dzwonić do mnie, ilekroć będzie jej smutno. Tymczasem najbardziej smutno jest mnie, więc przyjechałam szukać pociechy u ciebie.
  - Coś mi się wydaje, że trafiłaś pod zły adres.
  - Może jednak nie. Oddałabym tylko duszę za filiżankę herbaty.
  - Już nastawiam wodę. Zdejmij płaszcz i połóż go gdziekolwiek.
- Pierwsza część polecenia była łatwa do wykonania, natomiast nie od razu Judyta znalazła wolne miejsce na płaszcz. Na jednym krześle spał zwinięty w kłębek bury kot, na drugim piętrzyła się góra upranej bielizny, a na kanapie spał Nat. Chcąc nie chcąc musiała więc wyjść na korytarz i powiesić płaszcz na haku, na którym wisiały już czyjeś umazane błotem spodnie.
- Przepraszam, że tak długo do ciebie nie zaglądałam, ale tyle miałam teraz roboty w związku z Jess... - usprawiedliwiała się, wracając do kanapy i przyglądając się śpiącemu chłopcu. Policzki miał zarumienione, a w tłustej piąstce ścisnął szmatkę, która kiedyś była obszytym pliską rogiem koca. - Czy on zawsze sypia po obiedzie? - zapytała.
  - Zwykle nie, ale dziś nie spał chyba do drugiej nad ranem. Miałam z nim istną sądną noc. Zdaje mi się, że rosną mu zębki trzonowe. - Loveday napełniła czajnik wodą i postawiła go na ogniu. - Zresztą zawsze strasznie marudzi przy usypianiu, więc kiedy już zaśnie, staram się go nie budzić, bo tylko wtedy mam trochę spokoju. Dlatego próbowałam skorzystać z okazji i poprasować.
  - Może gdybyśmy go teraz zbudziły, to prędzej zaśnie

wieczorem? - podsunęła Judyta, ale Loveday przyjęła ten pomysł bez specjalnego entuzjazmu.

- Może, ale on kiedy śpi, to śpi, a kiedy nie śpi, to rozrabia. A dziś jest za mokro, żeby mógł bawić się na dworze.

Z radia płynęły nadal jęśliwe dźwięki: „...że po latach spotkamy się znów!”

- Boże, jakaż to nudna melodia! Nastawiłam radio tylko ot, tak sobie, żeby brzęczało. - Loveday wyłączyła odbiornik. - Zaraz zabiorę to wszystko, żebyś miała gdzie usiąść.

Zaczęła zdejmować z krzesła nie doprasowaną bieliznę, ale Judyta miała inny pomysł.

- Wiesz co, może ty zajmij się herbatą, a ja to dokończę? Nawet lubię prasować. I obudź Nata, to zjemy razem podwieczorem.

- Mówisz serio? To kupa roboty!

- A od czegoż są przyjaciółki, kochanie? - Judyta sparodiowała sposób mówienia Mary Millyway. Ze stosu zmiętych sztuk bielizny wyciągnęła koszulę i rozłożyła ją na desce. - Ale jeśli ona ma być całkiem gładka, to muszę ją najpierw trochę zmoczyć.

- Nie zwracaj sobie głowy. Grunt, aby dała się złożyć i upchnąć do szuflady. - Loveday przysiadła na kanapie obok Nata. - Ale się zsiakał! No, Nat, wstawaj, podwieczorek !

Mówiła to jednak pobłażliwym tonem, całując go i klepiąc po wypukłym brzuszku. Judyta przyglądała się jej znad prasowanej właśnie koszuli i stwierdziła, że przyjaciółka wygląda fatalnie. Pod oczami miała ciemne kręgi i ogólnie robiła wrażenie przemęczonej. Ciekawe, czy w tym domu kiedykolwiek panował przynajmniej względny porządek?

Tymczasem Nat otworzył oczy, ciemne jak tarki. Loveday wzięła go na kolana, pieszcząc chłopca i przemawia-

jąc doń czule, dopóki się całkiem nie rozbudził. Wówczas jego ciekawe spojrzenie zatrzymało się na Judycie.

- Co to za pani? - chciał wiedzieć.

- Przecież to Judyta. Już raz widziałeś ją u babci.

- Nie pamiętam.

- To nic, za to ona cię pamięta i przysłała do ciebie w gości. Chodź, zmienimy ci spodenki - dodała, wstając i biorąc Nata na rękę.

- Czy mogłabym pójść z tobą i przy okazji zobaczyć resztę domu? - zaproponowała Judyta, ale Loveday stanowczo odmówiła.

- Nie, bo mam tam za duży bałagan. Gdybyś uprzedziła mnie wcześniej, że chcesz przyjechać, zgarnęłabym wszystkie śmiecie pod łóżko.

Oprowadzam wycieczki tylko po uprzednim zgłoszeniu, jak w instytucji państwowej!

Wyszła przez drzwi w przeciwnym końcu kuchni, ale zostawiła je uchylone, więc Judyta mogła dojrzeć przez szparę wielkie małżeńskie łóżko z mosiężną ramą. Usilnie próbowała choćby jako tako wygładzić zmiętą i wysuszoną koszulę, przysłuchując się równocześnie, jak Loveday pieszczotliwie zagaduje do Nata, otwiera i zamyka szufladę, odkręca krany w łazience i spuszcza wodę. Kiedy wróciła z Natem, chłopczyk wyglądał jak aniołek. Loveday posadziła go na podłodze, dała mu do zabawy samochodzik i przestała się nim zajmować. Tymczasem woda zaczęła się gotować.

- Wyprasowałam dopiero jedną koszulę! - przeraziła się Judyta.

- Zostaw już to, najlepiej w ogóle wyłącz żelazko. Jeśli chcesz pomóc, to nakryj do stołu. Filiżanki i spodeczki są w kredensie, babka szafranowa w pojemniku na chleb, a masło stoi na lodówce.

Judyta zrobiła miejsce na stole, odsuwając na bok kilka gazet i „Tygodnik Rolnika”. Zaprosiła i Nata do towarzystwa, ale on wolał bawić się na podłodze swoją ciężarówką, którą popychał, naśladując warkot silnika.

- Przepraszam za ten bałagan i że cię nie zaprosiłam na pokoje - usprawiedliwiła się Loveday. - Wyślę ci oficjalne zaproszenie, kiedy zrobię wiosenne porządki. Właściwie tu jest całkiem przyjemnie, szczególnie łazienka jest ładnie urządzona. Tatuś naprawdę się postarał. Szkoda, że mamy tylko jedną sypialnię, bo chyba Nal lepiej zasypiałby sam, ale na razie nic nie możemy na to poradzić. - Nalała Judyta herbaty i dodała: - Za to u ciebie zawsze porządek, wszystko na swoim miejscu! - To zasługa Phyllis. Poza tym u nas nie ma takiego rozbrykanego trzylatka.

- Kiedy jest ładna pogoda, można z nim wytrzymać, bo przeważnie bawi się na dworze. Ale nie w taką chlupę, bo tylko naniósłby błota!

- Gdzie jest Walter?

- Nie wiem dokładnie. Pewnie gdzieś w polu, tam na samej górze. Wróci w porze dojenia.

- Pomagasz mu przy tym?

- Czasem, kiedy teściowej nie ma w pobliżu.

- A dziś?

- Na szczęście dziś nie będę musiała tego robić.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Też byś tak wyglądała, gdybyś nie spała do trzeciej nad ranem.

Po tych słowach zamilkła, tylko siedziała z łokciami opartymi na stole i spuszczonej oczyma. Na jej długich rzęsach Judyta z przerażeniem dojrzała migoczące łzy.

- Loveday, co to znaczy? - nie wytrzymała. Loveday gniewnie potrząsnęła głową.

- Jestem tylko zmęczona! - zaprzeczyła wszelkim posądzeniom, jakoby mogło być inaczej.

- Przecież wiesz, że zawsze możesz mi się zwierzyć, jeśli masz jakiś kłopot.

Loveday ponownie potrząsnęła głową, ale na przekór temu gestowi po jej bladym policzku spłynęła następna nieposłuszna łza. Starła ją szorstkim ruchem ręki.

- Jeśli masz zmartwienie, to nie zapiekaj go w sobie! -doradziła Judyta. Ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, drażyła dalej: - Czy to coś między tobą i Walterem?

Musiała zebrać się na odwagę, żeby zadać to pytanie, gdyż mogła spodziewać się gwałtownej reakcji. Jednak Loveday nie rzuciła się na nią z pięściami, tylko odmruknęła coś pod nosem.

- Słucham? - Judyta nie dawała za wygraną.

- Powiedziałam, że Walter ma inną kobietę.

Judyta poczuła, jak miękną jej nogi. Odstawiła swoją filiżankę i delikatnie zapytała:

- Jesteś tego pewna? Loveday przytaknęła.

- A skąd wiesz o tym?

- Wiem, że spotyka się z nią wieczorami w barze. Czasem wraca do domu dopiero nad ranem.

- Ale skąd się o tym dowiedziałas?

- Od teściowej.

- A ona skąd?

- Doszły do niej plotki, które już krążą po wsi. Powiedziała mi o tym, gdyż uważała, że powinnam wiedzieć - abyśmy załatwili to między sobą.

- Ciekawe, po czyjej ona jest stronie.

- Zasadniczo po mojej, ale uważa, że jeśli mężczyzna robi skok w bok, to znaczy, że z jego żoną jest coś nie w porządku.

- Nie rozumiem, dlaczego nie przemówi mu do rozumu. W końcu to jej syn!

- Twierdzi, że nie chce się wtrącać w nie swoje sprawy. I rzeczywiście, muszę przyznać, że do tej pory nigdy się nie wtrącała.

- Kim jest ta kobieta?

- To jakaś flądra, która w lecie przybyła do Porthkerris z Londynu w towarzystwie oszusta podającego się za malarza. Przez jakiś czas żyli ze sobą, ale potem albo się pokłócili, albo on znalazł sobie inną - dość, że go opuściła.

- I gdzie teraz mieszka?
- W przyczepie zaparkowanej na wzgórzu Veglos.
- Gdzie Walter mógł ją poznać?
- Pewnie w barze.
- A jak ona się nazywa?
- Nie uwierzysz, kiedy ci powiem.
- W każdym razie spróbuj.
- Arabella Lumb.

- To niemożliwe, żaden człowiek nie może się tak nazywać!

Jak na komendę obie wybuchnęły śmiechem, mimo że Loveday miała jeszcze łzy w oczach.

- Arabella Lumb, coś podobnego! - To dziwne nazwisko wypowiedziane po raz drugi zabrzmiało jeszcze mniej prawdopodobnie. - Widziałaś ją kiedyś?

- Tak, raz, w barze w Rosemullion, kiedy wybraliśmy się z Walterem na piwo. Przesiedziała w kącie cały wieczór i stamtąd gapiła się na Waltera, ale ponieważ był ze mną, nie odezwała się do niego. Taka niechlujna, cycata dziewczucha, obwieszona bransoletkami i paciorkami, w sandałkach na brudnych nogach i z paznokciami pomalowanymi na zielono!

- Brzmi to raczej odstręczające

- Mimo to jest na swój sposób pociągająca, taka dorodna, jak przejrzały owoc. Myślę, że „dorodna” to właściwe określenie, zresztą możemy zajrzeć do słownika.

- Nie trzeba, bo trafiłaś w sedno.

- Przeraza mnie, że Walter mógł dać się omotać takiej kobiecie. I co gorsza, nie wiem, jak mam w takiej sytuacji postąpić. - Loveday usiadła z powrotem na krześle, z kieszeni spodni wyciągnęła zgniecioną paczkę papierosów i tanią zapalniczkę. Wyciągnęła papierosa i zapaliła go.

- Zrób tak, jak radzi pani Mudge. Załatwcie to między sobą.

Loveday nabrała dużo powietrza w płuca i wyrzuciła z siebie:

- Tej nocy właśnie próbowaliśmy. - W jej głosie zabrzmiała rozpacz. - Byłam zła i miałam już wszystkiego dość, a na dodatek Walter przyszedł do domu o jedenastej i na miłą czuło było od niego whisky. Kiedy wypije, robi się agresywny, więc tak się pokłóciliśmy, że nasze wrzaski aż obudziły Nata. I wtedy Walter wykrzyczał mi w twarz, że może, psiakrew, robić, co zechce, i spotykać się, z kim, psiakrew, ma ochotę. Że to wszystko moja wina, bo ze mnie taka kiepska żona i matka, w chałupie mam zawsze bajzel i nawet ugotować porządnie nie potrafię...
- To już był cios poniżej pasa!
- Wiem, że nie gotuję zbyt dobrze, ale jak mógł mi coś takiego powiedzieć? Przy tym wygadał się, że nie chce, abym zabierała Nata do Nancherrow. Myślę, że ma na tym punkcie kompleks niższości.
- Kto jak kto, ale Walter ma chyba najmniejsze powody do niezadowolenia.
- Twierdzi, że wychowuję Nata na maminsynka, a on chciałby zrobić z niego Mudge'a, a nie Carey-Lewisa.
- Po części było to zrozumiałe, ale i denerwujące, więc Judyta zaczęła z innej beczki.
- A czy on w ogóle kocha Nata?
- Owszem, kiedy Nat jest grzeczny lub zabawny. Nie kiedy kaprysi lub próbuje za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Czasem Walter potrafi i przez kilka dni z rzędu nie odzywać się do małego. Zawsze był humorzasty, a ostatnio zrobił się zupełnie niemożliwy.
- To znaczy, odkąd Arabella Lumb pojawiła się na horyzoncie? Loveday przytaknęła.
- Może to nic poważnego? Mężczyźni czasem tracą rozum, ale jeśli ona wystawi na niego najcięższe działa - wątpię, aby chciał zaryzykować.
- Ona nie odejdzie stąd dobrowolnie, Judyto.
- A może odejdzie? - Nie brzmiało to zbyt optymi-

stycznie, nawet gdy Judyta to mówiła. - Pamiętaj, że byłaś z Walterem szczęśliwa. Może lepiej robić dobrą minę do złej gry i próbować przeczekać, aż zmądrzeje? W każdym razie kłótnie tylko pogarszają sprawę.

- Szkoda, że dopiero teraz to mówisz.

- Niewiele mogę ci pomóc, prawda?

- Owszem, możesz. Przez sam fakt, że chcesz mnie wysłuchać.

Najgorsze, że nie mam z kim o tym porozmawiać, bo mamusia i tatuś chybaby... - zastanowiła się nad doborem odpowiedniego słowa -

...wyszli z siebie, gdyby się o tym dowiedzieli.

- Dziwię się, że dotąd nie wiedzą.

- Jedynym człowiekiem, który mógłby coś wypaplać, jest Nettlebed, a obie wiemy, że on nie puści pary z gęby.

Nat do tej pory leżał na brzuszku na podłodze, zajęty zabawą. Teraz jednak uświadomił sobie, że jest głodny. Dźwignął się więc na nogi, stanął na paluszkach i obrzucił spojrzeniem to, co stało na stole.

- Ja chcę jeść! - oznajmił.

Loveday zdusiła papierosa na spodeczku i posadziła synka sobie na kolanach. Obejmując go wpół, ucałowała chłopca w czubek głowy i dała mu kawałek babki szafranowej posmarowany masłem.

Nat jadł, głośno mlaskając, i nie odrywał wzroku od Judyty.

Odwzajemniła mu się uśmiechem.

- Chciałam kupić ci jakiś prezent - zagadnęła go - ale tu nie ma żadnego sklepu. Następnym razem coś ci przywiozę. Co chciałbyś dostać?

- Ja chcę samochód!

- Taki mały, do zabawy, prawda?

- Nie, duży, taki, co można wejść do środka!

- Oho, ty to umiesz dbać o swoje interesy - zaśmiała się Loveday. -

Przecież Judyta nie może kupić ci samochodu.

Judyta pieszczotliwie poczochnęła główkę chłopca.

- Nie słuchaj, co mamusia mówi - zażartowała. - Mogę zrobić wszystko, co zechcę!



Wkrótce jednak się zorientowała, że wskazówki zegara dawno minęły piątą.

- Muszę już jechać - stwierdziła. - Biddy i Phyllis wyobrażają sobie pewnie, że Jess urządza Bóg wie jakie sceny przy pożegnaniu.

- Dziękuję, że do mnie wpadłaś.

- Ja też się cieszę, żeśmy się zobaczyły. Następnym razem odwalę za ciebie całe prasowanie. - Judyta wyszła po swój płaszcz, a wracając z nim, dodała: - I koniecznie musisz któregoś dnia wpaść z Natem do mnie na lunch.

- Z przyjemnością, prawda, Nat? Tylko proszę cię, Judyto, nie powtarzaj nikomu tego, co ci powiedziałam.

- Ma się rozumieć, że nie pisnę ani słowa. Ale ty pamiętaj, że zawsze możesz ze mną o tym porozmawiać.

- Owszem, chętnie.

Loveday wzięła Nata na rękę i odprowadziła przyjaciółkę do wyjścia. Na dworze mgła zgęstniała i padał większy deszcz. Judyta podniosła kołnierz płaszcza i chciała szybko przebiec do samochodu, lecz w tym momencie Loveday jeszcze raz zwróciła się do niej:

- Masz może jakieś wiadomości od Gusa?

- Nic, kompletna cisza.

- Tylko tak pytam, z ciekawości.

Judyta zajechała do domu już po ciemku, ale gęstą mgłę rozjaśniało światło z okna kuchni. Ktoś też - może celowo - zostawił zapaloną lampę nad głównym wejściem. Judyta odstawiła więc samochód do garażu.

Używała wozu Biddy, bo jej własny morris z odkręconymi kołami stał na kołkach i czekał na lepsze czasy. Dopiero gdy dostanie należny przydział paliwa, będzie mogła sprowadzić mechanika, aby założył koła z powrotem, naładował akumulator i sprawdził, czy po tak długim postoju wóz jest w dobrym stanie.

Judyta weszła do domu tylnymi drzwiami. W kuchni Phyllis wałkowała ciasto, a mała Ania przy drugim końcu stołu odrabiała lekcje.

- Muszę ułożyć zdanie z wyrazem „rozmawiać” - zakomunikowała właśnie matce.

- To chyba dosyć łatwe... O, Judyta! Gdzieś ty była tak długo?

Myślałyśmy, że zaraz wrócisz.

- Wstąpiłam po drodze do Loveday.

- A myśmy już się bały, żeś musiała zostać, bo może z Jess było coś nie w porządku...

- Wiem, to moja wina, powinnam była zadzwonić. Ale wszystko poszło jak z płatka. Jess nie pozwoliła mi nawet wejść do środka, tylko pożegnałyśmy się w drzwiach.

- To i chwała Bogu, ale bez niej od razu zrobiło się jakoś dziwnie. Tak jakby mieszkała z nami od zawsze. Tobie, Aniu, też będzie się przykrzyć za Jess, prawda? Kończcie już te lekcje!

- Kiedy nie wiem, co mam napisać - westchnęła dziewczynka.

- Może: „Wczoraj przyszła do mnie Jess i rozmawiałyśmy”? - podsunęła Judyta.

- Nie wiem, jak się pisze „przyszła” - wyznała Ania po krótkim namyśle.

- No więc: „Wczoraj była u mnie Jess i rozmawiałyśmy”.

- To już lepiej. - Ania ścisnęła ołówek w rączce, a żeby się lepiej skupić, przygryzła koniuszek języka.

- Napijesz się herbaty? - zaproponowała Judycie Phyllis.

- Nie, dziękuję, dopiero co piłam. Gdzie jest pani Somerville?

- Siedzi w salonie i nie może się ciebie doczekać, bo ma ci coś ważnego do powiedzenia.

- Co takiego?

- A, to już nie moja rzecz.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość?

- Leć do niej, to się dowiesz.

Judyta pospieszyła więc do salonu, zrzucając po drodze mokry płaszcz. Na miejscu zastała sielankowy widok. W salonie świeciły się wszystkie światła, a na kominku płonął ogień. Na dywaniku przed kominkiem leżała Morąg, w fotelu zaś siedziała Bidy, robiąc na drutach kolejny kwadrat na kołdrę. Kwadraty stanowiły bowiem szczyt jej umiejętności. Robiła je z resztek włóczki, a kiedy już nagromadziła większą liczbę - odwoziła je do siedziby Czerwonego Krzyża, gdzie inna, zręczniejsza niewiasta szydełkiem łączyła je w jaskrawe kołdry, które dostarczano do Niemiec na potrzeby tamtejszego Czerwonego Krzyża. Otrzymywali je byli więźniowie obozów, którzy nie mieli dokąd wracać. Bidy nazywała wytwarzanie tych kołder „pracą na rzecz pokoju”.

- O, Judyta! - zauważyła ją, więc odłożyła robótkę i zdjęła okulary. - Wszystko dobrze poszło? Nie było kłopotów z Jess?

- Absolutnie żadnych.

- Tym lepiej. Ona była taka zabawna, czasem zachowywała się jak mała dziewczynka, a czasem jak dorosła osoba. Myślę, że świetnie da sobie radę w szkole, ale bez niej będzie tu trochę pusto. Potem jeszcze gdzieś jeździłaś?

- Tak, złożyłam wizytę Loveday. - Judyta przerwała, aby zaciągnąć zasłony, po czym dokończyła: - Phyllis mówiła, że masz mi coś do powiedzenia.

- Owszem, i to coś rewelacyjnego. Którą to mamy godzinę?

- Za piętnaście szósta.

- Pora na drinka. Co powiesz na whisky z wodą sodową?

- Chętnie, bo jestem wypompowana.

- Za dużo emocji jak na jeden dzień, kochanie. Usiądź sobie wygodnie, to ci przyniosę.

Wyszła do jadalni, gdzie zgodnie z tradycją przechowywano napoje i szklanki. Judyta tymczasem dołożyła

następne polano do ognia i usadowiła się w drugim fotelu Bidy słusznie stwierdziła, że w dniu dzisiejszym miała zbyt wiele wrażeń. Nie wiedziała tylko, że Judytę naj bardziej „wypompowano” nie rozstanie z Jess, lecz przykre spotkanie z Loveday. Ale o tym nie mogła się dowiedzieć.

Po chwili Bidy wróciła z dwiema napelnionymi szklą nezkami. Jedną podała Judycie, a drugą ostrożnie po stawiła na podręcznym stoliku.

Usiadła, zapaliła papierosa i mając już wszystko przygotowane, zagaiła:

- No więc...

- Gadaj, szybko!

- Mam już ten dom w Portscatho. Zawiadomił mnie dziś o tym pośrednik sprzedaży nieruchomości.

- Ależ to cudowne!

- Mało tego, mogę się tam wprowadzić od połowy stycznia.

- Tak prędko?

- Czekał, przedtem mam jeszcze masę rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim muszę wrócić do Devon, aby ostatecznie sprzedać Upper Bickley.

- Komu masz zamiar go sprzedać?

- Rodzinie, która wynajmuje ten dom od początku wojny. Już od dwóch lat chcą go kupić, ale rzecz w tym, że wtedy musiałabym oddać na przechowanie wszystkie moje meble. Dopóki zaś dom jest tylko wynajęty

- lokatorzy troszczą się o nie.

- I nadal chcą kupić ten dom?

- Wprost nie mogą się doczekać, kiedy zgodzę się go sprzedać. Muszę więc tylko pojechać do Bover Tracey, spisać wszystkie rzeczy i wynająć firmę organizującą przeprowadzki. Zadzwońię dziś do Hester Lang i spytam, czy będę mogła u niej się zatrzymać. Na miejscu będzie mi łatwiej zająć się wszystkim. No to... - uniosła swoją szklanke - zdrówko, kochanie!

- Za Portscatho!

Po oblaniu transakcji Judyta zadała konkretne pytanie.

- To kiedy się ostatecznie wyprowadzasz?
  - Może w przyszłym tygodniu. Na początek zatrzymam się u Hester.
  - Ale na święta wrócisz?! - zawołała Judyta z przerażeniem.
  - Tylko jeśli tego chcesz.
  - Ależ musisz spędzić u nas święta! Obiecałam Jess, że w tym roku będziemy miały prawdziwą gwiazdkę, a ja nigdy czegoś takiego nie urządzałam, więc potrzebuję twojej pomocy. Wiesz, choinka, kolacja, takie rzeczy... Musisz wrócić na święta!
  - Dobrze więc, przyjadę i zostanę jeszcze do połowy stycznia. Dopiero wtedy zorganizuję wielką przeprowadzkę. Chciałabym, żeby wszystko było gotowe na przybycie Boba.
  - To ci się udało! Ale będzie nam ciebie brakować.
  - Mnie was też. W dodatku bez Phyllis będę musiała na stare lata uczyć się od podstaw prowadzenia domu. Aha, jeszcze jedno. Do Hester pojedę pociągiem, a tobie zostawię samochód, bo potrzebujesz go w tej chwili bardziej niż ja. A gdyby coś, to Hester zawsze pożyczy mi swój wóz.
  - Ależ, Biddy, ja nie mogę tego przyjąć!
  - Możesz, możesz. Mam tu jeszcze trochę kartek na benzynę, które kiedyś odłożyłam na lepsze czasy. Są nieaktualne, ale właściciel tutejszej stacji benzynowej po cichu zgadza się je realizować, więc nie będziesz miała kłopotów z paliwem.
- Biddy znów zabrała się do swojej roboty na drutach.
- Wszystko to jest strasznie podniecające, prawda? Trudno mi uwierzyć, że mam już ten dom, i to dokładnie taki, o jakim zawsze marzyłam. A najważniejsze, że całkiem blisko ciebie, najwyżej godzina jazdy. Jest stamtąd piękny widok na morze i ścieżka, którą można zejść na

skały nad samą wodą. Ogród jest nie za duży, nie za mały, w sam raz.

- Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć!

- A ja nie wytrzymam, dopóki ci go nie pokażę. Tylko najpierw muszę wszystko gruntownie uporządkować.

- Całkiem przypominasz Loveday. Ona też nie chciała pokazać mi swego domu, bo podobno był tam niepo rządek.

- Biedna Loveday, pewnie twoja wizyta ją zaskoczyła. I jak ona się miewa? Nat bardzo rozrabiał?

- Nawet nie. Natomiast ode mnie domagał się w prezencie samochodu, którym mógłby jeździć.

- Boże, cóż to za chciwe dziecko!

- Niby dlaczego nie mógłby mieć takiego samochodu? - Judyta przeciągnęła się i ziewnęła, bo ciepło kominka w połączeniu z wypitą whisky działały usypiająco. - Wykapałabym się, gdyby mi się chciało.

- Zrób to koniecznie, bo wyglądasz na zmęczoną.

- Dziś był taki dzień, w którym ciągle coś się działo. Najpierw Jess, teraz ty... Nie martwię się o Jess, ale tak krótko byliśmy razem. Ledwo spędziłyśmy wspólnie trochę miłych chwil, a już trzeba było się żegnać.

- Postąpiłaś słusznie w stosunku do niej.

- Wiem, ale tego wszystkiego było już za wiele. Judyta przypuszczała nawet, że wszystkie te zdarzenia muszą być zapisane w gwiazdach. Zwykle rzadko czytywała gazetowe horoskopy, ale ilekroć do nich zajrzała, odnajdywała niekorzystną konfigurację planet w swoim znaku, którym był Rak. Najwyraźniej niebiosa sprzysięgły się przeciwko niej! I rzeczywiście, odkąd otrzymała wiadomość o śmierci obojga rodziców - nieprzewidziane wydarzenia sypały się jak z rogu obfitości. To na jej drodze pojawił się Hugo Halley, to znów cudownie odnalazł się Gus, a Jess zdrowa i cała wydostała się z piekła na Jawie. Teraz znów Jess rozpoczynała nowy rozdział w swoim życiu, Bidy już zbierała się do drogi, a tylko patrzeć,

kiedy i Phyllis odfrunie, by wraz z Anią uwić własne gniazdko u boku podoficera marynarki, Cyryla Eddy'ego.

Najprzykrzejsze w tym wszystkim były jednak jej własne problemy. Coraz bardziej narastał w niej lęk o Gusa, połączony z upokarzającym poczuciem bezsilności. Nie dawały jej spokoju również informacje, których wolałaby nigdy nie usłyszeć - że Athena nie jest córką pułkownika i że Walter okazał się tak podły, wdając się w romans z Arabellą Lumb i unieszczęśliwiając Loveday.

Głośno dodała zaś tylko:

- No i to wszystko dzieje się zbyt szybko!
- Cóż, wojna się skończyła, trzeba trochę przyhamować tempo i starać się wracać do normalności. A życie nie może stać w miejscu, bo inaczej cofalibyśmy się w rozwoju.
- Masz rację.
- Widzę, że jesteś zmęczona, więc kąpiel dobrze ci zrobi. Weź sobie resztę mojego olejku kąpielowego na kwiatach stefanotisu. Phyllis szykuje na kolację jakąś specjalną, oszczędnościową zapiekankę jarzynową, więc może zrobimy sobie święto i otworzymy butelkę wina? Biddy tak zapaliła się do tego pomysłu, że Judyta, chcąc nie chcąc, musiała się roześmiać.
- Wiesz co? Czasami masz wspaniałe pomysły! Co ja bym zrobiła bez ciebie!
- Masę rzeczy - odpowiedziała Biddy, przekładając druty i rozpoczynając nowy rząd.

*Dower House, Rosemullion 14 listopada 1945*

*Drogi Gusie!*

*Nie wiem, czy dostałeś mój poprzedni list, który wysłałam jeszcze z Gibraltaru. Zaadresowałam go do Ardv-ray, więc może jeszcze nie zdążyłeś tam dojechać? Na wszelki wypadek ten list wysyłam pod adres Kwatery Głównej Pułku Strzelców Szkockich w Aberdeen.*

*Dotarliśmy do kraju 19 października. Jak miło znaleźć się znowu w domu! Miałam masę zajęć przy wyprawianiu Jess do szkoły. Wysłałam ją do Świętej Urszuli, tam gdzie i ja się uczyłam. Dyrektorka też jest wciąż ta sama i do brze ją wspominam jako osobę miłą i wyrozumiałą. Nie widziałam Jess od czasu, kiedy ją tam odwiozłam, ale z jej listów wynika, że czuje się w szkole dobrze.*

*Widziałam się już ze wszystkimi w Nancherrow, także i z Loveday. Ma już dużego synka, Nata, bardzo żywego i ruchliwego, którego uwielbia. Kupiłam mu używany samochód na pedały. Tak mu się ta zabawka spodobała, że chce zabierać ją ze sobą do łóżka!*

*Czy masz już jakieś plany na święta? Pewnie wszyscy Twoi znajomi w Szkocji chcieliby Cię gościć.*

*Proszę Cię, odpisz, daj mi znać, co porabiasz i czy wszystko jest w porządku.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami -*

*Judyta*

*Dower House, Rosemullion 5 grudnia 1945*

*Drogi Gusie!*

*Wciąż nie otrzymuję od Ciebie żadnego znaku życia. Gdybyś nie mieszkał tak daleko, spróbowałabym Cię odszukać. Proszę, przyślij choć parę stów, choćby pocztówkę z widokiem klombów na skwerze w Aberdeen.*

*Obiecałeś, że będziesz ze mną w kontakcie, ale jeśli wolisz, abym zostawiła Cię w spokoju - po prostu napisz mi o tym, a ja uszanuję Twoją wolę.*

*W Dower House zrobiło się teraz luźniej, bo Bidy Somerville wyjechała do Devon, aby załatwić formalności związane ze sprzedażą domu. Kupiła sobie nowy w Portscatho koło St. Mawes i zamierza się tam przeprowadzić w połowie stycznia. Zabrała ze sobą swoją sukę Morag,*



*którą Jess uwielbiała, więc trzeba będzie wystarać się dla niej o jakiegoś nowego psa.*

W tym miejscu Judyta urwała, bo nie mogła się zdecydować, co jeszcze może napisać i w jakie słowa to ubrać. Loveday upierała się, że nie chce więcej widzieć Gusa, ale w tej chwili chyba po raz pierwszy Loveday nie była dla Judyty najważniejsza. Jej problemów, chociaż także poważnych, nie dało się porównać do nieszczęść, które dotknęły Gusa. Ona w każdej chwili mogła znaleźć oparcie na łonie kochającej rodziny, a Gus po tym wszystkim, co wycierpiał w Birmie, nie miał już nikogo bliskiego. Im dłużej nie dawał żadnego znaku życia - tym bardziej narastał niepokój Judyty. Wprawdzie stare przysłowie głosiło, że brak wiadomości to dobra wiadomość, ale głos wewnętrzny podszeptował jej, że coś musi być nie w porządku. Powzięła więc ostateczną decyzję co do dalszego ciągu listu. *Biddy wraca do nas na święta, więc będzie nas w domu pięć bab, ale jeśli chcesz, mógłbyś spędzić gwiazdkę z nami. Nie wiem, czy będziesz wtedy sam, czy może masz już jakieś plany, bo nie odezwałeś się ani słowem. Gdybyś jednak zdecydował się przyjechać do nas - przyrzekam, że nie będę Cię namawiać do odwiedzenia Nancherrow, Loveday ani kogokolwiek innego. Będziesz mógł spędzić czas, jak Ci się żywnie podoba.*

*Jeśli się narzucam — zwyczajnie daj mi to do zrozumienia. Nie będę więc pisać do Ciebie, dopóki nie otrzymam jakiejś odpowiedzi-  
Z serdecznymi pozdrowieniami —*

*Judyta*

Im bliżej było Boże Narodzenie - tym bardziej psuła się pogoda. Kornwalia prezentowała się teraz najgorzej - pod ołowianoszarym niebem, smagana deszczem i ostrym wschodnim wiatrem. Spaczone okna w Dower House nie

trzymały ciepła, toteż sypialnie wyziębły, a choć ogień na kominku rozpalano tylko w salonie - opału ubywało w zastraszającym tempie. Trzeba było zwrócić się o pomoc do Nancherrow. Oczywiście pułkownik nie opuścił przyjaciół w ciężkiej sytuacji i sam przywiózł ciągnikiem-pełną przyczepę kłoców drzewnych. Toteż Judyta i Phyllis całą niedzielę poświęciły na układanie drewna w zgrabny sąg przy ścianie garażu, którego okap miał chronić przed deszczem.

W poniedziałek nadal padało, ale Phyllis nie chciała odstąpić od tradycyjnego w ten dzień prania. Tyle że nie mogła upranej bielizny wieszać na dworze, jedynie na suszarce nad piecem kuchennym.

Judyta tymczasem wypróbowała przepis na oszczędnościowy świąteczny pudding z marchwi, do którego dla smaku dodawało się łyżkę marmolady. Właśnie wbiła jajko do miski z pozostałymi składnikami i zaczęła je mieszać, gdy zadzwonił telefon. Miała nadzieję, że odbierze go Phyllis, która sprzątała akurat sypialnię na poddaszu, lecz widać nie usłyszała dzwonka. Judyta nasadziła więc na umączoną dłoń papierową torebkę i podbiegła sama odebrać telefon.

- Dower House, słucham.

- Judyta? Tu mówi Diana.

- Jak się masz, kochanie. Co za okropna pogoda!

- Rzeczywiście straszna, ale chyba dostaliście już drewno?

- Tak, twój uroczy małżonek je przywiózł, więc znowu jest nam ciepło.

- Słuchaj, wiesz, jaka nowina? Jeremy Wells przyjechał do domu! I to nie na taki zwykły urlop, ale już na stałe, bo został zdemobilizowany.

Niewiarygodne, prawda? Pewnie sam wystąpił o zwolnienie, bo w końcu odsłużył więcej niż inni, no i jego stary ojciec sam już nie daje sobie rady z praktyką... Judyto, słyszysz mnie?

- Tak, oczywiście.

- Nic nie mówisz, więc myślałam, że nas rozłączyli.
- Przez cały czas cię słucham.
- Powiedz, czy to nie cudowne?
- O tak! Naprawdę bardzo się cieszę. Kiedy się o tym dowiedziałaś?
- Jeremy przyjechał do domu w sobotę, ale do mnie zadzwonił dziś rano. W środę przyjedzie do Nancherrow i zostanie tam przez kilka dni. Dlatego chcielibyśmy w środę wieczorem wydać przyjęcie na jego cześć. Przy-szłaby Loveday z Walterem, no i ty. Edgar chce otworzyć ostatnią butelkę szampana, którą przechowywał przez całą wojnę. Miejmy nadzieję, że do tej pory nie wywietrzał, ale jeżeli nawet, to Edgar już znajdzie co innego. Przyjdiesz, prawda?
- Oczywiście, z przyjemnością.
- Mniej więcej za kwadrans ósma, dobrze? Tak się cieszę, że znów będziemy razem. Co słyhać u Jess?
- Same dobre wiadomości. Osiąga świetne wyniki w hokeju. Jest już w drugim składzie reprezentacji szkoły.
- Proszę, jaka sprytna dziewczuszka. A co u Bidy?
- Dzwoniła w sobotę, że już sprzedała stary dom, więc ma pieniądze na wykupienie nowego.
- Pozdrów ją ode mnie, kiedy znów zadzwoni.
- Dziękuję, przekażę.
- A więc do środy, kochanie!
- Już się nie mogę jej doczekać!

Odłożyła słuchawkę, ale nie wróciła od razu do kuchni. Umysł jej opanowała w tej chwili tylko jedna myśl - że Jeremy nie pływa już po Morzu Śródziemnym, ale wrócił do domu. Przyłapała się na tym, że wprawdzie jej to nie martwiło, ale i nie cieszyło. Wiedziała bowiem, że będzie musiała teraz rzucić mu w twarz swój zawód, ból, który jej sprawił, i urazę, jaką do niego czuła. To nic, że od tamtej pory minęło już trzy i pół roku. Liczyło się tylko to, że Jeremy nie dotrzymał obietnicy i nawet nie pró-

bował się w jakikolwiek sposób usprawiedliwić. Dojdzie więc między nimi do konfrontacji.

- Co tak sterczysz przy tym telefonie i gapisz się przed siebie? - przerwała jej rozważania Phyllis. Schodziła właśnie z piętra, ze zmiotką i szufelką na śmieci w ręce, ale -widząc Judytę, zatrzymała się w pół schodów.

- Słucham? - Judyta nie od razu wróciła do rzeczywistości.

- Ale masz minę! Nie chciałabym spotkać cię w ciemnej uliczce. - Phyllis zeszła po schodach. - Kto dzwonił?

- Pani Carey-Lewis.

- Czego chciała?

- Och, to nic takiego. - Judyta okrasiała swe słowa rozkosznym uśmiechem. - Tylko zaprosiła mnie w środę na kolację.

Ponieważ jednak Phyllis wyraźnie czekała na ciąg dalszy, Judyta dodała:

- Wiesz, Jeremy Wells wrócił.

- O rany, Jeremy? - Phyllis aż rozdziawiła usta z zachwytem. - Urlop dostał czy jak?

- Nie... To znaczy tak. Już na stałe. Został zdemobilizowany.

- Coś podobnego! W życiu bym nie przypuszczała, że to już! I przez to robisz takie miny? Ja bym na twoim miejscu skakała pod sufit!

- No wiesz, Phyllis!

- Niby dlaczego nie? To uroczy chłopak. Właściwie zawsze był twoim przyjacielem, odkąd poznaliście się w pociągu. A jaki dobry był dla ciebie, kiedy Edward zginął!

- Wiem o tym, Phyllis - podkreśliła Judyta z naciskiem.

- To na pewno wiesz i to, że on zawsze na ciebie leciał. Ślepy by to zauważył. A tobie już najwyższy czas rozejrzeć się za jakimś chłopem. Co to za życie w takim babińcu jak tu?

- A cóż ty wiesz o tym? - nie wytrzymała Judyta.
  - Jak to co ja o tym wiem?
  - Właśnie tak, jak mówię. Na razie muszę skończyć ten pudding. - Ruszyła prosto do kuchni, ale Phyllis nie dała się tak łatwo splawić.
  - Nie możemy przecież tego tak zostawić!
  - Phyllis, to naprawdę nie twoja sprawa.
  - A niby czyja? Masz tu kogoś lepszego pod ręką? Ktoś musi ci otworzyć oczy! - Schowała zmiotkę i szufelkę do kredensu, po czym ponowiła atak:
  - Pokłóciliście się czy co?
  - Wszyscy mnie o to pytają. Nie pokłóciliśmy się.
  - No więc co to było?
  - Może zaszło jakieś nieporozumienie. W każdym razie przez trzy i pół roku nie miałam od niego znaku życia.
  - Wtedy była wojna, a teraz się skończyła. - Judyta nie skomentowała tej wypowiedzi, więc Phyllis zmieniła front. - Co ty wyrabiasz z tym puddingiem? Daj no, już ja się nim zajmę.
- Judyta bez specjalnych oporów oddała jej drewnianą łyżkę.
- Jakieś to suche - pogadywała Phyllis. - Chyba wbiję w to jeszcze jedno jajko. A w czym chcesz iść na tę kolację? - dodała z innej beczki.
  - Jeszcze o tym nie myślałam.
  - No więc myśl. Musisz wykombinować jakąś ekstra kieckę. Wyglądasz teraz jak gwiazda filmowa, szczególnie kiedy się umalujesz. Włóż coś takiego, żeby ścięło go z nóg.
  - Nie wydaje mi się, abym tego właśnie chciała.
  - Dobrze więc, upieraj się jak osioł, jeśli tak wolisz. Powiem ci tylko, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Po co żywić stare urazy? - Wbiła do miski drugie jajko i zaczęła ucierać masę z takim impetem, jakby się na niej mściła. - Chcesz na złość mamie odmrozić sobie uszy?

To stwierdzenie raczej nie wymagało komentarza. Ju dyta jednak podskórnie czuła, że Phillis chyba ma racje Major Rupert Rycroft, były oficer dragonów Gwardii Królewskiej, przeszedł kulejąc od podcieni sklepu Har-rodza do krawężnika. Zatrzymał się tam i rozważał, co ma dalej zrobić. Był chłodny grudniowy dzień, zaciął ostry wiatr, ale przynajmniej nie padało. Dochodziło w pół do pierwszej, czyli pora lunchu. Większość przedpołudnia zajęło Rupertowi spotkanie w Westminsterze, a resztę -zakupy u Harrodsa. Nie miał natomiast pomysłu, co zrobić z pozostałą częścią dnia. Mógł złapać taksówkę, podje chać do dworca Paddington, a stamtąd pociągiem do Cheltenham, gdzie zostawił samochód na parkingu. Ewentualnie mógł też najpierw zjeść lunch w swoim klubie, a dopiero potem podjechać na stację Paddington. Ponieważ był głodny, wybrał drugi wariant. O taksówkę jednak nie było łatwo, chociaż na ulicach kłębiły się tłumy przechodniów - pracowników biur, którzy wyskoczyli właśnie na przerwę obiadową, klientów robiących przedświąteczne zakupy, młodych mężczyzn w mundurach i starszych panów z teczkami. Wszyscy oni wysypywali się z wagonów metra lub zatłoczonych autobusów. Gdyby Rupert był równie sprawny jak oni -też najchętniej wskoczyłby do autobusu linii 22, którym dojechałby do Piccadilly, gdyż absolutnie nie uważał jazdy autobusem za coś uwłaczającego. Problem leżał w tym, że wsiadanie, a tym bardziej wysiadanie z takiego pojazdu było wysiłkiem przekraczającym możliwości jego sztucznej nogi. Pozostawała więc tylko taksówka.

Na jego wysokiej postaci dobrze leżał gruby granatowy płaszcz, do którego nosił melonik i krawat w barwach pułku. Zamiast przepisowo zwiniętego parasola trzymał w ręku laskę, która służyła mu jako „trzecia noga”, a bez której z trudnością mógłby się poruszać, zwłaszcza po schodach i krawężnikach. W drugim ręku niósł ciemno-

zieloną reklamówkę Harrodsa, a w niej butelkę sherry „Tio Pepe”, pudełko cygar i jedwabną chustkę, którą kupił w prezencie dla żony. Na ogół Rupert nie lubił zakupów, bo w zwykłych sklepach czuł się zagubiony, ale u Harrodsa to było co innego. Kupowanie tam przypominało wydawanie pieniędzy w dobrze sobie znanym, a jednocześnie ekskluzywnym klubie, więc sprawiało mu przyjemność. Już prawie stracił nadzieję, że złapie taksówkę, gdy właśnie jakaś pojawiła się po przeciwnej stronie ulicy. Rupert zamachał na nią swoją torbą na zakupy, gdyż bał się podnieść laskę, by się nie przewrócić. Jednak kierowca zauważył go, objechał wysepkę i zawrócił.

- Dokąd szanowny pan sobie życzy?

- Do Klubu Oficerów Kawalerii.

- Służę uprzejmie.

Rupert już się schylił, by otworzyć drzwiczki, gdy nagle spośród tłumu pieszych wyłowił znajomą twarz i natychmiast zapomniał, że miał w ogóle wsiadać do taksówki. Mężczyzna, który właśnie szedł w jego stronę, był prawie równie wysoki jak on, ale niedbale ubrany, nie ogolony i wychudzony. Długie czarne włosy spadały mu na kołnierz wyświechtanej skórzanej kurtki, a obrazu dopełniały znoszone flanelowe spodnie i dawno nie czyszczone buty. Niósł torbę na zakupy, z której wyglądała bulwa selera i szyjka butelki. Jego głęboko osadzone oczy patrzyły prosto przed siebie, jakby pilnując kierunku marszu.

Jeszcze może pięć sekund i minąłby Ruperta nie zauważywszy go - toteż ten uznał, że nie ma czasu do stracenia. W ostatniej chwili zawołał:

- Gus!

Mizernie wyglądający mężczyzna stanął jak wryty. Odwrócił się i napotkał wzrok Ruperta stojącego przy taksówce.

Przez chwilę wahał się, w końcu zawrócił ku niemu.

- Gus, to ja, Rupert Rycroft.

- Tak, pamiętam, poznaję.

Z bliska Gus wyglądał jeszcze bardziej odstrasza­jąco z powodu dawno nie golonego czarnego zarostu. Ruperl wiedział o nim tylko tyle, że był w niewoli japońskiej miano go za poległego, lecz jednak przeżył.

- Ty też myślałeś, że nie żyję? - spytał Gus.

- Nie, wiedziałem, że jakoś z tego wyszedłeś. Ożeniłem się z Atheną Carey-Lewis, więc otrzymuję wszystkie wiadomości z Nancherrow. Cieszę się, że cię znów widzę. Co robisz w Londynie?

- Zatrzymałem się tu na pewien czas.

W tym miejscu wtrącił się zniecierpliwiony taksówkarz:

- Chce pan w końcu jechać czy nie?

- Pojedziemy, ale proszę chwileczkę poczekać - odrzekł chłodno Rupert i znów zwrócił się do Gusa: - Dokąd szedłeś?

- Na Fulham Road.

- Mieszkasz tam?

- Chwilowo wynajmuję mieszkanie.

- A może zjadłbyś lunch?

- Z tobą?

- A z kim innym?

- Dziękuję, ale przyniosłbym ci tylko wstyd. Jestem nie ogolony.

Rupert jednak zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz pozwoli mu odejść, to może go już nigdy nie spotkać. Nalegał więc:

- Mam dziś trochę czasu, nigdzie mi się nie spieszy. Możemy najpierw wstąpić do ciebie, żebyś się trochę ogarnął, a potem pójdziemy coś zjeść. Musimy pogadać, bo dawnośmy się widzieli.

- U mnie jest straszny nieład... - wahał się jeszcze Gus.

- Dobra, dobra. Żadnych wymówek! - uciął krótko Rupert i otworzył drzwiczki. - Wsiadaj, stary, szybko!

Gus nie miał więc wyjścia, tylko wsunął się na tyl-



ne siedzenie taksówki, stawiając torbę z zakupami na podłodze. Rupert nieco wolniej ulokował się przy nim, układając wygodnie nogę z protezą, po czym zatrzasnął drzwiczki.

- Nadal chce pan jechać do Klubu Oficerów Kawalerii? - upewniał się taksówkarz.

- Nie, zmieniłem zdanie. - Zwrócił się do Gusa. - Teraz ty wskazuj kierunek.

Gus podał kierowcy swój adres i wóz włączył się do ruchu.

- Podobno cię postrzelili - zagał rozmowę.

Nie było to właściwie pytanie, tylko stwierdzenie faktu, więc Rupert nie zaprzeczył.

- Tak, w Niemczech, w ostatnich miesiącach działań wojennych. Straciłem nogę. Ale skąd wiesz o tym?

- Od Judyty. Spotkałem ją w Kolombo, kiedy już wracałem do kraju.

- Aha, Judyta!

- Przeszedłeś już do cywila?

- Tak. Mieszkamy w Gloucestershire, w majątku mego ojca.

- A jak się miewa Athena?

- Jak zawsze.

- Wciąż taka piękna?

- Chyba tak.

- Zdaje się, że macie córeczkę?

- Tak, Klementynę. Ma już pięć lat, a na wiosnę Athena spodziewa się drugiego dziecka.

- Loveday pisała mi o tym wszystkim. A co porabiasz w tym Gloucestershire?

- Nadrabiam zaległości w dziedzinach, które dawno powinienem był znać, jak prowadzenie majątku ziemskiego, gospodarka leśna, łowiecka i tak dalej. W gruncie rzeczy wojsko w ogóle nie przygotowuje człowieka do normalnego życia. Myślałem już, żeby podjąć studia na

Akademii Rolniczej w Cirencester, ale w końcu zdecydowałem się na co innego.

- Na cóż takiego?

- Politykę.

- Rany boskie, cóż to za pomysł? - Gus sięgnął do kieszeni marynarki po papierosa i zapalniczkę. Kiedy zapalał papierosa, Rupert dostrzegł, że drżą mu ręce, a dłu gie, pałeczkowate palce ma poplamione nikotyną. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sam nie wiem... Choć właściwie to wiem. Kiedy wyszedłem ze szpitala, zacząłem odwiedzać rodziny tych moich towarzyszy broni, którzy zginęli, kiedy zostałem ranny. Porządnych ludzi, pancerniaków, z którymi przeszedłem cały szlak bojowy od Sahary Zachodniej po Sycylię. Wtedy zobaczyłem, w jakich warunkach wegetują te rodziny, w przemysłowych dzielnicach, ubóstwie, brudzie i ciasnocie. Prawdę mówiąc, dotychczas nie miałem pojęcia, że ludzie w ogóle mogą tak żyć! To mną wstrząsnęło do tego stopnia, że postanowiłem zrobić wszystko, aby to zmienić. Żeby ludzie w naszym kraju mogli żyć godnie. Może to idealizm z mojej strony, ale czuję, że powinienem tym się zająć.

- W porządku, jeśli naprawdę wierzysz, że coś zdasz.

- Dziś rano byłem w Izbie Gmin na spotkaniu z przewodniczącym Partii Konserwatywnej. Okazuje się, że będę musiał najpierw spróbować zwyciężyć w jakimś okręgu wyborczym. To może być trudne, gdyż laburzyści mają tu silny elektorat, ale zdobędę trochę doświadczenia. Z czasem, przy odrobinie szczęścia, może zostanę wybrany na posła!

- A co o tym myśli Athena?

- Popiera mnie w całej pełni.

- Już ją widzę w kapeluszu z kwiatami w czasie konwencji Partii Konserwatywnej.

- Na to trzeba nam jeszcze długo poczekać.

Gus zdusił papierosa, nachylił się w stronę kierowcy i zaczął mu wyjaśniać:

- To będzie po prawej stronie ulicy, zaraz za szpitalem...
- Dobrze, proszę szanownego pana.

Wychodziło więc na to, że zbliżali się już do celu. Rupert z zainteresowaniem wyglądał oknem, gdyż ta część Londynu była dla niego „ziemią dziewiczą”. Przywykł poruszać się po terenie, którego granice wyznaczały: Tamiza, Shaftesbury Avenue, Regents Park i sklep Harrodsa. W obrębie tego kwadratu znajdował się jego klub, hotele „Ritz” i „Berkeley” oraz kamienice zamożnych znajomych matki. Tu natomiast bardziej widoczne były zniszczenia dokonane przez naloty - leje po bombach i gołe ściany w miejscach, gdzie przedtem stały bliźniacze domki. Całe otoczenie stwarzało wrażenie biedy i zaniedbania. Właściciele małych zieleniaków, kiosków z prasą czy handeleków starzyzną wystawiali swój towar wprost na chodnikach, a okna smaźalni ryb zasnuwane były parą.

Taksówka zatrzymała się, więc Gus schylił się po swoją torbę i wysiadł. Za nim podążył Rupert, szukając w kieszeni drobnych, ale Gus wyprzedził go i zapłacił kierowcy.

- Reszty nie trzeba - oświadczył.
- Dziękuję panu bardzo.
- Chodźmy - zwrócił się do Ruperta.

Skierował się w stronę drzwi pokrytych łuszczącą się ciemnobrązową farbą, wciśniętych między smaźalnię ryb a sklep spożywczy. Gus otworzył te drzwi swoim kluczem i pierwszy wszedł do ciemnego, dusznego hallu, z którego prowadziły schody kończące się gdzieś w mroku. Podłoga w hallu i schody były wyłożone linoleum. Śmierdziało tam zgniłą kapustą, kocim moczem i zapuszczonym klozetem. Po zamknięciu drzwi zewnętrznych zapanowała wewnątrz prawie zupełna ciemność.

- Mówiłem, że to straszna rudera - uprzedził Gus i ruszył po schodach na górę.

Rupert przełożył laskę do tej ręki, w której trzymał siatkę, i chwiejnym krokiem podążył za nim, opierając się o poręcz.

Na zakręcie schodów ujawniło się źródło fetoru - brudna łazienka połączona z ubikacją. Schody wspinały się wyżej, gdzie było już jaśniej, i kończyły się następnymi drzwiami. Gus otworzył i te, odsłaniając za nimi coś w rodzaju salonu, z dwoma wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę.

Na wstępie Ruperta uderzyło przeraźliwe zimno panujące w tym pomieszczeniu. Znajdował się tam wprawdzie kominek, lecz dawno wygasł, a jego palenisko zmieniło się w śmietnik wypalonych zapalek i niedopałków papierosów. Obok ekranu chroniącego kominek stał wyłączony grzejnik elektryczny. Zresztą nawet gdyby był włączony, to i tak jego dwa cienkie żeberka nie zdołałyby w odczuwalny sposób ogrzać powietrza. Ściany pokrywała tapeta w krzykliwe niegdyś desenie, które Athena określiłaby jako wzięte z koszmarnego snu pszczoły. Zasłony, wyraźnie za krótkie i za wąskie, najwyraźniej były przeznaczone do zupełnie innego pomieszczenia, a na czarnym marmurowym gzymsie stał zakurzony bukiet suszonych traw. Kanapy i fotele obite były wytartym brązowym materiałem i przyrzucone kilkoma chudymi poduszkami, a na stole, przypuszczalnie przeznaczonym do jądania posiłków, piętrzyły się stare gazety i czasopisma, którym towarzyszyła brudna filiżanka ze spodkiem oraz teczka wypchana nieaktualnymi listami i rachunkami. Rupert od razu skonstatował, że nie było to przyjemne miejsce. Na tym zagraconym stole Gus postawił jeszcze torbę z zakupami i zwracając się do Ruperta dodał:

- Przepraszam, ale z góry cię uprzedzałem...
- W życiu nie widziałem tak ponurej nory! - wypalił bez ogródek Rupert.
- Sam mówiłeś, że nie miałeś dotąd pojęcia, w jakich warunkach ludzie żyją. To nawet nie jest prawdziwe mie-

szkanie, tylko pokoje do wynajęcia. Korzystam z tej łazienki przy schodach, a kuchnia i sypialnia są na tym samym piętrze, ale po przeciwnej stronie.

- Dobrze, ale co ty tu, u licha, robisz?

- Zatrzymałem się tu, bo nie chciałem iść do hotelu. Wolałem być zupełnie sam. Poprzedni użytkownik tego miejsca pozostawił je w takim stanie, a ja nie miałem kiedy posprzątać, bo zaraz po przyjeździe złapałem gripę i trzy dni przeleżałem w łóżku. Dlatego nawet się nie ogoliłem, ale dzisiaj musiałem już wyjść z domu, żeby kupić coś do jedzenia. To też nie było takie proste, bo nie mam kartek żywnościowych.

- Nie gniewaj się, ale mógłbyś to sobie lepiej zorganizować.

- Może i mógłbym. Napijesz się czegoś? Mam whisky, ale woda musiałaby być z kranu. Ewentualnie mogę zrobić ci herbaty, ale nic innego nie mam.

- Dziękuję, nie trzeba.

- No więc usiądź i poczekaj jakieś pięć minut, niech się przebiorę. -

Sięgnął do kartonu z dzisiejszymi zakupami i wyjął stamtąd „Daily Mail”.

- Masz, poczytaj sobie, póki nie wrócę.

Rupert wziął gazetę, ale bynajmniej nie miał zamiaru czytać, tylko odłożył ją na stół, kiedy Gus wyszedł z pokoju. Sam postawił swoją torbę od Harrodsa obok zakupów Gusa, przeszedł przez cały pokój i zbliżył się do okna, aby przez jego dawno nie mytą szybę obserwować ruch uliczny. W głowie miał teraz zupełny zamęt. Przypomniał sobie na tym, że przywołuje w pamięci tamto upalne lato roku 1939, kiedy pierwszy raz spotkał Gusa w Nancherrow. W oczach miał obraz przystojnego, choć nieco zamkniętego w sobie młodego człowieka, studenta Cambridge, rozjeżdżającego się luksusową lagondą, a więc na pewno dobrze sytuowanego. Potem dowiedział się, że Gus ukończył Rugby, a jego ojciec miał majątek ziemski w Deeside

okolicy zamieszkaney głównie przez szlachtę, starą arystokrację, a nawet potomków królewskich rodów. Gus musiał zatem pochodzić z tak zwanej dobrej rodziny. Cóż więc z nim się stało?

Rupert przypomniał sobie także inne cechy Gusa. Choć-' by to, z jaką łatwością przystosował się do stylu życia rodziny, którą dopiero co poznał - wtopił się w nią całkiem niepostrzeżenie. No i ten jego niezwykły talent do rysunku i malarstwa - Rupert w życiu nie widział portretu lepiej oddającego osobowość modela niż narysowana przez Gusa podobizna Edwarda, którą pułkownik z dumą przechowywał na biurku. A jak z miejsca zdobył serce siedemnastoletniej Loveday! Wszystkich wzruszała wtedy okazywana mu przez nią miłość, jak również czułość i troska, jaką on ją otaczał.

W okresie oblężenia i kapitulacji Singapuru Rupert brał udział w kampanii afrykańskiej, ale z listów od Atheny dowiadywał się, co się działo w domu. To właśnie Love-day pierwsza straciła nadzieję, że Gus kiedykolwiek wróci, i swoim sceptycyzmem zaraziła resztę rodziny. A skończyło się na tym, że wyszła za Waltera Mudge'a.

Rupert zakończył dalsze rozważania, gdyż zaczął dotkliwiej odczuwać panujący w tym dziwnym mieszkaniu chłód. Na dodatek rozboleł go kikut po amputowanej nodze, co oznaczało, że za dużo czasu spędził w pozycji stojącej. Akurat kiedy odwracał się od okna, Gus już był z powrotem. Wyglądał teraz trochę lepiej, bo się ogolił, przyczesał włosy, założył granatowy sweter i w miarę przyzwoitą marynarkę.

- Przepraszam, że musiałeś tyle czekać. Czemu nie usiadłeś? Naprawdę nie chcesz się niczego napić?

Rupert jednak przede wszystkim pragnął jak najszybciej stąd wyjść.

- Nie, lepiej chodźmy gdzieś do knajpy.

- Zaraz przy tej ulicy jest bar, tylko czy dasz radę zająć tak daleko?

- Bylebyś tylko nie kazał mi biegać.
- Nie, pójdziemy spacerkiem - zapewnił Gus.

Bar „Pod Koroną i Kotwicą” cudem ocalał z nalotu, gdyż sąsiadujące z nim budynki bomby obróciły w perzynę. Wewnątrz panował przytulny półmrok, wystrój wyróżniał się przewagą mahoni i mosiądzu, a na kominku tlił się koks, wydzielając zapach podobny jak w poczekalniach staroświeckich dworców kolejowych.

Rupert i Gus zamówili dwa piwa, bufetowa zaś zaoferowała im do tego kanapki z konserwową mielonką i ogórkiem, gdyż nie miała akurat nic innego. Przystali na to, a przy samym kominku znalazł się wolny stolik, więc go zajęli. Rupert zdjął płaszcz i kapelusz i nareszcie rozsiadł się wygodnie.

- Od jak dawna przebywasz w Londynie? - spytał Gusa.
- A wiesz, że chyba straciłem rachubę czasu? Jaki dzień dziś mamy?
- Wtorek.
- Zgadza się, bo przyjechałem w piątek i od razu poszedłem do łóżka z gripą. To znaczy, wydaje mi się, że to była gripa, bo nie wzywałem żadnego lekarza. Po prostu leżałem i prawie przez cały czas spałem.
- Ale teraz dobrze się czujesz?
- Jestem jeszcze trochę osłabiony. Wiesz, jak to zwykle wygląda.
- I jak długo masz zamiar tu zostać?
- Na razie nie mam żadnych planów.

Rupert zorientował się, że taka rozmowa do niczego nie doprowadzi. Zaczął więc z innej beczki.

- Słuchaj, Gus, czy mógłbym zadać ci kilka pytań? Chyba że masz coś przeciwko temu, to mogę nic nie mówić, ale sam rozumiesz, że chciałbym wiedzieć, jak mogłeś się w coś takiego wpakować.
- Przesadzasz, nie jest ze mną aż tak źle.
- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

- No więc od czego mam zacząć?
- Myślę, że od twego spotkania z Judytą w Kolombo.
- O tak! To spotkanie było czymś najlepszym, co mogło mi się przytrafić. Ona była dla mnie taka dobra i miła! Tyle że nie mieliśmy dla siebie zbyt dużo czasu, najwyżej dwie godziny, bo musiałem wracać na statek. Miałem tylko sprawę do załatwienia w hotelu „Galie”: chciałem się zobaczyć ze starym kelnerem, który dostał od Fergiego Camerona butelkę whisky na przechowanie. Fergie zginął, więc ja musiałem ją wziąć.
- Kiedy ostatecznie dotarłeś do kraju?
- Do Londynu gdzieś w połowie października. Stamtąd przewieziono nas do Aberdeen. A wiesz, że moi rodzice nie żyją?
- Pierwsze słyszę. Strasznie mi przykro.
- Jeszcze w szpitalu w Rangunie dowiedziałem się o ich śmierci. To prawda, że nie byli już młodzi, ale tak liczyłem, że znów ich zobaczę! Z więzienia w Changi udało mi się przemycić list do nich, ale nigdy go nie dostali, więc pewnie zamartwiali się, że nie żyję. Mama dostała wylewu, po którym leżała sparaliżowana przez trzy lata w prywatnej klinice, dopóki nie umarła. Ojciec przez ten czas siedział sam w Ardvray, otoczony służbą. Myślę, że nie chciał wracać do Aberdeen, żeby nie tracić twarzy, bo był bardzo dumny, a przy tym uparty.
- Jak to: wracać do Aberdeen? - zdziwił się Rupert. - Myślałem, że zawsze mieszkaliście w Ardvray.
- Wszyscy myśleli, że pochodzę ze starego rodu właścicieli ziemskich, a ja nikogo nie wyprowadzałem z błędu, bo mi było z tym wygodnie. Tymczasem moi rodzice nie byli ani szlachtą, ani ziemianami, tylko mieszcuchami z Aberdeen. Ojciec dorobił się własną pracą i zapragnął wyrwać się ze swojej sfery. Miał mnie jednego, więc chciał za wszelką cenę wykierować mnie na dżentelmena. Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy w Aberdeen w domku przy torach tramwajowych i dobrze nam z tym było. Ojciec



jednak pragnął dla mnie lepszego życia, więc nabył majątek w Deeside, z dworem w stylu wiktoriańskim, gdzie moja matka nigdy nie czuła się dobrze. Posłał mnie do" ekskluzywnej prywatnej szkoły, potem do Rugby i Cambridge, gdzie udawałem dobrze urodzonego młodzieńca. Broń Boże, nie wstydziłem się swoich rodziców, ale zdawałem sobie sprawę, że w środowisku, w którym się obracałem, nie byliby akceptowani. Do dziś niedobrze mi się robi na samą myśl o tym.

- I co się potem stało z twoim ojcem?

- Zmarł na zawał niedługo po śmierci matki. Kiedy wróciłem do Aberdeen, myślałem, że przynajmniej pieniędzy wystarczy mi na rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Tymczasem okazało się, że pieniądze rozeszły się na leczenie matki, utrzymanie majątku, płace służących, kucharza i ogrodnika... Ojciec, nawet gdy został sam, nie chciał się zgodzić na obniżenie poziomu życia. A jego kapitał stanowiły głównie akcje i udziały w plantacjach kauczuku i kopalniach cyny na Malajach.

Oczywiście po wojnie to wszystko przepadło.

Rupert uznał, że nie ma co dłużej owijać w bawełnę.

- To znaczy, że jesteś zrujnowany? - wyrąbał prosto z mostu.

- No, może nie aż tak źle. W każdym razie muszę poszukać jakiejś pracy, bo Ardvray wystawiłem na sprzedaż.

- A co z twoją wspaniałą lagondą?

- Zabawne, że to zapamiętałeś! Zostawiłem ją w jakimś garażu w Aberdeen. Nie miałem dotąd czasu zająć się jej odzyskaniem.

- To dosyć przykry powrót do domu.

- Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się czegoś takiego. No, ale dobrze, że w ogóle wróciłem do kraju!

W tym momencie bufetowa przyniosła im zamówione kanapki.

- Przepraszam, że nie mam nic lepszego. Włożyłam do nich musztardy, żeby choć trochę przypominały szynkę.

Rupert podziękował i zamówił jeszcze dwa piwa. Panienska zabrała puste kufle, a Gus zapalił następnego papierosa.

- A co z twoimi studiami w Cambridge? - spytał Rupert.

- Jak to co?

- Nie pamiętam, co to był za wydział.

- Inżynieryjny.

- Czy nie mógłbyś wrócić na uczelnię i ukończyć studia?

- Nie, nawet nie myślę o powrocie.

- A twoje malowanie?

- Od momentu wyzwolenia nie namalowałem ani jednego obrazka. Jakoś mi się odechciało.

- Szkoda, bo dobrze ci to szło. Jestem pewien, że mógłbyś z tego wyżyć.

- Miło mi to słyszeć.

- Ten portrecik Edwarda, który narysowałeś, był wspaniały.

- Ale to już dawno temu.

- Taki talent jak twój nie przemija.

- Wcale nie byłbym tego pewien. W szpitalu namawiali mnie, abym wrócił do rysowania. Przynosili mi nawet papier, ołówki, farby...

- Masz na myśli szpital w Rangunie?

- Nie, szpital psychiatryczny w Dumfries. Spędziłem tam ostatnie siedem tygodni, bo nie mogłem dojść do siebie. Cierpiałem na bezsenność, lęki nocne, ataki drgawek i histerycznego płaczu... Lekarze uważali, że przeszedłem załamanie nerwowe.

Rupert był kompletnie zaszokowany.

- Chłopie, czemuś od razu mi tego nie powiedział?

- Nie bardzo było czym się chwalić.

- A czy przynajmniej ta kuracja coś ci pomogła?

- Chyba tak. Lekarze i personel byli wspaniali. Wyrozumiali i cierpliwi.

Kiedy jednak próbowali skłonić mnie, abym znów zabrał się do malowania - coś się we mnie zablokowało. Stanowczo odmówiłem, więc w ramach te-

rapii zajęciowej kazali mi wypłacać koszyki. Szpital leżał w pięknej okolicy i miła młoda asystentka chodziła ze mną na spacer. Ale to niebo, woda i trawa wydały mi się jakieś nieprawdziwe. Jakbym przez grubą szklaną szybę zaglądał do innego świata.

- I dalej jeszcze tak się czujesz?

- Tak, i właśnie dlatego przyjechałem do Londynu. Pomyślałem, że jeśli dam sobie radę sam jeden w takiej masie anonimowych jednostek, to tym bardziej będę w stanie wrócić do Szkocji. Jeden chłopak, z którym leżałem w szpitalu, dał mi klucz do tego mieszkania. Wydawało mi się, że to dobry pomysł, ale okazało się, że nie taki dobry, kiedy od razu po przyjeździe poszedłem do łóżka z gripą. Ale już czuję się dobrze - dodał szybko.

- I chciałbyś wrócić do Szkocji?

- Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji.

- Mógłbyś też pojechać do Kornwalii.

- O, co to, to nie.

- Ze względu na Loveday?

Gus nie odpowiedział na to pytanie. Barmanka przyniosła im właśnie następne dwa piwa. Rupert zapłacił rachunek, zostawiając na tacy suty napiwek.

- Dziękuję panu bardzo! - ucieszyła się dziewczyna. - Ale dlaczego panowie jeszcze nie zjedli kanapek? Całkiem się zeschną.

- Zaraz je zjemy. Dziękujemy bardzo.

Ogień na kominku przygasał, więc bufetowa dosypała nową szufelkę koks. Najpierw wytworzyło się dużo czarnego dymu, potem bryłki zajęły się żywym płomieniem. Dopiero teraz Gus odpowiedział na pytanie Ruperta.

- Najgorsze stało się właśnie przez Loveday.

- Słucham? - Rupert nie zrozumiał.

- Judyta powiedziała mi, że Loveday wyszła za mąż. Tymczasem podczas układania tych parszywych torów kolejowych w Birmie tylko myśli o Loveday i Nancherrow trzymały mnie przy życiu. Raz dostałem tak ciężkiej dy-

zenterii, że już byłem jedną nogą na tamtym świecie. To byłoby najprostsze - wyciągnąć kopyta i koniec - ale kurczowo trzymałem się życia, bo wmawiałem sobie, że Loveday na mnie czeka. Tymczasem ona wcale nie czekała, bo myślała, że już nie żyję.

- Wiem o tym. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Przechowuję w pamięci jej obraz, tak samo jak obraz szkockich strumieni o wodzie brązowej od torfu, szemrzących po kamyczkach. Obraz fal uderzających o brzeg na pustej plaży, chłodnej bieżącej wody, która oczyszcza i uzdrawia. Morza w okresie przyływu i zatoki w Nan-cherrow. A jeśli Nancherrow, to i Loveday.

- Myślę, że jednak powinieneś wrócić do Kornwalii -podsumował Rupert po pewnym namyśle.

- Judyta też mi to proponowała. Napisała do mnie trzy listy, ale nie odpowiedziałem na żaden. Raz czy drugi próbowałem, ale nic z tego nie wyszło, bo nie miałem pojęcia, co mógłbym jej napisać. Mam jednak wyrzuty sumienia, bo nie dotrzymałem obietnicy, że będę z nią w kontakcie. Pewnie do tej pory pomyślała, że nie warto zaprzącać sobie głowy kimś takim jak ja. - Cień uśmiechu przemknął przez jego ponure rysy. - I nie mam jej tego za złe.

- Wydaje mi się, że nie powinieneś zostawać w Londynie - nalegał Rupert.

Gus wziął do ręki swoją kanapkę i nadgryzł ją jakby na prośbę kelnerki.

- To wcale nie jest takie złe - stwierdził ogólnikowo, toteż nie wiadomo było, czy chodzi mu o kanapkę, czy o Londyn.

- Posłuchaj... - Rupert nie dawał za wygraną. - Jeśli nie chcesz jechać do Kornwalii, co jest najzupełniej zrozumiałe, to jedź ze mną do Gloucestershire. Nawet zaraz możemy wziąć taksówkę na dworzec Paddington, a stamtąd pojechać pociągiem do Cheltenham, gdzie zostawiłem samochód. Zawiozłbym cię do mojego domu, gdzie Athena

powitałaby cię z otwartymi ramionami. Mógłbyś zostać u mnie, jak długo byś chciał, tylko, na miłość boską, nie wracaj już do tej ohydnej nory!

- Muszę skończyć to, co zacząłem - zaproponował Gus. - Nie mogę wiecznie uciekać.

- Zrób to dla mnie i jedź ze mną.

- To ładnie z twojej strony, ale naprawdę nie mogę. Zrozum, że muszę przede wszystkim dojść do ładu z samym sobą. Dopiero kiedy z tym się uporam, będę mógł spróbować odbić się od dna.

- Ależ nie mogę cię tak zostawić!

- Możesz śmiało. Czuję się już lepiej, najgorsze mam za sobą.

- Mam nadzieję, że nie zrobisz żadnego głupstwa?

- Myślisz, że chciałbym skończyć ze sobą? Nie bój się, nie mam takich zamiarów. I nie myśl, że nie jestem ci wdzięczny...

Tymczasem Rupert sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po swój portfel. Gus przyglądał się temu z miną lekko rozbawioną.

- ...ale mam dosyć gotówki i nie potrzebuję wsparcia -dokończył.

- Za kogo ty mnie masz? Chcę dać ci tylko swoją wizytówkę z adresem i numerem telefonu. - Podał ją Gusowi. - Przyrzeknij, że dasz mi znać, jeśli coś ci się nie powiedzie lub będziesz czegoś potrzebował.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony.

- I nadal podtrzymuję swoje zaproszenie.

- Ale ze mną naprawdę wszystko w porządku, Rupercie! Właściwie powiedzieli już sobie wszystko, co mieli do

powiedzenia. Zjedli kanapki, dopili piwo, po czym Rupert nałożył płaszcz i melonik, zabrał swoją laskę i torbę od Harrodsa. Wyszli z baru w ponurą, chłodną pogodę i przeszli kawałek spacerkiem, dopóki nie nawinęła się jakaś taksówka. Gus zatrzymał ją, a zanim dojechała do krawężnika, obaj młodzi ludzie mieli czas się pożegnać.

- Do widzenia.
- Cześć, Rupert.
- Trzymaj się ciepło!
- Pozdrowienia dla Atheny.
- Dziękuję, przekażę.

Rupert wszedł do taksówki, a Gus zatrzasnął za nim drzwiczki.

- Dokąd pan szanowny sobie życzy? - zapytał taksówkarz.
- Proszę na dworzec Paddington.

Kiedy wóz ruszył, Rupert odwrócił się jeszcze i wyjrzał przez tylne okno. Gus jednak oddalał się już w przeciwną stronę i po chwili zniknął z pola widzenia.

W domu Rupert jeszcze raz obgadał sprawę z Atheną i tuż przed dziewiątą wieczorem zamówił rozmowę z Dower House. Judyta i Phyllis siedziały wtedy z robótką przy kominku, słuchając operetki „Wiedeńska krew” nadawanej przez radio. Akurat skończyła się transmisja, więc czekały na cowieczorny dziennik radiowy, kiedy zza zamkniętych drzwi hallu rozległ się dzwonek telefonu.

- Niech to licho! - parsknęła ze złością Judyta. Wiadomości radiowe nie interesowały jej aż tak bardzo, ale nie miała zbytnej ochoty wychodzić do zimnego o tej porze hallu. Niechętnie odłożyła więc robótkę, narzuciła sweter na ramiona i wyszła z ciepłego salonu.

- Tu Dower House, słucham.

- Judyta? Mówi Rupert Rycroft. Dzwonię z domu, z Gloucestershire.

- Ach, to ty! Jak miło cię słyszeć! - Judyta przeczuwała, że zapowiada się dłuższa rozmowa, więc na wszelki wypadek przysunęła sobie krzesło i usiadła. - Co tam u was? Jak się miewa Athena?

- U nas wszystko w porządku, ale dzwonię w innej sprawie. Masz chwilę czasu?

- Oczywiście.

- Sprawa jest dosyć poważna, więc proszę, nie przerywaj mi, zanim nie skończę.

Wysłuchiwała spokojnie, co miał jej do powiedzenia. O tym, jak spotkał w Londynie Gusa Callendera i w jak strasznych warunkach on mieszka. O tym, czego się od niego dowiedział, kiedy poszli razem do baru - o śmierci jego rodziców, przypadku rodzinnego majątku i kuracji w szpitalu psychiatrycznym...

- W szpitalu psychiatrycznym?! - wykrzyknęła z przerażeniem Judyta. - Dlaczego nie dał nam o tym znać? Napisałam do niego trzy listy, ale na żaden nie odpowiedział.

- Owszem, wspominał o tych listach, ale sądzę, że nie był w stanie napisać czegokolwiek.

- Czy już dobrze się czuje?

- Nie jestem pewien, bo wygląda fatalnie i odpalał jednego papierosa od drugiego.

- To dlaczego siedzi w tym Londynie?

- Myślę, że po prostu chciał przez jakiś czas być sam.

- Nie stać go było na hotel?

- Myślę, że nie jest z nim aż tak źle, ale chodziło mu o to, żeby spróbować samemu radzić sobie ze wszystkim. Znajomy udostępnił mu to mieszkanie, ale trzeba trafu, że Gus złapał gripę zaraz po przyjeździe. Może dlatego tak mizernie wyglądał, a w mieszkaniu miał nieporządek.

- Wspominał coś o Loveday?

- Tak.

- I co takiego powiedział?

- Nie mówił zbyt dużo. - Rupert zawahał się przez chwilę. - Myślę jednak, że jej nielojalność była główną przyczyną kryzysu nerwowego, który przeszedł.

- Boże, nie mogę tego słuchać! Rupercie, co możemy zrobić dla niego?

- Właśnie w tej sprawie dzwonię. Proponowałem mu, żeby pojechał ze mną do Gloucestershire i trochę się u nas zatrzymał. Jednak odmówił, uprzejmie, ale stanowczo.

- Dlaczego więc zwracasz się akurat do mnie?
- Ponieważ jesteś' z nim w bliższych stosunkach niż ja. W końcu to ty spotkałaś się z nim w Kolombo. No i nie jesteś członkiem rodziny Carey-Lewisów, a pewnie Athena i ja za bardzo kojarzymy mu się z Nancherrow. Dlatego umyśliliśmy sobie z Atheną, że ty najlepiej nadasz się do tego.
- A co mam zrobić?
- Pojechać do Londynu. Dam ci jego adres, a ty spróbujesz przekonać go, żeby ruszył się stamtąd. Z tobą może pojechałby nawet do Kornwalii.
- Ale ja już tyle razy zapraszałam go w listach, a w ostatnim czasie nawet na święta. Obawiam się, że on nie chce, abym się w to angażowała.
- Myślę jednak, że powinnaś zaryzykować. Zrobiłabyś to?
- Dobrze.
- Nie chciałbym cię poganiać... - Rupert lekko się zawahał. - Sądzę jednak, że nie mamy czasu do stracenia.
- Martwisz się o niego, prawda?
- Owszem, istotnie się martwię.
- Mogę więc jechać nawet jutro. Biddy nie ma w domu, ale jest Phyllis z Anią. Może nawet pojedę samochodem, bo to szybciej niż pociągiem i będę miała większą swobodę ruchu.
- A skąd weźmiesz tyle paliwa?
- Biddy zostawiła mi masę przedatowanych kartek na benzynę, które mogę zrealizować w naszej stacji.
- O tej porze roku to może być długa jazda.
- Nie szkodzi, jeździłam już na takich trasach. Teraz nie powinno być dużego ruchu. Gdybym wyjechała z domu jutro, przenocowałabym w mieszkaniu Diany, a następnego dnia z samego rana odszukałabym Gusa.
- Kiedy go zobaczysz, może pomyślisz, że przesadzam, ale wydaje mi się, że nie. Mało tego, sądę, że Gus właśnie teraz najbardziej potrzebuje starych przyjaciół, a jeśli



nie może to być nikt z Nancherrow, to w grę wchodzisz tylko ty.

- No więc daj mi jego adres. - Judyta szybko znalazła ołówek i zanotowała podany przez Ruperta adres na odwrotnej stronie okładki książki telefonicznej.

- To jest gdzieś w połowie długości Fulham Road, za szpitalem Brompton, po prawej stronie ulicy...

- Nie bój się, już ja go znajdę.

- Jesteś naprawdę święta kobieta. Zrzuciłaś mi kamień z serca.

- Tak, ale uprzedzam, że mogę niczego nie wskórać.

- Ale przynajmniej spróbujesz.

- Owszem, spróbuję. Dziękuję ci, że zadzwoniłeś, bo już denerwowałam się o niego. Kiedy żegnaliśmy się w Kolombo, wydawał się strasznie wrażliwy i samotny.

- Myślę, że taki właśnie jest. Daj nam znać, jak ci poszło.

- Oczywiście, masz moje słowo.

Porozmawiali jeszcze trochę o bardziej przyziemnych sprawach, a kiedy w końcu Judyta odłożyła słuchawkę -poczuła, że cała się trzęsie. Jej niepokój o Gusa okazał się jednak uzasadniony. Po chwili wstała i wróciła do salonu, gdzie zaraz dołożyła nowe polano do ognia i przycupnęła przy kominku, by się ogrzać.

Wiadomości radiowe właśnie się skończyły i Phyllis wyłączyła odbiornik.

- Coś długo gadałaś - zauważyła.

- Tak, bo dzwonił Rupert Rycroft z ważnymi wiadomościami na temat Gusa Callendera.

Phyllis wiedziała o Gusie, bo od czasu swojego powrotu Judyta zdążyła jej opowiedzieć o spotkaniu z nim w Kolombo i o tym, że to właśnie ona poinformowała go o małżeństwie Loveday.

- I co tam słyhać u niego? - dopytywała się Phyllis. Judyta powtórzyła jej to, czego się dowiedziała, a Phyl-

lis odłożyła robótkę i w miarę jak słuchała - coraz bardziej smutniała na twarzy.

- Biedaczysko, chyba z nim kiepsko. Czy Rupert nie mógł mu jakoś pomóc?

- Zaprosił go do siebie, ale Gus odmówił.

- No więc co ty tu jeszcze możesz zrobić? - Phyllis wyglądała na przerażoną.

- Pojechać do Londynu i spróbować przekonać Gusa, żeby skorzystał z naszej gościny.

- Ale on chyba nie jest niebezpieczny?

- Skądże znowu, tylko bardzo nieszczęśliwy.

- Wiesz, z wariatami nigdy nic nie wiadomo. Naczytałam się w gazetach takich rzeczy...

- Ależ, Phyllis, Gus nie jest żadnym wariatem!

- No więc jedziesz?

- Tak, bo wydaje mi się, że muszę.

- Kiedy?

- Już jutro, żeby nie tracić czasu. Pojadę samochodem, a we czwartek będę z powrotem.

Phyllis przemyślała sprawę i nagle coś sobie przypomniała:

- Nie możesz jechać jutro, bo to środa, a w środę ma być przyjęcie w Nancherrow na powitanie Jeremy'ego Wellsa. Nie możesz przecież przepuścić takiej okazji!

- Coś takiego, zupełnie o tym zapomniałam.

- Jak mogłaś zapomnieć? - oburzyła się Phyllis. - Powinnaś bardziej troszczyć się o własną przyszłość niż o czyichś tam przyjaciół. Do Londynu możesz pojechać we czwartek. Nic się nie stanie, jeśli odłożysz to o jeden dzień.

- Nie mogę, Phyllis, naprawdę nie mogę.

- Wiesz, co ci powiem? To będzie bardzo niegrzeczne z twojej strony! Co też pani Carey-Lewis o tobie pomyśli? A co powie Jeremy, kiedy się dowie, że zamiast przywitać go po tylu latach, pędzisz do Londynu za jakimś obcym facetem?

- Gus nie jest „jakimś obcym facetem”!
- Dla mnie jest. To, że był przyjacielem Edwarda, to jeszcze nie powód, żeby rujnować ci życie.
- Phyllis, gdybym go tak zostawiła, do końca swych dni nie mogłabym sama sobie spojrzeć w oczy. Masz pojęcie, przez jakie piekło on przeszedł? Trzy i pół roku niehumanitarnej pracy przy układaniu linii kolejowej w dżungli, nękany głodem i chorobami, bity i torturowany przez sadystycznych oprawców! Nic dziwnego, że załamał się nerwowo, kiedy widział swoich towarzyszy umierających lub mordowanych na jego oczach. Czy w takiej sytuacji wypada mi myśleć o sobie lub Jeremym? Po jej wybuchu Phyllis utraciła chęć do dyskusji. Ucichła, wpatrzona w płomień kominka. W końcu przemówiła, lecz już innym tonem.
- To musiało być coś takiego jak z Niemcami i Żydami. Nie mogę pojąć, jak ludzie mogą być tacy podli dla innych. Jess dużo mi o tym opowiadała, kiedy byłyśmy same, na przykład gdy gotowałyśmy coś razem albo przychodziłam do niej przed zaśnięciem. Może jej i tej pani z Australii nie było najgorzej, bo przynajmniej nie musiały budować torów kolejowych, ale w tym ostatnim obozie, Asulu, prawie morzyli ich głodem. Jess opowiedziała mi, jak kiedyś dziesięć kobiet, z doktorką na czele, poszło na skargę do komendanta. I wiesz, co on zrobił? Kazał je wychłostać, ogolić im głowy i zamknąć na pięć dni w bambusowej klatce! Aż mnie trzęsie, kiedy pomyślę, że ci dranie mogli wyrabiać takie rzeczy z kobietami i dziećmi!
- Wiem o tym - potwierdziła Judyta, choć jej osobiście Jess nie zwierzała się z tego rodzaju przeżyć. Dobrze jednak, że nie zapiekała ich w sobie, tylko obrała Phyllis na powiernicę.
- A więc to o to chodzi - westchnęła Phyllis. - Jeśli tak, to kiedy chcesz wyjechać?
- Jutro rano. Wezmę samochód pani Somerville.

- Liczysz na to, że przywieziesz tu tego biedaka?
- Nie wiem, czy mi się to uda.
- A jeżeli tak, to gdzie on ma spać?
- W pokoju pani Somerville.
- Sprzątnę tam i zmienię pościel, a ty tymczasem zadzwoń do pani Carey-Lewis i przeproś ją.
- Tak, zaraz do niej zadzwonię.
- Wyglądasz na zmordowaną. Może napiłabyś się gorącego kakao?
- Z przyjemnością.
- Zaraz ugotuję. Dobrze nam to zrobi, zanim pójdziemy spać. - Phyllis złożyła swoją robótkę i wbiła druty w kłębek włóczki.

Judyta musiała więc znów wyjść do zimnego hallu, aby wykreślić numer Nancherrow.

- Słucham? - Po drugiej stronie usłyszała głos Diany.
- Diano, to ja, Judyta.
- Jak się masz, kochanie!
- Przepraszam, że dzwonię tak późno.
- A o co chodzi?

Judyta musiała opowiedzieć jeszcze raz to samo od początku. Diana od czasu do czasu wydawała dźwięki świadczące o przerażeniu, ale nie przerywała opowieści Judyty ani nie zadawała żadnych pytań w trakcie.

- ...No więc jutro muszę jechać do Londynu - zakończyła Judyta. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym przenocowała w twoim mieszkaniu, prawda? I jeśli uda mi się skłonić Gusa do przyjazdu, to przywiozę go we czwartek.
- A co z moim przyjęciem powitalnym?
- Właśnie chciałam cię przeprosić, że nie będę mogła w nim uczestniczyć.
- Ależ, kochanie, ja tego nie przeżyję! Planujemy taką uroczystą ucztę!
- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Do licha, czy wszystko zawsze musi wypadać nie w porę?

Było to pytanie retoryczne, więc Judyta nie ustosunkowała się do niego, tylko zadała swoje:

- A co będzie z Loveday?

Zapanowała chwila ciszy, po której dało się słyszeć westchnienie Diany, zanim odpowiedziała:

- Aha, rozumiem.

- Pamiętaj, że Loveday nie chciała, żeby Gus przyjechał do Kornwalii. Mówiła, że nie chce go więcej widzieć.

- Ach, kochanie, to wszystko są takie trudne sprawy!

- W każdym razie myślę, że w razie gdyby Gus przyjechał do Dower House, nie powinnaś jej o tym wspominać. Po co ma wiedzieć?

- Ależ i tak się dowie, prędzej czy później.

- Tak, ale lepiej później niż prędzej. Z tego, co widział Rupert, wynika, że na razie Gus nie nadaje się jeszcze do takiej konfrontacji.

- Nie cierpię tajemnic.

- Ja też nie, ale sądzę, że przynajmniej przez pewien czas powinniśmy zachować dyskrecję. Potem zobaczymy, jak wszystko się ułoży. Na przyjęciu powiesz Loveday, że musiałam wyjechać w pilnej sprawie. Pana pułkownika i Jeremy'ego też poproś, żeby nic nie wspominali o Gusie. Jeżeli on tu ze mną przyjedzie i zatrzyma się na jakiś czas, to oczywiście wszystko się wyda. Na razie jednak lepiej utrzymać to w tajemnicy.

Diana nie odpowiedziała od razu. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko jej oddech, a gdy w końcu przemówiła - ograniczyła się do lakonicznego stwierdzenia:

- Tak, oczywiście. Masz rację.

- Przykro mi, że popsułam wam zabawę.

- Biednemu Jeremy'emu też będzie przykro.

Jeremy po przyjeździe do Nancherrow zatrzymał się w tym samym pokoju co zawsze. Sam wtaszczył na piętro

podniszczoną marynarską walizkę. Po tak długiej nieobecności nie rozpakował się od razu, tylko rzucił walizkę na stojak, otworzył okno i z radością chłonał widok, który przez tyle lat był dla niego tylko wspomnieniem.

Dochodziło już południe i zza chmur od czasu do czasu -wyzierało słońce. Jak zwykle na linie przeciągniętej w poprzek dziedzińca suszyło się pranie, a gołębie dreptały po kocich łbach podwórza lub obsiadały naokoło gołębnik, gruchając do siebie nawzajem. Jeremy napawał się tym widokiem, uświadamiając sobie, że wojna się skończyła i wrócił do Kornwalii już na zawsze. Właściwie nigdy dotąd nie oddalał się na dłużej od tego cudownego miejsca, które uważał za swój drugi dom. Dziękował więc Bogu, że pozwolił mu przeżyć wojnę i wrócić tutaj.

Ostatecznie jednak zamknął okno i zajął się rozpakowywaniem walizki. W trakcie tej czynności usłyszał szybkie kroki na korytarzu.

- Jeremy! - Diana jednym ruchem otworzyła drzwi i wpadła do pokoju.

Miała na sobie skromne spodnie z szarej flaneli i obszerny bladoniebieski sweter z moherowej wełny, co nie kłóciło się z jej kruchą kobiecością. - Kochany! Wiszę wciąż przy telefonie i nie mogłam przywitać cię jak należy!

Ucałowała go czule i od razu rozsiadła się na jego łóżku, jakby planując dłuższą pogawędkę.

- Jak ci się jechało? - zaczęła oklepanym frazesem, jakby Jeremy nie przyjechał z Truro, ale miał za sobą przynajmniej stumilową podróż. - Wspaniale, że znów jesteś z nami. I wyglądasz świetnie, zwłaszcza z tą śródziemnomorską opalenizną! Ale czy mi się zdaje, czy widzę siwy włos na twojej skroni?

Jeremy z pewnym zażenowaniem dotknął tego widomego znaku przybywających lat i przyznał:

- Chyba ci się dobrze zdaje.

- Nie przejmuj się tym, to tylko dodaje powagi. Zresztą popatrz na mnie, jak posiwiałam. Ale to nieważne, bo

mam ci tyle do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć.

Najważniejsze, że Judyta już jest w domu!

- Wiem, bo ojciec mi powiedział. Także o tym, że jej rodzice nie żyją, ale za to Jess się uratowała.

- Biedactwo, miała takie ciężkie przejścia, ale dzielnie wszystko zniosła! I taka rozsądna, choć nie lubię tego słowa, ale ona rzeczywiście ma więcej zdrowego rozsądku niż ktokolwiek inny. A przy tym jest taka ładna, szczególnie dobrą ma figurę... Ale nie chcę teraz mówić z tobą o Judycie ani o Jess, tylko o Gusie Callenderze. Pamiętasz go, był u nas w lecie przed samą wojną.

- Oczywiście, że pamiętam. Loveday w nim się zakochała, ale potem zginął w Singapurze.

- Wyobraź sobie, że wcale nie zginął, tylko dostał się do niewoli japońskiej i w strasznych warunkach pracował przy budowie linii kolejowej w Birmie. Judyta spotkała się z nim w Kolombo, kiedy już wracał do domu po wyzwoleniu z obozu. Powiedziała mu, że Loveday wyszła za innego, więc ciężko to przeżył. Mało tego, kiedy Judyta sama wróciła do domu, powiedziała też o tym Loveday, a ona - Edgarowi i mnie.

- Rany boskie, ale się porobiło! - To było jedyne, co Jeremy mógł powiedzieć.

- Strasznie to wszystko skomplikowane, prawda? W każdym razie Gus wrócił do Szkocji i na jakiś czas ślad po nim zaginął. Judyta pisała do niego, bo trochę się niepokoiła, a trochę czuła się odpowiedzialna - ale on milczał. Dopiero wczoraj Rupert, mąż Atheny, był w Londynie i przypadkiem spotkał go na ulicy. Podobno wyglądał jak półtora nieszczęścia, więc Rupert zabrał go na lunch i wyciągnął z niego, co się naprawdę z nim działo. Okazało się, że oboje rodzice Gusa zmarli podczas jego pobytu w niewoli, z majątku rodzinnego prawie nic nie zostało, a on sam tak się załamał nerwowo, że wymagał leczenia psychiatrycznego. Rupert tak się zaniepokoił, że chciał zabrać go do siebie, ale Gus odmówił.

- To gdzie on teraz mieszka?
  - W jakiejś zatęchłej norze, gdzieś w zakazanej dzielnicy.
  - I co z tego wynikło?
  - Wiem, że to długa historia, ale posłuchaj, bo to waż- -ne. Judyta dziś pojechała do Londynu, żeby spróbować, czy nie da się czegoś dla niego zrobić. Możliwe, że przywiezie go do Dower House.
  - A co na to powie Loveday?
  - Właśnie, Loveday oznajmiła wszem wobec i każdemu z osobna, że nie chce go widzieć. Przypuszczam, że się wstydzi, choć nie wydaje mi się, aby miała ku temu powody. Ale wiesz, jak to jest... - Na chwilę głos się jej załamał, więc spojrzała błagalnym wzrokiem w oczy Jeremy'ego, jakby szukając w nim oparcia. - Rozumiesz, o co chodzi, prawda?
  - Myślę, że tak - przyznał z westchnieniem.
  - Wyszło tak nieprzyjemnie, bo na dziś wieczór planowałam przyjęcie na twoją cześć. Nettlebed już oskubał bażanty, pani Nettlebed miała zamiar zrobić mus śliwkowy, a Edgar wybierał wino w piwnicy! Cóż, kiedy wczoraj Judyta zadzwoniła, że musi jechać do Londynu, a zaraz potem dzwoniła też Loveday, że Walter ma inne plany na ten wieczór. Zdecydowaliśmy się więc odłożyć to przyjęcie, a szkoda!
  - Nie przejmuj się tym - pocieszył ją Jeremy. - Ładnie, że w ogóle o tym pomyślałaś.
  - Nic, urządzimy to kiedy indziej. - Na chwilę umilkła, lecz potem spojrzała na swój złoty zegareczek i wstała. -Przepraszam, ale muszę już lecieć. Obiecałam Edgarowi, że zadzwonię do kupca zbożowego i spytam go, dlaczego nie dostarczył paszy dla kur. Biedactwa nie mają co jeść! Lunch będzie o pierwszej, dobrze?
  - Świetnie.
- Uszła już kilka kroków w stronę drzwi, gdy jeszcze zatrzymała się z ręką na klamce.



- Jeremy, na wypadek gdyby Gus przyjechał z Judytą, umówiliśmy się, że nie mówimy nic Loveday. Przynajmniej na początku, dopóki nie zobaczymy, jak się wszystko ułoży, dobrze?

- W porządku. - Jeremy od razu zrozumiał, w czym rzecz.

Diana potrząsnęła głową ze smutnym wyrazem twarzy.

- Nie lubię konspiracji, a ty? - rzuciła jeszcze, ale wyszła, nie czekając na odpowiedź.

Jeremy wciąż nie miał kiedy się rozpakować, a tymczasem nowa sytuacja wytworzyła mu zupełny zamęt w głowie. Wyglądało na to, że życie w czasie pokoju przysporzy mu masę nieznanymi problemami, zmusi do podjęcia wielu decyzji i załatwienia zaległych spraw.

Wystarczyło kilka niezbędnych formalności, aby wystąpić z Marynarki Wojennej i na stałe przejść do cywila z bardzo dobrą opinią dowódcy służby medycznej i drobną gratyfikacją od wdzięcznych rodaków. W domu jednak czekał na niego ojciec pogrążony w głębokim smutku.

Tymczasem bowiem do władzy doszła Partia Pracy i trwały już dyskusje na temat powołania Państwowej Służby Zdrowia. Zmieniłoby to gruntownie dotychczasowy model opieki lekarskiej i odesłało do lamusa instytucję lekarzy rodzinnych. Jeremy osobiście zgadzał się z tą ideą, ale zdawał sobie sprawę, że dla jego starego ojca byłaby to zbyt drastyczna zmiana.

Może więc nadszedł czas, aby zamiast ponownie podejmować praktykę w Truro, pomyśleć o czymś innym? Zmienić miejsce zamieszkania, wejść w spółkę z innym lekarzem i zacząć stosować nowe metody? Kolega z marynarki już proponował mu partnerstwo, ale Jeremy, choć aprobował ten pomysł, nie chciał podejmować żadnych zobowiązań, dopóki nie rozmówi się z Judytą.

Właśnie problem Judyty był najdokuczliwszy ze wszystkich. Z jednej strony nie mógł się doczekać, kiedy ją znów zobaczy, a z drugiej bał się tego spotkania, które

mogło położyć kres jego marzeniom. Przez całe lata, które upłynęły od czasu pamiętnej nocy w Londynie, myślał tylko o niej. Czy to na otwartym oceanie, czy na Malcie, w Liverpoolu czy Gibraltarze - wciąż zaczynał listy do niej, lecz nigdy ich nie kończył. Zawsze brakowało mu -słów, a w końcu tracił cierpliwość i na wpół zapisane kartki lądowały w koszu na śmieci.

Próbował sobie wmówić, że to nie ma sensu, że do tej pory Judyta już dawno o nim zapomniała lub znalazła sobie innego.

Wiedział na pewno, że nie wyszła dotąd za męża. Jednak informacje Diany dotyczące Gusa Callendera zasiały w nim ziarno niepokoju. Rozumiał dobrze opory, jakie mogła mieć Loveday, ale co miała do tego Judyta? To, że wykreśliła się od udziału w przyjęciu powitalnym i popędziła do Londynu jak po ogień - nie rokowało zbyt dobrze dla Jeremy'ego. Może to mieć coś wspólnego z tym, że Gus był przyjacielem Edwarda, a Edward -największą miłością w życiu Judyty. Mogło też się zdarzyć, że początkowe współczucie przerodziło się w miłość. Niestety, nie znał odpowiedzi na te pytania. Zbyt długo już nic nie wiedział.

Z tego wszystkiego nagle nabrał ochoty na drinka, najchętniej na gin. Rozpakowywanie walizki mogło poczekać, zamiast tego udał się do łazienki, umył ręce, przyczesał włosy i zszedł na dół w poszukiwaniu upragnionego napoju.

W londyńskim mieszkaniu Diany Judyta rozejrzała się dokładnie, aby sprawdzić, czy o czymś nie zapomniała. Chyba nie, bo zwlekła pościel z łóżka, umyła po sobie filiżankę i spodek, wyłączyła lodówkę i dokładnie zamknęła okna. Zabrała swoją torbę podręczną, zeszła na dół i zatrzęsnęła drzwiami frontowe.

Mimo że dochodziła już dziewiąta rano - na dworze wciąż panowała szarówka. W nocy chwycił mróz, a niebo

było zasnuwane ołowianymi chmurami. Także w innych domach w zaułku nadal się świeciło i żółte kwadraty okien odbijały się w oblodzonych brukowcach. O tej porze roku kwiaty nie kwitły w donicach ani skrzynkach zaokiennych, natomiast ktoś już zawczasu kupił choinkę i postawił przy drzwiach. Może jeszcze dziś zabierze drzewko do mieszkania, by je ubrać?

Judyta wrzuciła torbę do bagażnika samochodu Bidy i usiadła za kierownicą. Wóz po całonocnym parkowaniu na mrozie nie od razu zapalił, dopiero po kilku prychnięciach i stęknięciach. Judyta włączyła światła i wyjechała przez łukowaty pasaż na końcu zaułka.

Jaki dziwny wydawał się Londyn bez balonów zaporowych wiszących prawie nad samą głową i z zapalonymi latarniami! Niemniej jednak zniszczenia wskutek bombardowań i ślady ograniczeń wojennych widoczne były wszędzie. Sklepy przy Sloane Street nie miały już wprawdzie zabitych deskami okien wystawowych, ale też świąteczne dekoracje tych wystaw ani się umywały do przedwojennych.

O tej porze na ulicach panował już nasilony ruch. Matki w pośpiechu wyprawiały dzieci do szkół, a pracownicy stołecznych biur i urzędów tłoczyli się w tunelach metra lub grzecznie stali w kolejkach do autobusów. Wielu przechodniów robiło wrażenie obdartych i zmietoszonych, zwłaszcza kobiety w paltach i długich butach, zakutane po chłopsku w chustki.

Przy końcu Sloane Street Judyta skrzyła w lewo na Brompton Road, a stamtąd na Fulham. Podczas jazdy powtarzała sobie: „Pamiętaj, nie wszystko naraz”. Już od wyjazdu z Rosemullion sama sobie udzielała instrukcji: „Zatankuj bak do pełna i nabierz benzyny w kanistry (w stacjach benzynowych na trasie mogą nie zechcieć zrealizować przedatowanych kartek)”. „Pojedź do Londynu, zatrzymaj się w mieszkaniu Diany i przenocuj tam”. Teraz przyszła pora na instrukcję: „Odszukaj mieszkanie

Gusa, zadzwoń do drzwi i czekaj, aż ci otworzy". A jeżeli nie otworzy? Co ma wtedy robić? Wyważyć drzwi czy wezwać policję albo straż pożarną? A jeśli Gus otworzy, co mu mam powiedzieć? Szkoda, że na jej miejscu nie ma Diany - ona zawsze umiała dobrać odpowiednie słowa! Na przykład: „Cześć, Gus, to ja. Piękna dziś pogoda!"

Minęła szpital Brompton i zwolniła, śledząc bacznie numery domów. Trafiła już na właściwy odcinek chodnika między dwiema bocznymi uliczkami, z szeregiem małych sklepików warzywnych lub kiosków z prasą. Dostrzegła smażalnię ryb, którą Rupert wymienił jako punkt orientacyjny, więc podjechała do krawężnika, zaparkowała wóz, wysiadła i zamknęła drzwiczki. Znalazła wąskie drzwi wklinowane między smażalnią a sklepik spożywczy. Na ich framudze widniały dwa dzwonki opatrzone tabliczkami z nazwiskami „Nolan" i „Pelowski". Zastanawiała się przez chwilę, które z nich będzie właściwe, lecz żadne z tych nazwisk nic jej nie mówiło. Na chybił trafił nacisnęła przycisk z nazwiskiem „Pelowski".

Nie było żadnego odzewu, więc nacisnęła po raz drugi, z mocnym postanowieniem, że jeśli i tym razem nikt nie odpowie - spróbuje nacisnąć guzik przy tabliczce „Nolan". Chodnik był oblodzony, więc zmarzły jej nogi. - Może Gus jeszcze śpi albo dzwonek u niego nie działa? Może powinna raczej wstąpić do smażalni i rozgrzać się choćby filiżanką herbaty?

Podczas tych rozmyślań usłyszała kroki kogoś schodzącego po schodach. Zwróciła więc wzrok na drzwi. O dziwo, zatrzaszk szczęknął i w progu ukazał się Gus.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słów, bo Judyta odetchnęła z ulgą, że udało się jej go złapać, podczas gdy Gus był mocno zaskoczony tym, że nagle zobaczył ją w drzwiach swojego domu.

- Odkąd nazywasz się Pelowski? - wykrztusiła w końcu, aby coś powiedzieć.

- To ten facet, do którego należy mieszkanie.

Gus nie wyglądał aż tak źle, jak się spodziewała. Wprawdzie był blady i chudy, ale świeżo ogolony i ubrany w dosyć przyzwoity sweter i sztruksowe spodnie.

- Powinieneś zmienić tę tabliczkę.

- A co ty tu, u licha, robisz?

- Przyjechałam do ciebie. Mogę wejść? Na dworze jest strasznie zimno.

- Och, przepraszam... - Cofnął się, przepuszczając ją przed sobą. -

Oczywiście, wejdź, proszę!

Kiedy zamknął za nią drzwi, otoczyła ją prawie zupełna ciemność, w której unosił się nieprzyjemny zapach stęchlizny.

- To wejście wygląda niezbyt zachęcająco - usprawiedliwił się. - Chodź na górę.

Poszedł pierwszy, a Judyta za nim po nie oświetlonych schodach. Weszli do pokoju, którego drzwi były uchylone, na ścianach straszyły krzykliwe tapety, a na oknach - źle dobrane zasłony. W palenisko kominka wstawiono piecyk elektryczny, którego dwa żeberka wydzielały mdłe ciepło, za słabe, aby dało się odczuć w przeraźliwie zimnym pomieszczeniu. Dawno nie myte szyby pokrywał szron.

- Lepiej nie zdejmuj płaszcza - poradził Gus. - Przepraszam, że trochę tu brudno. Wczoraj próbowałem posprzątać, ale bez większego skutku.

Przykładem tego miał być zapewne stół, na którego jeden koniec Gus zsunął stare gazety i dokumenty, a na drugim skraju prawdopodobnie jadł śniadanie, gdyż stała tam filiżanka i talerzyk z resztką grzanki.

- Przeszkodziłam ci? - zmieszała się Judyta.

- Skąd, właśnie skończyłem. Rozgość się, proszę.

Z gzymsu nad kominkiem zdjął paczkę papierosów i zapalniczkę. Judyta tymczasem usiadła na poręczu masywnej kanapy. Gus zapalił papierosa i odwrócił się do niej, ale nadal stał.

- Rupert zadzwonił do mnie i powiedział mi o tobie -wyznała szczerze Judyta.
- Tak i mnie się wydawało.
- Nie miej mu tego za złe, bo on naprawdę niepokoi się o ciebie.
- Rupert jest równy gość, ale trafił na zły moment. Po grypie rzeczywiście byłem osłabiony, ale już czuję się dobrze.
- Powiedział mi też, że chorowałeś i leczyłeś się w szpitalu.
- Zgadza się.
- A moje listy dostałeś? Gus przytaknął.
- To dlaczego nie odpowiedziałeś na żaden z nich?
- Nie byłem w stanie nawiązać kontaktu z kimkolwiek, a co dopiero odpisywać na listy. Przepraszam cię, wiem,' że odpląciłem niewdzięcznością za twoje dobre serce.
- Zaczęłam naprawdę się martwić dopiero wtedy, kiedy nie otrzymałam od ciebie żadnego znaku życia.
- Nie powinnaś się mną przejmować. Masz chyba dosyć własnych zmartwień. Co porabia Jess?
- Ma się dobrze i świetnie sobie radzi w szkole.
- To prawdziwy cud, że ją odzyskałaś...
- Tak, ale nie przyjechałam tu po to, aby rozmawiać o Jess.
- A kiedy przybyłaś do Londynu?
- Wczoraj, samochodem. Nocowałam u Diany, a dziś podjechałam pod twój dom i zostawiłam wóz na ulicy. Rupert dał mi tak dokładny adres, że odnalazłam cię bez trudności.
- Robisz świąteczne zakupy?
- Nie, przyjechałam specjalnie do ciebie.
- To ładnie z twojej strony.
- I mam zamiar zabrać cię do Kornwalii.
- Przykro mi, ale nie mogę jechać z tobą! - odpalił bez wahania.

- A co masz do roboty w Londynie?
  - To tak samo dobre miejsce jak każde inne.
  - Dobrze do czego?
  - Żeby trochę pobyc z dala od ludzi i porozmyślać nad własnym życiem. Przyzwyczaić się do samodzielności i powoli stanąć na nogi, bo pobyt u czubków raczej temu nie sprzyjał. No i muszę rozejrzeć się za jakąś pracą. Mam tu znajomych, kolegów ze szkolnej ławy i z wojska, pomogą mi.
  - Widziałeś się już z którymś?
  - Jeszcze nie.
- Judyta nie wierzyła jego zapewnieniom, gdyż miała wrażenie, że zbywa ją, żeby przestała mu się naprzykrzać.
- Czy to takie pilne z tą pracą? - dopytywała się.
  - Nie mam wprawdzie noża na gardle, ale i nie ma powodu zwlekać. Rupert na pewno opowiedział ci szczegółowo, co się stało z majątkiem mego ojca. Nie będę już mógł żyć z tego kapitału.
  - Nie wydaje mi się, aby to stanowiło dla ciebie jakikolwiek problem.
  - Może nie, ale pobudza mnie do działania.
  - Chyba jednak nie musisz się z tym aż tak spieszyć. Spróbuj najpierw trochę dojść do siebie. Pamiętaj, że jesteś po chorobie, a do tego mamy środek zimy, paskudną pogodę i gwiazdkę za pasem. Nie możesz przecież sam spędzić świąt! Jedź ze mną już, teraz, tak jak stoisz! - Przybrała proszący ton głosu. - Spakuj manatki, zamknij na klucz tę ponurą norę i jedźmy razem do mnie.
  - Przykro mi, ale naprawdę nie mogę.
  - Chodzi ci o Loveday? - zapytała nieśmiało. Myślała, że Gus zaprzeczy, ale przytaknął, więc szybko dodała: -Nie będziesz musiał się z nią widzieć.
  - Głupstwa pleciesz. Ciekawe, jak moglibyśmy na dłuższą metę mijać się i nie wpaść na siebie.
  - Przecież nie musimy nikomu nic mówić.
  - Jak to sobie wyobrażasz? Może mam przyprawić so-

bie sztuczną brodę, nałożyć ciemne okulary i udawać uchodźcę z Europy Wschodniej?

- Mogłabym przedstawić cię jako pana Pelowskiego! -Chciała zażartować, ale Gusa wcale to nie rozśmieszyło.

- Nie chcę namieszać w jej życiu - uciał krótko. Judyta ugryzła się w język, aby nie palnąć: „Wcale nie musisz, bo Walter Mudge i Arabella Lumb już dosyć jej namieszali”. Zamiast tego powiedziała tylko:

- Loveday nie jest tu najważniejsza. Teraz musimy przede wszystkim zająć się tobą.

Ponieważ nie skomentował tej wypowiedzi, dodała:

- Jeśli nie chcesz jechać do Rosemullion, zawiozę cię do Ruperta i Atheny. Wiesz, że radzi będą cię gościć.

Na jego nieruchomej, ponurej twarzy nie odbiła się nawet najłżejsza reakcja. Judyta zaczęła tracić cierpliwość. Jego upór i zawziętość wyprowadzały ją z równowagi.

- Dlaczego jesteś taki uparty? - nalegała z rozpaczą w głosie. - Dlaczego nie pozwalasz sobie pomóc?

- Nie potrzebuję żadnej pomocy.

- Mówisz tak, bo myślisz tylko o sobie! Nie obchodzi cię, co my wszyscy czujemy! Nikt nie będzie w stanie ci pomóc, jeśli sam sobie nie pomożesz. Wiemy, że przeszedłeś przez piekło, że chorowałeś, ale musisz sam spróbować wydobyć się z dołka, zamiast siedzieć w tym okropnym mieszkaniu i rozmyślać o Loveday...

- Zamknij się wreszcie!

Przez krótką, lecz koszmarną chwilę Judyta myślała, że wybuchnie płaczem. Wstała z kanapy, podeszła do okna i tak długo przez nie wyglądała, dopóki nie ustało dokuczliwe pieczenie pod powiekami.

- Przepraszam! - Gus zreflektował się poniewczasie. Tym razem ona zbyła go milczeniem.

- Z przyjemnością pojechałbym z tobą... - próbował się tłumaczyć. - Ale boję się samego siebie. Nie jestem pewien, czy znów się nie załamie.



- Chyba nic nie może być gorsze od tej nory - mruknęła pod nosem.

Gus przez chwilę milczał, po czym zaczął z innej beczki:

- Wiesz co? Skończyły mi się papierosy. Wyskoczę tylko na chwilę do kiosku. Nie odchodź, zaraz przyjdę i napijemy się herbaty.

Judyta była tak zmarznięta, zmęczona i zrezygnowana, że nie ruszyła się z miejsca. Słyszała jego kroki na schodach, a potem trzaśnięcie otwieranych i zamykanych drzwi zewnętrznych. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić i co ma powiedzieć. W bezsilnej rozpaczycy rozejrzała się po ponurym pokoju i wzrok jej spoczął na wczorajszej gazecie, którą Gus próbował przykryć nieporządek na stole. Podniosła ją i znalazła pod spodem otwartą teczkę, z której wysypywały się stare papiery, listy i rachunki.

Znajdowała się tam także kartonowa okładka, bloczek i coś w rodzaju albumu oprawnego w płótno, ściągniętego gumką. Ten ostatni przedmiot zaintrygował Judytę tak dalece, że odrzuciła gazetę i przyciągnęła go do siebie. Zauważyła lepką od brudu okładkę i pozaginane rogi.

Przypomniała sobie, co Gus opowiedział jej w hotelu „Galie” w Kolombo - jak w singapurskim więzieniu sprzedał zegarek i uzyskanymi dolarami przekupił strażnika, aby przyniósł mu papier, ołówki i blok rysunkowy... „Rejestrowałem w nim wszystko, co się działo, aby pozostał po tym jakiś ślad” - tak wtedy powiedział.

Judyta zdawała sobie sprawę, że to nieładnie zaglądać do cudzych notatek, lecz równocześnie odniosła wrażenie, jakby jej palce wymknęły się spod kontroli. Prawie bezwiednie zsunęła gumkę i otworzyła szkicownik w przypadkowym miejscu. Wszystkie jego kartki wypełnione były ołówkowymi, bardzo dokładnymi rysunkami. Na jednym z nich widać było długi sznur wychudzonych półnagich mężczyzn idących gęsiego przez dżunglę, uginających się pod ciężarem drewnianych podkładów kolejowych. Inny rysunek przedstawiał zwisające bezwładnie ciało skazańca

przywiązanego do słupa, aby w bezlitosnym skwarze powoli umierał z odwodnienia. Gdzie indziej znów japoński strażnik dobijał bagnetem krańcowo wyniszczzonego więźnia, rozciągniętego na wznak w błocie. A na następnej kartce przedstawiona była egzekucja w stylu japońskim, przez ścięcie - krew z przeciętego karku tryskała dwiema równoległymi strugami...

Judycie zrobiło się niedobrze. Równocześnie usłyszała trzask zamykanych drzwi zewnętrznych i kroki Gusa na schodach. Zamknęła szkicownik i przyciskała dłońmi jego okładkę, jakby przytrzymywała wieczko puszek Pandory...

- Dostyc już tego! - To zdanie wypowiedziała na głos.

- Mówiłaś coś? - spytał Gus od drzwi.

- Owszem! - Odwróciła się ku niemu. - To mianowicie, że nie mam zamiaru cię tu zostawić. Już nie proszę, tylko każę ci ze mną jechać, a jeśli nie zechcesz, będę ci suszyć głowę, dopóki nie zmięknie.

Ten wybuch zaskoczył Gusa, który powiódł spojrzeniem od jej twarzy do stołu, gdzie dostrzegł swój szkicownik i zdjętą z niego gumkę leżącą obok.

- Nie powinnaś była tego otwierać - zauważył łagodnie.

- Wiem, że nie powinnam, ale otworzyłam i widziałam to, co tam jest.

Powiem ci tyle, że nie możesz tak się z tym obnosić, jakby to były jedyne twoje wspomnienia w życiu. Jeśli chcesz, by przestały cię dręczyć, to zamiast zapiekać je w sobie, powinieneś z kimś się tym podzielić. Ale ty tylko psujesz wszystko. Przejechałam taki kawał drogi samochodem, który nie wyciąga więcej niż czterdzieści pięć mil na godzinę, wymówiłam się od udziału w przyjęciu urządzanym przez Dianę z okazji powrotu Jeremy'ego Wellsa i teraz czeka mnie jeszcze cała ta droga z powrotem do domu... A ty tylko straszysz tu jak upiór!

- Posłuchaj, Judyto...

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Po raz ostatni proszę cię - jedź ze mną. Jeżeli zaraz nie ruszę w drogę,

to nie wiem, jak dostanę się do domu, bo o czwartej robi się ciemno!  
Tego było już za wiele - jej własne rozczarowanie, jego odmowa i jeszcze do tego przerażające rysunki w znalezionym szkicowniku... Głos jej się załamał, twarz skrzywiła się jak u dziecka, a z oczu puściły się niepohamowane łzy.

- Nie płacz - szepnął do niej Gus, objął ją ramionami i trzymał, dopóki nie przeminął najgwałtowniejszy atak płaczu. - Naprawdę dla mnie zrezygnowałaś z przyjęcia u Diany?

- To mało istotne - potwierdziła szukając chusteczki. - Mogę zobaczyć się z nimi kiedy indziej.

- Nie wyobrażam sobie, jak będziesz sama gnała do Kornwalii w tempie czterdziestu pięciu mil na godzinę.

- A cóż ty możesz na to poradzić? - spytała ocierając łzy.

- Mogę, tylko poczekaj jeszcze z pięć minut!

Po raz pierwszy w czasie tego spotkania Judyta zauważyła, że Gus się uśmiechnął.

Wyjechali z miasta w kierunku zachodnim, przez Hammersmith i Staines, na szosę A30. Prowadziła Judyta, gdyż najlepiej знаła wady i narowy starego wozu Bidy, a ponadto sądziła, że Gus może w drodze chcieć się przespać. On jednak siedział przy niej z mapą w ręku i pilotował, ssąc cukierki, gdyż był zbyt dobrze wychowany, aby palić w cudzym samochodzie. Minęli przedmieścia Londynu i na dalszej drodze napotykali już tylko małe miasteczka z placami targowymi, domkami z czerwonej cegły i gospodami o nazwach „Pod Czerwonym Lwem” lub „Pod Głową Króla”. Salisbury, Crewkerne, Chard, Honiton...

W Honiton zatrzymali się na krótki popas. Podczas gdy Gus wlewał do baku zawartość ostatniego zapasowego kanistra, Judyta udała się na poszukiwanie czegoś do zje-

dzenia. Po chwili przyniosła dwa wątpliwej jakości paszteciki i dwie butelki piwa imbirowego. Zjedli ten skromny posiłek w samochodzie.

- O, paszteciki! - ucieszył się Gus. Gdy jednak skosztował jednego, długo przeżuwał odgryziony kęs i zauważył z wyraźnym niesmakiem: - To nie przypomina pasztecików!

- A co?

Gus odgryzł następny kęs i przeżuł go jeszcze dokładniej.

- Zdechłą mysz z błotem owiniętą w starą ścierkę - znalazł odpowiednie określenie.

- A co, po sześciu latach wojny spodziewałeś się takich pasztecików, jakie piekła pani Nettlebed? Do tego potrzebna jest wołowina w najlepszym gatunku, a tutejsi ludzie zdążyli już zapomnieć, jak ona wygląda.

- A niech to gęś kopnie! - podsumował Gus.

Pojechali dalej. Chmury zostały nad Londynem, a wieczór zapowiadał się chłodny, lecz pogodny. Okrągła czerwona tarcza słoneczna chowała się już za wzgórze Dartmoor. Jeszcze Exeter, Okehampton, Launceston - i już całkiem się ściemniło. Światła samochodu oświetlały tylko puste wrzosowiska po obu stronach szosy. Byli już w Kornwalii.

Gus przez większą część drogi w ogóle się nie odzywał. Raptem jakby o czymś sobie przypomniał.

- Czy wyobrażałaś sobie coś jako dziecko? - spytał.

- A co miałam sobie wyobrażać?

- No wiesz, takie rzeczy, o jakich marzą dzieci i dorastające panienki. Że na przykład przystojny szejka porzywa cię na koniu na pustynię... Albo ratujesz tonącego żeglarza, a potem się okazuje, że to twój ulubiony gwiazdorz filmowy.

- Tego akurat sobie nie wyobrażałam, ale gdy jechałam pociągiem, udawałam, że nasza kornwalijska „Riwiera” to „Orient Express”, a ja wiozę do Stambułu ściśle tajne

dokumenty wagi państwowej. Było to szalenie emocjonujące, coś w stylu Agathy Christie. A ty też fantazjowałeś?

- Tak, tylko nie o takich sensacjach. Moje marzenia były bardziej przyziemne, ale przez całą młodość widziałem w snach i na jawie trzy konkretne sytuacje. I tak wyobrażałem sobie, że jestem malarzem mieszkającym w Kornwalii, chociaż nigdy tam nie byłem. Oczywiście prowadziłem życie w stylu cyganerii artystycznej. Urządziłem sobie pracownię w rybackiej chatce, nosiłem długie włosy, kapelusz a la Augustus John, espadryle i niebieskie robocze spodnie. Paliłem papierosy „Gitane” i wieczorami przesiadywałem w miejscowym barze, gdzie byłem już tak znany, że inni goście ubiegali się, aby postawić mi drinka.

- To rzeczywiście dość nieszkodliwa fantazja. Tylko dlaczego wybrałeś akurat Kornwalię?

- Ponieważ byłem wtedy na etapie fascynacji malarstwem kornwalijskim, „szkołą Newlyn” i „szkołą Porth-kerris”. Wydawało mi się, że klify są świetnym tematem do pejzaży, a kolor morza i specyficzne światłocienie w Kornwalii są niepowtarzalne.

- Z pewnością byłbyś świetnym malarzem!

- Możliwe, ale zawsze traktowałem to tylko jako hobby. Zgodnie z wolą ojca obrałem studia techniczne w Cambridge. Może jesteśmy ostatnim pokoleniem, które liczyło się ze zdaniem rodziców?

- Co jeszcze sobie wyobrażałeś?

- To też miało związek z malarstwem. Zobaczyłem kiedyś w jednym czasopiśmie reprodukcję obrazu Laury Knight. Tak mnie ten obraz zachwycał, że wyciąłem odbitkę z tego pisma i wozilem wszędzie ze sobą. Przedstawiała dziewczynę stojącą na wysokim brzegu, opaloną na brąz, w powyciąganym swetrze, tenisówkach i z rudym warkoczem przerzuconym przez ramię. Wprost zakochałem się w tej dziewczynie.

- Masz jeszcze tę reprodukcję?
- Niestety, zginęła w Singapurze.
- A co było twoim trzecim marzeniem?
- To ostatnie było trochę mniej konkretne, trudniejsze do opisania. Wyobrażałem sobie, że w końcu udało mi się znaleźć miejsce, które byłoby dla mnie prawdziwym domem. Takie, gdzie mógłbym czuć się swobodnie i nie musiałbym niczego udawać. Gdzie przyjmowano by mnie z otwartymi ramionami ze względu na mnie samego, a nie moje pochodzenie, majątek czy dobrą opinię. Gdzie mógłbym być naprawdę sobą!
- Nie miałam pojęcia, że to może stanowić dla kogoś problem.
- Dla mnie stanowiło, dopóki nie poznałem Edwarda Carey-Lewisa. Od tej pory wszystko się zmieniło, nawet moje imię, bo naprawdę nazywam się Angus, a to Edward przechrzcił mnie na Gusa. Spędziliśmy razem wakacje we Francji, a potem on zaprosił mnie do Nancherrow. I mimo iż nigdy w życiu nie byłem w Kornwalii, to kiedy tylko przekroczyłem granicę tego hrabstwa, owładnęło mną nieodparte uczucie, że wracam do domu. Tak jakbym na nowo rozpoznawał swoje dawno nie widziane rodzinne strony. A kiedy dotarłem do Nancherrow, to naraz wszystkie moje marzenia wcieliły się w życie, jakby ktoś celowo to zaaranżował. W Nancherrow poznałem Loveday, która przypominała mi dziewczynę z obrazu Laury Knight. Wreszcie Edward przedstawił mnie swemu ojcu, który powitał mnie słowami: „Gus, drogi chłopcze, jak miło nam cię gościć” czy coś podobnego. Przynajmniej na krótko igraszki mojej wyobraźni stały się rzeczywistością.
- Wiesz, Gus - westchnęła Judyta - nie tylko na tobie Nancherrow wywarło takie wrażenie. Nie wiem, czy to zasługa tego domu, czy ludzi, którzy tam mieszkają. Wprawdzie Edward nie żyje, a Loveday dla ciebie pewnie też przestała istnieć, ale co stoi na przeszkodzie, żebyś dalej realizował swoje marzenia? Możesz osiedlić się

w tych stronach, urządzić pracownię i poświęcić się swemu ulubionemu zajęciu. Cóż ci przeszkadza rozwijać talent?

- W zasadzie nic, oprócz braku wiary w siebie i siłę woli.

- To, że tak jest teraz, nie oznacza, że tak będzie zawsze. Byłeś chory, miałeś ciężkie przejścia, ale z czasem nabierzesz sił.

- Być może. Zobaczymy. - Poruszył się na siedzeniu, prostując ścierpnięte kończyny. - Biedactwo, musisz być strasznie zmęczona!

- To już niedaleko.

Gus opuścił okno po swojej stronie i natychmiast wewnątrz samochodu wypełniło się świeżym, chłodnym powietrzem. Wystawił głowę przez okno i nabrał w płuca duży haust.

- Wiesz co? - zwrócił się do Judyty. - Czuję już zapach morza!

- Ja też.

Zamknął okno i powtórnie zagadnął:

- Judyto...

- Co tam znowu?

- Dziękuję ci!

Nazajutrz rano Judyta z filiżanką gorącej mocnej herbaty w ręku zastukała do drzwi pokoju Bidy.

- Gus?

Nie usłyszała odpowiedzi, więc pchnęła drzwi i zaraz od progu owionęła ją mroźne powietrze. Okno było otwarte na oścież, przeciąg trzepotał firanką i wrywał Judycie drzwi z ręki. Szybko je zamknęła i wtedy firanka nieco się uspokoiła.

- Musi ci być strasznie zimno! - wyraziła swoje zdziwienie.

- Wcale nie. - Leżał w łóżku wysoko podparty poduszkami, z dłońmi założonymi pod kark. Miał na sobie

niebieską piżamę, a na policzkach ciemniał wczorajszy zarost.

- Przyniosłam ci herbatę! - oznajmiła, stawiając filiżankę u wezglowia łóżka.

- Jesteś aniołem. Która to już godzina?

- Wpół do jedenastej. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zamknę okno? Ten przeciąg wywiewa z domu całe ciepło.

- Przepraszam, nie pomyślałem o tym. Chciałem po prostu poczuć na twarzy chłodny powiew. Szpital był wiecznie przegrzany, a londyńskie powietrze zawsze jest ciężkie i zatechłe, nie mówiąc już o hałasie.

- Wiem, o co ci chodzi.

Zamknęła staroświeckie przesuwane okno i chwilę wyglądała na zewnątrz, aby sprawdzić, jaka dziś pogoda. Było pochmurno, dopiero co ustał jeden deszcz, a zanosiło się na drugi. Na ścieżkach lśniły kałuże, a z bezlistnych gałęzi ściekała woda. Wiatr wył za oknami i łomotał we framugi.

Judyta odwróciła się od okna i pochyliła nad podwójnym łóżkiem Bidy.

- Jak ci się spało? - spytała Gusa.

- Nieźle. - Podciągnął się do pozycji siedzącej, grzejąc długie palce o gorącą filiżankę herbaty, przy czym na czoło spadł mu kosmyk czarnych włosów. - Obudziłem się, kiedy było jeszcze ciemno. Leżałem i patrzyłem, jak niebo powoli się rozświećla. Czy muszę już wstawać i biec na śniadanie?

- Mówiłam ci wczoraj, że nic nie musisz. Przeszkodziłam ci tylko dlatego, że jadę do Penzance po zakupy, więc może chciałbyś, żebym ci coś kupiła?

- Papierosy...

- Dobrze.

- ...i mydło do golenia.

- W tubce czy w miseczce?

- A można jeszcze dostać w miseczkach?



- Spróbuję.
- Potrzebuję także pędzla do golenia.
- Czy to wszystko?
- Myślę, że tak. Zaraz dam ci pieniądze.
- Na razie nie musisz. Najwyżej potem wystawię ci rachunek. Na lunch będę z powrotem. Phyllis przygotowała pasztet z gołębia i królika. Lubisz takie rzeczy?
- Po tym paszteciku z Honiton mogę już zjeść wszystko.
- Dobra. - Roześmiała się. - Możesz wstać, kiedy zechcesz, i wziąć kąpiel. W salonie jest poranna gazeta, a w kominku napalone. Do zobaczenia! - Poszła w kierunku drzwi.
- Cześć!

Za piętnaście pierwsza w kuchni unosił się już apetyczny zapach pasztetu z królika, a Phyllis stawiała na ogniu ronderek z brukselką. Judyta rozładowała na kuchenny stół koszyki z zakupami.

- Dostałam świeże makrele, będziemy mogli je zjeść na kolację. Mam tu jeszcze kość szpikową na zupę i wykupiłam nasze przydziały cukru i masła. One chyba zmniejszają się z każdym tygodniem.
- A czy pan Callender ma kartki żywnościowe? - zainteresowała się Phyllis.
- Zapytam go o to, ale obawiam się, że nie ma.
- To źle, bo taki dryblas zje więcej niż my dwie do kupy.
- Najwyżej będzie musiał dopychać się kartoflami. A czy on w ogóle wstał?
- Tak, zajrzał tutaj, przywitał się, potem wyszedł przejść się po ogrodzie, a teraz czyta gazetę w salonie. Prosiłam go, żeby od czasu do czasu dokładał drewek do ognia.
- No i co o nim sądzisz?
- Strasznie chudy, biedaczek. Aż strach pomyśleć, co też on wycierpiał.

Judyta przyznała jej rację i wyładowała ostatnie zakupy żywnościowe. Nie rozpakowała jeszcze tylko tego, co kupiła dla Gusa. Wzięła więc paczkę i poszła go szukać. Zastała go w salonie, gdzie najwyraźniej czuł się już jak w domu, bo swobodnie rozsiadł się w głębokim fotelu Biddy. Na widok Judyty odłożył gazetę.

- Tak się rozleniwiłem, że aż mam wyrzuty sumienia -oświadczył na przywitanie.

- Niepotrzebnie, bo powinieneś teraz trochę poleniuchować. Może czegoś się napijesz? Chyba jeszcze gdzieś jest butelka piwa...

- Nie, dziękuję.

- Popatrz, co kupiłam dla ciebie.

Usiadła na taborecie przy kominku i po jednym wręczała Gusowi przedmioty wyjmowane z pomiętej papierowej torby.

- Proszę bardzo, oto lawendowe mydło do golenia Yardleya w cedrowej miseczce. Drogista sprowadził je już na święta, więc wyprosiłam jedno spod lady. Tu masz pędzel z borsuczego włosia, tu papierosy, a to jest prezent ode mnie.

- Prezent? Od ciebie? Co takiego?

- Zobacz sam.

Paczka była duża i ciężka, owinięta w biały papier i przewiązana sznurkiem. Gus wziął ją na kolana, rozplątał sznurek i rozerwał papier. W środku był gruby blok szorstkiego papieru do rysowania, pudełko ołówków HB, emaliowana kasetka farb od Windsora i Newtona oraz trzy pędzle z sobolowego włosia.

- Wiem, że nie masz teraz nastroju do malowania -uzupełniła szybko Judyta. - Ale na pewno niedługo ci wróci. Papier może nie jest w najlepszym gatunku, ale innego nie mieli...

- Ależ wszystko jest w porządku, to naprawdę wspaniały prezent! - przerwał jej Gus. Pochylił się, przyciągnął

ją do siebie i pocałował w policzek. - Jesteś najmilszą dziewczyną, jaką znam. Dziękuję ci bardzo!

- Przrzekam, że nie będę więcej tobą dyrygować.

- Nie miałbym ci za złe, nawet gdybyś to robiła.

We trójkę, razem z Phyllis, zjedli w ciepłej kuchni lunch - pasztet z królika i śliwki w syropie, podlane świeżą śmietanką. Potem Judyta i Gus nałożyli nieprzemakalne kurtki i udali się na długi spacer. Nie poszli jednak nad morze, tylko w górę, drogą, która prowadziła na wrzosowiska. W którymś miejscu zboczyli z bitej drogi i ruszyli na przełaj przez rozległe przestrzenie porośnięte wyschniętą zimową trawą, zbrązowiałymi kępami paproci i wrzosu. Po ścieżkach wydeptanych przez owce dotarli na szczyt pagórka, na którym stał kopiec graniczny. Nadciągały tam chmury znad morza, a w górze kołowały mewy i kuliki. Kiedy Gus i Judyta, opierając się podmuchom wiatru, wdrapali się na kamienny kopiec - u ich stóp rozciągał się widok na cztery świata strony, jakby okrężała ich linia horyzontu.

Do domu wrócili inną trasą, wskutek czego spacer przedłużył się aż do wpół do piątej, kiedy już zaczynało się ściemniać. Ania wróciła tymczasem ze szkoły i przy kuchennym stole mozoliła się nad zadanymi lekcjami. Na widok wchodzących odłożyła ołówek i zmierzyła ciekawym wzrokiem obcego pana, o którym matka tyle jej opowiadała.

Phyllis nastawiała właśnie wodę na herbatę.

- Długo was nie było - zauważyła. - Pewnieście się fest zmachali!

- Spacer bez Morąg to już nie to samo. Musimy sprawić sobie jakiegoś innego psa. Cześć, Aniu! Widzisz, to jest pan Gus Callender. Nie znasz go jeszcze, prawda?

- Cześć, Aniu! - powtórzył z uśmiechem Gus, odwi-jając z szyi szalik.

- Dzień dobry! - bąknęła nieśmiało dziewczynka, oblewając się rumieńcem.

- Co ty takiego robisz?

- Obliczam słupki.

Gus przysunął sobie krzesło i usiadł koło małej.

- O, rachunki na pieniądzech! - zauważył. - Dla mnie zawsze to było najtrudniejsze.

Phyllis smarowała właśnie margaryną plastry babki szafranowej. Nie podnosząc wzroku znad tej roboty, nadmieniła mimochodem:

- Dzwonił Jeremy Wells z Nancherrow.

Judyta poczuła, jak mimo woli serce jej mocniej zabiło, aż sama była za to zła na siebie.

- Czego chciał? - spytała, siląc się na obojętność.

- Nic takiego - rzuciła w przestrzeń Phyllis, smarując następny kawałek ciasta. - Pytał, czyś już wróciła. Powiedziałam, żeście z panem Callenderem poszli się przejść.

- I jak się im udało przyjęcie powitalne?

- Nie było żadnego przyjęcia. Pani Carey-Lewis odłożyła je, bo ciebie miało nie być i Walter też nie mógł przyjść.

Judyta oczekiwała, że Phyllis rozwinie ten wątek, ale nic takiego się nie stało. Najwyraźniej miała już dość tej całej historii z Jeremym. Aby zrobić jej przyjemność, Judyta spytała:

- Czy chciał, żebym oddzwoniła?

- Nie, mówił, żebyś się nie kłopotowała, bo to nic ważnego.

Do północy brakowało jeszcze tylko godziny, a Walter wciąż nie wracał! Loveday siedziała wciśnięta w róg kanapy, śledząc ruch wskazówek na tarczy zegara. Na dworze zerwał się wiatr od morza, wył za oknami jej domu i łomotał w drzwi. Od czasu do czasu dobiegało szczekanie psów Waltera, ale Loveday nawet nie wychodziła sprawdzić, co je za-

alarmowało. Mógł to być lis lub borsuk buszujący w śmietniku. Tego dnia Walter ukończył dojenie, umył się, przebrał i o siódmej wieczór wsiadł do samochodu, nie interesując się zupełnie pierogiem z mięsem, który Loveday dla niego upiekła. Do tej pory pieróg w duchówce na pewno wysechł na kamień, ale Loveday nie zatrzymywała Waltera ani nie żądała wyjaśnień w obawie, że wywołałoby to tylko następną kłótnię zakończoną trzaśnięciem drzwiami. Nie mieli już sobie nic konkretnego do powiedzenia poza obraźliwymi słowami.

Nawet zaproszenie na powitalne przyjęcie ku czci Jeremy'ego Wellsa do Nancherrow wywołało u Loveday przestroch, gdyż zachowanie Waltera mogłoby sprowokować jej rodziców do zadawania kłopotliwych pytań. Bała się nawet poinformować go o tym zaproszeniu i z pewną ulgą przyjęła jego odpowiedź, że ma coś lepszego do roboty niż chodzić na jakieś głupie przyjęcia, a w ogóle to już co innego zaplanował na ten wieczór.

- Przecież zawsze lubiłeś Jeremy'ego - próbowała go jeszcze przekonywać.
- Owszem, to równy gość.
- A nie chciałbyś znów się z nim zobaczyć?
- Niedługo będę miał sposobność, a jeżeli on ma do mnie interes, to wie, gdzie mnie szukać.

Loveday zadzwoniła więc do matki, wymyślając powód, dla którego Walter nie będzie mógł uczestniczyć w przyjęciu. Usłyszała w zamian, że uroczystość została odwołana, bo Judyta również nie mogła przyjść.

- A co jej wypadło? - spytała.
- Musiała pojechać do Londynu.
- Po co?
- Nie wiem, może chciała porobić przedświąteczne zakupy. W każdym razie odłożymy to na jakiś czas. A jak się miewa Nat?
- Świetnie.

- Ucałuj go ode mnie.

Miała więc przynajmniej to z głowy, ale dręczyło ją jeszcze wiele innych problemów.

Od czasu ostatnich odwiedzin Judyty stosunki między Walterem a Loveday popsuły się jeszcze bardziej. Utwierdzało to ją w przekonaniu, że mąż nie tylko już jej nie kocha, ale wręcz nienawidzi. Przez ostatnie cztery czy pięć dni nie odezwał się dobrym słowem nawet do Nata, a gdy zasiadali do wspólnego posiłku - spożywał go w ponurym milczeniu, czytając codzienną gazetę lub „Tygodnik Rolnika”. Z początku Loveday usiłowała wszczynać rozmowę o gospodarstwie lub hodowli zwierząt, czyli na jedyny temat, który ich jeszcze łączył - ale i na to odpowiadał zaledwie monosylabami. Ostatnio nie próbowała już nawet przełamać jego milczącej niechęci. Bała się, że jeżeli powie choć jedno słowo więcej - gotów wstać i ją uderzyć!

Piętnaście po jedenastej Loveday postanowiła ugotować kakao. Wstała z kanapy i postawiła na kuchni garnuszek mleka. Aby rozerwać się trochę - włączyła radio, konkretnie stację Luksemburg, która zawsze nadawała dobrą muzykę. Akurat Bing Crosby śpiewał „Purpurowy zmierzch”, ulubioną piosenkę Atheny, której często słuchała podczas ostatniego przedwojennego lata, wtedy kiedy Gus gościł w Nancherrow...

Wróciła teraz myślami do Gusa, chociaż przez dłuższy czas starała się o nim zapomnieć. Wspomnienia te były dla niej zbyt bolesne, gdyż sama obecnie surowo osądzała swój postępek, więc przypuszczała, że i on myśli o niej to samo. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak chwiejna uczuciowo, a równocześnie po dziecinnemu uparta, była w wieku lat dziewiętnastu. Nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że mogła się mylić w swojej niezachwianej pewności co do śmierci Gusa w Singapurze. Mało tego, w obawie przed wyrwaniem z ciepłego gniazdzka rodzinnego uczepiła się Waltera jak tonący brzytwy. Teraz ro-

zumiała, że Arabella Lumb była tylko rodzajem katalizatora, który pomógł jej sprowadzić sprawę do właściwych wymiarów. Gdyby nie było Arabelli - rolę tę spełniłby pewnie ktoś inny lub coś innego. Dobrze, że choć miała Nata!

Nie wątpiła w to, że nie zobaczy już Gusa. Przecież sama powiedziała Judycie, że nie chce go widzieć, bo wstydziła się spojrzeć mu w oczy. Skoro zaś sama miała tak złą opinię o sobie, to jego zdanie o niej musiało być jeszcze gorsze. Co warta jest miłość nie poparta wiarą i zaufaniem? Nie miałyby Gusowi absolutnie za złe, gdyby zapomniał o niej i zainteresował się kim innym. Winiła o to wyłącznie siebie. Dobrze przynajmniej, że zdążyli jeszcze przeżyć razem piękne chwile. Czekała, aż mleko się zagotuje, Loveday czuła łzy cisnące się pod powieki. Nie wiedziała tylko, czy płacze za Gusem, czy nad sobą. W tym momencie usłyszała płacz Nata dochodzący z sypialni. Zestawiła mleko z płyty kuchennej i spróbowała odczekać, aż chłopczyk zaśnie z powrotem. Oczywiście nic to nie dało, bo zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniej. Musiała więc wyjąć go z łóżeczka i razem z kołdrą przynieść do kuchni, gdzie posadziła go na kanapie.

- Czemu płakałeś? - spytała.

- Ja chcę do maaaaamyyyy!

- Dobrze już, nie płacz, jestem przy tobie. Chłopczyk wsadził paluszek do buzi i śledził matkę

spod opadających powiek. Loveday przygotowała kubek kakao, usiadła obok synka i zagadując doń czule, poiła go ciepłym, słodkim płynem. Nat wreszcie zasnął, więc Loveday sama wypila resztę kakao, umyła kubek, odstawiła go na suszarkę i położyła się obok dziecka. Podłożyła ramię pod jego pulchne ciało i nakryła się razem z nim kołdrą. Czuła dotyk jego miękkich włosków i słodki zapach mydła. Po chwili i jej oczy zaczęły się kleić. Jeszcze trochę, a oboje już spali.

Loveday obudziła się o siódmej i stwierdziła, że światło paliło się przez całą noc. Oznaczało to, że Walter w ogóle nie wrócił do domu. Nat spał mocno, więc wyciągnęła ramię spod niego, ostrożnie zsunęła się z kanapy i otuliła chłopca kołdrą.

Przeciągnęła się, bo po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji zdrewniały jej wszystkie kończyny, a w kark chwycił postrzał. Na dworze wiatr nieco zmniejszył siłę, ale nadal niezłe dmuchał, a dom na szczycie wzgórza był prawie nie osłonięty. Nasłuchiwała, czy nie usłyszy szczekania psów Waltera, ale najwidoczniej poszedł od razu do obory na poranny udój i po drodze zabrał je ze sobą. Loveday beznamyślnie rozważała, czy bardziej dręczy go kac, czy wyrzuty sumienia. A może ani jedno, ani drugie? Kiedyś miało to dla niej jakieś znaczenie, ale po ostatniej nocy przestała się przejmować samopoczuciem męża.

Wyciągnęła z duchówki zeschnięte resztki wczorajszego pieroga i wyrzuciła je do kubła ze zlewkami dla świń. Potem wygarnęła popiół i rozpaliła pod kuchnią, aż ogień zaczął równo buzować. To było wszystko, co miała zamiar dziś zrobić w tym domu.

Z wieszaka w przedpokoju zdjęła gruby płaszcz nieprzemakalny.

Włożyła go na siebie, nogi wsunęła w gumowce, a na głowę wełnianą chustkę. Potem podniosła śpiącego Nata z kanapy i jak niemowlę owinęła w kołdrę. Nawet się przy tym nie obudził, więc wzięła go na ręce, zgasiła światło i wyszła na dwór, gdzie było jeszcze ciemno, zimno i wietrznie.

Nie potrzebowała jednak latarki, gdyż znała tu na pamięć każdy kamień.

Poszła polną ścieżką, która u podnóża pagórka łączyła się z drogą do Nan-cherrow. Postanowiła wrócić do swojego rodzinnego domu.

Nettlebed zwykle o siódmej rano był już na dole. Za dawnych czasów od samego rana nosił się sztywno i dostojnie, odpowiednio do swego zaszczytnego stanowiska.



Natomiast w czasie wojny, kiedy musiał łączyć obowiązki ogrodnika i kamerdynera, zarzucił tę oficjalną pozę i wybrał wyjście kompromisowe. Do codziennej pracy wkładał teraz flanelową koszulę w paski z dopinanym białym kołnierzykiem, a na to granatowy sweter z wycięciem w szpic, natomiast do „brudnej roboty”, jak gotowanie, skubanie bażantów czy polerowanie mosiężnych okuć, zawiązywał biało-niebieski fartuch z napierśnikiem, co zdaniem jego małżonki wcale nie uwłaczało godności.

Co rano wykonywał te same rutynowe czynności. Najpierw otwierał zewnętrzne drzwi od frontu. Odślaniał okna w jadalni i salonie, uchylając je nieco, aby wywietrzyć i wypłoszyć zapach dymu z cygar. Potem szedł do kuchni i stawiał czajnik na gazie. Zanim woda się zagotowała, otwierał drzwi od zmywalni, które wychodziły na dziedziniec. Następnie przechodził tylnym korytarzem do rusznikarni, gdzie sypiał Tiger, i wypuszczał psa na dwór. Pekoe już dawno temu przeniósł się do sypialni Diany. Miał tam w kącie swój koszyczek, ale i tak wszyscy wiedzieli, że woli spać w nogach łóżka swojej pani.

Tiger budził się zwykle zeszywniały od reumatyzmu, więc Nettlebed mu współczuł, bo sam przy swoich sześćdziesięciu pięciu latach, będąc całymi dniami na nogach, też cierpiał na tę dolegliwość. Najbardziej dokuczały mu spuchnięte kolana, kiedy wiał wiatr od wschodu.

- No, wyłaź, stary! - zachęcał psa.

Tiger zwłókł się z legowiska i ciężkim krokiem wytoczył się w mrok i wiatr. Nettlebed poszedł za nim, żeby się upewnić, czy pies załatwił swoje potrzeby.

Tego ranka trwało to wyjątkowo długo, więc Nettlebed zdążył porządnie zmarznąć, zanim razem wrócili pod dach. Przykro było patrzeć, jak taki dobry pies się starzeje. Nettlebed nigdy nie interesował się specjalnie psami, bo w końcu nie był myśliwym ani właścicielem ziemskim, ale Tigera lubił wyjątkowo. Może dlatego, że to stare, wierne psisko towarzyszyło pułkownikowi w najcięższych

chwilach, także w dniu śmierci Edwarda, którego Nettlebed nie przestawał wspominać.

Z psem następującym mu na pięty stary kamerdyner wrócił do kuchni, gdzie Tiger położył się na kocyku przy piecu. Woda akurat się zagotowała, więc Nettlebed ogrzał biały czajniczek i sięgnął po puszkę z herbatą. Zegar wskazywał wpół do ósmej, gdy niespodziewanie otworzyły się drzwi od zmywalni, wpuszczając do kuchni powiew zimnego wiatru.

- Kto tam, u licha?! - wrzasnął zaskoczony i sam pobiegł sprawdzić, co się dzieje.

- To ja, panie Nettlebed - odezwała się Loveday, zatraskując drzwi nogą, bo obie ręce miała zajęte. W objęciach trzymała jakiś bezkształtny pakunek, który okazał się zawiniętym w kołdrę małym Natem. Nettlebed z miejsca zawyrokował, że panienska wygląda jak nieboskie stworzenie - zakutana w chustkę i w zabłoconych butach.

- Cóż ty tu robisz o tej porze? - przerażony załamał ręce.

- Przyszłam piechotą aż z Lidgey.

- I przez cały czas niosłaś Nata na ręku?

- Tak. Strasznie się zmęczyłam. Nie miałam pojęcia, że on już jest taki ciężki.

Loveday przeszła przez zmywalnię do kuchni i delikatnie położyła Nata na stole, podkładając mu pod głowę podwinięty róg kołdry. Chłopczyk nawet się nie poruszył, a Loveday ostrożnie się wyprostowała, przyciskając dłonie do krzyża.

- Nie powinnaś była dźwigać go taki szmat drogi! - oświadczył Nettlebed z oburzeniem. - Mogłaś zrobić sobie krzywdę!

- Nic mi nie będzie, ale na dworze jest strasznie zimno. - Potrzymała ręce przy nagrzanym piecu, a potem przykucnęła, aby przywitać się z Tigerem.

- Cześć, stary! - zagadała do niego.

Pies radośnie zamerdał ogonem, bo zawsze kochał swoją młodą panią, podobnie jak ona jego.

Nettlebed przyglądał się temu ze smutkiem, gdyż obawiał się najgorszego. Prawdę mówiąc, od dawna już przeczuwał, że w Lidgery dzieje się coś niedobrego. Miał bowiem zwyczaj mniej więcej dwa razy w tygodniu odwiedzać bar w Rosemullion, aby pogadać ze starymi znajomymi, napić się piwa czy pocelować lotkami do tarczy. Odkąd zobaczył tam Waltera z kobietą znaną pod nazwiskiem Arabella Lumb - wyczuł, że to musi się źle skończyć. Zaczął bowiem coraz częściej widywać ich razem, jak obejmowali się przy narożnym stoliku, i nawet głupi odgadłby, że nie były to przypadkowe spotkania.

Najwyraźniej Walter Mudge coś kombinował. Nettlebed kiedyś nawet go lubił, ale było to w okresie, kiedy ten chłopak znał swoje miejsce - obrządzał konie i dostarczał do kuchni nabiał z mleczarni swojej matki. Oboje Nettlebedowie byli mocno zdegustowani wiadomością, że Walter ma się żenić z Loveday, ale szanowali wolę swoich chlebodawców i powstrzymywali się od głośnego wyrażania dezaprobaty. Stary kamerdyner mógł zrobić tylko tyle, że sprawił Walterowi przyzwoity garnitur do ślubu, aby uniknąć kompromitacji wobec dostojnych gości. Teraz zaś żałował, że zamiast tego nie udusił Waltera jego własnym krawatem, choćby miał za to zgnieć w więzieniu!

Tymczasem Tiger znów zapadł w drzemkę, więc Loveday podniosła się z podłogi i ogrzewając plecy o kuchenkę spytała:

- A gdzie jest pani Nettlebed?

- Została w domu, bo ma dzisiaj wolne przedpołudnie. Żyłki strasznie jej dokuczają.

- Biedaczka, tak mi przykro! Może powinna poddać się operacji?

- Dziś ja szykuję śniadanie. Napijesz się herbaty?

- Tak, ale niech pan się nie trudzi. Zrobię sobie sama. Loveday zdjęła z głowy chustkę i upchnęła w kieszeni

płaszcz. Nettlebed zwrócił uwagę na jej podkrążone oczy i brak rumieńca na twarzy, mimo że całą drogę z Lidgey przeszła piechotą.

- A co tam u ciebie, wszystko w porządku? - zapytał dla formy.

- Przeciwnie, panie Nettlebed. Wszystko do niczego.

- Chodzi o Waltera, prawda?

- Nie wrócił dziś na noc do domu. - Loveday przygryzła wargę, widząc zatroskane spojrzenie Nettlebeda. - Pan wiedział o tej Arabelli Lumb? Na pewno musiał pan coś wiedzieć.

- Domyślałem się - przyznał ze smutkiem.

- Myślę, że między Walterem i mną wszystko skończone. Teraz widzę, że od początku to była jedna wielka pomyłka.

- I dlatego przyszedłeś do nas?

- Tak, i nie zamierzam już tam wracać.

- A co będzie z chłopcem? W końcu to syn Waltera.

- Jeszcze nie wiem. Nie miałam czasu, żeby o tym pomyśleć. -

Zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś zastanawiała. - Muszę poukładać sobie to wszystko, zanim spotkam się z mamą, tatusiem i Mary. Tak naprawdę to chciałabym trochę pobyć sama. Przejść się i spokojnie to sobie przemyśleć.

- Małóść się dziś nachodziła?

- Tym razem nie musiałabym brać ze sobą Nata... -Spojrzała na dziecko śpiące spokojnie na zaimprovizowanym posłaniu. - Jeśli go zobaczą, od razu się domyślą, że tu jestem. Wolałabym, żeby się jeszcze nie domyślili... przynajmniej dopóki nie przygotuję sobie odpowiedzi na ich pytania.

Nettlebed przyglądał się Loveday z podziwem. Słuchając jej spokojnego głosu, uświadamiał sobie, że stoi przed nim inna Loveday niż ta, którą znał dotąd. Nie płacze, nie tupie nogami, nie histeryzuje, tylko dostosowuje się do zaistniałej sytuacji i nie próbuje nikogo obwiniać za

ten stan rzeczy. Może dopiero teraz naprawdę wydorowała? Nettlebed czuł dla niej wzrastający szacunek.

- Może wziąłbym małego do nas na górę? - zaproponował. - Moja go popilnuje, dopóki nie wrócisz. W ten sposób nikt się nie dowie.

- A co z jej żyłakami?

- Chodzi tylko o to, żeby trochę na niego pouważała, a nie nosiła go na rękach.

- Pan jest taki dobry! Tylko proszę, niech pan na razie nic nikomu nie mówi. Chciałabym sama to wszystkim powiedzieć.

- Śniadanie będzie o wpół do dziewiątej. Postaram się zatrzymać twoją mamę, dopóki nie wrócisz.

- Dziękuję panu bardzo! - Loveday uściskała starego, przytulając policzek do jego swetra.

Nettlebed nie pamiętał, żeby kiedyś tak się zachowała wobec niego, więc nie wiedział, co ma zrobić z rękami. Zanim jednak zdążył oddać jej uścisk

- odsunęła się od niego, podniosła ze stołu śpiącego Nata i podała go kamerdynerowi. Chłopczyk okazał się cięższy, niż się wydawało, więc zreumatyzowane kolana Nettlebeda ugięły się pod tym obciążeniem.

Przeniósł jednak chłopca nie tylko przez całą kuchnię, ale i po wąskich schodkach prowadzących do jego mieszkania nad garażem. Zostawił go pod opieką swojej zdumionej małżonki, a kiedy wrócił do kuchni -

Loveday już tam nie było. Zabrała również ze sobą Tigera.

Przebudzenie przypominało Gusowi wypływanie na powierzchnię głębokiego, ciemnego stawu. Pierwsza warstwa wody była jeszcze czarna, a następne coraz jaśniejsze - koloru indygo, potem błękitu, a najwyższa stykała się bezpośrednio z oślepiającym światłem dnia. Kiedy jednak naprawdę otworzył oczy - zdziwił się, że nadal wokół jest ciemno. Za oknem zobaczył wygwieżdżone niebo. Stary zegar w hallu wybijał właśnie siódmą rano. Gus nie pa-

miał, kiedy ostatni raz spał tak długo, spokojnie i bez przerwy. Nie miał żadnych koszmarnych snów ani nad ranem nie obudził się z krzykiem, a prześcieradło było gładkie, co oznaczało, że nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. Leżał spokojnie, zupełnie odprężony.

Sięgnął wstecz myślami do dnia wczorajszego, upatrując w nim przyczynę tego dziwnego spokoju ducha. Rzeczywiście, poprzedniego dnia zażył wiele wysiłku fizycznego i świeżego powietrza. Wieczorem grał z Judytą w pikietę, a potem słuchali koncertu Brahmsa nadawanego przez radio. Przed snem Phyllis przyniosła mu kubek gorącego mleka z miodem i odrobiną whisky. Może ten cudowny napój tak go błyskawicznie uspił, ale Gus miał wrażenie, że to raczej wpływ niepowtarzalnej atmosfery domu Lawinii Boscawen, prawdziwego sanktuarium!

Zrelaksował się na tyle, że we wszystkich członkach ciała poczuł przypływ dawno nie spotykanej energii. Nie mógł już uleżeć ani chwili dłużej. Wstał, podszedł do otwartego okna i wychylił się na zewnątrz, wdychając chłodne powietrze przesycone morską solą. Słuchał szumu wiatru w sosnach, wyznaczających granicę posiadłości. Około ósmej rano będzie można spodziewać się wschodu słońca. Gus przyłapał się na tym, że znów, jak kiedyś, wyobraża sobie przestwór chłodnej, czystej wody, fale bijące o brzeg i rozpryskujące się w pienne grzywy w zetknięciu ze skałami.

Myślał już o nowym dniu, który miał się właśnie zacząć. Nad linią horyzontu ukazało się słońce, a jego pierwsze promienie przecięły mroczne niebo różowymi smugami, odbijającymi się w ołowianoszarej tafli morza. Gus zaczął już po staremu transponować tę feerię barw na malarskie środki wyrazu - rysunek ołówkowy podbarwiony maźnięciami pędzla. Tak ucieszył się z powrotu twórczej weny, że aż zadrżał z podniecenia...

A może z zimna? Na wszelki wypadek zamknął okno. Na toaletce w pokoju Bidy, który zajmował, leżały po-

darunki od Judyty - blok rysunkowy, ołówki, farby i pędzle. Korciło go, aby wziąć je do ręki, ale sam sobie tłumaczył: „Później. Jeszcze nie teraz. Dopiero kiedy niebo całkiem się rozjaśni, pojawią się odpowiednie cienie i krople rosy na trawie.... Wtedy zabiorę się do roboty!” Zrzucił piżamę i szybko się ubrał - w sztruksowe spodnie, grubą koszulę, ciepły sweter i skórzaną kurtkę. Z butami w ręku zszedł na dół w skarpetkach jak skradający się kochanek, zamykając delikatnie drzwi za sobą. Dopiero w kuchni nałożył i zasznurował buty, po czym wymknął się na dwór tylnymi drzwiami.

Nie chciał iść piechotą, bo pamiętał, że do Nancherrow jest kawał drogi, a spieszo mu było znaleźć się tam jak najszybciej. Zajrzał do garażu, gdzie stały samochody, lecz także i rower Judyty. Zdecydował się go wziąć i wyprowadził na zewnątrz. Brakowało wprawdzie tylnego światła, ale o tej porze na wiejskiej drodze nie było prawie żadnego ruchu.

Rower, który kiedyś służył czternastoletniej dziewczynce, był o wiele za mały dla Gusa, ale to się zdawało mu nie przeszkadzać. Przerzucił nogę ponad siodełkiem i ruszył, choć jego kościste kolana sterczały na boki. Przejechał całą wioskę Rosemullion, a za mostem musiał zsiąść z roweru, bo zaczynał się stromy podjazd pod górę. Przy wjeździe do majątku Nancherrow znowu wsiadł na rower i skręcił w rozjeżdżoną drogę, po której niegdyś asfaltowej nawierzchni nie było już śladu. Nad głową Gusa szumiały bezlistne gałęzie wiązów i buków, a od czasu do czasu światło roweru podrywało do biegu spłoszonego królika.

Zza linii drzew wynurzyła się już jasna bryła dworu Nancherrow. Nad frontowymi drzwiami świeciło się w jednym oknie. Gus wiedział, że to okno łazienki pułkownika i oczami duszy widział go, jak goli się swoją staroświecką brzytwą. Obawiał się nawet, czy pułkownik nie złowi uchem chrzęstu kół po żwirze i nie dojrzy przez szparę

między zasłonkami przemykającej ukradkiem postaci na rowerze. Nic jednak na to nie wskazywało. Gus wyłączył przednie światło roweru, postawił go pod ścianą i dyskretnie okrążył dom, aż znalazł się na trawniku.

Niebo zaczynało się już rozjaśniać, a zza bezlistnych drzew wynurzyła się okrągła, krwistoczerwona tarcza słoneczna, rzucając różowy poblask na chmurę. Gwiazdy znikwały, w powietrzu pachniało mchem i wilgotną ziemią, a wszystko wokół wyglądało jak świeżo wymyte. Gus zszedł po trawiastym zboczu, aż dostał się na ścieżkę prowadzącą przez las.

Trzymał się koryta strumyka, który zawiódł go do drewnianego mostka i tunelu wytworzonego przez rozrośnięte pnącza gunnery. Zanim doszedł do kamieniołomu - zrobiło się już na tyle jasno, że widać było wycięte w kamieniu schodki i możliwe stało się odszukanie ścieżki w zaroślach jeżyn i ostrokrzewu. Przeszedł jeszcze przez furtkę, przeciął polną drogę, pokonał przełaz w kamiennym murze i znalazł się już na samym skraju klifu.

Tu się zatrzymał, gdyż w końcu przyszedł w to miejsce po to, aby się nacieszyć swoimi ulubionymi widokami. Trwał akurat odpływ, więc wąski skrawek piaszczystej plaży obramowany był ciemnym pasem wodorostów i różnego rodzaju rupieci wyrzuconych przez wodę. Słońce stało już wysoko i na zadarnioną powierzchnię wybrzeża kładły się pierwsze dłuższe cienie. Gus przypomniał sobie tamto sierpniowe popołudnie ostatniego przedwojennego lata, kiedy poznał siostrę Edwarda, a ona zaprowadziła go nad tę zatokę. Usiedli tu razem pod osłoną skały, a jemu się zdawało, że znał Loveday już od niepamiętnych czasów. Kiedy, zbierając się do odejścia, po raz ostatni się odwróciła, aby popatrzeć na morze - wiedział już, skąd ją zna: do złudzenia przypominała dziewczynę z jego ukochanego obrazu Laury Knight. Rozejrzał się w poszukiwaniu skały, pod którą siedzieli wówczas z Loveday. Kiedy ją dostrzegł - z niedowie-



rzaniem wyteżył wzrok, bo oto na tym samym miejscu co przedtem siedziała Loveday z psem, trzymając rękę na jego karku. Przez chwilę Gus obawiał się, że nastąpił nawrót choroby psychicznej i ulega halucynacji! Natomiast Tiger nie miał takich wątpliwości - od razu wyczuł obecność obcego i zaczął zbliżać się ku niemu po trawiastym zboczku, szczekając ostrzegawczo. Kiedy jednak poznał Gusa - przestał szczekać i merdając zawzięcie ogonem, przypląszczając uszy i wydając radosne dźwięki, biegł tak szybko, jak pozwalały mu na to zreumatyzowane łapy.

Przypadł do Gusa, który pochylił się nad nim, aby go pogłaskać.

Zauważył przy tym jego posiwiasty ze starości pysk.

- Cześć, stary! Jak się masz, piesku? - powtarzał z czułością.

A gdy znów się wyprostował - ujrzał Loveday, jak stała w tym samym miejscu z rękami w kieszeniach, tyłem do morza. Z głowy spadła jej wełniana chustka, więc widać było ciemne loki podświetlone od tyłu promieniami słońca, tworzące jakby aureolę.

Nic się nie zmieniło - nadal przypominała dziewczynę z obrazu! Gus poczuł dławiący ucisk w gardle, bo oto odnalazł ją po tylu latach rozłąki, a ona jakby specjalnie tu na niego czekała.

- Gus! - zawołała, a wiatr poniosł głos daleko. Już biegła ku niemu. I on też pospieszył jej na spotkanie...

Goszczący w Nancherrow Jeremy Wells zaspał w sobotni poranek. Nic dziwnego, gdyż położył się spać dopiero nad ranem, a przedtem wypił trzy filiżanki kawy i kieliszek koniaku w towarzystwie pułkownika.

Kiedy więc położył się do łóżka - leżał z otwartymi oczami, słuchając szumu wiatru, i coraz to zapalał światło, aby sprawdzić, która godzina.

Nie mogąc zasnąć, wziął książkę

i czytał przez godzinę lub dwie, ale był to zaledwie półśrodek.

Trudno się więc dziwić, że kiedy w końcu udało mu się zasnąć - spóźnił się na śniadanie. W Nancherrow z reguły zasiadano do tego posiłku o wpół do dziewiątej, a Jeremy zszedł do jadalni piętnaście minut później. Wystarczyło to jednak, aby Diana, pułkownik i Mary Millyway jedli już grzanki z dżemem i pili drugą z rzędu filiżankę kawy lub herbaty.

- Przepraszam, ale nigdy nie mogę wstać na czas - zaczął się usprawiedliwiać.

- Ależ nic takiego się nie stało! Jemy dziś gotowane jajka, bo to Nettlebed przyrządza śniadanie, no i chyba przejedliśmy już nasz przydział bekonu. Diana pochłonięta była właśnie otwieraniem otrzymanej poczty, toteż wokół niej leżało wiele rozciętych kopert i nie doczytanych do końca listów.

- Co się dzieje z panią Nettlebed? - zainteresował się Jeremy.

- Dostała dziś wolne przedpołudnie, bo strasznie dokuczają jej żylaki.

Może powinieneś przyjrzeć się temu fachowym okiem? Próbowaliśmy przekonać ją, żeby się tym poważniej zajęła, ale ona boi się operacji.

Mówi, że nie chce iść pod nóż i prawdę mówiąc, trochę ją rozumiem... Co my tu mamy? Zaproszenie na drinka do Falmouth? Czy ci ludzie myślą, że ktoś będzie wypalał cały przydział benzyny dla jakiejś nędznej szklanki sherry?

Pytanie było z gatunku czysto retorycznych, więc nie wymagało odpowiedzi.

Pułkownik siedział tymczasem pograżony w lekturze „Timesa”. Jeremy podszedł do niego, aby się przywitać.

- Dzień dobry, panie pułkowniku.

- Ach, to ty, Jeremy! Jak się masz? Dobrze się spało?

- Nie za bardzo, bo ta wczorajsza kawa i nawałnica w nocy za oknami nie dały mi spać.

- Teraz wiatr trochę ustał, ale i tak niezłe dmucha

uzupełniła Mary Millyway. Zdjęła przykrywkę z dzbanka na kawę i dotknęła go palcami. - Chyba kawa już wystygła. Zaparzę ci świeżej.

- Nie rób sobie kłopotu, Mary. Chętnie napiję się herbaty.

- Coś ty, przecież wiem, że jesteś kawoszem. Zajmie to najwyżej chwilkę!

Wyszła z jadalni, a Jeremy tymczasem wyjął jajko na miękko z pikowanego koszyczka w kształcie kury i nalał sobie filiżankę mocnej herbaty - kawy mógł przecież napić się później! Wrócił z tym wszystkim do stołu i zajął miejsce, a pułkownik bez słowa podsunął mu najświeższe „Western Morning News”. Diana pograżyła się w lekturze listów - w Nancherrow nie było zwyczaju prowadzenia rozmów przy śniadaniu.

Jeremy więc też nic nie mówił, tylko ściał łyżeczką czubek jajka.

Za dwadzieścia dziewiąta Nettlebed zaczął się denerwować, gdyż Loveday jeszcze nie wracała. Nie obawiał się, że coś się jej stało podczas samotnej wyprawy, bo wiedział, że ta śmiała dziewczyna zna klify jak własną kieszeń i śmiga po nich zrećnie jak kozica. Bardziej drażniła go myśl, że właściwie był z nią w znowie. Żałował już, że dał się w to wciągnąć, i modlił się, aby wróciła jak najszybciej, zanim będzie musiał sam podzielić się z pułkownikiem niemiłą wiadomością, że jego córka nie dość, że odeszła od męża, to jeszcze zniknęła!

Zaczął już nerwowo krążyć po kuchni. To podszedł do okna, to upił łyk herbaty, zaniósł jakiś garnuszek do zmywalni, wytarł rozlane mleko i znów wracał do okna. Ani śladu tej postrzelonej dziewczyny! Teraz był tylko zaniepokojony, lecz i zły - postanowił dać jej dobrą burę, kiedy tylko wróci.

Za dziesięć dziewiąta miał już dosyć bezproduktywnego kręcenia się po kuchni i spoglądania na zegarek. Wyszedł więc przez kuchenne drzwi na dziedziniec, a stamtąd na

tyły budynku, skąd mógł ogarnąć wzrokiem przestrzeń od ogrodu aż po brzeg morza. Nigdzie jednak nie było widać żywej duszy. Zauważył natomiast co innego -otwarte drzwi od garażu. Kiedy tam wszedł, zorientował się od razu, że brakuje małej furgonetki nabytej w swoim czasie od handlarza ryb. Czyżby w nocy grasował tu złodziej? Jednak złodziej będący przy zdrowych zmysłach nie ukradłby takiego starego gruchota, mając w zasięgu ręki eleganckiego bentleya pani Carey-Lewis. Coraz bardziej przejęty wrócił do domu, tym razem jednak inną drogą, przez rusznikarnię. Zastał tam Tigera, znużonego i śpiącego na swoim posłaniu.

- Gdzie twoja paniusia? - zapytał dla formy, ale pies tylko zamrugał powiekami i spał dalej.

To, co teraz nastąpiło, przypieczętowało ostateczną decyzję Nettlebeda. Wracając do kuchni, usłyszał dochodzące z jego mieszkania przeraźliwe wrzaski Nataniela Mudge'a. Nadszedł więc czas, żeby ostatecznie ujawnić prawdę.

Akurat Mary Millyway wychodziła z kuchni, niosąc dzbanek świeżo zaparzonej kawy.

- Co to za hałas? - stanęła jak wryta.

Nettlebed poczuł się jak uczeń przyłapany na kradzieży jabłek.

- To mały Nat Mudge. Jest na górze z moją żoną.

- A cóż on tam robi?

- Loveday zostawiła go tu o wpół do ósmej rano.

- Zostawiła go? A sama gdzie się podziała?

- Tego właśnie nie wiem - przyznał Nettlebed ze smutkiem. - Mówiła, że idzie tylko się przejść, aby wszystko dobrze przemyśleć. Miała wrócić na śniadanie, a nie wróciła.

- Co miała przemyśleć?

- No wiesz, to, co zaszło między nią a Walterem.

- O Chryste! - jęknęła Mary, co było u niej oznaką maksymalnego wzburzenia. Przez wszystkie lata ich wspól-

nej służby w domu Carey-Lewisów Nettlebed nigdy nie usłyszał z ust Mary żadnego mocniejszego słowa.

- Zabrała ze sobą Tigera, ale pies wrócił sam - kontynuował Nettlebed takim tonem, jakby chciał wyrzucić z siebie wszystko. - A w garażu nie ma furgonetki.

- Myślisz, że uciekła?

- Nie mam pojęcia.

Nat darł się już jak opętany. Mary odstawiła dzbanek kawą i zaproponowała:

- Lepiej zajrzę do niego, bo twoja żona tam zwariuje! Wyszła z kuchni i wspinając się po schodkach, już po drodze zagadywała:

- A któż to tak hałasuje?

Nettlebed miał więc przynajmniej ten problem z głowy. Kiedy został sam - odwiązał troczki fartucha, przewiesił go przez oparcie krzesła, przygładził ręką przerzedzające się włosy i ruszył zakomunikować pułkownikowi swoją rewelację.

Wszedł do jadalni, zamykając za sobą drzwi od środka. Ponieważ nikt nie zwrócił uwagi na jego wejście - chrząknął.

- Co takiego, Nettlebed? - spytał pułkownik, podnosząc głowę znad gazety.

- Czy mogę coś powiedzieć, proszę jaśnie pana?

- Proszę bardzo, mów.

Ponieważ jednak w tym momencie także Diana i Jeremy nadstawili uszu, Nettlebed dodał:

- Ale to delikatna sprawa, proszę jaśnie pana.

- Jak to delikatna? - wtrąciła się pani Carey-Lewis.

- Taka więcej rodzinna, proszę jaśnie pani.

- Przecież wszyscy tu jesteśmy rodziną. Czy jest to coś takiego, o czym Jeremy i ja nie możemy wiedzieć?

- Bynajmniej, proszę jaśnie pani.

- No więc powiedz nam wszystkim, o co chodzi.

- Chodzi o Loveday.

- Co z Loveday? - Głos pułkownika zabrzmiał ostro, bo dopiero teraz zaczął się czegoś domyślać.

- Przyszła dziś o wpół do ósmej rano do mnie do kuchni i przyniosła małego Nata. Całą drogę z Lidgey szła z nim pieszo. Zdaje mi się... - odchrząknął i zaczął zdanie od początku. - Chyba coś się popsuło między nią a Walterem.

Zapanowało dłuższe milczenie, aż wreszcie Diana spytała poważnie:

- Odeszła od niego?

- Na to wygląda, proszę jaśnie pani.

- Ale co się tam stało?

- Z tego, co wiem, Walter zainteresował się inną kobietą. Spotykali się w barze w Rosemullion, a tej nocy nie wrócił już do domu.

Sądząc po zaskoczeniu, z jakim wszyscy troje patrzyli na Nettlebeda - najwyraźniej nikt z nich nie miał pojęcia, co się święciło. Nie ułatwiało mu to bynajmniej zadania.

- Więc gdzie Loveday teraz jest? - doszedł do głosu pułkownik.

- W tym sęk, proszę jaśnie pana. Panienska powiedziała mi, że idzie się przejść, bo chce być sama, ale na wpół do dziewiątej miała wrócić.

- Tymczasem dochodzi już dziewiąta.

- Otóż to właśnie, a jej ciągle nie ma. Zabrała ze sobą psa, ale on musiał sam wrócić, bo śpi już w rusznikarni. Natomiast z garażu zniknęła furgonetka.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że uciekła?! - wykrzyknęła z przerażeniem Diana.

- To moja wina, proszę jaśnie pani, bo pozwoliłem jej odejść. Potem szykowałem śniadanie, a wiatr na dworze tak wył, że mogłem nie usłyszeć odjazdu samochodu.

- Ależ ty tu nie jesteś niczemu winien. Wiemy, że ją stać na takie pomysły. Tylko gdzie ona może teraz być? I gdzie jest Nat?

- Nat jest u nas na górze. Spał, kiedy go tam zaniósłem, ale już się obudził. Mary jest przy nim.

- Biedne maleństwo! - Pani Carey-Lewis zapomniała o swojej korespondencji, odsunęła krzesło od stołu i gwałtownie wstała. - Muszę koniecznie zobaczyć, co się z nim dzieje!

Mijając męża, uścisnęła go i ucałowała w czubek głowy.

- Nie przejmuj się tym - rzuciła mu w biegu. - Znajdziemy ją! Wszystko będzie dobrze.

Kiedy wybiegła z pokoju, pułkownik zwrócił się do Nettlebeda.

- Wiedziałeś już przedtem, że coś takiego się szykuje?

- Poniekąd, proszę jaśnie pana. Nieraz widywałem Waltera z tą kobietą w barze.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Arabella Lumb. Po mojemu to nic dobrego.

- Nigdy nam o tym nie wspominałeś.

- Nie chciałem wtrącać się w nie swoje sprawy, jaśnie panie. Poza tym miałem nadzieję, że to się rozejdzie po kościach.

- Aha, rozumiem - westchnął pułkownik. Nastąpiła dłuższa przerwa w rozmowie, po czym odezwał się Jeremy:

- Czy jesteś pewien, że nie przechadza się wciąż po klifach?

- Jestem więcej niż pewien.

- Nie sądzisz, że powinienem pójść tam i sprawdzić? Pułkownik rozważył tę propozycję.

- Może i tak, przynajmniej bylibyśmy spokojniejsi. Uważam jednak, że Nettlebed ma rację. Tiger nigdy nie wróciłby sam, gdyby ona tam jeszcze była.

- Idę na zwiady - oświadczył Jeremy wstając.

- To ładnie z twojej strony. - Pułkownik też się podniósł, odkładając gazetę. - Myślę, że zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję, muszę przejść się do Lidgley i samemu sprawdzić, co się tam, u diabła, dzieje.

Jeremy obrócił w ciągu pół godziny na klify i z powrotem. Zdążył w tym czasie jeszcze rozejrzeć się w terenie, a więc musiał biec. Dobrze, że miał kondycję!

Po powrocie zastał wszystkich zgromadzonych w kuchni wokół Nata, nadal w piżamce, ale już w lepszym humorze. Kończył właśnie obfite śniadanie zaserwowane mu przez panią Nettlebed. Mary siedziała przy nim, a reszta towarzystwa skupiła się razem, jak czynią zwykle ludzie w niepewnych lub niejasnych sytuacjach. Jeremy jeszcze na zewnątrz słyszał gwar ich rozmów i piskliwy głosik Nata, pragnącego za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Jednak kiedy wszedł do kuchni - wszyscy ucichli.

- Ani śladu - potrząsnął głową. - Przeszedłem całą plażę aż do drugiego cypla. Na pewno Loveday tam nie ma.

- Tak też i myślałem - stwierdził Nettlebed, ale Diana podziękowała Jeremy'emu za dobre chęci.

- Napije się doktor herbaty? - zaproponowała pani Nettlebed w grubych elastycznych pończochach na obrzmiałych nogach.

- Nie, dziękuję.

- Czy myślisz, że... - zaczęła Diana, ale urwała, gdyż jej wzrok padł na małego Nata wpychającego grzanekę do buzi. - Nie mów teraz, żeby wiesz kto nie słyszał. Może zabierzesz go do pokoju dzieciennego, Mary? Trzeba znaleźć mu coś do ubrania, żeby nie siedział w piżamie... Ciekawe, co się tam dzieje. Chciałabym, żeby Edgar już był z powrotem.

Jak na zawołanie pułkownik właśnie się pojawił. Poszedł do Lidgely pieszo, gdyż do jazdy samochodem musiałby wybrać drogę okrężną.

Wrócił także piechotą, przez dziedziniec i rusznikarnię. Zebrani usłyszeli donośne trzaśnięcie drzwiami, a po chwili pułkownik już zdejmował w kuchni swą tweedową czapkę. Miał przy tym tak ponury i gniewny wyraz twarzy, jakiego Jeremy w życiu u niego nie widział.

- Mary, zabierz chłopca - polecił.



Dopiero kiedy niania wyniosła małego z kuchni i drzwi zamknęły się za nimi - pułkownik usiadł przy stole i opowiedział wyczekującym w napięciu domownikom, czego dowiedział się w Lidzey.

W domu na farmie zastał oboje małżonków Mudge w stanie kompletnego szoku. Pan Mudge był tak oszołomiony i zawstydzony, że trudno było z niego coś wyciągnąć. Natomiast jego żona zawsze lubiła delectować się ludzkimi nieszczęściami, choćby dotyczyły jej samej. Toteż rozprawiając głośno i z oburzeniem, między kolejnymi filiżankami herbaty zdała pułkownikowi szczegółową relację z tego, co zaszło.

Walter nie wrócił jeszcze nawet na poranny udój, więc jego starzy rodzice musieli uporać się z tym sami. Dopiero kiedy wypuścili krowy z powrotem na pastwisko, wysprzątałi i zdezynfekowali halę udojową - pojawił się syn marnotrawny, wciąż jeszcze w świątecznym, lecz zmiętoszonym ubraniu i skacowany.

Nie okazywał bynajmniej skruchy, a na zarzuty rodziców odparł, że ma już po uszy takiego życia i że się wyprowadza. Że bokiem mu już wychodzi zarówno Nancherrow, jak też Lidzey i ciągle czapkowanie przed Carey-Lewisami. Że ma już dość małżeństwa, do którego został zmuszony, i teściów, którzy traktowali go z góry. Postanowił więc odejść, tym bardziej że dostał propozycję pracy w warsztacie samochodowym przy szosie do Naneledra. Zamieszka z Arabellą Lumb w jej przyczepie na wzgórzu Veglos.

Po relacji pułkownika zapanowała w kuchni zupełna cisza, przerywana tylko tykaniem zegara i brzęczeniem lodówki. Jeremy'emu przypominało to odprawę załogi na okręcie, kiedy wszyscy czekają na rozkazy kapitana. Jedyne Diana otworzyła usta, jakby chcąc wtrącić swój komentarz, ale szybko je zamknęła pod surowym spojrzeniem męża.

- Tak więc wygląda sytuacja - podsumował pułkow-

nik. - Oczywiście zapewniłem Mudge'ow, że w żadnym razie nie ponoszą odpowiedzialności za postępowanie swego syna. Prosiłem ich tylko, aby przynajmniej na razie nie rozgłaszali tej sprawy. Z ojcem Waltera nie będzie problemu, ale jego matka jest strasznie gadatliwa. Może sama zrozumie, że w tym przypadku plotki mogą tylko narobić szkody, ale obawiam się, że nie minie dzień, a rozniosą się po całym okręgu West Penwith. Dla dobra Loveday my także powinniśmy zachować dyskrecję. Natomiast trzeba jak najszybciej porozumieć się z mecenasem Bai-nesem. - Z kieszonki na piersi wyjął złoty zegarek myśliwski i uzupełnił: - Już dziesiąta, więc powinien być u siebie w kancelarii. Zaraz do niego zadzwonię.

Kiedy skończył, powiódł spojrzeniem po poważnych twarzach słuchaczy. Wszystkie wyrażały aprobatę dla jego propozycji. Jednak gdy wzrok pułkownika zatrzymał się na twarzy żony, surowość jego rysów złagodził uśmiech.

- Diano, kochanie, zdaje mi się, że chciałaś coś powiedzieć.
- Pomyślałam sobie, że Loveday mogła pójść do Judyty. W takiej sprawie na pewno zwróciłyby się do niej.
- Ale czy Judyta nie zadzwoniłaby zaraz do nas?
- Może chciały najpierw porozmawiać.
- To jest myśl! Zadzwonisz do Dower House?
- Nie wydaje mi się, żeby to było dobre rozwiązanie -zaoponowała Diana.
- Telefony zawsze są czymś takim bezosobowym. Poza tym jeśli Loveday tam nie ma, Judyta naprawdę się zmartwi. Myślę, że raczej ktoś powinien tam skoczyć i osobiście wyjaśnić, co się stało.

Teraz znów ona obrzuciła wszystkich spojrzeniem i napotkała wzrok Jeremy'ego. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- O, Jeremy na pewno zrobi to dla nas, prawda?
- Chętnie - odpowiedział, zastanawiając się w duchu, czy Diana zdaje sobie sprawę, że to ona robi teraz coś dla niego.

- Stamtąd możesz do nas zadzwonić, żebyśmy wiedzieli, jak sprawy stoją.
- Natychmiast tam jadę - oświadczył Jeremy wstając.

Judyta była sama w domu, gdyż Phyllis trafiła się okazja wyjechać z Anią do matki. W soboty dziewczynka nie chodziła do szkoły, a pan Jennings, mąż naczelniczki poczty, akurat wybierał się w tamtą stronę i zaproponował im podwiezienie.

Najnowszy mieszkaniec Dower House, Gus, jeszcze się nie pojawił, mimo iż była już dziesiąta rano. Judyta cieszyła się więc, że mocno śpi i dobrze sobie odpocznie. Gdyby wstał - podałyby mu śniadanie, ale tymczasem korzystała z okazji, aby zająć się innymi sprawami.

Dawno już planowała wymierzyć okna w salonie, aby uszyć nowe zasłony, bo stare rwały się i pruły przy każdym pociągnięciu. Najprościej byłoby to zrobić przy pomocy Phyllis - cóż, kiedy jej pomoc polegałaby na tym, że szybko odsunęłaby Judytę i sama wykonała całą czynność.

Niby mała rzecz, a przykra.

Teraz zaś, gdy była sama, Judyta spokojnie przysunęła sobie drabinkę i z miarką wzięła się do roboty. Po interwencji w jakimś ministerstwie otrzymała kartki odzieżowe i stwierdziła, że wystarczy ich akurat na odpowiednią ilość materiału. Kiedy już wymierzy dokładnie, ile jardów potrzebuje - napisze do Liberty'ego i zamówi odpowiedni wzór, niezbyt krzykliwy. Najlepiej, jeśli dołączy do zamówienia próbkę starego materiału.

Mierzyła właśnie lambrekin, balansując na czubku drabiny i przygryzając język dla lepszego skupienia. Akurat doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli nowy lambrekin zrobi się o dwa cale dłuższy - gdy usłyszała trzask frontowych drzwi. Nieco ją to zdenerwowało, gdyż wołała, aby nikt jej w tej chwili nie przeszkadzał. Przerwała wykonywaną czynność w nadziei, że przybysz, kimkolwiek był, pomyśli, że nikogo nie ma w domu, i pójdzie sobie.

Okazało się jednak, że gość nie dał za wygraną. W hallu rozległy się kroki i w drzwiach salonu pojawił się Jeremy!

Miał na sobie gruby sweter i zamotany wokół szyi czerwony szalik.

Pierwszą myślą Judyty było, że nic się nie zmienił od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni. Zaraz potem zareagowała tak samo jak wtedy w Londynie, kiedy czuła się chora i nieszczęśliwa, a on był jedynym człowiekiem, którego chciałyby zobaczyć.

Nie spodziewała się po sobie takiej radości. Była nawet trochę zła, że odsłania przed nim swoje czule miejsca, zamiast, jak planowała, przyjąć go chłodno i stanowczo.

- Co robisz? - spytał.

- Mierzę okno.

- Po co?

- Chcę kupić materiał na nowe zasłony.

- Jeszcze się nie przywitałem. - Uśmiechnął się.

- Cześć, Jeremy.

- Czy mogłabyś zejść z tych wysokości? Nie chcę przez cały czas zadzierać głowy, kiedy będę do ciebie mówił.

Zeszła więc ostrożnie, a kiedy dotarła do najniższych stopni, Jeremy wyciągnął rękę. Nie puścił jej dłoni nawet wtedy, kiedy Judyta już stała na podłodze. Ucałował ją w policzek i stwierdził:

- Jak się cieszę, że znów cię widzę. Mój Boże, to już tyle lat... Jesteś sama w domu?

- Phyllis zabrała małą do babci.

- A ja przyjechałem właśnie z Nancherrow. Nie ma u ciebie Loveday?

- Loveday? - Judyta z wyrazu twarzy Jeremy'ego odgadła, że nie przyjechał tu tylko po to, by ją odwiedzić. Coś musiało się stać! - A niby dlaczego miałyby być u mnie?

- Ona gdzieś przepadła.

- Jak to przepadła?

- Odeszła od Waltera, czy raczej Walter ją opuścił...

Nie, to długa historia. Usiądźmy, to ci wszystko opowiem po kolei. Judyta nie rozpałała jeszcze ognia, więc w salonie było dosyć chłodno. Usiadła jednak na ławie pod oknem w plamie słońca, gdzie przynajmniej mogła się łudzić, że choć trochę się ogrzeje. Tam Jeremy prosto i przystępnie przedstawił jej poranne wydarzenia w Nancherrow, zaczynając od niespodziewanego przybycia Loveday z Natem, a kończąc na informacjach uzyskanych przez pułkownika. Podsumował zaś następującym wnioskiem:

- Wygląda na to, że wszystko skończone. To małżeństwo chyba nieodwracalnie się rozpadło. Tylko że nadal nie wiemy, gdzie szukać Loveday.

Judyta słuchała tej smutnej opowieści ze wzrastającym przerażeniem. Nie wiedziała, jak ma zareagować, gdyż sytuacja przerosła jej wyobrażenia. Zdobyła się więc tylko na całkiem niestosowny wykrzyknik:

- O Boże!

Potem, już spokojniej, dodała:

- Biedna Loveday! Wyobrażam sobie, co ona teraz przeżywa. Walter okazał się taki podły! Wiedziałam o tej Arabelli Lumb, ale nikomu nic nie mówiłam, bo Loveday prosiła mnie o dyskrecję.

- Więc nie ma jej u ciebie?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

- A Gus jest?

- On tak. Zatrzymał się u mnie.

- Dobrze, ale gdzie on jest?

- W sypialni na górze. Pewnie jeszcze śpi, bo dotychczas nie zszedł.

- Czy jesteś tego pewna?

Judyta spojrzała na niego, zdziwiona jego podejrzliwością. Czyżby jej nie wierzył? Urażonym tonem odparła:

- Oczywiście, że jestem. Niby dlaczego miałabym w to wątpić?

- Może lepiej sprawdź na wszelki wypadek. Albo, jeśli wolisz, ja pójde i sprawdzę.

- Skądże, sama pójde! - ucięła chłodno. Wciąż jeszcze trzymała w ręku miarkę, którą teraz zwinęła i odłożyła na poduszkę.

Potem wstała, wyszła z salonu i wspięła się po schodach na piętro.

- Gus! - wołała już po drodze.

Odpowiedzią było milczenie. Kiedy zaś Judyta otworzyła drzwi sypialni Bidy - od razu rzuciło się jej w oczy puste łóżko, rozrzucona pościel i wgniecenie na poduszce w miejscu, gdzie spoczywała głowa. Okno było zamknięte, a na toalecie leżały szczotki do włosów Gusa, flakonik z jakimiś tabletkami oraz szkiecownik i kasetka z farbami, które dostał od Judyty. Niebieska piżama wisiała na oparciu krzesła - zniknęły natomiast inne części garderoby Gusa, buty i skórzana kurtka. Zniknął też ich właściciel...

Kompletnie oszołomiona, Judyta zamknęła drzwi sypialni i zeszła z powrotem na dół.

- Miałaś rację! - powiadomiła Jeremy'ego. - Nie ma go w pokoju. Musiał wstać bardzo wcześnie i wymknąć się, kiedy jeszcze spałyśmy, bo nic nie słyszałam. Byłam pewna, że wciąż śpi.

- Coś mi mówi, że on jest teraz z Loveday - stwierdził Jeremy. - Musimy zadzwonić do Nancherrow...

Ledwie wymówił te słowa - właśnie zadzwieczył telefon.

- Może to Diana? - powiedziała Judyta i pospieszyła podnieść słuchawkę. Jeremy podążył za nią. Stał obok, kiedy odbierała telefon.

- Tu Dower House, słucham.

- Judyta?

Nie był to głos Diany, tylko Gusa!

- O rany, Gus! Gdzie jesteś? Skąd dzwonisz?

- Z Porthkerris, od państwa Warrenów.

- Cóż ty tam, na Boga, robisz?
- Loveday chce ci to sama powiedzieć.
- Ona jest tam z tobą?
- Oczywiście.
- Rozmawiała już ze swymi rodzicami?
- Przed chwilą. Zaczęliśmy od nich, a teraz kolej na ciebie. Tylko zanim oddam słuchawkę Loveday, chciałbym powiedzieć ci trzy rzeczy. Po pierwsze, przeprosić, że wziąłem twój rower. Jest w Nancherrow, zostawiłem go przy głównym wejściu. Po drugie, postanowiłem posłuchać twojej rady i zająć się malowaniem, a przynajmniej spróbować. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.
- Tego było za wiele, żeby od razu wszystko zrozumieć.
- Ale kiedy... - zaczęła, lecz nie dał jej dokończyć.
- Po trzecie, chcę ci powiedzieć to, co już raz powiedziałem, ale muszę powtórzyć: dziękuję ci!
- Ależ, Gus...
- Daję ci Loveday.

1 już Judyta usłyszała w słuchawce ożywiony głos Loveday, trajkoczący jak za dawnych, dziewczęcych czasów, kiedy nie były za nic odpowiedzialne i nie musiały się niczym przejmować.

- Cześć, to ja!

Z radości, że znów słyszy głos przyjaciółki, Judyta zapomniała już, że tak się niepokoiła, a nawet była na nią zła. Teraz czuła tylko ulgę.

- Loveday, coś ty narozrabiała?
- Och, nie panikuj! Rozmawiałam już z mamusią i ta-tusiem, więc nie musisz się o nich martwić. To było tak, że poszłam sama na klify, bo musiałam obmyślić sobie, co powiem wszystkim. Wzięłam Tigera i tak siedzieliśmy sobie, gapiąc się na wschód słońca, kiedy nagle mój kochany piesek zaszczeakał. Obejrzałam się i zobaczyłam Gusa. On wcale nie spodziewał się mnie tu zastać, tylko akurat też wybrał się na klify. A że postanowiłam nie wracać już do Waltera, to tak, jakby stał się cud i byliśmy

z Gusem znowu razem. A przecież nawet nie wiedziałam, że on wrócił do Kornwalii i zatrzymał się u ciebie! Tymczasem znalazł się tutaj właśnie w momencie, kiedy najbardziej go pragnęłam. Czy to nie cudowne?

- Loveday, tak się cieszę!

- Na pewno ani w części tak bardzo jak ja.

- I co potem zrobiliście?

- Gadaliśmy na okrągło. W końcu zorientowałam się, że jeszcze mamy ze sobą dużo do pogadania i potrzeba nam na to więcej czasu. Wróciliśmy więc cicho do domu, ja dyskretnie wpuściłam Tigera do rusznikarni, a Gus uruchomił furgonetkę rybiarza i pojechaliśmy do Porthkerris.

- Dlaczego właśnie tam?

- Bo dalej nie starczyłoby nam benzyny! No nie, oczywiście żartuję.

Wybraliśmy Porthkerris, bo w takim artystycznym miasteczku najłatwiej znaleźć jakiś lokal na pracownię dla Gusa, żeby mógł tu zostać i malować, a nie wracać do tej okropnej Szkocji. Przecież on zawsze chciał być malarzem! Tylko że nie wiedzieliśmy, jak się zabrać do szukania takiej pracowni, i wtedy pomyślałam o Warrenach. Kto jak kto, ale pan Warren zna Porthkerris jak własną kieszeń i wie, gdzie można kupić lub wynająć jakiś wolny lokal. Nie mogliśmy też pojechać gdzie indziej, bo nie mieliśmy przy sobie pieniędzy ani książeczki czekowej. Gus wygrzebał z kieszeni zaledwie jakieś drobniaki! A Warrenowie okazali się tacy mili jak zawsze. Pani Warren zrobiła nam najobfitsze śniadanie, jakie widziałam, a pan Warren zaczął wydzwaniać po całej okolicy i od razu znalazł dla nas mieszkanie na North Beach. Zaraz jedziemy je obejrzyć. To właściwie pracownia, ale podobno jest tam mała łazienka i wnęka kuchenna. Nie wiem, co to takiego ta wnęka, ale na pewno nam to w zupełności wystarczy...

Byłaby tak trzepała w nieskończoność, gdyby Judyta jej nie przerwała.

- To kiedy wracasz do domu?



- Wieczorem już będziemy z powrotem. Przecież nie uciekliśmy, tylko po prostu chcemy trochę побыć razem. Musimy teraz zaplanować, co będziemy robili dalej.

- A co z Walterem?

- Tatuś powiedział, że Walter już się zdeklarował, że odchodzi. Arabella Lumb zwyciężyła i szczęście jej Boże!

- Co w takim razie będzie z Natem?

- Tatuś rozmawiał już o tym z panem Bainesem i obaj mają nadzieję, że uda mi się zatrzymać dziecko. Gus mówi, że zawsze chciał mieć synka, więc tym lepiej, że będzie miał już gotowy zaczątek rodziny. - Loveday umilkła na chwilę, a potem mówiła dalej już innym tonem: - Właściwie, to ja zawsze kochałam tylko jego. Może trudno w to teraz uwierzyć, ale nawet wtedy, kiedy myślałam, że on nie żyje... Kiedy powiedziałaś mi, że wrócił z Birmy, była to dla mnie zarazem najlepsza i najgorsza wiadomość, jaką słyszałam. Wiem, że byłam nieraz zupełnie niemożliwa...

- Loveday, gdybyś nie była niemożliwa, nie byłabyś sobą! Taka już jesteś i za to właśnie cię kochamy.

- Przyjdź dziś wieczorem do Nancherrow - zaproponowała Loveday - żebyśmy wszyscy znów byli razem, jak kiedyś. Brakuje tylko Edwarda, ale wierzę, że i on jakoś znajdzie się wtedy wśród nas i wypije za nasze zdrowie...

- Nie przepuściłby takiej okazji za nic w świecie - potwierdziła Judyta, czując łzy cisnące się do oczu. - Powodzenia, Loveday!

- Moja najdroższa...

Judyta odłożyła słuchawkę i załzała się łzami.

- Nie płaczę ze zmartwienia, tylko ze szczęścia! - tłumaczyła Jeremy'emu.

- Masz chusteczkę?

Oczywiście miał, jak zawsze nieskazitelnie czystą i starannie złożoną, więc podał ją Judycie. Wysiąkała nos i otarła te bezsensowne łzy.

- Domyślam się, że wszystko się dobrze skończyło? - zagaił Jeremy.

- Idealnie. Są nareszcie razem. Zawsze się tak kochali! Gus zdecydował się pozostać w Porthkerris i zająć się malowaniem. Będzie miał pracownię z wnęką kuchenną...

- ...i z Loveday.

- Pewnie tak, ale nie mówiła nic na ten temat. Zresztą to mało istotne. - Teraz już nie płakała. - Upiorę tę chusteczkę i dopiero wtedy ci oddam, dobrze?

Wcisnęła ją w mankiet rękawa swojego swetra i uśmiechnęła się do Jeremy'ego. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że są sami, tylko we dwoje. Nikt i nic im nie przeszkadza. Po raz pierwszy poczuła z tego powodu lekkie skrepowanie.

- Napijesz się może kawy? - spytała wymijająco.

- Nie mam w tej chwili ochoty na kawę. Ani na Gusa, Loveday czy kogokolwiek innego. Jesteśmy w tej chwili tylko we dwoje, ty i ja, a więc najwyższy czas poważnie porozmawiać.

Oczywiście miał rację. Wrócili więc do salonu i usiedli we wnęcie okiennej, teraz już dobrze oświetlonej zimowym słońcem. Jego promienie rzucały blaski na staroświeckie meble i spłowiałe dywany, a w kryształowych wisiorach żyrandola po Lawinii Boscawen tworzyły małe tęcze.

- Od czego zaczynamy? - Judyta przystąpiła do rzeczy.

- Od początku. Dlaczego nie odpisałaś na mój list?

- Przecież nie napisałaś do mnie żadnego listu. - Zmarszczyła brwi.

- Owszem, napisałem. Z Long Island.

- Nigdy go nie otrzymałam.

- Jesteś tego pewna? - Teraz on uniósł brwi.

- Najzupełniej. Czekałam i doczekać się nie mogłam. Obiecałeś mi wtedy w Londynie, że do mnie napiszesz, ale ponieważ nie dostałam żadnego listu, doszłam do wniosku, że zmieniłeś zdanie. Być może zdecydowałeś się zerwać ze mną kontakt.

- Boże, tyle lat! - Wydał z siebie westchnienie, które zabrzmiało bardziej jak jęk. - Napisałam do ciebie, kiedy

stacjonowałem na Long Island. Stawałem na głowie, żeby dobrać odpowiednie słowa. Potem nadałem list drogą służbową z pokładu okrętu „Sutherland”.

- I co się z nim stało?

- Przypuszczalnie okręt został zatopiony. Trwały wtedy najzaciętsze walki na Atlantyku, więc mój list z całą pocztą pewnie poszedł na dno.

- Rzeczywiście, nie pomyślałam, że tak mogło się stać. - Potrząsnęła głową. - A co było w tym liście?

- Między innymi to, że nigdy nie zapomnę tej nocy, którą spędziliśmy razem w Londynie, kiedy byłeś w tak fatalnym stanie ducha, a ja nazajutrz musiałem zdążyć na okręt. Napisałem tam też, że cię kocham i zawsze kochałem, odkąd po raz pierwszy zobaczyliśmy się w pociągu z Plymouth. I o tym, jak odnalazłem cię znów w Nancherrow i jak melodia „Pan mą radością” skojarzyła mi się z tobą, uświadamiając mi, ile znaczysz w moim życiu. Na zakończenie listu zaproponowałem ci małżeństwo, gdyż doszedłem do wniosku, że nie wyobrażam sobie dalszego życia bez ciebie. Prosiłem cię też o jakąkolwiek odpowiedź, czy to na „tak”, czy na „nie”, żebym wiedział, na czym stoję.

- No i nie dostałeś żadnej odpowiedzi.

- Ano nie.

- I nie wydawało ci się to dziwne?

- Jakoś nie. W końcu nie uważałem się bynajmniej za dobrą partię. Jestem od ciebie starszy o trzynaście lat i nigdy nie śmierdziałem groszem, ty natomiast masz wszystko - młodość, urodę, niezależność finansową, właściwie cały świat u stóp. Może więc zasługujesz na coś lepszego niż życie żony prowincjonalnego lekarzyny? Toteż nie dziwiłem się wcale, gdy nie otrzymałem od ciebie odpowiedzi. Pomyślałem po prostu, że nie mam na co liczyć.

- Wiem, że powinnam była sama napisać do ciebie - przyznała Judyta. - Tyle że nie miałam twojej pewności siebie. Fakt, że byliśmy razem w łóżku i wszystko wy-

dawało się idealnie, ale kiedy robiłam to samo z Edwardem, potem okazało się, że było mu mnie po prostu żal. Obawiałam się więc, że twoja motywacja też jest taka.

- Ależ nic podobnego, kochanie!

- Teraz już to rozumiem, ale wtedy byłam młodsza i mniej doświadczona. Aha, jeszcze jedno. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale teraz mam jeszcze Jess i cokolwiek mnie się przydarzy, dotyczy także i jej.

- A gdybym to ja ci się przydarzył, czy jej mogłoby to przeszkadzać? Bardzo chciałbym, żebyśmy wszyscy troje byli razem. Pamiętam, jak grymasiła w pociągu i rzuciła w ciebie pajacykiem. Nie mogę się już doczekać, kiedy ją zobaczę.

- To już nie ta sama dziewczynka co wtedy. Ma czternaście lat i bardzo wydozrosłała, a jej pajacyk zatonął w Morzu Jawajskim.

- Wstyd mi, że nie wspomniałem dotąd o twoich rodzicach ani o Jess. Przez cały czas mówię tylko o sobie! Ale naprawdę było mi bardzo przykro i dziękowałem Bogu, że przynajmniej Jess wróciła. Posłałaś ją do Szkoły Świętej Urszuli, prawda?

- Tak, i świetnie sobie tam radzi. Dopóki jednak całkiem się nie usamodzielni, jestem za nią odpowiedzialna.

- To nic nowego, bo odkąd cię znam, ciągle bierzesz na siebie jakąś odpowiedzialność. To za siebie, to za Bidy Somerville, Phyllis lub za swój dom. A kiedy wybuchła wojna, dołożyłaś do tego jeszcze służbę ojczyźnie. Tego się właśnie obawiam - westchnął.

- Nie rozumiem.

- Bo może po tych wszystkich trudach zechcesz trochę użyć życia, zanim założysz sobie na kark małżeńskie jarzmo? Mam na myśli takie życie, jakie prowadziła Athena przed wojną: kupowanie kapeluszy, dansingi, obiady u Ritza z atrakcyjnymi panami... Pływanie luksusowymi jachtami i sączenie martini na słonecznym tarasie...

- Ależ masz wyobraźnię! - zaśmiała się Judyta. - Mówisz o tym tak, jakby to było coś strasznego!

- Pytam poważnie.

Judyta pomyślała, że to miłe z jego strony, lecz odpowiedziała innym pytaniem.

- Czy podczas służby w marynarce spotkałeś kapitana Hugona Halleya?

- Nie przypominam sobie takiego nazwiska.

- Poznałam go w Kolombo. Był bardzo sympatyczny, a wojna już się skończyła, więc nie mieliśmy innych problemów. I właśnie z nim robiłam to wszystko, o czym mówiłeś. Nie byliśmy kochankami ani nic nas nie łączyło, po prostu świetnie się bawiliśmy. Użyłam już trochę życia, więc kiedy się pobierzemy, na pewno nie będę się czuła zawiedziona.

- Powiedziałaś to na serio?

- Co takiego?

- „Kiedy się pobierzemy...”?

- Jestem pewna, że właśnie tak powiedziałam.

- Ale ja mam już siwe włosy!

- Zauważyłam, tylko przez grzeczność nie chciałam nic mówić.

- Mam już trzydzieści siedem lat. Dla ciebie to chyba strasznie dużo, ale łudzę się, że nie będzie ci to przeszkadzać.

Spodziewał się, że odpowie mu: „Ależ skąd!” lub coś w tym rodzaju, tymczasem Judyta umilkła, a jej twarz przybrała skupiony wyraz.

- Nad czym się tak zamyśliłaś? - spytał.

- Próbuję coś oszacować, ale nie umiem szybko liczyć w pamięci.

- Liczyć?

- Owszem. Nie wiesz, że wiek żony powinien się równać połowie wieku męża plus siedem?

- Pierwsze słyszę. - Jeremy w zakłopotaniu potrząsnął głową.

- No więc masz trzydzieści siedem lat... Z tego połowa to osiemnaście i pół. A osiemnaście i pół dodać siedem równa się...

- Dwadzieścia pięć i pół.

- A ja mam dwadzieścia cztery i pół, więc niewiele mniej. Natomiast gdybyśmy nie odczekali tych trzech i pół roku, nic by się nie zgadzało i małżeństwo mogłoby być nieszczęśliwe...

Nie skończyła zdania, bo parsknęła śmiechem, a Jeremy zamknął jej usta długim pocałunkiem. Czuł przy tym ogarniające go podniecenie i przemknęło mu przez myśl, że najchętniej porwałby ją teraz w ramiona, zaniósł gdzie w ustronne miejsce i kochał się z nią długo i namiętnie. Zdrowy rozsądek podpowiedział mu jednak, że nie jest to odpowiedni moment. Najważniejsze były teraz wydarzenia rozgrywające się w Nancherrow, a kochać się z Judytą wolałby bez pośpiechu, najchętniej przez całą noc.

Puścił ją więc, przyglądając tylko delikatnie kosmyk włosów koloru miodu, który opadł jej na twarz.

- Co nagle, to po diable - podsumował. - Myślę, że możemy już powoli zacząć planować naszą przyszłość.

- Wątpię, czy w tej chwili byłabym w stanie cokolwiek planować.

- Spróbuję więc sam, tyle że nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji nawet co do własnej przyszłości.

- Masz zamiar wrócić do Truro i przejąć praktykę po ojcu?

- A czy ty chciałabyś tego?

- Nie - wyznała szczerze Judyta. - Widzisz, nie chciałabym cię zawieść, ale za nic w świecie nie opuszczę tego domu. Wiem, że człowiek nie powinien przywiązywać się do kupy cegieł, ale to miejsce ma szczególny charakter. Wiele bliskich mi osób po ciężkich przeżyciach znalazło tu bezpieczną przystań. Biddy zamieszkała tu, kiedy była bliska załamania po śmierci Neda. Phyllis z Anią - kiedy Cyryl zaciągnął się do marynarki. Jess doszła tu do siebie

po piekle japońskiego obozu, a Gus po tym, jak zwątpił, czy będzie jeszcze kiedykolwiek szczęśliwy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Całkowicie. A zatem skreślamy Truro.

- Czy twojemu ojcu nie będzie przykro?

- Nie przypuszczam.

- Co więc zamierzasz robić?

- W marynarce zaprzyjaźniłem się z kapitanem-lekarzem Billym Whatleyem. Jakies dwa miesiące temu, kiedy stacjonowaliśmy na Malcie, podsunął mi myśl, żebyśmy we dwóch rozpoczęli samodzielną praktykę. Na przykład w Penzance.

- Czy to możliwe? - spytała Judyta, nie wierząc własnym uszom.

- Czemu nie? Wojna się skończyła, więc możemy robić, co chcemy. Bill pochodzi z Londynu, ale zawsze pragnął osiedlić się z rodziną na prowincji, najchętniej nad morzem, bo jest zamiłowanym żeglarzem.

Dyskutowaliśmy już o tym nieraz, ale nie chciałem podejmować żadnych zobowiązań, dopóki nie sprawdziłem, jak stoją sprawy z tobą. Po co miałem pakować się z butami w twoje życie, jeśli byś tego nie chciała? A w takiej sytuacji byłoby krępujące, gdybym dalej plątał ci się pod nogami.

- W Penzance to nie tak bardzo „pod nogami”. Wydaje mi się, że miałbyś stąd za daleko do pracy. A jeszcze weź pod uwagę nocne wezwania, nagłe wypadki i tym podobne.

- Gdybyśmy pracowali we dwóch, moglibyśmy dojeżdżać na zmianę.

Otworzylibyśmy elegancki, nowoczesny gabinet, a przy nim urządzilibyśmy mieszkanie na wypadek nocnych dyżurów.

- Z wnęką kuchenną?

Jeremy w odpowiedzi tylko się roześmiał.

- Może nie rozdzielajmy włosy na czworo. Najlepiej pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi.

- Tfu, co za frazes! Mówisz jak polityk.

- Myślałem, że jeszcze gorzej. - Spojrzał na zegarek. -Boże, toż to już za piętnaście dwunasta! Z tego wszystkiego zapomniałem, po co właściwie tu przyjechałem. Chyba powinienem wracać do Nancherrow, bo Diana pomyśli, że dołączyłem do uciekinierów. Pojedziesz tam ze mną, kochanie?

- Jeśli tylko zechcesz.

- Więc owszem, chcę.

- I co, zdradzimy wszystkim nasze plany?

- Dlaczego nie?

Nie wiedzieć czemu, ta wizja nagle wystraszyła Judytę.

- Tylko co oni powiedzą? - ociągała się z pewnym skrepowaniem.

- Najlepiej przekonajmy się o tym sami!